

# REBECCA YARROS

#1 Bestsellerowa autorka NEW YORK TIMESA

# OSTATNI LIST



FILIA

**REBECCA  
YARROS**

**OSTATNI  
LIST**

Przełożyła  
Katarzyna Agnieszka Dyrek

**FILIA**

*Dzieciom, które walczą z rakiem:  
Davidowi Hughesowi, który dzięki swojemu sercu  
pokonał chorobę, choć dawano mu tylko dziesięć procent szans na wyzdrowienie.  
Oraz dla tych jak Beydn Swink, których dusze okazały się  
nieporównywalnie silniejsze niż ich ciała.  
Nigdy o Was nie zapomnimy.*

# ROZDZIAŁ 1

BECKETT

List #1

*Drogi Chaosie,*

*a przynajmniej mój brat twierdzi, że właśnie tak Cię nazywają. Zapytałam, czy któryś z jego kompanów potrzebuje wsparcia i dostałam namiar na Ciebie.*

*Cześć, mam na imię Ella. Znam zasadę, by w korespondencji nie posługiwać się Waszymi prawdziwymi imionami. Piszę listy tak długo, jak długo on robi to, co robi. Co chyba robisz i Ty.*

*Zanim odłożysz list, mamrocząc: „Nie, dzięki”, jak to zazwyczaj robicie, musisz wiedzieć, że piszę również dla siebie. Dzięki temu będę miała sposobność wyrażenia opinii z dala od ciekawskich, wścibskich oczu mieszkańców tego małego miasta, więc to prawie tak, jakbym Cię wykorzystywała.*

*Byłabym zatem ogromnie wdzięczna, gdybyś mógł mnie wysłuchać, a w zamian ja wysłuchałabym Ciebie. Piekę też niesamowite ciasteczka z masłem orzechowym. Jeśli nie dostałeś ich z tym listem, zlej mojego brata, bo Ci je ukradł.*

*Od czego powinnam zacząć? Jak się przedstawić, by nie zabrzmiało to, jakbym była reklamującą się singielką? Zapewniam, nie szukam nikogo ponad kumpla, z którym mogłabym pisać, a który byłby bardzo daleko ode mnie. Nie przepadam za żołnierzami. Właściwie za żadnymi facetami. Nie, żeby mi się nie podobali, ale po prostu nie mam na nich czasu. A wiesz, co mam? Złość, że piszę to odręcznie, zamiast na komputerze, na którym mogłabym dowolnie kasować słowa.*

*Jestem młodszą siostrą, ale mój brat na pewno już Ci o tym powiedział. Dużo gada, więc zapewne wiesz już, że mam dwoje dzieci. Tak, jestem samotną matką i nie, nie żałuję swoich decyzji. Rety, dosyć mam tych pytań, czy nawet sugerujących je spojrzeń.*

*Niemal skreśliłam ostatnie zdanie, jednak to prawda. W dodatku jestem zbyt leniwa, by przepisać cały list.*

*Mam dwadzieścia cztery lata i byłam żoną dawcy spermy bliźniąt przez jakieś trzy sekundy. Wystarczyło, żeby na teście pojawiły się różowe kreski, a lekarz oznajmił, że słyszy bicie dwóch serc, by mąż spakował się po cichu i uciekł nocą. Nigdy nie przepadał za dziećmi, prawdopodobnie lepiej nam bez niego.*

*Nie obrażę się, jeśli też pogardzisz szkrabami korespondencyjnej koleżanki, ale w takim wypadku nie będę wysyłać Ci ciastek. Te są jedynie dla przyjaciół.*

*Jeśli poradzisz sobie z piszącą do Ciebie samotną matką, możesz czytać dalej.*

*Moje dzieci mają po pięć lat, więc jeśli zdążyłeś policzyć, urodziłam je, gdy byłam dziewiętnastolatką. Zszokowałam wszystkich w naszej miejscinie, decydując się na samodzielne wychowywanie bliźniąt, niemal dostałam zawału, gdy po śmierci babci musiałam przejąć Samotnię. Miałam jedynie dwadzieścia lat, maleńkie dzieci i pensjonat, w którym nas wychowywała, więc wydawało się, że to dobre miejsce, bym zajęła się w nim maluchami. Nadal takie jest.*

*Tak więc... Maisie i Colt są całym moim życiem. Oczywiście w dobrym tego słowa znaczeniu. Zdaję sobie sprawę, że jestem wobec nich niedorzecznie nadopiekuńcza. Zdarza mi się przesadnie reagować, otaczać je murem, przez co mogą wydawać się odizolowane, ale hej, można mieć gorsze wady, prawda? Maisie jest spokojna, zazwyczaj zastaję ją z książką. Colt... cóż, najczęściej jest tam, gdzie nie powinno go być i robi coś, czego nie powinien robić. Bliźnięta potrafią szaleć, ale powiedzą Ci, że tak naprawdę są dwa razy bardziej niesamowite.*

*A ja? Zawsze robię to, co muszę, a nigdy to, co powinnam lub co chcę. Jednak wydaje mi się, że taka jest właśnie natura bycia matką i właścicielką pensjonatu. A skoro o tym mowa, moi goście już się budzą, więc lepiej zapakuję list do koperty i go wyślę.*

*Odpiszesz, jeżeli zechcesz. Zrozumiem jednak, jeśli tego nie zrobisz. Chciałabym, byś wiedział, że w Kolorado jest ktoś, kto o Tobie myśli.*

*Ella*

---

**D**ziś byłby idealny dzień na moje drugie przekleństwo. Zazwyczaj, kiedy jedziemy na misję, przeżywamy *Dzień Świstaka*. Codziennie to samo. Jednak w tej monotonii łatwo można dostrzec pewien ujmujący wzór.

Nie będę kłamał, jestem wielkim fanem monotonii.

Rutyna jest przewidywalna. Bezpieczna lub tak bezpieczna, jak tylko może być w tych warunkach. Od miesiąca przebywaliśmy w tajnej lokalizacji w kraju, w którym nie powinniśmy się znajdować, a rutyna pozostawała naszą jedyną pociechą.

Dziś jednak jej zabrakło.

Jak zwykle ukończyliśmy misję, ale za to jakim kosztem. Zawsze jakiś jest, jednak ostatnio bywa coraz bardziej wygórowany.

Spojrzałem na swoją rękę i zacisnąłem palce tylko dlatego, że mogłem to zrobić. Ramirez? On stracił dziś tę możliwość. Gość będzie trzymał niemowlaka za pomocą protezy.

Zamachnąłem się, po czym wypuściłem z palców kongę, a psia zabawka poleciała do nieba, stanowiąc czerwoną kropkę na nieskazitelnie błękitnym niebie, które było tu jedyną czystą rzeczą. A może to ja dziś czułem się brudny.

Demolka stawiała długie, szybkie kroki, skupiona na celu, aż...

– Cholera, dobra jest – powiedział Mac, gdy stanął za mną.

– Najlepsza. – Zerknąłem na niego przez ramię, nim wróciłem wzrokiem do Demolki, która do mnie podbiegła. Musiała być najlepsza, by dostać się do specjalnego zespołu operacyjnego, który działał, choć – ściśle rzecz biorąc – nie istniał. To wyszkolony, wojskowy pies przewyższający milion razy zwykłe, operacyjne burki.

Należała do mnie, co automatycznie czyniło ją najlepszą.

Moja suczka to ponad trzydziestokilowa labradorka. Jej czarna sierść wyróżniała się na tle piasku, gdy zatrzymała się tuż przed moimi nogami. Usiadła, z radością w oczach podając mi kongę.

– Ostatni raz – powiedziałem łagodnie, wyjmując zabawkę z jej zębów.

Puściła się pędem, nim zdołałem wziąć zamach.

– Jakież wieści o Ramirezie? – zapytałem, patrząc na odbiegającą Demolkę.

– Stracił rękę. Od łokcia.

– Ku... – Rzuciłem zabawkę tak daleko, jak tylko mogłem.

– Możesz kląć. Dziś wydaje się to odpowiednie. Mac podrapał się po hodowanej przez miesiąc brodzie i poprawił okulary przeciwsłoneczne.

– Co z rodziną?

– Christine dołączy do niego w bazie Landstuhl. Wysyłają nam też rekrutów. Czterdzieści osiem godzin do odlotu.

– Tak szybko? – Naprawdę byliśmy aż tak niezbędni.

– Musimy ruszać. Odprawa za pięć minut.

– Jasne. – Wyglądało na to, że zostaniemy przeniesieni do kolejnej, tajnej lokalizacji.

Mac spojrzał na moją rękę.

– Ktoś to widział?

– Doktorek pozszywał. To tylko draśnięcie, nie musisz trząść portkami. – Kolejna blizna dodana do tych, które już znaczyły moją skórę.

– Może potrzeba, żeby jakaś potrząsnęła twoimi.

Posłałem przyjacielowi wymowne spojrzenie.

– No co? – zapytał, wzruszając ramionami, nim ruchem głowy wskazał na Demolkę, która zatrzymała się równie podekscytowana, co za pierwszym lub trzydziestym szóstym razem, gdy rzuciłem kongę. – Ona nie może być jedyną kobietą w twoim życiu, Gentry.

– Jest lojalna, piękna, potrafi odnaleźć materiały wybuchowe i załatwić kogoś, kto spróbuje mnie zabić. Czego jej brakuje? – Wziąłem zabawkę i podrapałem psinę za uszami.

– Muszę stwierdzić, że tobie już nie da się pomóc.

Wróciliśmy do niewielkiej bazy, na którą tak naprawdę składało się kilka budynków oraz dziedziniec znajdujący się między nimi. Wszystko było brązowe. Mury, pojazdy, ziemia, nawet niebo zdawało się przybierać odcień tego koloru.

Świetnie. Burza piaskowa.

– Nie musisz się o mnie martwić. Nic mi nie dolega, gdy jesteśmy w garnizonie – powiedziałem.

– Och, doskonale zdaję sobie z tego sprawę, ty wyglądający jak Chris Pratt dupku. Ale człowieku – położył rękę na moim ramieniu, zatrzymując mnie, nim weszliśmy na dziedziniec, gdzie zebrała się reszta – nie jesteś z nikim związany.

– Ty też nie.

– Nie, obecnie nie jestem w związku, ale to nie oznacza, że nie jestem związany z osobami, na których mi zależy i którym zależy także na mnie.

Wiedziałem, do czego zmierza, ale nie były ku temu odpowiednie ani czas, ani miejsce. Zanim zaczął wnikać dalej, klepnąłem go w plecy.

– Słuchaj, możemy albo zadzwonić do Doktora Phila, albo wynieść się stąd, by uczestniczyć w kolejnej misji. – Przemieszczanie się od zawsze przychodziło mi z łatwością. Nie przywiązywałem się do niczego, bo nie chciałem. Po prostu nie byłem do tego zdolny. Przywiązanie do ludzi, miejsc czy rzeczy było niewygodne – przeszkadzało – ponieważ istniała tylko jedna pewna rzecz, a była nią zmiana.

– Mówię poważnie. – Zmrużył oczy, co widziałem u niego zbyt wiele razy w ciągu naszej dziesięcioletniej przyjaźni.

– Tak, cóż, ja też. Nic mi nie jest. Poza tym jestem związany z tobą i Demolką. Wszyscy inni to tylko dodatek.

– Mac! Gentry! – zawołał Williams, stojąc w wejściu do północnego budynku. – Zbierajcie dupy!

– Idziemy! – odkrzyknąłem.

– Słuchaj, zanim tam wejdziemy, chcę, żebyś wiedział, że zostawiłem ci coś na łóżku. – Mac pogłaskał się po brodzie, co oznaczało, że się denerwował.

– Cokolwiek to jest, po tej rozmowie nie jestem zainteresowany.

Ruszyliśmy z Demolką w stronę miejsca odprawy. Nie mogłem się doczekać przemieszczenia, aby zostawić za sobą tę dziurę i zobaczyć, co czeka nas dalej.

– To list.

– Od kogo? Wszyscy, których znam, znajdują się w tamtej sali. – Przechodząc przez pusty dziedziniec, wskazałem na drzwi. Tak właśnie się działo, gdy państwo za młodu przerzucało cię z jednej rodziny zastępczej do drugiej, a kiedy dorosłeś, wstąpiłeś do wojska. Grupa ludzi, których uważałeś za godnych poznania mieściła się w blackhawku, a od dziś miało brakować nam Ramireza.

Jak mówiłem, przywiązanie stanowiło niepotrzebną komplikację.

– Od mojej siostry.

– Słucham? – Zamarłem z ręką na zardzewiałej klamce.

– Słyszałeś. Od mojej młodszej siostry Elli.

Pogrzebałem w zakamarkach pamięci. Ella – blondynka o zabójczym uśmiechu i łagodnych, dobrych oczach bardziej niebieskich niż jakiegokolwiek niebo, które widziałem. Od

dekady wymachiwał mi przed nosem jej fotkami.

– No weź, Gentry. Potrzebujesz jej zdjęcia?

– Wiem, kim jest Ella, ale dlaczego na moim łóżku miałby znajdować się list od niej?

– Pomyślałem, że mógłbyś z nią pisać. – Zwiesił głowę i spojrzał na swoje brudne buty.

– Pisać? Jakbym był jakimś projektem z piątej klasy twojej siostrzyczki?

Demolka się do mnie przysunęła i oparła o moją nogę. Dostrajała się do każdego mojego ruchu, nawet najmniejszych zmian w moim nastroju. To właśnie dzięki temu nasz zespół był tak dobry.

– Nie, to nie... – Pokręcił głową. – Chciałem tylko pomóc. Zapytała, czy znam kogoś, komu przydałyby się listy, a skoro ty nie masz rodziny...

Krzywiąc się, otworzyłem drzwi i zostawiłem go na zewnątrz. Może nieco piachu wpadnie mu do tej jego rozdziawionej gęby. Nienawidziłem słowa na „R”. Ludzie nieustannie narzekali na swoje rodziny, właściwie to cały czas, jednak w chwili, kiedy orientowali się, że ja nie miałem żadnej, traktowali mnie jak jakąś aberrację, jak problem, który należy rozwiązać, lub co gorsza, zaczęli się nade mną litować.

Tak bardzo nie życzyłem sobie tej ludzkiej litości, że to, aż niemal zabawne.

– Dobra, panowie – powiedział kapitan Donahue, gdy nasz dziesięcioosobowy oddział – cóż, teraz bez jednej osoby – zgromadził się przy stole. Przykro mi, ale nie wracamy do domu. Dostaliśmy nowe zadanie.

Wszyscy jęknęli – bez wątpienia tęskniąc za żonami i dziećmi – potwierdzając tym jedynie moje zdanie na temat przywiązania.

\* \* \*

– Poważnie, Nowy? – warknąłem, gdy świeży członek naszego oddziału starał się posprzątać rzeczy, które strącił z szafki robiącej za mój stolik nocny.

– Przepraszam, Gentry – wymamrotał, składając papiery. Typowy amerykański chłopak zaraz po przeszkoleniu, który nie powinien jeszcze do nas trafić. Musiałby mieć kilka lat doświadczenia i pewniejsze ręce, co oznaczało, że znalazł się tutaj, bo był spokrewniony z kimś, kto zapewne pociągał za sznurki.

Demolka przechyliła łeb w jego stronę, po czym spojrzała na mnie.

– Jest nowy – powiedziałem łagodnie, drapiąc ją za uszami.

– Proszę – wybełkotał dzieciak, podając mi moje rzeczy, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami, jakbym miał wykopać go z oddziału za tę jego niezdarność.

Boże, miałem nadzieję, że lepiej obchodził się z bronią niż z moim stolikiem nocnym.

Położyłem papiery na materacu, na wolnej przestrzeni, której nie zajmowała Demolka. Przejrzałem je, a były to artykuły z czasopism, które mnie zainteresowały i...

– Szlag.

List od Elli. Miałem go już niemal od dwóch tygodni i jeszcze go nie otworzyłem.

Jednak nie potrafiłem go wyrzucić.

– Otworzysz? – zapytał Mac z gównianym wyczuciem czasu.

– Dlaczego nigdy nie przeklinasz? – zapytał w tej samej chwili Nowy.



Spiorunowałem Maca wzrokiem, wsunąłem list na sam spód stosu, nakryłem artykułem o nowatorskich technikach poszukiwawczych i ratunkowych.

– Dobra. Odpowiedz Nowemu. – Mac przewrócił oczami i położył się na swojej pryczy, zakładając ręce za głowę.

– Tak właściwie to nazywam się Johnson...

– Nie, Nowy. Jeszcze nie zasłużyłeś na nic innego – poprawił go Mac.

Dzieciak wyglądał, jakbyśmy skopali mu szczeniaka, więc odpuściłem.

– Ktoś mi kiedyś powiedział, że przeklinanie oznacza posiadanie ubożego zasobu słownictwa. Wyrażając się wulgarnie, wychodzimy na niewykształconych ludzi z niższej klasy społecznej. Zatem przestałem to robić. – Bóg jeden wiedział, że miałem za sobą sporo walki związanej z samym sobą, nie musiałem dodatkowo brzmieć jak środowisko, z którego się wywodziłem.

– Nigdy? – zapytał Nowy, pochylając się, jakbyśmy znajdowali się na piżama party.

– Robię to tylko w duchu – wyznałem, biorąc się za nowy artykuł.

– To naprawdę pies wojskowy? Wygląda tak... słodko – stwierdził Nowy, wyciągając rękę do Demolki.

Suczka uniosła głowę i obnażyła zęby.

– Tak, naprawdę, i tak, zabija na rozkaz, zatem wyświadczyć nam obu przysługę i nigdy więcej jej nie dotykaj. To nie jest kanapowa pupilka. – Pozwoliłem, aby powarczała chwilę dłużej, co miało służyć podkreśleniu moich racji.

– Spokojnie – powiedziałem jej w końcu i pogłaskałem ją po szyi. Napięcie natychmiast ją opuściło, ułożyła się na mojej nodze i patrzyła na mnie łagodnie, jakby nic się przed chwilą nie stało.

– Kurde – szepnął.

– Nie bierz tego do siebie, Nowy – rzucił Mac. – Demolka to fanka monogamii, a ty nie jesteś jej człowiekiem.

– Lojalna i zabójcza – powiedziałem z uśmiechem, nadal ją głaszcząc.

– Któregoś dnia – nakazał Mac, wskazując na list, który wysunął się ze stosu i leżał przy moim udzie na materacu.

– Nie dziś.

– Kiedy go otworzysz, będziesz mieć do siebie żal, że nie zrobiłeś tego wcześniej. – Sięgnął na drugą stronę pryczy, wziął pudełko z ciastkami z masłem orzechowym, po czym zjadł jedno z efektami dźwiękowymi godnymi filmów porno.

– Serio?

– Serio – mruknął. – Pychota.

Parsknąłem śmiechem i ponownie wsunąłem list do stosu innych papierów.

Dzieciak pokiwał głową.

– To wszystko czego od zawsze chciałem.

Wymieniliśmy z Makiem porozumiewawcze spojrzenia.

– Powtórz to jutrzejszego wieczoru. A teraz kładź się i przestań strącać moje rzeczy, inaczej twoja ksywka będzie brzmiała Masełko.

Wybałuszył oczy i grzecznie opadł na pryczę.

\* \* \*

Trzy dni później Nowy już nie żył.

*Johnson*. Zasłużył, by zwracać się do niego po nazwisku, bo poświęcił się, ratując tyłek Doktorka.

Wszyscy spali, a ja leżałem, gapiąc się na jego pustą pryczę. Nie pasował do nas, wszyscy o tym wiedzieliśmy, nawet wyrażaliśmy swoje obawy. Nie był gotowy na misję, szybkie akcje naszego oddziału specjalnego i śmierć.

Nie żeby kostucha się tym przejmowała.

Klepsydra została odwrócona, miałem dwadzieścia osiem lat.

*Wszystkiego najlepszego dla mnie.*

Śmierć na misji zawsze dotykała mnie jakoś inaczej. Zwykle myślałem o niej na dwa sposoby – albo ją ignorowałem, bo musieliśmy działać, albo postrzegałem własną śmiertelność jako coś nagłego i namacalnego. Może to przez moje urodziny albo fakt, że Nowy był jeszcze dzieckiem, ale w tej chwili dopadły mnie rozterki.

*Cześć, śmiertelność, to ja, Beckett Gentry.*

Rozsądek podpowiadał, że po zakończeniu tej misji wrócimy do domu lub trafimy do kolejnej zapomnianej przez Boga dziury, ale w tej chwili dopadło mnie mocne poczucie samotności i chwyciło boleśnie za serce.

*To nie jest przywiązanie* – wmawiałem sobie, bo przywiązanie oznaczało kłopoty.

Jednak brakowało mi zażyłości z innym człowiekiem, takiej, która nie była zarezerwowana dla braci z oddziału ani nawet dla przyjaciela, jakim był Mac, osoby, która była dla mnie jak członek rodziny.

Pod wpływem czystego impulsu wziąłem latarkę, po czym wyjąłem list, który wcześniej wcisnąłem w górski przewodnik.

Przytrzymując latarkę ramieniem, rozerwałem kopertę i rozłożyłem kartkę ze schludnym kobiecym pismem.

Przeczytałem list raz, dwa razy... a nawet kilkanaście, dopasowując słowa do twarzy kobiety, którą od lat widywałem na zdjęciach. Wyobraziłem sobie, jak wczesnym rankiem poświęca chwilę, aby do mnie napisać i zacząłem się zastanawiać, jak wyglądał dla niej tamten dzień. Jaki facet może zostawić ciężarną żonę? *Dupek.*

Jaka kobieta oddaje się wychowaniu bliźniąt i prowadzeniu interesu, choć sama jest jeszcze małą? *Zapewne ta cholernie silna.*

Nieżłomna, sprytna kobieta, którą musiałem poznać. Ogarnęła mnie niezaprzeczalna i cholernie uciążliwa tęsknota.

Zachowując jak największą ciszę, wziąłem notatnik i długopis.

Pół godziny później zakleiliśmy kopertę i postukałem nią Maca w ramię.

– Co jest? – warknął, obracając się do mnie.

– Chcę ciastka – wypowiedziałem z powagą, którą rezerwowałem zazwyczaj dla wydawanych Demolce komend.

Parsknął śmiechem.

– Mówię poważnie, Ryan. – Zwrócenie się do niego po imieniu oznaczało poważną sprawę.

– Cóż, tracisz czujność, tracisz też ciastka. – Uśmiechnął się, po czym obrócił do mnie plecami, chwilę później słyszałem, że jego oddech się pogłębił.

– Dziękuję – szepnąłem, wiedząc, że już mnie nie słyszy. – Dziękuję ci za nią.

## ROZDZIAŁ 2

ELLA

List #1

*Ello,*

*miałaś rację, Twój brat od razu spałaszował wszystkie ciastka, ale na jego obronę muszę powiedzieć, że zbyt długo zwlekałem z otwarciem listu od Ciebie. Pomyślałem jednak, że jeśli mamy to robić, jak należy, powinniśmy być szczerzy.*

*Zatem po pierwsze musisz wiedzieć, że niezbyt dobrze radzę sobie z ludźmi. Mógłbym podać kopę wymówek, ale poważnie, naprawdę sobie z nimi nie radzę. Z doświadczenia wiem, że często mówię coś nieodpowiedniego, rzucam prawdę w oczy albo nie potrafię nawiązać błahej rozmowy o niczym. Nie muszę chyba dodawać, że nigdy nie pisałem listów.*

*Po drugie, podoba mi się, że napisałaś do mnie odręcznie. Oznacza to, że nie zamierzasz cenzurować samej siebie. Nie dobierasz odpowiednich słów, a piszesz tak, jak myślisz. Założę się, że na żywo jesteś taka sama – mówisz to, co przyniesie Ci ślina na język.*

*Nie wiem, co mógłbym Ci o sobie napisać, by wojskowa cenzura tego nie zamazała, więc może tak: od jakichś pięciu minut mam dwadzieścia osiem lat i prócz kumpli, z którymi tu jestem, nie kontaktuję się z nikim. Przeważnie mi to nie przeszkadza, ale dziś zacząłem się zastanawiać, jak to jest w Twoim przypadku. Być obciążonym tak wielką odpowiedzialnością, bo polega na Tobie tak dużo osób. Gdybym mógł zadać Ci jedno pytanie, byłoby to: „Jak to jest być centrum czyjegoś wszechświata?”.*

*Z wyrazami szacunku,  
Chaos*

---

**J**uż po raz trzeci czytałam list, który przyszedł tego ranka, przesuwając palcami po krzywo zapisanych dużymi literami wyrazach. Kiedy Ryan stwierdził, że w jego

oddziale jest ktoś, komu przydałoby się z kimś popisać, pomyślałam, że chyba oszalał.

Faceci, z którymi służy, bywają zwykle tak otwarci jak ich szafy na broń. Ojciec zachowywał się dokładnie w ten sam sposób. Szczerze mówiąc, po tygodniach bez odpowiedzi pomyślałam, że gość mnie olał. Częściowo mi ulżyło, bo przecież miałam na głowie już wystarczająco dużo. Jednak pusta kartka stwarzała tak wiele możliwości. Myśl o przelaniu emocji na papier, aby przeczytał je ktoś nieznajomy była dla mnie dziwnie wyzwalająca.

Czytając jego list, zastanawiałam się, czy czuł się podobnie.

Jak ktoś w wieku dwudziestu ośmiu lat mógł nie mieć... żadnej bliskiej osoby? Ryan twierdził, że facet był małomówny, a serce otoczone miał grubym murem, ale dla mnie Chaos wydawał się po prostu... samotny.

– Nudzę się, mam – powiedziała siedząca obok mnie Maisie, machając nogami.

– Wiesz co? – zapytałam śpiewnie i wrzuciłam list do torebki.

– Tylko nudni się nudzą? – zagadnęła, patrząc na mnie tymi swoimi najbardziej niebieskimi na świecie oczami. Przechyliła głowę na bok i zmarszczyła nos. – Może nie byłiby tacy nudni, gdyby mieli coś do roboty.

Pokręciłam głową, po czym z uśmiechem podałam jej iPada.

– Uważaj na niego, dobrze? – Nie stać nas było na nowe urządzenie, nie przy remoncie dachów w trzech domkach dla gości. Sprzedałam już dziesięć hektarów na tyłach całej naszej posiadłości, aby móc sfinansować najbliższe remonty i zaciągnęłam najwyższy kredyt hipoteczny, jaki tylko mogłam, aby rozbudować naszą infrastrukturę.

Maisie pokiwała głową, zakotyła się jej blond kucyk, gdy przesunęła palcem po ekranie iPada, aby znaleźć ulubione aplikacje. Nadal pozostawało to dla mnie zagadką, jak, do licha, pięcioletka obsługiwała tę rzecz wprawniej niż ja. Colt też nieźle sobie radził, ale nie był ekspertem jak jego siostra. Pewnie dlatego, że przeważnie wlaźł wszędzie tam, gdzie nie powinien.

Spojrzałam na zegar. Szesnasta. Lekarz spóźnił się już pół godziny na wizytę, którą nam wyznaczył. Wiedziałam, że Ada nie ma nic przeciwko pilnowaniu Colta, ale nie znosiłam ją o to prosić. Była żwawą sześćdziesięcioletką, jednak za moim synem nie tak łatwo nadażyć. Określała go mianem pioruna i nie mijała się przy tym z prawdą.

Maisie potarła biodro, na które ostatnio się skarżyła, że je boli. Najpierw wspominała, że coś ją tam kłuje, potem, że pobolewa od czasu do czasu, aż ból się nasilił i nie przestawał ustępować.

Zaczynałam tracić cierpliwość, więc postanowiłam iść do recepcji, lecz w tej samej chwili doktor wszedł do gabinetu.

– Dzień dobry, Ello. Jak się czujesz, Margaret? – zapytał doktor Franklin z dobrodusznym uśmiechem, trzymając w dłoniach podkładkę z doczepionymi dokumentami.

– Maisie – poprawiła go z powagą na twarzy.

– Oczywiście. – Potaknął i posłał mi łagodny uśmiech. Bez wątplenia w jego oczach nadal miałam pięć lat, bo przecież był i moim pediatrą. Włosy mu posiwiały i lekko urósł brzuch, niemniej był tym samym lekarzem, do którego dawniej przyprowadzała mnie babcia. W naszym małym mieście Telluride niewiele się zmieniało. Jasne, kiedy przychodził sezon

narciarski, ulice wypełniały się land roverami turystów, ale fala w końcu ustępowała i miejscowi wracali do swojego normalnego życia.

– Jak bardzo cię dziś boli? – zapytał, pochylając się do niej.

Wzruszyła ramionami i skupiła się na iPadzie.

Wyjęłam go z jej małych rąk i uniosłam brwi, dostrzegając na jej twarzy dezaprobatę.

Westchnęła zbyt ciężko jak na pięciolatkę, ale w końcu popatrzyła na doktora Franklina.

– Zawsze boli. Od dłuższego czasu nie przestało ani na moment.

Spojrzał na mnie, bym to wyjaśniła.

– Taki stan trwa przynajmniej od sześciu tygodni.

Pokiwał głową, po czym wyprostował się, marszcząc brwi, przerzucając kartki na podkładce.

– Co to jest? – Odczuwałam frustrację, ale ugryzłam się w język. Nie pomogę córeczce, tracąc nad sobą panowanie.

– Scyntygrafia kości wyszła prawidłowo. – Oparł się o stół i podrapał po karku.

Zgarbiłam się. To już trzecie poważne badanie Maisie i nadal nic.

– Ale to dobrze, prawda? – zapytała mała.

Posłałam jej wymuszony uśmiech i oddałam iPada.

– Skarbie, może pograsz przez chwilę, a ja zamienię z doktorem dwa słówka na korytarzu, co?

Pokiwała ochoczo głową i wróciła do przerwanej gry.

Wysłałam z lekarzem na korytarz, zostawiając uchylone drzwi, by mieć Maisie na oku.

– Ello, nie wiem, co mam ci powiedzieć. – Skrzyżował ręce na piersi. – Zrobiliśmy już prześwietlenie i scyntyografię, a gdybym miał przekonanie, że mała wytrzyma dostatecznie długo nieruchomo, zleciłbym rezonans magnetyczny. Jednak nie znaleźliśmy do tej pory nic niepokojącego pod względem fizycznym, szczerze mówiąc.

Posłał mi pełne współczucia spojrzenie, które jedynie mnie zirytowało.

– Ona tego nie udaje. Jej ból jest prawdziwy, a coś go wywołuje.

– Nie mówię, że nie jest prawdziwy. Widywałem ją wystarczająco często, by wiedzieć, że coś jest na rzeczy. Czy w domu coś się zmieniło? Jakies nowe sytuacje stresowe? Musi być ci ciężko samodzielnie prowadzić interes, do tego wychowując dwoje małych dzieci, szczególnie że jesteś taka młoda.

Uniosłam głowę, jak robiłam za każdym razem, gdy w tym samym zdaniu poruszał kwestię mojego wieku oraz dzieci.

– Mózg to bardzo potężny...

– Sugeruje pan, że ból ma podłoże psychosomatyczne? – warknęłam. – Bo Maisie ma problemy z chodzeniem. W domu nic się nie zmieniło. Jest tak samo, jak wtedy, gdy przywiozłam je tam z tego samego szpitala, w którym się znajdujemy i mogę pana zapewnić, że w przedszkolu nie doświadcza żadnego stresu. Problem nie tyczy się jej głowy, a biodra.

– Ello, nic w nim nie ma – powtórzył łagodnie. – Szukaliśmy potencjalnych złamań w kości, naderwań więzadeł, wszystkiego. Może to być naprawdę trudny przypadek bólu wzrostowego.

– To żaden ból wzrostowy! Coś przegapiliście. Czytałam w internecie...

– I to był twój pierwszy błąd. – Westchnął. – W sieci dowiesz się, że przeziębienie to z pewnością zapalenie opon mózgowych, a ból w nodze to z kolei skrzep, który zaraz cię zabije.

Wybałuszyłam oczy.

– To nie jest skrzep, Ello. Zrobiliśmy też USG. Tam nic nie ma. Nie rozwiążemy nieistniejącego problemu.

Maisie nie zmyślała. To nie siedziało w jej głowie. Nie chodziło o problem posiadania młodej mamy czy braku ojca. Cierpiała, a ja nie byłam w stanie jej pomóc.

Poczułam się całkowicie bezradna.

– W takim razie jedziemy do domu.

\* \* \*

Rozkoszowałam się spacerem boczną drogą. Odbieranie poczty dawało mi o tej porze roku wymówkę, aby wymknąć się na moment, w tej chwili odczuwałam jeszcze większą satysfakcję, bo czekałam na listy, które wysyłał mi Chaos. Zaraz mógł przyjść szósty. Mieliśmy koniec października, więc w powietrzu panował już chłód, jednak od otwarcia stoków narciarskich dzielił nas dobry miesiąc. Wtedy cały ten spokój uleci, zastąpiony potokiem rezerwacji.

Dzięki za to Bogu, bo naprawę potrzebowaliśmy, by zajęto wszystkie miejsca. Nie, żebym nie cieszyła się jesiennym spokojem, gdy wrócili do domów ci, którzy w lecie włączyli się po górach, jednak zimą to narciarze utrzymują Samotnię przy życiu. A przy nowej racie kredytu hipotecznego, dochód z pensjonatu był wręcz niezbędny.

Na razie jednak było idealnie. Liście na osikach zmieniły kolor na złoty i zaczęły spadać, przez co obecnie pokrywały cały podjazd. Nie był długi, ciągnął się na jakieś sto metrów, ale wystarczył, by dać naszym gościom upragnione poczucie odosobnienia.

W głównym budynku również mieściło się kilka pokoi do wynajęcia, profesjonalna kuchnia, jadalnia, salon, a także oddzielone, małe skrzydło, które zajmowałam z dziećmi. Pensjonat wydawał się tętnić życiem, jednak Samotnia wzięła nazwę oraz reputację od piętnastu odseparowanych od siebie domków, które rozsiane zostały na ponad osiemdziesięciu hektarach. Jeśli ktoś pragnął wygodnego, luksusowego noclegu nieopodal cywilizacji, a jednocześnie ucieczki w dzicz, nasz pensjonat stanowił dla niego odpowiednie miejsce.

Gdyby tylko stać mnie było na reklamę, aby zaczęły spływać rezerwacje. Całymi dniami mogłabym zajmować się marketingiem, bo ludzie przyjeżdżali jedynie wtedy, gdy wiedzieli o istnieniu danego ośrodka.

– Jesteś zajęta? – zapytał z ganku Larry. Oceniał mnie oczami pod krzaczastymi, siwymi brwiami, które sterczały mu na wszystkie strony.

– Nie. Co tam? – Bawiłam się trzymanymi w palcach kopertami, gdy weszłam po schodkach i zatrzymałam się przed tablicą, którą być może należało wymienić. Przemiana w luksusowy kurort polegała na tym, by zadowolić tych, którzy wymagali perfekcji.

– Coś czeka na ciebie na stole.

– Czeka? – Zignorowałam jego uśmiezek, facet nie był typem pokerzysty i weszłam do środka.

Zdjęłam buty, wsunęłam je pod siedzisko w holu. Pod stopami miałam niedawno odnowioną, drewnianą podłogę przy recepcji.

– Spacer się udał? – Hailey uniosła głowę znad komórki i się uśmiechnęła.

– Poszłam po pocztę, to nic specjalnego. – Ścisnęłam listy, przedłużając swoją torturę. Poza tym na samym wierzchu miałam rachunek od doktora Franklina, którego jakoś nie spieszyło mi się otwierać.

Minął niemal miesiąc od naszej ostatniej wizyty u niego, a wciąż nie doczekałam się diagnozy wzmagającego się bólu u córki. To kolejny rachunek, który przypominał mi, że zdecydowałam się na jak najniższe ubezpieczenie zdrowotne, byśmy jakoś przeżyli ten rok.

– Aha. Nie czekasz na żaden list, co? – Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, udając niewiniątko.

– Nie powinnam była ci o nim mówić. – Nigdy nie da mi spokoju, ale, szczerze mówiąc, wcale mi to nie przeszkadzało. Te listy były jedynym, co pozostawało tylko dla mnie. Stanowiły coś, dzięki czemu mogłam się otworzyć i wszystko z siebie wyrzucić, nie narażając się na żaden osąd czy oczekiwania.

– Ej, lepsze to niż gdybyś miała żyć moim życiem miłosnym.

– Twoje życie przyprawia mnie o zawroty głowy. Poza tym tylko do siebie piszemy, nie ma w tym nic romantycznego. Ryan poprosił mnie o przysługę. To wszystko.

– Ryan. Kiedy wróci do domu? – Westchnęła rozmarzona, jak większość mieszkających w tym mieście dziewczyn, na wspomnienie o moim bracie.

– Chyba chwilę po Bożym Narodzeniu. A poważnie mówiąc, miałaś chyba ze dwanaście lat, gdy zaciągnął się do wojska.

Hailey była ode mnie młodsza jedynie o dwa lata, chociaż czułam się od niej dużo starsza. Może postarzałam się o dekadę przez każde z moich dzieci albo prowadzenie Samotni wepchnęło mnie od razu w wiek średni, ale bez względu na powód, dzieliło nas chyba całe pokolenie.

– Przestań marudzić! – nalegał Larry, niemal podskakując z ekscytacji.

– O co ci chodzi?

– Ella, chodź tu natychmiast! – zawołała Ada z jadalni.

– Teraz oboje chcecie mnie wykończyć? – Pokręciłam głową na Larry'ego, ale poszłam za nim do jadalni.

– Tadam! – rzuciła Ada, machając rękami w kierunku stołu w rustykalnym stylu.

Spojrzałam we wskazane miejsce i dostrzegłam magazyn, na który czekałam. Jasnoniebieska okładka odcinała się na tle ciemnego drewna.

– Kiedy przyszedł? – zapytałam cicho.

– Rano – odparła Ada.

– Ale... – Pomachałam pocztą wyjętą ze skrzynki.

– Och, resztę zostawiłam. Nie zamierzałam pozbawiać cię ulubionego zajęcia.

Minęła chwila ciszy, gdy gapiałam się na czasopismo „Wakacje w górach – oferta najlepszych noclegów w 2019 roku. Wydanie zimowe”.

– Nie pogryzie cię – dodała Ada, przesuwając magazyn w moją stronę.



– Nie, ale to dla nas być albo nie być.

– Czytaj, Ella. Dobry Bóg wie, że ja już to zrobiłam – wyznała, poprawiając okulary na nosie.

Rzuciłam pocztę na stół i porwałam z niego gazetę, po czym zaczęłam ją kartkować.

– Osiemdziesiąta dziewiąta – niecierpliwiła się Ada.

Serce waliło mi w piersi jak młotem, palce zdawały się lepić do każdej kartki, ale udało mi się w końcu dotrzeć do właściwej strony.

– Numer osiem, Samotnia w Telluride w stanie Kolorado! – Ręce mi się trzęsły, gdy przyglądałam się błyszczącym fotografiom naszego pensjonatu. Wiedziałam, że wysłali kogoś, kto miał zrecenzować mój interes, ale nie wiedziałam, kiedy dokładnie pojawiła się tu ta osoba.

– Wcześniej plasowaliśmy się w pierwszej dwudziestce, a właśnie znalazłaś się w pierwszej dziesiątce! – Ada mnie przytuliła, przytłaczając swoją sporą sylwetką. – Babcia byłaby z ciebie taka dumna. Ze wszystkich remontów, które przeprowadziłaś, wszystkiego, co poświęciłaś dla tego miejsca. Do diabła, ja jestem z ciebie dumna, Ella. – Odsunęła się, a mnie łzy napłynęły do oczu. – Nie stój jak kołek i nie becz. Czytaj!

– Nie tylko ona beczy, kobieto – wtrącił Larry, podchodząc, by przytulić żonę. Ta para była zżyta z Samotnią tak bardzo jak ja. Pomagali babci od samego początku, obiecali, że zostaną ze mną tak długo, jak tylko będą mogli.

– Samotnia to ukryty klejnot. Położony w górach San Juan wyjątkowy ośrodek wypoczynkowy oferuje rodzinną atmosferę nie tylko w głównym budynku, ale również w kilku nowo wyremontowanych, luksusowych domkach dla tych, którzy nie chcą rezygnować z prywatności na rzecz blisko położonych stoków. Tylko dziesięć minut jazdy samochodem dzieli to miejsce od najlepszych ośrodków narciarskich w Kolorado. Samotnia może stać się dla was bezpieczną przystanią nieopodal górskiego kurortu. Pensjonat bardziej przypomina elegancki ośrodek wypoczynkowy i jest idealny dla osób poszukujących tego, co najlepsze z obu światów: nienagannej obsługi oraz poczucia izolacji. To prawdziwa perełka w Kolorado!

Spodobało im się u nas! Znaleźliśmy się w pierwszej dziesiątce polecanych pensjonatów! Przycisnęłam magazyn do piersi, rozkoszując się tym, co napisali. Takie chwile nie zdarzały się każdego dnia, a nawet każdej dekady, więc ta była tylko moja.

– Prawdziwa radość jest wtedy, gdy wszyscy turyści wracają do domów – mruknął Larry, ale nie przestawał się uśmiechać.

Zadzwoił telefon, w tle usłyszałam, że Hailey odebrała.

– Założę się, że zaraz zaczną sływać rezerwacje! – cieszyła się Ada, gdy Larry tańczył z nią po obwodzie stołu.

Przy takiej recenzji to pewne. Niebawem mieliśmy mieć wypełniony kalendarz. Zdołam spłacić hipotekę oraz pożyczkę, które zaciągnęłam na budowę chatki położonych w południowej części działki.

– Ella, dzwonią ze szkoły – zawołała Hailey.

Rzuciłam magazyn na stół i poszłam odebrać.

– Ella MacKenzie – przedstawiłam się, gotowa wysłuchać czym też Colt tym razem zdenerwował nauczycieli.

– Dzień dobry, pani MacKenzie. Z tej strony pielęgniarka ze szkoły podstawowej, przy której mieści się przedszkole – powiedziała ze martwieniem, więc nie zawracałam sobie głowy poprawianiem na „panno”.

– Wszystko w porządku?

– Niestety mam tu Maisie. Zemdląła na placu zabaw, ma blisko czterdzieści stopni gorączki.

*Omdlenie, wysoka temperatura.* Mdłości podeszły mi do gardła, gdy z powodu złego przecucia mocno skurczył mi się żołądek. Doktor Franklin coś przeoczył.

– Zaraz tam będę.

## ROZDZIAŁ 3

BECKETT

List #6

*Drogi Chaosie,*

*przesyłam kolejną porcję ciastek. Schowaj je, proszę, przed moim bratem. Nie, nie żartuję. W przypadku tych wypieków bezwstydnym z niego złodziejaszek. Przygotowałam je według przepisu mamy, a właściwie babci, a on jest od nich uzależniony. Po śmierci naszych rodziców – jestem pewna, że opowiedział o tym, jak tatę zabito w Iraku, a mama miesiąc później zginęła w wypadku samochodowym – zawsze były w kuchni, czekały, aż wrócimy ze szkoły, aby uleczyć złamane serca, uczcić wygrane mecze, pocieszyć po przegranych. Dla niego oznaczają one dom.*

*A teraz i Ty masz jego fragment.*

*W liście sprzed miesiąca zapytałeś mnie, jak to jest być centrum czyjegoś wszechświata. Tak to było? Cóż, wtedy nie wiedziałam, jak Ci na to odpowiedzieć, ale przemyślałam sprawę.*

*Szczerze mówiąc, nie jestem centrum czyjegokolwiek wszechświata. Nawet dzieci. Colt jest bardzo niezależny, jestem pewna, że pragnie osobiście zadbać o bezpieczeństwo Maisie, a nawet moje. Córnica jest pewna siebie, jej spokój można pomylić z nieśmiałością. Zabawne jest jednak to, że się nie wstydzi. Absolutnie perfekcyjnie potrafi oceniać i od razu wyczuwa kłamstwo.*

*Chciałabym mieć tę zdolność, ponieważ najbardziej na świecie nie znoszę ściemniania. Maisie ma niesamowitą intuicję w stosunku do ludzi, której na pewno nie odziedziczyła po mnie. Jeśli z kimś nie rozmawia, to nie dlatego, że jest mrukiem, a ponieważ uznała, że woli nie marnować na tego kogoś czasu. Ma tak, odkąd była malutka. Albo kogoś lubi, albo nie. Colt... on daje szansę każdemu, po czym daje mu drugą i trzecią, i... Chyba już rozumiesz.*

*Najprawdopodobniej ma to po wujku, bo potrafię się przyznać do tego, że nigdy nie zdołałam dać drugiej szansy tym, którzy zranili moich bliskich. Chociaż się wstydzę, wciąż nie wybaczyłam ojcu tego, że nas opuścił, a przyczyniła się do tego mina brata, gdy tata z łatwością rzucił kłamstwem, że to tylko krótka, kilkutygodniowa misja... ale nigdy z niej nie wrócił. Wybrał*

*rozwód z matką zamiast z wojskiem. Do diabła, minęło czternaście lat, a ja nadal nie wybaczyłam oficerowi, który wydał rozkaz, przez który ojciec zginął, po raz drugi łamiąc serce mojej matce. Naprawdę nienawidzę w sobie tej cechy i tak, Colt zdecydowanie odziedziczył miękkie serce po moim bracie, a ja mam nadzieję, że go nie straci.*

*W wieku pięciu lat moje dzieci są lepszymi ludźmi, niż ja kiedykolwiek będę, z czego jestem niesamowicie dumna.*

*Jednak nie stanowią centrum ich wszechświata. Bardziej przypominam ich grawitację. W tej chwili trzymam je mocno, więc kroczą z pewnością swoją oczywistą ścieżką. Cały czas pracuję, by zatrzymać je blisko tego, co zapewnia im bezpieczeństwo. Jednak kiedy podrosną, muszę nieco popuścić, przestać tak mocno na nie oddziaływać. W końcu je uwolnię, by mogły wzlecieć i będę ściągać ku sobie jedynie wtedy, gdy o to poproszą lub gdy zajdzie taka konieczność. Do diabła, mam dwadzieścia cztery lata, a mnie wciąż czasami należałoby ściągnąć. Szczerze mówiąc, nie chciałabym być niczym centrum wszechświata, bo co się stanie, gdy owo centrum przestanie istnieć?*

*Wszystko się rozpadnie.*

*Przynajmniej tak się stało w moim przypadku.*

*Zatem wolę być grawitacją. Mimo wszystko kontrolować pływy oraz zachowanie wszystkiego, a nawet umożliwiać życie. A kiedy dzieciaki będą gotowe do lotu, może znajdą kogoś, kto sprawi, że zapragną twardo stąpać po ziemi. A może polecą razem z nim.*

*Mam nadzieję, że po trosze jedno i drugie.*

*Dowiem się, dlaczego mówią na Ciebie Chaos? A może to również tajne, jak Twoje zdjęcie?*

*Ella*

---

**-C** haos, chcesz się tym z nami podzielić? – zapytał Williams, ruchem głowy wskazując na trzymaną przeze mnie kartkę.

– Nie. – Złożyłem list numer sześć i wsunąłem go do kieszeni na piersi, gdy lecieliśmy śmigłowcem na miejsce operacji. Demolka wciąż siedziała pomiędzy moimi kolanami. Nie przepadała za helikopterami ani za zjeżdżaniem na linie, ale nie uciekała.

– Na pewno? – droczył się Williams, uśmiech jaśniał na tle jego skóry, pomalowanej w barwy kamuflujące.

– Na pewno. – Nie dostanie ani listu, ani ciastka. Nie zamierzałem dzielić się Ellą. Stała się jedyną osobą, która była wyłącznie moja, nawet jeśli tylko poprzez korespondencję. To uczucie, z którym nie chciałem się rozstawać.

– Zostaw go – rzucił siedzący obok mnie Mac. Spojrzał na moją kieszeń. – Znaleźliście wspólny język.

Niemal pokazałem mu palec, ale przecież nie tylko dał mi Ellę, ale również połączenie z kimś więcej niż tylko z chłopakami z oddziału. Dał mi przebłysk normalnego życia poza pudełkiem, w którym zamknąłem się na ostatnią dekadę. Zatem odpowiedziałem zgodnie z prawdą:

– Tak. – Pokiwałem głową. Tylko tyle byłem w stanie z siebie wydobyć.

Z uśmiechem poklepał mnie po ramieniu, jednak nie dodał: „A nie mówiłem?”.

– Dziesięć minut. – W słuchawkach rozbrzmiał głos Donahue.

– Jak jest w Telluride? – zapytałem Maca.

Na jego twarzy odmalowała się tęsknota, na widok której przeważnie przewracałem oczami. Teraz stałem się dziwnie zdesperowany, aby móc wyobrazić sobie mieścinę, w której została Ella.

– Pięknie. W lecie zielono, a w oddali roztaczają się góry, które wyglądają, jakby próbowały cię zabrać do nieba. Jesienią wyglądają na zanurzone w złocie, gdy osikom schną liście... jak teraz. Zimą jest tam trochę tłoczno, bo rozpoczyna się sezon narciarski, ale kiedy Samotnię przykryje śnieg, masz wrażenie, że na każdym rogu czekają cię nowe możliwości. Potem przychodzi wiosna, drogi są zabłocone, turyści wyjeżdżają i wszystko znów rodzi się do życia niemal tak samo piękne jak rok wcześniej. – Oparł się o siedzenie UH-60.

– Tęsknisz.

– Codziennie.

– To dlaczego wciąż tu jesteś? Dlaczego nie wyjedziesz? – Obrócił ku mnie głowę i uśmiechnął się ze smutkiem.

– Czasami musisz wyjechać, by docenić to, co za sobą zostawiłeś. Nie docenisz czegoś prawdziwie, dopóki tego nie stracisz.

– A gdybyś nigdy tego nie miał? – To raczej pytanie czysto teoretyczne. Nigdy nie przywiązałem się do żadnego miejsca, nigdzie nie czułem się jak w domu. Nie zostawałem w jednym miejscu na tyle długo, by zapuścić korzenie. A może nie byłem do tego zdolny. Może tak często mi je odcinano, że teraz po prostu nie chciały rosnąć.

– Powiem ci coś, Gentry. Po zakończeniu tej misji zrobimy sobie przerwę, a ja oprowadzę cię po Telluride. Wiem, że jeździsz na nartach, więc najpierw poszusujemy, a potem powłóczymy się po barach. Może nawet przedstawię ci Ellę, ale najpierw będziesz musiał uporać się z Coltem.

*Ella.* Czekają nas jeszcze kilka miesięcy kontraktu w Siłach Szybkiego Reagowania, po czym się pożegnamy i przywitamy z wolnym czasem, którym gardziłem, ale teraz zaczęła narastać we mnie ciekawość. Ella? Zainteresowanie nie było małe. Chciałem się z nią spotkać, pogadać, dowiedzieć się więcej o kobiecie, która pisała listy. Doświadczyć interakcji z nią w prawdziwym świecie, który nie był papierowy, wyidealizowany.

– Chciałbym – odparłem po chwili. Proponował mi to już niezliczoną ilość razy, ale nigdy nie brałem tego na poważnie.

Uniósł brwi, a jego szeroki uśmiech prezentował się niemal komicznie.

– Chcesz zobaczyć Telluride czy Ellę?

– I miasto, i ją – odparłem zgodnie z prawdą.

Przytaknął, gdy w słuchawkach usłyszeliśmy komunikat o pięciu minutach. Pochylił się, abym tylko ja mógł go słyszeć, chociaż innym jego głos i tak zagłuszały łopaty wirnika.

– Moglibyście uszczęśliwić się nawzajem, gdybyś tylko zatrzymał stopy w jednym miejscu na tyle długo, by wyhodować korzenie.

„Jesteś nic niewart. Wszystko niszcysz”.

Wyrzuciłem słowa matki z głowy i skupiłem się na chwili obecnej. Tylko czekały, aby wywołać katastrofę, więc zatrzasnąłem za nimi drzwi.

– Nie uszczęśliwię nikogo – powiedziałem Makowi, następnie, nim miał szansę, by na mnie naciskać, zająłem się sprawdzaniem uprząży Demolki, aby mieć pewność, że jest ciasno spięta i nie wyślizgnie się w drodze na dół.

Grawitacja to zdzira.

Przypomniałem sobie uwagę Elli na jej temat. Jakby to było mieć kogoś, kto byłby dla mnie jak grawitacja? Czy takie poczucie bezpieczeństwa byłoby uspokajające? A może dusiłoby? Czy to siła, na której można było polegać, czy raczej się od niej uciekało?

Czy naprawdę istnieli ludzie, którzy pozostawali przy tobie wystarczająco długo, aby uznać ich za godnych zaufania? Jeśli tak, nigdy żadnego nie poznałem. To, dlatego nie zwracałem sobie głowy relacjami. Po co inwestować czas i energię w kogoś, kto i tak w końcu powie ci, że jesteś zbyt skomplikowany i wadliwy, aby z tobą być?

Nawet mój najlepszy przyjaciel Mac został zobowiązany kontraktem do służenia w tym samym oddziale co ja, więc jego przyjaźń miała granice, a ja pilnowałem, by ich nie naruszyć. W głębi duszy wiedziałem, że zniszczy każdego, kto skrzywdzi Ellę.

Dziesięć minut później znaleźliśmy się na ziemi i mogłem myśleć jedynie o grawitacji.

## ROZDZIAŁ 4

ELLA

List #6

*Ello,*

*dziękuję za ciastka. Tak, Twój brat ukradł mi je, gdy byłem pod prysznicem. Myślę, że teraz waży ze sto czterdzieści kilo.*

*Myślałem o tym, co mówiłaś o grawitacji.*

*Nigdy tak naprawdę jej nie czułem – nic mnie nie trzymało w miejscu. Może w niewielkim stopniu, gdy wstąpiłem do wojska, ale tak naprawdę bardziej chodziło o poczucie jedności z chłopakami z oddziału niż o cokolwiek innego. Rozwinęło się, gdy poznałem Twojego brata i wrzucili nas na selekcję. Niestety podobnie jak większość osób i ja go polubiłem. Piszę „niestety”, bo potrafi być prawdziwym wrzodem na zadzie.*

*Dlaczego nazywają mnie Chaosem? To długa, niezbyt pochlebna historia. Obiecuję, że pewnego dnia Ci ją opowiem. Na razie wyznam jedynie, że wzięło się to od bójk w barze, dwóch naprawdę wściekłych ochroniarzy i nieporozumienia pomiędzy Twoim bratem a kobietą, którą wziął za prostytutkę. Nie była nią.*

*Za to była żoną naszego nowego dowódcy. Ups.*

*Może zmuszę go, aby sam Ci o tym opowiedział.*

*W ostatnim liście wspominałaś, że Maisie nie czuje się najlepiej. Czy lekarze postawili diagnozę? Nie potrafię sobie wyobrazić, jak bardzo ta sytuacja jest dla Ciebie trudna. Jak się miewa Colt? Czy zaczął już brać lekcje snowboardu?*

*Muszę kończyć. Zbierają nas, a muszę dołączyć ten list do wysyłki.*

*Na razie,  
Chaos*

---

Jedynymi dźwiękami w szpitalnej sali były wrzeszczące myśli w mojej głowie, które błagały o uwolnienie. Domagały się odpowiedzi, wydzierały się, abym sprowadziła tu wszystkich lekarzy i zmusiła ich, by mnie posłuchali. Wiedząc, że ci z Telluride nie zamierzają po raz kolejny zbadać mojego dziecka, zawiozłam córkę do oddalonego o półtorej godziny większego szpitala w Montose.

Była już prawie północ. Znajdowaliśmy się tu od południa, dzieci szybko zasnęły – Maisie zwinęta w kłębek na za dużym dla niej szpitalnym łóżku, podłączona do kilku badających jej funkcje życiowe maszyn. Dzięki Bogu personel wyłączył to nieustanne pikanie. Wystarczyło mi obserwowanie rytmu bicia jej serca.

Colt wyciągnął się na kanapie z głową na moich kolanach. Oddychał równomiernie. Chociaż Ada zaproponowała, że zabierze go do domu, nie chciał opuścić siostry, która mocno ścisnęła go za rękę. Bliźnięta nie znosiły dłuższej rozłąki. Przeciągnęłam palcami po blond włoskach, niemal tak jasnych jak te Maisie. Fizycznie byli podobni, jednak różniły się ich dusze.

Usłyszałam ciche kliknięcie drzwi, które uchyliły się na tyle, by lekarz wsadził głowę w szczelinę.

– Pani MacKenzie?

Uniosłam palec, a lekarz pokiwał głową. Wycofał się i cicho zamknął drzwi.

Tak ostrożnie jak tylko mogłam, zdjęłam synka z kolan, podsunęłam mu pod głowę miękką poduszkę i okryłam go swoją kurtką.

– Jedziemy? – zapytał, przesuwając się głębiej na sofce.

– Nie, skarbie. Muszę porozmawiać z lekarzem. Zostań tu i pilnuj siostry, dobrze?

Powoli uniół powieki i spojrzał na mnie zaszklonymi, niebieskimi oczami. Wciąż się do końca nie obudził.

– Dam radę.

– Wiem, że tak. – Poglaskałam go po skroni.

Otworzyłam drzwi drżącą ręką, po czym zamknęłam je cicho, by nie obudzić Maisie.

– Pani MacKenzie?

Zerknęłam na plakietkę z nazwiskiem: Doktor Taylor.

– Właściwie nie jestem mężatką.

Lekarz zamrugał, po czym pokiwał głową.

– Oczywiście, przepraszam.

– Czego się państwo dowiedzieli? – Zaciągnęłam poły swetra, jakby wełna mogła stanowić pewnego rodzaju pancerz.

– Przejdźmy na koniec korytarza. Są tu pielęgniarki, więc dzieciom nic nie grozi – zapewnił, prowadząc mnie do przeszklonego pomieszczenia, które przypominało salę konferencyjną.

Czekali w niej dwaj inni lekarze.

Doktor Taylor wskazał, bym usiadła, więc się podporządkowałam. Mężczyźni mieli poważne miny, a kiedy się uśmiechnęli, nie wyglądało to szczerze. Gość po prawej najwyraźniej nie potrafił przestać klikać długopisem.

– Panno MacKenzie – zaczął doktor Taylor. – Zbadaliśmy krew Margaret, ściągnęliśmy nieco płynu z jej biodra, w którym doszukaliśmy się infekcji.



Przesunęłam się na krzesło. Infekcja... nic straszniego.

– Zatem antybiotyki?

– Nie do końca. – Doktor Taylor spojrział w kierunku drzwi, więc powiodłam za nim wzrokiem do kobiety po czterdziestce, która opierała się o futrynę. Cechowała ją klasyczna uroda, ciemną cerę miała równie nieskazitelną co francuskiego koka na głowie. Nagle przypomniałam sobie, że musiałam być rozczochrana, jednak udało mi się utrzymać ręce z dala od mojego już na pewno nieuroczego, luźnego koka.

– Doktor Hughes?

– Przyglądam się. Przejrzałam kartę dziewczynki, gdy przyszłam do pracy.

Doktor Taylor przytaknął, zaczerpnął głęboko tchu i ponownie zwrócił na mnie uwagę.

– Dobra, jeśli ma infekcję biodra, to wyjaśnia ból nogi i gorączkę, prawda? – Złożyłam dłoń na brzuchu.

– To możliwe, jednak znaleźliśmy w jej wynikach pewną anomalię. Ma zatrważająco podwyższoną ilość leukocytów.

– Co to oznacza?

– Cóż, to doktor Branson, ortopeda. Pomoże nam z biodrem pani córki. A to... – Doktor Taylor przełknął ślinę. – Doktor Anderson. Onkolog.

*Onkolog?*

Spojrzałam na starszego lekarza, ale nie potrafiłam nic z siebie wydusić. Nie, dopóki nie wypowiedział słów przypisanych do jego specjalizacji.

– Panno MacKenzie, wyniki badania krwi pani córki mogą wskazywać na białaczkę...

Jego usta się poruszały. Widziałam, że przybierają kształt słów, obserwowałam mimikę jego twarzy, ale nic nie słyszałam. Wydawało mi się, że jak w kreskówce, mówi do mnie poprzez wodę.

A ja tonęłam.

Białaczka. Rak.

– Stop. Chwileczkę. – Uniosłam ręce. – Jakies sześć tygodni temu przynajmniej trzykrotnie byłam u jej pediatry. Powiedział mi, że nic nie znalazł, a wy twierdzicie, że to białaczka? No niemożliwe! Zrobiłam wszystko, co mogłam...

– Zdajemy sobie z tego sprawę. Pani lekarz nie wiedział, czego szukać, a my jeszcze nie mamy pewności, czy to białaczka. Będziemy musieli zrobić biopsję i pobrać szpik, aby to potwierdzić lub wykluczyć.

Który z lekarzy to powiedział? Branson? Nie, on był ortopedą, prawda?

To onkolog, ponieważ moje dziecko musiało przejść badania pod kątem raka. Mała leżała na końcu korytarza i nie miała pojęcia, że ta grupa ludzi skazuje ją na piekło za zbrodnię, której nigdy nie popełniła. Colt... Boże, jak ja mu o tym powiem?

Poczułam, że ktoś ścisnął moją dłoń. Automatycznie uniosłam głowę i zobaczyłam obok siebie doktor Hughes.

– Czy mogę do kogoś zadzwonić? Do ojca Maisie? Do pani rodziny?

Ojciec mojej córki nigdy nie raczył się z nią spotkać.

Moi rodzice nie żyli od czternastu lat.

Ryan był gdzieś po drugiej stronie świata.

Ada i Larry bez wątplenia spali w głównym domu w Samotni.

– Nie. Nie ma nikogo.  
Byłam sama.

\* \* \*

Badania rozpoczęły się z samego rana. Wyjęłam niewielki notes, aby zapisywać, co mówili lekarze o tym, co będą robić mojej córce. Nie potrafiłam zrozumieć tego wszystkiego. A może przytłoczył mnie ogrom sytuacji.

– Kolejne badania? – zapytał Colt, ściskając moją dłoń, gdy pielęgniarka pobierała krew Maisie.

– Tak. – Posłałam mu wymuszony uśmiech, ale nie dał się oszukać.

– Musimy dokładnie sprawdzić, co się dzieje z twoją siostrą, maluchu – powiedział stojący przy łóżku Maisie doktor Anderson.

– Badaliście już jej kości. Czego jeszcze chcecie? – warknął syn.

– Colt, może pójdziesz po lody, co? – poprosiła stojąca w kącie Ada. Przyjechała wczesnym rankiem, zdeterminowana, by nie zostawiać mnie ze wszystkim samej.

Jednak mogłoby w tej sali przebywać kilkanaście znajomych osób, a nadal czułabym się samotnie.

– Chodź, przyniesiemy też twojej siostrze. – Wyciągnęła rękę do Colta, a ja skinęłam mu głową.

– Śmiało. Zostaniemy tu przez dłuższy czas.

Colt spojrział na Maisie, która się uśmiechnęła.

– Truskawkowe.

Przytaknął, poważnie traktując swoją misję, po czym ponownie spojrział gniewnie na doktora Andersona i poszedł za Adą.

Trzymałam córkę za rękę, dopóki nie zakończono pobierania krwi, po czym zwinęłam się przy niej na łóżku i tuląc ją do siebie, włączyłam kreskówki.

– Jestem chora? – Spojrzała na mnie bez strachu czy żalu.

– Tak, kochanie. Chyba tak. Ale jest jeszcze za wcześnie, by się martwić.

Pokiwała głową i skupiła się na bajce na kanale Disney Junior.

– W takim razie dobrze, że jestem w szpitalu. W szpitalach leczą ludzi.

Pocałowałam ją w głowę.

– Tak.

\* \* \*

– To nie jest białaczka – powiedział doktor Anderson, gdy wieczorem stałam z nim na korytarzu.

– Nie? – Poczułam ulgę jak coś namacalnego, jak krew, która w końcu napłynęła do zdrętwiałej kończyny.

– Nie. Jednak jeszcze nie wiemy, co dolega małej.

– To nadal może być rak?

– Tak. Jednak nie znajdujemy niczego konkretnego poza podwyższonym poziomem leukocytów.

– Ale nadal będziecie szukać?

Przytaknął, jednak zniknęła pewność z jego oczu, która gościła w nich, gdy wcześniej mówił o białaczce. Nie miał pojęcia, z czym się mierzyliśmy, najwyraźniej nie chciał się do tego przyznać.

Dzień trzeci i czwarty upłynęły na kolejnych badaniach i coraz mniejszej pewności.

Colt stał się niespokojny, jednak nie chciał opuścić siostry, a ja nie miałam serca, by go stąd odesłać. Bliźniąt w życiu nie rozdzielono na dłużej niż dzień. Nie byłam pewna, czy zdołają przetrwać indywidualnie, gdy cały czas myślały o sobie jako o duecie.

Ada przywoziła czyste ubrania, brała Colta na spacer, informowała mnie o sprawach biznesowych. Dziwne, że przez ostatnie pięć lat Samotnia była moim priorytetem numer trzy zaraz po dzieciach, jednak w tej chwili stała się zupełnie nieważna.

Dni zaczęły mi się zlewać, palce niemal zdrętwiały od wyszukiwania w internecie, odkąd doktor Anderson rzucił słowem na „R”. Oczywiście, że nakazano mi trzymać się z dala od sieci.

Jasne.

Nie pamiętałam połowy rzeczy, które do mnie mówiono. Nieważne jak usilnie starałam się skupić, mój umysł stworzył sobie tarcze ochronne i przepuszczał przez nie tylko tyle, ile potrafił znieść. Poszukiwania w internecie wypełniały więc luki, których pamięć i notatnik nie zdołały.

Piątego dnia ponownie zebraliśmy się w sali konferencyjnej, lecz tym razem siedziała obok mnie Ada.

– Wciąż nie wiemy, co wywołuje stan pani córki. Przebadaliśmy ją pod kątem wszystkich typowych chorób i za każdym razem wyniki są negatywne.

– Dlaczego nie brzmi to jak nic dobrego? – dociekała Ada. – Mówicie, że nie znaleźliście objawów raka, ale przekazuje nam to pan z rozczarowaniem w głosie.

– Ponieważ wszyscy wiemy, że coś jest. Po prostu nie umiem tego znaleźć – odpowiedziałam ostro. – To samo mówił doktor Franklin. Cierpiąca Maisie została odesłana do domu z diagnozą bólu wzrostowego. Nazwano jej stan psychosomatycznym. A teraz państwo twierdzą, że jej krew mówi jedno, kości drugie, a wy nie macie na to pomysłów.

Mężczyźni mieli na tyle przyzwoitości, by wyglądać na zawstydzonych. I dobrze. Uczyli się przez tak wiele lat, aby móc zadziałać w takiej chwili, a ponosili porażkę.

– To co zamierzacie zrobić? Bo musi istnieć jakaś procedura. Nie możecie odesłać mojej córki do domu.

Doktor Anderson otworzył usta i po wyrazie jego twarzy poznałam, że zamierzał przedstawić mi kolejną wymówkę.

– O nie – warknęłam, nim zdołał wypowiedzieć choć słowo. – Nie wyjdziemy, dopóki nie postawicie diagnozy. Rozumiecie? Nie umyjecie od tego rąk. Nie potraktujecie jej jak zagadki nie do rozwiązania. Nie studiowałam medycyny, ale wyraźnie widzę, że jest chora. Jej krew o tym mówi. Biodro to podpowiada. Wy studiowaliście, więc musicie coś wymyślić. Natychmiast.

Zapadła cisza i nie dostałam już żadnej wymówki.

– Panno MacKenzie. – Weszła doktor Hughes, zajęła miejsce obok doktora Andersona. – Bardzo mi przykro, że mnie tu nie było, ale dzielę swój zawodowy czas pomiędzy tym szpitalem a dziecięcym w Denver i wróciłam dopiero dziś rano. Widziałam wyniki badań pani córki i myślę, że musimy sprawdzić jeszcze jedną rzecz. To niesamowicie rzadka choroba, zwłaszcza u dzieci w tym wieku. A jeśli to jest to, co podejrzewam, musimy się spieszyć. – Podsunęła mi podkładkę z kolejną zgodą. – Potrzebuję tylko podpisu.

– Proszę działać. – Nakreśliłam nazwisko, a choć poruszałam ręką, nie był to mój świadomy wysiłek. W tej chwili wydawało mi się, że nie mam już na nic wpływu.

Dwie godziny później doktor Hughes pojawiła się w drzwiach sali Maisie, więc wyszłam na korytarz, pozostawiając dzieci z Harrym Potterem lecącym w telewizji.

– Co państwo znaleźliście?

– To neuroblastoma.

\* \* \*

Ada prowadziła mój samochód, Colt siedział przypięty w foteliku za nią, gdy przemierzaliśmy I-70 w kierunku Denver. Nigdy nie siedziałam w karetce, nawet wtedy, gdy jechałam rodzic bliźnięta. W tej chwili moja pierwsza podróż ambulansem trwała aż pięć godzin.

Natychmiast skierowano Maisie na oddział onkologii dziecięcej do szpitala w Denver, na którego ścianach nie namalowano wystarczającej ilości postaci z kreskówek, aby poprawić mi nastrój.

Szłam z Coltem za rękę, gdy wieźli Maisie na noszach. Dzieci przyglądały się przez okienka w drzwiach lub przebiegały korytarzem, niektóre miały łyse głowy. Były też maluchy poprzebierane za superbohaterów, księżniczki, zobaczyłam także bardzo czarującego Charliego Chaplina. Matka z kubkiem kawy posłała mi niepewny, współczujący uśmiech.

Mieliśmy Halloween. Jak mogłam o tym zapomnieć? Dzieciaki uwielbiały to święto, a żadne z nich nie pisnęło mi ani słówkiem. Nie domagały się kostiumów, słodczy, miały jedynie szpitale i badania, a ich matka nie wiedziała nawet, jaki dziś jest dzień.

Ale nie chciałam tu przebywać. Nie chciałam, by to wszystko się działo.

Jednak nie mieliśmy wyjścia.

Pielęgniarka, która wwozła Maisie do sali upewniła się, czy mamy wszystko, czego nam trzeba, wliczając w to pościel, byśmy mogli przespać się z Coltem na rozkładanej kanapie.

– Macie kostiumy? – zapytała, zbyt wesołowato, by ją lubić i zbyt mile, by tego nie robić.

– Zapomniałam, że dziś Halloween. – Czy to był w ogóle mój głos? Taki cichy i zbolący? – Przepraszam, skarby – zwróciłam się do bliźnięt, które patrzyły na mnie z mieszaniną ekscytacji i rozczarowania na twarzach. – Zapomniałam ich z domu.

Kolejny zawód z mojej strony.

– Spokojnie, ja je mam – wzięła się Ada, rzucając torbę na sofę. – Nie byłam pewna, jak długo tu zostaniemy, więc wzięłam wszystko, co przyszło mi do głowy. Colt, jak zwykle jesteś

żołnierzem, prawda? – Podała mu zapakowany w worek kostium, który kilka tygodni temu kupiłam w sieci.

– Tak! Jak wujek Ryan.

– A Maisie jest naszym małym aniołkiem. Chcesz to włożyć, czy wolisz poczekać? – dociekała.

– Mogą się przebrać. O siedemnastej organizujemy zbieranie łakoci, więc lepiej, by były przygotowane – oznajmiła pielęgniarka. Nie pamiętałam, jak miała na imię. Ledwie wiedziałam, jak sama się nazywam.

Skinęłam w podziękowaniu głową, gdy dzieci otworzyły opakowania z kostiumami. Zwykła sprawa w niezwykłych okolicznościach.

Ada mnie objęła i przytuliła do siebie.

– Wydaje mi się, że to bardziej psikus niż cukierek – powiedziałam cicho, aby dzieci mnie nie słyszały. Chichotały, przebierając się, wymieniając się elementami strojów, przez co Maisie założyła kevlarowy hełm, a Colt srebrną, błyszczącą aureolę.

– Nadejdą trudne dni – zgodziła się Ada. – Ale masz tutaj wojowników. Maisie się nie podda, Colt z pewnością jej na to nie pozwoli.

– Dziękuję za kostiumy. Nie wierzę, że zapomniałam. I za całą pracę w Samotni, przygotowania do sezonu i...

– Przestań. Zajmowałam się tobą, odkąd przyjechałaś do naszego pensjonatu. Zawsze byłeś ty i Ryan, Ruth, Larry i ja. Twoja babcia była silna, ale wiedziała, że potrzeba nas wszystkich, by zająć się wami po śmierci waszych rodziców. Nie martw się o pensjonat. Larry nad wszystkim panuje. A jeśli chodzi o kostiumy, masz większe zmartwienia na tej swojej ślicznej główce. Pozwól mi się na coś przydać i pamiętać o maluchach.

\* \* \*

Jest tak wiele badań, w tym tomografia komputerowa. Miałam chaos w głowie, gdy Maisie trafiła na stół operacyjny. Powiedzieli, że to mały guz, jednak to, co znaleźli w jej lewym nadnerczu i nerce, wcale takie nie było.

Kolejna sala konferencyjna, jednak nie mogłam usiedzieć na miejscu. Przyjmowałam wszystkie informacje na stojąco. Kropka.

– Panno MacKenzie – zwróciła się do mnie doktor Hughes, gdy wprowadziła do sali całą ekipę lekarzy. Cieszyłam się z powodu jej układu z Montrose, przez co mogła tu pracować, bo była dla mnie jedyną znaną już osobą.

– No i?

– Wykonaliśmy biopsję zarówno guza, jak i szpiku kostnego.

– To dobrze. – Skrzyżowałam ręce na piersi, starając się nie rozpaść.

– Bardzo mi przykro, ale rak pani córki jest w bardzo zaawansowanym i złośliwym stadium. W większości przypadków neuroblastomy objawy pojawiają się znacznie wcześniej, jednak choroba Maisie rozwijała się podstępnie, długo nie dając widocznych oznak. Prawdopodobnie pozostawała niezauważona od lat.

*Lata.* Od lat w moim dziecku rósł potwór.

– Co próbuje mi pani powiedzieć?

Doktor Hughes obeszła stół, wzięła mnie za rękę, przy czym zrozumiałam, że kołysałam się na piętach, jakbym trzymała na rękach rozwrzeszczane niemowlęta.

– Maisie ma nerwiaka zarodkowego w czwartym stadium. Zajął ponad dziewięćdziesiąt procent jej szpiku kostnego.

Wpatrywałam się w jej brązowe oczy, wiedząc, że zaraz stracę z nią kontakt wzrokowy i ponownie zacznę tonąć. Już wydawało się, że ściany zaczynają się wokół mnie zamykać, pozostali lekarze zniknęli z pola mojego widzenia.

– Dziewięćdziesiąt procent? – zapytałam ledwie słyszalnym szeptem.

– Obawiam się, że tak.

Przełknęłam ślinę i skupiłam się na oddychaniu, starając się odnaleźć w sobie na tyle odwagi, aby zadać oczywiste pytanie. To, którego nie byłam w stanie wydusić, bo kiedy uzyskam na nie odpowiedź, wszystko się zmieni.

– Pani Ello? – zagadnęła doktor Hughes.

– Jakie ma rokowania? Co zrobimy?

– Zaatakujemy natychmiastowo i bezlitośnie. Zaczniemy od chemioterapii i pójdziemy naprzód. Będziemy walczyć. Ona będzie walczyć, a kiedy walka ją zmęczy, pani będzie musiała walczyć o nią, bo to wojna totalna.

– Jakie ma szanse?

– Nie wiem, czy chce pani...

– Jakie ma szanse?! – krzyknęłam ostatkiem sił.

Doktor Hughes milczała przez chwilę, ściskając moją rękę.

– Dziesięć procent na przeżycie.

Krew tętniła mi w uszach, ale musiałam się skupić na każdym słowie lekarki. Potrzebowałam szczegółowych informacji.

– Na dziesięć procent z tego wyjdzie? – powtórzyłam, bo musiała mi powiedzieć, że się przesłyszałam.

– Nie, ma dziesięć procent szans, że przeżyje rok.

Kolana się pode mną ugięły i oparłam się plecami o ścianę. Usłyszałam szelest papieru, gdy zgniotłam to, cokolwiek się tam znajdowało. Wylądowałam na podłodze, mogąc skupić się jedynie na oddychaniu. Ktoś coś mówił i słyszałam głos, ale nie rozumiałam słów.

W moim umyśle echem odbijał się komunikat: „Dziesięć procent szans”.

Córka miała dziesięć procent szans na to, że przeżyje rok.

Co oznaczało, że miała dziewięćdziesiąt procent szans na to, że umrze, że te anielskie skrzydełka staną się prawdziwe.

*Skup się na tych dziesięciu.* Dziesięć to lepiej niż dziewięć.

Dziesięć to wszystko.

\* \* \*

Wzięłam się w garść. Chemioterapia. Kaniula centralna. Wizyty w szpitalach w Montrose i Denver. Rak złośliwy wymagający agresywnego planu walki. Segregator z wynikami badań,

notatnik z bazgrołami. Kalendarz, aplikacja w komórce, poszukiwania w sieci – wszystko to stało się moją nową rzeczywistością. Moje życie tak bardzo zmieniło się w ciągu tych pierwszych kilku dni.

Ja się zmieniałam.

Jakby moja dusza stanęła w ogniu, bo czułam palenie w piersi – determinację, która przyćmiewała wszystko inne. Moja córka nie mogła umrzeć.

Colt nie mógł stracić siostry.

To nie zniszczy mnie ani mojej rodziny. Utrzymanie jej stanowiło cel numer dwa na liście priorytetów, zaraz po wyleczeniu Maisie.

Nie płakałam. Nie, kiedy pisałam do Ryana i Chaosu. Nie, kiedy powiedziałam Coltowi, jak bardzo chora jest jego siostra. Nie, kiedy Maisie zaczęła wymiotować po pierwszej turze chemii ani miesiąc później po drugiej. Nie, kiedy piękne blond włosy zaczęły wypadać jej garściami w dzień jej szóstych urodzin. Niemal straciłam nad sobą panowanie, gdy Colt poszedł z Larrym do fryzjera i wrócił z zupełnie łysą głową – jaką miała teraz jego siostra – jednak udało mi się uśmiechnąć. Chciał z nią być w dzień ich urodzin, a chociaż ja pragnęłam oszczędzić mu widoku tego, co miała musiała przejść podczas chemii, byłam niesamowicie wdzięczna, mając przy sobie ich oboje, bo nie musiałam się martwić o jedno, gdy zajmowałam się drugim.

Nie pękłam... aż do sylwestra.

To wtedy wojsko zapukało do moich drzwi, jednym zdaniem krusząc moją stabilną fasadę: „Z przykrością informujemy, że pani brat starszy sierżant Ryan MacKenzie zginął na polu walki”. Ze względu na tajny charakter jego oddziału, tylko tyle zdołali mi powiedzieć. Szczegóły – gdzie przebywał, co się stało, kto mu towarzyszył – utajniono.

Kiedy przestały przychodzić listy od Chaosu, przynajmniej dostałam odpowiedź na jedno pytanie.

Obaj nie żyli.

Więc się załamalam.

**CZTERY MIESIĄCE PÓŹNIEJ...**



## ROZDZIAŁ 5

BECKETT

List #6

*Beck,*

*jeśli to czytasz, cóż... wiesz, jak to jest z listami pożegnalnymi. Przeżyłeś. Ja nie. Daj sobie jednak spokój z wyrzutami sumienia, bo wiem, że gdyby istniała jakakolwiek szansa na to, abyś mnie uratował, na pewno byś to zrobił. Zatem wyłaź z głębokiej, ciemnej dziury wyrzutów sumienia, w której się właśnie pogrążasz.*

*Chcę jednak, żebyś wyświadczył mi pewną przysługę – jedź do Telluride. Wiem, że Twój kontrakt kończy się razem z moim. Skorzystaj z wolnego.*

*Ella jest sama. Cóż, niezupełnie jak wcześniej, ale teraz naprawdę została osamotniona. Nie żyją rodzice, babcia, a teraz i ja. Zbyt wiele nieszczęść, jak na jedną osobę. To po prostu niesprawiedliwe.*

*Ale jest jeszcze coś – Maisie jest chora. Ma dopiero sześć lat, Beck, a może umrzeć.*

*Zatem jeśli nie żyję, nie mogę jechać do domu w styczniu, jak planowałem. Nie mogę jej wesprzeć. Nie mogę pomóc Elli przejść przez to wszystko ani grać w piłkę z siostrzeńcem, ani trzymać siostrzenicy za rękę. Ale ty możesz. Zatem błagam Cię, przyjacielu, zaopiekuj się moją siostrą, moją rodziną. Zrób wszystko, co w Twojej mocy dla małej Maisie.*

*Wiem, że nie powinienem Cię o to prosić. To wbrew Twojej naturze, by się opiekować, a nie jechać na kolejną misję, ale bardzo tego od Ciebie potrzebuję. Potrzebuję tego Maisie i Colt. A także Ella. Ona Cię potrzebuje, chociaż prędzej Cię pobije, niż się do tego przyzna. Pomóż jej, nawet jeśli będzie się zarzekała, że sama sobie poradzi.*

*Nie pozwól, aby samotnie musiała zmagać się ze wszystkimi kłopotami.*

*Zajmę Ci miejsce po drugiej stronie, bracie, ale nie spiesz się do mnie. Wykorzystaj każdą sekundę. Jesteś jedynym bratem, jakiego chciałem mieć, moim najlepszym przyjacielem. I w razie, gdyby nikt nigdy Ci tego nie powiedział: jesteś wart miłości, rodziny, domu.*

*Kiedy więc będziesz tego szukał, zacznij od Telluride. Zagość tam przynajmniej na dłuższą chwilę.*

Ryan

---

**N**a horyzoncie wznosiły się niewiarygodnie wysokie góry, biorąc pod uwagę to, że znajdowałem się już na ponad dwóch i pół tysiącach metrów nad poziomem morza. Oczywiście powietrze wydawało się rzadsze, lecz w jakiś sposób łatwiej mi się oddychało.

Demolka oparła łeb na skórzanej konsoli między fotelami, gdy przemierzałem pick-upem centrum Telluride. Idealny widok dla malarza Normana Rockwella. Ceglane i tynkowane fronty sklepów, rodziny spacerujące z dziećmi. Nie całkiem turystyczny kurort, jakiego się spodziewałem.

Wyglądało bardziej na małą miejscinę.

Ta konkretna stanowiła dom Ryana, nie mój.

Mac został w niej pochowany, przynajmniej tak właśnie mi powiedziano. Posłali na pogrzeb jedynie kapitana Donahue i kilku innych. Mnie zatrzymano na misji, byłem zbyt cenny, by otrzymać przepustkę.

Znałem jednak prawdę – nie chodziło o mnie, a przynajmniej nie w stanie, w jakim wtedy byłem. Chodziło o Demolkę. Wojsko jej potrzebowało, a słuchała jedynie mnie. Pogłaskałem ją po głowie, obiecując w duchu, że od teraz będzie wiodła spokojny żywot. Że odpocznie, kiedy tylko rozwiążemy kontrakt.

A ja? Żyłem w piekle, które sam sobie stworzyłem. Takim, na które całkowicie zasługiwałem.

Przed wyjazdem z miasta zatrzymałem się na stacji benzynowej, by zatankować. Wprowadziłem w nawigacji adres Samotni.

Jakże odpowiednia nazwa. *Samotność*.

Byłem sam.

Ella była sama.

I tak pozostanie, bo nigdy nie będziemy razem. Zadbalem o to, gdy przestałem do niej pisać w dniu śmierci jej brata.

Niemniej postanowiłem przyjechać. Dla Ryana. Dla Elli. Ale nie dla siebie. Myślenie, że to dla mnie sugerowałyby, że istniało odkupienie, na jakie zasługiwałem.

A niczego takiego nie było. Przez to, co robiłem, nie zasługiwałem na rozgrzeszenie.

Zacisnąłem dłonie na kierownicy, przemierzając podjazd. Skręciłem i zobaczyłem przekrzywioną na słupku skrzynkę pocztową. Ile razy ją otwierała, spodziewając się listu ode mnie? Ile razy go zastawała i jak często się przy tym uśmiechnęła? Dwadzieścia cztery.

Ile razy wróciła z pustymi rękami? Czy zastanawiała się, co się ze mną stało? Może myślała, że zginąłem z Ryanem. Być może tak było lepiej.

Nie byłem pewien, czy chcę wiedzieć.

Przemierzyłem asfaltowy podjazd obsadzony pączkującymi osikami. Ryan stwierdziłby, że należy pojawiać się tu wiosną, gdy wszystko ponownie się odradza, ale to tylko stek bzdur.

Dla mnie nie było żadnego odrodzenia. Żadnego nowego początku. Nie przyjechałem, by rozpoczynać nowe życie, a żeby pomóc Elli, jeśli umrze Maisie. Jeśli w ogóle mnie do siebie dopuści.

W głębi duszy pojawiło się znajome uczucie, redukując mnie do małego, chudego, spokojnego dzieciaka, którym byłem dwadzieścia lat temu, a który jechał właśnie do nowej rodziny, mając nadzieję, że ta nie znajdzie powodu, by uczynić go niebawem problemem kogoś innego. Mając nadzieję, że nie będzie musiał pakować swoich rzeczy do następnego worka na śmieci, gdy przypadkowo rozbije talerz albo złamie zasadę, o której istnieniu nawet nie wiedział, po czym zostanie oznaczony jako „sprawiający problemy wychowawcze” i umieszczony w następnym, jeszcze bardziej surowym domu.

Tym razem przynajmniej wiedziałem, jakie zasady złamałem i byłem świadomy, że mój czas w tym miejscu kiedyś się skończy.

Zatrzymałem się na półokrągłym podjeździe przy głównym domu, identycznym jak ten, który widziałem w sieci. Spojrzałem na wielki, drewniany, stylizowany na nowocześnie rustykalny budynek – jeśli w ogóle istniało coś takiego – który w pewien sposób do mnie przemówił. Przypomniał o czasach, gdy mężczyźni ścinali drzewa, aby na pustkowiach wznosić domy dla swoich kobiet.

Kiedy budowali, zamiast niszczyć.

Wysiadłem i czekałem na Demolkę, nim zamknąłem drzwi.

Tupnąłem piętą, więc do mnie podeszła. Weszliśmy schodami na szeroki ganek, na którym znajdowały się bujane fotele i huśtawka. Donice ustawione wzdłuż balustrady zostały oczyszczone, czekały na obsadzenie.

Oto miałem poznać Ellę.

Co niby powinienem jej powiedzieć? *Hej, przepraszam, że przestałem pisać, ale spójrzmy prawdzie w oczy, niszczę wszystko, czego się tknę i nie chcę, by i ciebie to spotkało? Moje kondolencje z powodu śmierci Ryana? Przykro mi, że to nie byłem ja? Twój brat przysłał mnie, bym cię popilnował, więc gdybyś mogła udawać, że mnie nie nienawidzisz, byłoby naprawdę cudownie? Przepraszam, że cię wystawiłem? Że nie byłem w stanie przeczytać żadnego twojego listu, który przyszedł po jego śmierci? Przepraszam za tak wiele rzeczy, że nie jestem w stanie ich wszystkich wymienić?*

Gdybym powiedział coś takiego, gdyby Ella dowiedziała się, kim naprawdę jestem – i dlaczego przestałem do niej pisać – nigdy nie pozwoliłaby mi sobie pomóc. Kopnęłaby mnie w tyłek i wyrzuciła na zbity pysk. Przyznała w którymś z listów, że nie daje drugiej szansy tym, którzy skrzywdzili jej bliskich, za co nie mogłem jej winić. Ironia, że aby wypełnić ostatnie życzenie Ryana i jej pomóc, musiałem zrobić to, czego nienawidziła najbardziej – skłamać... a przynajmniej zataić prawdę.

*Dodać to do stale rosnącej listy moich grzechów.*

– Zamierza pan wejść? A może przyjechał pan tak tu sobie postać?

Odwróciłem się i zobaczyłem, że zmierza ku mnie mężczyzna po sześćdziesiątce z szalonymi brwiami. Otarł ręce o dzinsy i podał mi dłoń.

Wymieniliśmy mocny uścisk. To musiał być Larry.

– Nasz nowy gość?

Przytaknąłem.

– Beckett Gentry.

– Larry Fischer. Dozorca Samotni. – Pochylił się nad Demolką, ale jej nie dotknął. – A to kto?

– Demolka. Emerytowany pies wojskowy.

– Jesteś jej przewodnikiem? – Wyprostował się, nadal jej nie głaszcząc, za co natychmiast go polubiłem. Ludzie rzadko szanowali jej przestrzeń osobistą... tak samo jak moją.

– Byłem. Teraz zostałem właścicielem.

Zmrużył nieco oczy, jakby próbował się doszukać czegoś w mojej twarzy. Po dłuższej chwili ciszy, która zakrawała na lustrację, pokiwał głową.

– Dobra. Zameldujmy was.

Usłyszałem dzwoneczek nad drzwiami, gdy weszliśmy do nieskazitelnego holu. Wnętrze było ciepłe, ściany pomalowano na delikatne kolory, co zdawało się specjalnie zaprojektowane tak, aby dodać nowoczesnego wyglądu tej wiejskiej chacie.

Tak, przez ostatni miesiąc zbyt często oglądałem HGTV. Głupie poczekalnie.

– O, zapewne pan Gentry! – zawołała z recepcji radosnym głosikiem około dwudziestoletnia kobieta z szerokim uśmiechem, brązowymi oczami i podobnymi włosami. Wymuskana, ale ładna. *Hailey*.

– Skąd pani wie? – Ostrożnie wyjąłem portfel, aby list nie wypadł mi z kieszeni.

Zamrugła gwałtownie, nim opuściła spojrzenie.

*Szlag*. Teraz, gdy byłem cywilem – cóż, prawie cywilem – musiałem popracować nad złagodzeniem swojego tonu.

– Tylko pan miał się dziś zameldować. – Poklikała na klawiaturze.

Będę musiał sprawdzić, czy Ella zorientuje się, kim naprawdę jestem, a jeśli tak, znajdę inny sposób, aby jej pomóc, żeby nie oskarżyła mnie przy tym o prześladowanie. Ryan niewątpliwie by się ze mną zgodził, chociaż na pewno by się nie ucieszył, gdybym nie zdołał jej pomóc.

– Jakież preferencje w sprawie domku? Sezon się kończy, więc mamy sporo wolnych.

– Będzie dobry, jakikolwiek mi pani da.

– Na pewno? Zarezerwował go pan na... wow! Siedem miesięcy. Czy to się zgadza? – Klikała pospiesznie, jakby uznała to za błąd.

– Tak. – Nigdy w życiu nie zostałem w jednym miejscu na siedem miesięcy, ale właśnie za tyle minie rok od diagnozy Maisie, więc wydało mi się rozsądnym, aby właśnie na taki czas zarezerwować tu domek. Nie zamierzałem kupować tu własnej nieruchomości ani nic z tych rzeczy.

Patrzyła na mnie, jakbym winien był jej wyjaśnienie.

Ależ to niezręczne.

– Mógłbym dostać mapę? – poprosiłem.

– Jasne. Przepraszam. Nigdy nie mieliśmy gościa na tak długo. Zaskoczył mnie pan.

– Oczywiście.

– Nie taniej wyszłoby panu kupić mieszkanie? – zapytała cicho. – Nie sugeruję, że nie zdoła pan zapłacić... Cholera, Ella mnie zabije, jeśli się dowie, że obrażam gości – wymamrotała pod nosem.

Położyłem na ladzie kartę debetową, mając nadzieję, że to przyspieszy proces meldunku.

– Proszę ściągnąć całą kwotę. Przy wymeldowaniu pokryję ewentualne koszty strat. I tak, prawdopodobnie jakieś będą. – Miała dostać jedynie takie wyjaśnienie.

Po transakcji na niedorzeczną kwotę schowałem portfel, dziękując młodszemu sobie, że byłem biednym dzieciakiem, który postanowił oszczędzać, aby już nigdy więcej nie chodzić głodnym. Nie byłem już ani mały, ani biedny, ale nadal nigdy nie wiedziałem, gdzie przypadnie mi zjeść kolejny posiłek.

– Czy to... pies? – zapytała starsza kobieta łagodnym, choć pełnym niedowierzania głosem.

– Tak, proszę pani. – Wydawała się być w podobnym wieku do Larry’ego, więc przypuszczałem, że to Ada. Dopadło mnie przedziwne wrażenie, że wchodzę do reality show, które do tej pory tylko oglądałem. Z listów Elli wiedziałem, kim oni wszyscy są, chociaż mnie mieli za zupełnie obcą osobę.

– Nie przyjmujemy psów. – Wpatrywała się w Demolkę, jakby skakały po niej pchły i miała je wszędzie rozsiać.

Szlag. Jeśli ją odeśle, też tu nie zostanę.

– Będzie tam, gdzie ja. – Z moich ust padła standardowa odpowiedź, nim zdołałem to w ogóle przemyśleć.

Ada popatrzyła na mnie groźnie w sposób, w który musiała karcić Ellę, gdy ta była młodsza. Zacisnąłem na chwilę usta i spróbowałem raz jeszcze:

– Dokonując rezerwacji, nie byłem świadomy tych warunków. Przepraszam.

– Zapłacił do listopada! – rzuciła zza biurka recepcji Hailey.

– Do listopada? – Adzie opadła szczęka.

– Nie przejmuj się, kochanie. – Lary podszedł do żony i objął ją w talii. – To pies wojskowy. Nie zniszczy dywanu ani niczego innego.

– Emerytowany – poprawiłem, gdy Demolka siedziała idealnie nieruchomo, oceniając nastrój w pomieszczeniu.

– Dlaczego trafiła na emeryturę? Jest agresywna? Mamy tu małe dzieci, nie możemy narazić żadnego na pogryzienie. – Załamała ręce, a właściwie zaczęła je sobie wykręcać. Wyraźnie było widać jej ambiwalentne uczucia. Zapłaciłem za siedem miesięcy, z których większość była poza sezonem. Stanowiłem dla nich dobre źródło dochodu.

– Przeszła na emeryturę wraz ze mną, bo nie słucha nikogo innego. – Byłem jej przewodnikiem przez sześć lat i nie wyobrażałem sobie życia bez niej, więc dobrze się złożyło. – Gryzie jedynie na moją komendę lub w mojej obronie. Nigdy nie nasikała na dywan i nie zaatakowała dziecka. To mogę przyrzec.

To nie ona była zabójcą dzieci w tym pomieszczeniu.

Ale ja.

– Będzie grzeczna, Ado – powiedział Larry, po czym szepnął żonie coś na ucho, co sprawiło, że uważniej przyjrzała się mojej suczce, marszcząc czoło. Małżeństwo odbyło bezsłowną rozmowę, pełną unoszenia brwi i kiwania głowami.

– No dobra. Ale sam będzie musiał pan ją karmić. Hailey, umieść pana w chacie Aspen. I tak w przyszłym roku mieliśmy wymienić tam dywan. Witamy w Samotni, panie...

– Gentry – przedstawiłem się, lekko kiwając głową, pamiętając o posłaniu jej wymuszonego uśmiechu, który, jak miałem nadzieję, nie wyglądał jak grymas. – Beckett

Gentry.

– Cóż, panie Gentry, śniadanie podajemy pomiędzy siódmą a dziewiątą, kolację również możemy zorganizować, ale w kwestii lunchu jest pan zdany na siebie, tak jak...

– Demolka.

– Demolka – powtórzyła, a jej twarz złagodniała, gdy suczka słysząc swoje imię, przechyliła łeb na bok. – Dobrze. Larry, może pokażesz naszemu gościowi domek?

Larry gwizdnął i wyszliśmy.

– O włos.

– Najwyraźniej – zgodziłem się, otwierając drzwi pick-upa. Demolka natychmiast wskoczyła do środka.

– Wow. Skoczna.

– Powinien zobaczyć ją pan na ścianie. Jest niesamowita.

– Labrador? Myślałem, że to psy pasterskie. Wydają się za miękkie do tej roboty.

– Och, może mi pan wierzyć, potrafi nie tylko szczekać, ale i gryźć.

Chwilę później jechałem wąską, brukowaną drogą, która wiała się przez większą część terenu pensjonatu. Chata Aspen znajdowała się po zachodniej stronie, niedaleko niewielkiego jeziora. Demolka będzie w raju. Rozejrzałem się i przekonałem, że między domkami były całe ary terenu, aby zapewnić odwiedzającym to, od czego biznes wziął nazwę – samotność.

Wspięliśmy się po schodkach, otworzyłem drzwi kluczem. Żadnych elektronicznych kart, co pasowało do domków, gór, odosobnienia. Larry pomachał mi z jeepa, po czym odjechał, zostawiając mnie, abym rozgościł się w moim nowym tymczasowym domu.

– To nie jest prosta chata – powiedziałem suczce, stając w przedpokoju z drewnianą podłogą oraz siedziskiem, pod którym trzymało się buty w koszu. Po lewej znajdował się składzik bez wątpienia na sprzęt narciarski, po prawej niewielka łazienka.

Ściany pomalowano na te same łagodne kolory co hol w głównym budynku, podłogi pozostawiono ciemne, wyłożono je czystymi chodnikami. Dalej na prawo znajdowała się kuchnia z jasnymi szafkami i ciemnymi, granitowymi blatami oraz urządzeniami ze stali nierdzewnej.

– Przynajmniej możemy gotować – powiedziałem Demolce, zerkając na jadalnię dla ośmiu osób.

Następnie spojrzałem na salon i opadła mi szczęka.

Był wysoki aż pod dach, zaprojektowany w literę „A”. Wielkie okna wpuszczały popołudniowe promienie słońca, które przesączały się przez korony drzew i odbijały od tafli jeziora. Na horyzoncie majaczyły góry, ich szczyty znaczył śnieg.

Gdybym kiedykolwiek miał wyobrazić sobie miejsce, w którym mógłbym się osiedlić, wyglądałoby dokładnie jak to.

Nigdy wcześniej nie widziałem niczego tak pięknego.

– Puk, puk! – powiedziała słodkim głosem stojąca na progu kobieta. – Mogę wejść?

– Jasne – zawołałem, czekając w prowadzącym do wejścia korytarzu.

– Przepraszam – powiedziała, zamykając drzwi.

Serce mało nie wyskoczyło mi z piersi. *Ella*.

Jednak nie, to ona była najpiękniejszym, co w życiu widziałem.

Twarz miała szczuplejszą niż na zdjęciu, które dostałem, oczy bardziej podkrążone, ale była piękna. Włosy zebrała na czubku głowy w węzeł. Miała na sobie niebieską koszulkę z długimi rękawami – tak samo błękitną jak jej oczy – a na niej granatową kamizelkę. Dżinsy otulały jej idealne ciało, ale widać było, że schudła, odkąd... zaczęły się jej kłopoty. Niezbyt o siebie dbała.

Uśmiech kobiety nie wydawał się szczery. Uświadomiłem sobie, że coś do mnie mówiła.

– Cześć, jestem Ella MacKenzie, właścicielka Samotni. Słyszałam, że Hailey umieściła cię w tej chacie, ale mamy tu problem z kuchenką, o którym zapomniała, więc chciałam zaproponować ci inny domek, jeśli nie życzysz sobie jutro wizyty ekipy, która ją naprawi.

Minęła dłuższa, niezręczna chwila, gdy zorientowałem się, że muszę jakoś zareagować.

– To żaden kłopot. I tak jutro przez większość dnia mnie nie będzie. Nie zdołają mi w niczym przeszkodzić. Albo mogę sam rzucić okiem na tę kuchenkę.

– Nie śmiałybym o to prosić. – Zbyła mnie gestem i rozejrzała się pospiesznie. – Czy wszystko inne w domku jest w porządku?

– Tak. Jest piękny.

Pokiwała głową, patrząc na jezioro, nie wiedząc, że się w nią wgapiam.

– To mój ulubiony.

Demolka się do mnie przysunęła, ściągając na siebie uwagę Elli.

– A ty co myślisz o domku?

Demolka przechyliła głowę na bok, wpatrując się w Ellę. Pierwsze wrażenie było dla niej bardzo ważne, jeśli nie polubi kobiety na samym początku, później się to nie zmieni.

– Mogę? – zapytała Ella, patrząc na mnie.

Pokiwałem tępo głową, jakbym był zadurzonym gimnazjalistą, zamkniętym w pokoju z dziewczyną. Jak niby miałem ją okłamać? Ukryć swoją tożsamość. Jakim cudem zabrnąłem tak daleko bez jakiegokolwiek planu?

Podrapała Demolkę za uszami, czym natychmiast podbiła jej serce.

– Nie przeszkadza ci pies? Nie przeczytałem warunków pobytu przed dokonaniem rezerwacji – powiedziałem ochryple, bo gardło mi się ścisnęło od wszystkiego, co chciałem – musiałem – jej powiedzieć.

Ella utrzymywała mnie przy życiu.

Stała się moją grawitacją, gdy wszystko szlag trafił.

Otworzyła okno i pokazała mi, że inne życie jest możliwe.

Zniszczyłem jej świat i ją porzuciłem, o czym nie miała zielonego pojęcia.

Byłem dla niej zupełnie obcy.

– Wcale. Słyszałam, że to pies wojskowy. – Ponownie ją pogłaskała i wyprostowała się. Stojąc, sięgała mi do obojczyka. Zawsze byłem wysoki, ale ona wydawała się taka maleńka, więc poczułem się olbrzymem, jakbym był w stanie zasłonić ją własnym ciałem przed burzą... którą sam wywołałem.

– To emerytowany pies wojskowy.

– Och. – Przez jej twarz przemknął cień, ale zamrugnęła i powrócił jej sztuczny uśmiech. – Cóż, kiedy mój syn dowie się, że mamy tu psiaka, może cię odwiedzić. Marudził, bym kupiła mu pupila, ale teraz... Cóż, nie ma o tym mowy, nie miałabym czasu szkolić szczeniaka.

*Colt.* Niecierpliwie się, by w końcu go poznać.

– Potrafią narobić kłopotu – przyznałem, głaszcząc Demolkę po szyi.

– Byłeś... jesteś jej przewodnikiem? – zapytała Ella, uważnie wpatrując się w moją twarz.

Boże, bez końca mógłbym patrzeć w te oczy. *Jak Maisie? W jakim jest stanie? Czy guz się zmniejsza? Czy da się go zoperować?*

– Byłem i jestem. Służyliśmy razem, a teraz... właściwie zwolniliśmy się z wojska. Jednak dopiero za dwa miesiące dostaniemy na to potwierdzenie. Oboje staramy się przywyknąć do życia w cywilu i obiecuję, że żadne z nas nie nasika na dywan.

Uśmiech, który odmalował się na jej twarzy, był przelotny, aczkolwiek prawdziwy.

Chciałem, by wrócił. Pragnąłem widywać go każdego dnia. W każdej chwili.

– Zapamiętam. Zatem przypuszczam, że była szkolona do wyszukiwania materiałów wybuchowych. Byłeś saperem?

Oto chwila, która miała zaważyć na celu mojego pobytu w tym miejscu. Wesołość przygaśnie, kobieta bez wątpienia wymierzy mi zasłużony policzek.

– Była trenowana w zakresie wyszukiwania materiałów wybuchowych i ludzi. Jest agresywna jedynie na komendę, a uwielbia każdego, kto będzie rzucał jej ulubioną zabawkę.

– Materiały wybuchowe i ludzie? To rzadkość, prawda? – Zmarszczyła czoło, jakby starała się coś sobie przypomnieć.

– Przeważnie tak, ale Demolka była psem do zadań specjalnych i to najlepszym z najlepszych.

Ella spoważniała i cofnęła się, aż wpadła na drewniany filar oddzielający jadalnię od salonu.

– Jednostka specjalna...

– Tak. – Powoli pokiwałem głową, pozwalając jej połączyć fakty.

– Właśnie przeszedłeś na emeryturę? Jesteś dość młody i wiem, jak potraficie uzależnić się od adrenaliny. Czy ty... się zwolniłeś? – Skrzyżowała ręce na piersi, w nerwowym geście zaciskając palce na bicepsach.

– Zginął mój przyjaciel – odparłem ledwie słyszalnym szeptem, ale musiała usłyszeć prawdę zawartą w moich słowach.

Otworzyła oczy niemożliwie szeroko, błękit podkreśliły łzy, które się w nich zebrały, nim zamrugowała. Zwiesiła głowę, spięta się i widziałem, że zamknęła się w sobie.

Nie tyle się chroniła, co całkowicie się odcięła.

– I dlatego się tu znalazłeś.

Ponownie przytaknąłem, jakbym odkąd tu weszła, zmienił się w zabawkę z główką na sprężynie.

– Powiedz to. Muszę usłyszeć te słowa.

*Mówią na mnie Chaos. Bardzo tęsknię za tobą i twoimi listami. Pragnę ich bardziej niż powietrza. Bardzo mi przykro z powodu śmierci Ryana. Nie zasługuję na to, by tu przebywać. To on powinien tu być.*

Rozważałem przez chwilę swoje możliwości. Postawiłem na najbezpieczniejszą prawdę, jaką mogłem jej przekazać, nie rozrywając jej na strzępy i nie niszcząc najważniejszej misji w moim życiu.

– Ryan mnie przysłał.

– Słucham?



– Mac... Ryan przysłał mnie, bym miał na ciebie oko. – Kiedy słowa opuściły moje usta, niemal mogłem uwierzyć, że byłem tu jako jej anioł stróż, który wkroczy i uratuje ją przed beznadziejną sytuacją, nad którą nie miałem kontroli. Jednak nie byłem w stanie wyleczyć raka jej córki. Nie mogłem sprowadzić do żywych jej brata. Pod tym względem tak naprawdę byłem demonem.

Pokręciła głową, następnie skierowała się do drzwi.

– Ella.

– Nie. – Już po raz drugi, odkąd ją poznałem, odprawiła mnie gestem i sięgnęła do drzwi.

– Ella!

Zatrzymała się z jedną dłonią na klamce, drugą na futrynie.

– Wiem, że to zbyt wiele. Wiem, że zupełnie się mnie nie spodziewałaś. – *Pod każdym możliwym względem.* – A jeśli mi nie wierzysz, mam list, który mi zostawił. – Z tylnej kieszeni wyjąłem kopertę, którą składałem i rozkładałem tak wiele razy, że powstały na niej wyraźne zagięcia.

Obróciła się powoli i oparła o drzwi. Była spięta, patrzyła czujnie. Nie wydawała się być jak sarna zahipnotyzowana reflektorami samochodu. Bardziej przypominała zranioną, osaczoną pumę, gotową walczyć ze mną na śmierć i życie, jeśli tylko zbliżę się za bardzo.

– Proszę. – Podeszedłem, podając jej list.

Nawet nie spojrzała.

– Nie chcę. Nie życzę sobie tego... ani ciebie. Nie potrzebuję żywego przypomnienia faktu, że mój brat poległ. Nie jestem słaba, nie wymagam niańczenia.

– Przykro mi, że jego tu nie ma. – Poczuję ucisk w gardle, gdy powstrzymywałem emocje.

– Mnie również. – Otworzyła drzwi i wyszła.

Pobiegłem za nią jak krety, którym przecież byłem.

– Nie odejdę. Potrzebujesz czegoś? Jest twoje. Wymagasz pomocy? Masz ją.

Schodząc po schodach, parsknęła drwiącym śmiechem.

– Nie chcę i nie potrzebuję cię tu, panie... – Otworzyła drzwi SUV-a i wyjęła jakiś papier. – Panie Gentry.

– Beckett – poprawiłem, zdesperowany, by usłyszeć, jak wymawia moje prawdziwe imię.

– Dobra, panie Gentry. Miłych wakacji, po czym pojedź do domu, bo, jak mówiłam, nie jestem zainteresowana niańczeniem czy czyjąkolwiek litością. Potrafiłam się o siebie zatroszczyć od ucieczki Ryana, gdy po śmierci rodziców postanowił wstąpić do wojska.

Naszła mnie ochota, aby ją objąć, przytulić do piersi i ochronić od wszystkiego, co chciało ją skrzywdzić. Ręce świerbiły, by znaleźć się na jej plecach i zabrać od niej cierpienie. Wiedziałem, że będzie to trudne, jednak okazało się, że nie zdołałem się przygotować na spotkanie z nią.

– Nieważne, czy sobie mnie tu życzysz, bo nie znalazłem się w tym miejscu na twoje życzenie. Jestem tu, bo Mac tego chciał. Tylko o to prosił, więc dopóki nie wyrzucisz mnie siłą ze swojej posesji, zamierzam dotrzymać danego mu słowa.

Zmrużyła oczy.

– Dobra. I dasz mi wszystko, czego będę potrzebować?

– Wszyściutko.

– Kiedy Ryan zginął...

*Nie, wszystko, tylko nie to.*

– Był na misji, prawda?

Widziała, jak pobiadłem? Bo to czułem. Słyszałem śmigła. Widziałem krew. Chciałem złapać go za rękę, która bezwładnie zwisała z noszy.

– Tak. To tajne.

Zacisnęła palce na drzwiach.

– Tak, słyszałam. Potrzebuję... – Westchnęła, patrząc wszędzie, tylko nie na mnie, nim się wyprostowała i spojrzała mi prosto w oczy. – Muszę wiedzieć, co stało się z Chaosem. Był tam? Kiedy zginął Ryan? Byłeś w tym samym oddziale, prawda? – Jej grdyka poruszyła się, gdy przełknęła ślinę, w jej oczach dostrzegłem desperackie błaganie.

*Szlag.* Zaslugaowała, by poznać prawdę. Prawdę, że nie byłem mężczyzną, którym chciałem być, facetem, jakiego potrzebowała. Że byłem gnojem, który wrócił z wojny żywy, podczas gdy jej brat przyjechał do domu zawinięty we flagę. Pragnąłem, by wiedziała, że postanowiłem przestać odpowiadać na jej listy, bo wiedziałem, że mogę jedynie przysporzyć jej więcej bólu.

Chciałem, by wiedziała, że sprowadził mnie tu Ryan oraz świadomość, że przynajmniej tyle mogę zrobić dla najlepszego przyjaciela. Że nigdy nie chciałem jej skrzywdzić, nigdy nie zamierzałem wkroczyć w jej życie jak kula burząca – nie, gdy była tak krucha.

– No i? Był tam?

Ale moje pragnienia nie miały żadnego znaczenia.

„Nigdy nie zdołałam dać drugiej szansy tym, którzy zranili moich bliskich”. List numer sześć.

Gdybym jej o wszystkim powiedział, odcięłaby się ode mnie, przez co po raz drugi zawiódłbym Maca. Mógłbym sobie wmawiać, że to jej wybór, ale tak naprawdę byłby mój. Ludzie szukali wymówek, by się mnie pozbyć, a prawda opakowana w błyszczący papier prezentowy była powodem, by wykopać mnie na ulicę. Przede mną rozpościerały się dwie różne drogi: pierwsza, gdy przyznam się, kim jestem, opowiem, co zaszło, a ona zniknie z mojego życia i ta druga..., gdy bez względu na cenę, zrobię wszystko, by jej pomóc.

*Zatem możliwość numer dwa.*

– Był tam – odparłem zgodnie z prawdą.

Zadrżała jej dolna warga, więc ją przygryzła, jakby wszelkie oznaki słabości pragnęła zdusić w zarodku.

– I? Co się stało?

– Tajne. – Byłem draniem, chociaż szczerem.

– Tajne. Wszyscy jesteście tacy sami, wiesz o tym? Lojalni tylko wobec siebie nawzajem. Powiedz tylko, czy zginął. Zasluguję, by wiedzieć.

– Wiedza, co stało się z Makiem... z Chaosem... nie przysporzy ci niczego dobrego. Będzie bolało o wiele bardziej, niż boli teraz. Możesz mi wierzyć.

Skrzywiła się, pokręciła głową i ucisnęła nasadę nosa. Kiedy ponownie na mnie spojrzała, wrócił jej fałszywy uśmiech, a niebieskie oczy skuł lód.

– Witamy w Telluride, panie Gentry. Miłego pobytu.

Wsiadła do samochodu, trzasnęła drzwiami, wrzuciła wsteczny i wycofała.

Obserwowałem auto, aż zniknęło w gęstym lesie.

Demolka otarła się o moją nogę. Spojrzałem na nią i dostrzegłem, że patrzy na mnie, bez wątpienia wiedząc, że okazałem się kretynem, bo pozwoliłem na to, co się tu właśnie wydarzyło.

– Tak, nie poszło zbyt dobrze. – Przeniosłem wzrok na bezchmurne niebo nad Kolorado. – Wycięliśmy jej niezły numer, Mac. Zatem jeśli masz dla mnie jakieś wskazówki, jak przypodobać się twojej siostrze, zamieniam się w słuch.

Otworzyłem tylną klapę pick-upa, zacząłem wyładowywać swoje rzeczy.

Być może będę tu tylko tymczasowo, ale zamierzałem zostać tak długo, jak Ella mi na to pozwoli, bo gdzieś pomiędzy listem numer jeden a dwadzieścia cztery zakochałem się w niej. Zakochałem się w jej słowach, jej sile, wnikliwości i dobroci, gracji nawet w niemożliwych okolicznościach, miłości do dzieci i determinacji, by sobie poradzić. Mógłbym wymienić tysiące powodów, dla których ta kobieta podbiła resztki serca, które miałem w piersi.

Jednak żaden nie miał znaczenia, bo nawet jeśli to kobieta, którą pokochałem, ja byłem dla niej zupełnie obcym człowiekiem. I to w dodatku niemile widzianym.

Ale sobie na to zasłużyłem.

## ROZDZIAŁ 6

BECKETT

List #17

*Ello,*

*coraz więcej się tu dzieje, co jednocześnie jest zbawieniem i przekleństwem. Wolę być zajęty niż się nudzić, ale z robotą wiążą się problemy. Ciągłe nas przenoszą, ale liczę na to, że w końcu sytuacja się unormuje i zdołam dotrzeć do Telluride tak, jak się umówiliśmy, jeśli nadal chcesz się ze mną spotkać. Ostrzegam, przywiozę ze sobą Twojego brata, a on ostatnio śmierdzi.*

*Przynajmniej czas płynie szybciej, tak samo jak przychodzą listy od Ciebie. Zauważyłem, że nawet nie czekam, aż coś dostanę, tylko biorę się do pisania. Może przykładanie długopisu do kartki papieru jest dla mnie tak łatwe, bo nie widzę, jak reagujesz na moje słowa.*

*Pytałaś, gdzie bym osiadł, gdybym chciał porzucić styl życia... Jak Ty mnie nazwałaś? Nomadą? Szczerze mówiąc, nie wiem. Nigdy nie znalazłem miejsca, które by do mnie przemówiło, które uznałbym za wyjątkowe. Mieszkałem już w domach, apartamentach, barakach. W miastach, na przedmieściach, na farmach. Latałem po świecie, ale przemieszczanie się z oddziałem oznacza jedynie podróżowanie do miejsc, w których dzieje się coś straszego.*

*Chyba chciałbym poczuć więź z jakimś miejscem. Z ziemią, ludźmi, społecznością. Ze skrawkiem łądu, który tak mocno wryje się we mnie, że nie pozostawi mi wyboru, jak zapuścić na nim korzenie. Z punktem, w którym ziemia styka się z niebem w sposób, który sprawi, że poczuję się mały, a jednak nie nieistotny czy przytłoczony. Metropolie nie wchodzą w grę – nie jestem towarzyski – więc może jakaś miejscina, ale nie za mała, aby też można było uciec od błędów, które nieuchronnie popełnię. Jestem zawodowcem, jeśli o nie chodzi i nauczyłem się już, że innym łatwiej mnie od siebie odsunąć niż mi wybaczyć.*

*A jeśli chodzi o sprawę z imieniem, co powiesz na to – w dniu, w którym pojawię się w Telluride i zostanę zaaprobowany, zdradzę Ci je. Nigdy wcześniej*

*tak nienawidziłem tajności, jak w tej chwili, ale w pewnym sensie to nawet zabawne. Zdołam Ci się przedstawić, a w międzyczasie będziesz się zastanawiała, czy każdy nieznajomy, który zapuka do Twoich drzwi, to ja. Pewnego dnia na niego trafisz.*

*A poważnie, za mniej niż miesiąc święta Bożego Narodzenia. Kup synowi szczeniaka. I uściskaj ode mnie Maisie. Daj znać, jak idzie chemia.*

Chaos

---

**Z** a kogo on się, do cholery, uważa? – warknęłam, gdy drzwi zamknęły się za mną z hukiem. A może sama nimi trzasnęłam. Nieważne.

Pozwoliłam sobie na gniew, licząc na to, że pokona narastający we mnie smutek. Chaos był z Ryanem. Częściowo już wiedziałam – skoro po śmierci brata przestały przychodzić również listy od niego – ale chyba domysły, a wiedza to dwie różne kwestie.

Utraciłam Ryana i Chaosa, a dostałam Becketta Gentry’ego, jak jakąś nedorzeczną nagrodę pocieszenia z kompleksem bohatera.

*Na miłość boską, Ryan, wiedziałeś, że nigdy nie potrzebowałam ratunku.*

– Kto taki? – zapytała Ada, wychylając nieco głowę z kuchni.

Zdjęłam ubłocone buty i poszłam do Hailey, której brwi niemal zetknęłyby się z linią włosów, gdyby zdołała unieść je odrobinę wyżej.

– Gentry!

– To niezłe ciacho. Nawet jeśli z monosylabicznymi odpowiedziami – rzekła Hailey, przerzucając kolejną kartkę w „Cosmo”.

Prychnęłam – częściowo na jej odpowiedź, częściowo na fakt, że wciąż czyta to czasopismo. Że nadal jest w fazie życia, w której „Cosmo” jest w stanie odkryć przed nią tajemnice wszechświata. Ja przerzuciłam się na „Dobra gospodyni i kobieta sukcesu”, w którym nie zamieszczano quizów na temat tego, czy mu się podobasz.

Miałam dwadzieścia pięć lat i sześćoletnie bliźnięta, z których jedno walczyło teraz o życie, a także firmę, która zajmowała każdą wolną minutę mojego czasu. Żadnemu facetowi się nie podobałam. Złapałam za nieśmiertelnik Ryana, który przysłano mi z jego rzeczami i nerwowo przeciągnęłam nim w górę i w dół łańcuszka.

– No co? Przecież to prawda. Widziałeś ten zarost? Te ramiona?

*Tak i tak.*

– O co ci w ogóle chodzi?

Spojrzała na mnie znad magazynu.

– Jeśli muszę ci mówić, że mógłby zastąpić Chrisa Pratta w filmach Marvela, zatraciłaś się za bardzo, Ella. Te oczy? Ech... – Rozsiadła się z fotelu, rozmarzonym wzrokiem gapiąc się w sufit. – I będzie tu aż do listopada.

Listopad. Facet zamierzał pozostać u mnie przez siedem miesięcy.

– Biję od niego aura ogromnej siły, a jednocześnie tajemniczego bólu. Sprawia, że kobieta na jego widok ma go ochotę przytulić i...

– Nawet nie kończ.

– Och, daj jej spokój. Definitywnie jest na co popatrzeć – wcięła się Ada, opierając się o blat recepcji. – Chociaż przydałoby mu się nieco ludzkiego obycia.

– Facet jest specjalem – wypowiedziałam to jak przekleństwo.

– A skąd o tym wiesz? Przez psa? Nadal mam zastrzeżenia w kwestii tego zwierzaka na naszym terenie, ale suczka wydaje się grzeczna, a labradory nie są agresywne, prawda? – Ada zerknęła na biurko, by sprawdzić, co czyta Hailey.

– Po pierwsze, labradory potrafią być bardzo agresywne, dlatego ta jego pupilka jest, a raczej była psem wojskowym. To jej przewodnik.

– Nie ulegaj stereotypom tylko dlatego, że czujesz się nieco niezręcznie, ponieważ w odległości kilkudziesięciu kroków zamieszka samotny, atrakcyjny mężczyzna – ostrzegła Ada, sama przewróciwszy stronę w magazynie.

– Wcale tego nie robię... Skąd w ogóle wiesz, że jest samotny? – Znalazła go już na Facebooku? Czy tacy faceci mieli w ogóle konta w mediach społecznościowych? Ryan nigdy nie założył. Mówił, że to zabronione.

– Nikt nie melduje się z psem na siedem miesięcy w pensjonacie, jeśli nie jest singlem.

– Racja, ale to i tak nie ma znaczenia. Ryan go przysłał.

Gazeta opadła na biurko, trzepocząc kartkami, gdy obie kobiety zapatrzyły się na mnie. Ada zareagowała jako pierwsza, gwałtownie wciągając powietrze.

– Mów.

– Najwyraźniej Ryan napisał jeden z tych pożegnalnych listów, w którym poprosił go, aby przyjechał do Telluride i się mną zaopiekował. Poważnie. Mój brat nie żyje od trzech miesięcy, a wciąż mówi mi, z jakimi mężczyznami powinnam się zadawać. – Parsknęłam wymuszonym śmiechem i stłumiłam emocje, wepchnęłam je do niewielkiego pudełka w głowie, w którym było ich miejsce.

Najgorsze w przechodzeniu przez tak wiele w tak krótkim czasie było to, że nie mogłam pozwolić sobie na odczuwanie czegokolwiek, bo w przeciwnym razie czułabym wszystko naraz. A to napytałoby mi biedy.

– Jesteś pewna? – dociekała Hailey.

– Nie przeczytałam tego listu, ale tak właśnie powiedział. Uwierzyłam mu, biorąc pod uwagę to, jak wygląda, jak się porusza... i jego psa. – W ciągu kilku sekund otaksował mnie wzrokiem, ale nie było w tym żadnego seksualnego podtekstu. Widziałam, jak skategoryzował w umyśle moje cechy, jakby miał przed sobą komputer. – Zachowuje się jak Ryan, wszystko czuje i obserwuje jak Ryan... jak mój ojciec. – Odchrząknęłam. – Więc miejmy nadzieję, że podobnie jak ojciec, szybko się znudzi i ruszy dalej. – Właśnie to robili mężczyźni. Odchodzili. Ryan przynajmniej był szczery w kwestii swoich zamiarów, a tata kłamał jak z nut. Jeff okazał się nie lepszy, wymyślał ciekawe historyjki, aby mógł dostać to, czego chciał, a uciekł w chwili, w której zdał sobie sprawę z konsekwencji. Kłamstwa były gorsze niż ucieczka.

Gentry przynajmniej od początku był szczery i przyznał się, że Ryan go przysłał. Prawdę mówiąc, potrafiłam uporać się z kiepskimi decyzjami, jednak celowe kłamstwa raniły z egoistycznych powodów, więc były niewybaczalne.

– Co zamierzasz? – Hailey się pochyliła, jakby siedziała w pierwszym rzędzie jej własnej opery mydlanej.

– Zignorować go. Wyjedzie od razu, gdy poczuje, że spełnił swój obowiązek wobec Ryana, a ja będę mogła zamknąć drzwi... do tego wszystkiego. – Jak i te do Chaosu. – A tymczasem zamierzam odebrać Maisie ze szkoły, bo za dwie godziny mamy być w Montrose na badaniach. Tylko to się teraz liczy. Nie jakiś sobowtór Chrisa Pratta z ogromnymi wyrzutami sumienia.

Już prawie byłam w gabinecie, z którego musiałam zabrać segregator z wynikami badań Maisie, gdy usłyszałam śmiech Hailey.

– Ha! Zatem zauważyłaś!

– Powiedziałam, że to nie ma znaczenia, a nie, że jestem martwa. – Z segregatorem w ręce przeszłam przez hol, wdzięczna, że w ten poniedziałek nie było tu nikogo prócz pana Gentry'ego.

– A te jego oczy? Jak szmaragdy, nie?

Hailey naprawdę cofnęła się w rozwoju do gimnazjum.

– Pewnie – palnęłam, kiwając głową i wkładając buty. – Ado, odbierzesz Colta ze szkoły? Cholera. Ma na jutro oddać obrazek na plastykę. Musi jednak dodać kolejną warstwę farby na krawędziach, więc czy mogłabyś...

– Oczywiście. Nie martw się. Jedź zając się naszą dziewczynką.

– Dziękuję. – Nie znosiłam zostawiać im na głowie Colta i rzeczy, z którymi trzeba mu było pomóc, jednak potrzeby pojawiały się okresowo, prawda? To akurat okres, w którym bardziej potrzebowała mnie Maisie. Musiałam pomóc jej przetrwać, a kiedy następnym razem będzie potrzebował mnie Colt, z chęcią poświęcę mu czas.

Sprawdziłam godzinę na telefonie i zakląłam. Zbiegłam ze schodów, niemal potykając się na jednym ze stopni. Chwyciłam się drewnianej balustrady, a pęd popchnął mnie już na dole na bardzo twardą, wysoką sylwetkę.

Taką z silnymi ramionami, które nie tylko złapały mnie, ale również ocaliły segregator Maisie i mój telefon przed wylądowaniem w błocie.

– Wow. – Beckett postawił mnie stabilnie i się odsunął.

Zamrugłam. Facet miał niesamowity refleks. *Przecież to specjals, kretyńko.*

– Jestem spóźniona. – Co? Dlaczego powiedziałam coś takiego, zamiast mu podziękować czy rzucić coś innego, co uszłoby za grzeczne?

– Najwyraźniej. – Lekko uniósł kąciki ust, ale nie nazwałabym tego uśmiechem. Bardziej łagodnym rozbawieniem. Oddał mi segregator i telefon, a ja wzięłam je, jak mi się wydawało, najbardziej niezręcznie na świecie. Mimo że niedawno stwierdziłam, że nie potrzebuję pomocy, gość dosłownie mnie właśnie uratował.

– Chciałeś czegoś? – Przytuliłam segregator do piersi. Może weźmie sobie moje słowa do serca i wyjedzie z Telluride, a przynajmniej zniknie z mojego pensjonatu.

– Chyba brak mi klucza. Do bramki na pomost. – Wsadził ręce do kieszeni dżinsów.

– To chyba znaczy, że nie wyjeżdżasz.

– Nie. Jak mówiłem, dałem słowo...

– Ryanowi. Rozumiem. Cóż, nie krępuj się... – Machnęłam ręką w kierunku lasu, jakby zdanie samo magicznie miało się dokończyć. – Rób, cokolwiek zamierzasz zrobić.

– Okej. – Znów posłał mi ten niby-uśmiech, a w jego oczach pojawił się wyraźny błysk. Nie na taką odpowiedź liczyłam. – Zatem jesteś spóźniona?

Szlag. Obróciłam telefon.

– Tak. Mam wizytę z córką u lekarza i muszę jechać. Natychmiast.

– Mogę ci jakoś pomóc?

Cholera, wyglądał, jakby pytał szczerze. Byłam rozdarta między oszołomieniem z powodu tego, że pojawił się tutaj, by zadawać takie pytania a wielką irytacją, ponieważ ten obcy automatycznie założył, że nie poradzę sobie w życiu.

Faktu, że tak do końca nie umiałam dać sobie rady, nie brałam nawet pod uwagę.

Najwyraźniej zwyciężyła irytacja.

– Nie. Słuchaj, przepraszam, ale nie mam na to czasu. O klucz poproś Hailey, siedzi w...

– Recepcji. Dobrze.

Zdażył zauważyć, kim jest Hailey... świetnie. Tego mi jeszcze było trzeba – romansu z recepcjonistką, której bez wątpienia złamię serce, gdy stąd wyjedzie.

– Nie mam czasu – mruknęłam.

– Ciągle to powtarzasz. – Beckett odsunął się na bok.

Kręcąc głową, na własną niemożność skupienia się obeszłam go i otworzyłam drzwi mojego tahoe, po czym rzuciłam segregator na siedzenie pasażera. Odpaliłam silnik, podłączyłam telefon do ładowarki i wrzuciłam bieg.

Po czym nacisnęłam na hamulec.

Irytacja to jedno, ale bycie zimną suką to zupełnie inna kwestia.

Opuściłam szybę, gdy Beckett dotarł do drzwi głównego budynku.

– Panie Gentry?

Odwrocił się. To samo zrobiła Demolka, która bardziej sprawiała wrażenie cienia czy przedłużenia Becketta, niż była oddzielną istotą.

– Dziękuję... za ratunek na schodach. Za złapanie mnie. I segregatora. I telefonu. No wiesz... Dzięki.

– Za nic nie musisz mi dziękować – odparł i zacisnął usta w wąską linię. Z nieczytelnym wyrazem twarzy skinął mi głową, po czym wszedł do budynku.

Przeszyła mnie emocja, której nie potrafiłam nazwać. Było to coś, co poraziło moje zakończenia jak prąd, ale zdawało się ciepłe. Co to takiego? Może po prostu straciłam zdolność definiowania uczuć, skoro wyłączyłam je kilka miesięcy temu.

Cokolwiek to było, nie miałam teraz czasu, aby się na tym skupić.

Dziesięć minut później podjechałam pod szkołę i zaparkowałam na pasie dla autobusów. Niech mnie ktoś za to pozwie. Autobusy przyjadą dopiero za trzy godziny, a dla mnie cenna była każda minuta, aby zawieźć córkę na czas do lekarza.

Otworzyłam drzwi szkoły, następnie w dyżurce wypisałam Maisie z lekcji.

– Cześć, Ello – przywitała się recepcjonistka Jennifer, żując gumę. Była ode mnie trochę starsza, szkołę skończyła z Ryanem. – Maisie już tu jest. Wpuszczę cię.

Usłyszałam bzyczenie, ogólnoswiatowy znak, by wejść, więc popchnęłam drzwi i zastałam córkę siedzącą na ławce na korytarzu. Obok niej znajdował się Colt, a naprzeciwko dyrektor.

– Panno MacKenzie. – Wstał i poprawił krawat w wielkanocne zajączki.



– Panie Halsen. – Skinęłam głową, po czym skierowałam uwagę na moje starsze o trzy minuty dziecko. – Coltonie, co ty tu robisz?

– Jadę z wami. – Zeskoczył z ławki i pociągnął za szelki plecaka z logo drużyny Colorado Avalanche.

Serce nieco bardziej mi się ścisnęło. Do diabła, pompka w mojej piersi przez ostatnie miesiące została tak bardzo zniszczona, że nie wiedziałam już nawet, jak powinna normalnie działać.

– Nie możesz, skarbie. Nie dziś.

Dziś miał być rezonans.

Na jego twarzy pojawił się tak dobrze mi znany upór.

– Jadę.

– Nie i nie mam czasu, żeby się z tobą kłócić, Colt.

Bliźnięta wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, które były wymowne w języku, którym nigdy nie mówiłam i którego nie potrafiłam zinterpretować.

– W porządku – powiedziała Maisie, również schodząc z ławki, po czym wzięła go za rękę.

– Poza tym nie chcesz przegapić smażonego kurczaka.

Piorunował mnie wzrokiem, ale na siostrę patrzył łagodnie.

– Dobra. Zostawię ci udka.

Uściskali się, a ja zawsze na ten widok myślałam o dwóch pasujących do siebie fragmentach układanki.

Ponownie wymienili te swoje spojrzenia, po czym Colt skinął głową, jak stary malutki i się odsunął.

Uklęknęłam, by znaleźć się na jego poziomie.

– Wiem, że chcesz jechać, skarbie, ale dziś nie możesz.

– Nie chcę, by była sama – odparł ledwie słyszalnym szeptem.

– Obiecuję, że nie będzie. A kiedy wrócimy, o wszystkim ci opowiem.

Nie raczył przytaknąć ani nawet się pożegnać, po prostu odwrócił się na małej pięcie i odszedł korytarzem w kierunku klasy.

Westchnęłam, wiedząc, że później będę musiała z nim porozmawiać. Właśnie na tym polegał problem, w jego przypadku wciąż spychałam wszystko na później.

Maisie wsunęła małą dłoń w moją. Jej niczego w tej chwili nie można było odmówić, więc ku mojej niechęci, Colt musiał poczekać.

– Panno MacKenzie... – Dyrektor stał niewidzialny paproch z okularów w grubych oprawkach.

– Panie Halsen, kiedy objął pan stanowisko, sama uczyłam się w tych murach. Proszę mówić mi po imieniu.

– Ello, wiem, że jedziesz na kolejne...

*Wdech... Wydech... Nie warcz na dyrektora.*

– Ale kiedy wrócisz, musimy omówić absencję Margaret, bo wpływa to na jej wyniki w nauce, więc musimy poważnie o tym porozmawiać.

– Odbyć dyskusję – upewniłam się, bo gdybym powiedziała to, co miałam na myśli, odbiłoby się to negatywnie na moich dzieciach.

– Tak, odbyć dyskusję.

– Na temat nieobecności Maisie w szkole. – Jakby obchodziło mnie to, czy będzie miała stuprocentową obecność w przedszkolu. Walczyła o życie, a gość chciał gadać o tym, że jej nie było, gdy omawiali literkę „K” jak kangur.

– Tak, na temat obecności Margaret.

Można by pomyśleć, że jako pedagog powinien mieć na to inne określenie.

Spojrzałam na Maisie, która marszczyła czoło w charakterystycznej dla niej minie, którą znałam aż za dobrze... skoro miała ją po mnie. Jednocześnie spojrzaliśmy na pana Halsena.

– Tak, wrócimy do tego.

Po chemii. Po rezonansie. Po mdłościach i wymiotach. Po wynikach badania krwi. I po wszystkim innym, co mała będzie musiała znieść, ponieważ zwróciło się przeciwko niej jej własne ciało.

\* \* \*

Dwie godziny później znajdowałyśmy się w Centrum Onkologicznym San Juan. Maisie siedziała na stole do badań i machała nogami, grając na iPadzie w coś, co sobie na dziś wybrała, a ja chodziłam po pomieszczeniu tam i z powrotem.

Byłam zbyt zdenerwowana, by robić co innego niż tworzyć dziurę w podłodze. *Proszę, niech to zadziała.* Cicha modlitwa uleciała do nieba za milionami tych, które posłałam już wcześniej. Potrzebowaliśmy, aby guz zaczął się kurczyć i doszedł do tak małego rozmiaru, żeby lekarze podjęli próbę usunięcia go operacyjnie. Wszystkie te miesiące chemii nie mogły pójść na marne.

Jednak zdawałam sobie również sprawę z tego, jak niebezpieczna będzie operacja. Spojrzałam na niewielką córkę w jaskraworóżowej, dzianinowej czapce z kwiatkiem, która kontrastowała z białą ścianą. Paniczny strach, który nie opuszczał mnie od pięciu miesięcy, podszedł mi do gardła, pytania o to „co teraz” i „co, jeśli” powoli pozbawiały mnie zdrowych zmysłów. Operacja może ją zabić. Guz zabije ją na pewno.

– Usiądź, mamó, bo doprowadzasz mnie do szału.

Zajęłam miejsce obok niej na szerokim stole i pocałowałam ją w policzek.

– No i? – zapytałam doktor Hughes, gdy tylko weszła, przerzucając kartki w karcie Maisie.

– Cześć, pani doktor! – przywitała się Maisie i entuzjastycznie pomachała.

– Również miło mi panią widzieć, pani MacKenzie. – Uniosła brwi. – Cześć, Maisie.

– Przepraszam. Dzień dobry, doktor Hughes. Ostatnio nie mogę pochwalić się dobrymi manierami. – Otarłam twarz.

– Nic nie szkodzi – odparła i usiadła na stołku obrotowym.

– Co mówią wyniki?

Uśmiechnęła się łagodnie. Dech uwiązł mi w gardle, serce się zatrzymało, czekając na słowa, które tak bardzo pragnęło usłyszeć, a jednocześnie przerażone, odkąd to wszystko zaczęło się pięć miesięcy temu.

– Już czas. Dzięki chemioterapii guz skurczył się na tyle, aby można go było operować.

Życie mojej córki miało wymknąć mi się z rąk.

## ROZDZIAŁ 7

BECKETT

List #7

*Chaosie,*

*siedzę w korytarzu szpitala dziecięcego w Kolorado z notatnikiem na kolanach. Mogłabym powiedzieć Ci, jaki mamy dziś dzień, ale naprawdę nie pamiętam. Odkąd powiedzieli, że to rak, wszystko mi się złało.*

*Maisie ma raka.*

*Może jeśli jeszcze kilkakrotnie to zapiszę, poczuję, że to prawda, bo na razie wydaje mi się, że to koszmar, z którego nie mogę się wybudzić.*

*Maisie ma raka.*

*Nie, nadal nie wydaje się to realne.*

*Masie ma raka!*

*Po raz pierwszy od odejścia Jeffa mam wrażenie, że sobie nie poradzę. Bliźnięta w wieku dziewiętnastu lat? Nie było łatwo, jednak przyszło mi to tak naturalnie jak oddychanie. Facet mnie porzucił. Dzieci się urodziły. Zostałam matką, co zmieniło mnie aż po same podstawy duszy. Colt i Maisie stali się przyczyną wszystkiego, a nawet gdy nieco mnie przytłaczali, wiedziałam, że zdołam wszystko im zapewnić. Zatem to robiłam. Ignorowałam plotki, sugestie, bym oddała dzieci i poszła na studia, bo wiedziałam, że dla maluchów nie było lepszego miejsca na ziemi niż przy mnie.*

*Być może borykałam się z kilkoma problemami, ale zawsze wiedziałam, że daję z siebie wszystko.*

*A teraz? Nie wiem, jak sobie poradzę.*

*Wydaje mi się, że lekarze mówią do mnie w jakimś obcym języku, rzucają na prawo i lewo literami i liczbami, które powinnam rozumieć. Niekończące się badania, a także możliwe terapie i wybory. Boże, decyzje, które muszę podjąć.*

*Nigdy w życiu nie czułam się taka samotna.*

*Maisie ma raka.*

*Nie wiem, czy zdołam przeprowadzić ją przez chorobę, a przecież musi ją zwalczyć. Nie potrafię wyobrazić sobie świata bez córeczki. Jak mam jej pomóc, a jednocześnie dać Coltowi poczucie normalności?*

*A Colt... kiedy Maisie dostała wyniki, powiedzieli, że my również musimy przebadać się pod kątem mutacji genu. Dzięki Bogu syn jej nie ma. Oboje jesteśmy zdrowi, ale oczekiwanie na to, by dowiedzieć się, czy istnieje szansa, bym utraciła ich oboje? Ledwie mogłam odдыchać.*

*Muszę dać radę, prawda? Nie mam wyjścia. To jak chwila, gdy na monitorze zobaczyłam dwa bijące serca. Porażka nie wchodziła w rachubę. I teraz jest podobnie.*

*Maisie ma raka, a ja jestem wszystkim, co jej zostało.*

*Zatem chyba muszę wejść do króliczej nory.*

*Ella*

---

**W**szedłem na pomost na niewielkim jeziorze za moim domkiem, sprawdzając, czy pode mną wytrzyma. Tak, wymagał przebudowania. Nic dziwnego, że zamknęli furtkę.

Słońce świeciło tuż nad moją głową, przedzierając się przez rzeński poranek. Byłem w Kolorado już od dwóch tygodni i nauczyłem się, że należało ubierać się tu na cebulę. Rano mógł padać śnieg, a po południu słońce potrafiło grzać do niemal dwudziestu stopni. Matka natura miała w tym miejscu poważne wahania nastrojów.

Znad jeziora napłynęła lekka mgła, utrzymywała się przy obrzeżach wysepki, która znajdowała się jakieś sto metrów od brzegu. Wiedziałem, że w końcu skorzystam z niewielkiej, przymocowanej na końcu pomostu łódki i na nią popłynę.

To tam został pochowany Mac.

Niemal mnie to zabiło, gdy nie dostałem przepustki, aby przylecieć tu na jego pogrzeb, a mimo to odczuwałem jednocześnie ogromną ulgę, że nie będę musiał mierzyć się z Ellą, oglądać wyraz jej twarzy, gdy zda sobie sprawę z tego, co zrobiłem, dlaczego ja wciąż żyłem, a jej brat nie.

Demolka wyskoczyła na brzeg, otrzepała się z wody i upuściła mi kongę do stóp, gotowa rzucić się do jeziora już chyba po raz dwudziesty. Przez ostatnie dni podobnie jak ja leżała niespokojnie w domku.

Kucnąłem i podrapałem ją za uszami – w jej ulubionym miejscu.

– Grzeczna mała. Co byś powiedziała, gdybyśmy cię wysuszili i poszukali sobie jakiegoś zajęcia? Oszaleję, jeśli nadal będziemy tak sterczeć beczynn timer jak kołki w płocie. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że zaraz zaczniesz mi odpowiadać, więc pewnie muszę doświadczyć kontaktu z jakimiś ludźmi.

– Nie szkodzi, że rozmawia pan z psem – powiedział za moimi plecami piskliwy głosik. – Nie jest pan szalony, ani nic z tych rzeczy – dodał, choć jego ton przeczył jego słowom.

Zerknąłem przez ramię i zobaczyłem, że po drugiej stronie furtki stoi chłopiec w dżinsach i koszulce Broncosów. Jasne włosy, które niegdyś musiały zostać przycięte blisko skóry, teraz

już nieco odrosły. Marszczył gęste brwi ponad krystalicznie niebieskimi oczami, gdy uważnie mi się przyglądał.

*To oczy Elli.*

Miałem przed sobą Colta. Wiedziałem o tym w głębi duszy.

Staralem się złagodzić ton, bo nie miałem pojęcia, jak się rozmawia z dzieckiem. Założyłem, że na początek nie powinienem go wystraszyć.

– Zawsze mówię do Demolki.

Psina jakby w odpowiedzi pomachała ogonem.

– To suczka – zauważył tęsknie, gdy wpatrywał się w moją pupilkę, jakby była najcudowniejsza na świecie.

Podniosłem się i obróciłem twarzą do niego, a on się wyprostował, starając się spojrzeć na mnie z góry. Nie przeraziłem go, co oznaczało, że miałem u niego cień szansy.

– Nie musisz obawiać się o swoje zdrowie psychiczne, gdy mówisz do zwierząt – wyznałem – ale wtedy, kiedy zaczynają ci odpowiadać.

Zacisnął na chwilę usta, po czym podszedł, nadal wpatrując się przez bramkę w Demolkę.

– To jest pan szalony?

– A ty?

– Nie, ale wynajął pan jeden z naszych domków na pół roku. Nikt tak nie robi. Oprócz szaleńców. – Na jego twarzy malowało się coś pomiędzy ocenianiem mnie a pragnieniem interakcji z Demolką.

Błagał matkę o psa, a ona niemal się zgodziła – jednak pojawiła się diagnoza Maisie. Ale nie powinienem o tym wiedzieć. Nie miałem również mieć informacji na temat tego, że chciał grać w futbol, ale Ella za bardzo martwiła się o potencjalne kontuzje, więc pchnęła go w kierunku piłki nożnej. Nie powinienem również kojarzyć, że miał w tym roku brać lekcje snowboardu, ani że w urodziny ogolił głowę, bo jego siostrze wypadły włosy.

Nie powinienem go znać, ale znałem.

Jednak za żadne skarby świata nie mogłem mu o tym powiedzieć.

– Właściwie wynająłem chatę na siedem miesięcy. A ty jesteś trochę za niski, by oceniać innych. – Skrzyżowałem ręce na piersi.

Bez wahania skopiował moją pozę.

– Przez to jest pan jeszcze bardziej szalony. A ja nie dopuszczam szaleńców do mamy i siostry.

– Aha, pan domu.

– Nie jestem panem. Mam sześć lat, ale niebawem będę miał siedem.

– Rozumiem. – Stłumiłem uśmiech, dobrze wiedząc, że siedem będzie miał dopiero za osiem miesięcy. Jednak czas w jego wieku był pojęciem względnym. – Cóż, nie jestem szalony. Przynajmniej ona tak nie uważa. – Ruchem głowy wskazałem na Demolkę.

– Skąd pan wie? Bo mówił pan, że jeśli odpowiada, to jest się szurniętym. – Podszedł, oparł ręce na bramce, która sięgała mu do ramienia. Będę musiał ją przeszlifować, żeby następnym razem się nie zranił.

Rety, ależ patrzył z uwielbieniem na moją suczkę.

– Chcesz zobaczyć ją z bliska?

Spojrzał na mnie, zaskoczony i się cofnął.

– Nie powinienem rozmawiać z nieznanymi, a już zwłaszcza z gośćmi.  
– Co całkowicie szanuję. Jednak to nie powstrzymało cię przed przyjazdem tutaj. – Spojrzałem ponad nim i zobaczyłem, że przy moim domku stał zaparkowany mały, niebieski quad, a na siedzeniu spoczywał kask.

Miałem przeczucie, że chronienie głowy nie uratuje go przed Ellą.

– Nikt nigdy nie zostaje na tak długo i nie przyjeżdża z psem. Chyba że to pracownicy czy rodzina. Ja tylko... – Westchnął przesadnie i zwiesił głowę.

– Chciałeś przywitać się z Demolką.

Przytaknął, nie patrząc na mnie.

– Wiesz co to za pies? – Podeszedłem powoli, jakby był dzikim zwierzęciem, które spłoszę, jeśli zbyt szybko się poruszę. Kiedy dotarłem do bramki, przesunąłem metalowy rygiel i ją otworzyłem.

– Ada mówi, że to pies pracujący, ale nie dla niepełnosprawnych. W mojej klasie jest dziewczynka, która takiego ma. Jest spoko, ale nie możemy go dotykać. – Powoli uniósł głowę, a w jego jasnych oczach widoczny był tak wyraźny konflikt, że aż serce mocniej mi zabiło.

– Jeśli trochę się cofniesz, polecę, by do ciebie podeszła.

Przełknął ślinę, przeniósł spojrzenie z Demolki na mnie, po czym pokiwał głową, jakby właśnie podjął decyzję. Szedł tyłem, dając nam miejsce, byśmy zeszli z pomostu.

– To pies pracujący. Żołnierz.

Patrząc na mnie, uniósł brwi, następnie dość sceptycznie popatrzył na Demolkę.

– Myślałem, że te wojskowe mają stojące uszy.

Uśmiechnąłem się.

– Niektóre tak, ale to labradorka. Została wyszkolona do poszukiwania ludzi i... innych rzeczy. W dodatku uwielbia aportować.

Postawił krok do przodu, patrząc na mnie tęsknie, ale dalej się nie zbliżył.

– Mogę ją pogłaskać?

– Cieszę się, że pytasz. Możesz. – Skinąłem głową suczce, która podeszła z wywieszonym językiem.

Colt uklęknął, jakby zwierzę było święte i zaczął głaskać je po szyi.

– Cześć, mała. Podoba ci się jezioro? Ja bardzo je lubię. Dlaczego masz na imię Demolka?

Bum! Przepadłem. Dzieciak mógł prosić mnie o Księżyc, a znalazłbym sposób, by mu go podarować. Był tak bardzo podobny z wyrazów twarzy i zachowania do Elli. Duża pewność siebie przysłuży mu się, gdy dorośnie.

– No i spójrzmy, kto tu jest szalony i gada z psem. – Cmoknąłem.

Spojrzał na mnie gniewnie ponad grzbietem psiaka.

– Nie odpowiada.

– Oczywiście, że do ciebie mówi. – Kucnąłem obok niego. – Widzisz, że macha ogonem? To znak, że podoba jej się to, co robisz. A to, jak nachyla łeb? Mówi ci, gdzie chce, byś ją podrapał. Psy komunikują się z nami przez cały czas, wystarczy poznać ich język.

Uśmiechnąłem się, a moje serce znów przyspieszyło. Wydawało się, że patrzę na słońce i czystą radość, a nie czułem się tak od... nawet nie pamiętałem kiedy.

– Mówi pan w jej języku?

– Pewnie. Jestem dla niej tym, co określają mianem przewodnika, ale tak naprawdę Demolka należy do mnie.

– Jest pan jej przewodnikiem? – Nie zadał sobie trudu spojrzenia na mnie, najwyraźniej zbyt dobrze bawiąc się, głaszcząc psa.

– Cóż, właściwie to byłem. Oboje jesteśmy na emeryturze.

– To jest pan żołnierzem?

– Tak. A właściwie nim byłem. – Mimowolnie przesunąłem palcami po grzbiecie Demolki.

– A teraz kim pan jest?

Tak niewinne pytanie, na które niemożliwie trudno odpowiedzieć. Byłem żołnierzem przez dekadę. W ten sposób zdołałem wydostać się z piekła opieki zastępczej. Byłem najlepszym żołnierzem, bo porażka nie wchodziła w grę, ponieważ oznaczała powrót do dawnego życia. Obiecałem sobie, że nie dam armii powodu, by mnie zwolniła i przez dziesięć lat jadłem i spałem na rozkaz. Zasłużyłem na swoje miejsce w oddziale.

– Naprawdę nie wiem – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Powinien się pan dowiedzieć. – Dzieciak popatrzył na mnie z powagą. – Dorośli muszą być pewni takich rzeczy.

Parsknąłem śmiechem.

– Tak, popracuję nad tym.

– Wujek też był żołnierzem.

Żołądek boleśnie mi się skurczył. Czy to właśnie tutaj była granica? Ile można było powiedzieć dziecku? Ile Ella chciała, by wiedziało?

Na szczęście nie musiałem dłużej się nad tym zastanawiać, bo na szutrowej drodze koło mojego domu pojawił się SUV. Ella zahamowała i spod kół dobyła się chmura kurzu. Za serce chwyciła mnie ekscytacja. Czy ja miałem piętnaście lat?

– Kurde. Znalazła mnie.

– Ej – powiedziałem łagodnie.

Popatrzył na mnie, marszcząc nos.

– Nie przeklinaj.

– Kurde to nie jest brzydkie słowo – wymamrotał.

– Ale jest go bliskie. Zawsze możesz użyć ładniejszego, a mam przecucie, że mama pilnuje, byś był dostatecznie dobrze wykształcony, aby je znaleźć. Spraw, by była dumna.

Z powagą pokiwał głową.

– Poza tym, wnioskując po jej minie, masz przechłapanie – szepnąłem.

– Coltonie Ryane MacKenzie! – krzyknęła Ella, zmierzając do nas. – Co ty, na Boga, tu robisz?

Podniosłem się, Demolka natychmiast się do mnie przysunęła.

– Tak – zgodził się i stanął po drugiej stronie psa. – Drugie imiona oznaczają szlaban – dokończył szeptem.

Ella podeszła do pomostu, wręcz biła od niej furia, ale ponad nią dostrzegłem również zimny strach. Czułem się, jakby przybyła wraz z burzą śnieżną. Jasne włosy związała w luźny warkocz, który spoczywał na jej odzianym w kamizelkę ramieniu, a dżinsy...

Wróciłem wzrokiem do jej oczu, które wypalały dziurę w synku.

– No i? Co masz do powiedzenia na swoją obronę? Wzięłeś quada, nie informując o tym nikogo? Spędzasz czas z nieznanym? Mało zawału przez ciebie nie dostałam!

Boże, była taka piękna, gdy się wściekała, co prawdopodobnie stało się jedyną emocją, jaką u niej widziałem, odkąd tu zawitałem. Za każdym razem, gdy na siebie wpadaliśmy, po prostu unosiła brwi i mówiła: „Witam, panie Gentry”. Przynajmniej jej gniew został w tej chwili wymierzony w kogoś innego.

– W wojsku sprawdzono moje środowisko i kartotekę – wyjawilem.

Posłała mi ostre spojrzenie, więc zamknąłem usta i niemal się ucieszyłem, że nigdy nie miałem matki. Spojrzenie kobiety mogło pochodzić z horroru.

Colt patrzył szeroko otwartymi oczami, po czym przekrzywił usta na bok.

– Colt – ostrzegła matka, krzyżując ręce na piersi.

– Ma psa – rzucił.

– I to daje ci prawo nie tylko przeszkadzać naszemu gościowi, ale również narażać się na niebezpieczeństwo? Nie słuchałeś, kiedy wyraźnie cię prosiłam, żebyś nie przeszkadzał panu?

Auc. To mogło wyjaśniać, dlaczego upłynęły dwa tygodnie, zanim go poznałem.

– To mu nie przeszkadza. Powiedział, że to pies pracujący i to w wojsku. On też był żołnierzem. No wiesz, jak wujek Ryan.

Ella posmutniała, a jej oczy zasnuł żal. W tej chwili widziałem zmęczenie, o którym mi pisała. „Czasami wydaje mi się, że świat wali mi się na głowę, a ja stoję w środku i próbuję to powstrzymać. Jestem bardzo zmęczona, Chaosie. Mimowolnie zastanawiam się, ile wytrzymam, nim zginiemy pod jego ciężarem”. List numer siedemnaście. Widziałem kobietę, która pisała listy, która porwała mnie jedynie swoimi słowami.

Zacisnąłem palce, bo dopadła mnie przemożna ochota, aby przytulić ją do siebie i powiedzieć, że podtrzymam jej świat tak długo, jak będzie to konieczne. To jedyny powód, dla którego się tu znalazłem, miałem zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby jej pomóc.

Ale nie mogłem tego powiedzieć, bo chociaż pozwoliłaby na to Chaosowi, nawet jeśli nie akceptując jego miłości, to nigdy nie dopuściłaby do siebie Becketta. A gdyby wiedziała o mojej tajemnicy... cóż, prawdopodobnie pochowałaby mnie obok Ryana. Dobry Bóg wiedział, że już ze sto razy życzyłem sobie takiego losu.

– I na pewno powiedział ci, że pracował z wujkiem? – zapytała, patrząc na mnie z dezaprobatą.

Ach, to właśnie dlatego zakazała synowi kontaktów ze mną.

Coltowi opadła szczęka i spojrzał na mnie, jakbym nosił pelerynę superbohatera.

– Służył pan? Znał pan wujka?

– Tak. Był dla mnie jak brat – palnąłem, nim zdołałem się powstrzymać. – I nie, nie powiedziałem mu, bo nie wiedziałem, czy byś sobie tego życzyła – wyznałem Elli.

Zamknęła na chwilę oczy i westchnęła, co bardzo przypominało wcześniejszy gest Colta, ale nie było tak przesadne.

– Przepraszam za to błędne założenie – powiedziała łagodnie. – I za to, że wtargnął na twój teren. To się już więcej nie powtórzy. – Ostatnie zdanie zostało wymierzone bezpośrednio w Colta, który kopał jakieś kamyki.



– Nie przeszkadzał mi. Właściwie było mi bardzo miło cię poznać, Colt. Jeśli mama ci pozwoli, zawsze możesz odwiedzić Demolkę. Naprawdę uwielbia aportować, a nie wiem, czy zauważyłeś, że jestem za stary, by cały czas rzucać jej zabawki.

Przewrócił oczami.

– Nie jest pan stary. – Przechylił głowę na bok. – Ale dopóki nie dowie się pan, kim jest, nie będzie dorosły.

– Colt! – warknęła Ella.

Roześmiałem się, przez co spojrzała na mnie, jakbym miał dwie głowy.

– W porządku – zapewniłem. – Powiedziałem mu wcześniej, że przeszedłem na emeryturę, więc nie jestem już żołnierzem, przez co nie wiem, czym mnie to czyni, prócz wiecznego urlopowicza.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że się zwolniłeś. Z doświadczenia wiem, że specjaliści służą, dopóki ich nie wyrzucą lub nie wyniosą nogami do przodu.

– Cóż, złożyłem wypowiedzenie, które ma zostać zatwierdzone za czterdzieści pięć dni.

Na chwilę przestała się pilnować, wyraźnie się garbiąc. Spojrzała na mnie, jakby dostrzegła mnie po raz pierwszy i znów pojawiło się napięcie – połączenie, które dzieliliśmy już od pierwszych listów.

Ja o tym wiedziałem, ona jednak nie.

– Zwolniłeś się, bo... – Przechyliła głowę, a gest ten bardzo przypominał ten wcześniejszy jej syna.

– Wiesz dlaczego.

Mimowolnie zbliżyła się do mnie o krok, wpatrując się we mnie, jakby szukała czegoś, co desperacko pragnąłem jej przekazać, jednak nie mogłem tego zrobić.

– Mówiłeś, że odszedłeś z wojska, bo zginął twój przyjaciel. Zwolniłeś się przez Ryana – wywnioskowała.

– Przez ciebie. – Kiedy dwa krótkie słówka opuściły moje usta, zapragnąłem wcisnąć je z powrotem i wymazać ostatecznie pięć sekund, aby móc zacząć od nowa. – Przez to, o co mnie prosił – starałem się wyjaśnić, ale krzywda została wyrządzona.

Cofnęła się i ponownie spięła. Wróciły jej solidne mury, wydłużając dystans pomiędzy nami.

– Myślę, że zajęliśmy ci dzisiaj wystarczającą ilość czasu. Colt, podziękuj panu Gentry'emu za to, że nie jest maniakałnym porywaczem dzieci, i chodźmy.

– Dziękuję, że nie jest pan maniakałnym porywaczem dzieci – powtórzył.

– Nie ma za co, kolego. Jak mówiłem, jeśli mama ci pozwoli, możesz ponownie odwiedzić Demolkę. Polubiła cię. – *I pewnie dobrze by było, gdyby od czasu do czasu wyszedł z domu.*

Na jego twarzy pojawiła się ekscytacja, jakby był właśnie bożonarodzeniowy poranek.

– Proszę, mamó. Proszę.

– Poważnie? Masz już szlaban za numer z quadem, a teraz chcesz jeszcze spędzać czas z nieznanym?

Zerknął ze smutkiem na pojazd, a potem z powrotem na matkę.

– Nie jest tak naprawdę nieznanym. Wujek Ryan był jego bratem, więc to tak jakby członek naszej rodziny.

W tej właśnie chwili moje serce ponownie się skurczyło.

„Rodzina” było słowem, którego nie używałem, bo nie miałem wobec kogo. Rodzina oznaczała przywiązanie, ludzi, na których polegałeś i którzy polegali na tobie. Rodzina była dla mnie całkowicie obcym pojęciem, nawet jeśli w oddziale panowało wyjątkowe braterstwo.

– Później o tym porozmawiamy Colt – powiedziała Ella, pocierając miejsce pomiędzy oczami.

– Później wyjedziesz.

Co za nagła zmiana nastroju.

– Dopiero pojutrze. A teraz wsiadaj do auta. Będziemy...

– Dobrze! – Poglaskał Demolkę, po czym pomaszerował w kierunku samochodu.

– Wydaje się starszy niż sześciolatek.

– Tak. Do tamtego roku bliźnięta spędzały czas tylko z dorosłymi. Rzadko bawiły się z dziećmi gości, ale oboje mają zasadniczo coś między sześć a szesnaście lat. Zapewne nie powinnam ich tak bardzo chronić, ale... – Wzruszyła ramionami.

„Zdaję sobie sprawę, że jestem wobec ich niedorzecznie nadopiekuńcza”. List numer jeden.

– Dają nauczycielom wycisk. Przepraszam, że musiałeś być świadkiem złego zachowania mojego syna. – Wpatrywała się w wyspę. – To było kilka naprawdę trudnych miesięcy... straciłam brata i Maisie zachorowała...

– Jak idzie leczenie? – zapytałem, wkraczając na grunt, na którym nie miałem prawa się znajdować.

Natychmiast na mnie spojrziała.

– Wiesz.

– Od Ryana. – Długo rozmawiałem o tym z Makiem, więc ściśle rzecz biorąc, jej nie okłamałem.

Pokręciła głową i skierowała się do auta.

– Ella – zawołałem za nią, następnie ją dogoniłem. Po niemal dwóch tygodniach porannych przebieżek na dziesięć kilometrów, w końcu przyzwyczałem się do wysokości nad poziomem morza. Nie, żeby nie zrzucano nas na podobne tereny w Afganistanie, ale przed przybyciem tutaj, spędziłem dwa miesiące na nizinach.

– Wiesz co? – odparła, obracając się do mnie.

– Wow! – Złapałem ją za ramiona, by na nią nie wpaść, po czym gwałtownie zabrałem rękę. To już drugi raz, gdy jej dotknąłem, a kontakt był zarówno przesadny, jak i niewystarczający.

– Nienawidzę tego, że tyle o mnie wiesz. Nienawidzę, że prawdopodobnie dowiedziałeś się wcześniej, że Colt to mój syn, a także jaką diagnozę postawiono Maisie. Jesteś nieznajomym, który przez mojego brata został wtajemniczony w intymne szczegóły mojego życia, a to niesprawiedliwe.

– Nie zmienię tego. Nie jestem pewien, czy zrobiłbym to, nawet gdybym zdołał, bo właśnie dlatego tu jestem.

– Powód twojej obecności w tym miejscu pochowany jest na tamtej wyspie!

*Na tak wiele sposobów.*

– Możemy się spierać, ale nie wyjadę. Zatem złożę ci propozycję. Możesz pytać mnie o wszystko – uniosłem palec, gdy już otwierała usta, bo wiedziałem, że zapyta o śmierć Maca

– o czym wolno mi mówić, a o wszystkim ci opowiem. Masz rację. To niesprawiedliwe, że wiem aż tyle. Przerazające, że wiem tyle o twoich dzieciach, o twoim życiu, tobie... Ale Mac cię kochał i cały czas o tobie gadał. O tobie, o nich, a to miejsce było dla niego domem, do którego tak bardzo pragnął wrócić, a kiedy mówił o tobie, na chwilę wyrwał się z piekła, w którym żyliśmy. Zatem niezmiernie mi przykro, że twoja prywatność została naruszona. Nie masz pojęcia, jak bardzo żałuję, że nie mogę cofnąć się w czasie i poprosić, by nie zdradzał mi szczegółów z twojego życia, a gdybym miał magiczny guzik, użyłbym go do czegoś znacznie lepszego, jak na przykład ocalenia mu życia. Bo to on powinien tu być, nie ja. Ale przysłał mnie, więc zostaję. – Zaciśnąłem usta. Co było w tej kobiecie takiego, że nie działały przy niej moje filtry? Bez względu na to, czy czytałem jej listy, czy patrzyłem jej w oczy, potrafiła rozwiązać mi język lepiej niż butelka tequili. Sprawiała, że pragnąłem wszystko jej wyznać, a to było niebezpieczne dla nas obojga.

– Jeśli Ryan tak bardzo chciał tu być, mógł odejść przed podpisaniem kolejnego kontraktu. Ale tego nie zrobił. Bo faceci jak Ryan... i jak ty, nie zostają w domu, nie zapuszczają korzeni, nie zostają, kropka. Mogę zaakceptować to, że jestem dla ciebie... misją, czy czymś, ale nie zachowuj się, jakbyś nie był tu tymczasowo.

Walczyłem z instynktem w moim ciele, by wyznać, że było inaczej, ale wiedziałem, że mi nie uwierzy, sam na jej miejscu bym nie uwierzył. Kwestią czasu pozostawało, nim się domyśli, kim naprawdę jestem i co zrobiłem. A moje uczucia do niej nie załagodzą ciosu. Schron nuklearny nic by nie poradził.

– Przepraszam – powiedziała cicho po chwili milczenia. – Nie potrafię sobie wyobrazić, przez co przeszedłeś, jeśli naprawdę byłeś tak zżyty z Ryanem. I musiałeś przewrócić do góry nogami całe swoje życie, aby tu przyjechać.

– Myślałem, że nie mam korzeni – droczyłem się.

Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu, jednak był w nim smutek.

– Naprawdę przepraszam, ale wyobraź sobie, że to ja pojawiłabym się w... gdziekolwiek byliście i wiedziałabym wszystko o tobie, a ty nie miałeś zielonego pojęcia, kim jestem. Niepokojące, nieprawdaż?

Przeszył mnie ostry ból, no przecież wiedziała o mnie wszystko. W pewien sposób. Pomiąłem fizyczne aspekty mojego życia, skupiwszy się na duszy i przelałem na papier serce. Może nie wiedziała, kim jestem, ale znała mnie lepiej niż ktokolwiek inny na tej planecie. Otworzyłem się przed nią, po czym ponownie zamknąłem, więc teraz tęskniłem tak zaciekle, że aż mnie to przerażało.

– Tak, rozumiem, że miałyby to dziesięć punktów na skali dziwności.

– Dziękuję. I miałyby z jedenaście. – Ruszyła do tahoe, przy którego otwartej tylnej klapie Colt czekał z quadem.

To najwyraźniej nie był pierwszy raz, gdy dostał za coś takiego szlaban, bo znał rutynę.

– Zajmę się tym Colt – powiedziałem do niego, po czym podniosłem pojazd i spakowałem go do SUV-a, który na szczęście miał z tyłu gumową matę. Kiedy się odwróciłem, dostrzegłem, że Ella się na mnie gapi z lekko rozchylonymi ustami. Cóż, wpatrywała się w moje ręce. Zapamiętałem, aby kupić karnet na siłownię. Podobało mi się jej spojrzenie.

– Jeszcze coś? – zapytałem, zamykając klapę.

Pospiesznie pokręciła głową.

– Nie. Nic. Dzięki za... no wiesz...  
– Za to, że nie jestem maniakalnym porywaczem dzieci?  
– Coś w tym stylu. – Zarumieniła się.  
– Mówiłem poważnie o sprawdzeniu przez wojsko. Jeśli miałabyś poczuć się lepiej...  
– Nie, oczywiście, że nie. Nie sprawdzam gości szczegółowo i nie zamierzam zaczynać.  
– A powinnaś – mruknąłem. Gdybym był maniakalnym porywaczem dzieci, Colt już by nie żył. Właściwie te lasy są tak rozległe, że może w nich mieszkać seryjny morderca i nikt się o tym nigdy nie dowie.

Przewróciła oczami, następnie wsiadła do auta.

– Ej, panie Gentry – zawołał siedzący z tyłu Colt.

Ella opuściła szybę, a ja się pochyliłem, by spojrzeć na niego, gdy siedział przypięty w wysokim foteliku.

– Co tam?

– Postanowiłem, że skoro był pan bratem wujka Ryana, to jest pan naszą rodziną – powiedział z powagą dorosłej osoby.

– Tak postanowiłeś? – powtórzyłem łagodnym głosem. Dzieciak nie wiedział, co proponował, ani ile to dla mnie znaczyło, bo on zawsze miał rodzinę. Po prostu była mu dana.

– Cóż, dziękuję.

Popatrzyłem w lusterku w oczy Elli, która westchnęła cicho, pokonana.

– I nie jest pan szalony – dodał. – Więc chyba może pan zostać.

Uśmiechnąłem się tak szeroko, że aż rozbolały mnie policzki. Dzieciak był niezmierny.

– Dziękuję za zaufanie, Colt.

– Nie ma za co – odparł, wzruszając ramionami.

Odsunąłem się, Ella zamknęła drzwi, po czym wychyliła się przez otwarte okno.

– Nie zapominaj, że posiłki serwujemy w głównym budynku. Ada mówiła, że ani razu cię tam nie widziała, a często to sprawdza.

– Zapamiętam. Nie chciałem przyprawiać Demolki, gdy jest tam Maisie. – Nie znałem się na dzieciach z rakiem, ale wiedziałem, że mała nie potrzebowała dodatkowych zarasków.

– Och, przezornie z twojej strony. Ale spokojnie. Kiedy po raz pierwszy dostała neutropenii... to znaczy, gdy...

– Leukocyty spadły do poziomu, w którym stała się podatna na każdą znaną człowiekowi infekcję? – dokończyłem.

– Tak. Skąd wiedziałeś?

– Wiele czytałem o nerwiaku zarodkowym.

– Dla Ryana?

*Dla ciebie.*

– Tak, mniej więcej.

Oderwała ode mnie wzrok, jakby również czuła nasze połączenie. Ale tylko ja wyczuwałem jego intensywność.

– Tak, cóż, potem przeniosłam dzieci ze skrzydła mieszkalnego do domku, w którym mogliśmy stworzyć...

– Sterylne warunki jak w bańce – dodał siedzący z tyłu Colt.

– No tak – przyznała, wzruszając ramionami. – Właściwie jesteśmy twoimi sąsiadami. Jeśli przejdiesz dwieście metrów w tamtą stronę, zawitasz do nas.

– Zatem chyba spotkamy się w okolicy.

– Pewnie tak.

Odjechali dróżką za moim domkiem. Musieli tu wodować łódki czy coś, że została tak oczyszczona.

Demolka usiadła i patrząc na mnie, przechyliła głowę.

– Chyba lepiej mi poszło, co? – zapytałem. Pomachała zgodnie ogonem. – Tak. A teraz znajdziemy sobie tu jakieś zajęcie, nim Colt przestanie nas mieć za dorosłych.

Trzy godziny później byłem najnowszym pracownikiem w resorcie. Nie, to Demolka nim została. I tak miała większy talent niż ja.

## ROZDZIAŁ 8

ELLA

List #9

*Ello,*

*po pierwsze, brak mi słów. Nie potrafię znaleźć odpowiednich, by wyrazić mój smutek z powodu diagnozy Maisie czy też podziw dla Ciebie, ponieważ tak dobrze sobie radzisz.*

*Jeff to kretyn. Przepraszam, jestem pewien, że musi istnieć w nim jakieś dobro, bo kiedyś uznałaś go za wystarczająco godnego, aby oddać mu serce, a nawet wyjść za niego za mąż, ale to dureń. I celowo stosuję czas terażniejszy, ponieważ nadal czujesz się przez niego bezradna, choć tak naprawdę ciągle dajesz sobie radę.*

*Jesteś dzielna, Ello. Naprawdę. Nigdy wcześniej nie poznałem tak silnej, zdeterminowanej, oddanej dzieciom kobiety. Zatem wysyłam coś, na co będziesz mogła popatrzeć, aby przypominało Ci, że dasz radę, bo jestem stuprocentowo pewny, że sobie poradzisz.*

*Tak, wiem, że jesteś dobrą matką - chociaż tak naprawdę Cię nie „poznałem” - bo miałem same złe, a Ty z pewnością nią nie jesteś.*

*Czy czegoś potrzebujesz? Z pewnością nie mogę Ci przywieźć obiadu, ale mógłbym zamówić Ci niezłą pizzę. Czy jest coś, co mógłbym Ci wystać? Zdaję sobie sprawę, że prawdopodobnie potrzebujesz jedynie ludzkiego wsparcia, a ja mam w tej kwestii związane ręce, za co Cię ogromnie przepraszam. Wiem, że listami niewiele Ci pomogę, ale gdybym mógł, byłbym przy Tobie albo wystął do Ciebie Twojego brata.*

*Dasz radę, Ello  
Chaos*

---

**P**oruszałam głową na boki, starając się pozbyć napięcia, które już chyba na stałe zdomowało się między moimi łopatkami. Przysłużyły się do tego godziny ślęczenia nad rachunkami i arkuszami.

Stłumiłam ziewnięcie i spojrzałam na zegar. Tak, dwudziesta trzydzieści, więc trochę za późno na kawę. Zasnęłabym po niej przed świtem.

Może więc mrożona herbata. Upiłam łyk ze szklanki i wróciłam do rachunków. Wpadliśmy w tarapaty, z których nie wiedziałam, jak się wygrzebać. Za trzy dni Maisie przejdzie kosztowną operację i dopiero wtedy zrobi się naprawdę ciężko.

Ada wsunęła głowę przez drzwi w prowizorycznym gabinecie, który stworzyliśmy w tym domku.

– Zostawiłam wam babeczki na rano. Jeszcze coś mam zrobić?

Kręcąc głową, posłałam jej wymuszony uśmiech.

– Nie. Dziękuję, Ado.

– Jesteśmy rodziną, kochana. Nie musisz mi dziękować. – Obdarzyła mnie hardym spojrzeniem, po czym spod ściany wyciągnęła fotel i usiadła w nim, kładąc dłonie na kolanach.

Co oznaczało, że mi nie odpuści.

Szlag.

– Mów. I nie waż się niczego zatajać.

Rozsiadłam się w fotelu i niemal ją okłamałam, jednak wpatrywała się we mnie matczynym wzrokiem, co odpowiadało baczemu spojrzeniu przesłuchującego detektywa.

– O czym? – zapytałam, bawiąc się w palcach długopisem.

– Mów.

Nie chciałam. Werbalizacja obaw oznaczała, że sobie nie radzę, a wszystko wokół jest zbyt realne.

– Mogę nie dać rady finansowo. – Nie dawałam już fizycznie, psychicznie i emocjonalnie, więc jakie to miało znaczenie w obliczu rosnącej listy? Nie można utopić się mniej lub bardziej. Kiedy znajdujesz się pod powierzchnią – nieważne, ile masz wody nad sobą, jeśli nie jesteś w stanie się wynurzyć.

– Jak bardzo jest źle? Wiesz, że mamy z Larrym trochę oszczędności.

– Nie ma mowy. – Przez całe życie pracowali z moją babcią, poświęcili się dla mojej rodziny, dla naszego biznesu. Nie zamierzałam brać od nich ani centa.

– Jak źle jest? – powtórzyła. – Tak, jak gdy na świat przyszły bliźnięta?

Ach, stare, dobre czasy, gdy próbowałam je wyżywić i ubrać, jednocześnie płacąc za kursy online, gdy pracowałam w Samotni. Wtedy było tak wspaniale.

– Gorzej.

– O ile? – Ada nie okazywała zdenerwowania.

– Chyba zbankrutuję – szepnęłam. – Wszystko wpakowałam w remont i budowę.

– Ale też sprawiłaś, że nas zauważono. Mamy wszystko wynajęte, począwszy od Dnia Pamięci, a wiesz, że to jeszcze nie jest sezon. Nikt nigdy nie przyjeżdża tu, by babrać się w wiosennym błocie. Zmieniają to dopiero śnieg lub pełne słońce.

– Wiem. – Spojrzałam na kupkę rachunków i posłałam jej kolejny nikły uśmiech. Babcia nigdy nie zaciągnęła kredytu hipotecznego pod zastaw ziemi, a ja nawet jeśli czułam, że w pewnym sensie ją zdradzam, robiąc to, dodałam Samotni luksusu. – I moje działania przyniosą zysk. Wiedzieliśmy, że hipoteka przez kilka lat będzie stanowiła znaczne obciążenie, jednak biorąc pod uwagę remonty i budowę pięciu nowych domków w tym roku to

była najlepsza decyzja biznesowa, jaką mogłam podjąć. Chociaż postanowiłam przez to ograniczyć wydatki osobiste, w tym te na ubezpieczenie zdrowotne. Pomyślałam, że dzieci przecież nie chorują, a nawet jeśli się przeziębily, rachunki od lekarza nie będą wysokie, więc podpisałam umowę na najniższe świadczenie.

– A co to oznacza przy tym, co się teraz dzieje?

– To, że muszę zapłacić za leczenie Maisie bardzo dużo pieniędzy. Niektóre procedury medyczne pokrywa ubezpieczenie, inne częściowo, a jeszcze inne wcale. Jednak wyjazdy do Denver nie są refundowane, więc muszę płacić za nie z własnej kieszeni. – Wydawałam pieniądze w tempie, które miało mnie wykończyć. I nie chodziło jedynie o leczenie córki. Musieliśmy zatrudnić kolejną osobę do pilnowania głównego budynku, skoro mieszkalam teraz w jednym z domków, a wszystkie wyjazdy na konsultacje i badania sprawiały, że wydawałam więcej, niż zarabiałam.

– Och, Ello. – Ada przesunęła się do przodu i położyła na moim biurku spracowaną dłoń. Wzięłam ją za nią, kciukiem wodziłam po jej cienkiej, półprzezroczystej skórze. Miała tyle lat, co babcia, gdy zmarła.

– To nic – zapewniłam ją. – To znaczy, przecież chodzi o życie Maisie. Nie zawiodę córki... – Gardło mi się ścisnęło, więc zamknęłam oczy, próbując wziąć się w garść. Właśnie dlatego o tym nie mówiłam. Wszystkie problemy musiały zostać w pudełku, a kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, uporam się z nimi po kolei. Ale rozmowa o nich wydawała się otwarciem wieka, by cała zawartość wysypała mi się na głowę. Zaczerpnęłam tchu.

– Zrobię wszystko, co trzeba, aby zapewnić Maisie odpowiednie leczenie. Żadnych dróg na skróty. Żadnych tańszych opcji. Nie zamierzam ryzykować jej życiem.

– Wiem. Może gdybyśmy urządzili zbiórkę w mieście? Taką, jaka się odbyła, gdy Ellis chciał jechać do SeaWorld w roku, w którym zmarła jego matka?

W pierwszym odruchu kategorycznie chciałam odmówić. Mieszkańcy tego miasta mieli sporo do powiedzenia, kiedy byłam w ciąży i porzucili mnie, gdy miałam dziewiętnaście lat. W ciągu sześciu lat sama do wszystkiego doszłam, więc prośenie o pomoc zdawało się być zaprzeczeniem wszystkiego, co osiągnęłam.

Jednak życie Maisie warte było więcej niż moja duma.

– Może później rozważymy tę możliwość – zgodziłam się. – Dziś i tak nic w tej sprawie nie załatwimy, więc może odpoczniesz?

– Dobrze – powiedziała i poklepała mnie po ręce, jakbym znów miała pięć lat. – Idę się położyć. – Wstała z wysiłkiem, po czym pochyliła się nad biurkiem i pocałowała mnie w czoło. – Ty też musisz odpocząć.

– Nie jestem zmęczona – skłamałam, wiedząc, że czekało mnie jeszcze wiele godzin żonglowania różnymi rzeczami, aby odnaleźć nieco finansowej magii.

– Cóż, jeśli nie jesteś zmęczona, powinnaś wpaść do pana Gentry'ego. Hailey mówiła, że to nocny marek, więc mógłby dotrzymać ci towarzystwa. – Obdarzyła mnie niewinnym uśmiechem, ale zbyt dobrze ją znałam, by się na to nabrać.

– Aha, ale nic z tego. – Przysunęłam sobie kupkę rachunków. – Poza tym na górze śpią sześciolatki. Nie mogę ich zostawić i wyjść, prawda?

– Ello Suzanne MacKenzie, doskonale zdaję sobie sprawę, że Hailey śpi w twoim pokoju gościnnym. Właściwie w tej chwili siedzi w salonie i ogląda jakieś okropności na twoim



telewizorze, więc równie dobrze mogłaby popilnować ci dzieci, które, pozwól, że dodam, smacznie chrapią.

– Szczerze mówiąc, myślisz, że możemy uważać Hailey za dorosłą osobę?

– Radzi sobie, gdy w głównym budynku dochodzi do jakichś nieprzewidzianych wydarzeń, prawda? Twoje dzieci są bezpieczne, a Maisie w tym tygodniu nie ma żadnej chemii. Zatem skończyły ci się wymówki, aby ukrywać się przed tym absolutnie apetycznym mężczyzną. Przestań zwać wszystko na te nasze cenne skarby. Rozumiesz, o czym mówię?

Zarumieniłam się.

– Nie ukrywam się, a on nie jest... apetyczny.

– Kłamiesz. – Wskazała na mnie palcem, jakbym znów miała osiem lat i ukradła jej studzące się ciastka.

– Nieważne. Mam dwadzieścia pięć lat i staram się prowadzić interes, samodzielnie wychować bliźnięta i w dodatku jestem w trakcie... – Zamachałam rękami nad papierami na moim biurku. – ...walki z rakiem. Nie mam czasu na romansowanie. Nie obchodzi mnie, jak wielki to przystojniak. – Ani jak duże ma mięśnie... Nie, żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie.

– Cóż, nie mówiłam nic o romansowaniu, nieprawdaż? Hm? – Wyszła, zadowolona, że to do niej należało ostatnie słowo.

Osunęłam się w fotelu i odchyliłam głowę. Miałam dość. Dzieci, Samotnia, rachunki, walka o życie Maisie. Obecność Becketta zakłóciła mój starannie skonstruowany system.

Oczywiście, że był przystojny i być może Ryan mu ufał, ale to nie oznaczało, że ja mogłam mu zawierzyć. Nie oznaczało, że mogłam o nim myśleć. Poza tym, że – oczywiście – myślałam. Jednak nie robiłam tego celowo. Zakradał się do mojej głowy, atakował moje myśli w taki sam sposób, w jaki wtargnął do mojego życia.

Spojrzałam na wiszącą obok mojego biurka tablicę korkową. Była pusta z wyjątkiem kartki, na której zapisano dużymi, tłustymi literami: „DASZ RADE”.

Chaos. Tęskniłam za nim z bólem, który wydawał się niemal irracjonalny, biorąc pod uwagę, że nigdy się nie spotkaliśmy. Nawet nie miałam jego zdjęcia, by go opłakiwać, wyłącznie listy, zapisany głos, który ciągnął się przez tysiące kilometrów i jakimś cudem dotarł do mojej duszy.

A później odszedł, podobnie jak wszyscy inni.

Ryan wysłał Becketta. Przynajmniej on tak twierdził.

Ale nawet nie spojrzałam na list. Powinnam chociaż rzucić okiem. Tak postąpiłaby racjonalnie myśląca kobieta, gdyby na jej progu pojawił się nieznajomy, twierdząc, że został wysłany przez jej nieżyjącego brata. Powinnam go sprawdzić.

Ja jednak wzięłam jego słowa za dobrą monetę. W jego tonie głosu i oczach było coś, co trąciło prawdą, a nie znosiłam kłamstw. Jeśli kłamał, musiałam się natychmiast o tym przekonać.

*Pieprzyć to.*

Wstałam i poszłam do salonu, nim zdołałabym się odwieść od pomysłu, by poprosić Hailey o opiekę nad dziećmi. Zgodziła się z łyżką w połowie kubka lodów, którymi pocieszała się po rozstaniu z facetem, które to stało się największym wydarzeniem tego miesiąca.

Wzięłam wiszącą na drzwiach kurtkę i dopiero w połowie drogi do Becketta poczułam chęć, by odwrócić się na pięcie i uciec. Co ja, do diabła, wyprawiałam? Zamierzałam

odwiedzić go w środku nocy? Dobra, może nie wybiła jeszcze północ, ale było całkiem ciemno, więc na pewno nie szłam za dnia.

Świecąc sobie latarką z telefonu, minęłam brzeg jeziora, z każdym krokiem powtarzając sobie, że jestem głupia, aż uniosłam głowę i zobaczyłam w jego oknach światło. Skierowałam się więc ścieżką do jego drzwi.

Dlaczego ta sprawa nie mogła poczekać? Dlaczego teraz musiałam się dowiedzieć? Na co liczyłam, poza prawdą na temat tego, czy Ryan naprawdę go tu przysłał? Dlaczego miało to dla mnie znaczenie akurat teraz, a nie dwa tygodnie temu, gdy się tu pojawił i zaburzył moją grawitację? Dlaczego... Och, najwyraźniej właśnie zapukałam do jego drzwi.

Chyba podjęłam decyzję.

*Uciekaj* – nalegała niedojrzała dziewiętnastolatka w mojej głowie. Wydawało się, że rozwój mojego romantyzmu zatrzymał się w punkcie, w którym wepchnęłam go do pudełka w mojej głowie i zatrasnęłam wieko.

*Nie jesteś dzieckiem* – odezwała się dojrzała część mojego jestestwa.

Zanim zdołałam przeprowadzić dłuższą kłótnię z samą sobą, która mogła zaprowadzić mnie do psychiatryka, otworzyły się przede mną drzwi.

Cholera jasna. Beckett nie miał na sobie koszulki.

– Ella?

I był boso. Miał jedynie spodnie dresowe.

– Wszystko w porządku?

Co to, do diaska, za ciało? Skąd brały się u człowieka takie mięśnie, które zdawały się wyrzeźbione wprost dla ust? Moich ust...

Dwie silne ręce złapały mnie za ramiona.

– Ella?

Pokręciłam głową, jakbym mogła wyrzucić te myśli z głowy i przesunęłam wzrokiem od niesamowicie zbudowanego torsu, przez szyję i zarośnięte policzki do tych jego przeklętych oczu. Podobała mi się zieleń, bo to naprawdę niesamowita barwa.

*Zieleń, zieleń, zieleń...*

– Nic się nie stało, przepraszam – wymamrotałam, wiedząc, że brzmię, jak idiotka. – Nie spodziewałam się... – Wskazałam na jego ciało.

– Myślałaś, że drzwi otworzy ktoś inny?

– Nie. Sądziłam, że będziesz ubrany. Jak normalny człowiek. – Wzruszyłam ramionami, które puścił.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Ech. Naprawdę był niesamowicie przystojny. Irytująco piękny.

– Przepraszam. Następnym razem uzgodnię z tobą, zanim zacznę ćwiczyć. Wejdz. Włóż jakąś koszulkę. – Przytrzymał szeroko otwarte drzwi, bym mogła przejść obok niego.

Treował i tak ładnie pachniał? Co to za czary? Czy ten facet w ogóle był prawdziwy? Nikt nie wyglądał aż tak dobrze, nie pachniał tak dobrze i był dobry dla dzieci. Musiał mieć jakieś wady.

*Był żołnierzem sił specjalnych.*

Tak, to ogromna wada. Nie, żeby patrzyła na niego z romantycznym zainteresowaniem. Przecież nie miałam teraz ani czasu, ani energii na coś takiego. Ale nie byłam też głupia i coś

się we mnie poruszyło, gdy widziałam go z Coltem.

Mężczyźni dobrze traktujący psy. Mężczyźni potrafiący rozmawiać z dziećmi. Każdy z nich zwróciłby na siebie moją uwagę, a ten umiał i to, i to.

– Zaraz wrócę – powiedział, gdy stałam na korytarzu. – Rozgość się i pocuj jak w domu, skoro... no wiesz, to twój dom! – zawołał, biegnąc na górę.

Niepewnie weszłam do chaty, którą zajmował. Wszystko było tak, jak w dniu, w którym mu ją wynajęliśmy, nie zagrabił jej osobistymi przedmiotami, które wskazywałyby na to, że mieszkał tu dłużej niż od kilku dni, a co dopiero, że zamierzał zostać na siedem miesięcy. W zlewie nie walały się brudne naczynia, na stołach nie zostawił książek, na krzesłach nie zawiesił kurtek.

Z salonu wyszła Demolka, powoli machając ogonem, a kiedy mnie zobaczyła, natychmiast zaległa na podłodze.

– Cześć, psinko. Spałaś? Przepraszam, że cię obudziłam. – Podrapałam ją za uszami, więc przysunęła łeb do mojej ręki.

Chwilę później stanął przede mną Beckett odziany w czarną koszulkę z długimi rękawami. Niestety nie zmniejszyła jego seksapilu ani na jotę.

– Lubisz moją Demolkę?

– Nigdy nie powiedziałam, że nie lubię. Właściwie uważam, że jest świetna. Jednak jej przewodnik... – Zadrżałam, rozglądając się po domku. – Na pewno zamierzasz zostać na siedem miesięcy? Wygląda, jakbyś nie planował zostać nawet na weekend.

To kolejny znak, że gość nie chciał tu być.

Uśmiechnął się, ukazując białe zęby, a przy jego oczach powstały niewielkie kurze łapki.

– Odnosisz takie wrażenie, bo lubię czystość? Schludny dom? Uporządkowany?

– Albo sterylny, bezosobowy, czy jak go tam nazwiesz – droczyłam się.

Na jego twarzy odmalował się grymas.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – Oparł się o wyspę, która oddzielała kuchnię od salonu.

– Miałam nadzieję, że pokażesz mi list od Ryana. – Nastroj w pomieszczeniu natychmiast się zmienił.

– Och. – Spowaźniał, ale nie wydawał się zaskoczony. – Oczywiście. Zaczekaj.

Ponownie pobiegł na górę. Słyszałam, że otworzył, po czym zamknął szufladę, następnie w okamgnieniu był z powrotem.

– Proszę. – Wręczył mi kopertę, która prawdopodobnie niegdyś była biała, ale teraz nosiła na sobie plamy i zmiękła od częstego dotykania. Wyprostowałam ją drżącymi palcami, zauważywszy na niej odręcznie zapisane przez Ryana imię Becketta.

Przesunęłam po nim kciukiem, czując ucisk w gardle i znajome łaskotanie w nosie. Łzy napłynęły mi do oczu po raz pierwszy od pogrzebu, więc pospiesznie odsunęłam od siebie wszelkie emocje. Ponownie je zamknęłam, podobnie jak musiałam zrobić w przypadku pudeł z rzeczami Ryana, które do tej pory kurzyły się w jego dawnym pokoju. W końcu wszystkie posprzątałam i schowałam, bo wiedziałam, że w przyszłości będzie chciał mieć je Colt.

Miałam to na liście do zrobienia po tym, gdy pokonamy raka, a ciągnęła się ona już na jakieś dwadzieścia kilometrów.

– Możesz go wziąć – zaproponował Beckett, a jego szorstki głos złagodniał tak bardzo, że aż na niego spojrzałam. – Jeśli chcesz przeczytać go na osobności.

W jego oczach gościł głęboki smutek, niezgłębiony ból, który sprawił, że poczułam ucisk w piersi. Znałam to uczucie aż za dobrze, więc gdy zobaczyłam je w kimś innym, poczułam się nieco mniej samotnie. Na pogrzebie Ryana polały się łzy. Płakaliśmy wszyscy – ja, dzieci, Larry i Ada, kilka miejscowych dziewczyn, z którymi spotykał się w młodości, a także kilku chłopaków, którzy reprezentowali jego oddział. Jednak żadna osoba nie wyglądała tak, jak ja się czułam – jakby porzucił mnie jedyny człowiek, który naprawdę mnie znał... Zobaczyłam to dopiero teraz, w tym, którego miałam za obcego.

Nieznajomym, z którym wiązała mnie śmierć osoby, którą oboje kochaliśmy.

Biorąc pod uwagę stan koperty i domyślając się, ile razy Beckett czytał list, wiedziałam, co tak naprawdę proponował i ile musiało go to kosztować. Prosty gest był czymś więcej, niż każde „daj znać, czy czegoś potrzebujesz” od wszystkich, którzy dowiadywali się o stanie Maisie, a nawet więcej niż ofiarowali mi Ada i Larry, których uważałam za rodzinę.

Beckett proponował, bym wyszła stąd z uświęconym fragmentem jego życia.

– Nie, nie trzeba. Szczerze mówiąc, wolałabym przeczytać go tutaj. Z tobą. – Gdzie być może chociaż raz nie czułabym się tak całkowicie osamotniona w żałobie po Ryanie. – Jeśli nie masz nic przeciwko.

– Oczywiście, że nie mam. Usiądziesz? – Kołysał się na piętach, krzyżując ręce na piersi. Gdybym lepiej go znała, powiedziałabym, że wygląda na zdenerwowanego, ale nie zaznajomiłam się jeszcze z jego reakcjami na tyle, aby wysnuwać takie wnioski.

– Nie, dziękuję. – Siadanie oznaczało, że miałam zostać na dłużej, a nie taki był plan.

Otworzyłam kopertę, wyjęłam list. Został zapisany na kartce w linie z notatnika, w którym pisał i do mnie. Papier był jeszcze bardziej zniszczony niż koperta, pojedyncza kartka miała brudne brzegi. Gwałtownie wciągnęłam powietrze, aby się uspokoić, po czym rozłożyłam list i natychmiast rozpoznałam odręczne pismo Ryana.

– Ile razy go czytałeś? – zapytałam cicho.

– Przynajmniej raz dziennie, odkąd... – Odchrząknął. – Na początku nawet częściej. Teraz noszę go w kieszeni, aby mi przypominał, dlaczego tu jestem i że nawet jeśli nie pozwolisz mi sobie pomóc, zrobię, co w mojej mocy, aby spełnić jego prośbę.

Pokiwałam głową i przeczytałam słowa brata tak powoli, jak tylko mogłam, delektując się jego ostatnią wiadomością.

*Wiem, że nie powinienem Cię o to prosić. To wbrew Twojej naturze, by się opiekować, a nie jechać na kolejną misję, ale bardzo tego od Ciebie potrzebuję. Potrzebują tego Maisie i Colt. A także Ella. Ona Cię potrzebuje, chociaż prędzej Cię pobije, niż się do tego przyzna. Pomóż jej, nawet jeśli będzie się zarzekała, że sama sobie poradzi.*

*Nie pozwól, aby samotnie musiała zmagać się ze wszystkimi kłopotami.*

Oto prawda. Ryan wysłał tu Becketta, prosił, aby mi pomógł, a raczej zagrał tak dobrze na jego wyrzutach sumienia, że mężczyzna porzucił ukochaną wojskową karierę i przeniósł się do nieznanego sobie miejsca, w którym osoba, dla której to zrobił, w każdej możliwej chwili rażąco go ignorowała.

Ostatnia prośba Ryana dotyczyła mnie.

Zamknęłam oczy i liczyłam głębokie oddechy, aż minęła mi ochota, by histerycznie szlochać, rzucać przedmiotami z powodu losu, który zdecydował, że jestem czegoś takiego godna.

Następnie spojrzałam na Becketta i uświadomiłam sobie, że cofnął się i oparł o ścianę, jakby wyczuwał, że potrzebuję nieco więcej miejsca. Jednak przyglądał mi się ze spokojem na twarzy, jak na specjalsa przystało – jakim również był mój brat.

– Dziękuję. – Wsadziłam list do koperty, po czym mu go oddałam.

– Przykro mi, że to ja tu jestem, a nie on.

– Dlaczego sądzisz, że nie zasługujesz na miłość czy rodzinę? Wszyscy są jej warci. – Wiedziałam o tym, nawet gdy znajdowałam się na dnie. Miałam przy sobie rodziców, później babcię, następnie Ryana, Adę i Larry'ego. Teraz były również dzieci. Co się stało temu mężczyźnie, że nie miał nikogo?

Odsunął się od ściany, przeszedł do kuchni i zostawił list na blacie.

– Chciał tu być, wiesz? To miał być jego ostatni kontrakt, powiedział przełożonym, że nie podpisze kolejnego. Naprawdę, odkąd dowiedział się o chorobie Maisie, zamierzał tu przyjechać. – Otworzył lodówkę, wyjął dwie butelki wody, jawnie ignorując moje wcześniejsze słowa.

Obeszłam wyspę, by się do niego zbliżyć.

– Tak, cóż, mówił to samo tuż przed narodzinami bliźniąt. Przyjechał na przepustkę, a gdy spały na jego piersi, obiecał, że się zwolni. Że wróci do domu, gdzie jest potrzebny. Zabawne, nie minął miesiąc, a gdy zadzwonił jego telefon, spakował się i wyjechał. Później przestałam mu wierzyć. Nie pokładam wiary w piękne słówka, nawet kiedy mężczyzna twierdzi, że mnie kocha. A jeśli chodzi o ciebie, rzuciłeś robotę, którą najwyraźniej uwielbiałeś i przeniósłeś się na drugi koniec świata tylko po to, aby spełnić prośbę przyjaciela. To lojalność. To dla mnie definicja rodziny, więc nie rozumiem, dlaczego nie uważasz się jej godzien, skoro ją masz.

Odkręcił pierwszą butelkę, upił z niej spory łyk, po czym postawił ją na blacie, nim podał mi tę drugą. Wzięłam ją zupełnie mechanicznie, a nie dlatego, że chciało mi się pić.

– Rano jedziesz do Denver, bo Maisie będzie miała operację?

– Zawsze unikasz odpowiedzi?

Uśmiechnął się, ale wyraz tak szybko zniknął z jego twarzy, jak się na niej pojawił.

– Nie jestem tu dla siebie, ale dla ciebie.

Ilekcóż to powtarzał, czułam, że pęka nieco muru wokół mojego serca. Nie na tyle, by się rozpaść ani nawet osłabnąć, ale przynajmniej hamowało go to przed wzrostem. Nikt nigdy nie został przy mnie, nie mówiąc już o tym, co zrobił Beckett.

Chociaż wiedziałam, że nie zostanie tu na stałe.

– A nie powinieneś. Masz swoje życie. Bez względu na to, co napisał ci mój brat, nie jesteś za mnie odpowiedzialny. Bez względu na to, jak byliście zżyci, jesteś dla mnie obcy. Doceniam każdą twoją propozycję pomocy oraz to, że postanowiłeś spełnić prośbę Ryana, ale to przesada – mówiłam oschle, ale starałam się, by zabrzmiało to łagodnie. Nie chciałam go zranić.

– Nie wyjadę – skopiował mój ton.

Zabawne, że rozmowa przebiegała podobnie do tej, którą odbyliśmy, gdy się poznaliśmy, jednak konotacja okazała się zupełnie różna. Nie próbowałam odepchnąć Becketta, a raczej

go od siebie uwolnić.

– Wyjedziesz. – Tak jak Ryan. Jak Jeff i tata. Poleganie na nim byłoby największą głupotą, jakiej mogłam się dopuścić.

Zacisnął usta i na chwilę odwrócił wzrok. Kiedy wrócił nim do mnie, patrzył nieco poważniej.

– Najwyraźniej będziesz musiała poczekać, by się przekonać.

Napięcie narastało między nami, aż stało się wystarczająco namacalne, by ciąć... a może związać nas razem – żołnierza i kobietę, którą z zaszczytem miał się opiekować.

– Lepiej już pójść. – Zostawiłam nieotwartą butelkę na blacie i przeszłam obok niego, by znaleźć się przy drzwiach.

– Wiem, że operacja będzie trudna. Zarówno dla niej, jak i dla ciebie. Obiecuj, że do mnie zadzwonisz, gdybyś czegoś potrzebowała.

Spojrzałam przez ramię i dostrzegłam, że stoi w korytarzu jakieś pięć kroków za mną. Na jego twarzy malowała się determinacja, a w oczach smutek. Nic mu nie byłam winna i prawie nic o nim nie wiedziałam, prócz tego, że Ryan mu ufał.

Otworzyłam drzwi, wyszłam na chłodne powietrze, pragnąc, aby oczyściło mój zamglony, przepełniony umysł. Jednak w głowie echem odbijała mi się myśl, którą w końcu musiałam do siebie dopuścić – Beckett nie wypełni prośby Ryana, jeśli mu na to nie pozwolę. Stać mnie było na wiele, choć nie na okrucieństwo.

– Obiecuję.

Nie skłamałam, ponieważ nie zamierzałam niczego od niego potrzebować. Zamknęłam za sobą drzwi i poszłam do siebie. Teraz, gdy poznałam prawdę, mogłam przestać o nim myśleć i wrócić do tego, nad czym naprawdę musiałam się skupić.

Do Maisie.

## ROZDZIAŁ 9

BECKETT

List #11

*Chaosie,*

*nie uczestniczyłam wczoraj w przedstawieniu, w którym grał Colt, a wystawiano je w przedszkolu na Święto Dziękczynienia. Był pielgrzymem i zapraszał rdzennych Amerykanów na ucztę. Przez cały tydzień ćwiczył swoją kwestię. Nieustannie mówił o swojej roli.*

*A ja nie mogłam go wesprzeć.*

*Maisie po pierwszej chemii jest zbyt słaba, by wrócić do domu. Spadł jej poziom leukocytów, nie wypiszą jej ze szpitala, dopóki się nie podniesie. To się zdarza, a przynajmniej tak powiedziała mi jedna z przebywających tu matek. Ma na imię Annie i przez ostatnie dwa tygodnie była mi zesłanym przez Boga aniołem. Leży tu jej synek i można powiedzieć, że kobieta wzięła mnie pod swoje skrzydła. Krzywa nauki okazała się niewybaczalnie stroma.*

*Jesteśmy w Denver już niemal od dwóch tygodni. To najlepszy szpital dziecięcy w Kolorado, tutaj też rezyduje onkolog małej, jednak dowiedziałam się również, że leczenie w placówce nie jest refundowane z naszego ubezpieczenia. Zabawne, że nigdy wcześniej nie myślałam o takich rzeczach.*

*Dlaczego nie mogłam tego przewidzieć? Nawet moje listy stanowią w tej chwili bałagan, ale tak właśnie mają się sprawy w mojej głowie.*

*Zatem tak, całe te dwa tygodnie i brak mojej obecności na przedstawieniu Colta. Ada pojechała i mi je nagrała, ale to nie to samo. Syn przybrał dzielną minę, gdy rozmawiałam z nim później przez kamerkę, ale zdaję sobie sprawę z tego, że go zawiodłam. Kiedy urodziły się bliźnięta, przysięgałam, że nigdy nie sprawię im zawodu, a teraz bez względu na moje starania, któreś z nich i tak będzie cierpieć.*

*Dlaczego to takie niesprawiedliwe? Widuję tu rodziców, którzy zmieniają się przy dzieciach lub takich, którzy mają tylko jedno i odczuwam okropną, egoistyczną zazdrość – ponieważ oni potrafią zachować równowagę.*

*Wiem, że w obliczu obecnych wydarzeń, brak uczestnictwa w przedstawieniu syna nie jest niczym strasznym, że to jego pierwszy występ*

*z tak wielu, które przyjdzie mi oglądać, przy czym będę musiała go wspierać, a teraz bardziej potrzebuje mnie Maisie. Jednak mimowolnie czuję, że to pierwsza kropla w kielichu, który w końcu się przepełni. Nie przyjechałam na jego pierwsze przedstawienie, chociaż zarzekałam się, że będę obecna przy wszystkich ważnych dla nich wydarzeniach, a kiedy lekarze przedstawiają mi plany leczenia, widzę, ile rzeczy ominie Maisie, a także Colta.*

*Ponieważ nie tylko ja nie siedziałam na widowni, ale mojej córki nie było na scenie, gdyż leżała w tym czasie w szpitalnym łóżku. Lekarze twierdzą, że liczba leukocytów wzrasta i być może jutro wypiszą nas do domu.*

*Boże, liczę na to, że ich przewidywania się sprawdzą.*

*Mam nadzieję, że macie tam coś na kształt indyka, a przynajmniej trochę spokoju. Odpocznij, gdy nadarzy się ku temu okazja.*

*Ella*

---

**P**ogłaskałem Demolkę, wjeżdżając przez bramę do Samotni, po czym przemierzyłem krętą dróżkę do mojego domku, mijając ten, w którym mieszkała obecnie Ella. Nie było jej SUV-a, co oznaczało, że zgodnie z planem pojechała do Denver. Stał tu jeszcze rankiem, gdy jechałem na szkolenie do mojej nowej pracy i przez chwilę martwiłem się, że coś się u niej zmieniło.

I tak by mi o tym nie powiedziała.

Nawet nie zasługiwałem, by wiedzieć.

Wczoraj mało nie wykończyła mnie tymi pytaniami oraz tym, że nazwała mnie obcą osobą. Niemal pękłem, jednak nasza sytuacja się nie zmieniła i jeśli tylko bycie Beckettem pozwoli mi się do niej zbliżyć na tyle, by pomóc, ochoczo pogrzebię Chaosa obok Ryana. Dobry Bóg wiedział, że pod wieloma aspektami już tak było. Nie minąłem się za bardzo z prawdą, gdy implikowałem, że też poległ na misji.

Nie chciałem okłamywać Elli – nawet przez zatajanie pewnych kwestii – ale gdyby dowiedziała się, kim naprawdę jestem, natychmiast wyrzuciłaby mnie ze swojego życia. Miałem świadomość, że wiedza o mnie doprowadziłaby do pytań, na które nie byłem jej w stanie odpowiedzieć, a nawet gdybym mógł, prawda wypędziłaby mnie stąd równie szybko, jak odkrycie kłamstwa, w którym żyłem. Zamierzałem trzymać swoje uczucia na wodzy, dopóki Ella się o wszystkim nie dowie, tylko na mnie miała ciążyć okropna rzeczywistość.

Wszystko ujawnię, kiedy Maisie wyzdrowieje, a jej matka nie będzie mnie już potrzebować.

Skręciłem pod swój domek, po czym tak silnie wcisnąłem hamulec, że aż Demolka się zaniepokoiła.

Przed moją chatą stał jeep.

Kto, do diabła, mógł do mnie przyjechać? Podjechałem powoli, aż zza samochodu wyłoniła się znajoma postać. Wysoka, dobrze zbudowana, z ciemną cerą i oczami. Od razu



poznałem mężczyznę.

Kapitan Donahue.

Czego mógł ode mnie chcieć?

– W porządku, mała – zapewniłem Demolkę. – To tylko Donahue. – Zaparkowałem pick-upa i wysiadłem, a suczka wyskoczyła za mną.

– Pies bez smyczy! – krzyknąłem ostrzegawczo, gdy pognąła w jego stronę, choć doskonale zdawałem sobie sprawę, że nie po to, by zaatakować.

– Ha, ha, bardzo śmieszne – powiedział, klękając.

Zatrzymała się tuż przed nim i usiadła, czekając, bym podszedł.

– Co tu robisz, Donahue?

– Niezła koszulka – rzucił, ruchem głowy wskazując na moje nowe robocze wdzianko z podpisem ratownika górskiego.

– Co tu robisz? – powtórzyłem.

Westchnął i wstał.

– Od razu do sedna, co? – Otworzył drzwi jeepa, z którego wyjął czerwonego kongra. – Przywiozłem ci prezent – powiedział Demolce, która zastrzygła uszami, gdy pokazał jej zabawkę, ale ani drgnęła, kiedy rzucił ją w kierunku lasu. – Aport! – zawołał, ale psina nadal patrzyła na niego jak na idiotę. – Co jest? Przecież to uwielbiasz.

Stałem obok, krzyżując ręce na piersi.

– Nadal taka uparta? – zapytał, unosząc okulary przeciwsłoneczne na czubek głowy.

– Tak.

Nawet na mnie nie łypnęła, cały czas wpatrywała się w niego.

– Dobra. Miałem nadzieję, że po dłuższej chwili wolnego, nie będzie musiała odchodzić na emeryturę... tak jak i ty. – Z irytacją pokręcił głową.

– Aport.

Demolka na moją komendę puściła się pędem do lasu, aby znaleźć nową zabawkę. Uśmiechnąłem się szeroko, gdy Donahue przewrócił oczami.

– Tak, tak, widzę. Jest twoja i inaczej nie będzie. Dobrze cię widzieć.

– Ciebie również, ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Po co przyjechałeś?

– Może usiądziemy?

Zaprosiłem go na niewielką werandę za domkiem, gdzie w cieniu drzewa stał zestaw mebli ogrodowych.

– Za czterdzieści pięć dni będziesz wolny – stwierdził, siedząc na czerwonym, drewnianym krześle.

– Tak – potwierdziłem, rzucając kongra w stronę jeziora. Demolka była przeszczeniwa, mogąc po niego pobiec. Dziś odbyła już długi spacer, poprawiając swoje umiejętności w poszukiwaniu ludzi, więc na pewno się zmęczyła.

– Przyjechałem cię prosić, byś przemyślał sprawę. – Nieco się pochylał.

– Nie.

– Gentry. – Westchnął, pocierając miejsce pomiędzy brwiami. – Jesteśmy zespołem.

– Już nie – odparłem ciszej.

Popatrzył na małą wyspę na jeziorze.

– Byłeś już u niego?

Odpowiedziało mu moje milczenie.

– Nic nie mogłeś dla niego zrobić – powtórzył mi chyba po raz setny.

– Cóż, mamy odmienne zdania.

Demolka wróciła, więc ponownie rzuciłem jej zabawkę, znajome ruchy mnie uspokajały.

– Uważasz, że naprawdę tego chcesz? Opuścić oddział? Twoją rodzinę? Jesteście z Demolką częścią naszej jednostki.

– Robię to, o co mnie poprosił. – Z tylnej kieszeni wyjąłem list i mu podałem.

Przeczytał i klnąc pod nosem, oddał mi kopertę.

– Powinienem być to przeczytać, nim ci oddałem.

– Nie ma szans, bym stąd wyjechał. Chociaż doceniam, że przyjechałeś, nie mogę wrócić. Złożyłem rezygnację, za czterdzieści pięć dni będę wolny. – Na zawsze rozstanę się z jedynym życiem, jakie znałem.

– A co, gdyby istniała inna możliwość?

– Dopóki nie będzie nią powrót Maca z za grobu, mam to gdzieś. To, czego chcę, nie ma już żadnego znaczenia.

– Pojmuję. I rozumiem, co tu robisz. Do diabła, podziwiam cię za to. To ostateczne poświęcenie i mam za to do ciebie ogromny szacunek. Jednak wiem, że ta... sytuacja nie będzie się ciągnęła w nieskończoność. Nie chcę, byś pewnego dnia się obudził i pożałował swojej decyzji.

Przekazałem mu spojrzeniem, że nie zamierzam się nie zamknąć.

– Co byś powiedział na to, że ze względu na charakter naszego oddziału mam sposobność umieszczenia cię na liście czasowo niezdolnych do służby?

– Słucham?

Demolka przyniosła konga, ale dostrzegłem wyczerpanie w jej oczach i nakazałem, by się położyła. Aportowałyby do upadłego, więc poleciłem, by sobie odpuściła.

– To nie tak, jak myślisz. Nie jesteś niezdolny do służby, ale to jedyny sposób, na jaki wpadliśmy z przełożonymi, by dać ci szansę.

– A to, że wszystko ze mną w porządku?

– Chyba obaj wiemy, że to nieprawda – powiedział, patrząc na wysepkę. – Słuchaj, nie skorzystałeś z przepustki przez całą dekadę.

– No i?

– Jesteś zmęczony. Fizycznie i psychicznie wyczerpany. Na tej podstawie zdołaliśmy przygotować dokumenty. Wystarczy, że podpiszesz.

– Nie wrócę.

– Nie teraz, ale to da ci możliwość przemyślenia sprawy oraz łatwego powrotu, gdy będziesz gotowy.

– Mam już pracę. – Wskazałem na swoją koszulkę.

– Nie taką, w której dokonasz wielkich zmian. Jesteś członkiem naszej rodziny, Gentry i zawsze będziesz w niej mile widziany. Podpisanie tych dokumentów nie oznacza obietnicy, że wrócisz, a jedynie możliwość, którą utracisz, jeśli zostaniesz zwolniony. Albo podpisz odmowę, a na zawsze stracisz tę szansę. – Wstał i postawił kilka kroków, wpatrzony w wyspę.

– Naprawdę był jednym z najlepszych, co?

– Był najlepszym z nas.

Donahue obrócił się, podszedł do mnie i zatrzymał się z ręką na moim ramieniu.

– Dokumenty znajdują się w centrum sił specjalnych niedaleko Denver. Godzinę temu wysłałem ci dokładne informacje.

– Co? Nie mogłeś mi ich tu przywieźć?

– Stwierdziłem, że jeśli ci je tu zostawię, spalisz wszystko, nim tak naprawdę rozważysz propozycję.

Nie podobało mi się to, że miał rację.

– Dobrze cię było zobaczyć, Gentry. Odpoczywaj. Zrób, co możesz dla rodziny Maca, a kiedy skończysz misję dla niego, wróc do domu. – Położył przede mną list Ryana i odszedł bez słowa.

W mojej duszy pojawił się przebłysk – uśpiony na kilka tygodni niepokój właśnie powrócił do życia. Pragnienie skupienia się na misji i ruchu. Kusila mnie jego oferta, ale nie mogłem sobie na nią pozwolić, nie, kiedy Ella mnie potrzebowała.

Sprawdziłem adres w mailu, po czym spakowałem siebie i Demolkę. Najlepsze w mojej obecnej pracy było to, że nie miałem grafiku, musiałem jedynie czekać na wezwanie, a oficjalnie miałem rozpocząć dyżur dopiero w przyszłym tygodniu. Gdybym wyjechał stąd w ciągu godziny, dotarłbym do Denver na dwudziestą drugą, skoro przeważnie jechało się tam sześć godzin. Zatem za siedem od teraz mógłbym podpisać odmowę i położyć kres rozważaniom na temat przyjęcia propozycji Donahue. Poza tym może podróż złagodziłaby nieco niepokój, który zatopił we mnie zęby.

Dwadzieścia minut później weszliśmy z Demolką do głównego budynku.

– Pan Gentry! – wykrzyknęła Hailey, przyglądając się, gdy podchodziliśmy. Zatrzepotała rękami i się pochylała. – Czym mogę służyć?

Mac uwielbiał tego rodzaju dziewczyny. Zabawne, ładne, towarzyskie... zainteresowane.

Ale ja byłem Elli, nawet jeśli ona o tym nie wiedziała.

*Bądź miły. Cywilizowany. Odzywaj się łagodnie* – powtarzałem sobie w duchu, zdeterminowany, aby wysilić się, jeśli chodziło o osoby, które były ważne dla Elli.

– Jadę na kilka dni do Denver. Chciałem was jedynie poinformować.

– Och, oczywiście... – Zadzwoił telefon, więc odebrała, unosząc palec. – Samotnia, mówi Hailey. O, cześć, Ello. Co?

Tym razem to ja oparłem się o blat.

– A musisz mieć? Jasne, że wiem. Chodziło mi o to, czy przez noc...

– Co jest? – zapytałem.

– Zostawiła w gabinecie segregator Maisie – szepnęła, zasłaniając słuchawkę.

– Ten z wynikami badań? – Ella taszczyła go ze sobą na każdą wizytę. Miała w nim dosłownie wszystko, co tyczyło się choroby jej córki.

Hailey przytaknęła.

– Wiem, Ello, zobaczę, co uda mi się...

Wyrwałem jej słuchawkę z ręki.

– Przywiozę ci go. Niech Hailey wyśle mi numer waszej sali. – Zanim zdołała zacząć się klócić, oddałem słuchawkę recepcjonistce. Odwróciłem się i dostrzegłem, że Ada właśnie wychodziła z gabinetu z segregatorem w wyciągniętej dłoni.

– Słyszałam. Wpadła tu rano jak burza i zostawiła go na stole.

– Wszystkim się zajmę – oznajmiłem.

– Oczywiście. Mamy w międzyczasie zająć się psem?

W pierwszym odruchu chciałem rzucić, że jasne, że nie, ale z jadalni wychylił się Colt.

– Demolka! – Podbiegł, upadł przed nią na kolana i ją uściskał. Położyła łeb na jego ramieniu. – Proszę czy możemy się nią zająć? Może spać w moim łóżku i w ogóle. Będę rzucać jej zabawkę i ją karmić, przyrzekam!

– Będzie tam, gdzie ja – przypomniałem Adzie.

– Ale nie w szpitalu. Wiem, że to pies pracujący, ale wpuszczają jedynie psy przewodników. – Dostrzegłem błaganie w jej oczach. – Panie Gentry, Ella nie pozwoliła mi z nią jechać, tak samo mojemu mężowi. A wiem o... liście Ryana i reszcie. – Zerknęła na dziecko, po czym wróciła do mnie wzrokiem. – I nie chciałabym, aby Demolka musiała zostać zamknięta w psim hotelu, gdyby na przykład... zdecydował się pan zostać na czas jutrzejszej operacji.

Bez wątplenia potrafiła przemówić mi do rozumu, jednak nie wiedziała, jak bardzo chciałem być tam z Ellą, a także jak trudno będzie mi tu zostawić Demolkę.

Na czoło wystąpił mi pot, bo nie potrafiłem opisać swoich sprzecznych odczuć. Psina będzie tu bezpieczna, ci ludzie na pewno należą się nią zajmą. Już wcześniej spędzaliśmy osobno weekendy. Kiedy nie byliśmy na misji, mieszkała w ośrodku dla psów wojskowych, jednak prócz tego zawsze mi towarzyszyła, a od śmierci Maca nie odstąpiła mnie nawet na chwilę.

Ale Ada miała rację, Ella będzie w szpitalu całkiem sama.

Zaczerpnąłem głęboko tchu i spojrzałem chłopakowi w oczy.

– Idziesz jutro do szkoły?

Powoli pokręcił głową.

– Święto nauczyciela, czy coś.

– Dzień administracyjny w szkole – poprawiła Ada.

Przytaknąłem i przesunąłem ręką po języku na jego głowie.

– Dobra, w takim razie jesteś za nią odpowiedzialny, okej? Jej torba jest w aucie, ma w niej karmę i inne rzeczy. – Potem objaśniłem naprędce, jak się nią zajmować, a jego oczy zaczęły jaśnieć tak bardzo, że z powodu emanującej z niego radości przypominał Troskliwego Misia.

Pies miał się znaleźć w dobrych rękach.

Wyjąłem torbę z auta, podałem ją Coltowi, po czym kucnąłem przed Demolką, wziąłem ją za pysk i spojrzałem jej w oczy.

– Zostań z Coltem i bądź grzeczna – poleciłem, aby wiedziała, że ma z nim tylko być, a nie przejąć się ochroną chłopca, bo mogłaby pokazać zęby. Jednak decyzja należała do niej i gdybym zauważył, choć niewielkie wahanie, nie mogłaby tu zostać, musiałyby jechać ze mną. Właśnie dlatego pracowaliśmy razem.

Spojrzała na malca, jakby rozumiała nie tylko polecenie, ale także to, kim był chłopiec.

– Wróć za kilka dni. Zostań z Coltem i bądź grzeczna. – Puściłem ją, więc natychmiast podbiegła do dziecka. – Dobra psina. – Czułem jednocześnie ulgę i zmartwienie. – Rozdzielanie ich nie byłoby dobrym pomysłem – ostrzegłem Adę.

– Pogryzie? – szepnęła.

– Nie, dopóki nie wyczuje, że ktoś mu zagraża. Wtedy niech Bóg ma w opiece tę osobę, bo reaguje jedynie na moje polecenia. Nadal chce ją tu pani zatrzymać?

– Oczywiście. – Wytarła ręce w nieskazitelnie czysty fartuch.

– Chodź, Demolka! – zawołał Colt i wybiegł bocznymi drzwiami z budynku, ściskając w małych dłoniach konga. Ruszyła za nim, machając ogonem.

Ada przechyliła głowę.

– To zabawne...

– Co takiego?

– Wydaje się takim potulnym maleństwem. Nikt by się nie domyślił, że potrafi rozrywać na strzępy.

– Jest pod tym względem jak każda kobieta, proszę pani.

Pięć minut później jechałem do Elli i Maisie, w końcu mogąc zrobić to, do czego zostałem tu przysłany – pomóc.

# ROZDZIAŁ 10

BECKETT

List #2

*Chaosie,*

*tak się cieszę, że odpisałeś! Po pierwsze, wszystkiego najlepszego, nawet jeśli od Twoich urodzin minęło już kilka tygodni. Patrząc po datach na kopertach, listy idą od Ciebie cztery czy pięć dni, co wydaje się niesamowitym tempem. Pamiętam, że niegdyś trwało to sześć tygodni.*

*Po drugie, co powiesz na to, byśmy zawsze pisali odręcznie? Nigdy niczego nie wymazywali, byli szczerzy i wyznawali wszystko, o czym myślimy? Nie mamy zbyt wiele do stracenia, więc po co się ograniczać?*

*To nic, że nie jesteś towarzyski. Z doświadczenia wiem, że istnieje bardzo niewielu ludzi, dla których warto się starać. Dla najbliższych daję z siebie wszystko i utrzymuję przy sobie jedynie niewielki krąg osób. Wolę być wyjątkowa dla garstki niż przeciętna dla całej chmary.*

*Pozwól, że zadam Ci pytanie, które nie zostanie zamazane – a tak przy okazji, okropnie jest wiedzieć, że ktoś tam czyta nasze listy, ale rozumiem.*

*Jaką najstraszniejszą decyzję w życiu podjąłeś? Dlaczego się na to zdecydowałeś? Żałujesz?*

*Większość osób powiedziałaaby, że powiem w tym miejscu o narodzinach bliźniąt czy wychowywaniu ich, ale nigdy nie byłam niczego tak pewna, jak posiadania dzieci. Nie chodzi nawet o mojego byłego męża Jeffa. Byłam przerażona, gdy się oświadczył, lecz nie żałuję niczego, co stało się później, ponieważ przez to mam dzieci. Poza tym żal tak naprawdę prowadzi nas donikąd, prawda? Nie możemy cofnąć przeszłości, więc musimy jedynie przeć do przodu.*

*Najstraszniejszą decyzję podjęłam w zeszłym roku. Zaciągnęłam kredyt hipoteczny pod Samotnię, która przestała być pensjonatem, a stała się rozległym ośrodkiem. Babcia pilnowała, by posiadłość była wolna od długów, a ja, choć bardzo chciałam utrzymać tę zasadę, musiałam odremontować domki. Nie mogłam pozwolić sobie na sprzedaż kolejnej partii ziemi, więc podjęłam decyzję, aby zastawić teren, a za pożyczone pieniądze dokonać*

*niezbędnych modernizacji, mając nadzieję, że dzięki temu stworzymy luksusowy ośrodek wypoczynkowy. Nadal trzymam kciuki, by się to udało. Wzięłam pieniądze na remont istniejących domów, a także na budowę nowych, co też ma rozpocząć się latem, więc obecnie jest we mnie mieszanina nadziei i strachu. Nie będę kłamać, to również ekscytujące. Bez ryzyka nie ma zabawy, nie?*

*Kolejną straszną decyzją, którą podjęłam, jest to... że na ochotnika zgłosiłam się do komitetu rodzicielskiego.*

*Ella*

---

**D**zierząc segregator pod pachą, sprawdziłem na telefonie numer sali, gdy winda zadzwoniła, zatrzymawszy się na piętrze, na którym znajdował się oddział onkologii dziecięcej.

Była niemal dwudziesta trzecia – chwile z Coltem kosztowały mnie aż tyle czasu – niemniej podróż upłynęła bez większych utrudnień.

– Mogę panu w czymś pomóc? – zapytała pielęgniarka z ciepłym uśmiechem i w fartuszkach z kaczołem Donaldem. Wyglądała na osobę po czterdziestce i chyba się przestraszyła, bo było już bardzo późno.

– Przyjechałem do sali siedemset czternaście do Maisie MacKenzie – poinformowałem ją. Podczas dziesięcioletniej służby w wojsku nauczyłem się, że jeśli zachowywałeś się tak, jakbyś gdzieś należał, większość ludzi w to wierzyła.

– Godziny odwiedzin już się skończyły. Czy jest pan z rodziny?

– Tak, proszę pani. – Według Colta, więc wyszła z tego dość pokraczna prawda.

Rozpromieniła się.

– Och! Pan jest pewnie tatą. Czekaliśmy, aby pana zobaczyć!

Dobra, w tej sprawie milczałem, bo nie zamierzałem aż tak perfidnie kłamać. Jedno to rzucić ogólną aluzję, a co innego otwarcie przyznać się do zaszczytu bycia ojcem Maisie. Kiedy otworzyłem usta, aby wszystko wyjaśnić, poczułem na ramieniu jakąś dłoń.

– Dotarłeś – powiedziała z łagodnym uśmiechem Ella.

– Dotarłem – powtórzyłem. – Tak jak segregator. – Kiedy go ode mnie wzięła, przytuliła do piersi w nazbyt znajomym geście, od którego poczułem ból za mostkiem. Powinna mieć kogoś, kto tuliłby ją w tych trudnych chwilach, a ona pocieszała się rzeczą.

– Zabiorę go ze sobą – powiedziała pielęgniarkę.

– Śmiało.

Przeszedłem korytarzem za Ellą, podziwiając namalowane na ścianach miśki.

– Nie żartowali z tym niedźwiedzim piętrem, co?

– Nie. Pomaga dzieciakom w zapamiętaniu drogi – odparła. – Chcesz się zobaczyć z Maisie? Wciąż nie śpi, nawet pomimo moich usilnych starań.

– Tak – odparłem bez namysłu. – Bardzo bym chciał.

Niedopowiedzenie roku. Obok rysunków gór, które podarował mi Colt, moimi ulubionymi prezentami były również zdjęcia zwierząt autorstwa Maisie. Jednak to wszystko należało do Chaosa. Podobnie jak z Ellą i Coltem, również z Maisie musiałem zaczynać od zera.

Nasze kroki były jedynym dźwiękiem na długim korytarzu.

– To skrzydło przeznaczone jest dla pacjentów szpitalnych – wyjaśniła Ella, przerywając nieznośną ciszę. – Pozostałe dwa to oddział chirurgii i transplantacji oraz ambulatoryjny.

– Jasne – rzuciłem, rozglądając się z przyzwyczajenia. – Słuchaj, musisz wiedzieć, że pielęgniarka myśli teraz, że...

– Jesteś tatą Maisie – dokończyła Ella. – Słyszałam. Nie martw się, nie podsunie ci dokumentów adopcyjnych ani nic takiego. Nie informowałam szpitala o ojcu, bo w razie nagłego zdarzenia chcieliby do niego dzwonić. A on jej nawet nigdy nie widział.

– Chciałbym ci powiedzieć, że nie rozumiem, jak ktoś mógł zrobić coś takiego, jednak tam skąd pochodzę, zdarza się to nazbyt często.

Zatrzymała się przed drzwiami, na których były dane Maisie.

– A gdzie to jest?

– Dorastałem w systemie opieki zastępczej. Kiedy miałem cztery lata, matka zostawiła mnie na przystanku autobusowym w Nowym Jorku. Dokładnie w Syracuse. Po raz ostatni widziałem ją rok później w sądzie, gdy przyszła podpisać zrzeczenie się praw do mnie. Spotkałem w życiu sporo kiepskich rodziców, choć zdarzali się też świetni. – Wskazałem na nią. – A jeśli twój były mąż jest na tyle żaloszny, że nawet nie pokusił się o to, by poznać swoją córkę, to na nią nie zasługuje. Ani na ciebie. I na Colta także.

W jej oczach dostrzegłem milion pytań, jednak ocaliła mnie Maisie.

– Mamo? – zawołał cichy głosik z sali.

Ella otworzyła drzwi, więc za nią poszedłem.

Pomieszczenie okazało się spore, miało sofę, łóżko, fotel bujany, duże szpitalne łóżko, w którym leżała malutka Maisie.

– Cześć, kochanie. Dalej nie śpisz? – zapytała Ella, kładąc segregator na stole przy drzwiach. Podeszła do łóżka.

– Nie jestem... zmęczona – powiedziała, urywając pośrodku, by ziewnąć. Spróbowała spojrzeć zza mamy na mnie. – Dobry wieczór?

Krystaliczne niebieskie tęczęwki jak u Elli poddały mnie pobieżnej ocenie. Mała była chuda, ale nie krucha. Miała ładny kształt głowy, a przez brak włosów jej oczy wydawały się jeszcze większe.

– Cześć, Maisie, jestem Beckett. Mieszkam w domku obok waszego – powiedziałem jej najłagodniejszym tonem, na jaki było mnie stać i poszedłem do łóżka.

– To pan ma Demolkę. – Lekko przechyliła głowę na bok, zupełnie jak Ella.

– Tak. Ale dziś nie mam jej ze mną. Właściwie zostawiłem ją z Coltem, aby dotrzymała mu towarzystwa, gdy ja przyjechałem do ciebie. Mam nadzieję, że to w porządku. Wydawało się, że potrzebował kogoś, z kim mógłby pogadać.

– Psy nie mówią.

– Zabawne, rozmawiałem o tym samym z twoim bratem, ale czasami nie potrzeba, by ktoś odpowiadał. Niekiedy wystarczy przyjaciel, który wysłucha, a ona jest w tym naprawdę dobra.

Zmrużyła na chwilę oczy, nim obdarzyła mnie olśniewającym uśmiechem.



– Lubię pana. Pożyczył pan przyjaciółkę mojemu przyjacielowi.

I tak po prostu mnie kupiła.

– Też cię lubię, Maisie – wyznałem cicho, obawiając się, że głos mi się załamie, jeśli go podniosę.

Maisie była dokładnie taka, jak ją sobie wyobrażałem. Miała tę samą słodką, zdeterminowaną duszę, co jej mama, ale jaśniejszą, niezamgloną przez czas. W tej samej chwili, w której poczułem przytłaczającą wdzięczność za to, że mnie zaakceptowała, ogarnęła mnie irracjonalna wściekłość z powodu tego, że musiała walczyć ze straszliwą chorobą.

– Będziemy oglądać *Aladyna*. Też pan obejrzy? – zapytała.

– Nic nie będziemy oglądać. Czas do spania – powiedziała Ella, surowo kiwając głową.

– Denerwuję się – szepnęła do niej Maisie.

Już wcześniej bolało mnie serce, a w tej chwili pękało. Była za mała na tak poważną operację. Na raka. Co za Bóg robi takie rzeczy małym dzieciom?

– Ja też – przyznała Ella. – To może tak, włączymy film i położę się przy tobie. Zobaczymy, może zdołasz zasnąć.

– Dobra. – Mała pokiwała głową.

Ella włączyła film, a ja skierowałem się do drzwi.

– Zostawię was na ten wieczór.

– Nie, musi pan zostać! – krzyknęła Maisie, przez co natychmiast się zatrzymałem.

Obróciłem się i dostrzegłem jej szeroko otwarte, spanikowane oczy. Tak, nie zamierzałem wywoływać więcej takiej miny.

– Ello?

Przeniosła na mnie wzrok.

– Maisie, jest naprawdę późno, a pan Gentry na pewno wolalby się położyć w łóżku...

– Mamy tu łóżko.

Ella westchnęła i zamknęła oczy. Widziałem walkę, o której mi pisała – potrzebę opieki nad córką, jakby nie istniała ogromna szansa, że mała umrze oraz próbę odsunięcia od siebie myśli o tym, że prawdopodobnie tak się mogło stać.

Jednak błagalne spojrzenie dziecka nie wynikało z rozpieszczenia, a z pilnej potrzeby. Zbliżyłem się do jej łóżka, usiadłem na jego krawędzi.

– Możesz mi podać powód? – szepnąłem, aby Ella nas nie słyszała.

Maisie spojrzała na matkę, więc zerknąłem przez ramię i dostrzegłem, że majstruje przy DVD.

– Musisz mi powiedzieć Maisie, bo nie chcę wystraszyć twojej mamy, a jeśli to dobry powód, wezmę to na siebie.

Ponownie uniosła głowę, po czym na mnie spojrzała.

– Nie chcę, by była sama.

Szept dotarł do mnie głośniejszy niż syrena alarmowa.

– Jutro? – zapytałem.

Pokiwała prędko głową.

– Jeśli pan wyjdzie, zostanie sama.

– Dobrze. Sprawdźmy, co uda mi się zrobić.

Małymi palcami złapała mnie za brzeg kurtki.

– Obiecuje pan?

Powaga w jej głosie przypomniała mi o Macu i jego liście. Wydawało się, jakby mała wiedziała o rzeczach, o których nie mogła mieć pojęcia.

– Niech pan obieca, że jej pan nie zostawi – powtórzyła szeptem.

Zakryłem jej małą dłoń swoją.

– Obiecuje.

Patrzyła mi w oczy, ponownie oceniając, po czym pokiwała głową i odprężona położyła się na łóżku.

Przeszedłem na drugą stronę ciemnej sali, gdy Ella zdejmowała buty.

– Wyjdę, jeśli mi nakażesz, ale mała się uparła.

– Mówiła, dlaczego tego chce? Nigdy nie widziałam, by się tak zachowywała.

– To musi zostać między nami, ale wierz mi, to dobry powód. Co mam zrobić?

– Tam jest kanapa i małe łóżko. – Ella przygryzła dolną wargę, ale nie miał to być seksowny gest. Mac robił tak samo, gdy się martwił. – Ale nie życzyłabym takiej nocy najgorszemu wrogowi.

– Możesz mi wierzyć, spałem już w gorszych warunkach. Żaden problem. Co mam zrobić, Ello? – Zrobiłbym wszystko, o co by prosiła, ale rety, miałem nadzieję, że będzie mnie chciała. Wiedziałem, jak była przerażona, bo bała się tego, z czym jutro przyjdzie mierzyć się Maisie, i dobijało mnie to, że nie mogłem jej pocieszyć, jak tego potrzebowała.

Z westchnieniem uwolniła wargę, po chwili złagodniała cała jej postawa.

– Zostań. Chcę, żebyś został.

Poczułem ucisk w piersi tak mocny, że nie potrafiłem nabrać tchu. Odetchnąłem płytko i rzuciłem kurtkę na oparcie bujanego fotela.

– Zostanę.

\* \* \*

Procesja była uroczysta, niemal nabożna. Pielęgniarki wiozły Maisie na łóżku w stronę grubej, niebieskiej linii, która oznaczała przejście na oddział chirurgii, na który wstęp mieli wyłącznie medycy oraz ich obecni pacjenci.

Ella szła obok, trzymając córkę za rękę, pochylając się nad nią. Wszyscy kroczyli powoli, jakby pielęgniarki wiedziały, że Ella potrzebuje każdej cennej sekundy. *Zapewne mają tę świadomość.* Przecież to dla nich rutyna. Operacja kolejnego dziecka z rakiem. Jednak dla Elli to dzień, którego zaciekle się obawiała, tak samo jak go pragnęła.

Pochód zatrzymał się przy niebieskiej linii, więc się nie zbliżałem, zapewniając im intymną chwilę. Ella zaczesła włosy do tyłu, dzięki czemu dostrzegłem słaby uśmiech na jej twarzy, gdy pogłaskała Maisie po tysej głowie. Poruszały się jej usta, gdy cała wyraźnie spięta mówiła do córki.

Trzymała się, ale widziałem, że traci siły. Obserwowałem ją od szóstej rano, kiedy do sali weszły pierwsze pielęgniarki, aby przygotować małą do operacji. Patrzyłem, jak przygryza wargę, jak kiwa głową, podpisując dokumenty, w których nakreślono ryzyko wiążące się

z usunięciem guza u tak małej dziewczynki. Widziałem, jak przybiera odważną minę i się uśmiecha, aby zapewnić Maisie spokój, jak żartuje, że Colt będzie zazdrosny o jej bliźnię.

Potem byłem świadkiem rozmowy przez kamerkę pomiędzy bliźniętami i serce mi pękło. Tych dwoje nie było rodzeństwem czy przyjaciółmi. Maisie i Colt to dwie połówki całości. Mówili półsłówkami, interpretowali jednosylabowe odpowiedzi, jakby komunikowali się w swoim własnym języku.

Chociaż Ella była przerażona, wiedziałem, że to Colt ma tak naprawdę najwięcej do stracenia, a nic nie mogłem na to poradzić.

Włożyłem ręce do kieszeni džinsów, aby się powstrzymać i jej nie przytulić. Potrzeba ta była samolubna, bo gest miał pomóc mnie, nie jej. Dla niej nie mogłem zrobić nic, jak tylko stać i obserwować w chwili, która według jej obaw mogła być ostatnią z córeczką.

Czułem się taki bezradny...

Tak samo bezsilny, gdy w końcu odnaleźliśmy ciało Ryana – trzy dni po porażce naszej misji. Nie mogłem zrobić nic, aby przywrócić mu akcję serca, by odwrócić najgorsze chwile jego życia, czy magicznie uleczyć ranę po kuli, która weszła u podstawy jego czaszki, a wyszła...

*Demolka. Zachód słońca w górach. Uśmiech Elli.* Powtarzałem w duchu te trzy rzeczy, aby zablokować inne myśli. Wspomnienia. Nie powinno ich tu być. Nie pomogę Elli, jeśli uwięznę z Ryanem.

Jedna z pielęgniarek powiedziała coś do Elli, a ja poczułem ucisk w gardle, gdy matka pochyliła się i pocałowała dziecko w czoło. Maisie uniosła rączkę z różowym misiem. Ella pokiwała głową i go wzięła. Pielęgniarki zawiozły nosze i zniknęły za rozsuwanymi drzwiami.

Ella zatoczyła się do tyłu i oparła plecami o ścianę. Skoczyłem ku niej, sądząc, że upadnie, ale powinienem był widzieć. Stała pod ścianą, przyciskając misia do piersi. Trzymała się go jak koła ratunkowego, gdy uniosła twarz do sufitu i oddychała pospiesznie.

Nie spojrzała na mnie ani na przechodzące pielęgniarki, odcięła się, jakby wiedziała, że jedyną pociechę znajdzie w swoim wnętrzu. Opuścił mnie spokój, gdy zdałem sobie sprawę, że nie szukała w nikim oparcia, bo nigdy go nie otrzymywała, a cała ta scena wyglądałaby identycznie, gdybym tu nie stał.

Ale przecież tu byłem.

Wiedząc, że wtargnę w jej przestrzeń osobistą, choć miałem to gdzieś, podszedłem do niej. Zamknęła oczy, podskakiwała jej grdyka, gdy usilnie starała się nie rozplakać. Bardzo pragnąłem ją przytulić, zdjąć z niej tyle ciężaru, na ile mi pozwoli.

– Ello.

Otworzyła oczy, które błyszczały od niewylanych łez.

– To będzie długi dzień. Chodź, zjemy coś, napijemy się kawy. – Jeśli nie mogłem zadbać o stan jej serca, mogłem przynajmniej dopilnować ciała.

– Nie wiem... czy zdołam się ruszyć. – Obróciła głowę w kierunku drzwi. – Walczyłam codziennie przez ostatnie pięć miesięcy. Wozilałam ją po lekarzach, wyklócałam się z ubezpieczycielami, wmuszałam w nią wodę, gdy odwadniała się przez wymioty po chemii. Cały czas walczyliśmy o tę chwilę, a teraz, gdy nadeszła, nie wiem, co mam zrobić.

Opanowałem rozszalałe emocje i wyciągnąłem ręce do jej twarzy, ale zatrzymałem się i lekko złapałem ją za ramiona.

– Zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy. A to, czego dokonałaś, jak daleko ją zaprowadziłaś, jest fascynujące. Wykonałaś swoje zadanie, Ello. Teraz musisz pozwolić, by pracę dokończyli lekarze.

Spojrzała na mnie i poczułem jej udrękę, jakby ktoś nieustannie dźgał mnie nożem w brzuch.

– Nie wiem, jak przekazać kontrolę innym. To moja córeczka, Beckett.

– Rozumiem, ale najtrudniejsze już za tobą. Podpisałaś dokumenty, nawet jeśli było to wręcz niemożliwe i teraz możemy jedynie czekać. Chodź, pozwól, że cię nakarmię.

Odsunęła się od ściany, a ja cofnąłem się o krok, zachowując bezpieczną odległość.

– Nie musisz tu być. Powiedzieli, że to potrwa długie godziny.

– Wiem. Guz znajduje się w lewym nadnerczu i choć się zmniejszył, nadal istnieje realne niebezpieczeństwo, że straci nerkę. Dłuższa operacja będzie oznaczać, że zrobią wszystko, co w ich mocy, aby ją uratować i że dokładnie będą starali się usunąć każdy fragment nowotworu. Słuchałem, jak się rano przygotowywali.

Uśmiechnęła się smętnie.

– Często to robisz. Słuchasz. Zwracasz uwagę.

– A to źle?

– Nie. Tylko się zdziwiłam.

– Mam gdzieś, ile godzin to zajmie. Jestem tu i nie zamierzam cię zostawić.

Minęła cała wieczność, nim podjęła decyzję, aby nie tylko coś zjeść, ale by również mi uwierzyć. Zaufać, że mówiłem poważnie. Kiedy się zdecydowała, zgarbiła się, jakby trochę napięcia opuściło jej ciało.

– Dobrze. W takim razie na pewno przyda nam się kawa.

Ulga była słodkim smakiem w ustach i uczuciem pełności w sercu. Nie zdołałem nic z siebie wydusić, więc jedynie pokiwałem głową.

\* \* \*

– Co z tym miśkiem? – zapytałem dwie godziny później, gdy siedzieliśmy na kanapie w poczekalni z nogami na stoliku kawowym.

– Ach, to jest Colt – wyjaśniła Ella, czule głaszcząc puszystą, ukochaną zabawkę.

– Colt to... dziewczynka.

– Może Colt lubi róż. No wiesz, tylko prawdziwi mężczyźni potrafią nosić różowe rzeczy. – Zerknęła na mnie z ukosa.

– Zapamiętam.

Zjedliśmy niewielkie śniadanie, bo miała skurczony żołądek i zajęliśmy się rozmową. Przyszła nam bez wysiłku.

– Bliźnięta dostały misie od babci. Jednego różowego, drugiego niebieskiego, jak wszystko wtedy. Jednak Coltowi bardziej spodobał się różowy. Cały czas go ze sobą nosił, więc niebieski stał się Maisie. Kiedy miały po trzy lata, przyjechał Ryan i wziął Colta na kemping. Maisie wolała zostać w domu, więc jej pozwoliłam. Ale jej brat prawie odmówił

wycieczki. Siostra wiedziała, że to dlatego, że nie znosili rozłąki. Wzięła więc niebieskiego misia, powiedziała mu, że to Maisie i nakazała im jechać.

– Zatem to tak naprawdę miś Colta?

Przytaknęła.

– Dawał jej go, ilekroć jechała do szpitala, aby byli razem, a on ma niebieskiego w domu.

Tak, ból znów przeszył moje serce.

– Masz niesamowite dzieci.

Na jej twarzy zawitał szczery uśmiech, a mi dech niemal uwiązł w gardle, gdy lekko obróciła głowę, aby się nim ze mną podzielić.

– Tak, mam wielkie szczęście. Nie wiedziałam, jak sobie poradzę po odejściu Jeffa, ale bliźnięta były... wszystkim. To znaczy tak, cały czas mnie męczyły, krzyczały, brudziły, jednak nadały mojemu życiu kolorów. Nie pamiętam już, jak wyglądał bez nich świat, ale zdaję sobie sprawę, że nawet w połowie nie był tak barwny.

– Jesteś świetną matką.

Wzruszyła ramionami, ignorując komplement.

– Nie. Naprawdę – upierałem się. Chciałem, aby mnie usłyszała, żeby zrozumiała mój podziw.

– Chcę po prostu dać radę. – Spojrzała na zegar – jak co pięć minut, odkąd Maisie zniknęła za rozsuwanymi drzwiami.

– Ależ dajesz radę – potwierdziłem. Zamrugła, a ja przekląłem w duchu własny język. Wygadam się, jeśli nie będę ostrożny.

– Dziękuję – szepnęła, ale odwróciła wzrok, więc poznałem, że nie była tego pewna.

– To co teraz? Zagramy w Monopoly? W Życie? – zapytałem, starając się poprawić nastrój i rozproszyć jej myśli.

Wskazała na drewniane, leżące po drugiej stronie stolika pudełko.

– Scrabble. I musisz uważać, bo nie mam żadnych skrupułów przed skopaniem ci tyłka, nawet jeśli jesteś na tyle miły, by siedzieć tu ze mną przez cały dzień.

Nie byłem miły. Byłem kłamliwym manipulantem, który nie zasługiwał na przebywanie z nią w tym samym pomieszczeniu. Jednak nie mogłem tego jej powiedzieć. Zamiast tego wzięłem pudełko z grą i przygotowałem się na łomot.

\* \* \*

– Wychowywałeś się w rodzinach zastępczych? – zapytała Ella, gdy po raz sześćdziesiąty czwarty wycieraliśmy dziurę w tutejszej podłodze.

Operacja Maisie trwała już od sześciu godzin, jakiś kwadrans temu personel poinformował nas, że wszystko idzie dobrze i zespół usilnie stara się ocalić nerkę.

– Tak.

– W ilu?

– Szczerze mówiąc, nie pamiętam. Często byłem przenoszony. Zapewne dlatego, że niezłe ze mnie ziółko. Walczyłem z każdym, kto chciał mi pomóc, łamałem zasady i robiłem wszystko, by mnie wyrzucano, mając nadzieję, że mama w końcu po mnie wróci.

Nie spodziewałem się, że zrozumie. Większość osób, która wychowywała się w normalnych domach po prostu tego nie pojmowała.

– Ach, słodka nielogiczna logika dziecka – powiedziała.

Oczywiście, że rozumiała. To właśnie dlatego mnie do niej ciągnęło. Przez tę jej prostą akceptację w listach. Jednak z tego, co wiedziałem, zawsze była tak otwarta.

– Mniej więcej.

– Który dom był najlepszy? – zapytała, ponownie mnie zaskakując. Większość osób pytała o najgorszy, jakby moje życie miało stanowić pożywkę do plotek i zaspokajać ludzką chęć do nurzania się w tragediach innych.

– Och, ostatni. Byłem u Stelli niemal przez dwa lata, trafiłem do niej w piętnaste urodziny. Była jedyną osobą, z którą chciałem zostać. – Powróciły wspomnienia, niektóre bolesne, inne urocze, ale wszystkie nadgryzione zębem czasu.

– Dlaczego nie zostałeś? – Dotarliśmy do kolejnego korytarza i zawróciliśmy.

– Zmarła – odparłem, a Ella się zatrzymała, więc musiałem się obrócić. – No co?

– Bardzo mi przykro – wyznała, ściskając mój biceps. – W końcu znalazłeś kogoś tylko po to, by go utracić...

Instynktownie miałem ochotę otrzeć twarz i iść dalej, ale ani drgnąłem, bo mnie dotykała, bez względu na to, jak niewinnie.

– Tak. Naprawdę nie da się tego opisać.

– Jakby ktoś wziął do rąk twoje życie i potrząsnął nim jak śnieżną kulą – spróbowała. – Wydaje się, że potrzeba bardzo dużo czasu, by wszystkie płatki osiadły na spodzie, a kiedy się to stanie i tak nic nie jest na swoim miejscu.

– No właśnie.

Uchwyciła to uczucie z precyzją kogoś, kto tego doświadczył. Jak to się stało, że nigdy nie spotkałem nikogo, kto rozumiałby moje życie, a mimo to ta kobieta opisała je w okamgnieniu?

– Chodź, jeszcze nie przetarliśmy tego linoleum – powiedziała i rozpoczęliśmy sześćdziesiąte piąte okrążenie.

Poszedłem za nią.

\* \* \*

– To trwa już zbyt długo. Dlaczego to tyle trwa? Coś się dzieje? – Ella chodziła tam i z powrotem po poczekalni.

– Od jakiegoś czasu nie informowali nas o tym, co się dzieje. Może kończą. – Obserwowałem ją, opierając się o parapet. Była spokojna, nawet opanowana, aż nadeszła planowana godzina końca operacji.

Kiedy tylko minęło od niej sześćdziesiąt minut, w Elli coś pękło.

– To już jedenaście godzin! – krzyknęła i złapała się za głowę. Dawno już rozpuściła włosy, które w tej chwili miała rozczochrane.

– Tak.

– A operacja miała trwać dziesięć! – Patrzyła szeroko otwartymi, pełnymi paniki oczami, za co nie mogłem jej winić. Do diabła, wokalizowałem myśli, które kołatały się i w mojej głowie.

– Wszystko w porządku, państwo MacKenzie? – Spojrzała na nas pielęgniarka. – Mogę coś dla państwa zrobić?

– Nie je...

– Tak, mogłaby się pani dowiedzieć, co dzieje się z moją córką. Jej operacja miała skończyć się już godzinę temu, a nadal nie dostaliśmy informacji. Żadnej. Czy wszystko w porządku?

Na twarzy kobiety odmalowało się współczucie. Ella nie była pierwszą matką, która panikowała w poczekalni i na pewno nie będzie ostatnią.

– Pójdę sprawdzić. Wrócę do państwa z jakimiś wieściami.

– Bardzo proszę. I dziękuję. – Nieco złości opuściło oczy Elli.

– Nie ma za co. – Pielęgniarka posłała jej kojący uśmiech i odeszła.

– Boże, zaraz oszaleję – powiedziała Ella ledwie słyszalnym głosem.

Pokręciła głową, walcząc z drżeniem dolnej wargi. Odsunąłem się od okna i w czterech długich krokach podszedłem do niej, nie przestając myśleć o tym, kim byłem i za kogo mnie miała. Objąłem ją i przytuliłem do piersi, jak chciałem od chwili, gdy pierwszy raz ją zobaczyłem.

– Nie byłabyś dobrą mamą, gdybyś trochę nie odchodziła od zmysłów – szepnąłem, gdy się przy mnie odprężyła.

– Chyba zaraz oszaleję i trafię do psychiatryka – wymamrotała w moją klatkę piersiową, po czym obróciła głowę i oparła policzek tuż pod moim obojczykiem.

Szlag, pasowała do mnie dokładnie tak, jak się spodziewałem – idealnie. W innym życiu właśnie w ten sposób stawialibyśmy czoła wszystkim wyzwaniom. Ale w nim Maisie była zdrowa, a Mac żył. W tym natomiast... cóż, nie odwzajemniła uścisku. No tak, bo przecież przyciskałem jej ręce między nami. Czy mnie odpychała? Czy byłem aż tak nieczuły?

Ta świadomość mocno we mnie uderzyła, więc natychmiast rozluźniłem uchwyt. Co ja sobie myślałem? To, że chciała, bym z nią został, nie oznaczało, że pragnęła, bym jej dotykał. Pocieszałem ją tu jako jedyny i byłem wdzięczny za tę możliwość, ale zdawałem sobie sprawę, że gdyby mogła decydować, wcale by mnie nie wybrała.

– Nie puszczaj – szepnęła. Nadal trzymała dłonie między nami, ale czułem, że nie chce się odepchnąć, po prostu położyła je na moich mięśniach piersiowych. Jeśli już, jeszcze bardziej się przysunęła. – Zapomniałam już jak to jest.

– Gdy ktoś cię tuli? – wychrypiałem.

– Kiedy ktoś trzyma mnie w całości.

Nigdy wcześniej jedno zdanie nie powaliło mnie emocjonalnie na kolana.

– Mam cię. – Zacisnąłem uchwyt, rozkładając palce jednej dłoni pomiędzy jej łopatkami, drugiej obejmując jej głowę. Wykorzystując własne ciało, otoczyłem ją czymś, co wyobrażałem sobie jako mur, który zdoła powstrzymać czekające ją cierpienie. Oparłem podbródek na czubku jej głowy i wraz z upływem czasu czułem, jak się we mnie wtula.

Chociaż nie mogłem jej tego wyznać, kochałem ją. Zebrałbym dla niej armię, zabijałbym, oddałbym za nią życie. Nie było większej prawdy, a także żadnej innej, którą mógłbym jej ofiarować, ponieważ ona była szczera, silna, dobra, a ja byłem kłamcą, który skrzywdził ją już w najgorszy możliwy sposób. Nie miałem prawa jej tak tulić, a co gorsza nie zamierzałem jej puścić.

– Pani MacKenzie? – Pielęgniarka wróciła w towarzystwie chirurga Maisie. – Złapałam pana doktora, gdy wychodził z sali operacyjnej.

– Tak? – Ella obróciła się w moich ramionach, więc ją puściłem, ale wzięła mnie za rękę i ścisnęła tak mocno, że zacząłem się martwić o napływ krwi do palców.

Chirurg się uśmiechnął i poczułem ulgę potężniejszą niż wtedy, gdy wychodziłem bez szwanku z pola walki.

– Wycięliśmy guz w całości. Był trudny, musieliśmy poświęcić dłuższą chwilę jej lewej nerce, ale udało nam się ją ocalić. Ma pani dość upartą córkę. Obecnie znajduje się w sali pooperacyjnej. Kiedy się wybudzi, będzie mogła się pani z nią zobaczyć, ale proszę się nie spodziewać, że na długo odzyska przytomność.

– Dziękuję. – Elli załamał się głos, jednak w tym pojedynczym słowie zawierały się uczucia, o których normalnie można by opowiadać godzinami.

– Nie ma za co. – Chirurg ponownie się uśmiechnął, na jego twarzy widoczne było wyczerpanie, nim wyszedł z poczekalni.

– Nic jej nie jest. – Ella zamknęła oczy.

– Tak.

– Naprawdę nic jej nie jest – powtórzyła, następnie jakby ktoś usunął to, co trzymało ją w pionie, opadła, gdy ugięły się pod nią kolana. Złapałem ją, zanim uderzyła o podłogę i przyciągnąłem do siebie. – Nic jej nie jest. Nic jej nie jest – powtarzała w kółko, aż słowa przeszły w gwałtowny szloch.

Wzięłem ją na ręce, na co wtuliła twarz w moją szyję, a jej gorące łzy skapywały na moją skórę i koszulkę. Usiadłem na kanapie, sadzając ją sobie na kolanach, gdy drżała, mocno płacząc.

Łkała w sposób, który przypominał mi otwieranie zaworu w szybkowarze – jakby wszystko zbyt długo pozostawało uwięzione w środku. I chociaż ulga po udanej operacji nadal była cudowna, wiedziałem, że czekało ją jeszcze dużo trudnych momentów. To tylko chwilowa przerwa w walce, która zapewniała cenny czas na złapanie oddechu.

– Mam cię. Nic jej nie jest – powtórzyłem, głaszcząc ją po włosach. – I tobie również. – Mówiłem w czasie terażniejszym, bo tylko to byłem jej w stanie obiecać.

W tej chwili Demolka była bezpieczna z Coltem, Maisie wycięto guz, a Ella wtulała się we mnie i to mi wystarczyło.



# ROZDZIAŁ 11

ELLA

List #21

*Ello,*

*tak, mogę sobie wyobrazić, że chłopak z biblioteki zaprosił Cię na randkę. I nie, nie sądzę, że to dziwne ani że to żart. Dlaczego miałyby nim być? Przecież widziałem Twoje zdjęcia i tak, daje mi to przewagę. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale naprawdę niczego Ci nie brakuje.*

*Śmiało, podaj wymówki. Tak, masz dwoje dzieci i tak, jedno ciężko chore. Prowadzisz pochłaniający czas biznes i z tego co mi wiadomo, masz tendencję do stawiania swoich potrzeb na ostatnim miejscu, kiedy się nad czymś zastanawiasz.*

*Ale posłuchaj – albo przeczytaj – nic z tego nie sprawia, że nie nadajesz się do chodzenia na randki, jak to określiłaś. Wiesz, kto nie powinien na nie chodzić? Ktoś samolubny lub oddający się drobnym, nic nieznaczącym rzeczom w życiu. Dla mnie najbardziej atrakcyjną cechą kobiety jest zdolność do poświęceń, a Ty, Ello, dokonałaś już ich na pęczki.*

*Rozumiem, że odkąd zostawił Cię Jeff, z nikim się nie spotykałaś. Pojmuję, że przez ostatnie pięć lat pochłonęło Cię wychowywanie dzieci, budowanie firmy i pomaganie bliskim. Jednak nie oznacza to, że nie możesz się otworzyć na nową znajomość. Zwłaszcza teraz.*

*Nie powiem, że potrzebujesz kogoś, kto by Cię wspierał, bo wiem, że stałaś się ekspertką w samodzielnym radzeniu sobie ze wszystkim, ale w obliczu tego, z czym się zmagasz, wydaje mi się, że dobrze by było, byś miała kogoś, na kim będziesz mogła polegać w chwilach, w których poczujesz, że to niemożliwe. Idź z tym facetem na kolację, Ella. Nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, dasz odpowiedź światu. Nie możesz odrzucać wszystkich dobrych rzeczy, które Ci podsuwa, bo boisz się tego, co się stanie lub do czego nie dojdzie. Tak postępują jedynie tchórze, a Ty do nich nie należysz.*

*Szczerze mówiąc, kto by się w Tobie nie zakochał? Piszemy do siebie od trzech miesięcy, a ja już jestem w Tobie zadurzony, chociaż nigdy się nie*

*spotkaliśmy. Daj tamtemu facetowi – i sobie – szansę na szczęście, bo na to zasługujesz.*

*Albo poczekaj do stycznia, gdy przypadkowo pojawię się na Twoim progu.*

*Przemyśl tę sprawę*

*Chaos*

---

**C**hcesz jeszcze coś? – zapytałam Maisie, podając jej iPada. Znajdowała się w salonie w głównym budynku, zawsze mogąc zawołać przebywające w sąsiednich pomieszczeniach kobiety – Hailey i Adę.

– Nie-e – odparła, przeciągając ostatnią literę, gdy otwierała poleconą jej przez nauczycielkę aplikację.

– Z brzuchem wszystko w porządku? – Od operacji minęły dwa tygodnie i chociaż blizna po cięciu jawiła mi się niczym wielki, różowy wąż, to mała zarzekała się, że już prawie nic ją nie bolało.

Może przez to, że przespała kilka dni po operacji, a może przez obolałe gardło po dwunastogodzinnej intubacji, albo sondę, którą przez wiele dni podawano pokarmy, ale trudno mi było jej uwierzyć. A może miałam dużo mniejszą tolerancję na ból niż ona.

– Nic mi nie jest, mamę. Nie mam mdłości ani nic z tych rzeczy. Naprawdę jest w porządku. Idź. – Spojrzała na mnie. – Poza tym, kiedy tylko wyjdiesz, Ada da mi lody bez cukru.

– Nie sądzę, że powinnaś mi o tym mówić. – Parsknęłam śmiechem i pocałowałam ją w głowę, która wciąż była lśniąca i gładka. Z pewnością zmiana jej diety stanowiła dla nas wyzwanie. – Wiesz, dlaczego nie możesz jeść cukru, prawda?

– Mówiłaś, że cukier karmi potwora we mnie. A nawet jeśli w dużej mierze go wycięto, resztę mam we krwi. Więc nie mogę karmić potwora.

– Tak. Przykro mi, Maisie.

Patrzyła na mnie oczami starszymi o całe dekady.

– To nic. Potwór nie lubi takich lodów.

Ponownie ją pocałowałam i wyszłam, wzięwszy segregator i dawszy Adzie znać, że znikam.

Zatrzymałam się na moment przed lustrem w holu, starając się poprawić napuszone włosy, które wymknęły się z warkocza.

– Przestań. Bez względu na to, co starasz się zrobić, wciąż pięknie wyglądasz – wytknęła Hailey, stając za mną.

– Ha, nawet nie pamiętam, kiedy po raz ostatni byłam na siłowni czy się pomalowałam. Wystarczy, że nie będę wyglądać jak psychopatka. Zdecydowanie nie jestem piękna.

Oparła podbródek na moim ramieniu i spojrzała na mnie w lustro.

– Piękno bije z ciebie niezależnie od sytuacji.

– Chcesz podwyżki? – droczyłam się.

– Nie. Mówię prawdę. A teraz idź już, nim się spóźnisz. Zajmiemy się z Adą Maisie. Nie musisz się martwić.

– Zmartwienie stało się moją podstawową emocją.

Przez chwilę mi się przyglądała, po czym jej oczy się rozpozodziły, jakby zamierzała powiedzieć coś niedorzecznego.

– Mam zarąbisty pomysł.

– Hailey... – jęknęłam. Przyjaźniłyśmy się, ale jej definicja dobrej zabawy nie pokrywała się z moim życiem.

– Umówmy się na podwójną randkę. Zaproszę Luke'a, a ty Becketta. Możemy iść do kina albo na kolację, albo pojechać do baru karaoke w Mountain Village.

– Do baru? – zapytałam tonem sugerującym, co dokładnie o tym myślałam. To dla beztroskich ludzi, którzy nie mieli dzieci. Ani raka. Ani dzieci z rakiem. Dla normalnych dwudziestopięcioletków.

– Tak, do baru, bo jeśli komukolwiek przydałby się drink, to właśnie tobie, Ella. I wiem, że Beckett z pewnością by z tobą wyszedł.

Spięłam się.

– Nic między nami nie ma. – Na samą myśl o mężczyźnie poczułam, że się rumienię.

– Facet nie spuszcza cię z oka, ilekroć znajdujecie się w tym samym pomieszczeniu. No weź, ile razy pojechał do Denver po operacji Maisie?

Odwróciłam się od lustra, aby stanąć twarzą do niej.

– Trzykrotnie.

– W ciągu dwóch tygodni.

I za każdym razem, gdy przyjeżdżał, moje serce głupio przyspieszało. W dniu operacji małej coś się między nami zmieniło. Nie chodziło tylko o to, że tam był, ale o to, że tego chciałam. Po raz pierwszy podczas leczenia Maisie pozwoliłam sobie nie tylko wesprzeć się na kimś, ale dałam mu pozbierać mnie do kupy.

Tego ranka, gdy zrobił nam niespodziankę i przyjechał z Coltem – jakieś trzy dni po operacji – serce tak bardzo mi urosło. Wydawało się, że dokładnie wie, czego mi trzeba, a także czego potrzebuje moja córeczka. Zapewniał nam to, nim któraś z nas zdażyła go o coś poprosić.

– Tak, w ciągu dwóch tygodni, ale nie było w tym nic romantycznego.

– Aha.

– Nie było! Przyjechał tu, bo Ryan go o to prosił. I tyle. Nic więcej. – Przynajmniej tak sobie wmawiałam, ilekroć obserwowały mnie te zielone oczy.

– I nie uważasz go za atrakcyjnego, prawda?

– Ja... – ciemnozielone oczy o barwie sosnowych igieł, gęste włosy, duże ramiona, brzuch jak tarka, zwięzający się do... Szlag. – Oczywiście, że uważam. Widziałam go. – *I tuliłam się do niego.*

Czułam jego ciało, gdy opiekuńczo mnie obejmował – mocno, ale nie zaborczo, jakby wiedział, że musi mnie trzymać, bym się nie rozpadła. Czułam delikatność jego palców, gdy ocierał mi łzy. Czułam jego radość, gdy Colt położył się obok Maisie i ją tulił. Czułam ogrom jego miłości, do której był zdolny, chociaż nie chciał tego przyznać.

Tak, czułam zbyt wiele, jeśli chodziło o Becketta.

– No tak. Musiałabyś być martwa, by nie zauważyć, bo jest przystojny, Ella. I to nie w obrzydliwie miły sposób. Jest tak apetyczny, że mógłby wziąć kobietę na blacie w kuchni

i zrobić jej dziecko. W dodatku zaczyna odpowiadać więcej niż jednym słowem, co wskazuje na potencjał w kwestii przyszłych rozmów.

Uderzyło we mnie coś okropnego, co zaraz jednak zniknęło. *Zazdrość*. Przecież nie miałam powodu być zazdrosna o Hailey. Jasne, była piękna, wolna, nie miała tak wielkiego bagażu, że na czole dyndała jej plakietka z danymi właściciela, ale kiedy wróciliśmy z Denver, całkowicie przestała umizgiwać się do Becketta. I nie chodziło o to, że nie była nim zainteresowana. Słyszałam wczoraj plotki w kawiarni – połowa Telluride zaczęła się interesować nowym członkiem ekipy poszukiwawczo-ratowniczej.

Ale dlatego, że Hailey sądziła, że być może ja zechcę go dorwać.

– Od zawsze udzielał rozbudowanych odpowiedzi, a ja już mam dzieci, pamiętasz? A jeśli już przy nich jesteśmy, jeżeli natychmiast nie wyjdę, spóźnię się na to spotkanie.

– Dobra, biegnij, ale ten facet mieszka po sąsiedzku i będziesz musiała uporać się jakoś z tym wszystkim – wskazała na moją czerwoną twarz.

Ktoś wszedł, przy czym zadzwonił zawieszony nad drzwiami dzwonek, który wybierałam tak wiele godzin.

– Zostałaś ocalona – szepnęła Hailey, nim odwróciła się do naszego nowego gościa. – Witamy w Samotni! Zapewne pan Henderson. Domek już na pana czeka. – Uśmiechała się szeroko do dwudziestokilkulatka o wyglądzie hipstera.

Zbliżał się sezon letnich wędrówek po górach.

Skorzystałam z okazji, porwałam segregator i wyszłam.

Była dziesiąta trzydzieści jeden, gdy podjechałam pod szkołę podstawową i tym razem jak na przykładnego rodzica przystało, zaparkowałam na jednym z wyznaczonych miejsc i siedziałam minutę w aucie, chociaż już byłam spóźniona.

– Ella! – Jennifer uśmiechnęła się do mnie przez szybę, gdy weszłam do szkoły. – Wszystko przygotowane.

– Cześć. – Wpisałam się i weszłam, kiedy usłyszałam bzyczenie zamka w drzwiach.

– Jak się czuje Maisie? – zapytała, gdy prowadziła mnie do sali, która znajdowała się zaraz za biurkiem dyżurki.

– Dobrze, dziękuję. Operacja się udała, mała jest gotowa do powrotu w poniedziałek do szkoły.

– Naprawdę? Tak szybko? Cudownie.

– Zdziwiłabyś się, jak szybko zdrowieją dzieci. Dopóki nie spadnie poziom jej leukocytów, będzie tu bezpieczna.

– Nie wierzę, że tak szybko pokonała chorobę!

O nie. Widziałam to w jej oczach i tak bardzo nie chciałam tego zniszczyć.

– Nie, Jen. Wycięto guz i to w całości, ale to czwarte stadium. Szpik kostny nadal w przeważającej większości zajęty jest przez komórki rakowe. Przeszła dopiero pierwszy krok.

Posmutniała.

– Oj, tak mi przykro. Chyba nie zrozumiałam.

Posłałam jej kojący uśmiech.

– Nie przejmuj się. Niewielu rozumie i mam nadzieję, że nigdy nie będą musieli. A Maisie walczy.

Zacisnęła usta w wąską linię, nim pokiwała głową.

– Oczywiście. – Otworzyła drzwi do sali konferencyjnej, a ja przechodząc, ścisnęłam jej dłoń, zapewniając, że nie musi wstydzić się swoich słów.

– Ach, panna MacKenzie, cieszę się, że pani dotarła – powiedział siedzący u szczytu stołu dyrektor. Krawat miał równie gładki jak wyraz twarzy.

Najwyraźniej chodziło dziś o poważną sprawę.

– Panno May. – Uśmiechnęłam się do nauczycielki Maisie i Colta. Była przed trzydziestką, syn wyrażał się o niej w samych superlatywach. Dopadły mnie wyrzuty sumienia z powodu tego, jak bardzo nie angażowałam się w tym roku w szkolne życie dzieci.

Tak, najwyraźniej nie będę najbardziej uhonorowaną członkinią komitetu rodzicielskiego. Nie będę też najwspanialszą matką. Byłam pewna, że zasłużyłam na nagrodę dla nieistniejącej mamy.

– A to pan Jonas, który przyjechał z okręgowego kuratorium. – Dyrektor ruchem głowy wskazał na starszego mężczyznę po mojej lewej stronie, który spojrzał na mnie, zaciskając usta, przekształcając wyraz w wymuszony uśmiech.

– Dzień dobry panu.

Zajęłam miejsce na końcu stołu, zostawiając dwa puste krzesła między mną a tym, co zdawało się być armią, która zebrała się przeciwko mnie, a raczej Maisie. Dźwięk otwieranego w tej ciszy segregatora był niemal obscenicznie głośny.

– Zatem, panno MacKenzie...

– Ello – poprawiłam.

– Ello – powtórzył, kiwając głową. – Musieliśmy się dziś spotkać ze względu na niską frekwencję Maisie. Jak ci wiadomo, musi być obecna w przedszkolu przez przynajmniej dziewięćdziesiąt procent zajęć. W tej chwili, to gdy nie było jej całymi dniami lub musiała wyjść wcześniej, albo się spóźniała, daje wynik siedemdziesięciu procent obecności.

– Okej? – Przerzuciłam kartki, na których zapisałam, kiedy chodziła do przedszkola.

– Wydaje nam się, że musimy w tej chwili przedyskutować czekające ją możliwości – powiedział dyrektor, poprawiając okulary i otwierając leżącą przed nim szarą teczkę.

– Możliwości – powtórzyłam, starając się zrozumieć.

– Nie spełnia wymogów promocji – powiedział miłym głosem pan Jonas, ale z jego oczu wyczytałam, że już podjął decyzję.

– Tak. – Dotarłam do listu, który trzymałam w koszulce i wyjęłam go z segregatora. – Oczywiście zgadzam się, że nie spełnia wymogów, ale w liście z listopada dystrykt zapewnił, że nie będzie tego od niej wymagał. Zasada podlega uchyleniu z powodu ciężkiej choroby, a kuratorium na to przystało.

Przesunęłam list po blacie. Panna May go wzięła i podała mężczyźnie, posyłając mi współczujący uśmiech.

– Rzeczywiście, przystaliśmy. I nie jesteśmy tutaj, aby stawiać ultimatum – zapewnił dyrektor. – Chcielibyśmy omówić to, co najlepsze dla Maisie. Zgodziliśmy się na te warunki, nie bacząc na długoterminową przyszłość twojej córki.

Ponieważ nie sądzili, że tak długo przeżyje.

– To, co najlepsze dla Maisie... – powtórzyłam cicho. – To znaczy brak czwartego stadium neuroblastomy? Bo zdecydowanie muszę się z tym zgodzić. Rak nie leży w jej najlepszym

interesie.

Pan Jonas odchrząknął i pochylił się do przodu, kładąc pomarszczone dłonie na blacie.

– Bardzo pani współczujemy, panno MacKenzie. Pani córka znalazła się w naprawdę tragicznej sytuacji.

Zjeżyłam się, prostując plecy.

– Nie jest tragiczna, panie Jonas. Ona nie umarła.

– Oczywiście, że nie, moja droga. Nie twierdzimy, że cokolwiek w tej sytuacji jest fair, ale, prawdę mówiąc, Maisie może nie być gotowa, by pójść do pierwszej klasy.

„Moja droga” – jakbym była dziewczynką, która prosi o nową lalkę. Do diabła z nimi.

– Zrobiliśmy wszystko, co nam nakazano. Panna May bardzo nam pomagała, zapewniała, że mała jest gotowa.

– Bo jest. – Panna May przytaknęła.

Dyrektor westchnął, zdjął okulary i wyczyścił wyimaginowaną plamę.

– Spójrzmy na to z innej strony. Może nam pani powiedzieć, na jakim etapie leczenia jest córka? Czego możemy się spodziewać w ciągu kolejnych kilku miesięcy?

Przerzuciłam kartki, aż do planu leczenia, zdając sobie sprawę, że doszliśmy do punktu, w którym nie byłam pewna, co dalej. Znajdowałyśmy się z Maisie na rozdrożu.

– Dwa tygodnie temu przeszła poważną operację. Wszystko wspaniale się goi, może wrócić do szkoły już w ten poniedziałek. Za tydzień czeka nas kolejna chemia, więc jak już wiecie, nie będzie jej przez tydzień. Mamy nadzieję, że poziom leukocytów pozostanie na tyle stabilny, że będzie mogła wrócić na koniec szkoły, ale jeszcze nie wiadomo. Potem będą wakacje. Dowiem się czegoś więcej, gdy pojedziemy na chemię i spotkam się z jej onkologiem.

Mężczyźni wymienili spojrzenia, przez które czułam się, jakbym nie siedziała po drugiej stronie stołu, ale po drugiej stronie pola bitwy. Zaszła we mnie zmiana – która rozpoczęła się w chwili, kiedy pierwszy raz trzymałam dzieci na rękach – niczym elementy pancerza, które wskoczyły na swoje miejsca i byłam gotowa do zaciętej obrony mojej córki.

– Myślała pani o tym, by powtarzała przedszkole? Jeśli jej sytuacja się poprawi i w przyszłym roku będzie w pełni obecna, na pewno jej to nie zaszkodzi. Oczywiście nie będziemy pani do tego zmuszać, ale warto się nad tym zastanowić. Właściwie wielu rodziców z różnych powodów zatrzymuje dzieci na etapie przedszkolnym. Z pewnością pani córka przez medyczną procedurę kwalifikuje się...

Pęklam.

– Z całym szacunkiem, ale to nie była żadna procedura medyczna. To była dwunastogodzinna ratująca życie operacja, w której usunięto z nadnercza mojej córki guz wielkości piłeczki tenisowej. To nie jest dla nas niedogodność... To rak. I nie, w następnym roku nie będzie lepiej. Maisie walczy o życie, więc proszę mi wybaczyć, że nie podzielałam państwa wątpliwości w kwestii tego, że mogła przegapić ten krytyczny dzień w przedszkolu, w którym omawiany był cykl życiowy motyla. Statystycznie rzecz ujmując, może nawet była na tej lekcji... – Poczulałam ucisk w gardle, z którego nie chciały wyjść słowa, jakich nie wypowiedziałam od dnia, gdy przekazano mi rokowania. – Przyszły rok może wcale nie być lepszy.

– A pani nie chce, aby go powtarzała. – Dyrektor zapisał coś na kartce.

– To przedszkole. Naprawdę uważacie, że musi? – Powtarzanie klasy byłoby trudne do przełknięcia zarówno dla Maisie, jak i dla Colta. Oznaczałoby, że już nie będą razem się uczyć, więc kiedy pokona raka, nadal będzie musiała mierzyć się z tymi konsekwencjami.

– Nie – odezwała się panna May. – Jest bystra, świetnie sobie poradzi w pierwszej klasie – zapewniła mężczyzn, którzy przez chwilę cicho się naradzali, po czym na mnie spojrzeli.

– Chcielibyśmy zaproponować pani rozwiązanie. Przenieść ją na nauczanie domowe. Przedszkole nie jest takim wyzwaniem jak pierwsza klasa, a zdajemy sobie sprawę, że w przyszłym roku będzie potrzebowała większej elastyczności.

– Chcecie pozbyć się jej ze szkoły.

– Uczyć ją w domu – poprawił pan Jonas. – Nie jesteśmy przeciwko pani, panno MacKenzie, ani przeciwko Maisie. Naprawdę staramy się znaleźć najlepsze wyjście z tej sytuacji. Nie uczestniczy w lekcjach tyle, ile powinna, a w przyszłym roku obciążenie nauką znacznie wzrośnie. Dodajmy do tego ryzyko z jej osłabionym układem odpornościowym, kłopot dla personelu oraz zdenerwowanie innych uczniów, a być może takie rozwiązanie będzie lepsze dla wszystkich, w tym samej Maisie. Gdyby uczyła się w domu, mogłaby pani bezproblemowo dostosować to do planu jej leczenia.

Inne matki dzieci z rakiem tak właśnie zrobiły. Rozmawiałam z kilkoma, ale zawsze wydawało mi się to rozwiązaniem do zastosowania w ostateczności... kiedy dzieci były umierające. Nie chodziło o fizyczny akt usunięcia dziecka ze szkoły, ale o emocjonalną wiedzę, że ono nie może już do niej chodzić.

A to było równie druzgocące dla nas wszystkich – Maisie, Colta i mnie.

Jednak uwolniłoby ją od stresu w dni, w które nie miała siły podnieść się z łóżka. W poranki, gdy zapłakana wisiała nad toaletą, po czym patrzyła na mnie i twierdziła, że da radę.

– Co by to dokładnie oznaczało?

– Mogłabym ją uczuć – zaproponowała panna May. – Przyjeżdżałabym do państwa popołudniami w dni, w które dobrze by się czuła. Byłaby na bieżąco z materiałem, ale zwolniona z wymaganych godzin lekcyjnych. Wspólnie dostosowałybyśmy program.

– Mogę to przemyśleć?

– Oczywiście – odparł pan Jonas, oddając mi list, który dostałam od nich jeszcze przy wczesnym etapie diagnozy.

Umówiliśmy się zatem na kolejne spotkanie, po czym panna May mnie odprowadziła. Byłam odrętwiała, a może chodziło o to, że w ciągu ostatniego pół roku tak często i mocno obrywałam po głowie, że teraz nie czułam już nic.

– Colt właśnie ma mieć przerwę na lunch, więc może się pani z nim zobaczyć – powiedziała.

Colt. Właśnie jego w tej chwili potrzebowałam.

– Tak, chciałam z nim porozmawiać.

Lekko ścisnęła moją dłoń.

– To fenomenalne dziecko. Dobre, współczujące. Broni słabszych.

Natychmiast się uśmiechnęłam.

– Poszczęściło mi się z nim.

– Nie. Jest tak wspaniały, bo ma wyjątkową mamę. Proszę w całej tej sytuacji o tym nie zapominać. Jest pani wspaniałą matką.

Nie mogłam wymyślić nic, co temu by przeczyło, więc po prostu ścisnęłam jej rękę.

Stałam z kilkoma innymi mamami, które czekały przed stołówką na swoje dzieci. Niektóre również należały do komitetu rodzicielskiego, jeździły czystymi minivanami, nosiły kolorowe terminarze, ubierały się stylowo. Jedne znałam, inne nie.

Spojrzałam na swoje trampki, znoszone dżinsy, koszulkę z długimi rękawami i poczułam się... zaniedbana. Nigdy nie byłam fanką odpuszczania pielęgnacji, ale w tej chwili? Tak, zrozumiałam. Nie pamiętałam, kiedy po raz ostatni byłam u fryzjera, czy poświęciłam czas, aby zrobić makijaż składający się z czegoś więcej niż korektora pod oczy i tuszu do rzęs. W ratowaniu życia Maisie to przecież nie miało żadnego znaczenia, ale teraz czułam się jak Kopcuszek przy kobietach, które równie dobrze mogły mieć na sobie suknie balowe.

– O, Ella! Miło cię widzieć! – zawołała Maggie Cooper, chwytając się za serce, przy czym pokazała pierścionek z brylantem większym niż jej knykieć. Była starsza od Ryana, wyszła za mąż za jednego z biznesmenów z resortu narciarskiego. Niemal spodziewałam się, że ogłoszenie zaręczyn przybierze nagłówek: „Lokalna dziewczyna złapała niezłą sztukę”.

– Ciebie również, Maggie. Jak tam... – Kurde, jak miał na imię jej syn? Ten niegrzeczny, który pomalował plecak Maisie flamastrami spirytusowymi, uważając, że to urocze, bo chciał od niej buziaka? Doug? Deacon? – Drake? – *Uff*.

– Super! Wymiata na pianinie i nie może się doczekać treningów piłki nożnej. Zaczynają się w przyszłym tygodniu, gdyby Colt też chciał grać. Słuchaj, chciałam zapytać, myślałaś o holistycznym leczeniu Maisie? Przecież te wszystkie leki tak naprawdę zatruwają organizm. Czytałam na pewnym blogu o jedzeniu samego manioku. Zainteresowałam się tym. Podeszłam ci adres, jeśli chcesz.

*Jaaasne*. Na szczęście nauczyłam się w takich chwilach przybierać sztuczny uśmiech i kiwać głową.

– Pewnie, Maggie. Byłoby świetnie. – Przez ostatnie pół roku doświadczenie pokazało, że najłatwiej poradzić sobie ze wszystkimi życzliwymi radami, dziękując ich autorom i niezobowiązująco zgadzać się przeczytać o wszystkich wynikach badań na temat zbawiennej mocy jadu węża, czy na co tam akurat wpadli.

Na szczęście dzieci z klasy mojego syna wyszły z za rogu, niosąc pudełka śniadaniowe lub karty, na które otrzymywały posiłki.

– Świetnie! Znalazłam też kilka porad na temat organicznego żywienia. Powinno być dobre dla dziecka z białaczką.

– Z nerwiakiem zarodkowym – rzuciłam ponad głowami uczniów, którzy zapełnili korytarz. – Ma neuroblastomę.

– Ach, racja. Mylą mi się te skomplikowane nazwy nowotworów. – Zbyła to gestem, jakby naprawdę nie stanowiło to żadnej różnicy.

– Boże, a kto to? – pisnęła stojąca obok mnie matka, patrząc w głąb korytarza.

Obróciłam się i zobaczyłam, że z sali lekcyjnej wychodzi Colt ze stuwatowym uśmiechem na twarzy, obok niego człapie prowadzona przez Becketta Demolka. Becketta, który ma na sobie robocze bojówki oraz granatową koszulkę z logo ekipy ratowniczej z Telluride, która opina mu się na klatce piersiowej i wokół bicepsów.



– Nie mam pojęcia, ale się piszę – odparła Maggie, wpatrzona w Becketta, zamiast w syna, który do niej podszedł.

Towarzysz mojego szkraba przytaknął na coś, co ten mu powiedział, po czym zerwał mu czapkę z głowy i założył mu ją daszkiem do tyłu. Ech, moje głupie serce fiknęło koziołka na ten widok i rozgorzało we mnie nastoletnie zadurzenie, na które zdecydowanie nie miałam teraz czasu.

– Poważnie. – Westchnęła nieznajoma mi matka. – Świeżak?

– Na pewno sezonowy – poinformowała ją Maggie.

Beckett spojrział na mnie, a natychmiastowy uśmiech zmienił jego twarz z zamyślanej w seksowną. Kiedy po raz ostatni myślałam w ten sposób o jakimś facecie? O Jeffie? Przyznanie się do tego w duchu pobudziło mrowienie w podbrzuszu i poczułam się, jakby mój popęd seksualny właśnie obudził się po siedmiu latach uśpienia.

– Mama! – Colt podbiegł do mnie i mijając kolegów z klasy, wskoczył mi w ramiona.

Z łatwością go złapałam i przytuliłam do siebie. Przez chwilę martwiłam się, że przegięłam, bo przecież był już duży, ale jakby to wyczuł, opuścił głowę i się we mnie wtulił.

– Cieszę się, że jesteś – powiedział i go opuściłam.

– Ja też. – Głos Becketta opłynął mnie jak czysty cukier, jednocześnie chropowaty i słodki.

Kątem oka dostrzegłam, że Maggie opadła szczęka, a potem kobieta zniknęła, miejmy nadzieję, że na stołówce, chociaż wiedziałam, że niebawem rozniosą się plotki.

– Co tu robicie we trójkę? – Pochyliłam się i podrapałam Demolkę za uszami. – Cześć, mała.

– Pan Beckett przyszedł, by opowiedzieć o swojej pracy! – wykrzyknął z ekscytacją Colt.

*O Boże, zapomniałam.*

– Rety, całkowicie wyleciało mi to z głowy, że miałaś dziś o czymś opowiedzieć. Bardzo cię przepraszam. – Czy w którejś chwili przestanę wszystko chrzanić i się pozbiierać?

– Nie, mam, wszystko w porządku! W zeszłym tygodniu pan Beckett powiedział, że przyprowadzi Demolkę, więc wymazałem ci to z kalendarza w kuchni. Było spoko! Aportowała zabawkę, a potem pan Beckett ukrył mnie na drzewie i powiedział, by mnie szukała, a ona mnie znalazła! To najlepsza prezentacja w tym roku!

– Bardzo się cieszę! – Naprawdę czułam radość. Wyrzuty sumienia zniknęły na cenną sekundę i z wdzięcznością popatrzyłam na Becketta. – Dziękuję – powiedziałam cicho.

Lekko unióś kąciki ust, co nie do końca było uśmiechem, ale czymś łagodniejszym, bardziej intymnym i nieskończenie bardziej niebezpiecznym.

– Zrobiłem to z ogromną radością.

– Przyszłam na spotkanie w sprawie Maisie, ale chciałam też zobaczyć się z Coltem – wyznałam.

Zmarszczył brwi.

– Wszystko w porządku?

Zanim zdołałam odpowiedzieć, pojawiła się przy nas Maggie ze świeżą warstwą błyszczyka na ustach oraz ulotką w ręce. Stała tak blisko, że niemal się między nas wcisnęła.

Beckett natychmiast się spiął.

– Och, Ella – powiedziała – zanim zapomnę, masz tu informacje w kwestii drużyny piłkarskiej. Wiem, że Colt chciał grać w wiosennej lidze, ale wszyscy rozumiemy, że Maisie jest chora i masz teraz tak wiele na głowie. Jednak gdybyś znalazła czas, z chęcią go przyjmujemy.

– Piłka nożna? Naprawdę? – Colt się rozpromienił, a mnie naszła ochota, by przywalić Maggie oraz każdej innej matce na tej planecie, która mogła się zgodzić na coś takiego, nie sprawdzając uprzednio terminów wizyt lekarskich oraz planu chemioterapii.

– Colt, naprawdę nie mamy...

Beckett lekko ujął mnie za łokieć i odciągnął od Maggie.

– Pozwól mi pomóc.

– Beckett... – Pozwolenie na pomoc oznaczało, że musiałabym na nim polegać, a także polegałby na nim mój syn. I chociaż wiedziałam, że miał jak najlepsze intencje, byłam również świadoma, że w jego duszy mieszkały te same niespokojne demony, co w duszy Ryana.

– Proszę.

Ucieszyłam się, że nie prosił, bym się rozebrała, bo przy tym tonie oraz błagalnym wyrazie oczu, okazało się, że jestem bezradna. Pokiwałam głową, nim umysł ogarnął, co w ogóle wyprawiam.

– Chcesz grać w piłkę, Colt?

– Tak!

– Dobra, załatwione.

Colt się cieszył, a Maggie wcisnęła mi ułotkę w twarz, po czym uśmiechnęła się szeroko do Becketta.

– A pan to kto? Najnowszy policjant w Telluride?

Zniknęło ciepło z jego oczu, wyraz twarzy stał się poważny, niemal zimny i zupełnie niepodobny do tego, który miał, gdy rozmawiał ze mną czy z dziećmi. Czy to Maggie była wyjątkiem, czy może ja?

– Nie, nie pracuję w biurze szeryfa – odparł szorstkim, niemal nie do poznania głosem, którym do nas nigdy się nie zwracał.

– Zatem sektor prywatny?

– Tak.

Monosylabiczna odpowiedź. Może Hailey miała rację i dostrzegała coś, co mi umykało, bo przy mnie się tak nie zachowywał.

– Och, ekipa ratownicza – rzuciła i ponownie do nas podeszła. – Ta, która w razie zagrożenia odbiera od nas telefony – ściszyła głos, a ja się odsunęłam, by nie udusić się jej perfumami.

– Najwyraźniej – odparł Beckett.

– Wiecie, że to firma finansowana przez właścicieli wyciągów i hoteli w mieście, prawda? Chcieli stworzyć służbę, która będzie w stanie natychmiast pomóc turystom, by nie angażować biur szeryfa.

– Tak? – Beckett znów się odsunął, ale Maggie ponownie się zbliżyła. Zaciśnięte usta i posłał mi spojrzenie, którym błagał o ratunek. Nie było zabawne, bo widziałam, że naprawdę czuje się nieswojo. Zdecydowanie nadeszła pora na interwencję.

– Racja – powiedziałam, gdy Colt wziął mnie za rękę. – Twój mąż jest właścicielem jednego z hoteli, prawda, Maggie?

Otwarcie spiorunowała mnie wzrokiem, ale jej twarz znów przybrała uroczy wyraz twarzy, gdy wróciła spojrzeniem do Becketta. Cóż, właściwie powinnam powiedzieć oceniająco. Albo nie, ona dosłownie się śliniła.

– Tak, przez co w pewien sposób pracuje pan dla mnie.

Przeszył ją lodowatym wzrokiem.

– Jestem niezależnym podwykonawcą, co oznacza, że pracuję wyłącznie dla siebie.

Stanęłam obok Becketta, a on odprężył się na tyle, że zmiana w jego posturze okazała się widoczna.

– Miło było cię spotkać, Maggie, ale myślę, że towarzystwo mi zgłodniało, prawda? – zapytałam Becketta, który natychmiast pokiwał głową.

– Dobrze poznać rodziców uczniów z klasy Colta i Maisie.

Słowa okazały się właściwe, ale wyszły z jego ust w wymuszony sposób, jakby ćwiczył je w głowie, nim wypowiedział je na głos.

Maggie się zgarbiła, ale zaraz ponownie się wyprostowała.

– Oczywiście. Chyba lepiej już pójdę do Drake'a. Dołączycie do nas?

Spojrzałam na Colta, który na szczęście skupiał się na Demolce. Musiał być głodny, a my marnowaliśmy mu przerwę na posiłek.

– Właściwie zamierzałem zapytać moją Ellę, czy nie zje ze mną – powiedział tak, jak za każdym razem, gdy ze mną rozmawiał... Spokojnie, naturalnie.

Maggie to zauważyła.

*Gem, set, mecz.*

Bez względu na to, czy to prawda, czy nie, miałam ochotę ucałować go z wdzięczności. Nie, żebym miała go całować czy dotykać w jakikolwiek sposób, który wskazywałby na coś więcej niż przyjaźń między nami, jeśli takowa w ogóle istniała. Na czym w ogóle opierała się nasza relacja? Czy byliśmy tylko sąsiadami z podobnymi wyrzutami sumienia?

Maggie skinęła nam głową, obróciła się na pięcie, niemal mnie potrącając. Beckett złapał mnie za ramię, gdy nas mijała. Kogo obchodziła prawda? *Na pewno nie mnie!*

Po dzisiejszym spotkaniu i ataku Maggie wzmógł się we mnie buntowniczy nastrój.

– Coltonie MacKenzie.

– Mamo?

– Chcesz spędzić ze mną resztę dnia? To znaczy z nami? – Spojrzałam na Becketta.

– Tak!

– Co chciałbyś robić? – zapytał Beckett, ukucnąwszy.

Colt zamyślił się, ściągając usta na jedną stronę.

– Wybrać się na piknik z Maisie, jeśli będzie czuła się na tyle dobrze.

Tak bardzo poszczęściło mi się w kwestii dzieci.

– Zatem piknik.

Kiedy szliśmy do samochodów, dotknęłam ręki Becketta, aby go zatrzymać, gdy Colt szedł z Demolką kilka kroków przed nami.

– Nie jesteś towarzyski, prawda?

– To aż tak oczywiste?

– No pewnie. – Jednak również dziwnie ujmujące, gdy uświadomiłam sobie, że w stosunku do mnie zachowywał się zupełnie inaczej. – Ale dopiero teraz to wychwyciłam.

– Tak, cóż... chyba po prostu czuję się dobrze w twoim towarzystwie.

Proste wyznanie było tak wspaniałym komplementem, że aż się zarumieniłam.

– Zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś, prawda? – Musiałam się dowiedzieć, czy rozumiał, jak wielkiego zobowiązania się podjął, jak cenne było zaufanie dziecka.

– Z tym lunchem?

– Z piłką nożną, Beckett. To trzy treningi w tygodniu oraz mecze w weekend. Oznacza, że kiedy będę z Maisie u lekarza...

– Pomogę Coltowi. Nie zawiodę cię, Ella. Ani jego.

Przygryzłam dolną wargę, walcząc o to, by mu uwierzyć, aby wziąć jego słowa za pewnik.

– Zaufaj mi, proszę.

– Zdaję sobie sprawę, że zrobiłeś to z najlepszymi intencjami, ale z doświadczenia wiem, że faceci... nie zawsze stają na wysokości zadania. – Ostatnią część zdania powiedziałam do betonu między moimi stopami. Mówiąc dokładniej, kłamali, obiecywali, że coś zrobią, po czym nigdy nie można było się tego doczekać. Być może kierowały nimi różne powody, lecz wynik końcowy pozostawał niezmienny.

Złapał mnie delikatnie za podbródek, więc odnalazłam w sobie odwagę, aby spojrzeć mu w oczy.

– Dam radę dla ciebie. Dla Colta. Dla Maisie. Nie odejdę. Nie porzucę cię. Nie umrę. – Trafił mnie tymi słowami prosto w serce z siłą rozpędzonego pociągu towarowego. – Dotrzymam danego słowa, a jeśli mi teraz nie wierzysz, to nic. Zastużę na twoje zaufanie.

– Nie mam prawa tego od ciebie oczekiwać. – Nie byliśmy w związku ani nic z tych rzeczy, które implikowałyby u niego taki obowiązek. Musiałam zaufać, że jego zobowiązanie wobec mojego brata było na tyle silne, by go tu zatrzymać, a wiara w ludzi nie należała do moich mocnych stron.

– Masz, bo ci je daję.

Staliśmy tak przez chwilę, patrząc na siebie, gdy trzymał mnie za podbródek, walczyliśmy na spojrzenia, aż westchnęłam i opuściłam wzrok.

– Dobra, ale go nie zawieź.

– Nie zamierzam. Im szybciej w to uwierzysz, tym szybciej zdołam zdjąć z ciebie nieco ciężaru, który tak bardzo upierasz się dźwigać w pojedynkę. Miej we mnie nieco wiary, proszę.

Wciągnęłam powietrze i starałam się je wypuścić, myśląc o zaufaniu.

– Zatem piłka nożna.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Piłka nożna.

## ROZDZIAŁ 12

BECKETT

List #18

*Chaosie,*

*godzinę temu wpadłam w sklepie spożywczym na rodziców Jeffa. Nie zdarza się to zbyt często, może raz czy dwa razy do roku, kiedy przyjeżdżają na święta, ale zawsze mnie to dobija.*

*Dlaczego? Po siedmiu latach można by pomyśleć, że powinnam być odporna na spotkania z nimi, jednak tak nie jest.*

*Stałam w alejce z napojami, wpatrując się w różne smaki gatorade, zastanawiając się, po którym Maisie nie będzie wymiotować. Ostatnio miała straszne mdłości, ale wiedziałam, że muszę ją nawadniać przez te nowe leki i możliwość niewydolności nerek. W każdym razie zdecydowałam się na kwaśne jabłuszko, bo przynajmniej napój był zielony, a kiedy go zwymiotuje, nie będę panikować, że to krew. Kiedy byłam w ciąży, kwaśne rzeczy pomagały mi na mdłości. Zatem włożyłam kilka butelek do wózka, a wyjeżdżając z alejki, wpadłam na rodziców Jeffa, którzy wybierali indyka na Święto Dziękczynienia.*

*Doskonale wiedziałam, jaki mamy okres, ale oto stałam w sklepie, zastanawiając się, co kupić, by utrzymać córkę przy życiu, a oni debatowali nad tym, czy lepiej kupić siedmio- czy może ośmiokilowego indyka.*

*Podobnie jak ich syn, nigdy nie spotkali się z moimi dziećmi. Wykreśliłam ich wszystkich z mojego życia w chwili, w której teść pojawił się u mnie z czekiem na sporą sumę, papierami rozwodowymi oraz wymogiem, bym przerwała ciążę.*

*Jednak dwa tygodnie temu odsunęłam od siebie dumę i poprosiłam mężczyznę, aby dodał Maisie do ubezpieczenia Jeffa, skoro syn dla niego pracuje. Wyrzucił mnie z gabinetu, mówiąc, że żadne z dzieci nie jest jego problemem. Najwyraźniej Jeff spotyka się z córką senatora, przez co moje szkraby mogłyby utrudnić mu życie. Maisie umiera, a jej dziadek bardziej troszczy się o wizerunek syna niż o nią.*

*Zatem tak, nie rozmawiam z byłymi teściami.*

*Jednak dzisiaj z jakiegoś powodu ich widok ubódł mnie bardziej niż zazwyczaj. Może dlatego, że Maisie jest tak chora. Ponieważ kiedy myślę o Jeffie i pytaniach bliźniąt na jego temat, których nie jestem w stanie dłużej unikać, zawsze mam wrażenie, że dzieci zechcą go odnaleźć, gdy już podrosną. Teraz jednak naszła mnie myśl, że Maisie może nigdy nie mieć ku temu okazji. I chociaż nie chcę mieć nic wspólnego z byłymi teściami, nigdy nie powstrzymam dzieci przed poszukiwaniem rodziny. Jednak córkę może zatrzymać czas.*

*Mimo to nie pytam, czy chciałaby się z nimi spotkać. Pragnę całego, pozostałego jej czasu dla siebie. Nie chcę się nim dzielić z Jeffem. Szczerze mówiąc, uważam, że ojciec jedynie złamałby jej serce.*

*Napoiłam córkę gatorade'em, złapałam za długopis i zaczęłam do Ciebie pisać, bo nie potrafię zdecydować, czy przez takie myślenie jestem złą, egoistyczną osobą. A co gorsza, nawet jeśli tak, bardzo mnie to nie obchodzi. Czy to straszne?*

*Ella*

---

**J**esteś gotowy? – zapytałem, gdy Colt pędził do łazienki. Trenował już od trzech tygodni, a dziś mieliśmy Dzień Pamięci i weekendowy mecz.

Bliźniaki w poniedziałek będą miały zakończenie roku w przedszkolu – cokolwiek to miało znaczyć. Nie pojmowałem, dlaczego potrzebowały do tego małych biletów i tog, ale z pewnością uroczym się w nich prezentowały na zdjęciach, które Ella zrobiła nad jeziorem.

– Korki! – krzyknął.

– Tutaj. – Uniosłem niewielką torbę adidasa, przez co Colt wyhamował przede mną w samych skarpetkach.

– Ma je pan?

– Tak, a także nagolenniki i krem z filtrem. Jesteś gotowy, by grać czy nie? – Mieliśmy dwadzieścia minut, by dotrzeć na boisko, nim zacznie się rozgrzewka.

– Tak! – Podskoczył, wyciągając obie ręce do sufitu.

– Dobra, oszczędzaj energię na mecz, co? Gramy z drużyną z Montrose, a to twardziele. Zmarszczył czoło.

– Zawodnicy mają po sześć lat, zupełnie jak ja.

– Cóż, też jesteś twardzielem. A teraz wkładaj buty i idziemy.

Colt popędził do pralni, a ja udałem się do gabinetu Elli, gdzie zastałem również małą, leżącą na sofce przy biurku matki.

– Cześć, Maisie. Gotowa, Ella?

Uniosła wzrok znad niekończącego się stosu dokumentów na blacie jej mahoniowego biurka i wymuszonym uśmiechem starała się zamaskować panikę.

– Tak, tylko sprawdzę, czy Hailey wróciła, by miała oko na Maisie.

– Też chcę jechać. Proszę, mamó. Proszę – błagała. Miała dziś zarumienione policzki. W sam raz, bo za tydzień zaczynała kolejną chemię.

To jedna z tych chwil, w których cieszyłem się, że nie jestem rodzicem, bo poddawałem się za każdym razem. Dosłownie każdym.

Ella zmarszczyła brwi.

– No nie wiem, Maisie.

– Czuję się dziś bardzo dobrze, nie pada i mogę nawet siedzieć w aucie, tylko się zgódź. Proszę, chcę być na jego pierwszym meczu.

– Wcześniej mówiłaś, że dobrze się czujesz, nawet gdy było inaczej.

– Proszę...

Ella spojrzała na mnie.

– Zdecyduj – powiedziałem, doskonale świadomy faktu, że nie miałem prawa głosu. – Mogę ci jedynie powiedzieć, że mamy dwadzieścia trzy stopnie Celsjusza, lekkie zachmurzenie, a ja mam w aucie namiot przeciwsłoneczny.

– Ale ci wszyscy ludzie...

– Pan Beckett ich odstraszy, prawda? – Maisie spojrzała na mnie tymi swoimi wielkimi, niebieskimi oczami i natychmiast uniosłem ręce w geście poddania i się wycofałem. Tak, powalała mnie za każdym razem.

– Nie będę się wtrącał. Ella, ty zdecyduj, a ja zaczekam na zewnątrz. – Z dala od kobiet, które obecnie piorunowały się wzrokiem, zmuszając się nawzajem do uległości.

– Może jechać – ustąpiła Ella.

Przyjechaliśmy na boisko z pięciominutowym spóźnieniem, ale nie zamierzałem się tym denerwować. To był mecz przedszkolaków, a nie mistrzostwa świata. Obróciłem Colta na siedzeniu, wiążąc mu korki, zamocowawszy mu już nagolenniki. Następnie uniosłem buteleczkę z kremem.

– Będę się lepił.

– Jest w sprayu i to ty chciałeś ogolić się na łyso.

– To dla Maisie!

– Nie zamierzam podważać twoich powodów, koleżko, ale wiesz, co powiedziano mi, gdy byłem w twoim wieku? Możesz decydować, ale później musisz mierzyć się z konsekwencjami swoich decyzji. Ogolenie głowy było niesamowite, ale teraz musisz nałożyć na nią krem z filtrem. – Mieliśmy już niemal szesnastą, ale popołudniowe słońce nadal potrafiło przysmażyć łysą czaszkę.

Skrzyżował ręce na piersi odzianej w kasztanową koszulkę, ale się nie spierał, gdy wsmarowywałem mu krem w głowę i twarz.

– Robisz się w tym dobry – powiedziała Ella, gdy stanęła obok mojego samochodu.

– Colt ułatwia sprawę – oznajmiłem, wysadziwszy malca z auta. – Możesz biec.

Podszedł jednak do Elli, która uklękała, choć miała na sobie beżowe spodenki.

– Dobra, co jest najważniejsze w dzisiejszym meczu?

Na twarzy dziecka pojawił się zacięty wyraz.

– Grać na swojej pozycji, nie okazywać strachu i wieczerzać na szczątkach naszych wrogów!

Ella odchyliła się na bok i patrząc na mnie, uniosła brwi.

– No co? – Wzruszyłem ramionami.

Wstała i poprawiła synkowi strój.

– Biegnij.

– I nie dotykaj piłki rękami! – krzyknąłem za nim. Odwrócił się, uniósł kciuk, nim pognał do swojej drużyny.

– Wieczerać na szczątkach wrogów? – zapytała Ella, składając ręce na brzuchu, by powstrzymać się od śmiechu. Nie patrzyłem na piersi, które dzięki temu zostały wypchnięte w stronę dekoltu bordowej bluzki. Nie. Ani trochę.

– No co? Przecież to facet.

– Ma sześć lat.

– W starożytnej Sparcie chłopców trenowano do walki już w wieku siedmiu lat.

Parsknęła śmiechem, a dźwięk ten całkowicie mnie odurzył.

– Dopilnuję, by nie zapraszać Spartan na jego urodziny.

– Tak na wszelki wypadek – zgodziłem się, za co zostałem wynagrodzony kolejnym, pięknym śmiechem.

Tak właśnie powinno wyglądać życie, wypełnione meczami piłki nożnej, słońcem i uśmiechami obojga dzieci. Właśnie na to zasługiwała Ella. Jedyne ja nie byłem osobą, która zasługiwała na to, by jej to dać.

Demolka zeskoczyła z paki, po czym dotrzymała mi towarzystwa, gdy ustawiałem namiot z dala od miejsca, w którym rozłożyli się inni rodzice. Kształt wpuszczał do środka powietrze, blokując promienie słoneczne, ale pozwalając małej na swobodne oglądanie meczu.

– Zostań – wydałem komendę suczce, więc natychmiast się położyła przy wejściu do namiotu.

Kiedy wróciłem do auta, Ella pakowała składane krzesła do wózka. Maisie siedziała na krawędzi fotela i wtedy właśnie zauważyłem jej wyczerpanie. Rety, ale dobrze się z nim ukrywała.

– Ej, Ella, ustaw krzesła w namiocie, a ja wezmę Maisie – zasugerowałem. – W ten sposób nie będzie zbyt długo na słońcu.

Zgodziła się i poszła przez trawnik.

– Jesteś zmęczona – powiedziałem do Maisie, spoglądając na nią.

Pokiwała głową, po czym nieco ją zwiesiła.

– Nie chciałam przegapić meczu. Wszystko mi ostatnio umyka.

– Rozumiem, ale masz również dbać o siebie, abyś mogła robić znacznie więcej, gdy już wyzdrowiejesz.

Przesunęła palcami po koszulce, pod którą na rękę miała cewnik centralny ochroniony opatrunkiem z gazy.

– Wiem.

Powiedziała to w taki sposób, że postanowiłem wziąć ją za rękę.

– Widzę w twojej przyszłości jeszcze wiele meczów piłki nożnej. Wszystko przez co teraz przechodzisz, stanie się jedynie szalonym wspomnieniem i będzie świetnie wyglądało w liście motywacyjnym na studia.

– Mam sześć lat – wypowiedziała z niewielkim uśmiechem.



– Dlaczego wszyscy mi to dziś powtarzają? – rzuciłem. – A teraz, czy chciałabyś obejrzeć mecz?

Na jej twarzy odmalowała się radość, więc wziąłem ją na ręce, poprawiając różowe spodnie oraz podobną koszulkę z długimi rękawami, a następnie wielki, jaskraworóżowy kapelusz przeciwsłoneczny.

– Dobra, zawrzyjmy umowę – zaproponowałem, niosąc ją w kierunku namiotu.

– Jaką?

– Nie upuszczę cię, jeśli ty przytrzymasz kapelusz, by ci go nie zdmuchnęło z głowy.

– Stoi! – Zachichotała, a ja uznałem, że dźwięk ten wyprzedza na liście moich ulubionych odgłosów jedynie śmiech jej matki.

Niektórzy rodzice chłopaków z drużyny witali się ze mną, więc odpowiadałem uśmiechem, licząc na to, że nie wyglądał na wymuszony, wiedząc, że miałem szczęście znaleźć miejsce w życiu Maisie i Colta bez względu na to jak było ono niewielkie. Moją rolą jednak było również uporanie się z innymi rodzicami, więc nad tym pracowałem. Z każdym treningiem pogaduszki stawały się coraz łatwiejsze, a uśmiechy odrobinę mniej sztuczne, a ja zaczynałem postrzegać rodziców jako poszczególne jednostki, a nie... zbiorowisko ludzi.

Posadziłem małą na składanym krześle, które rozstawiła Ella, po czym położyłem jej nogi na małym siedzisku, które robiło w tej chwili za podnózek. Zobaczyłem, że zadrżała, więc natychmiast wyjąłem z wózka koc i nakryłem ją nim do pasa.

– Na pewno dobrze się czujesz?

Przytaknęła.

– Tylko zrobiło mi się chłodno.

Otuliłem ją mocniej kocem, po czym usiedliśmy, aby obejrzeć mecz. Ella zaczęła jako jedna z tych cichych matek, zadowolona, nagrywająca wydarzenie, ale powstrzymująca się od komentarzy. Jednak w drugiej połowie, kibicowała głośno Coltowi, gdy zdobył bramkę.

Ta zmiana była przezabawna i diabelnie seksowna.

A może to jej długie nogi w spodenkach. Tak czy inaczej, musiałem się skoncentrować, żeby utrzymać ręce z dala od miękkiej skóry nad jej kolanem. Szlag, pragnąłem jej i to w każdym aspekcie – jej śmiechu, łez, dzieci, ciała, serca. Chciałem tego wszystkiego.

Na szczęście fizyczne pragnienie pozostawało na drugim miejscu zaraz za potrzebą opieki, która trzymała w ryzach moje libido. Przeważnie.

No dobra, to ściema. Im więcej czasu spędzaliśmy razem, tym bardziej chciałem ją pocałować, by przekonać się, jak smakuje. Pragnąłem ją całować, aż zapomni o wszystkich problemach, aż wybaczy mi kłamstwo, w którym żyłem.

Im dłużej utrzymywałem tajemnicę, tym bardziej zdawała się być odległa i tym bardziej marzyłem, by Ella pozwoliła mi pozostać w jej życiu. Mnie jako Beckettowi.

Nie, żebym nie miał ochoty wyznać, kim naprawdę jestem. Powiedzieć o tym, jak ocaliły mnie listy od niej, jak zakochałem się w niej, nawet się z nią nie spotkawszy. Jednak uświadomiłem sobie, jak głęboko udało mi się wejść w jej życie – robiłem jej zakupy, zabierałem Colta na treningi, spędzałem czas z Maisie, gdy była zbyt słaba, by opuszczać główny budynek. Kiedy powiem Elli, kim naprawdę jestem i co zrobiłem, wyrzuci mnie i znów będę zdany tylko na siebie, a obiecałem pomóc jej i dzieciom. Dotrzymanie słowa oznaczało

tyle, że nie mogę dać jej powodu, by mnie od siebie odsunęła. Zresztą wyznanie prawdy byłoby samolubne. Tylko bym ją zranił.

Chaos nie mógł pomóc Elli ani z nią być. Nie po tym wszystkim, co się stało. Musiałem poczekać, aż Maisie całkowicie wyzdrowieje, zanim opowiem o wszystkim Elli. Potem decyzja będzie należeć do niej.

– Co ten dzieciak wyprawia? To legalne? Nie może go tak popychać! – krzyczała.

– Chyba przewrócił się przez niezdarność ich obu – skomentowałem.

– O Boże, znowu to zrobił! Dorwij go, Colt! Nie pozwól się tak traktować!

– Wiesz, że ma zaledwie sześć lat, tak? – zapytałem słodkim głosem.

Spojrzała na mnie gniewnie z otwartymi ustami.

– Nieważne.

Parsknąłem śmiechem i po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że byłem całkowicie ukontentowany ze swojego życia. Nawet gdyby Ella nigdy nie miała być moja, nigdy nie zakosztowałbym jej ust, nigdy nie dotknąłbym jej skóry, nigdy nie zatrzymał w łóżku w deszczowy niedzielny poranek ani nigdy nie usłyszał dwóch krótkich słów, których byłem wygłodniały, ta chwila by mi wystarczała.

Spojrzałem na siedzącą w cieniu Maisie i zauważyłem, że zamknęła oczy, a jej pierś unosiła się w rytmicznych, spokojnych oddechach. Spała z Demolką zwiniętą w kłębek przy jej krześle. Jeśli już była tak wyczerpana, jak przetrwa kolejną chemię, którą miała dostać w przyszłym tygodniu?

– O nie... nie – mruknęła Ella, więc zwróciłem uwagę na boisko.

Zawodnik drużyny przeciwnej ograł Colta, potem obronę, po czym oddał strzał na bramkę. Gol przypieczętował wynik meczu.

*Szlag.*

Serce mnie bolało, gdy dostrzegłem minę Colta oraz rezygnację w jego postawie. Jednak malec uścisnął rękę przeciwnikowi, jak na dobrego sportowca przystało, po czym siedział na ławce jeszcze długo po tym, gdy trener zakończył pomeczową przemowę. Niektórzy ojcowie wyszli na boisko, więc spojrzałem na Ellę, która wyglądała niemal na tak samo rozczarowaną, jak jej syn.

– Do bani. – Skrzyżowała ręce na piersi, a jej długi warkocz przesunął się na jej ramieniu, gdy obróciła głowę, by na mnie spojrzeć. – Co mam mu powiedzieć?

– A może pozwolisz mi z nim porozmawiać?

– Śmiało. – Wskazała w kierunku ławki. – Spakuję nasze rzeczy.

Przeszedłem przez boisko z torbą Colta, po czym uklęknąłem przed nim, aby rozwiązać podwójne węzły w sznurówkach, bo wcześniej zapierał się, że nie zagra bez takiego zabezpieczenia.

– Podobają mi się twoja gra – powiedziałem, zdejmując mu pierwszy but.

– Pozwoliłem, by się przedostał. Przegraliśmy, bo nawaliłem.

Rozwiązałem drugi but.

– Nie. Wygrywacie jako drużyna i tak samo przegrywacie. Nie ma w tym nic złego.

– Nie chciałem przegrać – szepnął, jakby zdradzał mi jakąś straszliwą tajemnicę.

– Nikt nie chce, Colt, ale mogę ci powiedzieć, że niekiedy przegrane są tak samo ważne jak wygrane. Zwycięstwa ogromnie nas cieszą i pozwalają świętować to, że zrobiliśmy coś,

jak należy, ale przegrane uczą nas czegoś więcej. Uczą, aby poszukać tego, co możemy poprawić i tak, człowiek kiepsko czuje się po przegranej, ale to naturalne. Kiedy podrośniesz, zrozumiesz, że człowieka dobrym czyni nie to, co robi po zwyczajstwie, lecz to, jak poradzi sobie z przegraną.

Podąłem mu zwykle buty, które wkładał, zastanawiając się nad moimi słowami, a na jego małym czole powstały zmarszczki jak u jego matki, gdy coś rozważała. Zapiął rzepy i zeskoczył z ławki.

– Więc można przegrać?

Pokiwałem głową.

– Czasami nawet trzeba. To uczy pokory. Daje motywację do ciężkiej pracy. Zatem tak, można przegrywać. Czasami dobrze ci to robi.

Westchnął przesadnie i przytaknął.

– Pójdzie pan ze mną?

– Jasne – odparłem bez namysłu. Poszedłem za nim do ławki przeciwników, gdzie odnalazł dzieciaka, który zdobył finałowego gola.

Chłopiec wstał na jego widok.

Colt podszedł wprost do niego.

– Chciałem ci powiedzieć, że byłeś szybki. Dobra robota.

Młody się uśmiechnął.

– Ty też. Strzeliłeś niesamowitego gola.

Uścisnęli sobie małe dłonie, a Colt uśmiechał się, gdy odchodziliśmy.

– Jestem naprawdę z ciebie dumny – powiedziałem, gdy przemierzaliśmy murawę.

– A on był naprawdę szybki. Ale wie pan co? Zagramy z nimi jeszcze raz pod koniec wakacji i wtedy będę szybszy. Nie mogę się doczekać, aż skopię mu tyłek.

Chciałem go skarcić za słownictwo, ale byłem zbyt zajęty tłumieniem śmiechu.

– No jasne. A potem będziemy wieszkać na szczątkach wrogów?

– Bingo.

Zatrzymał się na boisku, więc musiałem cofnąć się o kilka kroków.

– Co jest, Colt?

Spojrzał na mnie, przysłaniając ręką oczy, po czym rozejrzał się po innych chłopakach, którzy wracali do samochodów.

– A więc to tak – szepnął tak cicho, że niemal go nie usłyszałem.

– Co takiego? – zagadnąłem.

– Tak to jest mieć tatę. – Lekko przechylił głowę na bok.

Słowa przypuściły na mnie atak. Jego pytanie otworzyło mi pierś i pozostawiło odsłonięte, niczym niechronione serce, co przytrafiło mi się pierwszy raz w życiu.

Kucnąłem, by się z nim zrównać i powiedziałem jedyne, co przyszło mi do głowy:

– Wiesz, nie jestem pewien. Nigdy nie miałem taty.

Spojrzał na mnie, szerzej otwierając oczy.

– Ja też nie.

*Jestem tu* – pomyślałem, nawet miałem to na końcu języka, ale nie miałem prawa tego wypowiedzieć. Retę, pokochanie czyjegoś dziecka stanowiło piekło, gdy nie można było

pragnąć miłości jego matki. Spojrzałem przez boisko, po którego drugiej stronie Ella znajdowała się pod namiotem z przesuwającą palcami po trawie Maisie.

– Co powiesz, byśmy zabrali dziewczyny do domu? – zapytałem Colta, zdejmując z głowy czapkę, by włożyć ją Coltowi na łysą głowę.

– Dobry pomysł. Zadbajmy o kobiety. – Pobiegł do rodziny, a ja tym razem nie tłumiliem radości. Nie umiałem pojąć, w jaki sposób dzieciak w jednej chwili potrafił doprowadzić mnie do łez, by w drugiej brzuch bolał mnie ze śmiechu.

– Przegraliśmy – powiedział matce, gdy szliśmy do auta. Niosłem Maisie, która opierała głowę o moją pierś, a Ella ciągnęła wózek.

– Rety, ale cieszę się, że nie zostały na wieczerzę żadne szczątki wrogów – zażartowała, przyciągając go do swojego boku. – Chyba będziemy musieli zadowolić się pizzą.

– Pizza! – wykrzyknęły bliźnięta, po czym przybiły piątkę, gdy Colt podskoczył, aby dosięgnąć do ręki siostry.

Zapiąłem dzieci w fotelikach, które kupiłem do pick-upa, po czym załadowałem wózek wraz z zawartością na pakę, gdy ich matka dzwoniła po pizzę. Demolka wskoczyła między bliźnięta. Ella uspokoiła się, odkąd onkolog stwierdził, że pies nie zagraża małej, dopóki poziom jej leukocytów nie spadnie jakoś drastycznie.

Prowadziłem, gdy Colt i Maisie debatowali na temat zalet podwójnego sera i pepperoni.

– Czy kiedykolwiek prowadzili rozmowę, w której skończyliby zdanie? – zapytałem Ellę.

– Nie. Mają swój własny język. Po prostu wiedzą, co myśli to drugie, nim skończy mówić, więc się nie trudzą.

– Przerazające, a jednocześnie wspaniałe.

– No właśnie.

Jakże naturalnym gestem byłoby wziąć ją za rękę i ucałować jej palce. Wszystko z nią wydawało się takie łatwe – właściwe. Takie samo było pisanie do niej... nie, żeby miała się w najbliższym czasie o tym dowiedzieć.

Zatrzymałem się przed pizzerią.

– Miejsce parkingowe tuż przed samymi drzwiami? Wygląda na to, że pizza była nam dziś przeznaczona! – zadeklarowałem.

Dzieciaki uniosły ręce w geście zwycięstwa, ale dłoń Maisie nie znalazła się wcale tak wysoko. Mała znów była wyczerpana.

Wysiedliśmy z Ellą, ale wyprzedziłem ją na chodniku.

– Zajmę się tym – oznajmiłem.

– Nie zapłacisz za pizzę – zaprotestowała.

– Ależ zapłacę.

– Nie. – Skrzyżowała ręce na piersi.

– Tak.

Przysunęła się, patrząc na mnie z ogniem i uporem w oczach. Spojrzałem na jej rozchylone, idealne usta. Tak całusne...

– Ja płacę – powiedziała słodko, jakby wiedziała, że walczę, by utrzymać ręce przy sobie.

– Chyba śnisz.

Złagodniał wyraz jej twarzy, więc dałbym milion, byle tylko poznać jej myśli.

– Dobra – powiedziała. – Ale tylko jeśli zgodzisz się zjeść z nami.

– Stoi.

– Nie!

– Tak!

Obróciliśmy się do przedrzeźniających nas dzieci, które otworzyły drzwi i gapiły się na nas z promiennymi uśmiechami na twarzach.

– Dobra, dobra, przestańcie, bo do waszej pizzy każę dodać anchois – zagroziłem, poważniejąc. – Mam wziąć kolejną?

– Zamówiłam już trzy – odparła, wzruszając ramionami.

Staliśmy na chodniku, szczerząc zęby jak kretyni, zdając sobie sprawę, że planowała zaprosić mnie na kolację i to na długo zanim zaczęliśmy się spierać.

Demolka wyskoczyła z auta, gdy szedłem odebrać pizzę, więc podrapałem ją za uszami.

– Pilnuj dzieci.

Biegiem wróciła na parking i wskoczyła do auta przez otwarte drzwi.

– Ella! – Pomachała Hailey. Kobiety zaczęły rozmawiać przy pace pick-upa, gdy wszedłem do lokalu.

Wyszedłem z niego pięć minut później i niemal upuściłem trzy pudełka.

Z przeciwnej strony do tej, gdzie Ella rozmawiała z Hailey, nadeszła starsza, elegancko ubrana para. Nie tyle zaniepokoiło mnie to, że ci ludzie przystanęli, ile ich miny. Na ich twarzach malował się szok, gdy patrzyli na bliźnięta.

Demolka natychmiast wstała – zawsze potrafiła dobrze ocenić charakter – więc ruszyłem pędem.

Kobieta postawiła krok do przodu, jakby nie panowała nad własnym ciałem, a Demolka pokazała zęby i zaczęła warczeć.

Ella słysząc to, natychmiast się obejrzała, po czym gwałtownie wciągnęła powietrze, co powiedziało mi wszystko, co musiałem wiedzieć.

– Nie! – krzyknęła. Nie na Demolkę, a do starszej pary. Podeszła do warczącej suczki i powtórzyła: – Nie. Odejdźcie. Natychmiast.

Przeszedłem za ludźmi, po czym włożyłem pizzę na siedzenie pasażera i obszedłem auto, aby znaleźć się między nieznanymi a psem.

– Nie zbliżajcie się. Skoczy do gardła, jeśli wykonacie choćby najmniejszy ruch w stronę dzieci – powiedziałem cichym, stanowczym głosem. Kiedy się denerwowałem, Demolka robiła się niebezpieczna.

– Ten pies stanowi dla nich zagrożenie – powiedział mężczyzna, jakby ze mnie szydził.

– Zagrożenie stanowią jedynie ludzie, którzy chcą skrzywdzić bliźnięta lub Ellę. Wydaje mi się, że prosiła, byście odeszli. – Zbliżyłem się do nich, zmuszając parę, aby się wycofała, wiedząc, że Demolka podąży za mną, umożliwiając Elli zamknięcie drzwi, by skryć za nimi maluchy.

Kiedy usłyszałem trzask, odprężyłem się, a Demolka przestała warczeć.

– Kim właściwie pan jest? – zapytała ostro kobieta.

– To nie pani sprawa.

– To nie są pana dzieci! – krzyknął mężczyzna.

– Pańskie też nie – odparłem. – Ale ja jestem ich i tylko to się liczy. Pozwolę sobie dodać, że jeśli kiedykolwiek ponownie się do nich zbliżycie bez pozwolenia Elli, Demolka będzie

najmniejszym z waszych zmartwień.

Kiedy mężczyzna otaksował Ellę wzrokiem, zasłoniłem mu na nią widok, aby nie widziała obrzydzenia, jakie w nią wymierzył.

– Beckett – powiedziała łagodnie, bez wątpienia zauważając, że naszej wymianie zdań przyglądało się coraz więcej osób.

– Miłego dnia – życzyłem parze, po czym obróciłem się i wróciłem do Elli, położyłem dłoń na jej plecach, czym zachęciłem, by wsiadła do samochodu, następnie zamknąłem za nią drzwi.

Para odeszła.

Minąłem Hailey, idąc z Demolką u boku.

– To rodzice Jeffa – szepnęła.

– Domyśliłem się.

– W zamrażarce jest tequila. – Wskazała na kabinę, w której siedziała oszołomiona Ella.

– Dobrze wiedzieć.

– Kto to był? – zapytał Colt.

– Nikt, kim musiałbyś się przejmować – odparła Ella.

– Demolka się przejęła – skomentowała Maisie.

– Pies potrafi ocenić charakter – mruknęła Ella. – To tylko ludzie, których niegdyś znałam.

– Nie byli mili – wytknął Colt.

– Nie. Nigdy im się to nie zdarzyło.

Ella milczała przez całą drogę powrotną do Samotni, przy kolacji posyłała wszystkim sztuczne uśmiechy. Poszła położyć dzieci do łóżek, a ja usiadłem na kanapie, czekając w ciszy, gdy Demolka spała przy moich stopach.

Pół godziny później Ella zeszła na dół, przebrana we flanelowe spodnie i koszulkę na ramiączkach. Zdziwiła się, gdy mnie zobaczyła.

– Myślałam, że wyszedłeś.

– Nie. Siadaj. – Poklepałem kanapę obok siebie i odwróciłem wzrok od jej piersi, których górne części odsłaniał dekolot koszulki.

Usiadła na skraju i podciągnęła kolana do piersi.

– Przypuszczam, że ciekawi cię, co właściwie wydarzyło się przed pizzerią.

– Mów.

Oparła podbródek na złożonych dłoniach i odetchnęła głęboko.

– To byli rodzice Jeffa.

– Tyle się domyśliłem.

Spojrzała mi w oczy.

– Wyciągasz wnioski na temat wszystkiego i wszystkich wokół siebie i jesteś w tym tak bardzo podobny do Ryana.

– To utrzymuje nas przy życiu – odparłem, nim przemyślałem tę kwestię. Natychmiast zamknąłem oczy, bo w piersi rozgorzał tępy ból. – Wiesz, o co mi chodziło.

Przytaknęła.

– Nigdy wcześniej nie widzieli wnucząt. Ani razu nawet o nie nie zapytali.

Wiedziałem. Nie, skreślić to. Chaos o tym wiedział. Jednak chciałem, żeby Ella opowiedziała o tym Beckettowi, aby mi zaufała tak jak swojemu korespondencyjnemu

kumplowi. Zamiast więc kłamać czy prosić, by mówiła dalej, po prostu czekałem.

– Jeff odszedł, gdy byłem w ósmym tygodniu ciąży. – Odwróciła wzrok, smutniejąc na to wspomnienie. – Tak naprawdę nie chciał się żenić. Sytuacja była jak u Meat Loafa.

– Co? – Zrzuciłem rękę na oparcie kanapy i się pochylałem. – Pomieszana jak mięso w mielonce?

– Nie, jak w tekstach tego zespołu. No wiesz, w piosence *Paradise by the Dashboard Light*.

– Ach, rozumiem. Żadnego seksu bez obrączki.

– No właśnie. Byliśmy razem przez całą czwartą klasę liceum i teraz wiem, że kiedy przyłapałam go na kłamstwie w kwestii palenia papierosów – akurat tego; spośród wszystkiego, o czym można kłamać – powinnam była go rzucić, ale byłam naiwna i sądziłam, że miłość zdoła go zmienić. W każdym razie jesienią mieliśmy jechać na studia na CU i wszystko wydawało się takie romantyczne. Ucieczka, ślub dzień po rozdaniu świadectw, noc poślubna w hotelu, nazajutrz poinformowanie o wszystkim mojej babci i jego rodziców.

– Domyślałam się, że poszło gładko. – Nie potrafiłem dostrzec w nim nic wspaniałego, przez co nigdy nie miał być dobrym rodzicem.

– Jak po grudzie. Babcia płakała. – Przełknęła ślinę i milczała przez chwilę. – Rodzice wyrzekli się Jeffa, na wakacje wprowadziliśmy się do jednego z domków, które wtedy wyglądały raczej jak na starym obozie, niż te, które stoją tu w tej chwili. Babcia była rozczarowana, ale to nie zmieniło jej miłości do mnie ani nie wpłynęło na decyzję, by opłacić mi studia. Jeff po pierwszym tygodniu małżeństwa stracił cały dobry humor. Okres nowożeństwa dobiegł końca i mój mąż chyba martwił się, jak opłaci czesne, a później posypało się wszystko inne. W jedną noc z dziecka z funduszem powierniczym stał się facetem bez grosza przy duszy. Miesiąc po naszej małej ucieczce do urzędu stanu cywilnego odkryłam, że jestem w ciąży, a dwa tygodnie później lekarz oznajmił, że będę miała bliźnięta.

Próbowałam postawić się na jej miejscu, ale nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Zaciągnąłem się do wojska, gdy miałem osiemnaście lat i ledwie byłem w stanie zadbać o siebie samego, a co dopiero o dwie inne osoby.

– Jesteś niesamowicie silna.

Pokręciła głową.

– Nie, ponieważ kiedy lekarz po badaniach krwi zrobił mi USG, miałam chwilę zawahania, w której wszystkiego żałowałam. Wszystkiego – powtórzyła.

– Byłaś bardzo młoda. Nie wyobrażam sobie, że jakkolwiek młoda kobieta nie panikowałaby, będąc na twoim miejscu.

– Miałam osiemnaście lat i wyszłam za mąż za chłopaka, który nie mógł na mnie patrzeć, chyba że byłam naga. A nawet wtedy seks... – Wzruszyła ramionami. – Cóż, chyba spełnił swoje zadanie. Powiedziałam mu od razu po powrocie do domu, sądząc, że będzie wiedział, co zrobić. Zawsze miał na wszystko plan, więc wiesz...

– Co zrobił?

– Przez moment siedział w szoku, co było zrozumiałe. Mimo wszystko czułam się w ten sam sposób. Potem poprosił... bym dokonała aborcji.

Wbiłem paznokcie w podłokietnik, ale się nie odezwałem.

– I właśnie w tamtej chwili podjęłam decyzję. Kiedy wyłożył karty na stół, otrząsnęłam się z szoku i wiedziałam, że ich pragnę. Że nie ma nic, czego bym nie zrobiła, by ochronić te dzieci. Potem zrozumiałam, że zakochałam się w osobie, którą udawał: silnej, lojalnej, troskliwej, opiekuńczej... ale to wszystko okazało się jednym wielkim kłamstwem. Świetnie grał, ale nie był dużym, silnym mężczyzną, który miał zabrać mnie na studia i zbudować nam niesamowite życie. Był przerażonym chłopcem, który nie potrafił przedłożyć dobra kogoś innego ponad swoje, wliczając w to mnie. Zdałam sobie wtedy sprawę, że oddałabym życie za bliźnięta, a on chciał, bym je zabiła, bo mu przeszkadzały tak samo jak ja. Odmówiłam. Groził mi. Nadal odmawiałam. Następnego ranka już go nie było.

– Bardzo mi przykro, że musiałaś przejść przez to wszystko sama.

Wzruszyła ramionami.

– Jest, jak jest, a to doświadczenie nauczyło mnie, aby nigdy nie ufać kłamcy. Wystarczy, że ktoś raz skłamie, a potem będzie ściemniał w nieskończoność. W każdym razie tydzień później przyjechał do mnie ojciec Jeffa z tłuściutkim czekiem i dokumentami rozwodowymi. Powiedział, że da mi pieniądze, gdy udowodnię, że nie jestem w ciąży.

– Żartujesz? – warknąłem. Zapragnąłem, by ten dupek znów znalazł się przede mną, bym mógł zacisnąć ręce na tej jego chudej szyi.

– Nie. Podpisałam dokumenty, wyrwałam mu czek i na jego oczach go spaliłam.

*Moja dziewczyna!*

– Nieźle. Obrazowo.

– Cóż, zrobiłam scenę, która zakończyła się spalaniem całego domku. Dosłownie. Wszystko zajął ogień.

– Zatem chcesz powiedzieć, że nie można zostawiać cię z zapalniczką? Żadnych grilli, pianek smażonych w ognisku, sztucznych ogni?

Zaśmiała się, czym poprawiła mi nastrój, mimo to nadal miałem ochotę udusić całą rodzinę jej byłego męża.

– Zostałaś w Telluride, by wychować dzieci – założyłem.

Pokiwała głową.

– Tak. Jeff nie wrócił. Ani razu do mnie nie przyjechał. Patty i Rich kupili dom w Denver, ale wciąż przyjeżdżają tu na święta, czego właśnie byłeś dziś świadkiem. Jednak nigdy nie spotykali się z wnuczkami. Przynajmniej nigdy mnie o to nie prosili, gdy na siebie wpadaliśmy. Nawet kiedy poprosiłam o pomoc z ubezpieczeniem Maisie, Rich powiedział, że dzieci nie są jego problemem. Nie zamierzam ponownie popełnić tego błędu i się przed nimi kajać.

– Nie wydaje mi się, by zasługiwali na spotkania z dziećmi.

– Ja również, ale martwię się, że jeśli Maisie zechce poznać dziadków, może nigdy nie mieć na to szansy, rozumiesz? Pewnego dnia bliźnięta dorosną. Będą zadawać coraz poważniejsze pytania, drążyć, w poszukiwaniu własnych odpowiedzi. A Maisie... – Zakryła twarz dłońmi.

Przesunąłem się, aż czubki jej palców u stóp oparły się na zewnętrznej stronie mojego uda, następnie ostrożnie wzięłam ją za ręce, niemal licząc na to, że płacze, bo mogłaby wyrzucić wszystko z siebie w znacznie wolniejszym tempie niż podczas operacji Maisie.

Ale nie było łez, jedynie głęboki smutek, tak bezdenny, że mogła utonąć w nim zwykła dusza. Jednak Ella nigdy taką nie była.



– Maisie będzie miała czas na dokonanie wyboru. – Nie miałem prawa tak mówić, ale myśl nie chciała wyjść mi z głowy, więc ją wyraziłem. – Czy dzieci o niego pytają? O Jeffa?

– Czasami. Oczywiście, że są ciekawe. Dzień Ojca zawsze jest drażliwym tematem, jednak mam szczęście, że jest tu Larry, no i bliźnięta nie miały tutaj zbyt wielkiego kontaktu z innymi dziećmi. Teraz dopiero był pierwszy rok, gdy chodziły do szkoły.

– Co im powiedziałaś?

– Że oczywiście mają ojca, ponieważ dzieci muszą mieć oboje rodziców, ale nie mają taty, bo chociaż wszyscy mężczyźni mogą być ojcami, nie każdy nadaje się na tatusia, a ich właśnie taki się okazał.

„Bo ten frajer, twój ojciec cię nie chciał. Bardziej pragnął kolejnej działki niż takiego wrzeszczącego gnojka jak ty”. Słowa matki odbijały się echem w mojej głowie jak wrzucona do flippera piłeczka.

– Jesteś wspaniałą mamą. Mam nadzieję, że często to słyszysz, bo to prawda. – Głaskałem kciukami jej nadgarstki, tuż nad miejscami, gdzie bił puls.

– Nie zrobiłam niczego, czego nie dokonałaby żadna inna – odparła, wzruszając ramionami.

– Nie. Nie zbywaj tego, bo jestem wytworem kogoś, kto tyle nie zrobił. Nie starał się, jak ty codziennie się poświęcasz. Nigdy w siebie nie wątp. W dodatku, jeśli kiedykolwiek spotkam Jeffa, to mu dowalę.

Uśmiechnęła się słabo.

– Nie rób tego. Jest teraz prawnikiem w Denver. Zapewne by cię pozwał za złamanie mu tego jego cennego nosa. Jeśli chciałbyś go skrzywdzić, musiałbyś uderzyć w to, na czym mu zależy, czyli w jego portfel. A szczerze mówiąc, lepiej nam bez niego. Życie z nim nie byłoby szczęśliwe, a nie chciałam, aby dzieci miały się czegokolwiek nauczyć od takiego ojca, a już zwłaszcza Colt.

– Rozumiem.

Przeniosła wzrok na moje usta.

*Nie myśli o tym, by cię pocałować* – okłamałem samego siebie, bo gdybym zaakceptował prawdę, w trzy sekundy leżałaby pode mną. Wsunąłbym palce w jej włosy, język wcisnął do ust, a jej oddech owiewałby mi ucho.

Zapadła cisza, krzycząc niezliczonymi możliwościami tego, co mogło się teraz wydarzyć.

Powoli puściłem jej ręce i wróciłem na swoją stronę kanapy.

– Powinienem już iść. Zrobiło się późno.

– Jest dwudziesta pierwsza.

– Pomóż mi, Ello. – A teraz głos miałem jak papier ścierny. *Cudownie.*

– Z czym mam ci pomóc? – zapytała, siadając na nogach.

– Wiesz z czym. Nie każ mi tego mówić. – Kiedy bym to powiedział, oboje mielibyśmy przewalone i to nie w fizycznym sensie. Cóż, okej, może w tym też.

– Może... może chciałabym, byś to powiedział – dokończyła zduszonym szeptem.

– Nie mogę. – *Jeszcze nie. Nie, gdy żyłem w kłamstwie.* Gdyby spojrzała na moją miednicę, wiedziałaby, że nie musiałem używać słów. Stanął mi w chwili, w której spojrzała na moje usta.

– Och, rozumiem. – Odsunęła się, a ja się zaniepokoiłem.

– Co takiego?

– Ja miałabym to powiedzieć? – Parsknęła śmiechem.

– Ello – wydusiłem błagalnie, by to powiedziała, a równocześnie, by tego nie mówiła. Do diabła, już sam nie wiedziałem, czego chcę.

– Nie postrzegasz mnie w ten sposób. Rozumiem. – Sięgnęła po pilota od telewizora.

– Jak dokładnie cię postrzegam? Oświeć mnie, proszę. – Pochyliłem się i zwędziłem jej pilota. Sama rozpoczęła ten temat, więc nadeszła pora, by wyłożyć kawę na ławę.

Prychnęła z irytacją.

– Postrzegasz mnie jako matkę. Jako mamę Colta i Maisie. I dobrze, bo właśnie tym jestem. Matką dwójki dzieci.

– No tak – rzuciłem. Jej macierzyństwo, bezinteresowne oddanie dzieciom było jej najatrakcyjniejszą cechą.

Przewróciła oczami, cicho wzdychając, a w mojej głowie zapaliła się metaforyczna żarówka.

– Myślisz, że cię nie pragnę.

Posłała mi spojrzenie, które potwierdziło moje przypuszczenia i mocno się zaczerwieniła.

– Wiesz? Masz rację. Już późno. – Zamarkowała ziewnięcie. – Baaardzo późno.

– Pragnę cię. – Szlag, tak dobrze było móc wypowiedzieć te słowa.

– Tak, okej. – Posłała mi głupkowate spojrzenie, unosząc kciuki. – Proszę, nie rób ze mnie większej idiotki, niż już się czuję.

*Jasne, dość bzdur.*

Płynnym ruchem przycisnąłem ją z powrotem do kanapy, jedną ręką złapałem oba jej nadgarstki nad głową i umościłem się między jej udami.

*Dom.*

– Cholera, szybki jesteś. – W jej oczach nie gościły strach czy odrzucenie, ale zaskoczenie.

– Nie we wszystkim – obiecałem.

Rozchyliła usta.

– Pragnę cię, Ello.

– Beckett... nie musisz...

Tak, jej ciche westchnienie miało stać się moją zgubą.

Puściłem jej nadgarstki, powiodłem palcami po ręce, aż wsunąłem je w jej włosy u podstawy czaszki, a drugą położyłem na jej talii.

– Czujesz? – Poruszyłem biodrami, ocierając się o jej pizamę członkiem na tyle twardym, by wywołać jej sapnięcie. Nie pamiętałem, bym kiedykolwiek wcześniej miał tak wielką ochotę podrzeć jakiś materiał. – Nigdy nikogo nie pożaądałem tak, jak pragnę ciebie.

Ponownie się poruszyłem, na co lekko przymknęła oczy, a z jej ust wymknął się słodki jęk.

Czułem pulsowanie w kroku, wiedząc, że wszystko, o czym fantazjowałem przez każdą noc od ośmiu miesięcy, było dosłownie na wyciągnięcie ręki.

– Beckett. – Złapała mnie za bicepsy i wbiła w nie paznokcie.

– Nigdy nie myśl, że cię nie pragnę, bo gdyby sprawy potoczyły się inaczej, już bym był w tobie. Wiedziałbym, jak się zachowujesz, jak wyglądasz i brzmisz, gdy szczytujesz. Myślałem o tym na przynajmniej sto sposobów, a możesz mi wierzyć, mam dość sporą

wyobraźnię – wyznałem. Zakołysała przy mnie miednicą, przez co musiałem zacisnąć zęby, by nie dać jej tego, o co prosiło jej ciało. – Ella, musisz przestać.

– Dlaczego? – zapytała z ustami niebezpiecznie blisko moich. – Co masz na myśli, mówiąc, gdyby sprawy potoczyły się inaczej? – Szerzej otworzyła oczy. – To przez to, że mam dzieci?

– Co? Nie. Oczywiście, że nie. Dlatego, że jesteś młodszą siostrą Ryana. – Zanim zdążyłem wyrzucić więcej szkód, odsunąłem się od niej na swoją stronę kanapy.

– Przez to, że... jestem siostrą Ryana – powtórzyła, siadając prosto, twarzą do mnie. – I wydaje ci się, że co? Że będzie cię nawiedzał?

*Trzy rzeczy: list, rak, kłamstwo.*

Powtarzałem je w głowie, aż byłem pewien, że zdołam na nią spojrzeć i ponownie do niej nie przywrzeć.

– Beckett?

– Dorastając, kiedy czegoś chciałem, po postu to brałem. Natychmiast. W wieku czternastu lat uprawiałem seks z dziewczyną w domu zastępczym. Wcześniej otwierałem prezenty bożonarodzeniowe, szczęśliwy, że jakieś były dla mnie, a zwykle pochodziły od pracownika socjalnego lub jakiejś organizacji charytatywnej.

– Nie rozumiem. – Ponownie objęła kolana.

– Wszystko brałem natychmiast, bo wiedziałem, że jeśli tego nie zrobię, będzie szansa, że w ogóle nie będę tego miał. Dla mnie była to sprawa „teraz albo nigdy”, ponieważ wtedy nie pojawiały się drugie szanse.

– Okej.

– Nie mogę cię dotknąć, nie mogę nawet o tym mówić, bo wiem, co się stanie.

– A jakie to ma znaczenie, skoro chcę, byś to zrobił?

– Bo nie dostanę drugiej szansy, a kiepsko radzę sobie z ludźmi, z relacjami z nimi. Nigdy nie byłem z kimś dłużej niż miesiąc. Nigdy nie kochałem kobiety, z którą spałem. I istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że to schrzanię, bo nie pragnę cię tylko członkiem, Ella.

Ponownie przybrała zdziwioną minę, przez co musiałem się powstrzymać, aby nie rzucić się na drugą stronę kanapy, by ją pocałować. Wiedza, że by mi na to pozwoliła, że tego chciała, jeszcze mocniej rozpałała moje libido.

– A kiedy to schrzanię, bo możesz mi wierzyć, na pewno tak będzie, odbije się to na Colcie i Maisie, i znowu zostaniesz sama, bo nie będzie mowy, żebyś pozwoliła mi tu zostać i pomóc, jak prosił Ryan.

– No i oto powód.

– Tak. Jesteś siostrą Ryana.

– Było między nami tylko pięć lat różnicy. Nie tak dużo, wiesz? – Sięgnęła po pilota.

– Wiem o tym.

– Zatem, gdyby Ryan nadal żył... – Posłała mi ostatnie spojrzenie.

Na milisekundę straciłem nad sobą panowanie i pozwoliłem, aby wszystkie emocje odmalowały się w moich oczach – to, jak bardzo jej pragnąłem i to nie tylko jej ciała.

– Wszystko byłoby inaczej.

– Wszystko?

– Wszystko, prócz tego, co do ciebie czuję, za co zapewne by mnie zabił. Dokąd nas to prowadzi?

– Chcesz powiedzieć, że poza tym, że jestem starą panną, wiąże cię słowo honoru dane duchowi?

– Mniej więcej.

Poruszała głową na boki, tocząc ją po kanapie, mamrocząc pod nosem coś, co brzmiało jak przekleństwo. Następnie usiadła prosto i włączyła telewizor.

– Pozostaje nam wybrać jakiś film, bo nie dam ci teraz wyjść.

– Nie?

– Nie. Wyjdiesz, zaczniesz się dziwnie zachowywać i nie wrócisz. Honor to wspaniała rzecz, ale czasami duma może być o wiele silniejsza, zwłaszcza gdy przekonasz samego siebie, że to dla dobra tej drugiej osoby.

Szlag, ta kobieta mnie znała.

– Zatem film – zgodziłem się. – Tylko... zostań po swojej stronie kanapy.

– To nie ja przekroczyłam jej środek – droczyła się z uśmiechem, od którego znów mi stanął.

Wybraliśmy film, po czym oglądaliśmy go, rzucając sobie ukradkowe spojrzenia. Było takie powiedzenie... po ptakach. Tak, poleciały i nie zamierzały wracać. Nie ma mowy. Nie i już.

Wpadły w szal i schrzaniły moją starannie wypracowaną kontrolę.

Ale nie narzekałem, gdy się przysunęła. Ani gdy przyłgnęła do mojego boku. Nie. Uniosłem rękę i delektowałem się jej miękkim ciałem i zaufaniem. Wciąż nie narzekałem, gdy się o mnie oparła. Do diabła, tuliłem ją, zapamiętując każdą sekundę.

Obudził mnie zgrzyt otwieranych drzwi. Sięgnąłem po broń, ale jej tu nie było, a Demolka powoli machała ogonem na podłodze, więc wiedziałem, że musiała wejść Hailey.

Tak. Przeszła na paluszkach, gdy zobaczyła nas na kanapie, gdy tuliliśmy się na łyżeczkę, uśmiechając się, nim zniknęła w pokoju gościnnym.

Opuściłem głowę i zaciągnąłem się cytrusowym zapachem włosów Elli. Mocniej objąłem ją w talii, by nie spadła z kanapy. Spałbym, balansując na belce, gdyby to miało oznaczać, że mógłbym ją tulić.

Zanim ponownie zdołałem zasnąć, usłyszałem kroki, ale tym razem dochodziły z góry. Pojawiła się nade mną twarz Colta, a wymalowana na niej panika podpowiedziała mi, że nie chodziło o to, że tuliłem jego mamę.

– Co jest, koleżko?

– Coś nie tak z Maisie. Cała jest rozpalona.

## ROZDZIAŁ 13

ELLA

List #13

*Ello,*

*przykro mi, że ominęło Cię przedstawienie Colta i nie, wcale nie uważam, że to trywialna sprawa. Rozumiem i nie wiem, co mógłbym Ci powiedzieć – czy napisać – co uspokoiłoby Cię tak, jak na to zasługujesz. Jesteś rozdzielana w dwóch różnych kierunkach i nie masz pojęcia, co zrobić.*

*Jednak mogę powiedzieć, że świetnie sobie radzisz. Tak, nie byłaś na przedstawieniu syna, bo córka Cię potrzebowała. Kiedy Colt podrośnie, to on Cię będzie potrzebował i zapewne zawiedziesz Maisie. Chyba takie sytuacje wpisane są w posiadanie dwójki dzieci. Robisz, co możesz dla obu i masz nadzieję, że w końcu się wyrówna. Wyrzuty sumienia oznaczają, że jesteś świetną mamą, ale czasami musisz sobie odpuścić. To właśnie taka chwila.*

*Przechodzisz przez koszmar. Musisz pozwolić sobie na potknięcia, bo masz rację – w Twoim domu nie ma dwojga rodziców, co oznacza, że musisz bardziej na siebie uważać, ponieważ dzieci mają tylko Ciebie.*

*Wyświadcz mi przysługę i po prostu zaczekaj. Twój brat wróci do domu tak szybko, jak to możliwe. Przyrzekam, że niebawem nie będziesz już sama. Mówił mi, że Colt chce mieć domek na drzewie, więc podczas mojej wizyty pomogę w budowie. Może to niewiele, ale dzięki temu będzie miał miejsce tylko dla siebie. Uspokoi go, bo dostanie coś wyjątkowego.*

*Żałuję, że nie mam dla Ciebie lepszej rady, ale wiem, że jej nie potrzebujesz, a jedynie musiałaś się wygadać. Masz od tego mnie i możesz korzystać, kiedy tylko zechcesz.*

Chaos

---

**-C** zterdzieści i siedem – przeczytałam na głos po raz kolejny z termometru, w razie gdybym za pierwszym razem się pomyliła. Maisie naprawdę była

rozpalona. – Muszę zabrać ją do szpitala.

– My musimy ją zabrać – poprawił mnie Beckett, który stał w drzwiach łazienki. – Weź tylenol, mokre ręczniki i cokolwiek potrzebujesz, i chodź. Colt, wyświadczyć mi przysługę i obudź Hailey.

Rozbebeszając apteczkę, słyszałam znajome, pospieszne kroki na schodach. Co mogło wywołać taki stan małej? Mecz? To musiało stać się przez mecz. Ale nikt do niej nie podszedł, a na ostatnim badaniu wyszło, że ma całkiem sporo leukocytów. Co mogła złapać w tak krótkim czasie?

Znalazłam różową fiolkę środka, który obniżał temperaturę i do maleńkiej miarki nalałam dokładnie tyle, ile potrzebowała moja córka.

– Ella – zawołał Beckett z korytarza, więc wypadłam z łazienki z lekarstwem w dłoni.

Trzymał przy piersi owiniętą kocem Maisie. Położyłam dłoń na jej czole i stłumiłam wszystkie przekleństwa, jakie tylko przyszły mi do głowy. To nie było nic dobrego. Do tej pory mieliśmy szczęście z komplikacjami, bo miała tylko nudności, wymioty, wypadanie włosów, utratę wagi, lecz wszystko to tylko drobne, standardowe rzeczy. Jednak to coś niespotykanego.

– Maisie, kochanie, musisz otworzyć oczy i wziąć lekarstwo, dobrze? – prosiłam, wolną ręką głaszcząc ją po policzku.

Zatrzepotała powiekami i spojrzała na mnie oczami zaszkłonymi od gorączki.

– Gorąco mi.

– Wiem. Dasz radę to połknąć? – Pokazałam jej miarkę.

Pokiwała słabo głową. Beckett przesunął ją w ramionach, by znalazła się bardziej pionowo, więc przytknęłam niewielki kubeczek do jej ust w kształcie serca. Miała takie idealne wargi. Przed diagnozą nie miała nic złamanego ani nawet dziury w zębie, a teraz przestawała zwracać uwagę na przyjmowane leki.

Przełknęła i się wzdrygnęła, gdy skurczył jej się żołądek.

– Kochanie, musisz zatrzymać to w brzuchu. Proszę – błagałam, jakby miała jakiś wybór. Otworzyła jednak usta, znów mając mdłości.

– Na zewnątrz – polecił Beckett i wyszedł, więc za nim pobiegłam.

Zniósł Maisie na dół i na ganek, ledwie się zatrzymując, gdy musiał otworzyć drzwi. Nie dał mi szans, bym mu z nimi pomogła.

Wpadłam do gabinetu, porwałam leżący na biurku segregator Maisie i pobiegłam na zewnątrz.

– Od razu lepiej, prawda? Czujesz chłodne powietrze? Oddychaj powoli, Maisie. Wdech przez nos, wypuszczaj ustami. Właśnie tak. Dokładnie tak – mówił spokojnym, kojącym głosem, który bezpośrednio kontrastował z napiętymi mięśniami jego twarzy.

Maisie obróciła głowę, jakby szukała chłodnego powietrza, ale jej oddech zwolnił, a brzuch się uspokoił. Musiała utrzymać lekarstwo w żołądku, aby dać nam czas na dotarcie na SOR.

– Lepiej? – zapytałam, biorąc ją za rączkę.

– Trochę.

– Dobrze. – Mogło być. Trochę zawsze było lepsze niż zwrócenie lekarstwa.

– O Boże, Ella, co mogę zrobić? – Hailey zbiegła z ganku, wiążąc szlafrok. Zaraz za nią pojawił się bosy Colt.

– Przypilnujesz go? Proszę. Musimy jechać na SOR.

– Oczywiście. Dokąd ją zabierzecie? W naszym szpitalu nie ma pogotowia.

– Gdzie jest najbliższy ostry dyżur? – zapytał Beckett.

– O tej porze nocy jedyny czynny jest w Montrose – powiedziałam, sprawdzivszy na telefonie. – A raczej nad ranem, bo już mamy trzecią.

– To półtorej godziny jazdy – dodała cicho Hailey, jakby jej ton miał zmienić ten dystans czy cokolwiek innego.

– Nie, kiedy poprowadzę – odpowiedział Beckett, kierując się do pick-upa.

– Zaraz wróć! – krzyknęła Hailey i wbiegła do domu.

– Mamo? – Colt stanął obok mnie z Demolką.

– Hej. – Kucnęłam, aby znaleźć się na jego poziomie. – Świetnie się spisałeś, Colt. Bardzo dobrze się zachowałeś.

– To powinienem być ja.

– Co?

– To ja powinienem być chory, nie Maisie. To nie fair. To powinienem być ja. – Oczy szklily mu się podobnie jak siostrze, ale dlatego, że powstrzymywał łzy.

– O nie, Colt. Nie. – Żołądek mi się skurczył na myśl, że i jemu musiałam to tłumaczyć.

– Ale zachorowała, bo pojechała na mój mecz, prawda? To moja wina. Jestem od niej silniejszy. To powinienem być ja. Dlaczego to nie ja jestem chory?

Objęłam go i mocno przytuliłam.

– To nie przez ciebie. Wszystko, co wywołuje taką gorączkę, rozwija się znacznie dłużej, rozumiesz? To nie jest twoja wina. Dzięki tobie możemy zabrać ją do lekarza. Jesteś bohaterem, skarbie.

Pokiwał głową przy mojej szyi i poczułam, że ma mokre policzki tuż przed tym, gdy pociągnął nosem. Poglaskałam go po łopatkach, aż usłyszałam, że za moimi plecami Beckett uruchomił samochód, więc odsunęłam od siebie synka, by móc na niego spojrzeć.

– Powiedz, że rozumiesz.

– Rozumiem – wyznał, ocierając łzy. Wyprostował się nieco i wyglądał przy tym na małego, a jednocześnie dorosłego.

– Przykro mi, że cię zostawiam, ale musimy pędzić.

– Wiem – powiedział, kiwając głową. – Proszę, pomóż jej.

– Pomogę – obiecałam i pocałowałam go w czoło. – Kocham cię, Coltonie.

– Też cię kocham, mamo.

– Maisie zapięta – powiedział Beckett tuż za mną.

– Proszę – rzuciła Hailey, zbiegając z ganku z pudełkiem, które mi wcisnęła. – Lód, butelki z wodą, ręcznik, leki, twoje buty, ładowarka do komórki, torebka, inne rzeczy.

– Dziękuję – powiedziałam, tuląc ją jedną ręką. – Zadzwoń. – Pobiegłam do auta, wsiadłam do tyłu i natychmiast otoczył mnie zapach czystej skóry i Becketta. – Możesz usiąść? – zapytałam Maisie, która właśnie odpinała pas.

– Nie.

– Dobrze, chodź do mnie. – Posadziłam ją na środkowym miejscu, przepięłam pasem, gdy położyła się na moich kolanach.

Czy było to bezpieczne na autostradzie? Nie. Jednak rak usilnie starał się zabić moje dziecko, więc zamierzałam wierzyć, że nie dodamy wypadku samochodowego do listy naszych ostatnich tragedii.

Wyjrzałam przez okno, zobaczyłam, że Beckett kuca przed Coltem. Otoczył jego drobną sylwetkę silnymi rękami. Rzucił coś pospiesznie do Demolki i skierował się w moją stronę.

Przeszedł przed świecącymi reflektorami, otworzył drzwi, po czym płynnym ruchem wskoczył za kierownicę i je zamknął.

– Wszystko u was w porządku, dziewczyny? – Zakręcając na półkolistym podejździe, ustawił lusterko wsteczne na nas zamiast na drogę.

– Stabilnie – odparłam, nie potrafiąc wymyślić innego słowa, aby mu odpowiedzieć. Czy czułam się dobrze? A Maisie? Nie. Jednak było, jak było i sytuacja wydawała się stabilna.

– Dobra. – Wyjechał na drogę dojazdową do Samotni. O tej porze panowała cisza. Normalnie moje poranki pełne były wrzawy dzieci, radia, głośnych myśli, a w tej chwili słychać było jedynie szum opon na asfalcie. Kojący, stabilny dźwięk.

Pomimo głowy córki na kolanach, udało mi się sięgnąć do pudełka, które postawiłam sobie przy nogach. Wyjęłam z niego ręcznik, butelkę wody, którą najwyraźniej Hailey wyjęła z lodówki.

– Myślisz, że zatrzymasz wodę w brzuszku?

Mała pokręciła głową.

Kiedy dotarliśmy do bramy, Beckett patrzył na mnie w lusterku.

– Masz jakieś obiekcje, żebym złamał kilka ograniczeń prędkości? – zapytał, wyjeżdżając na główną drogę.

– Żadnych – powiedziałam, na co wdepnął pedał gazu i ruszyliśmy. – Znasz trasę...

– Ufasz mi, Ella? – przerwał mi.

Skoro tuliłam córkę na tylnej kanapie jego samochodu, gdy wiozł nas w nocy, pomyślałam, że odpowiedź będzie oczywista. *Tak. No przecież.*

– Ufam.

– To zajmij się Maisie i pozwól mi działać.

Przytaknęłam i wylałam nieco wody na ręcznik, by wytrzeć twarz córeczki.

Beckett miał zająć się prowadzeniem, a ja Maisie.

\* \* \*

– Cewnik centralny uległ zakażeniu i córka wykazuje objawy sepsy – powiedział nam sześć godzin później lekarz.

Niemal zemdlałam, stojąc w nogach łóżka, na którym spała mała.

– Niemożliwe. Odkazałam go... jak tylko mogłam. – Odpowiedziałabym znacznie lepiej, gdybym nie spała dziś tylko dwie godziny. – Myję, ochraniam opatrunkiem, wietrzę, postępuję zgodnie z zaleceniami.

Lekarz w średnim wieku pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Oczywiście. Nie zauważyliśmy zewnętrznych oznak infekcji. Zdarza się jednak, że bakterie nie pochodzą ze skóry. Proszę się nie zadręczać. To nic nadzwyczajnego, jednak



natychmiast musimy podać leki, przez co zostanie przeniesiona na OIOM, gdzie rozpoczniemy antybiotykoterapię.

Objęłam się rękami, patrząc na córkę. Mimo że nieco obniżono gorączkę, Maisie była nadal zaczerwieniona i podłączono jej kroplówkę, by ją nawodnić.

– Sepsa? Mogłam jakoś temu zaradzić?

Lekarz dotknął mojej ręki i czekał, aż na niego spojrzę.

– Nie. Szczęście w nieszczęściu, że gorączka stała się tak wysoka i szybko ją tu pani przywiozła.

Spojrzałam na Becketta, który stał oparty o ścianę, trzymając dłoń na metalowej ramie łóżka, jakby zamierzał zabić wszystkie smoki, które tylko zblizną się do mojej córeczki. Nie miałam szczęścia, a Becketta, który prowadził i był przy mnie, gdy pojawiła się wysoka temperatura.

Nie zdołałabym skrócić czasu jazdy o pół godziny, gdybym sama prowadziła.

– Sepsa. Zatem infekcja jest we krwi. – Staralam sobie przypomnieć wszystko, co przeczytałam na ten temat w ciągu ostatnich siedmiu miesięcy i czułam się przy tym, jakbym właśnie miała egzamin z zajęć, na które nie wiedziałam, że musiałam uczęszczać. Maisie miała niskie ciśnienie krwi, które pokazywał monitor i ciężko oddychała. Faza druga. – Co z jej organami? – dociekałam. Lekarz miał ten okropny wyraz twarzy, który pojawiał się u personelu medycznego, gdy ten nie chciał przekazywać złych wieści. – Jak jej organy? – powtórzyłam podniesionym głosem. – Jest sześć tygodni po dwunastogodzinnej operacji, podczas której chirurdzy starali się ocalić jej nerkę, więc chce mi pan powiedzieć, że cały ich wysiłek ma iść na marne?

– Musimy poczekać, by zobaczyć, jak zareaguje na antybiotyki – przybrał ton, którym zazwyczaj uspokajało się matkę chorego pacjenta.

W mojej głowie odezwał się alarm tak głośny, jak kościelne dzwony, a żołądek mocno mi się skurczył.

– Jak bardzo powinnam się martwić?

– Bardzo – odparł, tym razem nie mrugając, nie łagodząc wyrazu twarzy.

I to jeszcze bardziej mnie przeraziło.

Kolejna godzina upłynęła w okamgnieniu.

Przeniesiono Maisie na OIOM, gdzie zaopatrzone nas wszystkich w opaski na rękę. Przytaknęłam, gdy pytano, czy zgadzam się na wpuszczenie Becketta, który zdążył przekopać się przez połowę segregatora, bo szukał informacji o ubezpieczeniu.

Ponieważ byłyśmy z małą częstymi bywalczyniami w szpitalu onkologicznym, wszystkie informacje znajdowały się w medycznej bazie, więc segregator okazał się niepotrzebny, aby zaczęli dożylnie podawać silne leki, więc ponownie go wzięłam i wszystko sobie zanotowałam.

– Cewnik centralny zostanie wyjęty? – zapytałam lekarza, na którego plakietce przeczytałam, że to doktor Peterson. Beckett stał przy mnie, zapewniając milczące wsparcie.

Lekarz przeczytał coś na iPadzie, nim odpowiedział:

– Musimy rozważyć wszystkie za i przeciw. W większości przypadków taki cewnik nie stanowi zagrożenia, a jeśli go usuniemy, mogą pojawić się komplikacje przy zakładaniu kolejnego.

– Idzie prosto do serca.

– Tak, ale rozpoczęliśmy podawanie bardzo silnych antybiotyków i cały czas ją monitorujemy, a zwłaszcza ilości podawanych i odprowadzanych płynów.

– Funkcjonowanie nerek – domyśliłam się.

Przytaknął.

– Musimy dać szansę zadziałać lekom. Jeśli nie nastąpi poprawa, będziemy musieli wyjąć cewnik.

– Zatem mamy czekać.

– Tak, czekamy.

Pokiwałam głową, mruknęłam podziękowanie i usiadłam na krześle obok łóżka córeczki. Czekać. Tylko czekać. Nic więcej nie byłam w stanie zrobić.

Jak zwykle byłam bezradna, gdy moja sześciolatka walczyła o życie. Jak to mogło być sprawiedliwe? Dlaczego ja nie mogłam leżeć w tym łóżku? Z tymi wszystkimi rurkami kroplówek i kabelkami do maszyn monitorujących? Dlaczego ona?

– Może przyniosę kawę? – zaproponował Beckett, wyciągając mnie z otchłani cierpienia.

– Byłoby super. Dziękuję. – Posłałam mu słaby, wymuszony uśmiech, więc poszedł szukać kofeiny.

Moimi towarzyszami stały się widok kąpiących w kroplówce lekarstw oraz pikanie maszyn przy każdym uderzeniu serca małej. Miała niebezpiecznie niskie ciśnienie krwi, więc szybko uzależniłam się od obserwowania wyników na monitorze.

Przerwa. Badanie i wynik. Przerwa.

Zaskoczył mnie dzwoniący telefon. Natychmiast odebrałam, gdy na ekranie wyświetliła mi się informacja, że to doktor Hughes.

– Tak, pani doktor? – odebrałam.

– Dzień dobry. Właśnie mnie poinformowano, że Maisie przyjęto w Montrose. Jak się pani trzyma? – zapytała cudownie znajomym głosem.

– Dali pani zapoznać się ze stanem Maisie?

– Tak. Właśnie do was jadę.

– Jest pani w Montrose? Myślałam, że przez kolejny tydzień pracuje pani w Denver. – Przerzuciłam kartki w segregatorze, by odnaleźć tę z planem dyżurów doktor Hughes.

– Mamy Dzień Pamięci, więc pojechałam na weekend do rodziców.

Chwilową ulgę przyćmiły wyrzuty sumienia.

– Nie chcę, żeby rezygnowała pani dla mnie z wolnego.

– Nonsens. Będę u was za pół godziny. Poza tym daje mi to wymówkę, aby nie słuchać głędzenia matki na temat sukien drухen. Wyświadcza mi pani przysługę.

– Wychodzi pani za mąż? Dlaczego o tym nie wiedziałam?

– Za pół roku – odpowiedziała wesoło. – Niebawem się zjawię. Proszę się trzymać.

Rozłączyłam się, a w tej samej chwili wrócił Beckett ze znajomo wyglądającym białozielonym kubkiem.

– Jesteś bogiem wśród ludzi – powiedziałam, biorąc od niego naczynie. Trzymałam je oburącz, żeby rozgrzać sobie dłonie, pobudzić zakończenia nerwowe. Wydawało się, że ostatnio byłam jedynie odrętwiała.

– Będę częściej przynosił ci kawę – obiecał. Wziął sobie drugie krzesło i usiadł obok mnie.  
– Jak się miewa?

– Bez zmian. Nie wiem, czego się spodziewać. Natychmiastowej poprawy? Miałaby magicznie ozdrowieć z infekcji, której nie zauważyłam? Dlaczego tego nie wychwyciłam?

– Bo nie masz w oczach skanera jej krwi? Musisz sobie trochę odpuścić, Ella. Jeśli lekarz twierdzi, że nie można było temu zaradzić, musisz mu uwierzyć. Możesz mieć wyrzuty sumienia z powodu tego, że kibicujesz kiepskiej drużynie baseballa czy że przejechałaś trzy tysiące kilometrów ponad stan licznika, przy którym powinnaś zmienić olej, ale nie tego.

– Co jest złego w drużynie Rockies?

Wzruszył ramionami.

– Nic, jeśli lubisz jej przegrane.

– Ej, to drużyna z mojego miasta, więc nie będę im kibicować jedynie przy wygranych.

– To właśnie w tobie uwielbiam – wyznał z uśmiechem, przyglądając się Maisie. – Tę twoją niezachwianą lojalność, nawet jeśli twoja drużyna naprawdę jest kiepska.

– Tylko dlatego, że jesteś fanem Metsów... – Wskazałam na jego czapkę.

– Winny zarzucanych mi czynów. – Obrócił ku mnie głowę i puścił do mnie oko. Stało się jasne, że starał się odwrócić moją uwagę od samobiczowania się z powodu stanu córki.

Pokręciłam głową i westchnęłam, wdzięczna za kawę i chwilę, by odciągnąć myśli od nienawiści do samej siebie, co nie przynosiło Maisie nic dobrego.

– Boję się.

– Wiem. – Położył rękę na dłoni, którą trzymałam na kolanie.

– Jest w złym stanie.

– Tak. – Proste stwierdzenie znaczyło dla mnie więcej niż jakiegokolwiek wypowiedane w dobrych intencjach frazesy. Przy Beckettie nie musiałam robić dobrej miny do złej gry ani uśmiechać się, gdy ktoś mówił, że Maisie z tego wyjdzie, choć tak naprawdę nie mógł mi tego zagwarantować. Z tym człowiekiem mogłabym być absolutnie szczerą.

– Nie chcę grzebać córki. – Obserwowałam, jak unosi się jej odziana w szpitalną koszulę pierś. – Nie chcę planować pogrzebu ani o nim myśleć. Nie wiedziałabym, jak spojrzeć Coltowi w oczy, by powiedzieć, że jego najlepsza przyjaciółka... – Gardło mi się ścisnęło, odmawiając uwolnienia pozostałych słów, które tak bardzo chciały się ze mnie wyrwać. Tłumiłam je od tak dawna, że zdawały się obrosnąć w siłę, jak dokarmiany potwór.

Beckett ścisnął moją dłoń. Cały był duży, łącznie z niesamowitymi palcami, którymi trzymał mnie zarówno z siłą, jak i delikatnością.

– Odkąd przedstawiono mi rokowania, nie zamierzałam tego robić. Ponieważ zaplanowanie pogrzebu byłoby jak przyznanie się do porażki, jakbym już z niej zrezygnowała. Zatem nawet o tym nie myślałam. Po prostu odmawiałam wierzenia w taką możliwość. A potem... – Zamknęłam oczy, gdy wróciło wspomnienie, dźgając ze smutkiem tak wielkim, że powinnam fizycznie krwawić. Opuszczana trumna. Salwa honorowa z brzegu. Powaga na twarzy żołnierza, który podawał mi złożoną flagę. – Potem pochowałam Ryana. Co za Bóg robi takie rzeczy? Odbiera ci jedyne go brata, jednocześnie bawiąc się życiem twojej córki?

Beckett milcząc, przesunął kciukiem po moich knykciach. Nie mógł nic mi powiedzieć i oboje zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

– Byłeś zły? Kiedy zginął? – zapytałam, odrywając wzrok od córki, by na niego spojrzeć.

Zwiesił głowę.

– Wściekły.

– Na Boga – domyśliłam się.

– Na siebie. Na każdego żołnierza w oddziale, który go nie ocalił, przyjmując kulę na siebie. Na rząd za wysłanie nas do tego miejsca z... – Przełknął ślinę. – Z rebeliantami, którzy pociągnęli za spust. Na każdego, kto żył po jego śmierci.

– Jak się z tym uporałeś? – Był taki spokojny, jak jezioro o piątej nad ranem, nim wiatr zacznie marszczyć taflę.

– A dlaczego myślisz, że sobie poradziłem? – Popatrzył mi w oczy i dostrzegłam ból, który do tej pory skrupulatnie ukrywał. Jak głęboko sięgał? Jak wiele zniszczeń spowodował?

Beckett Gentry wiedział o mnie prawie wszystko, a ja o nim niemal nic. Czy stało się tak dlatego, że o nic go nie pytałam? Ponieważ moje myśli nieustannie zajmowała Maisie? I Colt? Bo tak naprawdę nie chciałam wiedzieć?

– Czasami wydaje mi się, że w ogóle cię nie znam – wyznałam cicho.

Uśmiechnął się półgębkiem.

– Być może niewiele wiesz o mojej przeszłości, ale możesz mi wierzyć, znasz mnie i to najważniejsze.

Zanim mogłam go o coś zapytać, otworzyły się drzwi i weszła doktor Hughes. Miała na sobie dżinsy i bluzkę, a nie zwyczajowy biały fartuch.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry, doktor Hughes – powiedziałam z ulgą.

– Jak idzie? – Wzięła wiszącą na końcu łóżka kartę.

– Czekamy, aby sprawdzić, czy leki działają. – *Czy organy wewnętrzne Maisie przestaną działać, czy też nie. Czy przeżyje, czy umrze.*

– Ach, czeka pani tak spokojnie – zauważyła, unosząc brwi.

– No tak.

Spojrzała na mojego towarzysza i nasze złączone dłonie.

– A to Beckett Gentry – przedstawiłam go. Zabrałam rękę i poklepałam go po ramieniu. *Kiepsko.* – Jest... – Cholera, kim dla nas był? Co niby miałam o nim powiedzieć? Nie był moim chłopakiem. Facet nawet mnie nie pocałował, mimo że ostatnio cały czas spędzaliśmy razem.

– Jestem przyjacielem jej zmarłego brata – wyjaśnił, wstając i podając rękę. – Rozumiem, że pani jest specjalistką, pod której opieką znajduje się Maisie. Uwielbia panią.

Doktor Huhges z uśmiechem uściśniła jego dłoń.

– Cieszę się, słysząc to. Maisie to moja ulubiona pacjentka. Miło mi pana poznać, panie Gentry. Pani Elli z pewnością przyda się wsparcie. Cieszę się, że je od pana otrzymuje.

– Nie odejdę, dopóki będzie mnie potrzebować. – Odpowiedział na niezadane pytanie, na co złagodniał wyraz jej twarzy.

*Kolejna nim zauroczona.*

Potem przeszliśmy do spraw medycznych. Lekarka zadawała pytania, sprawdzała wyniki najnowszych badań Maisie, marszcząc brwi, gdy wielokrotnie je czytała. Osluchwała małą, sprawdzała kroplówki i ciśnienie.

– Jak bardzo mam się martwić? – zapytałam, wiedząc, że mnie nie oszuka.

Westchnęła ciężko i ponownie przejrzała kartę.

– Nie wiem i nie zdołam powiedzieć, nie widząc, jak reaguje na leki. Potrafię jedynie stwierdzić, że jest teraz w znacznie lepszej sytuacji, niż była kilka godzin temu. Ocaliliście państwo jej życie.

– Colt to zrobił – przyznałam cicho.

– Co za parka. – Zaśmiała się. – Jedna dusza w dwóch ciałach.

– Powiedział, że we śnie słyszał, jak płakała – dodał Beckett. – Obudził się, poszedł do niej i znalazł ją rozpaloną.

Natychmiast na niego spojrzałam, kiedy mu powiedział... *Kiedy siedziałas w pick-upie.* Kiedy rozmawiał z nim na ganku. Wdzięczność, którą czułam do Becketta z powodu związku z Coltem nieco przyćmiła zazdrość, bo znał mojego syna w sposób, w który nie znałam go ja.

Ponieważ Beckett spędzał z nim ostatnio więcej czasu niż ja.

– Co dalej? – zapytałam, bo musiałam wiedzieć.

– Musimy poczekać, ale kiedy zyskamy pewność, że leki działają...

– Nie w tym przypadku. Z leczeniem raka. Z rokowaniami i wszystkim. – Nie chciałam myśleć o tym, czego nie mogłam kontrolować. Pragnęłam skupić się na tym, na co miałam jakiś wpływ. Co mogę sprawdzić, jak się przygotować? Z tym umiałam sobie radzić.

Doktor Hughes pokiwała głową, jakby rozumiała, o co mi chodzi, po czym usiadła na ostatnim wolnym krześle w sali i oparła rękę na małym stoliku.

– Miałymy się spotkać w przyszłym tygodniu – przypomniała.

– No tak.

– Na pewno chce pani teraz o tym rozmawiać?

Spojrzałam na córeczkę, która walczyła w bitwie, w której nie mogłam jej pomóc, więc wybrałam inny front.

– Tak.

– Ostatnia chemia nie zmniejszyła liczby komórek rakowych tak, jakbyśmy tego chcieli.

Usunięcie guza poszło dobrze, ale jeśli szpik kostny wciąż był zajęty komórkami rakowymi, mógł powstać kolejny. Ścięliśmy wierzchołek drzewa, ale korzenie nadal żyły i walczyły.

– Czy choroba może stać się odporna na chemię?

Beckett ponownie wziął mnie za rękę i mocno ścisnął.

– Istnieje takie ryzyko. Omawialiśmy już terapię z użyciem środka MIBG<sup>[1]</sup>, uważam, że jest teraz najlepszym rozwiązaniem. – Pochyliła się, z torebki wyjęła ulotkę i położyła ją na stole. – Mogę podać pani więcej informacji. – Spojrzała na Becketta, a ja domyśliłam się dlaczego.

– Może pani mówić przy nim. Wszystko w porządku. – Aż do teraz o moich finansach wiedziały tylko Ada i doktor Hughes. I zapewne operator sieci komórkowej, któremu ciągle płaciłam rachunki z miesięcznym opóźnieniem.

– Ubezpieczenie pokryje niektóre elementy terapii, ale nie wszystkie, a jedynym szpitalem korzystającym z MIBG w Kolorado jest szpital dziecięcy w Denver. – Posłała mi wymowne spojrzenie.

Suma musiała być astronomiczna, więc nie zdołam od razu jej zapłacić, ale postanowiłam, że będę się tym martwić później.

– Proszę przygotować dokumenty, a wszystko podpiszę.

- Dobrze. Musimy to zrobić dość szybko.
- Jak wszystko inne...

\* \* \*

– Opowiedz mi o MIBG – poprosił Beckett siedem godzin później, gdy jedliśmy obiad w małej stołówce. Maisie spała na górze, jej ciśnienie wzrosło, ale temperatura nie spadała.

Raz się przebudziła i poprosiła o skorzystanie z łazienki, przez co niemal rozplakałam się z ulgi. Nerki wciąż funkcjonowały.

Odsunęłam niedopieczonego kurczaka na bok talerza. Dlaczego jedzenie w szpitalach zawsze było takie okropne? Bo musieli uważać na delikatne żołądki? A może się myliłam i z daniem wszystko było w porządku, a ja byłam zbyt odrętwiała, by czuć jakikolwiek smak?

Może jedzenie w szpitalach było naprawdę dobre, a ja miałam zbyt wiele na głowie, by to po prostu zauważyć?

– Ello – powiedział łagodnie Beckett, czym wyrwał mnie z zamyślenia. – Czym jest MIBG?

– No tak. To stosunkowo nowa metoda leczenia neuroblastomy, w której łączy się chemioterapię z lekiem, który absorbuje komórki nowotworowe. To dość niesamowite, ale można to wykonać jedynie w osiemnastu szpitalach w kraju, a tak się składa, że jeden z nich jest w Denver.

– Super. W tej samej placówce, w której Maisie miała operację?

– Tak. – Dźgałam widelcem tłuczone ziemniaki, patrząc z podziwem, jak Beckett co rusz wkłada sobie porcję do ust. – Jak możesz to jeść?

– Spędź dekadę w wojsku, a pogadamy. Zdziwiłabyś się, gdybyś usłyszała, co uważa się tam za świetny obiad.

Perspektywa ta sprawiła, że nabrałam nieco potrawy na widelec.

– A MIBG ma jakieś wady?

– Największą, że nie obejmuje jej moje ubezpieczenie. – I oto wstęp do koszmaru, jakim były moje finanse.

– Żartujesz. – Zamrugał kilkakrotnie, jakby się spodziewał, że zmienię odpowiedź. – Powiedz, że żartujesz, Ella.

– Nie żartuję. – Ugryzłam kurczaka, wiedząc, że potrzebowałam kalorii bez względu na to, skąd pochodziły.

– Więc, co zrobimy? – Zapytał, a na jego czole pojawiły się dwie poziome bruzdy.

– To, co robię do tej pory. Będę musiała coś wymyślić. Jakoś zapłacić. – Wzruszyłam ramionami, po czym wzięłam kolejny kęs i dopiero wtedy uświadomiłam sobie, co powiedział. *My, nie ty. My.* Udało mi się przełknąć, więc nie wyglądałam jak idiotka z udkiem w zębach.

– Co masz na myśli, mówiąc o tym, co robiłaś do tej pory? Ile kosztów leczenia nie pokryto z ubezpieczenia? – dociekał spokojnym tonem, ale nieco przestraszyła mnie intensywność jego spojrzenia.

Machnęłam ręką i sięgnęłam po bułkę.

– Usilnie staram się nie stracić nad sobą kontroli, więc byłoby super, gdybyś mi odpowiedziała.

Spojrzałam na jego pierś oraz wybrzuszoną żyłę na szyi – tak, wkurzył się – a następnie na jego twarz.

– Sporo. Ubezpieczenie nie pokryło wielu rzeczy.

– Dlaczego o niczym mi nie powiedziałaś?

– Bo to nie twoja sprawa!

Odsunął się, jakbym go uderzyła.

– Przykro mi, ale nią nie jest – możliwie złagodziłam ton. – I co miałabym ci powiedzieć? Ej, Beckett, wiesz, że w zeszłym roku zastawiłam zdrowie dzieci? Że moje ubezpieczenie nie pokrywa nawet połowy leczenia, którego wymaga moja córka? Że wykorzystałam już całą kwotę z ubezpieczenia na życie Ryana, by ratować Maisie?

– Tak, mogłabyś od tego zacząć. – Przeczesał włosy palcami, po czym założył dłonie z tyłu głowy. – Zacznij od przyznania się do problemu. Jak wielkie masz kłopoty?

– Pewne.

Toczyliśmy milczącą wojnę na spojrzenia. Poddałam się chwilę później. Przecież starał się mi pomóc, a ja upierałam się ze względu na prywatność, której i tak już nie miałam.

– Ubezpieczenie nie obejmuje szpitala, w którym miała operację, co oznacza, że każdy zabieg, operacja czy każda konsultacja z doktor Hughes jest dodatkowo płatna.

– A to? To, co teraz się dzieje?

– Procedury medyczne w Montrose są refundowane, ale MIBG nie będzie, tak samo jak przeszczep komórek macierzystych, który zasugerowała doktor Hughes.

– Zatem jakie masz możliwości?

– Finansowe?

Przytaknął.

– Nie kwalifikuję się do rządowej pomocy, ponieważ jestem właścicielką Samotni. Oszczędności skończyły się już po pierwszym miesiącu leczenia, a operacja wyczerpała to, co dostałam z ubezpieczenia na życie Ryana. W zeszłym roku zaciągnęłam kredyt hipoteczny na remont domków, więc to też nie wchodzi w grę. Nawet sprzedaż wszystkiego w tej chwili wystarczyłaby jedynie na pokrycie długu w banku. Pozostaje mi więc zostać sprytnym rabusiem lub striptizerką online na samotnemamuski.com.

– To nie jest śmieszne.

– Ja się nie śmieję. – Minęła chwila ciszy, gdy Beckett rozważał to, co mu powiedziałam. Żuł powoli, jakby miał zębami moje słowa. – Słuchaj, nie tylko mnie coś takiego spotkało. Ubezpieczalnie cały czas odmawiają komuś leczenia. Albo mówią, że pokryją mniej kosztowne procedury. Leki generyczne, inne szpitale, alternatywne metody leczenia, tego typu rzeczy. Istnieją też plany spłat ratalnych i programy stypendialne dla tych, którzy się kwalifikują, co niekiedy wystarcza na leki.

– Czy istnieje alternatywa dla MIBG?

– Nie.

– A jeśli Maisie się jej nie podda?

Rzuciłam widelec na talerz i powoli uniosłam wzrok do jego oczu.

– A jeśli nie zareaguje na antybiotyki?

Widziałam, że drgnął mięsień na jego policzku, a spojrzenie stało się harde. To nie był facet, który czule wiązał korki mojemu synowi, bezpiecznie niósł moją córkę, czy mnie tulił. To

był człowiek, który zawodowo zabijał innych.

– Mówisz mi, że życie Maisie nie jest jedynie w rękach lekarzy..., ale również firmy ubezpieczeniowej? To oni mają decydować o jej życiu czy śmierci?

– Nie do końca. Nie decydują, czy poddać ją leczeniu, a jedynie czy za to zapłacą. Reszta jest na mojej głowie. To ja muszę spotkać się z lekarzami i określić, czy zdołam zapłacić cenę za życie córeczki.

Na twarzy człowieka, który zapewne widział i robił najstraszliwsze rzeczy, odmalowało się przerażenie.

– Nieźle popieprzone, co? – zapytałam z krzywym uśmiechem.

– Ile?

– Ile co? Chemia za dwadzieścia cztery tysiące, którą dostaje raz na miesiąc? Operacja za sto tysięcy? Leki? Przejazdy?

Wypuścił wstrzymywane w płucach powietrze i położył ręce na kolanach.

– Ile za MIBG.

– Zapewne plus minus pięćdziesiąt tysięcy. Ale to życie Maisie. Co mam niby powiedzieć? Nie, proszę, nie ratujcie mojego dziecka?

– Nie, oczywiście, że nie.

– No właśnie. Zatem będę musiała coś wymyślić. Najprawdopodobniej będzie wymagała dwukrotnego podania środka, a potem przeszczepu komórek macierzystych, który kosztuje średnio pół miliona.

Pobladł.

– Pół miliona dolarów?

– Tak. Rak to biznes, i to dobry.

Odsunął od siebie talerz.

– Straciłem apetyt.

– A ty się zastanawiasz, dlaczego chudnę – zażartowałam.

Nie roześmiał się. Właściwie mruzczał tylko coś pod nosem, gdy wracaliśmy na górę. Niemal miałam wyrzuty sumienia przez to, że obarczyłam go tym wszystkim, ale w pewien dziwny sposób poczułam się lepiej, dzieląc się tym z nim, wiedząc, że moja sytuacja była tak bardzo niesprawiedliwa.

Siedział ze mną cały dzień, ani razu nie skarżąc się na niewygodne krzesło czy pikanie maszyn monitorujących. Obserwował wszystko jak jastrząb, przerzucał strony ulotki o MIBG, chodził po korytarzu. Rozmawiał przez kamerkę z Coltem i Demolką, przyniósł więcej kawy i przeglądał segregator Maisie, który w pewnym momencie tego wszystkiego stał się dla mnie bardziej osobisty niż pamiętnik. Przysunął się do mnie z krzesłem tak, jak tylko było to możliwe, więc koło północy zasnęłam na jego ramieniu.

Beckett był wszystkim, czego rozpaczliwie potrzebowałam przez ostatnie siedem miesięcy. Co zrobię, gdy w końcu odejdzie? Teraz wiedziałam, jak to jest mieć kogoś, na kim można było polegać w takich przypadkach, bez niego byłoby mi tysiąc razy trudniej.

Obudziłam się gwałtownie i zobaczyłam, że Beckett stoi przy łóżku Maisie. Spojrzał na mnie z szerokim uśmiechem, a w tej samej chwili wszedł lekarz.

Wstałam niezdarnie, potarłam zmęczone oczy i sapnęłam. Maisie siedziała na łóżku, patrzyła skupiona i się uśmiechała.



– Cześć, mammo!

Zamrugalam i przenioslam wzrok na monitory. Ciśnienie wróciło do normy, temperatura spadła, wyrównala się saturacja. Zakryłam dłonią usta, kolana się pode mną ugięły, na szczęście Beckett złapał mnie w talii i natychmiast do siebie przyciągnął.

– Cześć, Maisie. Jak się czujesz?

– O wiele lepiej – odpowiedziała.

Warga mi drżała, gdy wróciłam spojrzeniem do lekarza, który czytał kartę i słuchał raportu kolegi po fachu. Była siódma piętnaście. Nocna zmiana szła do domu, a przyszła dzienna.

– No i? – zapytałam.

– Wygląda na to, że leki działają. Wyjdzie z tego.

Spojrzałam na klatkę piersiową Becketta, by nie rozplakać się przed Maisie. Objął mnie, więc odetchnęłam głęboko, wciągając do nosa jego zapach, który dosłownie przepędził mój strach.

– Słyszałaś, Maisie? Najwyraźniej nie ominą cię przyszłotygodniowe korepetycje – zażartował, a jego ochrypły głos zadudnił w moim uchu.

Przywiózł nas tu, zadbał o mnie, troszczył się o moje dzieci. Zmienił całe swoje życie, aby zamieszkać tuż obok. Trwał przy mnie niezachwianie za każdym razem, gdy twierdziłam, że go nie potrzebuję i pomagał bez żadnych wcześniejszych wskazówek.

Odetchnęłam po raz ostatni i obróciłam się do lekarza, który z satysfakcją pokiwał mi głową.

– Zatrzymamy ją tu na obserwacji przez kolejny dzień, aby mieć pewność, że wszystko idzie w dobrym kierunku, po czym przeniesiemy na oddział dziecięcy na kolejne dni. Lepiej dmuchać na zimne.

– Dziękuję. – Nie potrafiłam nic dodać.

– Ma pani małą wojowniczkę – skomentował i wyszedł.

– Nie ma Colta – powiedziała cicho Maisie, rozglądając się po łóżku.

Musiałam się chwilę zastanowić, o co jej chodzi.

– Przykro mi, ale wyjechaliśmy z domu tak szybko, że go nie wzięłam. – Misiek najprawdopodobniej był w łóżku syna, samotna różowa plama pośród morza błękitu.

– Spokojnie, mama ci go jutro przywiezie, gdy wróci na chwilę do domu, może być? – zaproponował Beckett.

– Co? Mam jechać do domu? – Do diabła, nie. Nie zamierzałam zostawiać córki samej.

– Tak – powiedział, kiwając głową. – Jeśli wyjedziesz o dziesiątej, zdołasz dotrzeć do domu, zmyć z siebie szpital i uczestniczyć w rozdaniu świadectw Colta, które będzie o czternastej.

Akademia w przedszkolu. Opadła mi szczęka. Przeniosłam wzrok z Becketta na Maisie. Jak miałam ją tu zostawić? Jak miałam nie być na rozdaniu świadectw Colta? To na pewno tylko głupia uroczystość, jednak dla syna niezmiernie ważna. Jak miałam tu zostawić Maisie, gdy miała wejść na scenę razem z nim? Dlaczego cała ta sytuacja była aż tak bardzo niesprawiedliwa?

Beckett objął moją twarz, przerywając mecz ping ponga w mojej głowie.

– Ella, mała jest w stanie stabilnym. Cały dzisiejszy dzień spędzi na OIOM-ie. Posiedzę z nią tych kilka godzin. Musisz pojechać do Colta. Pozwól mi zostać. Przestań rozrywać się

na pół i daj mi pomóc. Proszę.

– Tak, mamo. Musisz jechać. Nie chcę, by Coltowi było przykro – dodała Maisie.

– Ale nie mam czym pojechać do domu.

– Weź mojego pick-upa.

*Chwila.* Co? Pick-upy były dla facetów święte. Równie dobrze mógł ofiarować swoją duszę na srebrnej tacy.

– Twój samochód?

– Masz prawo jazdy, prawda? – zażartował.

– No tak.

– Zatem ustalone. Weź z domu różowego Colta, a tymczasem my z Maisie pooglądamy jakieś filmy. Co ty na to, mała? – Spojrzał na moją córkę.

– Tak!

– Na pewno? – dopytywałam.

– Oczywiście. – Wziął mnie za rękę i przycisnął sobie do piersi. – Przysięgam.

W moim sercu zrodziło się słodkie uczucie, które zapuściło korzenie do mojego brzucha, po czym rozciągnęło się na całe moje ciało, aż mrowiło w koniuszkach palców.

– Zrób dużo zdjęć, dobrze?

– Jasne – odparłam, skupiona na przytłaczających mnie emocjach.

To musiało być zauroczenie, prawda? Kto by się nie zakochał w takim facecie? Nie było jednak mowy, by obdarzyć Becketta prawdziwą miłością.

Żadnej.

Obrócił się i przybił z Maisie piątkę, przy czym mały, biały pasek papieru na jego nadgarstku krzychał głośniejszy niż mój mózg mógł zaprzeczyć, ponieważ gdy w sobotę w nocy głowa panikowała, skupiona na dokumentach i lekarzach, serce podpowiadało, że to człowiek, któremu można zaufać. Przytaknęło, by dać mu opaskę, gdy umysł zajmowały zupełnie inne sprawy. Ten człowiek znalazł się w moim życiu i w pewnym sensie stał się mój. I Colta. I definitywnie Maisie.

Mimo wszystko na rękę miał wypisane jej imię.

Boże. Zakochałam się w nim.

[1] MIBG – terapeutyczny roztwór siarczanu metajodobenzylguanidyny do wstrzykiwania w terapii nowotworowej leczenia izotopowego guzów gromadzących jobenguan (przyp. tłum.).

# ROZDZIAŁ 14

BECKETT

List #20

*Chaosie,*

*czuję, że ostatnio piszę do Ciebie jedynie o chorobie Maisie. Szczerze mówiąc, czasami chyba tylko o tym myślę. Stałam się jedną z tych uwarunkowanych jednotorowo osób, bo wszystko kręci się teraz wokół mojej córki.*

*Spróbujmy na chwilę porzucić ten temat. Nadchodzą święta Bożego Narodzenia. To okres, w którym mamy najwięcej gości, zazwyczaj wynajmujemy wszystkie domki aż do końca pierwszego tygodnia stycznia, co jest dobre dla interesu i oceny naszego ośrodka.*

*Przeniosłam dzieci do ostatniego wolnego domku i usunęłam ofertę jego wynajmu. Lepiej trzymać Maisie z dala od bakterii, gdy ma tak niską liczbę leukocytów i na razie się to sprawdza. No i proszę, znów wróciłam do tematu raka.*

*Ubraliśmy choinkę i wprowadziła się do nas Hailey, która pomaga nocami, gdy siedzę w szpitalu. Wydaje mi się, że dzieciakom też bardziej podoba się taka prywatność. Colt prosił nawet Świętego Mikołaja o domek na drzewie, ale powiedziałam mu, że będzie musiał poczekać do powrotu wujka. Radzę sobie w wielu kwestiach, ale nie zbuduję mu czegoś takiego. Moje dzieło prawdopodobnie rozpadłoby się, jeszcze zanim postawiłby w nim nogę. Zastanawiam się również, czy budowanie mu domku na drzewie to dobry pomysł, skoro zapewne niedługo wrócimy do głównego budynku. Niebawem. Wkrótce. Szczerze mówiąc, ostatnio wszystko tak określam.*

*Jak spędzacie tam święta? Potrzebujecie czegoś? Dzieci wysyłają Wam zdjęcia. Martwią się, że nie macie choinki, więc namalowały Wam ją i pomogły w pieczeniu ciastek.*

*Trudno uwierzyć, że już grudzień i wkrótce wrócicie do domu. Nie mogę się doczekać, aby spotkać się z osobą, z którą piszę, i żeby oprowadzić Cię po okolicy. Nie panikuj, ale na to najbardziej czekam w nadchodzącym roku.*

---

Umiejętność rozwiązywania problemów to umiejętność, z której byłem szczególnie dumny. Nie było rzeczy, której nie potrafiłbym naprawić, układanki, której nie mógłbym złożyć. Byłem doskonały w urzeczywistnianiu niemożliwego, ale w tej sytuacji czułem się, jakbym walił głową w mur, tylko po to, by sprawdzić, jakie to uczucie.

Po raz setny przeczytałem o terapii MIBG i porównałem z tym, co znalazłem w internecie na telefonie. *Ile bym dał za laptopa.*

Niedorzeczne, że ubezpieczenie Elli nie pokrywało tego środka, ale moje by pokryło. Jeśli istniała kwestia, na której wojsko nie oszczędzało to właśnie ubezpieczenie zdrowotne, które nadal mnie obejmowało, skoro nie podpisałem odmowy na propozycję Donahue.

– Nie opuściłabym wieży – zadeklarowała Maisie, siedząc na łóżku i lekko kołysząc się na materacu. Tuż przed porannym wyjazdem Elli do domu przeniesiono nas na oddział dziecięcy.

Spojrzałem na film – *Zaplątani*. Roszpunka. Jasne.

– Opuściłabyś, gdyby twoją matką była zła czarownica.

– Ale nie jest, więc bym została. – Naciągnęła czapkę głębiej na oczy.

– Spójrz jednak na ten wielki świat. Naprawdę nie chciałabyś go zwiedzić? – Ustawiłem rzeczy na stoliku.

Wzruszyła ramionami, ściągając usta na jedną stronę i marszcząc nos.

– Można tak wiele zobaczyć. – Odepchnąłem się i pojechałem z fotelem do jej łóżka.

– Chyba tak, ale to nie oznacza, że to zobaczę.

Nie skarżyła się, po prostu stwierdziła fakt. Uświadomiłem sobie, że była mała, niewiele pamiętała ze swojego życia, a większość z tego to walka. To okropne siedem miesięcy dla Elli, ale dla Maisie musiało oznaczać całą wieczność.

– Zobaczysz – wyznałem.

Zerknęła na mnie kilkakrotnie, nim obróciła głowę i spojrzała mi prosto w oczy.

– Zobaczysz – powtórzyłem. – I nie mówię tylko o szkole, bo to dopiero początek.

– Nie ukończyłam nawet przedszkola – szepnęła. – Proszę, niech pan nie mówi mamie, że jestem smutna. I tak bardzo się denerwuje.

To było jak rozmowa z Ellą w wersji mini, która zawsze martwiła się o wszystkich, tylko nie o siebie. Nawet oczy miały takie same, z wyjątkiem tego, że Maisie nie nauczyła się jeszcze, jak strzec myśli.

– Mam pomysł – rzuciłem.

Czterdzieści minut, kolejną szpitalną koszulę i szybką przebieżkę do dyżurki pielęgniarek później byliśmy niemal gotowi.

– Już? – zawołała z łazienki.

– Prawie – starałem się powiedzieć, w zębach trzymając taśmę klejącą, lepiąc nią postrzępiony pasek materiału z mojego podkoszulka do czapki.

Niezbyt szły mi prace techniczno-plastyczne, ale to miało się udać. Zapukałem do drzwi łazienki, które zaraz uchyliły się na tyle, by Maisie wystawiła rękę.

– Wasza Wysokość – powiedziałem, wręczając jej moje dzieło. Dzięki Bogu, że pielęgniarki na oddziale dziecięcym miały przyborniki krawieckie.

Maisie zachichotała, wzięła to, co jej dałem i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Rety, szybko się poruszała. Wciąż podawano jej kroplówką antybiotyki, ale od dnia meczu minęła już ponad doba.

Po raz setny skarciłem się w duchu, że niczego nie wyłapałem, niosąc ją wtedy do i z auta. Nie miała gorączki, czerwonych policzków, nic, ale widziałem przecież, jaka była osłabiona.

– Gotowy? – zapytała.

Spojrzałem na zegarek. Uczniowie w szkole zaraz wejdą na małą scenę.

– Tak, jeśli i ty jesteś.

– Niech pan zapowie – poleciła zza drzwi.

– Wiesz, że normalnie byś się nie ukrywała, prawda?

– Ale nie powinien mnie pan widzieć, dopóki nie wyczyta pan mojego imienia.

– To przed ślubem – odparłem, starając się nie śmiać. – Pan i pani młoda nie powinni się widzieć, dopóki nie staną razem przed ołtarzem.

Drzwi się otworzyły, Maisie mogła wyjść, prowadząc stojak z kroplówką. Kiedy wróciła do sali, uśmiechałem się tak szeroko, że mała twarz mi nie pękła.

Miała na sobie jednokolorową szpitalną koszulkę, którą wyděbiłem od pielęgniarek, a na głowie naprędcie sklecony przeze mnie biret. Ciężko go było zrobić. Gruby frędzel zwisał z boku, ale nie umiałem lepiej go zamocować. Nie najlepiej mi to wszystko wyszło, ale może być.

– Proszę zająć miejsca – poleciłem, stając po drugiej stronie sali, w nogach jej łóżka.

Podeszła z uniesioną głową i usiadła przy stoliku.

Moją uwagę zwrócił ruch przy drzwiach, ale kiedy dostrzegłem, że to pielęgniarki, które pomogły mi zdobyć niezbędne materiały, uśmiechnąłem się i wróciłem do mojej jednoosobowej publiki.

– Musi pan wygłosić mowę – przypomniała mi, z powagą kiwając głową.

– No tak. – Rozwinąłem kartkę, która robiła za jej tymczasowe świadectwo, które wypisałem. – Dziś rozpoczyna się twoja nowa podróż. – Co miałem powiedzieć dalej? Niezbyt potrafiłem odnaleźć się pośród ludzi, nie wspominając o dzieciach.

Przechyliła głowę na bok, przez co niemal spadł jej biret, więc szybko go poprawiła.

– Proszę kontynuować.

– Dobrze. – Wpadłem na pewien pomysł. – Słyszałem, że największe przygody są zawsze przed nami. Cóż, przeczytałem to, ale zamierzam wykorzystać.

Maisie stłumiła chichot, po czym z powagą pokiwała głową.

– Proszę kontynuować.

– Historia, którą przeczytałem, opowiadała o hardej księżniczce, która chciała walczyć dla swojego królestwa. Kiedy wszystkich mężczyzn powołano na wojnę, jej powiedziano, że ponieważ jest księżniczką, musi zostać i opiekować się poddanymi. Kłóciła się z królem, że może się o nich zatroszczyć, walcząc o ich wolność, ale rozkazał jej zostać, bo chciał zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Powiedział, żeby została w wieży – powiedziała, pochylając się.

– Ej, to ceremonia zakończenia roku, nie przerywaj mówcy – droczyłem się.

Uśmiechnęła się i usiadła prosto, po czym pokazała, że zamyka usta na suwak.

– Gdzie to ja skończyłem? Ach, księżniczka. No właśnie. Zatem księżniczka była bystra i wiedziała, co musi zrobić. Przebrała się za chłopaka i zakradła do koszar, po czym pojechała na wojnę z mężczyznami.

Maisie nieco szerzej otworzyła oczy i posmutniała.

– I co się stało?

– A jak myślisz? Pojechała do boju w zbroi, wymachując gigantycznym mieczem i pokonała Naz... eee, smoka, zabijając go jednym potężnym ciosem, przez co ocaliła królestwo. Stała się przywódczynią, jakiej potrzebował jej lud, bo była na tyle odważna, że stanęła do walki.

Maisie pokiwała entuzjastycznie głową i niemal zapomniałem, że wygłaszałem przemówienie na zakończenie przedszkola.

– Tak, zatem kiedy wyruszasz w podróż swojej edukacji, musisz pamiętać, by być odważna jak ta księżniczka.

– I żeby powiedzieć królowi, że się myli! – Podskoczyła.

Och, to nie potoczyło się tak, jak zamierzałem.

– Tak jakby. To znaczy, kiedy będziesz na tyle duża, żeby... no wiesz, władać mieczem.

Zastanowiła się nad tym przez chwilę, po czym z powagą przytaknęła.

– Więc – ciągnąłem – musisz walczyć o to, co właściwe. Bronić słabszych, nigdy nie dać sobie powiedzieć, że nie jesteś wojowniczką, tylko dlatego, że jesteś dziewczyną. Z doświadczenia wiem, że dziewczyny to najsilniejsze wojowniczki. Może właśnie dlatego chłopcy starają się trzymać je z dala od pola walki. Boją się ich.

– Logiczne – przytaknęła. – I koniec?

– Tak. Koniec przemowy. – Starąłem się przypomnieć sobie jakąkolwiek ceremonię zakończenia roku, w której uczestniczyłem, ale poległem, bo nigdy na żadnej nie byłem. Wyjechałem, gdy tylko skończyłem liceum, ale widywałem jakieś w filmach. Odchrząknąłem. – Nadszedł więc czas, aby porzucić dziecinne, bez troskie czasy przedszkola i wyruszyć w podróż ku szkole podstawowej. Kiedy wyczytam twoje imię, wstań i odbierz świadectwo.

– Panie Beckett, wie pan, że jestem tu sama, prawda?

Uciszyłem ją.

– Jeszcze cię nie wyczytałem, absolwentko.

Posłała mi takie samo spojrzenie, jak robiła to jej matka, gdy przejrzała moją ściemę, więc zacisnąłem usta, by się nie roześmiać.

– Margaret Ruth MacKenzie.

Wstała z gracją księżniczki i podeszła do mnie z wysoko uniesioną głową, ciągnąc za sobą stojak z kroplówką. Kiedy przede mną stanęła, kucnąłem, aby znaleźć się na jej poziomie.

– Gratulacje z okazji ukończenia przedszkola. – Jedną ręką wręczyłem jej dyplom, drugą ucisnąłem dłoń.

– I co teraz? – szepnęła.

– Przerzuć frędzel na drugą stronę.

Znów zacisnęła usta i zmarszczyła nos, ale spełniła polecenie.

– Ogłaszam, że ukończyłaś przedszkole! – oznajmiłem najbardziej oficjalnym tonem, jaki udało mi się wykrzesać.

Uśmiechała się szeroko, śmiała głośno, promieniała z niej czysta radość. Rzuciła mi się na szyję, a stojące w drzwiach pielęgniarki zaczęły klaskać.

Tuliłem ją ostrożnie, by nie ścisnąć jej za mocno, ale Maisie się nie krępowała i uścisnęła mnie tak, że niemal udusiła. Rety, uwielbiałem to dziecko. Uwielbiałem jego siłę, wytrwałość, dobroć. Dziewczynka była wyjątkowa i miałem nadzieję, że pozostanie cenna nie tylko dla matki, ale i dla całego świata.

Klaskanie ucichło, a gdy się obejrzałem, zobaczyłem, że ceremonii przyglądało się przynajmniej sześć pielęgniarek. Mała była jak magnes, wszędzie, gdzie poszła, przyciągała do siebie ludzi, więc i tu nie robiła wyjątku.

– Co powiecie na zdjęcie? – zapytała kobieta będąca na oko w wieku Elli.

– Tak. Jasne! – Podałem jej komórkę, więc pstryknęła nam kilka fotek. – Dziękuję. A teraz sama absolwentka – powiedziałem do Maisie, obracając telefon, gdy przybrała pozę.

– To była Éowina – powiedziała z uśmiechem pielęgniarka, gdy inne gratulowały małej ukończenia przedszkola. – Księżniczka, która zabiła Nazgula to Éowina.

Przyłapany.

– Jest pani fanką Tolkiena?

– Raczej tych filmów. W pewnym sensie trzeba je znać, gdy pracuje się na pediatrii.

– Myśli pani, że się domyśliła?

Wzruszyła ramionami.

– Wygłosił pan dobrą mowę. Małe dziewczynki potrzebują brać przykład z wojowniczych królowych.

– Lubię wojownicze królowe – przyznała Maisie, stając obok mnie. – Czy to czas na *Vaianę*? – Chociaż się cieszyła, opadła na mnie i dostrzegłem, jak jest zmęczona.

– Może być. – Wziąłem ją na ręce i zaniósłem do łóżka, pomagając sobie palcami drugiej ręki, by przesunąć też stojak z kroplówką.

Pielęgniarki wyszły, a mała usiadła prosto i zdjęła czapkę.

– Dziękuję – powiedziała, bawiąc się frędzlem.

– Wiem, że to nie to samo...

– Było lepsze. – Obdarzyła mnie spojrzeniem, które nie pozwalało na spory.

Usiadłem na skraju łóżka i przysunąłem stojak z kroplówką.

– To dopiero początek, Masie. Czeka cię jeszcze tak wiele. Wakacje, góry, wschody słońca. Decyzje, gdzie studiować, które kraje odwiedzić, podróżując z plecakiem po Europie. To chwile, w których przekonasz się, kim naprawdę jesteś, a to tylko promil tego, co cię czeka w przyszłości.

– A co, jeśli mam tylko to, co teraz? – szepnęła.

– Wcale tak nie jest – przyrzekłem.

Skrzywiła się, zaciskając usta i zobaczyłem, że do oczu napłynęły jej łzy.

– Czy ja umieram? Czy to właśnie się ze mną dzieje? Mama nie chce mi powiedzieć. Proszę, niech mi pan powie.

Poczutem tak silny ucisk w piersi, że serce nie miało mi jak bić.

– Maisie...

– Proszę. Czy ja umrę?

Pomyślałem o terapii MIBG, niekończących się lekach, zabiegach, operacjach i przeszczepie komórek macierzystych. Wszystko to stało między nią a zdrowym ciałem.

– Nie przy mnie. – Miałem gdzieś, co będę musiał zrobić. Znajdę sposób, aby zapewnić jej to, czego wymagała. Nie zamierzałem patrzeć, jak umiera kolejne dziecko, jeśli miałem moc, by zmienić jego los.

– Okej. – Położyła się odprężona, jakby wzięła moje słowa za świętość. Zaraz uśmiechnęła się, bawiąc w palcach frędzlem. – Cieszę się, że pan tu jest.

Zanim zdążyłem się przed nią rozkleić, pochyliłem się i dałem jej buziaka w czoło. Kiedy się odsunąłem, wymusiłem uśmiech i mrugałem, bo miałem dziwnie wilgotne oczy.

– Ja też, Maisie. Ja też.

\* \* \*

– Cieszę się, że jesteś, Gentry – powitał mnie Mark Gutierrez, gdy zaparkowałem przy wejściu na szlak. Był wysportowanym trzydziestoparolatkiem z gęstymi, czarnymi włosami i pewnością siebie, dzięki której okazał się świetnym liderem naszej małej jednostki poszukiwawczo-ratowniczej. Nie cechowała go jednak arogancja.

Dobrze radziłem sobie z pewnością siebie innych, ale arogancji nie znosiłem. Przez arogancję ginęli mężczyźni... i dzieci.

Demolka wysiadła za mną, mając na sobie swoją ratowniczą kamizelkę, co zawsze sygnalizowało, że zabawa dobiegała końca i ulżyło mi, że pobyt w Telluride tego nie zmienił. Pomiędzy moimi wyjazdami do Denver i późniejszymi do Montrose martwiłem się, że wypadnie z rytmu. Wczoraj pojechałem po Ellę i Maisie, aby po tygodniu spędzonym w szpitalu przywieźć je do domu. Kiedy dziś po południu zadzwonił telefon, natychmiast wkroczyliśmy z Demolką do akcji.

– Cześć, psino – powiedział Gutierrez, zbliżając się do niej.

– Nie podchodź. Jest skupiona na pracy. – Zagroziłem mu drogę. Suczka była w tej chwili bardzo czujna i zaniepokojona, naprawdę nie chciałem wyjaśniać w raporcie, dlaczego omyłkowo stracił palec.

– No tak. Przepraszam. Nigdy nie mieliśmy tu emerytowanego psa wojskowego.

– Spokojnie. Wprowadź nas. – Demolka trzymała się blisko mnie, gdy podeszliśmy do grupki mężczyzn. Połowa z nich miała koszulki z Telluride, reszta uniformy z San Miguel. – Po co my tu jesteśmy, skoro przyjechali z hrabstwa?

– Godzinami szukali VIP-a, który nie wrócił do jednego z ośrodków, więc postanowili wezwać posiłki.

– Rozumiem. – Krąg się rozstał, gdy podeszliśmy. Poleciłem Demolce, by usiadła, co też posłusznie zrobiła.

Facet w środku, który najwyraźniej dowodził, wnioskuje po megafonie przypiętym do paska, posłał nam gniewne spojrzenie.

– Informacja dla spóźnialskich. Pani Duprevery poszła rano w góry z przewodnikiem oraz dwiema córkami lat dwanaście i siedem.



*Nie dziecko. Boże, tylko nie dziecko.* Nie chciałem być odpowiedzialny za śmierć kolejnego dziecka.

– Kiedy upadła, złamała nogę, więc odesłała przewodnika z córkami, by wezwać pomoc. Najwyraźniej zaskoczył ich brak zasięgu w górach, zatem podejrzewamy, że przewodnik nie był tutejszy.

Po grupie poniosły się pełne irytacji prychnięcia. Westchnąłem z ulgą, że chodziło o dorosłą osobę.

– Przewodnik wrócił w południe i zadzwonił do władz hrabstwa. Wkrótce potem rozpoczęliśmy poszukiwania, ale bez powodzenia. Deszcz nie pomagał.

Spojrzałem na niebo, na którym nadal wisały szare chmury, ale nie zanosilo się już na porywistą burzę. Przez dłuższą chwilę warunki powinny nam sprzyjać.

– Jak widzicie, przestało padać, więc musimy ją odnaleźć. I to szybko. Zostało około czterech godzin dobrego światła. Według przewodnika zostawił ją po około godziny marszu i oznaczył miejsce na szlaku jasnoróżową chustką. Znaleźliśmy apaszkę, ale pani Duprevenue tam nie było. Plan jest taki, by iść do tego punktu całą grupą, po czym podzielić rejon poszukiwań i sprowadzić kobiety do męża.

Jeden z chłopaków z Telluride podniósł rękę. Capshaw, o ile dobrze pamiętałem. Naprawdę powinienem spędzić z nimi więcej czasu, niż jedynie trenując Demolkę.

– Capshaw?

Przynajmniej się nie pomyliłem.

– Kto tu dowodzi?

Po grupie rozeszły się szepty i zobaczyłem, jak jest naprawdę – dwie rywalizujące ze sobą organizacje, które musiały współpracować, więc miałem nadzieję, że się dogadają. Ego zazwyczaj wszystko psuło. Rozejrzałem się po grupie, po przeciwnej stronie dostrzegłem innego przewodnika z psem. Facet był w uniformie hrabstwa. Biskoptowy labrador co kilka minut zmieniał pozycję. Był niespokojny.

*Nie moja sprawa.*

– Hrabstwo. Telluride ma zapewnić wsparcie.

Znów rozległo się mamrotanie.

– Jeśli ustaliliście już kolejność dziobania, możemy zaczynać? – zapytałem, coraz bardziej się niecierpliwiając.

Gość zmrużył oczy, patrząc na mnie, po czym skierował wzrok na Demolkę.

– Jesteś tym nowym, prawda? Żołnierzem. I to twój pies?

Wszyscy na mnie spojrzeli.

– To my. A teraz, gdybyśmy mogli przestać marnować światło...

Wskazał na początek szlaku i ruszyliśmy. Dociągnąłem szelki małego plecaka i zapiąłem polar. Już było chłodno, a miało być jeszcze gorzej.

– Cholera, musiałeś nadepnąć mu na odcisk już pierwszego dnia? – zapytał Gutierrez, idąc obok.

– Nie ma sensu gadać, skoro cel misji jest jasny.

– To prawda.

Rozdano częstotliwości radiowe, po czym szliśmy szlakiem aż do mostu z widokiem na Telluride. To naprawdę spektakularne miejsce, z obu stron otoczone sięgającymi nieba

górami.

– Widziałem cię w centrum miasta z Ellą MacKenzie – wyznał, przerywając ciszę, którą się rozkoszowałem.

– Pewnie tak. – Lubilem Marka i od czasu do czasu, kiedy byliśmy na służbie, próbowałem z nim rozmawiać, jednak Ella nie znajdowała się na liście pożądaných tematów.

– Coś się między wami dzieje? – zapytał w sposób, w jaki faceci zwykli gadać w szatni.

– Ostrożnie – ostrzegłem.

– Ej, znam Ellę. To dobra dziewczyna... kobieta. Przyjaźniłem się z jej bratem. Zginął. Wiesz o tym, prawda? Jakies pół roku temu.

Moje serce zgubiło rytm, co nie miało nic wspólnego z wysokością nad poziomem morza.

– Tak, wiem.

– I ma też dzieci. Dobre dzieciaki.

– Tak. – Do czego on właściwie zmierzał?

Westchnął, nerwowo wyginając daszek w czapce. Gość byłby marnym graczem przy pokerowym stole.

– Słuchaj, nie próbuję wciskać nosa w nie swoje sprawy.

– Pewnie, że próbujesz. Pytaniem pozostaje: dlaczego?

Spojrzał za nas i dostrzegł to, co ja już wiedziałem. Między nami a pozostałymi było z siedem metrów przerwy. Wystarczająco, by nikt nie podsłuchał naszej rozmowy.

– Staram się o nią dbać.

– Dobrze wiedzieć. – Nie było człowieka na tej planecie, który troszczyłby się o nią bardziej niż ja, więc piecza tego faceta była niemal uroczą i całkowicie niepotrzebna.

– Mówię poważnie. Ma sporo na głowie i los się chyba na nią wziął. Zmarli jej rodzice, zostawił ją Jeff...

– Znasz go? – Straciłbym miarowy krok, gdybym nie szedł zupełnie mechanicznie, przyzwyczajony do parcia naprzód, gdy moje myśli krążyły zupełnie gdzie indziej.

– Znałem – poprawił. – Kumplowałem się z jego starszym bratem Blakiem.

– Jedno lalusiowate imię za drugim – mruknąłem.

Gutierrez parsknął śmiechem.

– Prawda. Obaj to lalusiowate dupki. Dzieci z funduszami powierniczymi, które nie zaznały trudu życia. Obaj synowie dostali fortunę, a teraz pracę.

Czysta nienawiść przepłynęła moimi żyłami niczym paląca trucizna. Oczywiście wszystko podsunęto Jeffowi pod nos, a Ella musiała harować jak wół.

– Wiesz, gdzie teraz jest?

– Pewnie. Pracuje w firmie ojca w Denver. Zaręczył się z córką polityka, jeśli Facebook nie kłamie.

Łowiłem informacje, budując plan, który formował się, odkąd obiecałem Maisie, że nie umrze.

– W każdym razie, wasza relacja jest poważna? – Zerknął na mnie z ukosa, a ja na jego rękę. Na ładną, szeroką obrączkę. Dobrze. Nie byłem w nastroju, by walczyć z jakimś gościem o Ellę. Nie, kiedy naprawdę mogłem go stłuc.

– Przyjaźnimy się – odpowiedziałem w niezobowiązujący sposób. – Tylko jej pomagam.

Przez chwilę się zastanawiał, po czym pokiwał głową.

– Dobrze. To dobrze. W tej chwili potrzebuje wszelkiej pomocy.

– Nie – poprawiłem, rozglądając się po linii drzew za naszą turystką. – Nie potrzebuje pomocy. Szczerze mówiąc, sama sobie świetnie radzi. Ale ja muszę jej pomóc. Nie chcę, aby musiała samodzielnie się ze wszystkim zmagać. To różnica.

Gutierrez ponownie energicznie pokiwał głową, choć była w tym szczerość. Może spędziłem zbyt dużo czasu pośród żołnierzy. Może cywile rozmawiali o uczuciach podczas górskich wędrówek. Może to ja byłem dziwny, bo zamknięty w sobie, a nie on, bo dociekliwy?

– Przykro mi. To tylko... małe miasto, a ty jesteś nowy. Wiem, że Ella cierpi po śmierci Ryana. To znaczy, nie powiedzieli jej nawet, co go spotkało.

Oczywiście, bo kiedy misja szła źle, kiedy żołnierze zostawali pozbawiani przytomności zamiast zabijani i wyciągani przez rebeliantów na pustynię, rozbierani z munduru, wiązani, kneblowani, torturowani i zamordowani strzałem w tył głowy, gdy mieli na sobie jedynie bokserki, wojsko miało tendencję do ukrywania wszystkiego przed rodzinami i nazywania tego tajnym.

Nikt nie chciał myśleć o tym, co spotkało ich kompana.

– To znaczy, nie pozwolili jej nawet zobaczyć ciała. To namieszało jej w głowie. Według jej wiedzy on nadal może gdzieś żyć, a wojsko to ukrywać, zmieniając go w Jasona Bourne'a czy kogoś w tym stylu. To popaprane.

Zagryzłem zęby, aby nie otworzyć ust. Facet o niczym nie miał pojęcia ani o tym, co stało się z Ryanem, ani że był moim najlepszym przyjacielem. Starał się jedynie ochronić Ellę, dać mi wgląd na to, co przeszła. Przynajmniej tak sobie powtarzałem, gdy zbliżaliśmy się do miejsca poszukiwań.

Po obu stronach szlaku rosły osiki, które ograniczały nam pole widzenia do minimum, ale dostrzegłem przywiązaną do pnia różową chustkę. Zebrałiśmy się w kolejnym kręgu, a facet z megafonem zajął miejsce pośrodku.

Przyszędł czas na pracę.

\* \* \*

– Masz niezłą psinę – powiedział Gutierrez jakąś godzinę później, gdy turystkę zabrał śmigłowiec, a my wróciliśmy na szlak.

– Jest jedyna w swoim rodzaju – zgodziłem się.

Resztę drogi pozwolił mi przejść w ciszy, za co byłem mu wdzięczny. Minęło wiele miesięcy, nim otworzyłem się na rozmowy z Ryanem, a całe lata nim zacząłem się z nim przyjaźnić. Ella była jedyną osobą, z którą poczułem natychmiastowe połączenie. Uśmiechnąłem się, gdy zdałem sobie sprawę, że na tej liście znajdowali się również Colt i Maisie.

Zeszliśmy ze szlaku, otworzyłem drzwi samochodu, by Demolka mogła wskoczyć do środka. Szczęśliwa i trochę zmęczona zajęła miejsce pasażera.

– Świetnie się dziś spisaliście – skomplementował Gutierrez, gdy zdjął plecak i wrzucił go do auta, które stało zaparkowane obok mojego.

– Dzięki. Dobrze jest się przydać.

– Tak, rozumiem. – Zdjął czapkę, podrapał się po głowie. – Słuchaj, jeśli chodzi o to, co powiedziałem o Elli...

– Przestań. Wszystko w porządku. – Zaciśnięciem palce na drzwiach.

– Małe miasto – rzucił, wzruszając ramionami.

To prawda. Nie wioska, jak inne narciarskie kurorty, ale stara miejscina. Zwłaszcza gdy nie było tu zbyt wielu turystów i przeważali mieszkańcy. Wszyscy byli tu jakoś ze sobą połączeni, a ja może i tego nie rozumiałem, ale mogłem się przynajmniej postarać, by to uszanować.

– Ryan nie zginął pół roku temu.

Gutierrez natychmiast na mnie spojrzał.

– Nie żyje od pięciu miesięcy, siedmiu dni i kilku godzin. Kilku bardzo długich godzin. Wiem, bo był moim najlepszym przyjacielem. Służyłem z nim przez większą część dekady.

– O rety, tak mi przykro. – Zgarbił się.

– Niepotrzebnie. Nigdy nie przeprasza za chęć ochrony Elli. Powiedziałem ci o tym tylko po to, byś wiedział, że nie ma nic, czego bym nie zrobił, aby zapewnić jej bezpieczeństwo, aby zaopiekować się nią i dziećmi. Absolutnie nic. Właśnie dlatego tu jestem.

Z trudem przełknął ślinę i odetchnął głęboko.

– Okej. Dzięki, że mi powiedziałaś. Jeśli czegoś byście potrzebowali, daj znać albo poproś moją żonę Tess. Ella się nigdy o to nie pokusi.

– Tak, jest uparta.

Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Coś mi mówi, że ty też.

– Jasne.

Pojechałem do domu ze zmęczonymi mięśniami, zadowolonym psem i mętlikiem w głowie. Mówiłem poważnie – naprawdę nie było nic, czego bym nie zrobił, aby zapewnić Elli i dzieciom bezpieczeństwo.

A może jednak?

Mijając domek Elli, gwałtownie zahamowałem.

Ubezpieczenie nie chciało płacić za terapię, która uratowałaby Maisie życie.

Jednak przeczytałem w sieci wszystkie dostępne informacje o szpitalu w Denver i moje by to objęło.

Wrzuciłem wsteczny, po czym skręciłem w podjazd Elli. Wskoczyłem z auta, nim zgasł silnik, po czym wbiegłem po dwa stopnie jednocześnie i zacząłem dobijać się do drzwi, nim umysł podsunął mi możliwe powody jej odmowy, wiedząc, że musiałem ją przekonać, by się zgodziła.

– Beckett? – zapytała, otwierając drzwi. Miała na sobie dżinsy, koszulkę z długimi rękawami, włosy związane w warkocz, który chciałem złapać w pięść, gdy będę ją całować. – Wszystko w porządku?

– Tak. Przepraszam za najście. Masz chwilę?

– Jasne, wejdź.

– Nie chcę rozmawiać, gdzie dzieci mogą podsłuchać – wyznałem łagodnie, wciskając kciuki w kieszenie.

Zaskoczona uniosła brwi, ale wyszła na ganek i zamknęła za sobą drzwi.

– Dobra, co jest?

– Twoje ubezpieczenie nie będzie refundować terapii MIBG, wizyt w szpitalu ani przeszczepu komórek macierzystych.

– Zgadza się. – Skrzyżowała ręce na piersi i spojrzała na mnie niebieskimi, dociekliwymi, aczkolwiek ufnyimi oczami.

– A ona musi przejść te procedury, prawda? Inaczej umrze?

– O co ci chodzi, Beckett?

– Czy umrze bez tego? – powtórzyłem nieco ostrzej niż kiedykolwiek przy Elli.

– Tak – szepnęła.

Pokiwałem głową, odwróciłem się i przeszedłem przez ganek, a Ella poszła za mną.

– Beckett! – warknęła.

Odwróciłem się, zaczerpnąłem głęboko powietrza, aby się uspokoić.

– Twoje ubezpieczenie nie zrefunduje kosztów...

– Tak, już to ustaliliśmy.

– Ale moje je pokryje.

– No i? – Zamrugęła, marszcząc czoło.

– Wyjdź za mnie, Ella.

# ROZDZIAŁ 15

ELLA

List #15

*Ello,  
dzisiaj zginął jeden z naszych.*

*Można by pomyśleć, że po całym tym czasie człowiek się do tego przyzwyczai, nawet stanie się na to obojętny. Kilka lat temu też taki byłem. Nie mam pojęcia, co się ostatnio zmieniło, ale teraz wydaje mi się, że każda śmierć jest wykładniczo trudniejsza do zniesienia niż poprzednia.*

*A może sytuacje są takie same, ale to ja się zmieniłem.  
Jest we mnie więcej złości.*

*Trudno to opisać, ale w jakiś sposób jestem bardziej świadomy mojego wycofania, niezdolności do stworzenia więzi emocjonalnych z więcej niż kilkoma bliskimi przyjaciółmi. Ty również znajdujesz się na tej niewielkiej liście.*

*Jak mogę czuć się związany z osobą, której nigdy nie widziałem, a nie z większością facetów, z którymi służę? Czy chodzi o to, że pisanie listów jest bezpieczniejsze, ponieważ nie stoisz naprzeciwko mnie?*

*Chciałbym wiedzieć.*

*Chciałbym też umieć pocieszyć żonę i dzieci poległego. Odebrać im ból, znaleźć się na miejscu tamtego człowieka. Dlaczego los zabiera z tego świata kochane osoby, wydzierając dziury w duszach ich bliskich, a mi pozwala trwać bez szwanku? Gdzie sprawiedliwość w tym pełnym przypadków systemie, a jeśli żadna nie istnieje, to po co my tu jesteśmy?*

*Odczuwam to samo pragnienie, aby wykonać obecną misję i ruszyć do kolejnej. Odhaczyć zadanie, podnieść stawkę i mieć przeświadczenie, że nasze działania przyczyniły się do jakiejś zmiany na świecie.*

*Nie jestem jedynie pewien, na czym ma ona polegać.*

*Powiedz mi coś prawdziwego. Opowiedz, jak to jest przez całe życie mieszkać w tym samym miejscu. Czy posiadanie głębokich korzeni przytłacza? A może kiedy wieje wiatr, dzięki nim się kołyszysz, a nie padasz? Od tak dawna lecę z wiatrem, że szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, jak to jest osiąść w jednym miejscu.*

*Dziękuję, że pozwalasz mi się wyżalić. Obiecuję, że przy kolejnym liście nie będę tak wielkim marudą.*

Chaos

---

**S**łucham? – zapytałam, gapiąc się na Becketta, jakby wyrosła mu druga głowa. –  
- Co ty właśnie powiedziałaś? – Nie było mowy, bym się nie przesłyszała.  
– Wyjdź za mnie.  
*A może jednak to powiedział.*  
– Odbiło ci?  
– Może. – Oparł się plecami o balustradę na ganku, ale nie skrzyżował rąk na piersi, jakby chciał wyrazić swój upór. Zamiast tego zamknął palce na barierce, nie chroniąc torsu. Odsłaniając się. – Ale to by się sprawdziło. Przynajmniej na papierze.  
– Nie mogę... Nie chcę... Brak mi słów.  
– Dobrze, dzięki temu zyskam szansę, by cię przekonać.  
Boże, mówił poważnie.  
– Jeśli za mnie wyjdiesz, dzieci przejdą na moje utrzymanie. Zatrąszczę się o nie.  
– Chcesz się ze mną ożenić, aby zająć się moimi dziećmi? – zapytałam powoli, bo teraz to już na pewno się przesłyszałam.  
– Tak.  
Kilkakrotnie otworzyłam i zamknęłam usta, starając się coś z siebie wydusić – choćby słowo. Jednak żadne nie przeszło mi przez gardło.  
– Co myślisz?  
– Nawet się nie spotykamy! A ty... ty chcesz się żenić?  
Na ganek weszła Demolka, ale nie zbliżyła się do Becketta. Usiadła obok mnie, jakby wyczuła, że jej pan stracił rozum.  
– Nie w romantycznym sensie! – Otarł twarz. – Nie umiem tego wyjaśnić.  
– Postaraj się. Bardziej.  
– Dobra. Kiedy byłem w szpitalu z Maisie, czytałem materiały na temat terapii MIBG i przypomniałem sobie, że twoje ubezpieczenie nie będzie jej refundować. Zatem wszedłem na stronę szpitala i okazało się, że moje się sprawdzi. Moje ubezpieczenie zrefunduje taką terapię.  
– Świetnie. Zatem śmiało możesz chorować na raka. – Dlaczego, u licha, chciał, byśmy się pobrali?  
– Nie skończyłem.  
Miałam ochotę wepchnąć go do auta, by wyniósł się z mojego ganku, ale rozpałała się we mnie mała iskierka na myśl, że Maisie zostałaby poddana terapii, której tak bardzo potrzebowała. I ta iskra oznaczała nadzieję. Rety, a nienawidziłam nadziei.  
Nadzieja oszukiwała, dawała przyjemne odczucie tylko po to, by potem wszystko odebrać.  
W tej chwili Beckett był tym wielkim, ciepłym kawałkiem nadziei, więc zaczęłam go nienawidzić.

Wziął moje milczenie za przyzwolenie, by kontynuować:

– Jeśli za mnie wyjdiesz, dzieci zostaną objęte moim ubezpieczeniem, które zapłaci za całe leczenie Maisie. Koniec walki z firmą. Koniec z lekami generycznymi. Dostanie możliwość skorzystania z najlepszych terapii.

– Chcesz, bym za ciebie wyszła, bym została twoją żoną, bym spała w twoim łóżku, kiedy nawet mnie nie pocałowałeś, a wszystko to dla ubezpieczenia? Jakbym była jakąś prost...

– Wow! – Przerwał mi, żywo gestykulując. – Nie musielibyśmy ściśle... no wiesz. – Uniósł brwi.

– Nie, nie wiem. – Skrzyżowałam ręce na piersi, doskonale zdając sobie sprawę z tego, o co mu chodziło. Jeśli miał na tyle odwagi, by proponować małżeństwo, z pewnością musiał też wyłożyć warunki.

Westchnął ciężko.

– Musielibyśmy być małżeństwem tylko w prawnym sensie. W dokumentach. Moglibyśmy mieszkać osobno i w ogóle. Mogłabyś pozostać przy swoim nazwisku i tak dalej. Chodziłoby jedynie o zabezpieczenie dzieci.

Boże, facet, w którym się zakochałam naprawdę stał przede mną i proponował mi małżeństwo nie dlatego, że też mnie kochał, ale ponieważ sądził, że w ten sposób uratuje moją córkę. Teraz pokochałam go jeszcze bardziej i znenawidziłam za to i jego, i siebie.

– Tylko prawnie? Zatem tak naprawdę mnie nie chcesz? Pragniesz jedynie chronić moje dzieci? – Świetnie, teraz brzmiałam, jakbym wkurzyła się o to, że nie planował ze mną spać. *Byłoby super, gdyby moje emocje mogły się w końcu na coś zdecydować.*

– Wydawało mi się, że to już ustaliliśmy. Pragnę cię. To jednak nie wlicza się w moje oświadczenia.

– Czy ty się w ogóle słyszysz? Pragniesz mnie, ale nie chcesz się ze mną żenić, ale chcesz, żebym była twoją żoną, by zapewnić dzieciom ubezpieczenie, przynajmniej, póki nie będziemy żyć, jakbyśmy byli małżeństwem. – Chciał całego tego prawnego bałaganu, ale bez zaangażowania, miłości czy seksu.

Co pozostawiało jedyny aspekt małżeństwa, jaki już znałam – odejście męża.

– No właśnie.

– Dobra, koniec z tą rozmową. – Odwróciłam się do niego plecami, po czym zmieniłam zdanie i znów na niego popatrzyłam. – Wiesz co? Albo nie. Małżeństwo coś dla mnie znaczy, Beckett! A przynajmniej znaczyło. Może nie tyle samo, ile dla ciebie. Może przez sposób, w jaki rozwiodłam się z Jeffem uważasz, że to dla mnie jedynie świstek papieru, ale tak nie jest. Powinno stanowić przypiętowanie wiecznych przysięg, takich jak: zaangażowanie, miłość i lojalność. Powinno wypełniać te wszystkie obietnice w zdrowiu i chorobie, na dobre i złe, by kochać tę drugą osobę nawet wtedy, gdy jej się akurat nie lubi. To nie jest: ej, podpiszmy papiery i bądźmy razem, póki jest dobrze. Powinno zawierać w sobie budowanie życia z jedyną osobą na tej planecie, która będzie tylko twoja. To... to nie jest coś tymczasowego, a na zawsze.

Podszedł, ale zaraz się zatrzymał i wcisnął kciuki do kieszeni.

– Chodzi o miłość, Beckett.

– Kocham twoje dzieci. Powinno chodzić też o to.

Przekonanie w jego głosie i w oczach trafiło mnie prosto w serce.



– One też cię kochają – przyznałam. *I ja również.* Przez co właśnie nie mogłam się na to zgodzić. Koniec całej sprawy złamałby im serca. Pisanie się na ból to jedno, ale skazywanie na niego dzieci? To przekroczenie wszelkich granic.

Złagodniała cała jego postawa, jakby moje słowa odebrały mu siłę do walki.

– Nie chcę zrobić niczego, co naraziłoby na szwank je lub ciebie. Mówię jedynie, że gdyby według prawa były moje... cóż, w połowie moje, Maisie mogłaby otrzymać leczenie, jakiego wymaga. To mogłoby uratować jej życie.

Znów rozpalita się nadzieja, błyszcząc tak jasno, że przystaniała wszystko, przez co przeszłam razem z dziećmi. Nieprzespane noce, rachunki od lekarzy, które piętrzyły się na moim biurku, grożąc bankructwem. Przytłaczającą wiedzę, że najprawdopodobniej, jeśli Maisie nie dostanie MIBG, nie przeżyje.

Jednak co się z nią stanie, gdy Beckett przestanie bawić się z nami w dom?

– Nie wiem, czy znam cię wystarczająco dobrze, by się na coś takiego porywać. Nie w ważnych kwestiach.

W jego oczach pojawił się przebłysk bólu i zobaczyłam, że mężczyzna ponownie wzniosł wokół siebie mury.

– Znasz mnie na tyle, że dałaś mi prawo do podejmowania decyzji w sprawie Maisie, prawda?

– To było na kilka godzin, abym mogła pojechać na zakończenie roku szkolnego Colta i jedynie w przypadku najgorszego scenariusza!

– Powróć do rzeczywistości, Ella. Całe twoje terażniejsze życie to najgorszy scenariusz.

*Auć.*

– Tak, cóż, ale sam powiedziałaś, że nigdy nie byłaś w związku, który trwałby dłużej niż miesiąc. Nie chcesz mnie całować, bo twierdzisz, że wszystko schrzanisz, a nie zamierzasz skrzywdzić Colta i Maisie.

Gniew natychmiast zniknął z jego twarzy i zastąpił go bezdenny smutek.

– Nie ufasz mi.

Serce chciało mu zawierzyć. Krzyczało, że zrobiłby naprawdę wszystko dla dzieci. Głowa jednak przypominała o jego własnej deklaracji, że to nie potrwa za długo.

– Wydawało mi się, że znam Jeffa. Kochałam go. Wszystko mu oddałam, a on odszedł w chwili, w której dowiedział się o bliźniętach. Nigdy później się z nikim nie spotykałam. Ani razu. Obiecałam sobie, że nie narażę dzieci na to, aby ktoś ponownie je porzucił.

– Nie porzuciłbym ich ani ciebie. Zawsze przy was będę, Ella.

– Nie waż się tak kłamać. Mężczyźni w moim życiu mają tendencję do składania przysięgi jedną ręką, a pakowania się drugą.

– Nie skłamałem, gdy pierwszy raz to powiedziałem, a teraz nic się nie zmieniło. To przysięga.

– To dotyczyło piłki nożnej, nie małżeństwa! Nie możesz stać przede mną i przysięgać mi wieczności, skoro dwa tygodnie temu nawet nie chciałeś być w związku!

– Tylko na papierze, Ella!

– Nie! Mówisz, że mam na tobie polegać, że moje dzieci będą na tobie polegały, więc tu nie chodzi o żaden papier. To realna sytuacja. Co, jeśli odejdziesz, gdy ona będzie w trakcie leczenia? Przerwą je! Jak miałoby to być lepsze od moich terażniejszych zmagania!

z zebraniem funduszy? Jeśli już, byłoby to jeszcze bardziej druzgocące, bo teraz przynajmniej wiem, czego się spodziewać. Wiesz, jak długa jest droga do jej wyleczenia? Nawet jeśli pokonamy raka, możliwość nawrotu... Nie rozumiesz długoterminowych konsekwencji tego, co proponujesz, mimo że wyraźnie przyświecają ci dobre intencje. – To właśnie to: najbardziej szczerą, dobroduszną propozycją, jaką kiedykolwiek otrzymałam, ale życie już dawno temu nauczyło mnie, że dobrymi intencjami wybrukowane jest piekło.

– Wszystko, co mogę ci dać to moje słowo, że bez względu na to, co się ze mną stanie, dzieci będą miały ochronę. Maisie przeżyje.

– Nie możesz mieć pewności. – Wymsknęła mi się moja największa obawa, ale przy tym człowieku powinnam się już do tego przyzwyczaić. Potrafił mnie rozbroić i zostawić odsłoniętą. Jednak nie wiedziałam, jak uwierzyć w pojawienie się słońca, jeśli cały czas żyłam w huraganie. Nie, kiedy istniało ogromne prawdopodobieństwo, że znajdowaliśmy się po prostu w oku cyklonu.

– Nie, nie mogę – przyznał. – Ale kiedy zapytała mnie, czy umrze, obiecałem jej, że nie przy mnie, a to jedyna możliwość, jaka przyszła mi do głowy, aby dotrzymać danego jej słowa.

Zmroziło mi krew w żyłach aż do serca.

– Moja córka zapytała cię, czy umrze?

– Tak, gdy byliśmy w Montrose...

– I dopiero teraz mi o tym mówisz? – Podeszłam, aż dzielił nas oddech, wpatrując się w tę jego głupią, idealną twarz.

– Najwyraźniej.

– I obiecałeś jej, że nie umrze?

– A co według ciebie miałem powiedzieć? Że ma dziesięć procent szans na przeżycie do listopada? To zaledwie za pięć miesięcy! – Miał czelność wyglądać, jakbym to ja tu była niespełna rozumu.

– Zdaję sobie z tego sprawę! – pisnęłam. – Sądzisz, że nie odliczam w duchu? Że nie jestem boleśnie świadoma każdego mijającego dnia z nią? Jak możesz mówić jej, że nie umrze. Nie masz prawa składać jej takich obietnic.

– Jej czy tobie? – zapytał łagodnie. – To dziecko, które potrzebuje ukojenia, powtarzania, że jest silne, że zwalczy chorobę i tak, zdaję sobie sprawę, ile to potra. Jednak nie mam zamiaru jej mówić, że od porażki dzieli ją kilka miesięcy.

– Nie powinienesz składać takiej obietnicy – powtórzyłam. – Ja nie okłamuję dzieci, więc i ty nie powinienesz. Wojna, którą toczy Maisie jest przytłaczająca. To Dawid kontra Goliat.

– Prawda, a ty uzbroiłaś ją w procę i wysłałaś przeciwko olbrzymowi. Mówię ci, że mam cholerny czołg, a ty nie chcesz z niego skorzystać! Naprawdę zamierzasz przyglądać się, jak umiera, bo nie chcesz uwierzyć, że jestem porządnym facetem? Czego chcesz? Profilu psychologicznego? Badania wykrywaczem kłamstw? Przeciągnij mnie przez wszystko, co tam wymyślisz, ale daj mi ją uratować!

Zaklął i już samo to wznieciło we mnie tyle gniewu, aby wysłuchać go do końca.

– Zakląłeś. Chyba wcześniej tego u ciebie nie słyszałam.

Przeszedł obok mnie, przeczesał włosy palcami, po czym splótł je na karku. Odwrócił się po drugiej stronie ganku.

– Przepraszam. Od dziesięciu lat nie wypowiedziałem na głos brzydkiego słowa. Ale reszta? Za nią nie zamierzam się kajać. Możesz myśleć, że mi odbiło. Rozumiem. Boisz się, że umrze i obawiasz się, z jakim facetem jako ojcem zostanie związana, jeśli przeżyje, nawet jeśli tylko formalnie.

– I tak, i nie.

– To znaczy?

– Nie boję się, że zostanie do ciebie przywiązana – wyznałam cicho. – Wiem, że zrobiłbyś wszystko dla moich dzieci. Widziałam, jak się o nie troszczysz, a one ci ufają.

– Ale ty nie zaufasz, że zostanę.

Jak długo mógł go tu zatrzymać list od Ryana? Czy słowa mojego brata mogły tak wpłynąć na jego honor, że poświęciłby się nawet na tyle, by wstąpić w związek małżeński? Czy mogłam zaufać jego honorowi, że zostanie tu na tyle długo, aby uratować Maisie? Cała ta sytuacja była popieprzona.

– Nikomu nie ufam, że zostanie, a ty już mnie ostrzegłeś, że nie powinnam i w twoim przypadku. Że w końcu stąd znikniesz.

– O nie. Nie możesz wykorzystywać moich słów przeciwko mnie, chyba że prawidłowo je zrozumiesz. Powiedziałem, że to ty nie pozwolisz mi zostać, że mnie stąd wyrzucisz. Ale wygląda na to, że nawet nie potrzebujesz, żebym coś zepsuł. Odsuwasz od siebie każdego, kto chce się zbliżyć? A może tylko ja mam ten zaszczyt?

Zignorowałam prawdę, która mnie zabolęła, odmawiając spojrzenia w metaforyczne lustro, które trzymał przed moją twarzą.

– Wiesz co? Nic z tego nie ma znaczenia. Nie, kiedy to wszystko jedno wielkie kłamstwo. Popełnilibyśmy oszustwo, Beckett. Podpisałibyśmy fałszywą deklarację w sprawie nieistniejącego związku, a gdyby nas przyłapano na udawaniu... Nie narażę dzieci na coś takiego.

Zacisnął usta w wąską linię, skinął mi krótko głową, nim odwrócił się i zszedł ze schodów.

Demolka natychmiast mnie porzuciła i pobiegła za swoim panem. Mała zdrajczyni.

Odwrócił się już na ziemi.

– Naprawdę chcesz powiedzieć, że nie nagniesz swoich zasad moralnych, aby ocalić życie córki? Nie oddasz mi nieco tego twojego cennego zaufania, które jest u ciebie pilnie strzeżone niż Fort Knox?

Poczułam ten cios aż po końcówki palców. Czy to właśnie robiłam? Przedkładałam własne wartości oraz problemy z zaufaniem ponad życie Maisie? Czy może byłam tak zmęczona życiem, że nie byłam w stanie uwierzyć w dobro? Nie mogłam mieć nadziei, nawet jeśli Becketta wybrał mój własny brat?

*Ryan.*

– Chcesz, żebym ci zaufała? – zapytałam łagodnie.

– Tak.

– Okej. Powiedz mi, jak zginął Ryan.

Krew odpłynęła mu z twarzy.

– To nie fair.

Ciepła, puchata nadzieja znów rozpałała się w mojej piersi.

– Nie każ mi błagać – prosił... a raczej groził. Nie wiedziałam.

Stałam, bez słowa czekając, aż coś doda. Aż obdarzy mnie zaufaniem, o które sam prosił. Aż się odsłoni. Jednak im dłużej się w siebie wpatrywaliśmy, tym bardziej spięta stawała się jego sylwetka, aż stał się nieprzeniknionym żołnierzem, którego poznałam, gdy przyjechał do Samotni.

Dopadło mnie bolesne poczucie straty, jakby zniknęło coś rzadkiego i cennego, nim zdałam sobie sprawę z jego wartości.

– Dobranoc, Ello. Jutro przyjadę przed dziesiątą, żeby zabrać Colta na trening.

– Co? Trening piłkarski? – Zmienił temat, jakby nasza kłótnia była czymś normalnym i mogła zostać łatwo zatuszowana. Jakbyśmy nie wsadzili między siebie laski dynamitu i nie podpalili lontu.

– Tak. Piłkarski. Bo przyjadę. Właśnie to zamierzam zrobić. Kiedy coś komuś obiecuję, wywiązuję się i to dotyczy też twoich dzieci. A skoro najwyraźniej mi nie wierzysz, zamierzam w kółko ci to udowadniać.

Otworzył drzwi, Demolka wskoczyła do auta. Wsiadł, zostawiając mnie na ganku z otwartymi ustami, gdy starałam się pojąć, co się tu właśnie stało.

\* \* \*

– No i? – zapytałam Adę, wsadzając kolejne ciastko z masłem orzechowym do ust. Colt i Maisie spali w domku, a Hailey ich pilnowała, gdy ja zwyczajem z młodości zwierzałam się Adzie.

– Co mam ci powiedzieć? – zagadnęła, wyjmując kolejną tacę z piekarnika, by wystudzić wypieki.

– To, co myślisz. Wyraź swoje zdanie, cokolwiek. – Ktoś musiał mi powiedzieć, że nie oszalałam.

– Myślę, że niesamowicie przystojny mężczyzna zaproponował ci sposób na uratowanie życia córki. – Oparła się o przeciwległy blat i wytarła ręce w fartuch.

– Co? Więc to ja się myślę? Poprosił, bym za niego wyszła, Ado. Abym nieznajomemu oddała dzieci w zamian za ubezpieczenie. Ubezpieczenie, którym może przestać się dzielić w każdej chwili, gdy tylko złoży pozew o rozwód. Do diabła, miałby prawo do Samotni.

– Tylko, gdybyś na to pozwoliła. Twierdzisz, że nie możesz sporządzić intercyzy lub czegoś, co ograniczy jego prawa? Tego samego, co zrobiłabyś w przypadku Jeffa, gdyby ponownie przeszedł przez te drzwi?

– Jeff nie wróci.

– No właśnie.

– Co, jeśli to seryjny zabójca? – zapytałam, sięgając po kolejne ciastko.

– To najlepszy przyjaciel Ryana.

– Tak twierdzi – mruknęłam z pełnymi ustami. Cóż, tak było w liście. Ryan nigdy nie dzielił się osobistymi informacjami o chłopakach, z którymi służył. Prawie nic nie powiedział mi o Chaosie, gdy prosił, żebym z nim pisała. Stwierdził jedynie, że to gość z jego oddziału, któremu przydałaby się przyjaciółka. Tęskniłam za bratem. Chciałam, by tu był. Pragnęłam

wysłuchać jego wyjaśnienia, dlaczego nigdy nie powiedział mi o Beckettcie, skoro to jego najlepszy przyjaciel.

Tęskniłam również za Chaosem.

*Chaos.* Gdyby pojawił się na progu mojego domu w styczniu, wszystko wyglądałoby teraz inaczej. Byłam o tym przekonana. Może to ja byłam psychopatką. Mimo wszystko zakochałam się w dwóch różnych facetach. W ile? Osiem miesięcy? Cięża trwała dłużej.

Ale Chaos nie żył. Ryan również. Tak jak rodzice. I babcia.

Naprawdę zamierzałam dodać do tej listy córkę?

– Czy nie miał listu od Ryana?

– Tak – burknęłam niechętnie. – Może gdyby miał też wspólne zdjęcie czy coś. Cokolwiek.

– Pytałaś? – Przechyliła głowę i wpatrywała się we mnie, jakbym znów miała dziesięć lat.

– No nie.

– Aha. Wygląda na to, że mu uwierzyłaś, prawda?

– Ech. – Odchyliłam głowę i westchnęłam z irytacją. – Stoisz po jego stronie.

– Stoję po stronie Maisie. A ta strona wygląda o wiele lepiej, gdy mała jeszcze żyje.

*Cóż, jeśli tak to ująć...*

– Nie wiem, co mam zrobić. Nie mogę wyjść za niego za mąż, Ado. Pozostanie kwestią czasu, nim się znudzi. Tacy faceci nie bawią się w dom.

– Nie jest twoim ojcem, Ryanem czy Jeffem. Musisz przestać skazywać go za ich zbrodnie.

Miała rację, a mimo to moje serce nie chciało przyjąć tego do wiadomości, głowa nie chciała się poddać.

– Nawet jeśli zostanie na tyle, byśmy zdołali wyleczyć Maisie, w końcu odhaczy pole „ocalona siostra Ryana” i wyjedzie.

– A to źle, bo...

– Bo złamie dzieciom serca.

– Zabawne, bo złamać można jedynie żywe serce.

Spiorunowałam ją wzrokiem.

– Jasne, rozumiem. Przynajmniej będzie żyła, nawet jeśli bardzo ją to zrani, prawda? Ale co, jeśli odejdzie w połowie leczenia? Co, jeśli ubezpieczenie przestanie refundować terapię i zostanie ona przerwana przez szpital?

– Zawsze będzie miała jej część, a teraz nie ma nic, a my będziemy musiały się martwić, gdy zajdzie taka konieczność. Czasami trzeba zawierzyć, nawet jeśli to naprawdę obcy człowiek.

– Nie wiem, jak zaufać mu na tyle, by powierzyć mu dobro dzieci. – Wzięłam kolejne ciastko i przełamałam je na pół.

– Bzdury! – Wskazała na mnie palcem. – Już mu ufasz w kwestii bliźniąt. Zabiera Colta na treningi, został z Maisie w szpitalu, a ty powierzyłaś mu opiekę nad nią.

Wsadziłam ciastko do ust i żułam powoli. Ech, miała rację. Czy nie przyznałam już racji Beckettowi w tym, że zrobiłby wszystko dla moich dzieci?

– Wiesz, co myślę? – zapytała Ada, wykorzystując to, że miałam pełne usta. – Nie obawiasz się zawierzyć mu w kwestii dobra dzieci. Sama boisz się mu zaufać.

Ciastko zadrapało mnie w gardle, gdy szybko je przełknęłam.

– Co? Nawet nie wzięłam tego pod uwagę. Mówił, że małżeństwo byłoby tylko na papierze. – Co zabolalo i byłam się w stanie do tego przyznać.

– Ale ci na nim zależy.

*Za bardzo.*

– Moje potencjalne uczucia nie mają żadnego znaczenia. To nie jest jeden ze świątecznych filmów romantycznych, w których postacie udają małżeństwo, a potem wywiązuje się między nimi wojna na śnieżki, podczas której zakochują się w sobie. To nie ma szczęśliwego zakończenia.

Oczywiście wiedza ta nie powstrzymała mnie przed zakochaniem się w nim.

– Ella, mamy czerwiec, nie ma tu żadnego śniegu.

– Wiesz, o co mi chodziło.

– Naprawdę zamierzasz siedzieć z założonymi rękami przed wyznaczoną granicą tego, co jesteś w stanie poświęcić dla zachowania Maisie przy życiu?

Dość celnie trafiła.

Cholera. Czego nie zrobiłabym dla córki? Z perspektywy czasu mogłam powiedzieć, że nie istniała żadna granica. Zaryzykowałabym dla niej pójście do piekła na wieczne potępienie. Sprzedałabym dla niej duszę.

Potencjalnie Beckett mógł uratować Maisie. Jediną przeszkodę stanowiły mój upór i strach.

Ale co, gdyby istniał sposób na pozbycie się moich obaw z tego równania? Możliwość, by związać go z dziećmi bez mojego bagażu?

– Chyba muszę z nim pogadać.

\* \* \*

Po treningu Colt wpadł przez drzwi zarumieniony i cały w skowronkach.

– Cześć, mamol! – Cmoknął mnie w policzek, po czym pobiegł na górę do swojego pokoju.

Beckett stał w drzwiach z czapką w rękach. Spodenki wisały mu nisko na biodrach, a brzuch i pierś zakrywała koszulka z koncertu Pearl Jam. Spojrzał szerzej otwartymi oczami, gdy zobaczył moją letnią sukienkę i gołe nogi, ale szybko odwrócił wzrok.

– Jutro ma mecz, a wiem, że Maisie powinna jechać na chemię.

– Wyjedziemy po meczu. Ma ją dostać dopiero w poniedziałek, a wcześniej muszą przeprowadzić badania krwi, by się upewnić, że mogą ją podać. Infekcja dość sporo schrzaniła.

– Okej. Daj znać. Oczywiście, mogę z nim jechać. – Zaczął się wycofywać, na co niemal zakląłam.

– Dziękuję. Słuchaj, chciałam pogadać o tym, co wydarzyło się wczoraj.

Zatrzymał się i powoli uniósł spojrzenie do mojej twarzy. Skupił wzrok na moich oczach, zamiast na nagich ramionach czy dekolcie sukienki bez ramiączek, którą włożyłam tylko po to, by zwrócić na siebie jego uwagę. Jasne, ciuch był stary, ale przynajmniej nadal pasował.

Kiedy stało się jasne, że nie zamierza się odezwać, sama musiałam to zrobić.

– Ufam ci, jeśli chodzi o dzieci.

Nieco wybałuszył oczy.

– Musiałam to powiedzieć jako pierwsza, żebyś wiedział, że pokłóciliśmy się wczoraj o coś, co... nie dotyczy bliźniąt, ale mnie samej. Od przyjazdu udowadniasz swoją wartość i źle postąpiłam, prosząc cię o to, byś opowiedział mi o Ryanie, wiedząc, że kosztowałoby cię to twoją uczciwość. Ironia, nie? Prosiłam, abyś dowiódł wiarygodności, łamiąc dane słowo. Przepraszam.

– Dziękuję – odparł cicho.

– Jest ktoś, z kim chciałabym zjeść dziś kolację.

Zmrużył oczy.

– Z tobą – pospiesznie dodałam. – Kolację z tobą i z kimś jeszcze.

– Chcesz, żebym był przyzwoitką na twojej randce? – Ściszył ochryply głos, który obudził we mnie to, co pozostawało uśpione od czasu Jeffa.

– Nie. Chcę się spotkać z prawnikiem i liczyłam na to, że pojedziesz ze mną. W sprawie...

– Spojrzałam na drzemiącą na kanapie Maisie. – Tego, co wczoraj zaproponowałeś. Tak jakby.

W jego oczach pojawiło się zaskoczenie, czym się delectowałam. Nie miałam wielu okazji, aby zszokować Becketta.

– Tak jakby?

Na jego twarzy pojawiła się nadzieja, na co serce podeszło mi do gardła.

– Chcę zadać kilka pytań, zanim cokolwiek powiem. Nawet nie wiem, czy poważnie myślę o takiej możliwości, ale naprawdę byłabym ci wdzięczna, gdybyś pojechał ze mną i pomógł mi to rozgryźć.

– Oczywiście. O której?

Spojrzałam na zegar i posłałam Beckettowi wymuszony uśmiech.

– Za jakieś czterdzieści pięć minut?

Zamiast się skrzywić albo narzekać, że dałam mu zbyt mało czasu, po prostu pokiwał głową.

– Dobra – powiedział i wyszedł.

Wykorzystałam czas na spakowanie się na tę wycieczkę, zmusiłam Colta, aby się wykapał i wrzuciłam obiad dla dzieci do piekarnika. Kiedy Maisie się obudziła, zmierzyłam jej temperaturę i westchnęłam z ulgą, gdy odczytałam piękne trzydzieści sześć i dziewięć, a w drzwiach stanęła Ada. Denerwowałam się, więc poszłam się umalować, co oznaczało nałożenie tuszu na rzęsy i błyszczyka na usta.

Nie, żeby to była randka, czy coś.

Beckett przyjechał dokładnie pół godziny po tym, jak ode mnie wyszedł, ogolony, pachnący mydłem i skórą. *Mniam*.

– Gotowa? – zapytał, przytuliwszy dzieci.

– Tak – odpowiedziałam, biorąc torebkę i kardigan.

Zeszliśmy ze schodów, otworzył przede mną drzwi od samochodu. Ubrał się w eleganckie spodnie, koszulę z rozpiętym guzikiem i granatową marynarkę, w czym wyglądał jak dżentelmen, a nie żołnierz sił specjalnych, ale wiedziałam, że to tylko lukier. Mógł wyglądać miło i słodko, ale pod ubraniem był jak diabelska przekąska, kropka.

A ja naprawdę lubiłam czekoladę.

Wsiadłam do pick-upa, więc zamknął drzwi, ale dostrzegłam, że wcześniej patrzył na moje nogi nieco dłużej niż to konieczne. *Dobrze, że włożyłam szpilki.*

Podczas jazdy do centrum Telluride początkowo nie rozmawialiśmy. Z głośników płynął klasyczny rock.

– To była ulubiona piosenka Ryana – powiedział cicho, zaskakując mnie. – Doprowadzał mnie nią do szału.

*Oniemiałam.*

– Tak – zgodziłam się w końcu. – Czy nadal grał...

– Na wymyślonej gitarze? – zapytał z uśmiechem. – O tak. Przy każdej nadarzającej się okazji. Przy *Poison* i tym kawałku, napatrzyłem się, jak przebierał w powietrzu palcami. Mówił ci, że poznaliśmy Breta Michaela?

– Co? Niemożliwe!

– Zajrzyj do schowka. – Wskazał na niego ruchem głowy, więc ochoczo szarpnęłam uchwyt. – Pod instrukcją.

Wyjęłam białą, grubą, zniekształconą od zdjęć kopertę.

– Chyba gdzieś w środku.

Przerzuciłam fotografie Becketta we wszystkich możliwych zakątkach świata z żołnierzami jak on, jak Ryan. Przyjrzałam się uważniej zdjęciu grupowemu, aż wyłowiłam wzrokiem brata. Dech uwiązał mi w gardle. Powiodłam palcem po znajomej twarzy, tak znajomej, że wywołała ból w mojej piersi.

– Tęsknię za nim – wyznałam cicho.

– Ja też. – Widziałam, że pobiełały mu knykcie, tak mocno zaciskał palce na kierownicy. – Ale to dobrze, że za nim tęsknimy. Smutek oznacza, że ten ktoś był go wart. – Znalazłam fotkę, na której żołnierze stali w trzech rzędach, wszyscy zarośnięci i z kamuflażem. Zaczęłam się zastanawiać i zanim zdołałam przemyśleć sprawę, otworzyłam usta. – Który to Chaos?

Staliśmy na czerwonym świetle, przy czym Beckett natychmiast na mnie spojrzał, a mnie dopadły wyrzuty sumienia. Czy wiedział, co Chaos do mnie czuł? Albo, co ja czułam do niego?

Spojrzał na zdjęcie.

– Trzeci od lewej.

Wpatrywałam się w fotografię, spragniona dowiedzieć się, jak wyglądał, gdy wjechaliśmy na parking przed restauracją. Znalazłam Becketta, który jak zawsze był poważny...

– W trzecim rzędzie jesteś ty i dwóch innych żołnierzy. – Obaj byli dobrze zbudowani z krótkimi brodami i w okularach przeciwsłonecznych.

Odpowiedział mi jednak trzask zamykanych drzwi. Beckett zdołał zgasić silnik i wysiąść.

– Zatem temat zamknięty – mruknęłam pod nosem, po raz ostatni wpatrując się w twarz, nim z ciężkim sercem wsadziłam zdjęcia do koperty. Czy kiedykolwiek jeszcze na nie spojrzę? Czy będę mieć okazję, aby zadać pytania?

Włożyłam pamiętki do schowka tuż przed tym, jak Beckett otworzył moje drzwi i pomógł mi wysiąść. Obcasy i wysokie samochody niezbyt ze sobą współgrały. Przeszliśmy do niewielkiej, rodzinnej, włoskiej restauracji, którą uwielbiałam.

Kiedy weszliśmy, Mark siedział już przy stoliku. Wstał, gdy nas zobaczył.



– Wow, Gutierrez? – rzucił Beckett, gdy Mark zbliżył się do nas i pocałował mnie w policzek.

– Miło cię widzieć, Gentry. Siadamy?

Beckett odsunął dla mnie krzesło, więc zajęłam miejsce. Gest był niemal archaiczny, ale sprawił, że poczułam się chroniona, zadbana, a nawet nieco wytrącona z równowagi.

– Zatem nie tylko przewodniczysz ekipie ratowniczej – stwierdził Beckett, gdy mężczyźni usiedli.

– Nie. Działam w niej w ramach wolontariatu. Pomaga zachować kondycję, no i w Telluride nie ma zbyt wielu spraw dla prawnika. – Wzruszył ramionami. – Podobnie do ciebie, robię to dla rozrywki.

Beckett powoli pokiwał głową.

– Wygląda na to, że się znacie – powiedziałam pogodnie, chociaż wcale się tak nie czułam. – Dziękuję, Mark, że chciałeś się z nami spotkać w sobotni wieczór. Wiem, że wolałbyś spędzić go z Tess.

– Żaden problem. Właściwie pojechała na weekend z dziećmi do Durango. Wierz mi, wolę być tu z wami niż tam z teściową. A teraz mów, co się stało.

– Zechcesz wprowadzić go w twoją propozycję? – poprosiłam Becketta, aby to on przejął stery.

Wyjaśnienia zajęły mu cały obiad i kieliszek wina, ale starał się opowiedzieć o wszystkim tak dokładnie, jak było to możliwe, przechodząc od leczenia, przez rachunki i ubezpieczenie, aż do swojego pomysłu w kwestii małżeństwa.

*Ella Gentry.*

Wyrzuciłam ten obraz z głowy. Już raz dla kaprysu wyszłam za mąż, zdecydowanie nie planowałam tego powtarzać. Nie obchodziło mnie, jak niedorzecznie dobrze brzmiało jego nazwisko w połączeniu z moim imieniem.

– Chcesz ożenić się z Ellą? – zapytał Mark, gdy kelnerka zbierała talerze.

– A ty chciałbyś poślubić kobietę, która nie byłaby tobą zainteresowana? – rzucił Beckett.

Natychmiast na niego spojrzałam. Nie byłam zainteresowana Beckettem? Nie o to chodziło, raczej wolałam postawić na zdrowy rozsądek i... logikę.

– Ale zrobiłbym to, gdyby tego chci... potrzebowała – dokończył.

Świetnie. Teraz byłam damą w opalach. Brakowało mi tylko połyskującego nad głową neonu z napisem „w niebezpieczeństwie”, a moje życie stałoby się kompletne.

– Dobra, więc nie naciskajmy – powiedział Mark, przenosząc wzrok pomiędzy nami. – Nikt nie chce aranżowanego małżeństwa. Zatem, Ello, teraz, skoro już wiem, co się dzieje, nadeszła twoja kolej. Przez telefon wspominałaś o pewnym pomysle.

– No tak. – Obróciłam się na krześle do Becketta. – To, co proponujesz, uczyniłoby z Maisie praktycznie twoją córkę, tak? Nawet jeśli jedynie w dokumentach.

– Tak. I oczywiście Colta moim synem. Pod względem prawnym.

Słowa te wywołały ciepło w moim brzuchu. A może to wino. Tak czy inaczej, dodało mi to odwagi, by kontynuować.

– Jestem nieco skrzywiona.

Uniósł brwi, jakby chciał rzec: „Powiedz mi coś, czego nie wiem”.

– I czasami to przysłania mi osąd. Staje mi na drodze, powstrzymuje mnie przed rozwojem... Ale się z tym pogodziłam. Jednak to nie w porządku, jeśli rani moje dzieci. Zatem, gdyby istniał sposób, abyś został ich ojcem, zapewnił im taką ochronę, jak będąc moim mężem... ale ja nie byłabym przy tym twoją żoną, czy chciałbyś tego?

– Miałbym cię nie poślubić? – Zmarszczył brwi.

– Usunąć z równania mnie i moje skrzywienie – wyjaśniłam, nim ściszyłam głos do szeptu, który mógł słyszeć tylko Beckett. – Jak powiedział mi ktoś mądry, nie chodzi o to, że cię nie pragnę.

– Nie rozumiem.

– Czy chciałbyś dzieci, gdybym ja nie wchodziła w grę?

– Tak – odparł bez wahania.

– Na zawsze?

– Na wieki.

Ciepło rozprzestrzeniło się z mojego brzucha i połączyło z miłością, która w tej chwili jasno płonęła w mojej piersi. Częściowo spodziewałam się, że zacznę świecić jak Troskliwy Miś.

Przeniosłam spojrzenie na Marka, który nadal przeskakiwał wzrokiem między nami, zaczynając rozumieć, o co mi chodziło.

– Może je adoptować, nie żeniąc się ze mną?

Beckett gwałtownie wciągnął powietrze.

– Czy byłbyś to w stanie zrobić? – zapytał Mark Becketta.

– Tak. – Odpowiedź ponownie padła natychmiast.

– Czy myślałaś o tym, co to tak naprawdę by oznaczało? – zapytał mnie Mark.

– Tak. Rozumiem, że naraziłabym tym dzieci na pewne ryzyko.

Czułam, że siedzący obok mnie Beckett zeszytniał, zmieniła się jego aura, jakby w powietrzu trzeszczał prąd.

– Mógłby je adoptować – poinformował nas Mark. – Miałyby kolejnego rodzica. Trzeba by było rozważyć alimenty, prawo do opieki, odwiedzin i podejmowania decyzji w ich sprawie. To praktycznie tak, jakbyś dzieliła się z nim dziećmi. Jednak byłyby również bardziej chronione. W chwili adopcji miałyby jego ubezpieczenie bez względu na stopień waszej... relacji. Wojsko zawsze widziało by go jako ojca maluchów.

– Nawet gdyby odszedł z armii?

Becket zagryzł na chwilę zęby.

– Gdybyś chciała, mogłabyś mnie nawet pozwać o alimenty dla siebie.

– Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła.

– Nie przejąłbym się, gdybyś jednak się na to porwała.

– Okej, ale nadal musiałabyś zrezygnować z części swoich praw, Ella.

Nieco się zjeżyłam. Bliźnięta zawsze były moje i tylko moje.

– Czy możemy jakoś zmniejszyć ryzyko?

Rozsiadł się, nadal przenosząc wzrok pomiędzy nami.

– Pewnie. Musiałabyś sporządzić warunki opieki, które podpisałibyście natychmiast po zatwierdzeniu adopcji. Mogłabyś określić na przykład, że to ty sprawujesz wyłączną fizyczną opiekę, on nie ma prawa do odwiedzin, ale powinniście razem podejmować ważne decyzje, bo inaczej wyglądałoby to dość podejrzanie. Nie musiałabyś nawet iść z tym do sądu, dopóki

nie wystąpiłby jakiś problem. Lepiej by było tego nie robić, na wypadek, gdyby ktoś zaczął grzebać się w waszej sprawie.

– Czy to oszustwo? – Musiałam to wiedzieć. Zapewne nawet mimo tego bym się na to zdecydowała, ponieważ życie Maisie warte było mojej odsiadki, ale musiałam zasięgnąć języka. – To znaczy, małżeństwo byłoby dla mnie większym oszustwem. Jeśli żadne z nas nie chce poślubić tego drugiego i będziemy mieć inne nazwiska i mieszkać osobno, będzie to wyglądało bardziej podejrzanie niż to, że Beckett chce opiekować się dziećmi, prawda?

– Chcesz być ich rodzicem? – Mark spojrzał bezpośrednio na Becketta.

– Tak – odparł bez namysłu. – Kocham je. Byłbym najszczęśliwszy, mogąc je chronić i dać im wszystko, co tylko zdołam.

– Będziesz musiał się nieco bardziej postarać przed sędzią Iversonem. Od zawsze uwielbia Ellę, ale ty nie jesteś stąd. Nie zaufa ci tylko dlatego, że pokażesz się na kilku treningach piłki nożnej.

Beckett odetchnął głęboko, bawiąc się swoją szklanką.

– Wychowywałem się bez ojca. Poznałem za to wielu facetów, którzy uderzali jako pierwsi albo mnie ignorowali, ale żadnego nie uważałem za tatę. Kiedy po meczu szliśmy z Coltem przez boisko, zapytał, czy to właśnie tak jest mieć ojca, a ja nie potrafiłem mu odpowiedzieć, bo nie wiedziałem, a sam też nie miał pojęcia. Chciałbym, aby Maisie i Colt wiedzieli, jak to jest mieć tatę, niezależnie od tego w jakim charakterze Ella pozwoliłaby mi wspierać dzieci. Chcę być facetem, na którym będą mogły polegać.

– To mniej więcej definicja ojcostwa i wydaje mi się, że obronisz się w sądzie. Nie będzie oszustwem, jeśli je zaadoptujesz, by pomóc w ich wychowaniu. Jednak ubezpieczenie to osobna kwestia, na której z pewnością skupi się sędzia Iverson. Jakies dziesięć lat temu jego żona zmarła na raka, więc szczerze mówiąc, uważam, że może postrzegać to jako zaletę, a nie wadę. Czy przeszkadzałby ci brak pełni praw?

Pokręcił głową.

– Przeszkadzałyby mi śmierć Maisie. Nigdy nie wziąłbym od Elli czegoś, czego nie chciałyby mi ofiarować i nigdy nie zrobię nic, by skrzywdzić dzieci.

Pomyślałam o zdjęciach, które pokazały mi pielęgniarki z niewielkiej uroczystości zakończenia przedszkola, którą Beckett urządził mojej córce. Mała go kochała. Colt również, a ja byłam w tym z nimi. Miały już tak wiele do stracenia, jeśli chodziło o Becketta.

– Czy będą musiały się o wszystkim dowiedzieć? Od razu? – palnęłam. Odchodząc, mógł skrzywdzić dzieci. Ofiarowanie im ojca tylko po to, by zaraz go odebrać byłoby okrucieństwem. Kiedy Maisie wyzdrowieje – mając nadzieję, że Beckett nadal będzie w tej bardzo odległej przyszłości w Telluride – moglibyśmy im powiedzieć... kiedy jej serce będzie na tyle silne, aby wytrzymać skutki potencjalnej porażki.

Beckett zeszytniał, ale nadal patrzył niezłomnie na Marka.

– Eee... – Prawnik się zawahał. – Chyba nie? Dzieci nie muszą być poinformowane ani wyrażać zgody, dopóki nie ukończą dwunastego roku życia. Musielibyśmy jedynie porozmawiać o tym z sędzią Iversonem. Ale skoro od zawsze cię uwielbiał, a nienawidził Danburych, chyba zdołalibyśmy go przekonać, by się zgodził.

– Więc naprawdę moglibyśmy to zrobić? – dociekałam, gdy ponownie rozpałała się w mojej piersi iskra nadziei. – Mimo to, że nie bylibyśmy małżeństwem?

– Małżeństwo mogłoby być łatwiejszą drogą – powiedział Mark, wzruszając ramionami.

– Ale nie mogę. Nie po tym, co stało się poprzednim razem. Nie spieszy mi się do zamążpójścia.

– Powinnaś powiedzieć to sędziemu Iversonowi, jeśli cię o to zapyta. W ciągu ostatnich dekad definicja rodziny bardzo się zmieniła, małżeństwo nie jest już ku niej decydującą przesłanką. A ponieważ jesteś matką, a dzieci nie znajdują się pod opieką państwa, ani nic z tych rzeczy, jedyną komplikacją w tej sprawie może być opinia sędziego. Samotny mężczyzna bezspornie może adoptować dzieci swojej partnerki, nie żeniąc się z nią. Musicie jedynie udawać, że jesteście w związku.

Zarumieniłam się. Nie byłam w żadnym od czasów Jeffa, choć tak naprawdę on nigdy nie był moim partnerem.

– Więc zasadniczo, miałabym jedynie ograniczone prawa do decydowania o dzieciach, tak?

– Zasadniczo. – Bawił się kieliszkiem, obserwując nas o wiele za czujnie.

– Ale zyskałabyś życie Maisie – dodał Beckett. – Wiesz również, że nigdy nie zrobię niczego, czym bym cię zdenerwował, jeśli chodzi o dzieci. Nie jestem w tej historii czarnym charakterem. Po prostu staram się pomóc.

– Wiem – odparłam łagodnie i zgodnie z prawdą, jednak nie ufałam zbyt łatwo.

– Jest jeden haczyk. Będziecie musieli przekonać Jeffa do zrzeczenia się praw do dzieci.

Byłam prawie pewna, że wybuch bomby atomowej miałby mniejszy wpływ na moje serce.

– Dlaczego? Jego nazwisko nie znajduje się na akcie urodzenia żadnego z bliźniąt, dzieci noszą moje nazwisko, nie jego.

– Ella, każdy wie, że ojcem jest Jeff. To, że jego nazwisko nie znajduje się w dokumentach, nie wyklucza jego praw do maluchów. Nie twierdzą, że kiedykolwiek by z nich skorzystał, ale sędzia będzie wymagał zrzeczenia się ich. Nie dopuści do adopcji, jeśli Jeff tego nie zrobi.

– No tak – odparłam cicho jak myszka. Nie chciałam spotykać się z byłym mężem. Nigdy. Byłoby to jak rozgrzebanie dla zabawy całkowicie zagojonej rany.

Podziękowaliśmy Markowi, Beckett zapłacił za posiłek i wyszliśmy. Wracaliśmy do domu w ciszy.

– W którą stronę się skłaniasz? – zapytał, gdy wjeżdżaliśmy przez bramę Samotni.

– W tę, w której nie będę musiała spotykać się z Jeffem. – Zamknęłam oczy. – To kłamstwo. Wiem, że to, co oferujesz to dar niebios i to nie tylko dla Maisie, ale również dla Colta i dla mnie. Po prostu nie mogę znieść myśli, że miałabym go o cokolwiek prosić.

– Ja się nim zajmę – obiecał. – Poza tym, prawdopodobnie uciekłyby z krzykiem, gdybyś się u niego pojawiła. Ja przynajmniej mogę go podejść.

– Zrobiłbyś to dla mnie? – dociekałam, gdy dotarliśmy pod domek, a Beckett delikatnie zatrzymał samochód.

– Wszystko bym dla ciebie zrobił. – Spojrzał mi w oczy, a w nikłym świetle, które biło z deski rozdzielczej zobaczyłam nieco bólu. – Co muszę zrobić, byś mi uwierzyła? Żebyś mi zaufała? Chcesz sprawdzić moją przeszłość? Zrób to. Chcesz poznać moją zdolność kredytową? Cudownie. Chcesz czytać moje wyciągi bankowe? Dam ci upoważnienie. Masz

moje słowo, moje ciało, mój czas. Stoję przed tobą, proponując ci nazwisko. Co jeszcze mogę ci dać?

– Beckett. – Przysunęłam się do niego, ale się odsunął.

– Nie, żebyś chciała nadać im moje nazwisko, nie, kiedy nie będą nawet wiedzieć, co robimy. Prawda? Mogę być w świetle prawa ich ojcem, ale nie jestem na tyle dobry, by być ich tatą.

– Nie... nie o to chodzi.

– Och, wiem. Chodzi o to, że nie ufasz, iż zostanę. Uważasz, że odejdę, jak zrobił to Jeff. Myślisz, że skrzywdzę tym dzieci.

– Pomyślałam, że moglibyśmy im powiedzieć, gdy Maisie wyzdrowieje.

– Jeśli jeszcze będę wtedy z wami, tak?

Jednocześnie kochałam i nienawidziłam to, że tak dobrze mnie znał. Nie musiałam nawet odpowiadać. Dostrzegł prawdę w moich oczach.

– Tak. Okej. – Zgasił silnik, wyjął kluczyki ze stacyjki.

– Nawet nie mam prawa się denerwować. Wiedziałem, co proponuję, a bycie tatą nie jest częścią umowy, prawda? Chodzi jedynie o prawną ochronę. Potrzebujesz czegoś, więc ci to daję, jak obiecywałem. Proste.

Otworzył drzwi i wysiadł. Poszłam za nim, obserwując jego plecy, gdy zmierzał w stronę jeziora.

– Co robisz?

– Zostawiam tu auto. Przyjdę po nie jutro przed meczem. Spacer dobrze mi robi.

– Beckett! – zawołałam za nim.

– Nie martw się, Ella – odparł. – Znam swoją rolę. Rozumiem ją. I będę. Tak bardzo chcę...

Nie dokończył, tylko wyrzucił ręce w górę i poszedł dalej.

Jednak dokończyłam to zdanie w głowie na kilka różnych sposobów.

*Tak bardzo chcę ciebie.*

*Tak bardzo chcę pomóc twoim dzieciom.*

*Tak bardzo chcę być w twoim życiu.*

*Tak bardzo chcę ci pomóc.*

*Tak bardzo chcę, by Maisie żyła.*

Każda kolejna myśl sprawiała, że czułam się coraz gorzej przez to, że mu nie ufałam. Jednak facet przeciwstawiał się wszystkim, którzy najpierw coś mi obiecali, a potem odeszli.

A ja przeciwstawiałam się tym, którzy mu ufali.

Co z nas za para...?

## ROZDZIAŁ 16

BECKETT

List #15

*Chaosie,*

*bardzo mi przykro z powodu śmierci Twojego kolegi. Nie wyobrażam sobie, jak trudno jest opłakiwać kogoś i kontynuować to, co tam robicie. Za każdym razem, gdy kogoś traciłam – rodziców czy babcię – zamykałam się w sobie, jakby moje ciało nie było w stanie przetworzyć ogromu uczuć. To, że możesz dalej działać dużo mówi o tym, jakim jesteś człowiekiem i mam tu na myśli same pozytywy.*

*Twierdzisz, że nie przepadasz za ludźmi, że nie potrafisz się z nimi dogadać, ale gdy otwieram listy, widzę co innego. A raczej słyszę. Ktoś, kto nie potrafi odnaleźć się w świecie, nie byłby tak otwarty. Do licha, w ogóle by mi nie odpisał. Ale Ty to zrobiłeś, za co jestem Ci niesamowicie wdzięczna.*

*Może po prostu wybierasz, z kim chcesz się związać i to jest w porządku. Nie sądzę, by ktokolwiek na świecie obudził się pewnego poranka z postanowieniem bycia duszą towarzystwa, jaką jest mój brat. Pewnie właśnie dlatego się zaprzyjaźniliście, bo uzupełniacie się nawzajem.*

*Wiesz, z kim jeszcze świetnie się dogadasz? Założę się, że z dziećmi. Może nie wszystkimi, ale zdecydowanie własnymi. Myślałeś kiedyś o dzieciach? To pytanie znikąd, ale jestem ciekawa. Zapewne ponieważ urodziłam swoje tak młodo i nie potrafię wyobrazić sobie życia bez nich, każdego nowo poznanego widzę z maluchami.*

*Poza Hailey. To moja najbliższa przyjaciółka i jestem pewna, że pewnego dnia będzie świetną mamą... kiedy już sama z powodzeniem dorośnie. I to powodzenie jest tutaj kluczowym słowem. Założę się, że pokochasz ją, gdy tu przyjedziesz. Jest piękna, zabawna i nie wyobraża sobie każdego nowo poznanego człowieka z dziećmi.*

*W każdym razie założę się, że byłbyś dobrym ojcem. Uważnym i stanowczym, ale w leniwe weekendy zapatrzonym w maratony „Gwiezdnych Wojen”. Mogłabym to sobie wyobrazić... wyobrazić sobie Ciebie. Tak, wciąż łaknę Twojego zdjęcia.*

*Mam nadzieję, że udało mi się odwrócić Twoją uwagę choćby na kilka minut. Wiedz, że mimo wszystko bardzo mi przykro z powodu Twojej straty.*

*Ella*

---

**S**tałem przy oknie wieżowca w centrum Denver, patrząc na panoramę miasta. To zdecydowanie nie było miejsce, w którym mógłbym zapuścić korzenie. Dwa miesiące spędzone w Telluride nauczyły mnie, że na dłuższą metę nie byłem kompatybilny z betonem.

W dodatku nie miałbym Elli.

Od naszej kłótni w samochodzie minął tydzień, a później grzecznie się do siebie odnosiliśmy... pozostawaliśmy w przyjacielskich stosunkach. Jednak zniknęła swoboda, która od zawsze cechowała naszą relację. Nie było jej, nie po tym, gdy sprawy między nami stały się tak bardzo napięte.

Gdybym nie wykazywał się ostrożnością, Ella zrozumiałaby, że się w niej zakochałem, przez co powstałby jeszcze większy bałagan.

Nigdy wcześniej żadna kobieta nie wywoływała we mnie tylu sprzecznych emocji, co ta. Do diabła, zakląłem przez nią. Nigdy nie poznałem kobiety, z którą chciałbym się ponownie spotkać, która tak zawładnęłaby moją duszą. Oczywiście zgodziłbym się na wszystkie jej warunki w kwestii adopcji. Nie tylko dlatego, że desperacko pragnąłem uratować Maisie i strzec Colta, ale ponieważ chciałem ofiarować Elli to, czego pragnęła, co wywołałoby uśmiech na jej twarzy.

W zamian miała dać mi rodzinę nawet bez względu na pokręcone uzasadnienie tego faktu. Dzieci będą moje w każdy liczący się dla mnie sposób. Mogłem je kochać, chronić, zaspokajać ich potrzeby. Mogłem dać Maisie każdą terapię, jaką musiała przejść, a także codziennie wspierać Colta. Dowiodę Elli swojej wartości, zostanę, by już nigdy we mnie nie zwątpiła, a potem podbiję jej serce.

*Aż dowie się, co zrobicieś.*

Tak. Bez względu na to, jak bardzo starałem się ignorować te sprawy, tajemnica wisiła mi nad głową jak gilotyna.

Przynajmniej dzieci będą miały ochronę, gdy Ella mnie wyrzuci. Nawet wtedy nie zrezygnowałbym z adopcji, nie zaryzykowałbym życia Maisie. To jedyny sposób, w który mogłem dotrzymać danego Ryanowi słowa i ukoić moje skołatanе serce, skoro zdawałem sobie sprawę, że pewnego dnia dogoni mnie przeszłość.

Piknęła moja komórka, więc otworzyłem skrzynkę odbiorczą.

Donahue: Dokumenty z nowymi datami już czekają. Jesteś pewien?

Zatrzymałem palce nad klawiaturą. Byłem pewien tego, że chcę, by Maisie przeżyła, a to jedyny sposób, żeby to osiągnąć.

Ja: Tak. Ale to nie oznacza, że wrócę.

Donahue: Wmawiaj to sobie.

Wsadziłem telefon do kieszeni, nie kłopotząc się odpisywaniem mu.

– Panie Gentry – powiedział głos za moimi plecami, więc się odwróciłem.

– Panie Danbury – odpowiedziałem. Zatem to był Jeff. Zasadniczo wyglądał jak przerośnięty dzieciak z bractwa, którego wciśnięto w garnitur po ojcu. Miał jasne, zaczesane do tyłu włosy i szare, wyrachowane oczy.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i szybko zająłem miejsce po drugiej stronie stołu konferencyjnego, przerażony, że stracę nad sobą panowanie i stłukę go za to, że skrzywdził Ellę, nie mówiąc już o porzuceniu dzieci.

Do diabła z nim. Nie zasługiwał na tę kobietę i na pewno nie zasługiwał na Maisie i Colta.

Poprawił marynarkę, więc zrobiłem to samo, rozpinając ostatni guzik. W Denver przynajmniej można było znaleźć dobrych, szybkich krawców.

– Co mogę dla pana zrobić, panie Gentry? – zapytał.

– Rozumiem, że jest pan najmłodszym wspólnikiem w tej kancelarii.

– Tak. Właśnie ukończyłem studia prawnicze.

– Korzyści z posiadania nazwiska ojca na ścianie, co? – zapytałem, ruchem głowy wskazując firmowe logo.

Spoważniał. Jeff nie lubił, gdy wytykało mu się to, że wszystko dostał pod nos na srebrnej tacy. Bogacze byli tacy sami – rozkoszowali się wygodnym życiem i gardzili przeszkodami, które mogłyby odsunąć ich od nagrody. Dobry Bóg wiedział, że całkowicie zniszczył Ellę.

– Uważam, że to współwłasność w rodzinnej firmie – odparł, wzruszając ramionami.

– Ach, rodzina. Cieszę się, że poruszył pan ten temat. – Przesunąłem po blacie kopertą, więc wziąłem ją do rąk.

– Co to, do cholery, jest? – zapytał, czytając dokumenty.

– Wie pan, co to jest, chyba że elegancki uniwersytet nie nauczył pana czytać. Proszę podpisać.

Ponownie przeczytał paragrafy, po czym odłożył dokument. Dostrzegłem na jego twarzy wyraz, który mówił o jego przewadze, skoro dowiedział się już, czego od niego oczekiwałem.

– Ile Ella za to panu zapłaciła?

– Słucham?

– Musi istnieć jakiś powód. Minęły lata.

– Istnieje. Adoptuję bliźnięta.

Uśmiech zniknął z lalusiowatej twarzy, a wzrok opadł do moich dłoni w poszukiwaniu obrączki.

– Żeni się pan z nią?

– To chyba nie jest pańska sprawa.

– Cóż, skoro chce pan adoptować moje dzieci...

Emocje natychmiast opuściły moje ciało. Dopadło mnie odrętwienie, jak za każdym razem, gdy wkraczałem do walki, przygotowany do popełnienia niewyobrażalnego okrucieństwa.

– To nie są pańskie dzieci – rzuciłem bezceremonialnie.

– Chyba się nie zgodzę, biorąc pod uwagę to, ile razy ją posuwałem przez dwa miesiące naszego małżeństwa. Małomiasteczkowa dziewczucha z małomiasteczkowym myśleniem chciała obrączki.

Gdyby była tu Demolka, wyczuwająca moje napięcie, już rzuciłaby się temu facetowi do gardła.



– Być może jest pan ich biologicznym ojcem, ale z pewnością nie jest pan ich tatą. Nigdy nie chciał pan się z nimi spotkać, porozmawiać czy mieć cokolwiek z nimi do czynienia. To nie są pana dzieci, tylko moje.

Kiedy tylko słowa te opuściły moje usta, słodki ucisk powrócił do mojej piersi, bo miłość, którą żywiłem do dzieci, obezwładniła moje bitewne odrętwienie.

– Co zatem chce mi pan za to zaoferować?

– Poważnie?

Wzruszył ramionami.

– Proszę potraktować to jako transakcję biznesową. Chce pan czegoś, co mam ja. Co jest mi pan w stanie za to zaoferować?

– A może powiem o tym, czego panu nie zaoferuję?

Rozsiadł się i czekał, a ja usilnie starałem się zachować spokój.

*Trzy osoby: Maisie, Colt, Ella.* Tylko one się liczyły.

– Nie zaoferuję panu rachunku na ponad dwa miliony dolarów za leczenie choroby nowotworowej Maisie.

Przełknął ślinę, ale prócz tego nie dał po sobie poznać, że mnie słyszy.

– Nie wystarczy? To może dodamy ją do pańskiego ubezpieczenia, skoro tak się pan upiera, że jest pańskim dzieckiem? Myślę, że pański ojciec się ucieszy, skoro pół roku temu powiedział Elli, że nie obchodzi go, czy wnuczka przeżyje, dopóki zostawią jego i pana w spokoju. Jestem pewien, że pomoże to waszej kancelarii, jeśli się rozniesie.

– Czy to groźba?

– Bynajmniej. Dlaczego miałbym panu grozić, skoro zamierza pan podpisać zrzeczenie się praw, a pana siedząca za drzwiami sekretarka wszystko ładnie poświadczy? – Również się rozsiadłem.

– Dobra. Podpiszę. – Wyrwał długopis ze stojącego pośrodku stołu pudełka i nabazgrał swoje nazwisko na dokumencie. Nie odprężyłem się. Jeszcze nie.

– Proszę to poświadczyć.

Zaklął pod nosem, ale wstał od stołu i od drzwi warknął na sekretarkę. Dwudziestokilkulatka w ołówkowej spódnicy pospieszyła do sali, podpisała się na dole i przybiła pieczętkę, po czym wróciła pędem do swojego biurka.

Jeff rzucił mi teczkę, a ja ją otworzyłem i spojrzałem na dokument, aby mieć pewność, że wszystko należycie zatwierdzono. Nie zamierzałem ponownie się tu pojawiać.

– Jeszcze coś?

Uśmiechnąłem się.

– Tak. Wyjmuj pan książeczkę czekową.

– Słucham? – Wybałuszył oczy.

– Proszę wyjąć książeczkę czekową i wypisać Elli sześćoletnie alimenty na dzieci. Natychmiast.

– Na pewno tego nie zrobię. Poza tym zacząłem pracować dopiero w tym miesiącu. Czego pan chce? Trzydziestu procent z zera?

– Tak, ale pański opiekujący na milion dolarów fundusz powierniczy otworzył przed panem swoje podwoje w chwili, w której postawił pan nogę na pierwszym wykładzie na studiach. Zatem proszę wypisać Elli ładną, okrągłą sumkę.

– Skąd pan o tym wie?

– Nieważne. Albo wypisze pan ten czek, albo zaniosę ten dokument ojcu pana narzeczonej. A kim on jest? Senatorem? A potem wyślę go do prasy, informując, że nie tylko porzucił pan dzieci, ale zostawił pan ich matkę, gdy walczyła o leczenie chorej na raka córki. Jak pan sądzi, co pomyśli opinia publiczna?

– Zrujnuje mnie pan.

Wzięłem kojący, uspokajający oddech. Tego egoistycznego kutasa nie ruszyła nawet śmiertelna choroba Maisie.

– Tak, taki jest plan.

– Dlaczego? Bo zniszczyłem Ellę? Jakby i tak czekała ją jakakolwiek przyszłość.

– Myśli pan, że zniszczył Ellę? Nie ma na tej planecie człowieka, który zdołałby tego dokonać. Proszę sobie zatem nie schlebiać. Nie przyjechała tutaj tylko dlatego, że nie jest pan godzien jej czasu. A teraz czek.

Wyszedł z sali konferencyjnej, wrócił szybko z długopisem nad książeczką czekową.

– Ile?

– Tyle, ile według pana wystarczy, by uszczęśliwić przyszłego teścia oraz zatrzymać nazwisko ojca na ścianie tej kancelarii.

Przesunął długopisem po papierze, po czym wyrwał czek i mi go podał.

Złożyłem więc go na pół i wsunąłem do kieszeni na piersi.

– Nawet pan nie spojrzy? – pisnął.

– Nie. Wystarczy albo nie. – Wstałem, zapiąłem marynarkę i udałem się z teczką do drzwi.

– Skąd pan wiedział o funduszu powierniczym? – zapytał, siadając.

Zatrzymałem się z dłonią na klamce, zastanawiając się, co zrobić.

*A co mi tam? Dlaczego mam milczeć?*

– Och, no wie pan, małe miasto, mieszkańcy z małomiasteczkowym myśleniem, ale dużymi sercami i jeszcze większymi gębami. I tak ku pamięci, najlepsze, co pan w życiu zrobił, to odszedł od Elli i nigdy nie wrócił, by namieszać dzieciom w głowach. Na pana miejscu trzymałbym się tego postanowienia. Potrafię usilnie chronić to, co moje.

Wyszedłem bez namysłu i pojechałem do bazy wojskowej, która mieściła się na obrzeżach Denver. Znajdowały się tam kolejne dokumenty, które trzeba było podpisać.

\* \* \*

– Pan Beckett! – Colt wybiegł z drzwi i rzucił mi się na szyję, jakby nie było mnie ze dwa tygodnie, a nie dwa dni.

– Co tam, koleżko? – Podniosłem go, zaciągając się zapachem cynamonu i słońca, gdy przerzuciłem teczkę do drugiej ręki.

– Pieczemy!

Zaniósłem go do domu, gdzie powitał mnie zapach ciasta.

– Szarlotka? – dociekałem.

– Skąd pan wie?

– Cóż, jedynymi rzeczami, które tak dobrze pachną są szarlotka i pierniki, a skoro to lato, postawiłem na jabłka.

Demolka wierciła mi się pod nogami, chcąc mnie przywitać, więc postawiłem Colta na podłodze i podrapałem psinę za uszami.

– Dobra robota – powiedziałem do niej, wiedząc, że cały czas pilnowała chłopca.

– Pan Beckett! – zawołała siedząca na kanapie Maisie.

– Jak tam, moja mała? – zagadnąłem, podchodząc do niej. Była blada, miała niemal przezroczystą skórę. – Dobrze się czujesz?

Pokręciła głową.

– Gdybyś namówił ją do wypicia czegoś, ofiarowałabym ci za to swoją duszę – powiedziała Ella, wychodząc z kuchni z plamą mąki na czole.

Odezwano się we mnie czyste pożądanie. Chciałem tego życia i tej kobiety. Pragnąłem wolności, by oderwać ją na chwilę od dzieci i zacząć pieścić. Całować. Patrzeć, jak z rozkoszy zamyka oczy. Jak znikają bruzdy zmartwienia z jej czoła.

– Szarlotka, co?

– To jej ulubione ciasto, więc pomyślałam... – Wzruszyła ramionami.

– Czym cię przekupić, byś wypila kilka łyków gatorade? – zapytałem Maisie.

Spojrzała na mnie ze śmiertelną powagą tymi swoimi niebieskimi oczami.

– Koniec z *Vaianą*. Niech mi pan załatwi *Gwiezdne Wojny*. Nie są straszne. – Spojrzała niespokojnie na matkę.

Ella się skrzywiła, ale pokiwała głową.

– Dobra. Mam w domu zielone jabłuszko, które tak lubisz. Daj mi chwilę porozmawiać z twoją mamą, a potem ci je przywiozę, okej?

– Stoi.

Podciągnąłem jej koc i poszedłem za Ellą do gabinetu.

„DASZ RADE?”

Na tablicy ogłoszeń wisiała kartka, którą jej wysłałem. Do diabła, tak, dawała radę. To ja się pogubiłem, wliczając w to konieczność bycia szczerym.

Dziwne, być zazdrosnym o samego siebie? Wiedzieć, że do innej wersji mnie należała część kobiety, którą kochałem?

– Jak tam wyniki badania krwi?

– Jutro rano jedziemy do szpitala na kolejną transfuzję. Może być podana w Telluride, więc przynajmniej blisko.

Pokiwałem głową i wręczyłem Elli teczkę.

Otworzyła ją drżącymi palcami, po czym opadła jej szczęka.

– Udało ci się.

– Tak. Jesteś wolna. I dzieci również.

– Jak tego dokonałeś? – Ponownie przeczytała dokument.

– Potrafię być przekonujący.

Uśmiechnęła się do mnie.

– Tak, w to uwierzę.

Rzuciłem czek do teczki, aby znalazł się na zrzeczeniu praw. Elli ponownie opadła szczęka.

– Co to?

– To, co ci się należy.

Oparła się pośladkami o krawędź biurka.

– To pół miliona dolarów. Dlaczego miałby... Coś ty mu zrobił?

– Przekazał alimenty, które tak naprawdę powinien cały czas płacić.

Spojrzała na mnie, na jej twarzy malowały się emocje, za którymi nie potrafiłem nadażyć.

– Nie chcę.

– Tak sądziłem.

– Tak?

Pokiwałem głową.

– Wychowywałaś dzieci sama. Pomyślałem, że nie będziesz chciała przyjąć teraz tych pieniędzy. Bo gdybyś je przyjęła, dałoby mu poczucie współsprawstwa, na które nie wyrazisz zgody.

– Więc dlaczego mi to dajesz?

– Powiedziałaś mi kiedyś, że najbardziej skrzywdzę go poprzez portfel. Zatem to zrobiłem. Kazałem mu wypisać ten czek, bo chciałem dać ci wybór. Te pieniądze mogą spłacić cały kredyt na Samotnię albo rachunki za leczenie Maisie. Albo opłacić dzieciom studia w przyszłości. Nie zamierzałem podejmować za ciebie tej decyzji.

– Teraz nie będę ich potrzebowała dla Maisie.

– Nie, jeśli nadal zgodzisz się, bym adoptował dzieci. To kolejna decyzja, do której nie zamierzam cię zmuszać. Nie jestem Jeffem. A to daje ci kilka możliwości. Czek oznacza, że nie stoisz już pod ścianą. Nie musisz wybierać mnie.

Wpatrywaliśmy się w siebie w ciszy, gdy się zastanawiała. Błagałem ją spojrzeniem, by mi zaufała, aby się na mnie wsparła. Potrzebowała mnie choćby w niewielkim ułamku tego, jak ja potrzebowałem jej. W oczach Elli widziałem, że rozważyła wszystkie za i przeciw i nie spuszczać ze mnie oka, podarła czek na strzępy.

– Wybieram ciebie. A teraz jestem wolna. My jesteśmy.

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu, bo wiedziałem, że ja już nie byłem wolny. Należałem do niej – do nich.

# ROZDZIAŁ 17

BECKETT

List #3

*Chaosie,*

*rodzicielstwo jest do bani. Przepraszam. Wiem, że nie znamy się na tyle dobrze, bym mogła tak mówić, ale to prawda.*

*Spędziłam dziś większość popołudnia w gabinecie dyrektora. W dodatku to ten sam człowiek, który pełnił tę funkcję, gdy sama byłam mała. Przysięgam, siedziałam na skrzypiącym, skórzanym krześle naprzeciwko jego biurka i znów miałam siedem lat.*

*Jednak teraz jestem dorosła i siedziałam tam przez moje dzieci.*

*Colt i Maisie są w tej samej grupie w przedszkolu. Wiem, często słyszę, że nie powinnam się na to zgadzać, bo to nie pomaga rozwijać im własnej tożsamości, ale ci tak zwani znawcy nigdy nie spojrzeli w niebieskie oczy moich brzdąców i nie słyszeli odmowy rozdzielenia. Tak, próbowaliśmy. Przez pierwszy tydzień musiałam o dziewiątej przyjeżdżać z powrotem do szkoły, bo któreś zawsze znajdowało się w nieswojej grupie. W końcu się poddałam. Wiesz, jak to się mówi o wybieraniu swoich bitew? Dla mnie to wybranie wojny, którą przegram. Ale to nic.*

*W każdym razie w Maisie zakochał się pewien chłopak. Uroczo, nie? Jednak niezbyt. Na dzisiejszej przerwie stwierdził, że cała grupa będzie się bawić w całowanego berka, ale zamiast łąpać kogoś ręką, trzeba było go pocałować. Nieźle, nie? Maisie nie chciała się bawić, więc chłopak i tak zaczął za nią biegać, w końcu ją przewrócił i zaczął ją całować pomimo jej sprzeciwów. Oczywiście go odepchnęła i go uderzyła. Ryan byłby dumny, zadała cios dokładnie tak, jak ją uczył.*

*Colt usłyszał zamieszanie i do niej przybiegł. Kiedy opowiedziała mu o tym, co zaszło, zachował spokój, ale tamten chłopiec nazwał ją brzydko – wyrazem, który według Colta rymuje się z „nauka” i cóż... Colt wpadł w szal.*

*Chłopak skończył z podbitym okiem i buzią pełną piasku. Wspominałam, że znam jego matkę? Niezręczne życie w małej miejscinie.*

*Colt został na tydzień zawieszony, a Maisie się uparła, że odbędzie tę karę z nim. Mają po pięć lat. To pięciolatki, Chaosie, dzieci z przedszkola. Jak, u licha, mam przetrwać ich nastoletnie lata?*

*Ech. To tyle na dziś. Rodzicielstwo jest do bani.*

*Ella*

---

**Z**adzwoił budzik, więc się poderwałem i zacząłem biec. Dosłownie. Przemierzyłem dziesięć kilometrów po terenie Samotni, wziąłem prysznic i udałem się do pracy, która była dla mnie czystym wolontariatem, odkąd podpisałem dokumenty Donahue. Poćwiczyłem z Demolką i popracowałem z nią na uprzęży do zjazdów na linie.

Dość typowy piątek.

Poza tym, że dziś miała odbyć się rozprawa adopcyjna, po której wszystko się zmieni.

Jeff podpisał zrzeczenie się praw w tamtym miesiącu, a kilka dni temu wyznaczono datę rozprawy na dziś. Czekaliśmy niecierpliwie, mimo to na podstawie oczekujących dokumentów dopisano dzieci do mojego ubezpieczenia, co oznaczało, że już za dwa tygodnie będą nim objęte. Za miesiąc Maisie mogła przejść pierwszą turę leczenia MIBG.

Zaparkowałem pick-upa przed głównym budynkiem, weszliśmy z Demolką, witając się z kilkoma gośćmi. Lato obfitowało w turystów, Ella zajmowała się obsługą klientów, zadowalaniem tych wybrednych. Przypuszczałem, że słowa „luksusowe zakwaterowanie” przyciągało też dupków.

Właśnie użerała się z taką paniusią.

Czekaliśmy z Demolką za dwuskrzydłowymi drzwiami, gdy kobieta w średnim wieku z niezadowolaniem kręciła przed Ellą palcem.

– Ale nie tego oczekiwaliśmy. Specjalnie prosiłam o widok na jezioro, a chociaż z naszych okien roztacza się piękny krajobraz, to z pewnością nie na wodę!

Ella spojrzała na mnie ponad ramieniem kobiety, na co posłałem jej pocieszające spojrzenie. Przynajmniej miałem nadzieję, że takie było, bo niemal parsknęła śmiechem.

Wskazała ruchem głowy na tyły, więc zrozumiałem wskazówkę. Przeszliśmy przez budynek, witając się z Hailey w recepcji oraz Adą, która w całej swojej chwale wykladała świeżo upieczone ciastka na stół. Otworzyłem drzwi do skrzydła mieszkalnego.

– Pan Beckett! – Maisie wybiegła zza rogu, więc ją złapałem, nim wpałaby na ścianę. – Musi mi pan pomóc! Colt się schował, a ja nie mogę go znaleźć. To niesprawiedliwe! Biega szybciej i o tym wie!

To niesamowite, co miesiąc przerwy od chemii potrafił zrobić z energią dziecka.

– Jak długo już szukasz?

– Od zawsze! – Przeciągnęła słowa, abym dokładnie zrozumiał, jak długo to trwało.

Posłałem jej wymowne spojrzenie, więc ustąpiła.

– Od dwudziestu minut.

– Rety, to chyba od zawsze – zgodziłem się. – Chcesz go znaleźć naprawdę szybko?

– Tak! – Podskakiwała.

– Gotowa? – zapytałem.

– Tak! – powtórzyła, nadal skacząc. *Rety, gdybym potrafił pakować tę energię do stoików, zarobiłbym krocie.*

– Demolka, siad!

Suczka wykonała komendę i spojrzała na mnie, oczekując na następną. Usłyszała ton mojego głosu i wiedziała, że nadszedł czas na pracę. W dodatku chciałem trochę poeksperymentować.

– Szukaj Colta.

Wystartowała jak strzała, wachała salon, jadalnię, po czym skierowała się na schody.

– Lepiej za nią biegnij, Maisie.

Mała puściła się pędem, gdy Ella otworzyła drzwi i wyszła, po czym je za sobą zamknęła. Oparła się o drewno i nieco się zgarbiła.

– Czy moja córka znów podszywała się pod gwiazdę toru biegowego? – zapytała, wyraźnie zmęczona.

– Tak. Jest teraz z Demolką. Najwyraźniej uznała, że Colt nieuczciwie wykorzystuje swoje zdrowie w zabawie w chowanego, więc stwierdziłem, że wyrównam szanse.

W tej samej chwili Demolka zaczęła szczekać, rozległ się huk, po czym śmiech.

– To nie fair! Oszukujesz! – krzyczał Colt.

Na schodach dało się słyszeć kroki, po czym cała trójka znalazła się w dolnym korytarzu.

– Dobry piesek – pochwaliłem Demolkę, która podbiegła po ostatni smaczek, jaki został mi w kieszeni po poprzedniej sesji treningowej.

– Możemy wyjść na zewnątrz? Proszę – jęczała Maisie.

Ella przygryzła wargę.

– Proooszę – dołączył Colt, wypowiadając to chyba jako najdłuższe słowo na ziemi.

– Dobrze. Tylko nie zbliżajcie się do gości i uważajcie na siebie – ustąpiła. – I wólcie czapki!

– Demolka, zostań z dziećmi. – We troje wybiegli na zewnątrz, nim Ella zdołałaby zmienić zdanie.

– Wydaje się, że ją odzyskaliśmy – powiedziała, ciężko wzdychając. – Bez chemii jest taka energiczna i szczęśliwa. Ma też doskonały apetyt. Przez chwilę może znów być dzieckiem. Cieszę się, że mamy miesiąc przerwy przed terapią MIBG.

– Ja też.

Ella odsunęła się od drzwi i podeszła do okna. Odsunęła zasłonę i obserwowała dzieci bawiące się na łące nieopodal budynku.

– Nigdy nie martwię się, gdy jest z nimi Demolka. To dziwne? Widziałam, jak się zachowywała w stosunku do rodziców Jeffa, a mimo to się nie martwię.

Stałem obok niej, dotykając jej ramieniem, obserwując, jak suczka biegnie za zabawką, którą rzucił jej Colt.

– Wtedy poleciłem, by ich pilnowała. Zazwyczaj mówię, by z nimi została, ale wtedy byliśmy na ulicy i powiedziałem „pilnuj”. Kiedy to mówię, zabije każdego, kto im zagrozi, chociaż nie zaatakuje nikogo, w kim nie wyczuje napięcia. Kiedy wypowiadam tę komendę, staje się czujna. W tej chwili po prostu się z nimi bawi.

– Jest wspaniała.

– Od odejścia z oddziału bardzo się zmieniła. W wojsku była szkolona, pracowała ze mną, mieszkała w boksie, ale nie miała czasu bawić się jak zwykły psiak. Tutaj również pracuje, ale nauczyła się radzić sobie przy gościach i dzieciach.

– Stała się udomowiona – przyznała z uśmiechem Ella, po czym szturchnęła mnie w ramię. – Jak ktoś inny, kogo znam.

Parsknąłem śmiechem.

– Gotowa na popołudnie?

– Tak – odparła, z entuzjazmem kiwając głową. – A ty?

– Zdenerwowany, zaszczyczony, szczęśliwy, pełen pokory dla odpowiedzialności, jaka wiąże się z tymi małymi ludźmi.

Spojrzała na mnie zmęczonymi, ale szczęśliwymi oczami.

– Tak mówi każdy świeżo upieczony ojciec.

– Tego akurat nie wiem.

– Ja również. Chyba będziemy musieli dowiedzieć się razem. Ciężko uwierzyć, że kiedyś tu mieszkaliśmy, teraz bardzo przywykliśmy do zajmowanego domku.

– Myślisz o powrocie tu, gdy będzie to bezpieczne dla Maisie?

– Naprawdę nie wiem. Lubię domek i prywatność, jaką zapewnia, wyznacza granicę pomiędzy życiem prywatnym a pracą. Mieszkając tutaj, cały czas tak jakbym czuwała. – Potarła czoło, po czym pociągnęła za kucyk.

– Dobrze się czujesz? To znaczy, nie bij mnie za męską głupotę, ale wyglądasz na wymęczoną.

Obróciła się, usiadła na parapecie.

– Bo jestem zmęczona. Może dzięki temu, że Maisie ma w tym miesiącu jedynie rezonans to mój umysł może odpocząć od tego szaleństwa, ale wszystko inne przybrało na sile.

– Co mogę zrobić?

– Adoptujesz moje dzieci, by moja córka nie umarła. Chyba wystarczy i więcej nie mogłabym sobie wymarzyć.

– Nie robię tego tylko dla Ryana – wyznałem, ale umilkłem, gdy otworzyły się drzwi i weszła zaczerwieniona Hailey.

– Conner Williamson właśnie zaprosił mnie na randkę! – wykrzyknęła.

– Niemożliwe! – Ella poderwała się z miejsca.

– Prawda? Podkochiwałam się w nim, odkąd? Od pierwszej klasy liceum? – Obróciła się pośrodku podłogi, rozkładając ręce. – Conner Williamson zaprosił mnie na randkę!

Ella się śmiała.

– Bardzo się cieszę!

Hailey podbiegła i ją uściskała.

– To jest to! Po prostu to wiem! Szaleńczo się we mnie zakocha, po czym się pobierzemy, będziemy mieć dzieci i będzie idealnie!

– Tak! – zgodziła się Ella.

Dostrzegłem skrzywienie na jej twarzy, jakby radość nagle przekształciła się w podszyty paniką smutek.

– Mogę jutro skończyć pracę godzinę wcześniej? – zapytała, łapiąc Ellę za ramiona.



– Oczywiście! – Posłała jej wymuszony uśmiech, w który mógłbym nawet uwierzyć, gdybym nie zauważył jej wcześniejszego grymasu.

– Dzięki! – Hailey ją uściskała i tańczyła przez całą drogę do drzwi, po czym wyszła.

– Ella – powiedziałem cicho, podchodząc do niej, by nie mogła mi uciec.

– Co? – Zbyła mnie, starając się znów uśmiechnąć, ale widziałem, że drży jej dolna warga.

– Co się dzieje? I nie mów, że nic. – Ostrożnie położyłem dłonie na jej ramionach.

Znów mnie zbyła.

– Nic mi nie jest.

– Ello, za pięć godzin będziemy mieć wspólne dzieci. I tak, rozumiem, że nie będę tak naprawdę ich tatą, bo chodzi nam jedynie o ubezpieczenie, ale nie sądzisz, że byłoby dobrze, gdybyśmy postawili na szczerłość między sobą? Na czasy pełne dobra, zła i wyczerpania?

– Ona tak bardzo się cieszy – odparła szeptem.

– No tak.

– A ja nie pamiętam, jak to jest być tak podekscytowaną. Jak to jest, gdy ktoś zaprasza na randkę. To znaczy, dla mnie minęło od tego czasu siedem lat. Siedem, Beckett. – Złapała mnie za bicepsy, pozostawiła półksiężycowate ślady po paznokciach na mojej skórze. – Jestem pewna, że błona dziewicza mi odrosła, bo tyle minęło już czasu.

– To chyba tak nie działa...

– Kocham swoje życie. Kocham Maisie, Colta i ten pensjonat. Jestem dumna ze swoich decyzji, wiesz? Jestem dumna! – pisnęła.

– Prawidłowo.

– Ale ostatnio myślę jedynie o Maisie. To znaczy, mamy lipiec, prawda? Od diagnozy minęło dziewięć miesięcy. Dziewięć. A ja zrobię wszystko, aby przeżyła...

– Na przykład, pozwolisz mi ją adoptować – wtrąciłem, sądząc, że mogę tym pomóc.

– No właśnie! Na przykład znajdę najseksowniejszego, najbardziej irytującego i uzależniającego mężczyznę na świecie, a potem zrobię z niego nie tylko przyjaciela, ale najlepszego przyjaciela mojego brata, następnie zmienię w tatusia, gdzie... rozumiesz, nadal będziesz nietykalny.

Ogarnęło mnie ciepło. Od katastrofy, która niemal wydarzyła się na kanapie, starałem się trzymać ręce przy sobie. Biegałem codziennie dziesięć kilometrów, brałem zimne prysznice, pływałem w jeziorze, robiłem wszystko, co tylko mogłem, aby trzymać ręce z dala od Elli, a ona kilkoma zdaniem potrafiła sprawić, że zacząłem balansować na granicy samokontroli. Minął prawie rok, odkąd ostatnio uprawiałem seks, a ciało przypominało mi w twardy, bolesny sposób, że jedyna kobieta, jakiej pragnąłem stała teraz przede mną, marudząc na temat tego, że byłem jej przyjacielem.

– Dobra, przestań. Nie zrobiłaś ze mnie przyjaciela, sam się w to wpakowałem. I w tatusiowanie również. To moja wina, nie twoja.

– W takim razie jesteś głupi! – krzyknęła, w jej oczach odmalowało się słodkie oburzenie. – To znaczy z tą przyjaźnią, nie byciem tatą.

– Jesteś urocza.

Zmrużyła oczy.

*Szlag, kiepski dobór słów.*

– Urocza? Ja jestem urocza? Nie, nie w tym tkwi problem. Od roku nie obcinałam włosów, a wiesz, jak się z tym czuję? I nie, nie chodzi o włosy, czy o moją próżność, ale o czas, Beckett. Czas potrzebny, by zainwestować w siebie jako kobietę, a przecież już nią nie jestem. Przestałam się malować, urządzać niedzielne kąpiele ze świecami, od diagnozy Maisie nie przespałam całej nocy, w dodatku od miesiąca noszę spodnie, bo nie miałam, kiedy ogolić nóg.

– Lubię cię w spodniach.

– Nie o to mi chodzi! Jest lipiec, Beckett! Lipiec, czyli czas na spodenki, wędrówki po górach, opaleniznę, na pocałunki w świetle księżyca. A ja chodzę w džinsach, nie doświadczam żadnych pocałunków, a nogi mam jak yeti.

– Wow to dość... obrazowe. – *Nie śmieję się. Nawet nie waż się zaśmiać.*

Dobra, jej paznokcie z pewnością zostawiały ślady.

– Nie jestem już kobietą. Jestem matką. Mamą, która nie może być niczym innym, bo jej dziecko być może nie przeżyje roku. – Powietrze uszło z niej jak z przebitego balonu. Puściła moje bicepsy i uderzyła głową o moją pierś. – Boże, ale jestem samolubna.

Objąłem ją i mocno przytuliłem.

– Wcale nie. Jesteś człowiekiem.

– Włosy nie mają znaczenia. Ani na mojej głowie, ani na nogach, skoro Maisie nie ma żadnych. Mówiłam ci, mamy miesiąc spokoju, a mój umysł zajmują jakieś bzdury – wymamrotała w moją pierś.

– To ma znaczenie, ponieważ ty je masz. Wiesz, to jak wtedy, gdy w samolocie każą założyć maseczkę tlenową najpierw sobie, a potem dziecku. To ta sama sytuacja. Jeśli najpierw założysz ją dziecku, to sama stracisz przytomność i już wcale mu nie pomożesz. Od czasu do czasu musisz zaczerpnąć tchu, Ella, bo się udusisz.

– Wszystko ze mną w porządku. Po prostu musiałam to z siebie wyrzucić.

– Zdaję sobie z tego sprawę i to zniosę.

Odsunęła się o centymetr i obdarzyła mnie diabelnie seksownym uśmiechem.

– No co? – zapytałem, niemal bojąc się jej odpowiedzi.

– Nic. Po prostu nie czuję, jakbyśmy byli przyjaciółmi. – Wzruszyła ramionami.

Szlag. Stał mi, a przyciągnąłem ją do siebie.

– Nigdy nie mówiłem, że cię nie pragnę, Ella. Właściwie jestem pewien, że powiedziałem coś zgoła przeciwnego. I nic się w tej kwestii nie zmieniło.

Wypuściła oddech i odgarnęła pasmo jasnych włosów, które wymknęło się z jej kuczka.

– Tak, ale to i tak nieważne. Włosy na nogach i tak dalej.

– Dobijasz mnie. – Wziąłem ją za rękę, obróciłem i pociągnąłem do wyjścia, następnie do biurka recepcji, przy którym Hailey wypełniała jakieś dokumenty.

– Hailey!

– Beckett – rzuciła z udawaną powagą.

– Zabierz Ellę do fryzjera. Załatw jej masaż lub kąpiel w wodorostach, czy co tam wy, dziewczyny lubicie robić. Pomalujcie sobie paznokcie u stóp, kupcie nowe ubrania. Macie pięć godzin, po czym musimy jechać do sądu. Dasz radę?

– Beckett... – sprzeciwiła się Ella.

– Przestań – nalegałem. – Dajesz mi dzieci. Pozwól, że ja dam ci kilka wolnych godzin. Później wyjdziemy. Zjemy w restauracji z prawdziwym menu i bez kredek na stole. Żadnych prawników, dzieci, tylko my. I poczujesz się piękna tak, jak ja zawsze cię widzę.

– Ella, jeśli zaraz nie rzucisz się na tego faceta, ja to zrobię! – oświadczyła Hailey.

Ella spiorunowała wzrokiem przyjaciółkę.

– Hailey musi pracować.

– Poradzę sobie z telefonami i gośćmi – zaproponowałem.

– Serio? – Ella ściągnęła usta na jedną stronę, zupełnie jak robiła to Maisie. – I nie zabijesz nikogo, kto cię wkurzy?

– Postaram się, żeby twoja firma nie ucierpiała. – Wyjąłem portfel, po czym wręczyłem Hailey swoją kartę kredytową. – Nie dawaj jej Elli, bo z niej nie skorzysta. Spraw proszę, by ponownie poczuła się jak kobieta.

– Ale fajnie! – Hailey dosłownie wyskoczyła zza biurka. – Wezmę torebkę i możemy jechać.

– A ja przypilnuję dzieciaki – wtrąciła Ada, słysząc naszą rozmowę. – Położę je spać. Zostańcie w tej restauracji tak długo, jak będziecie mieli ochotę – wykrzyczała, idąc tyłem do kuchni.

– Naprawdę chcesz to zrobić? – zapytała mnie Ella.

Boże, ależ była piękna. Ponownie wziąłem ją za rękę i wciągnąłem do wnęki w głównym holu.

– Jesteś oszałamiająca. Nie potrzebujesz makijażu. Odkąd cię poznałem, zawsze postrzegałem cię jako niesamowitą, niewiarygodnie piękną kobietę. Ale rozumiem, że nie czujesz się tak, jak ja cię widzę. Zatem tak, jestem pewien.

– Zawsze o mnie dbasz – szepnęła.

Pod wpływem impulsu przesunąłem kciukiem po jej miękkim, nieskazitelnym policzku.

– Taki jest plan. – Staliśmy tak blisko siebie, że w powietrzu między nami przeskakiwały iskry, a ja kochałem tę kobietę za bardzo, by się opanować. Zanim przyspilię ją do ściany i udowodnię, że błona dziewicza nie odrasta, musiałem się od niej odsunąć. – Zobaczymy się w sądzie o szesnastej trzydzieści – obiecałem. Uniosłem jej dłoń, obróciłem i pocałowałem w sam środek, mocno pragnąc, by były to jej usta.

Dech uwiązał jej w gardle, gdy zamknąłem jej rękę, aby zatrzymała pocałunek.

– Za co to?

– Na dowód, że nie obchodzą mnie twoje owłosione nogi. W dodatku już nie możesz mówić, że minęło siedem lat, odkąd ktoś cię pocałował.

Rozchyliła wargi i spojrzała na moje usta.

*Szlag!*

Nie wiem, czy pożądanie nawet zaczynało opisywać to, jak bardzo pragnąłem Elli. To raczej ciągły ból, który istniał jako moja normalność. Zanim zrobiłbym coś, czego bym później żałował, wyszedłem do pustego korytarza.

– Na pewno poradzisz sobie w recepcji?

Uśmiechnąłem się i puściłem do niej oko.

– Ogarnę to. – I naprawdę tak myślałem. Może Ella i dzieci były jedynymi osobami, z którymi czułem się związane, ale w ciągu ostatnich czterech miesięcy przeszedłem długą

drogę, aby wrócić na łono społeczeństwa.

Hailey wzięła oszołomioną Ellę za rękę i wyciągnęła z budynku.

Zapamiętałem, by częściej puszczać do niej oko.

## ROZDZIAŁ 18

ELLA

List #4

*Ello,*

*masz niesamowite dzieci. Poważnie. Śmiech chyba nie jest właściwą reakcją na tę historię, ale daj spokój. Dzieciak dostał nie tylko od Maisie, ale i od Colta. Wychowujesz parkę twardzieli. Przepraszam, ale to chyba jedyne odpowiednie słowo, by określić bliźnięta.*

*A jeśli chodzi o moje dzieci? Nie jestem pewien, czy los mi je da. Nie dlatego, że ich nie znoszę, szczerze to nawet je lubię. Są brutalnie szczerze, co zazwyczaj tracą, gdy dorastają. Jednak nic nie wiedziałbym o byciu ojcem, skoro żadnego nie miałem. Może to dobrze, bo nie poznałem też naprawdę złych ojców, jedyne moje doświadczenia z ojcostwem pochodzą z telewizji.*

*Nie chciałbym mieć własnych dzieci, bo za bardzo bym się bał, że coś schrzanię.*

*Jednak gdybym wiedział, co robię? Tak, dzieciaki byłyby świetne. Nigdy nie wyobrażałem sobie, że rzucam z kimś piłką do futbolu, ale zdecydowanie mógłbym coś takiego zobaczyć w swojej głowie. Szczerze mówiąc, nie myślę o czymś takim w swojej przyszłości. Kiedy masz marzenia lub plany, masz również coś do stracenia, a ja nie jestem fanem takich sytuacji. Nie twierdzę, że nie ma we mnie żadnej lekkomyślności, ale stać mnie na nią tylko w swoim przypadku i w chwilach, w których wszystko kontroluję.*

*Pragnienie czegoś, wpędza w kłopoty. Chęć posiadania czegoś może wywołać niezadowolenie, a ja muszę być wdzięczny za to, co mam. Dość młodo odrobiłem tę lekcję. Lubię myśleć, że jestem przez to lepszym człowiekiem, jednak czasami słyszę, jak twój brat mówi o Tobie i Twojej rodzinie, i zastanawiam się, czy brak pragnienia, by coś mieć, jest tak naprawdę formą tchórzostwa. Pod tym względem jesteś znacznie odważniejsza ode mnie. Potrafisz kochać innych, ryzykować sercem dla dzieci.*

*Szanuję to tak samo, jak Ci tego zazdrozczę.*

*Ponadto powiedz Maisie, że następnym razem, gdy ten chłopak się na nią rzuci, ma kopnąć go w jaja. Mali dręczyciele wyrastają na dużych oprawców.*

---

**P**uścił do mnie oko – powiedziałam do Hailey, przymierzając lawendową sukienkę. – Oko, rozumiesz?

Kochałam mężczyznę, z którym zaraz miałam podzielić się dziećmi, a on puścił do mnie oko. Byłam pewna, że znalazłam się po tym na skraju orgazmu. Kiedy to rzucił na mnie ten urok? I gdzie się podziewał ten czar przez ostatnie cztery miesiące?

Uwielbiałam zmyślnego Becketta, ale opiekuńczego i żartobliwego kochałam.

Jednak Beckett, który puszczał do mnie oko i całował w rękę? Tak, miałam szczęście, że nie wybuchnęłam i nie podpaliłam domu.

– Powiedziałaś mi o tym już z kilkanaście razy, odkąd wyjechałyśmy z Samotni. Kilka razy w salonie piękności, przynajmniej raz przy pedicurze i sześć czy siedem razy przy depilacji woskiem. Widziałaś tabliczkę, że tamte pomieszczenia przeznaczone są do cichego relaksu? Jestem pewna, że nie wpuszczą nas ponownie do tego spa. – Przeglądała coś na telefonie.

– Nieważne. Po prostu nigdy wcześniej nie widziałam go od tej strony. Był taki...

– Niezły z niego flirtiarz? – zagadnęła, unosząc wzrok. – O, podoba mi się ta sukienka. Ładnie podkreśla cycki.

Powiodłam palcami po dekolcie.

– To nie przesada?

– Nie. Jest seksowna w stylu retro. Wyglądasz jak kura domowa z lat pięćdziesiątych, która jest dość zabawna w sypialni.

Przewróciłam oczami, ale poruszyłam biodrami, aby rozkloszowana sukienka do kolan lekko zaszeleściła. Podobało mi się wiązanie na szyi, błyszczący, podkreślający talię pasek, a nawet głębszy dekolt. Przede wszystkim rozkoszowałam się tym, jak się czułam w tej sukience, bo wyglądałam jak miękka, krągła, świeżo wypielęgnowana kobieta.

– Chyba ją kupię.

– Beckett zwariuje. – Zeszła z podwyższenia w poczekalni i podeszła do wieszaków. – Tak, skończy na podłodze w sypialni.

– Na pewno. Mojej.

– Poważnie? – Hailey poruszyła biodrami i posłała mi wymowne spojrzenie.

– Boi się, że kiedy nasza relacja stanie się intensywniejsza niż to... co jest teraz między nami, coś się zepsuje i wpłynie to na dzieci, a sprawa z Ryanem... – Wzruszyłam ramionami.

– Więc wejdź nago do jego pokoju. Dzięki temu na pewno zmieni zdanie.

– Oszalałaś? Dlaczego miałabym to zrobić? Uprawiałam seks tylko z jednym facetem, Hailey. Jednym. I to było siedem lat temu. Prawdę mówiąc, nie do końca było mi dobrze.

– Bo zapewne nie wiedział, jak się za to zabrać.

Pokręciłam głową i palcami ze świeżym manicurem wygładziłam miękki, fioletowy materiał.

– To nie ma żadnego znaczenia. Nie interesuję Becketta w ten sposób i, szczerze mówiąc, nie powinnam nawet o tym mówić. Mam poważniejsze problemy.

Zeszłam z podwyższenia i weszłam do przebieralni, zostawiając Hailey na sklepie.

– Odkąd tu przyjechał, nie spał z nikim, wiedziałaś? – zapytała, przez drzwi.

– Co? Skąd ty możesz mieć o tym pojęcie? – Zdjęłam sukienkę i ostrożnie powiesiłam ją na wieszaku.

– Bo to małe miasto, ciućmo? Wszyscy paplają, a Beckett jest wart wszystkich tych plotek. Spekuluje się, że jest gejem, albo interesuje się kimś innym...

– Z całą pewnością mogę potwierdzić, że nie jest gejem. – Wcześniej czułam na sobie jego cudowne ciało, widziałam, jak napięły się jego mięśnie, gdy postanowił się odsunąć.

– No weź. Nie sypia z byle kim, bo chce ciebie. Wierz mi, gdybym zobaczyła, że można go dorwać, już bym to zrobiła. Jak to się stało, że do tej pory nie rzuciłaś się na niego...

– Bo mi odmówił! – Zarumieniłam się, wspominając naszą porażkę na kanapie. – Naprawdę mi odmówił. Jego lojalność w stosunku do Ryana przysłała wszystko inne.

– Ella?

– Co? – zapytałam, wkładając bluzkę.

– Nie zdjęłaś sukienki, prawda? Bo powinnaś spotkać się z nim w sądzie za jakieś dziesięć minut.

Wyjęłam telefon i przeciągnęłam palcem po ekranie, aby sprawdzić godzinę.

– Cholera – mruknęłam.

– Wkładaj. – Wrzuciła mi do kabiny czarne szpilki i srebrną narzutkę. – Streszczaj się, jeśli nie chcesz wystąpić w sądzie nago. I chociaż według mnie to pomogłoby w kwestii seksu, sądzę, że mogłoby kolidować z adopcją dzieci.

Pospiesznie się ubrałam i wyszłam z przymierzalni.

– Obróć się – poleciła mi Hailey, po czym, gdy spełniłam polecenie, oderwała metkę od sukienki i przytrzymała ją przy innych oraz pudełku po butach. – Idziemy!

Podeszłam do kasy z naręczem moich ubrań.

– Wszystko ma na sobie. – Hailey rzuciła metki i pudełko na ladę.

Nastolatek spojrzął na mnie i się uśmiechnął.

– Właśnie widzę.

– Ale nie na długo – dodała Hailey i puściła do niego oko.

*Poważnie, o co chodziło dziś z tymi flirciarskimi gestami?*

Zapłaciła kartą Becketta, a mnie dopadły te same wyrzuty sumienia co w salonie piękności. Jednak nie miałam czasu, aby się na tym skupiać, bo spieszyłyśmy się do sądu.

Beckett stał przed drzwiami w skrojonym na miarę garniturze i z wystylizowaną w seksowny nieład fryzurą. Kiedy mnie zauważył, uśmiechnął się powoli i szeroko, przesuwając wzrokiem od moich pomalowanych paznokci u stóp do miękkich blond loków, które opadały teraz aż do piersi. W końcu spojrzął mi w oczy i przełknął ślinę.

– Wow.

– Szesnasta trzydzieści jeden i jest cała twoja! – zadeklarowała Hailey, oddając Beckettowi kartę.

– Dzięki, Hailey. – Wsadził kartę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Co powiesz, Ello MacKenzie? Chcesz zrobić ze mnie tatę? – Podał mi łokieć, a moje serce zatrzępotało, jakby składało się z tysięcy motyli, które zamieszkały w moim ciele.

– Zdecydowanie możesz zachować ten tekst na później – szepnęła Hailey, przechodząc. Posłałam jej gniewne spojrzenie i wróciłam uwagą do Becketta.

Zapomniałam o przyjaciółce i wzięłam go pod rękę.

Pachniał niesamowicie, gdy otworzył przede mną drzwi, a ja się przysunęłam, by mocniej się zaciągnąć. Wydawało się, że facet ocierał się o świeżo wyprawioną skórę, wiatr i inne smakowite rzeczy. Cokolwiek to było, naprawdę mu służyło.

Przeszliśmy przez hol, a ja zatrzymałam się przed szerokimi schodami.

– Co jest? – zapytał łagodnie.

– Kiedy po raz ostatni byłam w sądzie, wyszłam stąd jako żona Jeffa. I choć podjęłam wtedy złą decyzję, wcale jej nie żałuję, bo dzięki niej mam bliźnięta. Zaprowadziła mnie do tej chwili. Do ciebie.

Mocniej ścisnął moją dłoń i spojrzał na moje usta.

*Pocałuj mnie.*

– Tutaj jesteście! – zawołał Mark ze szczytu schodów. – Zaczynamy, dobrze?

– Możemy iść? – zapytał cichym, ochrypłym głosem Beckett.

– Tak. Chodźmy.

Pół godziny później wyszliśmy z sądu z dokumentem stwierdzającym, że od tej pory Beckett jest ojcem Maisie i Colta.

Wiedziałam, że zrobiliśmy to, aby ochronić córkę, dać jej najlepszą szansę na pokonanie straszliwej choroby, ale w chwili, w której oboje podpisaliśmy dokumenty, wydało się to czymś więcej niż transakcją biznesową.

W mojej piersi rozpałił się mały, aczkolwiek niezaprzeczalny płomyk nadziei, że cała sprawa nie zostanie na papierze, a staniemy się prawdziwą rodziną.

Moje dzieci należały w tej chwili również do Becketta.

A ja byłam w nim po uszy zakochana.

\* \* \*

– Nienawidzę go! – przyrzekłam, cztery godziny później trzaskając drzwiami. Reflektory samochodu Becketta znikły w mroku, gdy wrócił do swojego domku.

– Kogo? – zapytała Ada, wychodząc z kuchni.

– Domyślam się, że Becketta – oznajmił Larry, siedząc na podłodze w przedpokoju, gdzie naprawiał domek dla lalek Maisie.

– Tak, Becketta! – warknęłam. – Och, dzięki, Larry. Naprawdę jestem wdzięczna.

– Czy adopcja nie poszła tak, jak to planowaliście? – dopytywała cicho Ada, prowadząc mnie do gabinetu.

– Nie, wszystko poszło dobrze. Cały wieczór był idealny! Zabrał mnie na kolację, zamówił wino, zabrał mnie gondolą do Village na jeden z tych terenowych koncertów i ze mną tańczył! A potem przywiózł mnie do domu, odprowadził do drzwi i mnie uściskał. Uściskał mnie na dobranoc!

Zmartwienie zniknęło z jej twarzy, gdy westchnęła i się uśmiechnęła.

– Och, Ello. Zakochałaś się w nim, prawda?

– Uściskał mnie!



– Nie, żebym cię winiła. To dobry człowiek, naprawdę. Niesamowicie dogaduje się z dziećmi, jest dobry, godny zaufania i naprawdę nieźle wygląda. Do tego ma kompleks rycerza, więc było pewne, że się w nim zakochasz. – Wzięła mnie za rękę.

– Uściskał mnie – szepnęłam.

– I co zamierzasz z tym zrobić?

– Nic. Dał jasno do zrozumienia, że nic więcej nie wchodzi w grę, za co nie mogę go winić. Wiecie, że dźwigam pokaźny bagaż. Mam dwoje dzieci, jedno z nich poważnie chore, zadłużoną firmę i ogromne problemy z zaufaniem. Nie jestem kimś, kogo by szukał ktoś taki jak on.

– A jaki on właściwie jest?

– Dość doskonały.

Ada westchnęła i puściła moje ręce.

– Dobra, cóż, możesz tu zostać i się dąsać, ale na wypadek, gdybyś chciała zachowywać się stosownie do wieku i zrobić coś spontanicznego, zajęliśmy z Larrym pokój gościnny. Zostajemy na noc. Całą. Do rana. Wiesz, tak na wszelki wypadek.

– Zachowuję się stosownie do wieku.

– Och, kochana, nie i nigdy się nie zachowywałaś. Nie jesteś starą panną z problemami. Masz dwadzieścia pięć lat. Zatem tak, idę się położyć.

Stałam w gabinecie, nie chcąc się ruszyć, ale również niegotowa, aby zdjąć szpilki, bo byłoby to jak przyznanie się do porażki.

„DASZ RADE”.

Wpatrywałam się w słowa Chaosa, bawiłam się nimi w myślach. Miał rację, dawałam radę i miałam dość bycia bierną uczestniczką tego, cokolwiek było między mną a Beckettem.

Spojrzałam na ręcznie wypisane świadectwo Maisie, które stworzył Beckett. Dlaczego wszyscy żołnierze pisali gorzej niż lekarze? Również pisał jak kura pazurem, a to o czymś świadczyło.

Utraciłam Chaosa, nim zdołałam podzielić się z nim moimi uczuciami, więc nie zamierałam popełnić tego samego błędu z Beckettem.

Wyszłam z gabinetu, zgarnęłam leżące na stole klucze i wyszłam. Mogłabym usłyszeć, że z okna pokoju gościnnego słyszałam „Tak, dziewczyno”, gdy wsiadałam do auta, ale kiedy na nie spojrzałam, w pokoju panował mrok.

– Dasz radę – mamrotałam pod nosem przez całą drogę do domku Becketta. Paliło się w nim światło, więc przynajmniej go nie obudzę. Zaparkowałam, po czym przełknęłam ślinę, gdy szłam po schodkach, a moje ciało usztywniła panika.

*Puk, puk, puk.*

Przyłożyłam knykcie do drzwi, nim zdołałabym stchórzyć, ale kiedy czekałam, aby otworzył, wokół mojego serca zrodziły się obawy.

– Ella? – Uchylił drzwi, po czym szeroko je rozwarł. Wciąż miał na sobie garnitur, ale rozluźnił krawat i rozpiął górny guzik koszuli, odsłaniając skórę, którą nagle zapragnęłam pocałować. – Wszystko w porządku? Coś się stało z Maisie?

– Nie – odparłam, jednocześnie wkurzona i zachwycona, bo najpierw pomyślał o niej.

– To dobrze. Co się dzieje? Wejdz. – Odsunął się na bok, więc weszłam i przemierzyłam korytarz. Wcześniej domek wydawał się zimny i bezosobowy, a teraz w różnych miejscach

wisiały rysunki moich dzieci. Zatrzymałam wzrok na tych na lodówce. Zmienił schludny, uporządkowany dom i przestał skupiać się na nieskazitelnej czystości. Głupie, ale te obrazki ukoili nieco moje obawy, że pewnego dnia Beckett stąd zniknie.

– Napijesz się czegoś? – zapytał powoli.

– Nie. – Obróciłam się i zobaczyłam, że opiera się o blat. Zdjął marynarkę. – Zabrałeś mnie na randkę.

– Tak. – Posłał mi seksowny uśmiech, rozpinając mankiety koszuli, a ja zapragnęłam go kopnąć.

– Zabrałeś mnie na randkę, kolację, tańce, romantyczny spacer. Potem odprowadziłeś mnie do drzwi i mnie uściskałeś. Jakbym była twoją siostrą. – Podeszłam i zmienił się wyraz jego twarzy. W jego oczach pojawił się przeblysłk głodu, nim Beckett zdołał nad sobą zapanować.

– Tak. Winny wszystkich zarzucanych czynów.

– Nie jestem twoją siostrą, Beckett.

– Zauważyłem. – Odetchnął głęboko, chwycił za brzeg blatu, aż pobieleły mu knykie.

Zarumieniłam się i niemal jęknęłam, gdy położyłam palce na jego piersi i wyczułam pod nimi twarde mięśnie.

– Cóż, może przez ostatnie siedem lat randki uległy jakimś drastycznym zmianom, ale z mojego nikłego doświadczenia wiem, że kończyły się pocałunkiem. – Stałam na palcach i zatrzymałam usta tuż przed jego wargami.

– Ello – wypowiedział moje imię błagalnie, ale o co prosił? Abyśmy dali sobie to, czego oboje chcieliśmy? Żebym się odsunęła i dała mu spać z tym jego honorem?

– Powiedz, czego pragniesz, bo ja chcę cię pocałować. Nawet jeśli ten jeden raz. – Przysunęłam się i musnęłam jego usta. Jak mężczyzna o tak twardym ciele mógł mieć tak miękkie wargi?

Spiął się każdy jego mięsień. Przyspieszyło bijące pod moimi palcami serce.

Ośmieliłam się jednak i pocałowałam go delikatnie, skupiając się na dolnej wardze. Cofnęłam się na tyle, aby spojrzeć mu w oczy. Być może cała jego sylwetka była posągowa, ale oczy mówiły wszystko, czego sam nie powiedział i dostrzegłam, że dosłownie sekundy dzieliły go od...

Przywarł do moich ust, całkowicie ożywając. Palce jednej ręki wsunął w moje włosy, drugą objął mnie w talii i przytulił do siebie.

Rozchyliłam wargi, więc wsunął język, po czym pochłaniał i badał moje usta. Wymknął mi się jęk. Wsunęłam palce w jego włosy i ciągnęłam lekko krótkie pasma.

Zacząłam go całować, jak marzyłam o tym od miesięcy.

Nasze języki się splatały, pocałunek był słodki jak wino, które piliśmy po tańcu i równie odurzający. Ssał mój język, a ja ocierałam się o niego, pieszcząc go. Dobry Boże, facet wiedział, co robi.

Cały mój świat skurczył się do tego pocałunku oraz rąk Becketta wokół mnie.

Zmienił tempo, delikatnie ssał moją dolną wargę, nim przechylił moją głowę, aby całować głębiej, aż poczułam jedynie rozkosz. Moimi żyłami płynął żar, przywracając mnie do życia, a w kończynach, którym po czasie uśpienia przywrócono czucie, pojawiło się euforyczne mrowienie.

– Boże, Ella – jęknął i pociągnął mnie lekko za włosy.

– Tak – nalegałam, gotowa na konsekwencje. Pochylił się, złapał mnie za pośladki i obrócił się, aby posadzić mnie na blacie. Obiema rękami objął moją głowę i całował, aż nie mogłam sobie przypomnieć, jak się nazywam, a wiedziałam jedynie, że należę do niego.

Powiodłam palcami po jego szyi, aż dotarłam do krawata i zacisnęłam je na poluzowanym węźle.

– Mógłbym całować cię w nieskończoność – szepnął przy moich ustach.

– Nie mam nic przeciwko temu.

Uśmiechnął się i mimowolnie odpowiedziałam w ten sam sposób. Wszystko wydawało mi się tak niewiarygodnie właściwe. Odgarnął kosmyk włosów z mojej twarzy z czułością, która sprawiła, że serce mi urosło, jakby chciało zbliżyć się do tego mężczyzny. Kochałam go. Już sama ta myśl zrodziła rozkosz, aż stałam się spragniona i niespokojna.

Na siedem lat stłumiłam cały swój popęd seksualny, ale ożywał, gdy Beckett naciskał odpowiednie przełączniki.

Ponownie mnie pocałował i objął, a kiedy pociągnął mnie na skraj blatu, rozchyliłam uda, abyśmy zetknęli się od ust, przez torsy aż po biodra. Pocałunek stał się wymagający. Wyczuwało się w nim desperację, która mogła powstać jedynie z powodu żądzy, jaką oboje tłumiliśmy w sobie przez ostatnie kilka miesięcy.

Przeklinałam warstwy materiału między nami, żalując, że nie wybrałam krótszej, mniej rozkloszowanej sukienki. Beckett przerwał pocałunek, a ja sapnęłam. Wciągnęłam tak niezbędne powietrze, gdy zaczął całować mnie po szyi. *Cholera...*

– Beckett – pisnęłam, odchylając głowę, dając mu dostęp do wszystkiego, co tylko chciał pieścić. Wszystko należało do niego.

Jedną ręką podtrzymywał mnie na plecach, drugą rozpiął jedyny guzik mojej narzutki, nie przestając delektować się moją szyją. Ssał skórę, całował otwartymi ustami, przeszedł na obojczyk i na mój dekolt.

Zrzuciłam szpilki, które wylądowały na posadzce i objęłam go nogami, jednocześnie przyciągając go bliżej.

Wydobyłam tym kolejny jęk z jego ust. Odchyliłam się, położyłam dłonie na chłodnym granicie, który klócił się z moją rozpaloną skórą. Beckett przesunął palcami po bokach moich piersi, aż do talii, a potem do nakrytych materiałem sukienki ud. Wreszcie odnalazł nagą skórę kolan.

Nigdy wcześniej nie cieszyłam się tak bardzo, że nie włożyłam rajstop.

Wsunął silne dłonie pod sukienkę, przesunął szorstkimi palcami po bokach moich ud. Dotykał delikatnie, po czym ścisnął mnie przy pachwinach. Dopadła mnie szalona chęć, by poprosić, aby zrobił to jeszcze mocniej, by zostawił ślady, które jutro dowiodłyby tego, co tu się wydarzyło. Udowodniły, że to jednak nie był sen.

Całował mnie w rytmie, który sprawił, że wysunęłam biodra w jego stronę, pragnąc, by ruszył rękami. Nigdy nie całowano mnie z taką pilnością czy dbałością, nigdy nie czułam, że w moich żyłach płynie ogień. Czułam, że to całkowite, pełne rozkoszy szaleństwo.

Przesunął palce po wewnętrznej stronie ud, aż dotarł do krawędzi majtek, a ja poczułam tę pieśczołą dosłownie wszędzie – w brzuchu i nawet w piersiach. Prosty gest sprawił, że serce gwałtownie mi przyspieszyło.

– Więcej – błagałam, zaciskając uda na jego rękach, aby złagodzić pulsowanie, nawet jeśli tylko odrobinę.

Puścił moje nogi, jakbym go ugryzła i się odsunął. Szok spowodował, że rozluźniłam nogi.

– Ej, to przeciwieństwo „więcej” – burknęłam, zdyszana.

Oparł się o przeciwległy blat, jego pierś unosiła się w podobnych do moich szybkich oddechach. Przynajmniej nie tylko na mnie podziałał ten pocałunek. Beckett wyglądał na udęconego i nieco wkurzonego, gdy jeszcze bardziej rozluźnił krawat.

Cholera, ależ był seksowny.

Zamknął oczy i złapał się za włosy. Przedstawiał obraz podnieconego mężczyzny, który nie potrafił się opanować, a ja może byłam wredna, bo podobało mi się, że to przeze mnie się tak czuł.

– Beckett.

– Nie. – Pokręcił gwałtownie głową i otworzył oczy. Omiótł wzrokiem moje ciało i sukienkę, która ledwie zakrywała wciąż rozchylone uda. Wystarczyło, aby rozpaścić we mnie kolejną falę pożądania. – Nie tak.

Zrodził się we mnie strach. Czy pocałunek nie był dla niego tak samo wspaniały jak dla mnie?

– Wolisz czekać kolejne cztery miesiące, by się pieścić? Bo to my, Beckett. Zawsze będę siostrą Ryana. Zawsze będę cię pragnąć, a jeśli sposób, w jaki mnie pocałowałeś miałby być jakąś wskazówką, pragniesz mnie tak samo mocno.

– Zawsze wiedziałem, że tak będzie między nami. Od chwili, w której cię zobaczyłem, wiedziałem, że kiedy moje dłonie... – Przygryzł na chwilę wargę, po czym złapał się blatu.

– Co, twoje dłonie? – dopytywałam, siadając prosto, by dać odpocząć rękom.

– Wiedziałem, że w chwili, w której moje dłonie znajdą się na twoim ciele, będzie potrzeba cudu, aby do mojej głowy powróciły racjonalne myśli. Dotykanie ciebie... Boże, Ella, gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo cię pragnę, nie siedziałabyś na blacie, patrząc na mnie w ten sposób.

– Może wiem. – Przeciągnęłam językiem po dolnej wardze. – Może czuję się dokładnie tak samo. A racjonalne myśli są przereklamowane.

– Zastanów się.

– Dlaczego? Może choć raz chcę postawić na lekkomyślność. Może podoba mi się to, że wyrzucasz z mojej głowy wszystkie racjonalne myśli. Może to właśnie tego potrzebuję. Ciebie.

– Ucisk między nogami sprawił, że poruszyłam miednicą. Nigdy nie szukałam seksu i nie kończył się on wielkimi fajerwerkami, ale też nie pamiętałam, aby zaczynał się od tak wielkiej, niezaspokojonej potrzeby.

– Naprawdę się staram.

*Chyba nadwyrężyć moją cierpliwość.*

Odrzucenie zabolalo. Złączyłam kolana i drżącymi palcami zapięłam narzutkę.

– Nie rozumiem. Mówię, że chcę, byś mnie pocałował, a ty odskakujesz na drugi koniec kanapy. Golę nogi i wkładam sukienkę, a ty mnie ściskasz na dobranoc. Rzucam się na ciebie, a ty całujesz, jakbym była ostatnią kobietą na ziemi, po czym stajesz po drugiej stronie kuchni. Beckett, nie zdołam jaśniej wyartykułować moich pragnień i nie będę za tobą biegać.

Jeśli pragniesz mnie fizycznie, ale nie chcesz ze mną być, to mi powiedz, bo mam dość tego, że odmawiasz mi, jakby coś było ze mną nie tak.

Miał czelność wyglądać na zranionego, jakby to jego wieczne odsuwanie się ode mnie sprawiało mu więcej bólu niż mi. Jakbym to nie ja nieustannie próbowała wyrzucić naszą relację ze strefy przyjaźni.

– Postrzegasz mnie jako siostrę? O to chodzi?

– Do cholery, nie! – Westchnął. – A teraz zakląłem przy tobie po raz drugi.

– Naprawdę mi to nie przeszkadza. Mógłbyś mówić o pieprzeniu, gdybyś tylko był tym zainteresowany. – Położyłam dłonie na blacie i z niego zeskoczyłam. Znalazłam buty wraz ze swoją godnością, zamierzając zaciągnąć swój seksualnie sfrustrowany tyłek do domu.

– Spójrz na mnie – powiedział ochryple, co tak bardzo uwielbiałam.

Uniosłam wzrok, pragnąc zrozumieć, o czym, do cholery, myślał. Co powstrzymało go przed tym, by wziąć to, czego według mnie – a przynajmniej taką miałam nadzieję – pragnął.

– O czym myślisz? – nie wytrzymałam i zapytałam.

– Liczę, ile lampek wina wypijaś. Dwie przy kolacji. Jedną na koncercie, a minęło, ile? Pięć godzin? – Zmrużył oczy.

– Nie jestem pijana, jeśli to właśnie sugerujesz! Jakbym potrzebowała alkoholu jako wymówki...

– O nie – przerwał mi, ścisząc głos. – Nie kwestionuję ciebie, ale siebie, nim zadam ci kolejne pytanie, byś odpowiadając, nie była podpita.

Zwilżyłam językiem nagle spierzchnięte wargi.

– Okej.

– Pragniesz mnie, Ello?

– Chyba dość jasno dałam to do zrozumienia.

Pokręcił głową.

– Nie. Nie pytam, czy chcesz iść ze mną do łóżka. Czy mnie pragniesz. Bo stoję tu, starając się trzymać ręce na blacie, by nie wcisnąć ci ich pod kieckę.

Rozchyliłam wargi zbyt ciężkie, by je zamknąć.

– Bo wiem, że kiedy zacznę pieścić tę miękką skórę, nie ma mowy, bym zdołał bez ciebie oddychać i cię nie wziąć, nie wejść w ciebie, jak od dawna o tym fantazjowałam – wyjaśnił, jakby chciał, bym wiedziała, czego dokładnie pragnął, w razie gdybym do tej pory się nie domyśliła.

Pragnęłam tego samego... potrzebowałam bardziej niż oddechu, o którym wspominał.

– Ale kiedy do tego dojdzie, wszystko się między nami zmieni, Ella. Powiedz mi więc, czego ode mnie chcesz albo wyjdź, nim stanie się coś, na co nie jesteś gotowa.

Nie pamiętałam, bym kiedykolwiek w życiu była tak gotowa.

– Ja... – Rozpięłam guzik narzutki. – Chcę... – Zsunęłam ją z ramiona. – Ciebie. – Upuściłam ją na podłogę.

– Ella. – Odsunął się od blatu.

– Tu i teraz – dodałam, rozpinając sukienkę na karku, w razie, gdyby potrzebował potwierdzenia. Do licha, w tej chwili mogłam nawet błagać. Materiał opadł na boki, zatrzymując się na piersiach.

– Dzięki Bogu. – Nie trudził się rozpinaniem koszuli. Po prostu złapał ją z tyłu i zdjął przez głowę w ten niesamowicie seksowny sposób, w jaki robili to tylko faceci. Jednak Beckettowi udało się to wykonać ze sto razy bardziej seksownie, gdy odsłonił nagi tors ze wszystkimi tymi poruszającymi się mięśniami i przeznaczoną do całowania skórą. *Z pewnością będę miała orgazm od samego patrzenia.* Nie żeby miało to kiedykolwiek miejsce bez pomocy zasilanego bateriami asystenta, ale jeśli w ogóle miało to być możliwe, to właśnie teraz.

– Jesteś taki... – Wskazałam na niego. – A to wszystko... Brak mi słów.

– I dobrze – oznajmił, upuszczając koszulkę na podłogę. – Bo wykorzystam te twoje usteczka do innych celów niż mówienie. – Zbliżył się do mnie w dwóch krokach, złapał za kolana i rozchylił mi nogi. Następnie spełnił obietnicę, wsadził mi ręce pod sukienkę, złapał za uda i przyciągnął mnie do siebie.

Wzięłam go za szyję, gdy zaczął mnie całować. Pieszczota była głęboka, silna, pierwotna. Pustoszył moje usta, jakby chciał pojąć mnie całą. Beckett, który się nie hamował, całował z dużo mniejszą finezją, a większą pilnością. Odpowiedziało na to całe moje ciało, piersi stały się ciężkie, a ciepło ogarnęło skórę.

Dyszałam przy jego ustach, gdy wsunął kciuk pod materiał moich majtek. Podrapałam go lekko po głowie, gdy rozchylił moje fałdki i musnął łechtaczkę.

– Beckett – błagałam, odruchowo wypychając ku niemu biodra.

– Trzymam cię – obiecał, następnie pocałował mnie powoli, bawiąc się moim językiem, kciukiem gładząc okrężnie i naciskając, czym zmieniło żar w moim brzuchu w coraz bardziej zaciskający się węzeł.

Poruszałam się niespokojnie, pragnęłam poczuć jego skórę na mojej, a jednocześnie nie chciałam, aby odrywał ode mnie ręce. Jakby wyczuł, o czym myślę, wolną dłońią przesunął po mojej talii aż na plecy i rozpiął suwak w mojej sukience.

Tkanina nieco opadła, odsłaniając biustonosz bez ramiączek. Wygięłam się ku niemu, na co mocniej przycisnął palec do mojej łechtaczki, wzniecając rozkosz jednocześnie intensywną i słodką.

Zatrzymał kciuk, wykonał jakąś magiczną sztuczkę za moimi plecami, czym rozpiął stanik, który opadł mi na kolana i odsłonił piersi. Beckett przerwał pocałunek, spojrzał na mnie z szacunkiem, po czym objął pierś i przesunął kciukiem po twardym sutku.

– Idealna – powiedział, nim pochylił głowę i wziął go do ust. W tym samym czasie wznowił ruchy kciuka, więc ponownie wygięłam plecy i jęknęłam głośno.

To było takie cudowne.

Opuściłam ręce do tyłu, aby się podtrzymać, otwierając się na jego usta i dłonie. Napięcie wzrastało w moim wnętrzu do niemożliwie wysokiego poziomu, mięśnie napięły się, gotowe do tego, co, jak miałam nadzieję, miało być moim pierwszym...

– Beckett! – krzyknęłam, gdy nacisnął na moją łechtaczkę, przez co cała rozplątałam się z rozkoszy, gdy ogarnął mnie orgazm tak silnymi falami, że chyba przechyliła się cała oś mojego świata.

Całował mnie delikatnie, aż odzyskałam na tyle sił, aby otworzyć oczy. Zobaczyłam, że mi się przygląda z całkowitym uwielbieniem na twarzy.

– Mógłbym obserwować cię w milionie takich sytuacji, a mimo to i tak pragnąłbym więcej.

– To było... – O co chodziło z tym facetem, przy którym umykały mi wszystkie słowa i zmieniałam się w bełkoczącą kretynkę? – Dobra robota.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Dobra robota?

Boże, właśnie przybiłam werbalną piątkę z tym facetem.

– No tak. Nigdy... bez... cóż... z kimś.

Wytrzeszczył oczy, gdy zrozumiał.

– Można jeszcze o wiele więcej.

– Tak, taki jest plan. – Pocałowałam go, głaszcząc go po plecach, nim zdołałabym powiedzieć coś jeszcze bardziej niedorzecznego. Jego skóra była ciepła, jędrna, miękka. Kiedy dotarłam do jego pasa, przesunęłam palcami w górę i w dół, delektując się napiętym brzuchem, a Beckett dyszał pomiędzy pocałunkami.

Rozpięłam suwak w spodniach i odważyłam się wziąć do ręki jego członek i lekko zacisnąć palce. Był twardy jak granit, długi, gruby i przypominał resztę doskonałego ciała Becketta, którego oddech świszczą teraz między zaciśniętymi zębami.

– Ella...

Popatrzyłam na niego, pozwalając mu dostrzec moje ogromne pożądanie. Nas. Wszystko.

Zamiast mnie powstrzymać, lekko skinął głową i zamknął na chwilę oczy, gdy przesuwalam w górę i w dół jego penisa.

– Boże, kochanie – szepnął.

Dał mi jeszcze chwilę na pieszczoty, po czym odsunął moją rękę i położył ją na blacie. Zanim zaczęłam narzekać, z tylnej kieszeni wyjął portfel i położył go obok mnie.

Następnie – dzięki ci, świecie – rozpiął spodnie, zdjął buty i rozebrał się tak szybko, że mogłam jedynie patrzeć z uznaniem.

Ten mężczyzna był perfekcyjny i mogłam całego go dotykać.

Ślinka napłynęła mi do ust, gdy powiodłam palcami po jego mięśniach piersiowych, brzuchu, niespiesznie głaszcząc wyżyny i niziny na jego skórze. Nie miał sportowej sylwetki, ale była dobrze zbudowana, mięśnie pozostawały widoczne.

Zbliżył się, stanął między moimi udami i całował, aż przestałam myśleć o czymkolwiek prócz jego ust, ciepłej skórze, rytmicznym oddechu. Podniósł mnie nieco, by odsunąć sukienkę, więc mój tyłek znalazł się na granicy. Beckett zdjął mi ciuch przez głowę, pozostawiając jedynie w niebieskich, jedwabnych majtkach.

Spojrzał mi w oczy, wcisnął kciuki pod gumkę i zsunął mi materiał z nóg. Nie pozostawiając czasu na wstyd, ponownie całował, tuląc się do mnie. Kontakt nagich skór był cudowny, więc dłonie natychmiast zaczęły wędrować – badając, odkrywając się nawzajem.

Kiedy wsunął palce pomiędzy moje uda, do podbrzusza powrócił znajomy ucisk, pojawiło się pulsowanie.

– Tak pięknie wilgotna – powiedział pomiędzy pocałunkami.

Wsunął we mnie palec, a ja niemal spadłam z blatu.

– Niesamowite. – Kołysałam biodrami przy jego dłoni, więc dodał kolejny palec, a moje wnętrze coraz bardziej pulsowało.

Wolną ręką otworzył portfel, wyjął opakowanie.

– Idziemy na górę? – zapytał.

– Nie. Tu, teraz. Dość czekania. – Oszołomiona miarowymi ruchami jego palców, chwyciłam prezerwatywę i rozerwałam opakowanie. Ręce mi się trzęsły, gdy przyłożyłam ją do jego żołądź. Miałam rację, gdy myślałam, że był idealny.

– Nie wiem... O Boże, Beckett! – Dodał trzeci palec, gdy kciukiem zataczał kółka na mojej czulej lechtacze.

– Pomóc?

– Tak. Nie mam doświadczenia z... – jęknęłam, podkurczając palce u stóp, gdy znalazł to cudowne miejsce, dzięki któremu moje biodra zaczęły samoistnie się poruszać, ujeżdżając jego rękę. – Tym. Zaszłam w ciążę w wieku osiemnastu lat, pamiętasz?

Przywarł do moich ust i powoli nakierował moje palce, abym nasunęła kondom.

– To może być najbardziej erotyczna rzecz, jaką w życiu robiłem – szepnął.

– W moim przypadku to samo. Sprawiasz, że wszystko jest lepsze.

Pocałował mnie długo i namiętnie, kończąc pieszczotę lekkim skubnięciem mojej dolnej wargi zębami. Wyjął ze mnie palce, a ja lekko się spięłam, gdy ustawił swoje biodra przy moich.

– Zdenerwowana? – zapytał, całując szyję pod uchem.

– Troszkę. Minęło siedem lat, odkąd to robiłam.

Objął moją twarz i pocałował mnie czule.

– Jestem pewien, że to nadal działa tak samo.

Uśmiechnęłam się i natychmiast odprężyłam, gdy ponownie mnie pocałował.

– Nie martw się, trzymam cię – powtórzył, a moje nerwy odeszły w niepamięć.

Jakby nie stał pomiędzy moimi udami, nie całował niespiesznie, a chwilę później nie wziął mnie za łydki i nie zaplótł moich nóg wokół siebie. Rozkoszowałam się kontrastem jego twardego ciała przy moim miękkim. Gładził moją skórę, ponownie wzniecając ogień, który stał się gorętszy niż kiedykolwiek wcześniej.

Kiedy znów kołysałam biodrami przy jego palcach, oparł czoło o moje, a gdy poczułam pulsowanie, złapałam go za miednicę i zaraz poczułam żołądź przy fałdkach.

– Proszę – powiedziałam, boleśnie go pragnąc.

Jedną ręką trzymając mnie za biodro, drugą złapał mnie za głowę, przez co znaleźliśmy się tak blisko, że mieszały się nasze oddechy, ale mnie nie pocałował. Po prostu patrzył mi w oczy, gdy powoli we mnie wchodził.

Jęknęłam cicho, gdy wszedł tak głęboko, że poczułam go w całym ciele, jakby naznaczał mi duszę.

– Ella – jęknął. – Boże, jesteś dla mnie wszystkim.

Wsunął dłoń pod mój pośladek i przesunął na krawędź blatu, następnie zaczął poruszać się w stałym, pewnym rytmie. Nasze ciała współgrały ze sobą, jakbyśmy kochali się ze sobą od lat, a nie od kilku sekund, jakby był jedynym mężczyzną, dla którego zostałam stworzona.

Objęłam go, trzymałam palce na jego głowie, gdy z każdym ruchem zabierał mnie wyżej i wyżej. W moim podbrzuszu kumulowało się napięcie, a skórę zrosił pot.

Beckett nie zmienił tempa tylko wbijał się we mnie raz po raz, jakby miało to trwać w nieskończoność, jakby nie istniał cel inny niż rozkoszowanie się tą chwilą. W tym momencie nie chciałam być nigdzie indziej niż tutaj – w ramionach ukochanego.



Mięśnie napięły się, łaknąc uwolnienia, a Beckett mnie pocałował, jednocześnie wsunął między nas palce i zaczął gładzić moją łechtaczkę. Krzyknęłam, gdy dopadł mnie najmocniejszy orgazm w życiu. Jęczałam w usta Becketta, który karmił się moją przyjemnością, jakby dla niego akt był również czymś więcej niż seksem.

Trzymałam się go mocno, emocje przejęły władzę nad rozsądkiem.

– Kocham cię. – Słowa wypłynęły z moich ust bez wstępu czy namysłu.

Zamarł, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami, następnie pocałował mnie głęboko i wchodził we mnie dziko, wypadając z rytmu. Spiał się pod moimi dłońmi, po czym osiągnął spełnienie, wtulając twarz w moją szyję, wypowiadając moje imię.

Zanim zrobiło mi się niezręcznie, uniósł głowę, chwycił mnie za policzki. Dyszeliśmy, Beckett uspokoił oddech szybciej niż ja.

– Kocham cię – wyznał, patrząc mi w oczy.

– Poważnie? – Odczułam niemal zbyt wielką nadzieję na tego rodzaju szczęście.

– Kocham cię od samego początku. Miło wiedzieć, że też coś czujesz.

Natychmiast szeroko się uśmiechnęłam.

– A teraz powiedz, ile mamy czasu, bo chciałbym zabrać cię na górę i zrobić wszystko, jak należy.

Jeśli to teraz nie było właściwe, to nie mogłam doczekać się tego, co zamierzał zrobić.

– Całą noc. Mamy całą noc.

– Coś wymyślę.

I wymyślił.

A także trzykrotnie przed śniadaniem.

# ROZDZIAŁ 19

BECKETT

List #4

*Chaosie,*

*David Robins zaprosił mnie dziś na randkę. Zapytasz pewnie, kto to jest David Robins. To tutaj niezła partia. Dwudziestoosmioletni przystojny strażak, gość wyjęty wprost z romansu. Każda dziewczyna przy zdrowych zmysłach by się zgodziła.*

*Ja oczywiście odmówiłam. Wspominałam Ci już, że nie mam czasu na mężczyzn, i przez ostatnie sześć tygodni, gdy do siebie piszemy, nic się w tej kwestii nie zmieniło. Przygotowałam natomiast Samotnię, by podbiła świat, więc nie mogę sobie teraz pozwolić na rozproszenie uwagi.*

*Jednak czasami, gdy leżę w łóżku, zastanawiam się, czy to wszystko, co mnie czeka. Oczywiście, że nie randkowałam, gdy byłam w ciąży. Nie robiłam tego też podczas rozwodu, bo miałam ważniejsze rzeczy na głowie. Kiedy urodziły się bliźnięta, pierwszy rok spędziłam na karmieniu ich i niańczeniu podczas żabkowania, bo dwoje dzieci to dwa różne harmonogramy. Jasne, teraz są urocze, ale możesz mi wierzyć, o drugiej w nocy nie były. Potem nadszedł czas, gdy stały się berbeciami, a ja jako samotna matka nadal biegałam za nimi z wywieszonym jęczorem. Teraz chodzą do przedszkola, a ja w końcu czuję, jakbym stanęła na własnych nogach.*

*Mimo to odmówiłam Davidowi.*

*Na co, do licha, czekam? Przecież nie potrzebuję, by piorun raził mnie prosto w serce. Nie jestem już głupią romantyczką. Zdaję sobie sprawę, że świetny związek, to coś więcej niż chemia.*

*Ale nie chcę też skończyć jako szalona kociara. Szczerze mówiąc, chyba od zawsze wolę psy, więc w pewnym momencie byłby to problem.*

*A Ty? Trudno randkować, gdy tak często wyjeżdżasz? Czy o tym myślisz? Czy masz się za szczęśliwego singla? Chyba trudno rozpocząć związek, gdy przeważnie przebywa się na drugim końcu świata, co?*

*Ella*

---

**W**e śnie wyglądała tak spokojnie. Żyła w ciągłym ruchu, zawsze musiała gdzieś być, czy coś zrobić, ale gdy spała, wydawała się zupełnie odprężona.

Zasługiwała, żeby wyglądać tak cały czas.

Przeniosłem wzrok na zegar. Siódma trzydzieści. Nigdy nie spałem tak długo albo od... cóż, nie pamiętałem, kiedy. Nie miałem żadnych przykrych myśli i koszmarów, jedynie przyjemne o Elli i błogi sen.

Obudziła mnie jednak Demolka, która się otrzepała i położyła łeb na materacu.

Wstałem tak cicho, jak to tylko możliwe i włożyłem spodnie dresowe. Może byliśmy daleko od innych domków, ale naprawdę nie chciałem zszokować gości, którzy wybraliby się na spacer wokół jeziora.

Przeszedłem przez dom, otworzyłem drzwi na werandę. Demolka wybiegła i do czasu, gdy zszedłem ze schodów, była już w lesie.

Pod bosymi stopami czułem zimne kamienie, mimo to stałem nieruchomo, pozwalając, aby ten chłód przegnał poranną ciepłotę. Zimno oznaczało rzeczywistość. Ella spała na górze w moim łóżku. Przez całą noc pokazywałem jej, co dokładnie do niej czuję, a jeśli Demolka się pospieszy, może zdołam wrócić do sypialni i pokazać jej raz jeszcze.

Kochała mnie.

Radość, która pojawiła się po tym jej wyznaniu, została przyćmiona wyrzutami sumienia, bo wiedziałem, że na nią nie zasługuję. Zdobyłem jej miłość, ponieważ znała mnie tylko z jednej strony – tę drugą skrzętnie ukrywałem. Zataiłem jak niewygodną prawdę, którą przecież była.

– Co mam teraz zrobić? – zapytałem Ryana, patrząc na wyspę.

Odpychałem ją, aż dłużej nie mogłem, ta kobieta potrafiła złamać moją silną wolę. Gdybym był lepszym człowiekiem, kazałbym jej wczoraj wyjść. Zatrzymałbym ją zaraz po pocałunku. Definitywnie nie wziąłbym jej na kuchennym blacie, a potem w łóżku, a później pod prysznicem. Lepszy człowiek wyjawiłby jej swoją tajemnicę, skoro adopcja przeszła bez przeszkód, a Maisie i Colt zostali zabezpieczeni finansowo.

Lepszy człowiek do wszystkiego by się przyznał i zmierzył z konsekwencjami.

Najwyraźniej taki nie byłem.

O niczym jej nie powiedziałem, bo nie chciałem, aby utraciła ten zadowolony wyraz twarzy. Nie chciałem stracić ciepła jej miłości, jej ciała i serca. Nie byłem gotowy na wybudzenie się z tego snu. Do diabła, nie chciałem jej mówić, bo byłem egoistą. Wpadłem po uszy i nie wiedziałem, jak się wykaraskać.

Demolka wróciła biegiem, więc podrapałem ją za uszami.

– Zjemy śniadanie?

Weszliśmy na werandę i do środka przez przesuwane, przeszkłone drzwi.

– O! – Ella zamarła z wypiętym tyłkiem, gdy próbowała włożyć but. – Dzień dobry? – Miała na sobie ubranie z naszej wczorajszej randki, włosy związała w kok. Policzku zaróżowiły jej się od snu i seksu.

– Czy to było pytanie? Bo tak się składa, że mam całkiem dobry dzień. – Przemierzyłem salon do miejsca, w którym stała na skraju kuchni.

– No tak. To znaczy, tak myślisz? – Posłała mi niezręczny uśmiech, z którego byłby dumny każdy reżyser komedii romantycznych.

– A ty nie jesteś pewna?

Omiotła wzrokiem mój nagi tors i zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– Nie, jestem. To dobry dzień.

Rety, czuła się zażenowana. Moja Ella, która nie dbała o to, kto co o niej pomyśli, stała zupełnie zagubiona w mojej kuchni.

– Kawy? – zapytałem, przesuwając ręką po jej talii aż na plecy.

– Oj, muszę wracać do domu. Dzieci na pewno już wstały... – Zaczęła się rozglądać, przesuwać rzeczy na blacie.

– Czego szukasz? – zagadnąłem.

– Kluczyków? Wiem, że je miałam. Przecież przyjechałam, ale nie pamiętam, co się z nimi stało, gdy weszłam. Chyba byłam rozproszona.

Złapałem ją za rękę i obróciłem twarzą do siebie.

– Nie miałaś ich, gdy weszłaś. Przypuszczam, że nadal są w aucie.

– O nie! Co, jeśli ktoś je ukradł?! – Chciała wyjść, ale zagroziłem jej drogę.

– Skarbie, jesteśmy na pustkowiu. Nikt nie ukradł twojego samochodu.

Zamknęła oczy.

– Dlaczego zostawiłam w nim klucze? Bo tak postępują dojrzały dorośli, prawda? Zostawiają kluczyki w stacyjce i wybiegają z auta, a potem robią, co chcą.

Była uroczo zdenerwowana, ale wiedziałem, co wywołało to niewielkie załamanie nerwowe, więc musieliśmy rozwiązać tę sytuację. Natychmiast.

– Otwórz oczy, Ella. Proszę.

Powoli zatrzepotała rzęsami i dostrzegłem błękitne tęczy.

– No co?

– Kocham cię. Zakochałem się w tobie, zanim trafiliśmy do łóżka, a serce mi podpowiada, że będę cię kochał do końca swoich dni. Nic się od wczoraj nie zmieniło. To ja, a to ty. Jest między nami to... co chcesz, by było.

– A co takiego?

– Czego byś chciała? – Poczułem ucisk w piersi, gdy czekałem na odpowiedź. Zamierzałem dać jej wszystko, czego oczekiwała.

– A ty czego byś chciał? – Odwróciła rolę.

Nagle przed oczami stanęły mi dyskusje na temat tego, co będziemy jeść na obiad przez kolejne pięćdziesiąt lat.

– Ciebie. Mówiłem ci już wczoraj.

– Chciałeś seksu. W świetle dnia nie zamierzam wypominać ci tego, co wczoraj mówiłeś. I wiem, że to musi być najbardziej niezręczny poranek w historii świata, więc przepraszam, ale nie mam zbyt wielkiego doświadczenia w takich kwestiach. – Przygryzła drżącą dolną wargę.

– Pragnę cię. Całej. Wierz mi, możliwość dotykania cię to całkiem niezła gratka, bo nie wiem, czy ktoś ci o tym wspominał, ale jesteś niesamowita. Jednak chcę czegoś więcej niż

jednej nocy z tobą w łóżku. Czy na blacie w kuchni.

Chyba jeszcze bardziej poczerwieniała, choć nie sądziłem, by było to możliwe.

– To dokąd nas to prowadzi?

– Cóż, mam jasno sprecyzowany cel. Pomyślałem, że moglibyśmy w poniedziałek zacząć dobijać się do urzędu stanu cywilnego, by wyznaczyli nam najszybszą możliwą datę ślubu. – Opadła jej szczeka, więc mimowolnie kontynuowałem. – Chyba że wolisz lecieć do Vegas, w takim przypadku odpadam. Ale będziemy mogli się udać, do mojej małej, aczkolwiek lojalnej grupy wyznawców końca świata. Poczyniłem przygotowania, by przyjęli ciebie i dzieci w naszym małym schronie przeciwatomowym, gdzie zajmiesz się uprawą winogron – powiedziałem, na co kilkakrotnie zamruwała, nadal nie zamykając ust. – Chyba że wolisz wypasać kozy. – Dzięki Bogu za te wszystkie wieczory pokera z Ryanem, dzięki którym nie opuściła mnie powaga.

– Żartujesz.

– Oczywiście. – Objąłem jej twarz.

– Dzięki Bogu. – Cała się wyraźnie odprężyła.

– Pomyślałem, że będziemy się umawiać jak normalni ludzie. Słuchaj, ze swoim chłopakiem czekałaś z seksem do ślubu, więc wiem, ile to dla ciebie znaczy. A jeśli chcesz dziś za mnie wyjść, absolutnie nie...

– Nie kończ! – Zatkła mi ręką usta. – Randkowanie może być. Podoba mi się.

Pocałowałem ją w dłoń, po czym ją zabrała.

– Dobra. Zatem będziemy się spotykać. – Uśmiechnąłem się tak szeroko, że rozboleła mnie policzki.

– Tylko ze sobą – podkreśliła, kiwając głową.

– Jasne, zmusz mnie. – Pochyliłem się, aby ją pocałować, na co się odsunęła, rzucając zadziorne spojrzenie, które tak lubiła. – Tylko ty – zgodziłem się. – Ella, istnieje powód, dlaczego od przyjazdu tutaj z nikim nie spałem.

– Och, bo nie byłeś w dobrej kondycji i najpierw chciałeś nieco poćwiczyć? – Drwiąco przechyliła głowę na bok.

– Ha! Bo od chwili, kiedy dostrzegłem twoją twarz i usłyszałem twój głos, tylko ciebie chciałem. Zniszczyłaś mnie dla wszystkich innych, jeszcze zanim poznałaś moje imię. – Tak naprawdę zniszczyła mnie już w chwili, w której wyznała w liście, że żałuje, że nie zaczęła pisać na komputerze. Kiedy skończyłem czytać pierwszą wiadomość od niej, posiadała już całą moją duszę. – A teraz, gdy spędziłem z tobą noc, nie chcę żadnej innej. Pragnę spędzić z tobą wszystkie noce świata i zrobić wszystko, co będziesz chciała, bym mógł je od ciebie otrzymać.

Przez chwilę wyglądała na rozdartą, więc westchnąłem z frustracji.

– To było naprawdę dobre – wyznała. – Nie umiem pięknie mówić. Po prostu cię kocham.

Pocałowałem ją delikatnie, ofiarując prostą pieszczotę jej ustom, ponieważ nie mogłem się powstrzymać.

– To najwspanialsza rzecz, jaką mogłaś powiedzieć. Wierz mi. Nie przywykłem, by to słyszeć. – Ani nic, na co zasługiwałem, ale przecież byłem gnojkiem, który zamierzał przyjąć wszystkie komplementy.

– Co powiemy dzieciom? Wiem, że to nie jest rozmowa na pierwszą randkę, ale nie do końca zwyczajna z nas para.

– Pozwolę ci zdecydować. Powiesz... powiemy, cokolwiek zechcesz.

Wzięła mnie za szyję.

– Cóż, to znaczy, jesteś teraz ich ojcem.

– Muszę przyznać, że tego też lubię słuchać. – *Nawet jeśli tylko między nami.* Wiedziałem, że to nie zmieni jej decyzji w sprawie trzymania adopcji w tajemnicy, ale to w porządku. Po raz pierwszy od przyjazdu do Telluride czułem, że mam czas. Czas, aby podbić jej serce, aby zapracować na jej zaufanie.

– Dobrze, powiemy im, że się spotykamy. I tak nie będziemy w stanie długo tu tego ukrywać. – Przytuliła się do mnie.

– Dlaczego?

– Bo nie mam pojęcia, jak cię nie całować przez cały czas, skoro wiem, jak jesteś w tym niewiarygodnie dobry. – Wsunęła mi palce we włosy.

– Spójrz, kto teraz mówi wszystkie te niesamowite rzeczy.

Potem przypomniałem jej, jak bardzo dobry jestem w całowaniu. I robiłem to, dopóki nie wyrzuciła z mojej głowy każdej racjonalnej myśli i znów byłem zdany wyłącznie na jej łaskę.

\* \* \*

Czy ludzie mogli być aż tak szczęśliwi? Wydawało się wręcz nienaturalnym, by uznać taki stan za nową normalność. Obudziłem się, poszedłem do pracy, zjadłem obiad z Ellą i dziećmi. Skradłem jej buziaka, gdy nie patrzyły.

Nie kłamałem, gdy stwierdziłem, że mógłbym całować ją w nieskończoność. Jedna kobieta składała się z tysiąca różnych pocałunków – delikatnych, czułych, głębokich, pełnych pasji, silnych, desperackich. Nigdy nie wiedziałem, kogo tym razem biorę w ramionach, a mimo to zawsze była to Ella.

Była wszystkim.

Postanowiłem zaufać światu i wynająłem domek na czas nieokreślony. Ella sprzeciwiła się temu ze względu na koszty, ale z uśmiechem na ustach wręczyłem Hailey moją kartę kredytową. Czas nieokreślony to nie wieczność, ale znalazłem idealne miejsce, aby zacząć budować coś trwałego.

Okazało się, że dostałem dobrą radę inwestycyjną od znajomego, a lokalizacja była perfekcyjna.

– Co pan myśli o tyrolce? – zapytał Colt, stojąc na werandzie domu Elli, wpatrując się w domek na drzewie, który budowałem dla niego od dziesięciu dni.

– Myślę, że to coś, o co musisz zapytać mamę, bo nie zamierzam się z nią kłócić. – Poczochrałem go po krótkich, zmierzwionych włosach. Przestał golić głowę na łyso w chwili, w której Maisie dostała ostatnią chemię i kosmyki zaczęły jej szybko odrastać.

Minął miesiąc, odkąd adoptowałem dzieci i jedenaście dni, odkąd Ella zabrała Maisie do Denver na pierwszą terapię lekiem MIBG.

– Jeździłbym w kasku! – spierał się.

*Bądź silny* – przypomniałem sobie. Przez ostatnie jedenaście dni byliśmy z Coltem sami. Oczywiście pomagały Hailey i Ada, i zdziwiłem się, że mały jeszcze mną nie rządził. Stało się tak zapewne dlatego, że większość dnia spędzał w szkole.

– Nie sądzę, by to podlegało dyskusji. Nie przeginaj, młody.

Westchnął.

– Dobra, a co z rampą dla quada?

Ha. Ten pomysł miał pewne zalety.

– Hm...

Dostrzegł moją słabość, więc natychmiast się na nią rzucił.

– Wie pan co? – zapytał z uśmiechem.

– Co? – Położyłem dłoń na jego ramieniu.

– Chyba miałem rację. No wie pan, na meczu.

Próbowałem sobie przypomnieć, o który konkretnie mu chodziło, bo do tej pory byliśmy na kilkunastu.

– W jakiej sprawie?

– To tak jest mieć tatę.

Szlag, zaraz się rozplączę.

– No może nie każdego. Wiem, że tata Bobby'ego nigdy by czegoś takiego nie zbudował. A tata Laury też jest spoko. Lata samolotami. Może wszyscy tatusiowie są spoko, tylko na różne sposoby, nie? Niektórzy nawet nie byli, no wie pan... ojcami.

– Tak – odparłem łagodnie, bo nie mogłem nic innego wydusić. W głowie miałem papkę, tak samo jak w piersi.

– Dużo o tym myślałem. – Pokiwał z powagą głową.

– Widzę. Kocham cię, mały.

– Tak, też pana kocham. I naprawdę chciałbym mieć rampę dla quada.

Parsknąłem śmiechem, gdy na podjazd skręciła Ella.

– Mama przyjechała! – Colt wbiegł na wzgórze, szczęśliwa Demolka pognęła za nim, a ja deptałem im po piętach. Zabawne, że bywałem na ponad rocznych misjach, mimo to jedenaście dni wydawało mi się dłuższe.

Czas płynął wolniej, gdy tęskniło się za ukochaną osobą.

Dotarłem do samochodu w chwili, w której Ella wysiadła i uściskała synka. Następnie podrapała Demolkę za uszami i powiedziała coś do niej, nim się wyprostowała i uniosła okulary przeciwsłoneczne na czubek głowy.

– Cześć. – Uśmiechnęła się, a ja miałem wrażenie, że moja pierś zaraz eksploduje. Kochałem ją bardziej niż miesiąc temu, a nawet cztery miesiące temu. Nie miałem pojęcia, jak moje serce pomieści te wszystkie rosnące w tak pospiesznym tempie emocje.

Podniosłem ją i pocałowałem, czując się jak w domu, ilekroć spotykały się nasze usta.

– Tęskniłem.

Objęła moją zarośniętą twarz i również mnie pocałowała.

– Też tęskniłam.

– Tak, rozumiemy. Tęskniliście za sobą. – Colt parsknął śmiechem, otwierając tylne drzwi auta. – Świecisz? Masz supermoce?

– Chyba nie – odpowiedziała Maisie ciszej niż zazwyczaj.

– Skąd wiesz? Sprawdzalaś? Możesz mieć pajęcze zmysły.

Postawiłem Ellę i podszedłem do otwartych drzwi, z których wystawały nogi Maisie. Wysiadła, a Colt, który był w tej chwili wyższy od niej o jakieś pięć centymetrów, natychmiast ją objął.

– Tęskniłem!

– Ja też – odpowiedziała łagodnie, kładąc głowę na jego ramieniu.

Spojrzałem na Ellę, która posłała mi sztywny uśmiech.

– Mam ci tyle do pokazania! – Pociągnął ją za rękę, na co pokiwała głową i ruszyła za nim bez wątplenia do domku na drzewie.

– Jest zmęczona – powiedziałem do Elli i wziąłem ją za rękę, gdy poszliśmy za dziećmi.

– Wyczerpana. Miała transfuzję i nadal nie wrócił jej apetyt, ma niski poziom czerwonych krwinek i jest... Czy to domek na drzewie? – Zatrzymała się, wpatrując w budowlę, którą osadziłem pomiędzy dwiema sosnami.

– Podoba ci się?

Parsknęła śmiechem.

– Zbudowałeś domek na drzewie. Colt od zawsze o takim marzył. – Sapnęła, a na jej twarzy odmalował się smutek, następnie ścisnęła moją dłoń i posłała mi wymuszony uśmiech.

– Dziękuję. Ryan... on i... Cóż, zbudowałeś go i jest wspaniały.

*Ryan i Chaos.* Wiedziałem, co chciała powiedzieć.

*Jestem tu. Nigdy nie odszedłem, ale cię zniszczyłem.*

Nie wypowiedziałem tego na głos, po prostu ucałowałem ją w nadgarstek.

– Chcesz zobaczyć z bliska?

– Tak!

Zaprowadziłem ją do drabinki, przy której stały dzieci.

– Dobra, Colt, może zabierzesz mamę na górę?

– Okej!

– Na pewno nas tam utrzyma? – zapytała Ella, obserwując wspinającego się syna. Dzieciak przemierzył drabinę z niesamowitą prędkością. Kiedy dorośnie, niezły będzie z niego wspinacz.

– W zeszłym tygodniu znalazła się w nim połowa ekipy poszukiwawczo-ratowniczej – poinformowałem ją. – Wytrzyma, pod warunkiem że nie stanie tam jednocześnie dziesięć osób.

– Wytoczyłeś wielkie działa, co?

Colt krzyknął, więc zadartem głowę i zobaczyłem, że był w połowie drabiny.

*Szlag!*

Zbliżyłem się o krok z wyciągniętymi rękami, przygotowując się, gdy Ella sapnęła.

Tuż przed tym, gdy się do mnie zsunął, złapał się pośrodku grubego szczebla.

– Colt! – pisnęła Ella.

Postawił stopę tuż nad moimi rękami i spojrzał na mnie z szerokim uśmiechem.

– Ale jazda!

Gwałtownie wciągnąłem powietrze i powoli je wypuściłem, pragnąc uspokoić serce. Padnę kiedyś trupem przez tego małego.

– To nie było fajne! – krzyknęła Ella, a w jej głowie pobrzmiwała panika.



– Nic mi nie jest. Widzicie? – Puścił drabinę, po czym złapał ją, zanim z niej spadł.

– Przestań! Spędziłam wiele dni w szpitalu z twoją siostrą, nie zamierzam tam wracać z tobą.

– Dobra, dobra – mamrotał, ponownie się wspinając, aż dotarł na szczyt drabiny i zniknął w wejściu.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Ella.

Postawiła dwa kroki w moją stronę, po czym westchnęła ciężko i wtuliła twarz w moją pierś.

– Nic mu się nie stało. Tylko się poślizgnął. – Objąłem ją i pocałowałem w czubek głowy. – Wypadki się zdarzają.

– Nie mam energii na żadne wypadki. Czy możemy włożyć dzieci do jakichś dużych baniek?

– Zajmę się ich budową. – Spojrzałem na Maisie, która przyglądała się podporom domku.

– Co myślisz?

– Super! – Uśmiechnęła się.

– Dziś ty jesteś moją ulubienicą.

– Słyszałem! – krzyknął Colt ponad naszymi głowami. – Dawajcie ją tu, inaczej czeka was spacer po desce!

– Nikt nie będzie chodził po żadnej desce! – ostrzegła Ella. Wysunęła się z moich objęć i zaczęła się wspinać.

– Nie ma żadnej deski – przyrzekłem.

– Chyba coś pomyliłeś! – zawołała Maisie do brata. – Przecież już jesteśmy na dole.

– Nieważne! Wchodźcie!

– Uważaj – poleciłem Maisie, ściągając uprząż z miejsca, w którym zawiesiłem ją na drzewie. Rozłożyłem ją jedną ręką, drugą posadziłem w niej dziecko. – A teraz trzymaj się po bokach.

Rozpromieniła się, gdy jej pokazałem. Chwyciła się palcami białych pętli.

– Serio?

– Ella, odbierz ją tam! – zawołałem. Spojrzałem przez drugi właz i zobaczyłem, że pokiwała głową zdezorientowana, choć gotowa. Podeszedłem do bloczka i zacząłem wciągać Maisie do domku.

– Ach! Świetne! – piszczała.

Wsunęła się do włazu, a Ella wyciągnęła ją z uprząży. Wszedłem po drabinie i spotkałem się z moją małą rodziną na werandzie. Znajdowaliśmy się jakieś pięć metrów nad ziemią, a wybraliśmy z Coltem miejsce, z którego widać było jezioro. Dzieci zajęły się oglądaniem rzeczy, o które prosił mój młodszy brat, takich jak: stół, krzesła, zabawkowa kuchnia oraz wielka kartonowa tuba, którą pomalowaliśmy na czerwono, bo chciał nazwać domek „Gwiazda Śmierci”.

– Niesamowity – skomplementowała Ella, obejmując mnie w pasie. – Ryanowi bardzo by się spodobał.

– Tak, ale chciał też wielką trampolinę, by Colt mógł stąd skakać.

Wybałuszyła oczy.

– Cóż, a Colt prosił o tyrolkę.

– Stąd?

– Ej, to twój dzieciak – powiedziałem, wruszając ramionami i mocniej ją przytuliłem.

– Podoba mi się – szepnęła. – Powrót do domu i wiedza, że Colt nie był samotny.

– Mnie również. – Pocałowałem ją w czoło. – To normalne i być może zabrzmie jak wariat, ale kocham normalność. Spędzanie czasu z tobą i dziećmi, spotkania z tobą sam na sam, kiedy tylko zaistnieje szansa to naprawdę...

– Idealne.

– Idealne – zgodziłem się, patrząc przez ramię, aby mieć pewność, że dzieci są zajęte, nim ją pocałowałem.

Przywarliśmy do siebie, Ella pogłębiła pocałunek. Ochoczo się podporządkowałem. Nasze języki spotkały się przelotnie, nim odsunęliśmy się od siebie, bo usłyszeliśmy, że dzieci się zbliżają.

– Spoko, nie? Można tu być samemu! – oznajmił Colt.

– Prawie samemu – wtrąciła Ella, posyłając mi znaczący uśmiezek.

– Prawie, ale nie całkiem – zgodziłem się ponad głowami dzieci, gdy patrzyły na jezioro.

– Podoba mi się – wyznała z uśmiechem Maisie.

– Więc warto go było zbudować.

Bliźnięta pobiegły na drugą stronę domku, a Ella złapała mnie od tyłu i oparła twarz na moich plecach.

– Czy później zdołamy być sami? – zapytała, wsuwając mi palce pod koszulę i wiodąc nimi po moim brzuchu.

– Tak, tyle razy, ile tylko wytrzymasz. – Boże, pragnąłem jej. Musiałem poczuć pod sobą, wokół siebie. Musiałem się z nią połączyć na poziomie, jaki zapewniał jedynie seks, a w takich chwilach nie mieliśmy zmartwień, raka, dzieci i byliśmy tylko my i nasza wzajemna miłość.

Zanim zdołała odpowiedzieć, zadzwonił mój telefon. Wyjąłem go z kieszeni i odebrałem.

– Gentry.

– Hej, wiem, że masz wolny weekend, ale turyści się nam zgubili – powiedział Mark.

Westchnąłem. Chciałem jedynie zjeść obiad z dziećmi, po czym położyć je uśmiechnięte do łóżek i zostać sam na sam z ich matką.

– Bardzo się zgubili?

– Mieli wrócić cztery godziny temu.

– Jedź – zachęciła Ella i pocałowała mnie w rękę, gdzie kończył się krótki rękaw koszulki.

– Wiem, że jesteś potrzebny. Jedź.

– Będę za dwadzieścia minut. – Rozłączyłem się i objąłem Ellę. – Bardzo mi przykro. Nie chciałem tego teraz robić.

– Och, wierz mi, też wolałabym, żebyś został – powiedziała i pocałowała mnie w podbródek, nim mnie puściła. – Zostaniesz ze mną, gdy już wrócisz?

Przytaknąłem. Ograniczaliśmy wspólne noce, ale nie zamierzałem się spierać. Nie dziś.

– Postaram się przyjechać tak szybko, jak będzie to możliwe. Przyrzekam – rzuciłem, nim pocałowałem dzieci i pozwoliłem im dalej biegać. – Opuścisz Maisie?

– Tak. Jedź – poleciła.

Omiotłem wzrokiem jej ciało, po czym ciężko westchnąłem.

– Ech, turyści.

Parsknęła śmiechem.

– Ej, to normalne życie. Bardzo go chciałeś, tak?

– Może być, przynajmniej dopóki uda mi się szybko do ciebie wrócić.

Tak. Oto facet, który nigdzie nie chciał zapuszczać korzeni, a zamierzał wyhodować je tutaj grube i długie. Właśnie tego pragnąłem. Takiego życia. Z Ellą, Coltem i Maisie.

Normalności. Zwyczaj, ludzkiej codzienności.

Ale nie miało jej być bez Maisie, dlatego potrzebowałem jedynie, by przeżyła.

**PÓŁ ROKU PÓŹNIEJ**

## ROZDZIAŁ 20

ELLA

List #5

*Ello,*

*ach, pytania o dziewczyny. Szczerze mówiąc, nie chodzę na randki. Dlaczego? Ponieważ życie, jakie prowadzę, nie byłoby odpowiednie dla żadnej kobiety. Wyruszamy natychmiast. U mnie nie ma czegoś takiego jak: „Ej, za tydzień wyjeżdżam”. Jest raczej coś w stylu: „Przykro mi, ale nie będzie mnie na obiedzie... przez kilka miesięcy”. Kiepski pomysł na związek, skoro z góry wiem, że i tak nie zostanę w domu. Weźmy na przykład tę „wycieczkę”. Miało być tylko kilka miesięcy, a żaden z nas nie przypuszczał, że będziemy tak skakać z miejsca na miejsce. Nie wyobrażam sobie kazać dziewczynie coś takiego przeczekać.*

*Zatem, nie wychodząc na... palanta, wolę nie rozpoczynać długoterminowych związków. Nie jestem też pewien, czy potrafiłbym się w jakimś odnaleźć. Kiedy dorastasz i nie masz pozytywnych wzorców, trudno później samemu wymyślić, jak działa dobry związek.*

*A jeśli chodzi o Robinsa, jeśli chcesz z nim wyjść to śmiało. Nie chowaj się za życiem czy dziećmi. Jeśli boisz się zaryzykować, powiedz to. Przyznaj się. Bez wątplenia to, co przeszłaś, w każdym wywołałoby nieśmiałość. Jednak nikt nie będzie miał ci tego za złe. Nie ukrywaj się za wymówkami. Staniesz się silniejsza, gdy zidentyfikujesz, co Cię wkurza. I, szczerze mówiąc, widziałem Twoje zdjęcia. Nie skończysz jako szalona kociara, obiecuję.*

*Czy jestem szczęśliwym singlem? Chyba szczęście to pojęcie względne bez względu w jakiej kwestii. Przystałem do niego dążyć już, gdy miałem jakieś pięć lat. Teraz skłaniam się ku zadowoleniu. Łatwiej je osiągnąć i nie wywołuje uczucia tak wielkiego braku. W końcu zwolnię się z wojska i wtedy się okaże, ale jeszcze jakaś dekada przede mną. Na razie wiodę życie, które uwielbiam i jestem z niego zadowolony. Cel osiągnięty.*

*Opowiedz mi o Telluride. Gdybym przyjechał do Twojego miasta jako turysta, co koniecznie musiałbym zobaczyć? Zrobić? Zjeść?*

---

**Z**adowolenie. Szukałam właściwego słowa, aby opisać uczucia, które ostatnio miałam, a to było dobre – byłam zadowolona.

Kochałam Becketta z intensywnością, która mnie niemal przerażała. To się nie zmieniło i na pewno nie zmieni. Zdaję sobie jednak sprawę, że nie wiem o nim wszystkiego. Nawet siedem miesięcy związku nie wypełniło luk na temat tego, kim był, zanim trafił do Samotni.

Przez większość czasu to Beckett, jakiego znam, ale bywały chwile, gdy przyłapywałam go na wyspie Ryana, czy gdy budził się z koszmaru i mimowolnie się zastanawiałam, czy poznam go kiedyś tak dobrze, jak on zna mnie.

Może to wiąże się z miłością do takiego człowieka. Po kilku miesiącach nauczyłam się, że w związku przeważnie chodzi o kompromis i zawsze o akceptację. Denerwowały mnie w nim dziesiątki drobiazgów, ale w głównej mierze jesteśmy, jacy jesteśmy i się kochamy. Nie było sensu zmieniać sensu naszego jestestwa. Mogliśmy się albo rozwijać, albo próbować zmienić się nawzajem. Jednak akceptując kogoś takim, jakim jest i nadal go kochając, związek staje się niemal niezniszczalny.

Beckett musiał pogodzić się z faktem, że zawsze będę nadopiekuńcza w stosunku do bliźniąt i niestety wciąż nie stałam się gotowa, aby powiedzieć im, że je adoptował. Ja zaakceptowałam to, że zawsze będzie milczał na temat niektórych spraw.

Jednak nie można było zaprzeczyć, że na moją decyzję o zatajeniu adopcji wpływały chwile, gdy Beckett dystansował się ode mnie, kiedy pytałam o jego przeszłość.

Nie, żebym mu nie ufała. Oddałby za mnie życie. I za dzieci. Ale dopóki stuprocentowo nie przekonam się, że z nami zostanie – że te cienie w jego oczach nie doprowadzą do tego, że potknę się o spakowane walizki – bliźnięta nie będą o niczym wiedzieć. Boże, pokochały go, więc szansa na to, że złamie im serca i jako drugi ojciec je porzuci, stanowiła dla mnie zbyt duże ryzyko do podjęcia. Nie, kiedy Maisie wciąż walczyła o życie.

Myśl o utracie Becketta sprawiła, że serce zaczęło mi się krajać, więc sięgnęłam przez środkową konsolę pick-upa i wzięłam go za rękę, gdy przemierzaliśmy znajome drogi Montrose. Uniósł moją dłoń i nie odrywając wzroku od drogi, ucałował wewnętrzną stronę mojego nadgarstka. Uwielbiałam ten gest. Zaspy piętrzyły się na poboczach, jednak asfalt był czysty. Luty w tych okolicach zawsze był trochę nieprzewidywalny.

– Wygodnie ci tam? – zapytałam Maisie, która grała na iPadzie podarowanym jej przez Becketta na gwiazdkę. Colt dostał taki sam, ale w innym etui.

– Tak. Włączyłam grę ortograficzną, którą pani Steen dała mi jako zadanie domowe. – Nie uniosła nawet głowy, gdy mi odpowiadała.

– Wzięłaś Colta? – zagadnęłam, widząc różowego miśka, którego położyła obok siebie.

– Tak. Wkurzył się, że nie mógł jechać, więc obiecałam, że wezmę Colta. – Popatrzyła na mnie w lusterku i obdarzyła wymuszonym uśmiechem.

– Denerwujesz się.

– Nic mi nie jest.

Wymieniliśmy z Beckettem porozumiewawcze spojrzenia i odpuściliśmy. Miesiąc temu przeszła trzydzieści trzy dni piekła. Megachemia była najbardziej brutalnym etapem leczenia.

Maisie wymiotowała, skóra jej się łuszczyła, powstały owrzodzenia przełyku, więc potrzeba było karmić ją sondą. Jednak kiedy skończyła cykl, przeszczepiono jej komórki macierzyste i natychmiast wróciła do zdrowia. Zaskakiwała na każdym poziomie, na którym mogła jako mała dziewczynka.

Nie mogłam powiedzieć, że jestem szczęśliwa, nie, kiedy Maisie nadal walczyła o życie, ale w listopadzie minął rok od diagnozy, a ona nadal była z nami. Przeżyła kolejne urodziny, kolejne Boże Narodzenie. Colt zaczął brać lekcje snowboardu. Domki w Samotni wynajęto na sezon narciarski, zarezerwowano je już na lato, a kilka miesięcy temu wyprowadziła się Hailey. Wiedziała, że mogłam teraz polegać na Becketcie, który pracował pomiędzy Telluride i Denver, bo musiał być tam, gdzie najbardziej go potrzebowano.

Wszystko obracało się wokół Becketta. Najgorsze moje dni uczynił znośnymi. Te dobre zmienił we wspaniałe. Zajmował się dziećmi, woził Colta do szkoły, Maisie po lekarzach, przygotowywał obiady, gdy nie byłam w stanie wyrwać się z głównego budynku. Nie było nic, czego by nie zrobił.

Więc może nie mogłam powiedzieć, że jestem szczęśliwa, ale na pewno zadowolona i to musiało mi wystarczyć.

Chaos byłby dumny.

Minęło prawie czternaście miesięcy, odkąd straciłam i jego, i Ryana, a wciąż nie miałam pojęcia, dlaczego tak się stało. To część przeszłości Becketta, z którą niemal nie mogłam się pogodzić. Niemal, bo zaledwie kilka miesięcy temu podczas nocnego koszmaru wykrzykiwałam imię Ryana. Ten krzyk podpowiedział mi, że nadal nie był w stanie o tym porozmawiać.

Ryan i Chaos zginęli.

Za to Beckett żył i mogłam go tulić, co oznaczało, że miałam cały czas część tego świata, więc mogłam czekać, aż będzie gotowy się otworzyć.

Stanęliśmy na szpitalnym parkingu, Beckett niósł Maisie przez błoto, a ja człapałam za nimi wdzięczna, że włożyłam wysokie buty.

Maisie milczała, gdy ją badano, nie odezwała się, gdy pobierano jej krew, gdy poddano tomografii komputerowej.

Kiedy nakazano nam zaczekać w gabinecie na doktor Hughes, była niemal skamieniała.

– O czym myślisz? – zapytał ją Beckett, siedząc na stole do badań.

Wzruszyła ramionami i nadal machała nogami pod krzesłem. Po drugiej dawce MIBG zawarli umowę – miała nie siadać na stołach częściej, niż było to konieczne. Mówiła, że sprawiają, iż czuje się jak chore dziecko, a wolała myśleć, że jej się poprawia. Zatem na stole siedział Beckett, aż wchodzili lekarze i musieli zamienić się miejscami.

– Ja też – powiedział i powiekił jej gest.

– I ja – dodałam.

Wszyscy się uśmiechnęliśmy.

Doktor Hughes otworzyła drzwi.

– Dzień dobry, Maisie! – powiedziała do Becketta.

– Przyłapani – rzucił teatralnym szeptem.

Maisie się uśmiechnęła, wstała, by zająć jego miejsce, a on usiadł na krześle i wziął mnie za rękę.

– Jak się czujesz? – zapytała lekarka, badając małą.

– Dobrze. Jestem silna. – Pokiwała głową, by to podkreślić.

– Wierzę. A wiesz dlaczego?

Ścisnęłam dłoń Becketta. Chociaż próbowałam być odważna dla córki, przerażało mnie to, co mogła powiedzieć doktor Hughes. Wydawało się niesprawiedliwym, aby ta mała tyle przeszła, a wszystko poszło na marne.

– Dlaczego? – szepnęła Maisie, ściskając pluszaka.

– Bo wyniki wychodzą znakomicie. Są dobre i stabilne. – Postukała dziecko po nosie. – Wymiatasz, mała.

Maisie spojrzała na nas przez ramię i uśmiechnęła się tak szeroko, jak tylko mogła.

– Co to dokładnie oznacza? – dociekałam.

– Zajęte jest mniej niż pięć procent szpiku i nie zmieniło się to od waszej ostatniej wizyty w szpitalu miesiąc temu. Nie powstał nowy guz. Córka jest w stanie stabilnym, możemy mówić o częściowej remisji.

Słowo to poruszyło coś w moim umyśle i doszło do snu, zupełnie jak gdy po raz pierwszy lekarka powiedziała o raku, chociaż tym razem niedowierzanie przyniosło też radość.

– Może pani powtórzyć? – błagałam.

Doktor Hughes się uśmiechnęła.

– Maisie jest w częściowej remisji. Oznacza to, że na razie kończymy z leczeniem. Zapewne za kilka miesięcy zalecę kolejną radiację, aby usunąć najmniejsze komórki nowotworowe, ale dopóki wyniki będą wyglądały jak teraz, myślę, że możemy zdecydować się na przerwę.

Wszystko rozmazało mi się przed oczami, a Beckett otarł mi policzki.

Zaczęłam się śmiać, gdy zrozumiałam, że płaczę.

Słuchaliśmy wyjaśnień doktor Hughes, że to nie jest pełna remisja. Maisie poczyniła znaczne postępy, ale nie została całkowicie wyleczona. Lekarka miała nadzieję, że kolejna radioterapia zlikwiduje resztę komórek i wtedy będziemy mogli planować immunoterapię.

Następnie powtórzyła, że u ponad połowy dzieci z neuroblastomą dochodzi do nawrotu choroby, więc nawet pełna remisja nie gwarantuje wyzdrowienia, a jedynie bardzo potrzebną przerwę. Cotygodniowe badania mogły być wykonywane w Telluride, a ona przejrzy je online, więc nie będziemy musiały jeździć.

Zapisałam wszystko, co zdołałam przyswoić w segregatorze, mając nadzieję, że później to lepiej zrozumie. Maisie zeskoczyła ze stołu i poszliśmy do samochodu. Maisie i Beckett śmiali się i rozmawiali na temat tego, ile lodów zje mała, gdy przez kilka miesięcy nie będzie poddawana kolejnemu leczeniu. Zadeklarowała, że pochłonie cały koszyk wielkanocny ciastek z czekoladą i masłem orzechowym.

Beckett posadził ją w samochodzie, więc zapięła pasy. Zamknął drzwi, wziął mnie za rękę i zaprowadził na miejsce pasażera.

Nagle to do mnie dotarło. Maisie mówiła o Wielkanocy, która miała być za dwa miesiące. Do oczu napłynęły mi łzy, więc zakryłam twarz.



– Ella – szepnął Beckett, tuląc mnie do siebie.

Złapałam za poły jego kurtki i głośno się rozplakałam.

– Wielkanoc. Będzie z nami w Wielkanoc.

– Tak, będzie – obiecał, głaszcząc mnie kojąco po plecach. – Wiesz, możesz planować. Patrzyć w przyszłość i wyobrazić sobie, jak będzie wyglądało życie naszej czwórki, kiedy mała będzie zdrowa. Możesz wierzyć, że będzie dobrze.

– Od tak dawna się martwiłam. Żyłam od badania do badania, od chemii do MIBG. Prezenty kupiliśmy dopiero na tydzień przed świętami Bożego Narodzenia, bo nie mogłam wybiegać myślami za daleko w przyszłość. A teraz potrafię to zrobić na kilka miesięcy do przodu. – Jasne, mieliśmy jeździć na cotygodniowe badania, ale kilka miesięcy wydawało się wiecznością, darem od tego, czego nam odmawiano – czasu.

– Będziemy się cieszyć i wykorzystywać każdą chwilę jej zdrowia.

– Tak – zgodziłam się, kiwając głową, ale ponieważ słowo „remisja” rzucano jak piłkę plażową na koncercie, ścisnęło mnie w dołku, bo nagle zapragnęłam czegoś ponad to. Zawsze odsuwałam od siebie myśli o śmierci córeczki, ale też nie myślałam o tym, że przeżyje. Mój świat skupił się wyłącznie na walce. Moja wieczność istniała w granicach terapii, nie wybiegałam myślami do przodu ze strachu, że stracę skupienie na terażniejszości. – Chyba robię się zachłanna.

– Ella, jesteś najmniej chciwą osobą, jaką znam. – Objął mnie mocniej, jakby chciał mnie chronić.

– Jestem, bo błagałam o tygodnie, a teraz dane mi są miesiące, a nawet lata. Ile dzieci z neuroblastomą umarło, gdy Maisie walczyła? Trzy w Denver? A oto stoję w świetle na końcu tunelu i modlę się, żeby to nie był jadący w moją stronę pociąg. To zachłanność.

– Zatem też jestem chciwy, bo oddałbym wszystko za jej czas. Żebyś miała go i ty.

Pojechaliśmy do domu, Maisie śpiewała wraz z Beckettem do radia. Wcześniejsze zmartwienia zostały zepchnięte na bok, na inny dzień, inne badania.

Jednak pozostały. Pragnienie czegoś, co pozostawało poza moim zasięgiem, nie wchodziło w grę, a teraz, gdy to coś znalazło się na wyciągnięcie ręki, stało się palącą potrzebą, która zepchnęła wszystko inne na bok, domagając się uwagi.

Nie chciałam tylko kilku miesięcy.

Potrzebowałam całego życia córki.

Po raz pierwszy, odkąd postawiono diagnozę, pozwoliłam sobie na prawdziwą nadzieję. Co oznaczało, że miałam coś do stracenia.

\* \* \*

Dwa tygodnie później moje plecy zostały dociśnięte do ściany, a ja ledwie zwróciłam na to uwagę. Oplotłam Becketta nogami w pasie, zgubiwszy bluzkę gdzieś między drzwiami frontowymi a schodami. Jego koszulka musiała upaść na podłogę gdzieś pomiędzy schodami a sypialnią.

Całował mnie, trzymając palce w moich włosach, a ja płonęłam.

– Ile mamy czasu? – zapytał, jego ciepły oddech owionął mi ucho, nim Beckett zaczął całować mnie po szyi, podsycając płomień w żyłach.

– Pół godziny? – założyłam.

– Idealnie. Chcę słyszeć, jak wykrzykujesz moje imię. – Zaniósł mnie do łóżka, a po chwili szamotania się z resztą ubrań, byliśmy cudownie nadzy.

Staliśmy się ekspertami w cichym seksie, w którym dłońmi i ustami tłumiliśmy dźwięki orgazmów, robiliśmy to pod prysznicem czy w środku nocy, by uniknąć przerywania przez dzieci. Już dawno odsunęliśmy zagłówek od ściany.

Ale całkowicie pusty dom na pół godziny? Mieliśmy pretekst, by iść na całość.

Położył się na mnie, a ja objęłam go nogami, gdy całował mnie do utraty zmysłów. Bez względu na to, jak tajemniczy był w kwestii czasu spędzonego w wojsku, w łóżku stawał się otwartą księgą. Nasze ciała porozumiewały się bez najmniejszego wysiłku, byliśmy lepsi za każdym razem, gdy się kochaliśmy. Spodziewałam się, że ogień po czasie zacznie między nami przygasać, aczkolwiek on tylko się rozpałał.

– Beckett – jęknęłam, gdy wziął w usta mój sutek i wsunął palce między moje uda.

– Zawsze gotowa. Boże, kocham cię, Ella.

– Też cię kocham – wydyszałam każde słowo osobno. Mężczyzna dokładnie wiedział, jak sprawić mi rozkosz zaledwie kilkoma...

*Dzyń, dzyń, dzyń.*

Obróciłam głowę na bok i zobaczyłam, że rozświetliła się leżąca na podłodze przy dzinsach komórka Becketta.

– To twoja.

– Mam to gdzieś – odparł pomiędzy pocałunkami. Całował i pieścił dłońmi, więc wygięłam się ku niemu, zdesperowana najpełniej wykorzystać czas razem. W takich chwilach nic więcej się nie liczyło, cały świat odchodził w niepamięć i nic nie istniało poza naszym łóżkiem... naszą miłością.

*Dzyń, dzyń, dzyń.*

Szlag. Ponownie rzuciłam okiem i poskładałam wyświetlane na ekranie litery.

– To z posterunku, a jeśli dzwonią dwukrotnie...

Beckett warknął z irytacją, ale odchylił się i chwycił komórkę.

– Gentry. – Pocałował mnie w brzuch, a ja pogłaskałam go po szerokich ramionach. – Nie interesuje mnie to. Nie.

Zaczął przesuwając językiem po mojej piersi, po czym nagle zamarł.

Usiadł na piętach, a nim zdołał cokolwiek z siebie wydusić, zaczął się zbierać, bo myślami już był zupełnie gdzie indziej.

– Będę za dziesięć minut. – Odłożył telefon i posłał mi „to” spojrzenie. To, którym przekazywał, że nie jechałby, gdyby naprawdę go nie potrzebowali.

– W porządku – rzuciłam, siadając.

Położył dłoń na moim kolanie.

– Nie jechałbym, gdyby...

– Cię nie potrzebowali – dokończyłam za niego.

– No właśnie. W pobliżu wodospadu Bridal Veil samochód wypadł z drogi i dachował. Zaginęła dziesięciolatka. Wyrzuciło ją z auta. To... dziecko.

Dzieciom nigdy nie odmawiał. Nawet jeśli nie był na dyżurze, jechał, gdy zaginął jakiś maluch.

Pochyliłam się i pocałowałam go delikatnie.

– Więc lepiej już jedź.

– Przykro mi. – Omiótł wzrokiem moje ciało. – Bardzo, bardzo mi przykro.

– Wiem. Kocham cię. Uratuj czyjaś córeczkę. – Pogoniłam go do drzwi, a pięć minut później stałam w sypialni całkowicie ubrana.

W pustym domu.

Miałam nieskończone możliwości. Mogłam poczytać, obejrzeć coś, co nagrałam wiele miesięcy temu, wziąć kąpiel. Otaczała mnie słodka, błoga cisza.

Zamiast tego postanowiłam zrobić pranie.

– Założę kolonię nudystów – mruknęłam pod nosem, zbierając rzeczy Maisie, po czym poszłam na dół.

W połowie drogi zadzwonił mój telefon, więc przełożyłam kosz na biodro i odebrałam.

– Halo?

– Pani Gentry?

*Mimo że brzmi to tak uroczco...* Odsunęłam od siebie tę myśl.

– Nie, panna MacKenzie, ale bardzo dobrze znam Becketta Gentry'ego. – Przeszłam do pralni i załadowałam pralkę. Jeśli po wyzdrowieniu Maisie mieliśmy zostać w tym domku, musiałam poprosić Becketta o zainstalowanie większej pralki i suszarki.

Cholera, właśnie zaczęłam tworzyć plany nie tylko na chwilę, gdy Maisie będzie żyła, ale również na czas, gdy Beckett ze mną zostanie. Co ze mnie za optymistka.

– Panno MacKenzie?

Optymistka, która się rozmarzyła i całkowicie zignorowała telefon.

– Jestem. Przepraszam, może pani powtórzyć? – Nalałam detergentu i włączyłam pranie, po czym wyszłam z pralni, aby lepiej słyszeć rozmówczynię.

– Nazywam się Danielle Wilson. Dzwonię z Tri-Prime – przedstawiła się jak służbistka.

– Och, z firmy ubezpieczeniowej. Oczywiście. Jestem mamą Maisie MacKenzie. W czym mogę pani pomóc? – Rety, musiałam też pozmywać. Co Ada robiła po południu z dziećmiakami?

– Dzwonię w sprawie listu, który wysłałam do dowódcy starszego sierżanta Gentry'ego. Tego, który wysłaliśmy również do państwa – rzuciła jakby poirytowana.

Pomyślałam o stosie kopert na moim biurku, które zawierały szczegółowe informacje na temat refundowanych terapii.

– Przepraszam, nie otwierałam poczty od kilku tygodni. Zwykle robię to częściej. – Ale wiedząc, że mieliśmy kilka miesięcy przerwy od lekarzy, postanowiłam być lekkomyślna i nie otwierać związanej z rakiem korespondencji. Czułam się jak Ross w *Przyjaciółkach*, mówiąc, że listy i ja musimy od siebie odpocząć.

W końcu coś do mnie dotarło.

– Do jego dowódcy?

– Tak, kapitana Donahue. W zeszłym tygodniu wysłaliśmy powiadomienie również do niego.

Przecież Beckett zwolnił się z wojska. Przyjechał tu w kwietniu i mówił o wypowiedzeniu, a teraz mieliśmy pierwszy tydzień marca. Nie znałam się na armii, ale wydawało mi się, że po roku powinien być wolny. Boże, a co, jeśli mnie okłamał?

– Chciałabym umówić wstępny termin rozmowy. Czy będą państwo mieć czas w przyszłym tygodniu? Powiedzmy w poniedziałek o dwunastej?

– Przepraszam, chce pani przyjechać do Telluride?

– Tak będzie najlepiej. Czy poniedziałek państwu pasuje, czy lepszy byłby wtorek?

Chciała przyjechać do Telluride za dwa dni.

– Może być poniedziałek, ale mogę zapytać, w jakiej sprawie chce pani z nami rozmawiać? Nigdy wcześniej nie miałam kontroli z firmy ubezpieczeniowej.

To, co powiedziała później, wprawiło mnie w osłupienie. Skamieniałam, dopóki Ada nie wróciła z dziećmi. Milczałam podczas obiadu i kąpieli maluchów. Miałam mętlik w głowie, gdy kładłam je do łóżek... po czym myśli nie chciały uspokoić się całe godziny później.

Beckett wrócił po dwudziestej drugiej, otworzył drzwi kluczem, który dałam mu siedem miesięcy temu.

Był wyczerpany, po jego twarzy spływał pot z brudem. Zdjął Demolce kamizelkę, powiesił na wieszaku przy drzwiach, a psina zatrzymała się, abym ją podrapała, nim poszła do miski z wodą.

– Dlaczego nie mam klucza do twojego domku? – zapytałam.

– Co? – Zatrzymał się gwałtownie, gdy zobaczył, że siedzę w jadalni przy otwartych dokumentach z ubezpieczalni.

– Dałam ci klucz do mojego domku, w którym przeważnie sypiasz. To wydaje się symboliczne, wiesz? Wpuściłam cię, a ty nadal się na mnie nie otworzyłeś. Chodzę do ciebie jedynie w odwiedziny, gdy otworzysz mi drzwi.

Usiadł w stojącym w kącie fotelu.

– Ella? Co się dzieje?

– Wciąż masz dowódcę? Donahue?

Odpowiedział mi jego pusty wyraz twarzy. Ryan przybierał ten sam, ilekroć pytałam go o coś związanego z oddziałem.

– Kiedy chciałeś mi powiedzieć, że nie zwolniłeś się z wojska?

Zdjął czapkę z daszkiem i przeczesał włosy palcami.

– To tylko kwestia techniczna.

– Służba w armii jest jak ciąża. Albo się w niej jest, albo nie. Nie ma żadnych technicznych półprawd. – Brzydkie, złe wątpliwości, które od siebie odsuwałam, przecięły moją pierś, torując sobie drogę do serca. – Okłamywałeś mnie przez cały ten czas? Wciąż jesteś żołnierzem? Nadal czekasz, aż nie będę cię już potrzebowała? Wciąż jestem dla ciebie misją? Młodsza siostrą Ryana?

– Boże, nie. – Chciał wziąć mnie za rękę, ale ją zabrałam. – Ello, nie o to tutaj chodzi.

– To wyjaśnij o co.

– Ktoś przyjechał tu na samym początku, prosząc mnie o powrót, ale odmówiłem. Po tym, co się wydarzyło, nie nadawałem się, aby tam wracać, jednak chodzi o to, że Demolka jest posłuszna, ale przyjmuje polecenia jedynie ode mnie.

– Ach, kolejna kobieta, którą zniszczyłeś dla innych – powiedziałam, salutując mu butelką wody.

– Uznam to za komplement. – Pochylił się nad stołem i oparł łokcie na ciemnym, wypolerowanym, drewnianym blacie.

– Nie był nim.

– Ten... facet zaproponował mi rozwiązanie, aby podpisać tymczasową niezdolność do służby. Zachowałbym wojskowe przywileje, ale nie musiałbym służyć. Miałem podpisać niezdolność na rok, co mogłoby zostać przedłużone do pięciu lat. Mój ówczesny gość tak rozpracował system, aby mnie nie zwalniać i umożliwić mi łatwe przystąpienie do ponownej służby.

– I się na to zgodziłeś. – Nie mogłam nawet patrzeć mu w oczy. Kiedy to zrobię, przekona mnie, że zostanie, kiedy dowody wskazywały na coś wręcz przeciwnego.

– Odmówiłem.

Natychmiast na niego popatrzyłam.

– Ale kiedy zdałem sobie sprawę, że moje ubezpieczenie może objąć Maisie i Colta, wiedziałem, że muszę podpisać te dokumenty. To jedyny sposób, aby refundowano sto procent kosztów terapii.

– Kiedy to zrobisz?

– Wtedy, gdy pojechałem spotkać się z Jeffem. Dokonałem tego na jeden dzień przed wygaśnięciem propozycji.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – Zniknęło nieco mojej podejrzliwości.

– Ponieważ wiedziałem, że nienawidzisz wszystkiego, co robiliśmy, życia, które prowadziliśmy. Zdawałem sobie sprawę, że będziesz postrzegała podpisanie tych dokumentów jako okazję do ucieczki, gdy tylko skończę bawić się w dom w Telluride. Mam rację? – Odchylił się do tyłu, pytająco unosząc brwi.

– Może – przyznałam. – Ale możesz mnie za to winić? Ludzie tacy jak Ryan, ty i... – *Chaos*. – Wszyscy odczuwacie ten pęd do działania. Ryan powiedział mi kiedyś, że najbardziej żywy czuł się podczas strzelaniny. Wszystko wtedy nabierało kolorów, podczas gdy reszta jego życia była nieco wyblakła.

Beckett, bawiąc się daszkiem czapki, pokiwał powoli głową.

– Tak, to się zdarza. Kiedy raz poczujesz taką adrenalinę, wyraźnie doświadczysz życia i śmierci, to normalne, codzienne dni wydają się mdłe. Jakby przeciętność to wąskotorówka w Disneylandzie, a pole walki to kolejka górską, która wynosi cię w górę, a potem spadasz i gwałtownie skręcasz. Z tą różnicą, że na tej drugiej ludzie umierają, więc cieszysz się, gdy możesz z niej wysiąść, ale robisz to z wyrzutami sumienia.

– Dlaczego więc nie miałabym się spodziewać, że tam wrócisz? Jeśli jedziemy tutaj w wagoniku wąskotorówki, musisz się nudzić, a nawet jeżeli teraz tak nie jest, to wkrótce będzie.

– Bo cię kocham – powiedział z niebywałą pewnością siebie, jakby mówił, że Ziemia jest okrągła, a oceany głębokie. Jego miłość była ugruntowana. – Bo kiedy cię całuję, kiedy się z tobą kocham, kiedy jesteśmy razem, to przyćmiewa wszystko inne. I tamto życie nie tyle zostaje w tle, co po prostu nie istnieje. Wcześniej mogłem walczyć, bo nie miałem nic do stracenia. Nikt mnie nie kochał, troszczyłem się jedynie o Ryana i Demolkę. Ale teraz nie

mogę cię zostawić. Nie mogę jechać na drugi koniec świata i tam martwić się o ciebie i dzieci. Nie mogę walczyć z taką samą efektywnością, bo wiem, że gdybym zginął, zostałabyś sama. Rozumiesz?

– Jestem dla ciebie jak krytonit. – Nie zabrzmiało pochlebnie.

– Nie. Dałaś mi coś do stracenia. Inni żonaci dawali radę w boju, ale może nie mieli tak pochrzanionego dzieciństwa jak ja. Miłość dla nich jest wąskotorówką. Ty natomiast jesteś pierwszą osobą, którą kocham, pierwszą kobietą, która mnie pokochała. Jesteś dla mnie rollercoasterem.

I tak po prostu przekłuł moją bańkę gniewu.

– Powinieneś był mi powiedzieć.

– Przepraszam. Masz rację. Ale wtedy się zżyliśmy i bardzo pragnąłem być z tobą, więc nie chciałem ryzykować. – Usiadł prosto, wziął mnie za rękę i spojrzał mi w oczy z taką intensywnością, że przeszedł mnie dreszcz. – Jeśli cokolwiek ukryję przed tobą, zrobię to z obawy, że cię stracę. Cała ta sprawa z rollercoasterem? Nigdy wcześniej się tak nie czułem. Nigdy wcześniej moje serce nie opuściło mojego ciała, by należeć do kogoś innego. Nie wiem, jak radzić sobie w związku, z pewnością ten spięrzę.

Pogłaskałam kciukiem wewnętrzną część nadgarstka.

– Radzisz sobie całkiem dobrze. My sobie radzimy. Jeśli się nad tym zastanowić, to również mój najdłuższy związek. Tylko nie ukrywaj niczego przede mną, dobrze? Zawsze jakoś poradzę sobie z prawdą, ale kłamstwa... – Z trudem przełknęłam ślinę. – Kłamstwa stanowią nieprzekraczalną granicę. Muszę ci przecież ufać.

Nadal mu wierzyłam, nawet jeśli zataił przede mną kwestię wojska.

– Istnieją sprawy, przez które zaczęłabyś postrzegać mnie zupełnie inaczej.

– Tego nie wiesz.

– Wiem – wyznał z pewnością siebie.

– Może spróbujesz mi powiedzieć i się przekonamy.

Zagryzł zęby i wyglądał, jakby miał...

– Skąd dowiedziałas się o moim dowódcy?

*Albo i nie.*

Dopadło mnie rozczarowanie.

– Zadzwoiła kobieta z firmy ubezpieczeniowej. W poniedziałek ma przyjechać na kontrolę.

– Co? Dlaczego?

– Wydaje mi się, że ich podejrzliwość wzbudziła ilość rachunków za leczenie Maisie w połączeniu z niedawną rejestracją. Prowadzą dochodzenie w sprawie oszustwa ubezpieczeniowego.

Zamknął powoli oczy i odchylił głowę.

– Fantastycznie.

– Beckett...

Wstał od stołu i nałożył czapkę.

– Będę spał dziś u siebie. Nie chodzi o ciebie, a o naszą dzisiejszą akcję i muszę...

– Znaleźliście tę dziewczynkę? – zapytałam, ścisząc głos, bo pochłonięta własnym dramatem, nie pomyślałam, by go o to zapytać.

– Tak. Przeżyła, ale ledwie.

Westchnęłam z ulgą.

– Cieszę się, że pojechałeś na akcję.

Jakże inna była ta rozmowa od przeprowadzonej przed jego wyjazdem.

– Ja też.

– Zostań. Proszę, zostań – błagałam cicho. – Wiem, że niekiedy po akcjach poszukiwawczych dręczą cię koszmary. Mogę cię uspokoić. – Jeśli liczyłam na przyszłość z tym człowiekiem, musiałam dowieść, że nie odwrócę się od niego, pokaże mi to, co nadal przede mną skrywał. – Powiedziałam ci, że nic nie sprawi, że inaczej na ciebie spojrzę.

– Zabiłem dziecko.

Powiedział to tak cicho, że niemal go nie usłyszałam, ale wiedziałam, że nie powtórzy, nawet gdybym prosiła. Zatem siedziałam nieruchomo i obserwowałam jego twarz.

– Rykoszetem. Dziesięciolatkę. Zabiłem ją, a nawet nie znajdowaliśmy się w miejscu wyznaczonym nam przez wywiad jako cel. Zabiłem dziecko. Wciąż chcesz spać obok mnie?

– Tak – odpowiedziałam cicho, bo łzy napłynęły mi do oczu.

– Nie mówisz poważnie. Miała jasnobrązowe włosy i oczy. Widziała, że nadjeżdżamy i chciała zabrać z drogi młodszego brata. – Złapał za oparcie krzesła. – Wciąż słyszę krzyk jej matki.

– To właśnie dlatego bez względu na sytuację jeździsz na poszukiwania dzieci.

Przytaknął.

Może również przez to był tak zdeterminowany, aby ocalić Maisie.

– To nie była twoja wina.

– Nigdy więcej tak do mnie nie mów – warknął. – Pociągnąłem za spust. Znałem ryzyko. Zabiłem dziecko. Za każdym razem, gdy spojrzysz na Maisie czy Colta, pamiętaj o tym, po czym przypomnij sobie to, gdy znów poczujesz pragnienie, by dowiedzieć się ze szczegółami o tym, jak spędziłem ostatnią dekadę.

Serce mi się krajało zarówno przez niego, jak i dziewczynkę i jej matkę. A także braciszka, którego chciała odciągnąć. Przez wyrzuty sumienia, które ciążyły mu na sercu. Chciałam mu powiedzieć, że nie zdoła mnie przerazić. Że w głębi duszy wiem, kim jest – wspaniałym człowiekiem. Jednak wyraz jego twarzy podpowiedział mi, że nie mogłam dziś tego zrobić. Nie był gotowy na niczyje rozgrzeszenie.

„W razie, gdyby nikt nigdy Ci tego nie powiedział: jesteś wart miłości, rodziny, domu”.

Wróciły do mnie słowa Ryana z jego pożegnalnego listu do Becketta. Tylko jedna osoba mogła znać go lepiej niż ja i miałam przeczucie, że widziałam wszystkie piękne cechy Becketta, a Ryan te mroczne.

Wstałam i wyciągnęłam do niego dłoń, czekając na jego decyzję.

Minęła bardzo długa chwila, zanim wziął mnie za rękę i poszedł ze mną na górę. Kiedy się wykapał, leżeliśmy razem w ciemnej sypialni, a Beckett przyciągnął mnie do swojej piersi.

– Nie dałem ci klucza, bo jesteś właścicielką domku, Ella. Stwierdziłem, że już go masz. Może powinienem powiedzieć, byś używała go, kiedy zechcesz, ale chyba założyłem, że o tym wiesz.

– O czym?

– Dałaś mi klucz do siebie, gdy zaczęłaś mi ufać, więc miałem do ciebie dostęp.

– No tak.

– Musiałem na to zapracować, ale ja ci ufam od pierwszego dnia. Masz do mnie klucz. Wiem, że drzwi na strych trochę zardzewiały, ale daj im nieco czasu.

Obróciłam się w jego ramionach, przypominając sobie wszystkie te razy, gdy chciał mi pomagać. Kiedy przyszedł do niego Colt, gdy zażądałam listu od Ryana... a potem noc po adopcji. To ja na początku się od niego odsuwałam.

– Kocham cię.

– Wiem i też cię kocham – wyznał. Przez kolejną godzinę pokazywał mi to dłońmi i ustami.

Jak już wspominałam, byliśmy ekspertami w cichym seksie.

Oszłamiającym, wspinałym, przesywającym duszę seksie.



# ROZDZIAŁ 21

BECKETT

List #21

*Chaosie,*

*mamy Boże Narodzenie. Nie do wiary. Czy naprawdę stałam się osobą tak smutną i pochłoniętą problemami, że nawet pisanie o świętach wydaje się przygnębiające?*

*A nie powinno takie być. Maisie żyje, a od ostatniej chemii minął tydzień, więc wróciło jej nieco energii. Nie ma jednak już włosów. Zaczęły wypadać po drugiej dawce, dokładnie w jej urodziny. Kiedy zaczął się ten proces, powiedziała, by je ogolić. Mówiła, że lepiej smucić się raz a porządnie niż codziennie po trochu.*

*Moja sześćioletnia córka jest niesamowicie mądra.*

*Zatem mamy Boże Narodzenie i kiedy dzieci bawią się nowymi zabawkami, chciałabym skoncentrować się na tym, co dobre.*

*Po pierwsze, dziękuję za szlafrok. Jest mięciutki i bardzo mi się podoba. Chciałabym zapytać, gdzie go kupiłeś, ale zapewne oznaczałoby to zdradzenie jakichś tajnych informacji.*

*Po drugie, niebawem tu będziesz. Muszę przyznać, że cieszę się z tego bardziej, niż powinnam. Czuję, że już Cię dobrze znam, a spotkanie się z Tobą da mi jedynie możliwość, by Cię zobaczyć. Poznałam Cię jednak dwadzieścia jeden listów temu. Niesamowicie zaprzyjaźnić się dzięki słowom, bo można przekonać się, czy umysł tej drugiej osoby jest tak samo atrakcyjny, jak jej ciało. Nie, żebyśmy chciała oceniać Twój wygląd. Jestem pewna, że jest świetny, biorąc pod uwagę to, co robisz. To znaczy, w porządku.*

*Głupi długopis.*

*Chciałam jedynie powiedzieć, że pociąga mnie to, jaki jesteś jako osoba. Dziwne? Mam nadzieję, że nie. Więcej ludzi powinno poznawać się w ten sposób, aby naprawdę się zrozumieć, nim zobaczą się nawzajem. I wiem, że to tylko listy, ale mam to szalone poczucie, że mnie rozumiesz i to zapewne lepiej niż ktokolwiek inny.*

*Przyjedź do mnie.*

---

**-Z**achowuj się – poleciłem Demolce, gdy usłyszeliśmy pukanie. Otworzyłem drzwi i na progu zastałem Ellę z powagą na twarzy i segregatorem w ręce. Nadszedł poniedziałek, za dziesięć minut miała przyjechać kobieta z ubezpieczalni. Ustaliliśmy, że spotkamy się z nią w moim domku, aby nie denerwować Maisie.

W dodatku, skoro to ja byłem ubezpieczony, to mnie tyczyło się dochodzenie.

– Kawy? – zapytałem, gdy Ella weszła do środka.

– Jestem już wystarczająco roztrzęsiona. – Zdjęła kurtkę i powiesiła ją na wieszaku, pozostając w dżinsach, które idealnie opinały jej ponętne ciało i niebieskim, pasującym do jej oczu, topie. Wyglądała obłądnie. Zdrowo. Nie miała już podkrążonych oczu, cera przybrała piękny blask.

Nie mogłem się doczekać, aby zobaczyć, jak jej skórę rozświetla witraż, jaki właśnie zamontowałem w nowym domu – tym, który budowałem potajemnie przez ostatnie pół roku. To tajemnica, której z radością dochowywałem. Jeszcze dwa tygodnie i stanie się gotowy do zamieszkania. Wtedy ten domek znów zdoła wynajmować, a ja nie będę czuł, jakbym naciskał na nią, byśmy razem zamieszkali.

Fakt, że mój dom znajdował się tuż obok Samotni i był na tyle duży, aby pomieścić nas wszystkich, stanowił jedynie dodatkowe korzyści.

– Nie martw się. Nie zrobiliśmy nic złego. Przyrzekam. To jedynie rutynowa wizyta.

– Jedzie tu z Denver, Beckett. Na pewno Mark nie jest nam potrzebny? To nie jest błaża kwestia. Dla niej to kłopot, a dla nas może okazać się poważne w skutkach.

– Cóż, zrobimy tak – powiedziałem, obejmując ją. – Jeśli będziemy musieli, zadzwonimy do Marka, ale szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby zaszła taka konieczność. – Westchnąłem, gdy ponownie rozległo się pukanie. – Najwyraźniej przyjechała wcześniej. Hura.

Porzuciłem ramiona Elli i otworzyłem drzwi, a na progu zastałem...

– Wow. Co tu robisz?

Surowa mina Donahue odpowiedziała mi, że nie przyjechała z własnego wyboru.

– Zostałem wezwany. Najwyraźniej ze względów bezpieczeństwa to łatwiejsze niż niezapowiedziane wizyty w naszym „biurze”. – Zaznaczył palcami cudzystów.

– Wejdz.

Powiesił płaszcz na wieszaku, ale zatrzymał się na widok Elli.

– Panna MacKenzie – powiedział, krótko kiwając głową.

– Był pan na pogrzebie Ryana – wspomniała łagodnym głosem.

Wziąłem ją za rękę.

– Ello, to...

– Kapitan Donahue – przedstawił się zgodnie z prawdą. – Już wiem, co powiedziała jej ta diablona z firmy ubezpieczeniowej.

– Cóż, miło pana widzieć. Przepraszam, że nie byłam bardziej gościnną na pogrzebie brata. Sytuacja okazała się nieco... dołująca.

– Była pani w żałobie. To zrozumiałe. Poza tym Chaos opowiadał mi o pani tyle, że czuję, jakbym panią znał.

Nie zdołałby zszokować mnie bardziej, nawet gdyby przywalił mi w jaja.

– Chaos – wypowiedziała Ella jak modlitwę. – Znał go pan. No tak. Ten sam oddział.

Donahue natychmiast na mnie spojrzał, a ja lekko pokręciłem głową. Ruch ten był praktycznie niezauważalny dla kogoś, kto nie pracował ze mną w sytuacjach granicznych pomiędzy życiem a śmiercią.

Jak w tej chwili.

Donahue natychmiast obdarzył Ellę kojącym uśmiechem.

– Dobry człowiek. Mogę powiedzieć, że za panią szalał. – Tym razem, gdy na mnie spojrzał, lekko pokiwałem głową. – Gentry, może napijemy się kawy.

To nie była sugestia.

– Jasne.

– Zaczekam tutaj. Chyba podjechała – oznajmiła Ella, która stała przy przeszkłonych drzwiach.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? – zapytał Donahue, gdy parzyłem mu kawę.

– To, o co prosił Mac.

– A ona nie wie?

– Nie. I tak musi pozostać. – Kiedy ekspres przestał syczeć, podałem mu kubek. Wiedziałem, że lubił kawę taką, jak kobiety: czarną i mocną.

– Adoptowałeś jej dzieci i jeśli przecucie mnie nie zawodzi, sypiasz z nią, a ona...

– Skończy ze mną, gdy się dowie. Wiesz, co się stało. Wyrzuci mnie stąd tak szybko, że nie zdążę się obejrzeć. Jak wtedy zdołałam jej pomóc? Nienawidzę tego, ale jest, jak jest. Im dłużej zwlekałem, tym bardziej się pogrążałem, i oto znaleźliśmy się w tym miejscu.

Drzwi otworzyły się i zamknęły, po czym dało się słyszeć kobiece kroki.

– Cholera, Cha... – Pokręcił głową. – Gentry.

– Dzień dobry, panom. Dobrze widzieć, że jesteśmy tu wszyscy i możemy zaczynać. Nazywam się Danielle Wilson, pan to zapewne Samuel Donahue, a pan Beckett Gentry. – Miała około czterdziestki, ubrana była w garsonkę i delikatnie umalowana. Brązowe włosy zebrała we francuski kok, a na szyi na sznurku zwisały jej okulary.

Instynkt podpowiadał, że była żądna krwi. Mojej krwi.

– Kawy? – zaproponowałem.

– Nie, dziękuję. Czy możemy zaczynać?

Podeszliśmy do stołu w jadalni. Danielle usiadła u szczytu, rozłożyła teczki i zeszyty, jakby przygotowywała się do nauki przed egzaminem. Ella zajęła miejsce obok mnie i ścisnęła mocno moją dłoń, a Donahue rozsiadł się po drugiej stronie, popijając kawę.

Facet od zawsze miał pokerową twarz.

Jednak po co został wezwany?

– Zaczynajmy. Panie Gentry, czy mógłby pan opowiedzieć, jak doszło do tego, że adoptował pan dzieci panny MacKenzie? – Włożyła okulary, wyjęła długopis i zatrzymała go nad żółtą kartką.

Stara szkoła.

– Służyłem w oddziale z jej bratem Ryanem. W liście pożegnalnym poprosił, abym przyjechał do Telluride i zaopiekował się jego siostrą.

Pokiwała głową i coś zapisała.

– Mogę zobaczyć list?

– Nie – rzuciła Ella. – To prywatna korespondencja i nie powinna w nią pani ingerować.

Danielle pochyliła się i skierowała jastrzębi wzrok na Ellę.

– Pani córka została adoptowana w lipcu i od tego czasu kosztowała naszą firmę ponad milion dolarów wydanych na leczenie choroby, którą zdiagnozowano przed tym faktem. Natychmiast została poddana terapii, której nie refundował poprzedni ubezpieczyciel. Jeśli nie chce pani płacić, sugerowałabym, aby pokazała mi pani ten list.

Och, kobieta była niezła.

Uniosłem pośladki i wyjąłem list z tylnej kieszeni, po czym rzuciłem jej go na blat.

– Musi mi go pani oddać.

– Nosi go pan ze sobą? – dociekała, patrząc na mnie ponad okularami.

– Tak. Kiedy przyjaciel prosi o coś takiego, należy trzymać wiadomość dość blisko.

Otworzyła list i przeczytała, po czym zrobiła mu zdjęcie komórką.

Poczułem, że to gwałt, jakby bez pozwolenia sfotografowała nagą duszę Ryana. *Jednak tego by chciał. Pragnął, abym chronił jego rodzinę.*

Ja również tego pragnąłem.

– Interesujące. Zatem oddział wydał zgodę na tę misję? – zwróciła się do Donahue.

– Nie wiem, jaki dokładnie oddział ma pani na myśli – odparł, wzruszając ramionami.

– Zdaję sobie sprawę z tego, co pan robi, kapitanie Donahue. Prześledziłam pańskie dokumenty oraz umowę, którą zawarł pan z panem Gentrym, zatrzymując go jako czasowo niezdolnego do służby. Zaplanował pan to wszystko? Zatrzymał go pan w wojsku, aby objąć małą ubezpieczeniem?

Całkowicie spokojny Donahue upił tyk kawy.

– Nie, ale jeśli z mojej propozycji wyniknęła taka korzyść, to bardzo się cieszę, że pomogłem. Gentry dostał propozycję podpisania czasowej niezdolności do pracy, ponieważ ja byłem mu w stanie to zaproponować, a on był czasowo niezdolny do powrotu do służby.

– Ponieważ... – Ponownie na niego spojrzała.

– To informacja dla kogoś na wyższym stanowisku. Proszę posłuchać, zgodziłem się tu przyjechać dla dobra Becketta i Elli, nie mam problemu z wyjaśnieniem wszystkiego, co też pani wymyśli, ale nie ma pani uprawnień, bym wyjawiał pani... cóż, niemal wszystko. Musi pani jedynie wiedzieć, że zostałem upoważniony do zaproponowania mu okresu tymczasowej niezdolności do pracy w wojsku z nadzieją, że wyzdrowieje na tyle, by powrócić do czynnej służby w dowolnym momencie w ciągu najbliższych pięciu lat. Złożył stosowne dokumenty i nadal obejmuje go ubezpieczenie zdrowotne. I tyle. To wszystko, co pani ode mnie usłyszy.

Poprawiła okulary i spojrzała na Ellę i mnie.

– Zatem przypadkowo przyjechał pan do Telluride, aby wypełnić wolę przyjaciela i adoptować pani dzieci.

– Nie przypadkowo, ale tak. Zakochałem się w dzieciach tak samo jak w Elli. Kiedy się kogoś kocha, chce się go chronić. Nie miały ojca, więc zapragnąłem pełnić tę rolę.

– Ale mógł pan ożenić się z panną MacKenzie i osiągnąć ten sam efekt. – Przenosiła wzrok między nami.

– Ale to byłoby oszustwo – odparłem, a Ella ścisnęła moją rękę. – Musiałaby pani prowadzić śledztwo, chociaż gdyby ściagała pani każdą dziewczynę, która wychodziła za żołnierza dla korzyści majątkowych, byłaby pani zbyt zajęta, by tu przyjechać.

– Nie wierzę w małżeństwo – wtrąciła Ella.

*Co, do diabła?*

– Nie? – zapytała, najwyraźniej nie wierząc.

– Nie. Byłam żoną biologicznego ojca Maisie i Colta. Odszedł ode mnie, gdy dowiedział się, że będziemy mieć bliźnięta. Rozwiedliśmy się niedługo później. Poślubienie Becketta byłoby wielkim oszustwem, ponieważ nie wierzę w instytucję małżeństwa. Do tego się to sprowadza, gdy śluby nic nie znaczą, a kartka papieru wiąże czyjeś życie równie łatwo, jak kolejna rozwiązuje więź. Przecież to nic nie znaczy. Ale adopcja to co innego. Beckett stworzył niesamowitą relację z dziećmi, dzieli ze mną obowiązki rodzicielskie. Zabierał Maisie do szpitali, Colta na treningi piłki nożnej i lekcje snowboardu. Zbudował dzieciom domek na drzewie, każdego ranka pakuje im drugie śniadanie. Wydaje się pani, że to oszustwo?

Zapadła niezręczna cisza, gdy Wilson udawała, że przegląda notatki. Nic z tego nie miało sensu. Jasne, rachunki za leczenie Maisie były astronomiczne, ale ludzie codziennie adoptowali chore dzieci.

– Jeśli skończyliśmy... – zaczął Donahue.

– Nie czuję się usatysfakcjonowana. – Ton jej głosu i sposób, w jaki patrzyła na Donahue sprawiły, że pochylilem się i przyjrzałem jej twarzy. Dla niej ta sprawa była osobista.

– Skąd wiedziała pani o oddziale? – zapytałem.

– Zapewne dowiedziała się od swojej siostry Cassidy Ramirez. – Donahue nie spuszczał jej z oka.

*Ramirez.* Odszedł z wojska po stracie ręki. Z tego, co słyszałem przed własnym odejściem, nie najlepiej radził sobie w domu. W tej kwestii akurat Ella miała rację – tacy jak ja nie oddawali adrenaliny bez walki. Ja poszedłem w poszukiwania i ratownictwo, a Ramirez nie...

Przełknęła ślinę, kilkakrotnie postukała długopisem w dokumenty.

– Tak, jestem siostrą Cassie, ale to nie ma nic wspólnego z dochodzeniem.

Bzdura.

– Pewnie, że ma – powiedział Donahue, wzruszając ramionami. – Chce pani sprawiedliwości za to, co mu się przytrafiło. Za to, że musiał odejść, zanim był gotowy i za to, że nie mogłem mu zaproponować tej samej umowy, co Gentry'emu. Nie chodzi o pieniądze, bo przecież dostał emeryturę, ale o nadzieję na powrót. Właśnie dlatego pani tu jest. Nie chodzi o Maisie, Becketta czy Ellę. Chodzi o mnie.

Odchrząknęła i zaczęła zbierać papiery.

– Ta sprawa nie ma z tamtą nic wspólnego. Wcale. I przykro mi, ale dopóki nie dowiedzie pan jakiegokolwiek związku z dzieckiem przed diagnozą, zalecam, by wstrzymali państwo leczenie do czasu zakończenia dochodzenia.

– Nie może pani nam tego zrobić! – warknęła Ella. – Według prawa to jego dzieci. Opiekuje się nimi, wspiera je i cały czas zachowuje się jak ich ojciec.

– Zabawne, bo kiedy wcześniej rozmawiałam z Coltonem w szkole, powiedział, że nie ma taty. A kiedy zapytałam go o pana, mówił, że jest pan przyjacielem jego wujka i chłopakiem mamy, ale ani razu nie wspomniał, że został przez pana adoptowany. Dlaczego?

– Rozmawiała pani z moim dzieckiem bez mojej zgody? – Ella ruszyła do kobiety, więc musiałem ją złapać w talii i przyciągnąć na miejsce.

– Spokojnie. To nie było częścią dochodzenia. Pojechałam do szkoły, aby dowiedzieć się, kiedy Margaret została przepisana na naukę domową i zmieniono dane osób do kontaktu w razie wypadku Coltona, i wtedy go zobaczyłam.

– Kłamie pani – rzuciła ze złością.

– Przekroczyła pani swoje uprawnienia – powiedziałem tak spokojnie, jak tylko mogłem. – Całe to dochodzenie jest nieuprawnione, więc pójdziemy wyżej i odsuniemy panią od sprawy.

– Tu chodzi o życie dziecka – odezwała się stanowczym tonem Ella, ale mocno trzymała mnie za rękę. – A pani zależy wyłącznie na tym, by odgryźć się na Donahue.

– Zależy mi na przestrzeganiu przepisów, z którymi tacy ludzie powinni się liczyć. Prawda jest taka, że ten człowiek adoptował bliźnięta swojej partnerki, z których jedno potrzebuje milionów na leczenie, a pani nie powiedziała nawet dzieciom, że zostały adoptowane. To wygląda naprawdę niedobrze. Jeśli Tri-Prime uzna jednak, że nie postawi państwu zarzutów, będziecie oczywiście mogli liczyć na moje przeprosiny. W tym roku wykryliśmy już sporo oszustów.

Polowała na czarownice, a chociaż postąpiliśmy zupełnie legalnie i nie było w tym oszustwa, zamierzała tak wypaczyć fakty, by móc nas dręczyć, gdy firma będzie prowadziła „dochodzenie”. Mogli wstrzymać refundację leczenia Maisie, badań, nadchodzącej radioterapii... wszystkiego. Nawet jeśli uznają nas później za niewinnych, sprawa będzie ciągnęła się tak długo, że mała odczuje konsekwencje.

Chyba że udowodnię, że znałem dzieci przed diagnozą.

Krew tętniła mi w uszach, gdy kobiety nadal rozmawiały. Stracę Ellę, ale wiedziałem, że tak będzie, już gdy przyjechałem do Telluride. Spędzony z nią czas był darem, do którego nie miałem prawa. Do licha, skradłem go jej. Nie znała mężczyzny, w którym się zakochała, bo jej o nim nie opowiedziałem.

*Trzy rzeczy.* Trzy powody. Teraz w ten sposób podejmowałem decyzje – tłumilem potrzebę, by działać, a żałować później.

Ella zasłużyła, by dowiedzieć się prawdy.

Maisie zasługiwała na to, by żyć.

Moja miłość do dzieci nie była oszustwem.

*Podjąłem decyzję.*

– Bardzo proszę chwilę zaczekać – powiedziałem ponad gwarem i wstałem od stołu. Wbiegłem po dwa stopnie naraz i wyjąłem pudełko, które trzymałem pod bielizną w szafce nocnej.

Z dowodem w ręce, zszedłem powoli po schodach. Kobiety nadal się kłóciły, ale Donahue spojrział na mnie. Otaksował wzrokiem mój wyraz twarzy i pudełko.

– Jesteś pewien? – zapytał cicho.

– To jedyny sposób.

Skinął głową, gdy podszedłem i stanąłem obok Elli. Rozmowa umilkła, wszyscy się na mnie gapili.

– Kocham cię. Zawsze cię kochałem – wyznałem Elli.

– Też cię kocham, Beckett – odpowiedziała, w dezorientacji marszcząc brwi. – Co robisz?

Przyszło mi na myśl, by ją pocałować, spędzić z nią ostatni moment, by wszystko zapamiętać. Ale i tak wystarczająco mi dała.

– Powinienem być ci powiedzieć i wiem, że będzie mnie to kosztowało... ciebie, ale nie pozwolę, aby kolejne dziecko płaciło za moje błędy, a już zwłaszcza Maisie.

Pudełko zaszurało, gdy przesunąłem je po blacie. Wilson je wzięła, zdjęła wieczko.

– Na co dokładnie mam patrzeć?

Wyjęła dowody, rozłożyła je na stole, a Ella sapnęła.

– Dlaczego masz moje listy? Jego listy? – szepnęła.

Patrzyłem na pracownicę firmy ubezpieczeniowej, niezdolny wykazać się odwagą i spojrzeć na gasnącą w oczach Elli miłość.

– Mówiła pani, że potrzebuje dowodu na to, że znałem dzieci przed diagnozą, że miałem z nimi jakąś relację. Zobacz pani, że listy datowane są na czas przed pierwszymi badaniami, a znajdzie w nich pani rysunki i wiadomości od maluchów. Znałem dzieci, kochałem je i kochałem Ellę, zanim Maisie została zdiagnozowana. Nie ma pani powodu kontynuować tego dochodzenia. Jeśli chodziłoby o leczenie małej, nie adoptowałbym też Colta. Prawda jest taka, że chciałem być ich tatą.

Wilson westchnęła, przekładając listy.

– Muszę wyjść i zadzwonić. – Zrobiła zdjęcia listów Elli i rysunków dzieci, zebrała swoje notatki i wyszła.

– Ello... – zacząłem

– Nie. Nic nie mów. Jeszcze nie. – Knykcie jej pobiełały, gdy wbijała paznokcie w bicepsy.

Donahue posłał mi współczujące spojrzenie, przez które niemal się załamałem.

Czas płynął, jedynym dźwiękiem w pełnym napięcia pomieszczeniu było tykanie zegara i tętent krwi w moich uszach, pochłaniający każdą myśl. Czy to wystarczy? Czy wymienię wszystko za... nic?

Otworzyły się drzwi, lekko zarumieniona Wilson wróciła do środka.

– Wygląda na to, że się pomyliłam. Przepraszam – wydusiła – za niedogodności. Chociaż sytuacja nadal nie jest jednoznaczna, nie zrobili państwo nic, co uzasadniałoby unieważnienie ubezpieczenia i mój przełożony uznał, że należy zakończyć dochodzenie.

Niemal upadłem na kolana z ulgi po zwycięstwie, bez względu na to, ile mnie ono kosztowało.

– Niech pani nie mówi z takim rozczarowaniem w głosie. Zdołała pani pomóc dziś dobrym ludziom. – Donahue wstał od stołu. – Odprowadzę panią.

Wilson obdarzyła nas wymuszonym uśmiechem.

– Szwagier mówił, że był pan jednym z tych dobrych, jeśli ma to jeszcze jakieś znaczenie. Mówił, że idealnie zgrał się pan z psem i nigdy nie widział tak świetnej roboty. Nawet ksywki wam się zgadzały. Miło mi było państwa poznać, panie Gentry, panno MacKenzie. – Odwróciła się do suczki, która przy mnie siedziała. – Demolka, prawda?

– Tędy, pani Wilson – zawołał Donahue. Spojrzał mi w oczy, gdy przechodziła obok niego. Wiedział, że będę miał sporo do wyjaśnienia. – Oferta nadal aktualna. Wciąż możesz wrócić.

Przytaknąłem, a kiedy zamknęli drzwi, trzask odbił się w domku złowieszczym echem.

– Jak mogłeś to przede mną ukrywać? Skąd masz jego listy? – zapytała Ella, wstając, by podejść do pudełka.

– Ello...

Złapała się za głowę i nią pokręciła.

– Nie. Nie. Boże. Domek na drzewie, to samo pismo na świadectwie Maisie. Demolka. To nie jest zbieg okoliczności, prawda?

– Nie. – Przez całe życie radziłem sobie z emocjami, wyłączałem je. W ten właśnie sposób przetrwałem cały ten czas w rodzinach zastępczych, tak również egzystowałem w siłach specjalnych. Jednak Ella coś we mnie zmieniła. Otworzyła moje serce, a teraz nie potrafiłem go zamknąć. Ból był okropny, a przecież to zaledwie początek.

– Powiedz to. Nie uwierzę, dopóki tego nie powiesz. Kim ty jesteś?

Zacisnąłem na chwilę powieki, odczuwając ucisk w gardle. Mogłem jedynie oddychać, jednak Ella zasługiwała na to, by poznać prawdę. Maisie była chroniona, wypełniłem wolę Ryana, a konsekwencje dla mojego serca były nieistotne. Wyprostowałem się, otworzyłem oczy i zobaczyłem na jej twarzy przerażenie.

– Nazywam się Beckett Gentry, pseudonim Chaos.



## ROZDZIAŁ 22

ELLA

**T**o nie mogła być prawda. Nie zamierzałam w to wierzyć. Jednak na stole leżały listy, które napisałam, a także rysunki, które dzieci namalowały Chaosowi.

*Beckettowi.*

Ponownie na niego spojrzałam, aby mieć pewność, że nie zaczęłam tracić zdrowych zmysłów. Ale nie. Tylko serce.

– Jak? Dlaczego? Mówiłeś, że nie żyjesz! – Słowa wypłynęły z ust, nie dając mu czasu na odpowiedź. Może dlatego, że tak naprawdę nie chciałam jej usłyszeć. Nie chciałam, by pękła bańka mojego zadowolenia.

– Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem. Stwierdziłem tylko, że wiedza o tym, co stało się z Ryanem i ze mną przysporzy ci jeszcze więcej bólu. – Zacisnął palce na oparciu krzesła. Na szczęście miał się czego przytrzymać, podczas gdy ja czułam się jak podczas swobodnego upadku.

– Dlaczego? Skoro żyjesz – wykrzyknęłam – dlaczego pozwoliłeś mi myśleć, że zginąłeś? Dlaczego mi to zrobiłeś? To dla ciebie jakiś żart? Boże, wszystko to, co o mnie wiedziałeś, gdy tu przejechałeś... Dlaczego, Beckett?

Demolka wstała, wyczuwając napięcie, ale nie usiadła obok Becketta, tylko koło mnie.

– To nigdy nie był żaden żart. Nie powiedziałem ci, bo gdybyś dowiedziała się, kim jestem i co się stało, wyrzuciłabyś mnie stąd. I miałabyś do tego pełne prawo. A gdybyś to zrobiła, nie mógłbym ci pomóc. Nie zdołałbym wypełnić ostatniej prośby Ryana, który prosił, żebym się tobą zaopiekował.

– Brat... Wszystko to dla mojego brata? Spałeś ze mną też dla niego? Tuliliście mnie dla niego? Sprawiliście, bym się w tobie zakochała? – *Ile tego związku to kłamstwo?*

– Nie. Zakochałem się w tobie jeszcze przed śmiercią Ryana.

– Przestań. – Wycofałam się, bo musiałam się odsunąć i móc odetchnąć. Dlaczego w pomieszczeniu nagle brakowało powietrza? Pierś bolała mnie tak bardzo, że samo oddychanie wymagało ode mnie koncentracji.

– To prawda.

– Wcale nie, bo gdybyś mnie wtedy kochał, nigdy nie pozwoliłbyś mi wierzyć, że nie żyjesz. Nie zostawiłbyś mnie samej w najgorszych chwilach mojego życia, po czym nie przyjechałbyś kilka miesięcy później, podając się za kogoś innego. Okłamałeś mnie!

– Nie powiedziałem ci całej prawdy. Przepraszam, Ello. Nie chciałem cię zranić. – Wyglądał, jakby mówił szczerze, ale jak to możliwe, skoro okłamywał mnie przez jedenaście

miesiący?

– Przeżyłam żałobę po tobie. Płakałam, Beckett. Te listy były dla mnie czymś wyjątkowym, ty taki byłeś. Dlaczego postanowiłeś zrobić coś takiego?

Stał nieruchomo i milczał, a moje szok i niedowierzenie zmieniły się w coś mroczniejszego i bardziej bolesnego niż kiedykolwiek byłabym w stanie to sobie wyobrazić.

– Powiedz, dlaczego!

– Bo to ja doprowadziłem do śmierci Ryana! – ryknął ochryple, jakby ta odpowiedź wyrwała mu się mimo jego woli. Cisza, która zapadła po tym wyznaniu była głośniejsza niż my wcześniej.

Demolka odeszła ode mnie i zajęła miejsce przy nim. Demolka i Chaos. Rzeczywiście do siebie pasowali.

– Nie rozumiem – wydusiłam w końcu.

Beckett pochylił się nieco, podrapał psinę, jak robił to już setki razy. Zrozumiałam, że nie koił jej, a uspokajał siebie. To nie tylko pies do zadań specjalnych, ale również terapeutyczny.

– Pamiętasz, jak ci mówiłem, że zabiłem dziecko?

– Tak. – Przecież czegoś takiego nie dało się zapomnieć.

– To wydarzyło się dwudziestego siódmego grudnia. Informacja okazała się błędna i stało się, jak się stało. Powtarzasz sobie, że dobry z ciebie człowiek. Masz za zadanie zlikwidować terrorystów, oddać kraj w ręce cywili, zapewnić bezpieczeństwo własnemu. Jednak kiedy widzisz, że ginie przez ciebie dziewczynka... Wiesz, to mnie złamało. Nie mogłem przestać o niej myśleć, o tym, co zrobiłem ani o tym, co mogłem zrobić inaczej. – Otarł twarz, ale zaraz wziął się w garść.

Głupie serce mu współczuło, nawet pomimo tego, czego się dopuścił. Na własne oczy widziałam, jak działały na niego koszmary. Tak, kłamał, jednak to akurat była prawda.

– Następnego wieczoru napłynęły kolejne informacje i dostaliśmy rozkazy. Połowa oddziału miała ruszać na akcję, wliczając w to mnie, ale na myśl o tym, że miałbym wziąć broń do rąk, chciało mi się rzygać. Wiedziałem, że stanowią zagrożenie nie tylko dla siebie, ale również dla braci. Poszedłem do Donahue i o wszystkim mu opowiedziałem. Wiem, że brzmi, jakby to było proste, ale możesz mi wierzyć, nie było takie. Musiałem przyznać się przed braćmi, że do nich nie należę, że jestem wadliwy. Donahue stwierdził, że potrzeba mi kilka dni wolnego, bym się uspokoił.

– Zrozumiałe – powiedziałam cicho.

– Nie rób tego. Nie współczuj mi, bo kiedy pozwolono mi nie jechać na akcję, moje miejsce zajął Ryan.

Odetchnęłam zboląta, jak w momencie, w którym dowiedziałam się o śmierci taty, a potem mamy. Odkąd żołnierze pojawili się na moim progu, informując o śmierci Ryana, pragnęłam jedynie jego powrotu, jednak miałam się też zadowolić wiedzą o tym, jak zginął. Teraz uchyliły się przede mną drzwi do prawdy, a ja stałam rozdarta pomiędzy chęcią poznania jej całej a palącą potrzebą zatrzaśnięcia ich, by nadal żyć w ignorancji.

– Zajął twoje miejsce. – Już samo wypowiedzenie tych słów na głos wzbudziło we mnie wiele emocji. Pojawiła się duma, że Ryan się zgłosił. Złość, że naraził się o jeden raz za dużo. Wdzięczność, że Beckett przeżył. Ale wszystko to przyćmił smutek. Tęskniłam za bratem.

– Zajął moje miejsce – powtórzył i zagryzł zęby. – Na akcji został oddzielony od oddziału, który namierzył cel, ale Ryana już nie było. Okazało się, że został pojmany.

Oczy piekły od znajomych łez. Zamknęłam je i przypomniałam sobie roześmianego Ryana, który skakał z dziećmi po głazach nad jeziorem. Przestał stawiać na finezję i po prostu się z nimi pluskał. Żył zdrowy i silny. Chwyciłam się tego obrazu tak mocno, że niemal mogłam poczuć wodę na skórze. Zaraz jednak musiałam unieść powieki.

– Powiedz, co się potem stało.

Pokręcił głową, zaciskając dłonie w pięści.

– Nie chcesz tego wiedzieć.

– Straciłeś prawo do mówienia mi, czego chcę. A teraz dokończ. – To było jak największa chemia Maisie, prawda? Zniszczyć wszystko za jednym potężnym zamachem, aby później odbudować.

– Boże, Ella. – Spojrzał na sufit, po czym na moje listy, nim wrócił do mnie wzrokiem. – Był torturowany. Trzy dni minęły, nim go znaleźliśmy. Kiedy powiedziano, że zaginął na akcji, wzięłam się w garść i pojechałam szukać go z Demolką. Po pierwszej nocy radio milczało tak jak i nasze źródła... Przeszukałem sieć, sądząc, że gdyby go zabili, umieściliby to w internecie. – Syknął przez zęby. – Przepraszam, nie musiałem tego mówić.

– Wszystko musisz mi powiedzieć.

Przytaknął.

– Dobrze. W końcu dostaliśmy nieco informacji od młodych pasterzy kóz, których dorwaliśmy na obrzeżach miasta. Wjechaliśmy, jednak posiadłość była pusta. Demolka... znalazła Ryana pięćdziesiąt metrów za nią.

– Nie żył – domyśliłam się.

– Tak. – Skrzywił się, patrzył na boki, wiedziałam, że zatracił się we wspomnieniach. – Nie żył.

– Mów.

– Nie, nie będziesz mogła spać, Ella. Wierz mi, to właśnie od tego mam koszmary. To przez to krzyczę w nocy.

Naprawdę chciałam wiedzieć? Czy to mi w ogóle pomoże? Czy będę żałować, jeśli zmarnuję tę okazję?

– Powiedz ogólnikowo. – Później mogę już nigdy nie rozmawiać z Beckettem, a nikt inny mi nic nie powie.

– Ogólnikowo? Nie mogę. – Co chwilę zmieniał się wyraz jego twarzy, gdy Beckett co rusz marszczył czoło, krzywił się, zaciskał zęby. – Znaleźliśmy go rozebranego z munduru do bokserów i koszulki. Naprawdę... mocno go męczyli.

Pierwsza łza popłynęła po moim policzku, gdy wylał się ze mnie paskudny żal.

– Ella... – Nigdy nie słyszałam, by mówił tak zbolalym szeptem.

– Kontynuuj. – Zamrugałam, przy czym kolejne krople spłynęły mi po twarzy, a nawet nie trudziłam się, by je otrzeć. Jeśli Ryan zniósł to wszystko, ja mogłam płakać, nie przejmując się towarzyskimi subtelnościami. – Nie pozwolili mi go zobaczyć. Powiedzieli, że szczątki nie nadawały się do oglądania.

– Strzelili mu w tył głowy, a taka rana...

– Wykonali wyrok.

– Tak. Tak sądzimy. Pospiechali się, gdy usłyszeli, że jedziemy. Zostawili go i uciekli na wzgórze.

Pokiwałam głową, przez co łzy skapnęły mi na koszulkę.

– Co dalej?

Wysunął krzesło, opadł na nie wykończony, zasłonił twarz.

Powinam mieć wyrzuty sumienia, że kazałam mu przez to wszystko przechodzić, ale nawet po tym, na co naraził mnie swoimi kłamstwami, czułam niewytłumaczalną więź z mężczyzną, którego kochałam, który tam był i starał się uwolnić mojego brata. W dziwny, okropny sposób ten ból nas połączył, a ja jednocześnie chciałam to utrzymać i zerwać.

– Proszę, Beckett.

Opuścił ręce na kolana, oparł się na krześle i spojrzał na mnie z ze smutkiem w martwych oczach.

– Zginął, ale ciało było ciepłe, więc obróciłem go, sądząc, że zdołam go reanimować, ale nie dałem rady. Nie było... – Pokręcił głową. – Nie mogę. Po prostu nie mogę. – Poruszał oczami, jakby przewijał wspomnienia. – Przyleciał śmigłowiec, zabraliśmy ciało. Wziąłem jego nieśmiertelnik, bo wiedziałem, że chciał, byś go otrzymała, siedziałem z nim całą noc, nim pojawił się samolot, a potem Jensen dostarczył go do domu. Uznano, że jestem zbyt cenny dla misji, aby dać mi przepustkę, zwłaszcza że stawkę podbito po zabiciu Ryana.

– Znalazłeś ich? Nie wiem, dlaczego wydaje mi się to ważne, bo przecież na wojnie nie ma sprawiedliwości.

– Tak. Znaleźliśmy ich. I nie pytaj. – Spoważniał, jego oczy przybrały niebezpieczny wyraz. Ponownie zobaczyłam w nim mężczyznę, który potrafił segregować emocje. Widziałam toczącą się w nim burzę, gdy zacisnął dłonie w pięści. Miałam przed sobą Chaosa.

A kiedyś żywiłam do niego prawdziwe, głębokie uczucie.

– Dostałeś pozostałe listy? Te, które wysłałam po jego śmierci? – Musiałam wiedzieć. Nie zostały mi odesłane. Tamta korespondencja stanowiła świadectwo mojego bólu. Czy je przeczytał i tak po prostu odwrócił się ode mnie.

– Tak, dostałem, ale nie byłem w stanie przeczytać. Nie mogłem unieść długopisu i opowiedzieć ci o tym, co się stało, nawet nie było mi wolno. Zakochałem się w tobie, niesamowitej kobiecie, z którą nawet się nie spotkałem. Nigdy wcześniej się nie zakochałem, nie tak, a w tamtej chwili pragnąłem jedynie cię chronić.

– Znikając z mojego życia? Sprawiając, bym myślała, że nie żyjesz tak jak mój brat?

– Nie robiąc niczego, co przyniosłoby ci dodatkowy ból. Niszczę wszystko i wszystkich, Ella. Właśnie dlatego nazywali mnie Chaos. Dostałem tę ksywkę na długo, zanim wstąpiłem do wojska, a kiedy stanąłem w obronie twojego brata w bitwie w barze i przezwisko wyszło na jaw, wszyscy zaczęli mnie tak nazywać. I słusznie. Wszędzie, gdzie się udam, wprowadzam zamieszanie. Nawet się nie spotkaliśmy, a straciłaś przeze mnie Ryana. Ostatni żyjący członek twojej rodziny zginął, bo nie potrafiłem się pozbierać i wykonać zadania. Nie żyje przeze mnie. Chciałaś pisać do typa, który zabił ci brata? Miałem cię okłamywać? Nie dajesz drugiej szansy, jeśli chodzi o krzywdę twojej rodziny, pamiętasz? Nawet gdybym wyznał ci prawdę, a ty w jakiś sposób zdołałabyś mi wybaczyć, jak miałbym nadal do ciebie pisać, wiedząc, że Ryan zginął przeze mnie i w każdej chwili możesz dostać kolejne powiadomienie

o śmierci? Po prostu nie mogłem. Zasługiwałaś na to, by twoja rana się zabiłiła i byś żyła dalej.

– Bym żyła dalej? – Chodziłam w tę i z powrotem przy stole, nagle miałam w sobie zbyt wiele energii, aby stać w miejscu. – U córki wykryto raka, brat zginął, i nie miałam nikogo. Ryan zostawił mnie nie z własnej woli, ale ty już tak.

– O wiele lepiej, byś myślała, że nie żyję, niż gdybyś nadal pisała z człowiekiem, który stał za śmiercią Ryana.

– Idź do diabła. – Odwróciłam się i skierowałam do drzwi, ale zatrzymałam w salonie. – Kiedy postanowiłeś tu przyjechać? Aby kłamać?

– Donahue dał mi list od Ryana, zanim podpisałem kolejny kontrakt. Ma wszystkie nasze listy pożegnalne. Postanowiłem zostać w wojsku, bo nie wiedziałem, co innego mógłbym robić, ale przeczytałem wiadomość i wiedziałem, że muszę tu przyjechać. Musiałem to zrobić, nawet jeśli cierpiałem, nie mówiąc ci, kim jestem, nie przyznając się do tego, że cię kocham. Zginął przeze mnie. Nie mogłem odmówić najlepszemu przyjacielowi wypełnienia jego jedynej prośby.

– Więc postanowiłeś kłamać. – Pojawił się w moim życiu, w moim sercu, w każdej cząsteczce mojego istnienia pod fałszywą tożsamością. – Wiedząc, co zrobił mi ojciec, co zrobił mi Jeff, i tak postanowiłeś kłamać.

– Tak.

Oparłam się o ścianę, choć serce domagało się, abym wyszła i ocalała to, cokolwiek jeszcze ze mnie zostało, a umysł walczył o każdą odpowiedź, nim pochłonie mnie gorycz. Okazało się, że nawet odejście Jeffa nie bolało tak bardzo, bo nie kochałam go w taki sposób.

Becketta darzyłam uczuciem aż po kres duszy, w co wliczały się też małe, mroczne miejsca, jakie ukrywałam przed wszystkimi innymi. Nawet miłość do dzieci łączyła się z tym, jak kochałam Becketta, bo on również je kochał.

– Czy kiedykolwiek chciałeś mi powiedzieć? – Znalazłam w sobie na tyle siły, by na niego spojrzeć.

– Od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłem – wyznał, opierając się w kuchni o blat... ten sam blat, na którym kochaliśmy się po raz pierwszy. – Zawsze miałem to na końcu języka, zwłaszcza gdy pytałaś o Chaosa. Widziałem twój ból, częściowo nawet zastanawiałem się, czy nie zakochałaś się w nim w ten sam sposób, w jaki on w tobie.

– A mimo to pozwoliłeś mi wierzyć, że on... że ty nie żyjesz. – Nie odpowiedziałam na jego insynuacje.

– Byłem zazdrosny o samego siebie, zastanawiałem się, dlaczego otworzyłaś się przede mną w listach, a w rzeczywistości nie miałem u ciebie szans. Od początku wiedziałem, że jeśli ci powiem, znajdziemy się w sytuacji, w jakiej jesteśmy teraz, gdy nieuchronnie mnie od siebie odsuniesz, co oznaczało, że nie mógłbym spełnić prośby Ryana i ci pomóc. Okłamanie cię było jedynym wyjściem, jakie miałem, by być z tobą, więc zaakceptowałem, że nigdy nie będę kimś więcej niż facetem, którego przysłał ci brat.

– A ja się w tobie zakochałam. – Głupie, naiwne serce.

– Ofiarowałaś mi przebłysk życia, jakiego nigdy nie miałem otrzymać. Pokazałaś mi, co to znaczy mieć rodzinę i ludzi, którzy cię wspierają, więc robiłem, co mogłem, by wesprzeć ciebie. Nie jestem w stanie odpowiednio podziękować ci za ostatnie jedenaście miesięcy, nie

umiem wyjaśnić, jak bardzo jest mi przykro z powodu tego, co ci zrobiłem i ile cię to kosztowało. Ella, jesteś ostatnią osobą, którą pragnąłbym skrzywdzić.

– Ale mnie skrzywdziłeś. – Ból był jak lawina. Czulałam się wstrząśnięta, zdrowy rozsądek został pogrzebany, i nawet słyszałam alarm w głowie. Zakochałam się w tym człowieku, a on okłamywał mnie codziennie od jedenastu miesięcy.

Jeff obiecał, że będzie zawsze mnie kochał. Udawał kogoś, kim nie był, a potem mnie zostawił.

Ryan obiecał, że zawsze będziemy o siebie dbać. Wstąpił do wojska, wrócił w trumnie.

Ojciec obiecywał, że pojedzie na misję na tydzień lub dwa... i nie wrócił. Nigdy później nie chciał się ze mną spotkać.

Beckett... Chaos. Na temat czego jeszcze kłamał? Czy mogłam wierzyć w cokolwiek, co powiedział w zeszłym roku? Czy okłamywał też dzieci? Czy teraz w ogóle mówił prawdę? A może wypowiadając takie słowa, liczył na łaskę? Czy mogłam wierzyć w cokolwiek, co jeszcze powie?

– Bardzo cię przepraszam. Nie oczekuję od ciebie przebaczenia czy nawet zrozumienia. Nie jestem go wart... ani ciebie. Nigdy nie byłem.

Serce mi się krajało. Zaczynało brakować mi siły, więc musiałam się stąd wydostać, zanim całkowicie się załamie. Jednak jego spojrzenie trzymało mnie na miejscu. Nie błagał, nie bał się tego, co się z nami stanie, ale ze smutkiem wszystko akceptował. Od zawsze wiedział, że się tak skończy, a mimo to i tak postawił nas w tej sytuacji.

Czy dało się jakoś z tego wyjść? Kochałam go, a on mnie. Było o co walczyć, prawda? Ale jak toksyczny stanie się nasz związek, jeśli zdecydujemy się go kontynuować? Nigdy nie wybaczę mu tego, co mi zrobił, to zawsze będzie nad nami, jak jakaś złowieszcza, toksyczna chmura.

– Muszę zapytać cię jeszcze o jedno.

– Śmiało – odparł. Jak jego przystojna twarz mogła maskować tak wielkie oszustwo?

– Wszystko, co zrobiłeś, to znaczy adopcja, nasz związek, ceremonia Maisie, domek na drzewie Colta... Wszystko to przez list Ryana? – Dech uwiązał mi w gardle, gdy czekałam na jego odpowiedź. Chociaż bardzo mnie skrzywdził, musiałam wiedzieć, czy to, co było między nami, było prawdziwe, czy to tylko moja głupota.

– Nie. Sprowadził mnie tu list Ryana, nie przyjechałbym tu bez niego, ale reszta... Ella, wszystko to zrobiłem, bo cię kocham. Bo kocham Colta i Maisie. Bo przez tę krótką, wspaniałą chwilę byliście moją rodziną, moją przyszłością i wydawało się, że zostanie tak na wieczność. Nie zrobiłem tego dla Ryana, a dla ciebie i siebie.

Dzielące nas trzy metry wydawały się ciągnąć w nieskończoność, a jednak były niczym, gdy zastanawiałem się nad kolejnym ruchem. Między nami znajdowało się w tej chwili tyle samo miłości co kłamstw, lecz mój gniew z powodu jego zdrady przyćmiewał wszystko inne.

Wciąż go kochałam – obie jego postaci – ale nigdy już nie będę mu w stanie zaufać. A bez zaufania co dobrego z miłości? Jak można było budować z kimś życie, jeśli kwestionowało się podstawy wszystkiego, co mówił?

– To nie wystarczy. – Kiedy wypowiedziałam te słowa, aż w duszy poczułam ich prawdziwość. – Przez niemal rok kłamałeś mi prosto w oczy. Podzieliłam się z tobą wszystkim: sercem, duszą, ciałem, a nawet rodziną, a ty nie potrafiłeś nawet zdobyć się na to,

by wyznać mi prawdę o tym, kim jesteś. Nawet nie wiem, jak się z tym uporać. Nie mam pojęcia, co jest między nami prawdą a co kłamstwem. Chciałabym być silna i powiedzieć, że jakoś sobie poradzimy, bo bardzo się kochamy, ale nie sądzę, by było to możliwe. Przynajmniej nie teraz. Nie mam na tyle siły, aby się z tym zmagać. Odebrała mi ją śmierć Ryana, diagnoza Maisie. Powinnam wiedzieć, że też mnie skrzywdzisz, ale ci zaufałam, a teraz już nic we mnie nie zostało.

Idąc do drzwi, trzymałam się ściany. Słońce wpadało przez szybę, kusząc obietnicą, że jeśli tylko uda mi się stąd wyjść, nic mi się nie stanie. Musiałam sobie poradzić. Musiałam zatroszczyć się o dzieci. Nie stać mnie było na luksus załamania się z miłości.

I nie stać mnie było na to, aby wybaczyć Beckettowi.

– Rozumiem – powiedział tuż za mną, gdy złapałam za klamkę. Czułam jego bliskość, ten prąd, który zawsze iskrzył między nami, i wiedziałam, że jeśli się obrócę, zobaczę go za sobą.  
– Będę tu, gdybyś czegoś potrzebowała.

Łzy znów napłynęły mi do oczu, ale tym razem nie opłakiwałam Ryana, a Becketta. Uczucia te były podobne, bo wiedziałam, że straciłam ukochaną osobę.

– Uważam, że lepiej by było, gdybyś wyjechał. – Powiedziałam to do drzwi. Jeśli zostanie w Telluride, być może znów się do niego zbliżę, a nie przeżyję kolejnych kłamstw. Nie zdołam być silna dla dzieci, jeśli Beckett powali mnie na kolana, a one stały dla mnie na pierwszym miejscu. Zawsze. – Spakuję rzeczy, które zostawiłeś u mnie i ci je wyślę. Nigdy więcej nie chcę cię oglądać.

Każde zakończenie nerwowe w moim ciele krzyczało z bólu, jakby ktoś przypiekał je rozpalonym prętem, przez co miałam mdłości. Nie czekając na odpowiedź, wyszłam z domku i nie obejrzałam się za siebie.

## ROZDZIAŁ 23

BECKETT

List #22

*Chaosie,*

*Ryan nie żyje, ale jestem pewna, że już o tym wiesz. Szczerze mówiąc, piszę to tylko po to, by nabrało realności.*

*Ryan nie żyje.*

*Ryan nie żyje.*

*Ryan...*

*Nic nie wydaje się właściwe. Jego ciało wciąż znajduje się w Dover, jest przygotowywane do pogrzebu, i powiedziano mi, że nie mogę go zobaczyć. W pewnym sensie zastanawiam się, czy to nie jest jakiś chory żart, że on wcale nie znajduje się w trumnie. Mam wrażenie, że nie będę musiała organizować pogrzebu brata.*

*Mama, tata, babcia, Ryan. Wszyscy nie żyją, a ja wciąż tu jestem. Czy Maisie będzie kolejna? Czy życie naprawdę jest tak podłe? Jedna tragedia za drugą? A może tak już działa ten świat?*

*Dzieci są zdruzgotane. Kiedy wczoraj powiedziałam Coltowi, nie chciał ze mną rozmawiać, a Maisie nieustannie płacze. Ja jednak nawet nie zaczęłam. Jeszcze nie. Obawiam się, że gdy zacznę, nigdy nie przestanę. Zmieniłabym się w fontannę słonej wody i nieszczęścia.*

*Ryan był moim najlepszym przyjacielem. Moją bezpieczną przystanią podczas sztormu. A teraz czuję się, jakbym znalazła się w huraganie pośrodku oceanu, którego fale tylko czekają, aby mnie wyrócić i wciągnąć.*

*Wiem, że to szalone, ale jesteś jedynym, z którym pragnę teraz być. Tylko z Tobą byłam przez ostatnie miesiące całkowicie szczerą. Możesz więc być jedynym, który zdoła pojąć wielki, wyniszczający smutek, z którym sama nie potrafię się uporać, ponieważ wiem, że chociaż zarzekasz się, że nie wiesz, co to rodzina, Ryan był również Twoim bratem. Należał do Twojej rodziny.*

*Mam jedynie nadzieję, że przyjedziesz na pogrzeb, bo wiem, że on chciałby, byś tu był. Ja tego chcę. A jeśli nie zdołasz przyjechać, to nie zmieniaj planów. Ale proszę, przyjedź do Telluride, nawet jeśli na kawę. Błagam.*



---

**P**rzeczytałem list chyba po raz setny, po czym odłożyłem go do szuflady w szafce nocnej. Unikałem go, jak i dwóch kolejnych przez ostatnie szesnaście miesięcy, a teraz najmocniej na świecie zapragnąłem go przeczytać – usłyszeć w głowie jej głos.

Gdybym przeczytał go od razu, zamiast schować, natychmiast bym do niej przyjechał. Nie odmówiłbym jej i wszystko byłoby teraz inaczej. Jednak Ryan nadal nie żyłby przeze mnie, więc może jednak nie...

Zszedłem na dół mojego nowego domu, w którym Demolka drzemała w plamie wpadającego przez duże okno słońca. Wyciąłem drzewa, aby mieć widok na wysepkę na jeziorze. Na szczęście dom stał pod takim kątem, że nie widziałem domku Elli.

Może torturowałem się widokiem grobu Ryana, ale wiedza, że Ella była jednocześnie tak blisko i tak daleko była o wiele gorsza. Minął ponad miesiąc, odkąd ode mnie odeszła. Tego samego popołudnia oddała mi rzeczy. Cała moja rola w jej życiu zdołała się zmieścić w czterech pudełkach.

Przy zerwaniu spodziewałem się krzyków, pisków, rzucania przedmiotami, jednak jej stoicka cisza była o wiele gorsza. Przyjęła do wiadomości, że z nami koniec, więc w tej chwili musiałem nauczyć się żyć bez niej i dzieci.

Boże, tęskniłem za maluchami. Przez Ellę związałem się z nimi w sposób, który stał się dla mnie zarówno błogosławieństwem, jak i przekleństwem. Były cudowne, bo nauczyły mnie miłości, do której nie wiedziałem, że jestem zdolny. Cierpiałem, bo Ella odcięła mnie od nich, do czego miała święte prawo. Nie ufała mi, co obejmowało również kwestię dzieci. Złamałem jej serce, jednak ja byłem załamany z powodu utraty całej trójki.

Westchnąłem na widok pustego salonu. Naprawdę musiałem kupić jakieś meble. Urządziłem sypialnię, dziś dzięki Amazonowi przyszła większość rzeczy do kuchni. Jednak reszta wyposażenia zdawała się nieistotna, bo tak, postawiłem ten budynek, ale z jakiegoś powodu nie czułem się w nim jak w domu.

Otworzyłem lodówkę, by znaleźć sobie coś na lunch, gdy zadzwonił mój telefon. – Gentry – odebrałem, zastanawiając się, kto tym razem zgubił się w górach. Na wiosnę pojawiało się tu sporo turystów, którzy cierpieli na chorobę wysokogórską albo się gubili, albo łamali kości, schodząc ze szlaku.

– Pan Gentry? Przepraszam, że niepokoję. Z tej strony dyrektor Halsen ze szkoły podstawowej. Colton trafił do mojego gabinetu.

Żołądek mi się skurczył.

– Coś mu się stało? Miał wypadek? – Dlaczego dzwoniło akurat do mnie.

– Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Wdał się dziś w sprzeczkę z kolegą z klasy i musi wrócić do domu.

– W bójkę? – Niemożliwe. Nie Colt. Jasne, dzieciak był porywczy, ale nigdy nie widziałem, by stawał się agresywny, chyba że chodziło o obronę siostry.

– Tak, w bójkę.

– Wow. Dzwonił pan do jego matki?

– Nie mogłem się dodzwonić, a Colt powiedział, że jest z Margaret w szpitalu w Montrose. Miałem nadzieję, że pan po niego przyjedzie.

Odsunąłem telefon od ucha, by spojrzeć na numer, czy nikt mnie nie wkręca.

– Miałbym go odebrać? – zapytałem powoli.

– Tak. Polityka szkoły wymaga, by po czymś takim wrócił do domu, a pana nazwisko jest drugie na liście do kontaktu w razie nagłych wypadków.

Szlag. Ella jeszcze tego nie poprawiła. Co oznaczało, że będę miał możliwość spotkania z Coltem. Z ekscytacją trzasnąłem drzwiami lodówki. Ella nie chciała, bym się z nim widywał, a ja nie miałem do tego prawa.

– Czy ktoś jeszcze jest na liście?

– Z tego, co mi przekazano pani Ada i pan Larry, ale pojechali na urlop do Glenwood Springs.

Więc zostałem tylko ja.

– Tak, będę tam za dwadzieścia minut.

Podziękował i się rozłączył.

Zawahałem się z palcem nad imieniem Elli, w końcu zebrałem się na odwagę i zadzwoniłem. Od razu połączyłem się z pocztą głosową, co mnie nie zdziwiło. W pierwszym tygodniu po rozstaniu próbowałem do niej dzwonić, ale za każdym razem odzywała się poczta. Skończyła ze mną. Mówiła, że kłamstwa stanowią nieprzekraczalną granicę, i nie żartowała.

– Cześć, Ella, tu Beckett. Słuchaj, dzwoniłi ze szkoły, Colt wdał się z bójką i ktoś musi go odebrać. Jestem na liście do kontaktu, więc pojadę po niego. Daj znać czy zostawić go w głównym budynku Samotni, czy zawieźć do Montrose. Jeśli nie oddzwonisz, wezmę go do siebie. Wiem, że nie chcesz, bym się z nim spotykał, ale sytuacja jest nadzwyczajna, więc mam nadzieję, że zrozumiesz. Dzięki. – Rozłączyłem się i oparłem telefon na czole. Nawet wysłuchanie powitania na jej poczcie było torturą.

Zostawiłem Demolkę śpiącą w słońcu i pojechałem zwirową drogą. W dwadzieścia minut zjawiłem się pod szkołą. Zdenerwowany, spodziewałem się, że dyrektor da mi w kość, tymczasem zrobił to Colt.

Wpisałem się przy drzwiach i spojrzałem na kobietę w dyżurce.

– Dzień dobry, jestem Beckett Gentry, przyjechałem po...

– Coltona MacKenziego – odpowiedziała z uśmiechem młoda kobieta. – Wiem, kim pan jest. Wszyscy wiemy. – Ruchem głowy wskazała na pozostałe kobiety, które zebrały się za jej biurkiem.

– Okej, więc mogę po niego iść?

– Jasne! Już pana wpuszczam.

Zabrzęczał zamek, więc wszedłem do środka. Ostatnio byłem tu z Ellą kilka miesięcy temu na przedstawieniu Colta. Chociaż to całkiem niedawno, zdawało się być wspomnieniem zupełnie innej osoby.

– Tędy, proszę – powiedziała kobieta, zakładając włosy za ucho, uśmiechając się zaczepnie. – Jestem Jennifer, gdyby pan zapomniał.

– No tak, Jennifer. Spotkaliśmy się w tamtym roku?

Prowadziła mnie do gabinetów administracji.

– Tak! Kiedy przyszedł pan ze swoim psem ratowniczym. Kiedy się pan wpisywał, podrzuciłam panu swój numer.

– Tak, pamiętam. – Spróbowałem posłać jej wymuszony uśmiech. Nie byłem wtedy z Ellą, ale to się nie liczyło, bo i tak nie zadzwoniłem do Jennifer. – Przepraszam, że się nie odezwałem. Mam nadzieję, że się pani nie gniewa.

Jennifer dotknęła mojej ręki, gdy znaleźliśmy się przed drzwiami gabinetu dyrektora.

– Wcale. Przykro mi, że rozstał się pan z Ellą. Gdyby czegoś pan potrzebował lub po prostu chciał pogadać, z chęcią ponownie dam panu swój numer.

O *rety*. Wyglądała na pełną nadziei i relacja z nią w przeciwieństwie do tej z Ellą, nie byłaby skomplikowana.

– Dzięki... zapamiętam. – Robiłem, co mogłem, by jej nie obrazić.

– Śmiało. – Ponownie się uśmiechnęła. Często to robi. Przypuszczałem, że przeważnie była szczęśliwa. Nie walczyła o utrzymanie dziecka przy życiu, nie zmagła się ze śmiercią brata oraz zdradą człowieka, którego kochała. Błyszczała, jak nowa moneta.

Ale w ciągu ostatnich miesięcy nauczyłem się, że lekka patyna miała swój urok. Dodawała głębi, sprawiała, że błyszczące miejsca stawały się bardziej zauważalne. Ella przez wszystko, co przeszła, stała się ponadprzeciętnie piękna. Tragedia jej nie złamała, a ją udoskonaliła.

Jennifer zapukała, po czym otworzyła drzwi gabinetu, a ja wszedłem, wpatrując się w Colta, który wybałuszył oczy na mój widok.

– Dyrektorze – zwróciłem się do mężczyzny, który wskazał mi puste miejsce obok dziecka.

Usiadłem obok bardzo sztywnego Colta. Malec cały był spięty i zagryzał zęby. Zaciskał palce na podłokietniku, położyłem dłoń na jego ręce i lekko ścisnąłem. Trochę się rozluźnił, ale według mnie niewystarczająco.

– Panie Gentry, przykro mi, że pana wezwałem, ale jeśli dochodzi do przemocy, musimy odesłać ucznia do domu.

– Możesz mi powiedzieć, co się stało? – zapytałem Colta.

– Zaatakował kolegę...

– Chciałbym usłyszeć to najpierw od niego, jeśli pan pozwoli – przerwałem dyrektorowi Halsenowi.

– Byliśmy na placu zabaw i Drake Cooper nie dawał spokoju Emmie, a ona go nie lubi – odpowiedział, patrząc przed siebie. – Powiedziała, by odszedł, a on nie chciał i próbował ją pocałować.

*Drake*. Rozpoznałem to imię. List numer trzy.

– Czy to ten sam dzieciak, który gonił Maisie, bo też chciał ją całować? – dociekałem. To pierwszy raz, gdy użyłem informacji, którą miał jedynie Chaos. Oczywiście, Colt nie wiedział, o czym rozmawiałem z jego matką. Nie miał pojęcia, o czym wiem. Poczulem dziwną jedność faceta piszącego listy i mężczyzny, który adoptował dzieci.

– Tak. Chyba niczego się nie nauczył.

– No chyba nie.

Dyrektor posłał mi dezaprobujące spojrzenie, które jawnie zignorowałem.

– Więc go odciągnąłem i mu przywaliłem – dokończył Colt, wzruszając ramionami. – Chciał mi oddać, ale zrobiłem unik.

– Nieźle – skomentowałem, kiwając głową.  
– Za wolno się porusza. – Znów wzruszył ramionami.  
– Panie Gentry, jak pan widzi, pański syn dopuścił się ataku na kolegę. Zostanie dziś odesłany do domu, zawieszony na jutro. Musimy pokazać, że nie możemy tolerować tego typu zachowania.

– Nie jestem jego synem – szepnął Colt.

*Tak, jesteś.*

– No tak, przepraszam – poprawił się dyrektor i posłał mi kolejne wymowne spojrzenie. Przecież z dokumentów wiedział o adopcji.

– Nie mam problemu z tym, by zabrać go do domu, czy, że został zawieszony. Ma pan rację, to on zadał pierwszy cios. Jednak chciałem zapytać, co z Drake'em?

Colt spojrzał na mnie zszokowany.

– Słucham? – zapytał dyrektor.

– Domyślam się, że powiedział pan Coltowi o jego wyłącznej winie, zgadza się? Mimo wszystko to on uderzył kolegę, zrobił to, co uznał pan zapewne za eskalację przemocy.

– Postąpił niewłaściwie.

– Może. Ale Drake również. Przecież stosował przemoc, a Colt chciał go powstrzymać.

– Trudno mi nazwać wybryki na szkolnym placu zabaw przemocą. – Dyrektor się skrzywił.

– Drake'owi powiedziałem, że jego zachowanie jest nieakceptowalne, ale wie pan, jacy są chłopcy, gdy się zakochają.

Spojrzałem na Colta, który miał taką samą minę, jak Ella tuż przed wybuchem.

– Właściwie to wiem. Zachowują się jak Colt i chronią dziewczynki, które im się podobają. To, co zrobił tamten dzieciak, bez względu na pana postrzeganie tej kwestii, jest złe. I oczywiście, może to pan zlekceważyć i potraktować jako wybryk na placu zabaw, jak na pewno robił pan to przez ostatnie trzydzieści lat, które spędził pan w tej szkole. Jednak problem nie dotyczy tylko tego jednego razu, a zaczyna się powtarzać. Nie zrobił pan nic, gdy w zeszłym roku zaatakował w ten sposób Maisie. Teraz znów o nim mówimy, a jest o rok starszy. Tak, mogę zabrać Colta do domu i porozmawiać z nim o tym, kiedy należy używać siły, ale zapewne skończy się to tym, że pokażę mu jak prawidłowo zadawać ciosy, bo pewnego dnia tamten chłopak będzie miał szesnaście lat i nie będzie jedynie wymuszał buziaków na placu zabaw.

Dyrektorowi opadła szczęka, a ja wstałem.

– Dziękuję, że poświęcił pan uwagę temu problemowi. Jestem pewien, że jego matka wyciągnie stosowne konsekwencje – rzuciłem. – Colt? Gotowy do wyjścia? Chyba czekają nas lody.

Mały pokiwał głową, zsunął się z krzesła i zarzucił plecak na ramię. Wyszliśmy ze szkoły na chłodną marcową aurę. Colt milczał, gdy wszedł do pick-upa, zapiął się w foteliku.

Od miesiąca nie wyjąłem siedzisk. Wydawało mi się to bardziej ostateczne niż wyjście Elli z domku.

– Twoja mama nie oddzwoniła – oznajmiłem, sprawdzając telefon.

– Pojechała z Maisie do Montrose – odpowiedział.

– Tak. Kto się tobą zajmuje, gdy Ada i Larry mają wolne? – Wyjechałem z parkingu i skierowałem się do Samotni. O tej porze dnia nie było wielkiego ruchu, ale kiedy słońce

zaczęło zachodzić, jak zwykle w sezonie turystycznym mogło być ciężko.

Fakt, że mieszkałem tu wystarczająco długo, aby rozpoznać, że coś było sezonem turystycznym, stanowiło swoistego rodzaju objawienie.

– Hailey.

– Dobra, chcesz, żebym odstawił cię do głównego budynku? – Spojrzałem w lusterko wsteczne, ale mały gapił się przez szybę. – Colt?

– Wszystko jedno.

Nigdy wcześniej tak szybko mnie nie zgasił. Oczywiście, że był na mnie zły. Miał do tego pełne prawo.

– Zostawiłem twojej mamie wiadomość, że jeśli nie oddzwoni, wezmę cię do siebie. Może być? Czy wolisz jechać do Hailey?

To haczyk. Bardzo chciałem spędzić z nim kilka godzin. Musiałem się dowiedzieć, co u niego, czy coś zmieniło się w jego życiu, czy dostał się do wiosennej ligi piłki nożnej. Tęskniłem za bliźniętami tak bardzo jak za Ellą. Jednak wiedziałem, że to wbrew woli kobiety, więc nie mogłem po prostu go wykraść.

– Jak daleko pan mieszka? – zapytał, wciąż obserwując krajobraz. – Nie mogę wsiąść do samolotu ani nic takiego. Mama by się wkurzyła.

Serce zgubiło rytm.

– Kolego, mieszkam w Telluride...

– Tak? Myślałem... – Pokręcił głową. – Chyba możemy jechać do pana, jeśli nie okłamiemy mamy. Bardzo się denerwuje, gdy ktoś nie mówi prawdy.

Wiedziałem, że Ella nie była mamą, która opowiedziałaby dzieciom ze szczegółami, dlaczego nie byliśmy już razem, ale te słowa mnie zabolowały.

– Jesteś pewien?

Przytaknął.

– Hailey pracuje, nowa kucharka nie lubi dzieci, a Ada jej. Jeśli nie ma pan nic przeciwko, chciałbym spotkać się z Demolką – powiedział pustym głosem, jakby decydował, czy chce zjeść kalafiora czy brokuł.

– Tak, ona też by chciała się z tobą spotkać. I ja również. Tęsknię za tobą.

– Okej. – Skrzywił się.

– Poważnie, Colt.

Nie odpowiedział, więc jechaliśmy w ciszy, aż skręciłem na szutrową dojazdówkę przy granicy Samotni.

– Dokąd pan jedzie? – zapytał.

– Do domu.

Przysunął się do okna, patrząc na mijany teren.

– Mieszka pan tu?

– Tak. – Zatrzymaliśmy się na łące, na której wzniosłem budynek, a Colt obracał głowę.

– Mieszka pan po drugiej stronie jeziora?

– Tak. Spoko, nie? – Wjechałem do garażu i zgasilem silnik.

– Pewnie. – Colt wziął plecak i pobiegł do budynku przede mną.

Otworzyłem drzwi, więc wbiegł do domu, upadł na kolana w przedpokoju i objął Demolkę.

Suczka piszczała, szurając ogonem po podłodze, po czym położyła łeb na jego ramieniu, potem na drugim.

– Wiem. Też za tobą tęskniłem, mała – powiedział, drapiąc ją za uszami. – Już dobrze.

Nie wiem, co wzruszyło mnie bardziej, czy on mówiący do niej tak łagodnie, czy ona, gdy piszczała. Zachowywała się w ten sam sposób, gdy Maisie przyjechała w grudniu po megachemii.

– W zamrażarce mam lody – zaproponowałem.

– Nie, nie trzeba. Chodźmy się bawić! – Rzucił plecak, zaciągnął zamek w kurtce, a Demolka z kongiem w pysku wyprowadziła go na zewnątrz.

Poszedłem za nimi, usiadłem na stopniach ganku, gdy chłopiec rzucał psinie zabawkę w kierunku brzegu jeziora. Znajdował się jakieś dziesięć metrów ode mnie, ale rety, zamarłem i zdawało się, że był oddalony ode mnie o całe kilometry.

Po dłuższej chwili udało mi się do nich podejść.

– Podoba ci się? – zapytałem.

– Nie widać stąd mojego domu – wytknął, po raz kolejny wzruszając ramionami.

– Nie, bo jest za wyspą.

– Właśnie dlatego pan o mnie zapomniał? – Rzucił zabawkę w kierunku wody.

Tak, w tym tempie nie miałem przetrwać z nim nawet kilku godzin. Ella znajdzie trupa, a Colt będzie trzymał w rękach szczątki mojego serca.

– Nigdy o tobie nie zapomniałem, Colt. To byłoby niemożliwe.

Demolka przyniosła kongę, więc mały rzucił go mocniej, było w tym sporo złości.

– Jasne.

– Colt. – Ukłęknałem i obróciłem go ku sobie, po czym odetchnąłem głęboko, aby się uspokoić. Na policzkach miał ślady łez. – Nie zapomniałem o tobie.

– To dlaczego pan do nas nie przychodził? Któregoś dnia wróciłem ze szkoły, a mama powiedziała, że już się nie przyjaźnicie i tyle.

– To skomplikowane, kolego. – Położyłem ręce na jego ramionach.

– Tak mówią dorośli, gdy niczego nie chcą wyjaśnić. – Zamrugał i popłynęły kolejne łzy.

– Wiesz co? Masz rację. Relacji między dorosłymi nie da się łatwo wytłumaczyć, ale się postaram. Nawaliłem. Rozumiesz? Twoja mama tego nie zepsuła. To nie jest jej wina, ale moja. Schrzanilem tak bardzo, że zerwaliśmy.

– Ale nie zerwał pan ze mną! – krzyknął. – Ani z Maisie! Zniknął pan! A kiedy wymknąłem się do pana, już pana nie było. Wyjechał pan bez powodu i pożegnania.

– Jestem tu – obiecałem przez ściśnięte gardło, niemal krztusząc się własnymi słowami.

– Masz rację. Bardzo cię przepraszam, Colt. – Włożyłem w te słowa wszystkie emocje, mając nadzieję, że zda sobie sprawę, że to prawda. – Tęskniłem za tobą każdego dnia. Nie było chwili, bym nie chciał się z tobą spotkać, czy porozmawiać. To, co stało się między mną a twoją mamą nie oznacza, że nie kocham ciebie ani Maisie. Tylko to... – Dlaczego w takiej sytuacji nie istniały właściwe słowa? Dlaczego nie potrafiłem wytłumaczyć mu wszystkiego, nie obwiniając o wszystko Elli? To nie była jej wina, a moja.

– Skomplikowane – dokończył.

– Tak, skomplikowane.

Przestał się gniewać, na twarzy odmalował się jednak głęboki smutek.

– Myślałem..., że jest pan moim tatą. Albo że pewnego dnia nim pan będzie. A potem pan zniknął.

Tym razem jego łzy mnie rozbiły. Przyciągnąłem go do siebie i objąłem.

– Ja też, Colt. Nic nie dałoby mi takiego szczęścia, jak bycie twoim tatą. Jesteś najlepszym synem, jakiego mógłbym mieć. To nie jest twoja wina. Ani twojej mamy. Jest moja. Zatem jeśli chcesz się złościć, to w porządku, ale musisz być zły na mnie. Na nikogo innego. Obiecasz?

– Nie chcę być zły. – Płakał w moją koszulę. – Chcę to wszystko naprawić!

– Chciałbym, by było to możliwe, ale niektóre rzeczy są nie do naprawienia.

Odsunął się i spojrzał na mnie gniewnie.

– Maisie była naprawdę zepsuta, ale mama mówi, że jeśli będzie walczyć, to wyzdrowieje i wtedy okaże się, że wszystko warte było wysiłku.

– Wiem. – Zazwyczaj dobrze orientowałem się w dziecięcej logice, ale tutaj mnie zaskoczył.

– Więc to nie może być zepsute bardziej niż Maisie, żeby nie próbować tego naprawić. Maisie się nie poddała, a walka trwa wiecznie – przeciągnął ostatnie słowo. – Pan z mamą zerwaliście w jeden dzień.

– Naprawdę chciałbym, by to było takie proste, Colt.

– Tak jak i Maisie by chciała wyzdrowieć, ale jest na tyle odważna, żeby próbować to zrobić.

O związkach uczył mnie siedmiolatek.

– Wiesz, do kogo jesteś teraz podobny?

Uniósł brwi, ale nie odpowiedział.

– Do wujka Ryana. Mówisz zupełnie jak on.

Spojrzał na wyspę, po czym znów na mnie.

– Okej. To spróbuje pan to naprawić? A może się pan podda?

Dla Colta wszystko było takie proste. Nie widział jeszcze najgorszego w życiu, tego, co ludzie są w stanie zrobić sobie nawzajem. Nie wiedział o tym, co zrobiłem jego matce. Nie zdawał sobie sprawy, że to przeze mnie nie żył jego wujek. Kochałem Ellę jeszcze bardziej za to, że nie zwróciła dzieci przeciwko mnie.

– Mogę spróbować, kolego. Dla ciebie i Maisie mogę spróbować. – Szanowałem wolę Elli, bym wyjechał. Odebrałem jej każdą inną możliwość wyboru, więc wydawało się sprawiedliwym, by się podporządkować. Poza tym nie zasługiwałem na drugą szansę. Ale co, jeśli popełniłem błąd? Co, jeśli powinienem jednak naciskać?

*Od razu by cię odepchnęła.*

– Dobrze. Przepraszam. Dziewczyny to lubią. – Pokiwał głową i poklepał mnie po ramieniu.

– Będę o tym pamiętał. Coś jeszcze?

Zmarszczył na chwilę czoło, po czym się uśmiechnął.

– Lubią, jak się o nie walczy.

Rety, kochałem tego dzieciaka.

– Emma jest tą jedyną, co? – Z tego, co pamiętałem z jego imprezy urodzinowej, była urocza, dobra, bystra i miała duże, brązowe oczy i kręcone włosy o kilka odcieni ciemniejsze niż cerę.

– Ma ładną skórę. – Dla podkreślenia pokiwał głową.

Dołączyłem w tym do niego, starając się nie śmiać.

– Mówisz jej o tym?

– Nie! – Rozejrzał się, dumając. – Może powiem, gdy będziemy mieć po dwanaście lat.

– Zamierzasz prowadzić długą rozgrywkę, jak rozumiem. – Wyprostowałem się, a on się obrócił i ponownie rzucił konga Demolce, która przez cały czas cierpliwie czekała. – Uważam, że niesamowicie jej dziś bronisz. Zawsze lepiej bronić słabszych. Może jednak nie bij tak często.

Pokiwał głową.

– Wściekłem się.

– Tak, to też rozumiem, ale bycie mężczyzną polega na tym, by znać swoją siłę i kontrolować gniew.

– Mam siedem lat.

Prawie się zaśmiałem, uświadamiając sobie, że znałem go na tyle, że słyszałem, jak mówił, iż ma sześć.

– Nie na długo – skwitowałem. – Mogłeś go odciągnąć. Może nie byłoby to tak satysfakcjonujące, ale równie skuteczne. W dodatku nie trafiłbyś do dyrektora.

– Zapamiętam – powiedział, powtarzając moją wcześniejszą deklarację.

– To co myślisz o domu? – Zbudowałem go dla niego i Maisie... dla Elli. Jak na ironię zerwaliś zaraz przed tym, jak zdążyłem jej zrobić niespodziankę.

A może powinienem o budowie powiedzieć jej od samego początku, jak o wszystkich innych sprawach.

Spojrzał na dom, marszcząc brwi.

– Jest w porządku. Podoba mi się.

– Cieszę się.

– Ale trzeba jeszcze postawić domek na drzewie. – Wskazał na kępę sosen. – Tam by pasował.

– Okej.

– I dodać tyrolkę.

– Nie zamierzasz się poddać, co?

– Nigdy! – Ściągał Demolkę po brzegu, gdy zadzwonił mój telefon.

*Ella.*

– Cześć – odebrałem.

– Co się stało z Coltem? – zapytała piskliwie. – Przepraszam, ale w tamtym skrzydle szpitala nie mam zasięgu i nikt nie mógł się do mnie dodzwonić, a szkoła już zamknięta. Co za bałagan.

Jej głos przeszył mnie, jednocześnie kojąc i raniąc.

– Wszystko w porządku. – Odchrząknąłem, mając nadzieję usunąć chrypkę.

– Nie wierzę, że przejechałeś całą tę drogę. Jak daleko byłeś?

– Może dziesięć minut od celu.

– Czekaj. Jesteś w Telluride?

– Mówiłem ci, że nie wyjadę.

Oddech parokrotnie jej przyspieszył, a potem zwolnił, jakby zamierzała coś powiedzieć, ale zmieniała zdanie.



– Drake chciał pocałować Emmę – wyznałem. – A Colt jej bronił.

Jęknęła.

– Co za palant. To znaczy ten Drake. Nie Colt.

– Tak, wiem. Chyba mogłem nagadać trochę dyrektorowi. Powiedziałem, że to częściowo ich wina, gdy nie powstrzymali dręczyciela, gdy tak samo prześladował Maisie.

– Prawda? Morderstwo by mu odpuścili. Czekał, skąd...

Usłyszałem, że sapnęła, gdy zrozumiała, skąd o tym wiem.

– Twój trzeci list. – Czułem, że nasza rozmowa się zmienia, gdy wdarty się między nas moje grzechy, ale nie uciekałem przed nimi. – Powiedziałem Coltowi, że dobrze chronić dziewczynę, którą się lubi, ale żeby rzadziej bił kolegów.

– Tak, dobrze zrobiłeś.

Zapadła smutna, ciężka cisza, gdy przypominaliśmy sobie to, co powiedziałem w zeszłym miesiącu.

– W tej chwili bawi się z Demolką, ale jeśli chcesz, mogę go zawieźć do Hailey. Na jutro został zawieszony.

– Szlag, wrócę dopiero jutro po południu, a Hailey pilnuje go, bo Ada i Larry wyjechali, ale cały jutrzejszy dzień pracuje. Nie mam nic przeciwko temu, by spędzał czas w głównym budynku, ale...

– Ale kucharka, która zastępuje Adę, nie przepada za dziećmi. Colt mi powiedział.

– Tak, jest złośliwa, ale też naprawdę dobra. – Westchnęła, a ja wyobraziłem sobie, jak gładzi włosy z tyłu głowy, rozglądając się, by wymyślić, co zrobić.

– Może zostać u mnie. Mam miejsce i z wielką chęcią spędzę z nim czas. Ale zrozumieć też, jeśli nie zechcesz. Mogę go również przywieźć do Montrose. – *Albo wyciąć sobie serce i się wykrwawić, jeśli tak zadecydujesz.*

Znów minęła dłuższa chwila ciszy i niemal się z tego wycofałem, nienawidząc, że dałem jej tego rodzaju władzę.

– Byłoby miło, gdyby mógł u ciebie zostać i na pewno mały by tego chciał. Naprawdę za tobą tęskni – ściszyła głos do szeptu. – Maisie również.

– Ja też za nimi tęsknię. Było... ciężko.

*Tęsknię za tobą nieprzerwanie tak bardzo, że boli, gdy oddycham.*

– Tak.

Znów zapadła cisza. Wszystko bym oddał, by zobaczyć ją w tym momencie, przytulić, paść jej do stóp i złożyć ofiarę, jakiej zażąda.

– Słuchaj, zadzwonię do Samotni i poinformuję Hailey. Przyjadę jutro około siedemnastej. Może być?

– Żaden problem.

– Dziękuję i cieszę się, że wciąż tu jesteś. To znaczy tam. W Telluride. Okej. Pa.

– Ella – nie mogłem powiedzieć „żegnaj”, nawet przez telefon.

Rozłączyła się, a ja spojrzałem na Colta. Miałem być z nim cały dzień. Zrobiłem to, co zrobiłby każdy racjonalnie myślący człowiek. Wziąłem wolny dzień w pracy i wykorzystałem każdą jego minutę.

## ROZDZIAŁ 24

ELLA

List #2

*Ello,*

*Twoje ciastka są najlepsze na świecie. Nie kłamię.*

*Po pierwsze, nie daj się zastraszyć innym matkom. Chociaż często bywam na wojnie, muszę przyznać, że kobiety mnie onieśmielają, a ponieważ nie mam żadnych potomków, oddaję Ci salut z Igrzysk Śmierci i życzę powodzenia.*

*Tak, oglądamy tu sporo filmów.*

*Pytałaś o najstraszniejszą decyzję, którą podjąłem. Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek bałem się jakiegoś wyboru. Strach oznacza, że masz coś do stracenia, a ja tak naprawdę nigdy nie miałem. Nie zagłębiając się za bardzo w swoje pochodzenie, powiem tylko, że poza tym oddziałem nie mam rodziny. Nikt nie czeka, aż wrócę z tej misji. Nawet wstępując do wojska, długo się nie zastanawiałem, ponieważ ukończyłem osiemnaście lat i przestał mnie ochraniać system opieki zastępczej.*

*Boję się za to za chłopaków. Nienawidzę, gdy zostają ranni lub gorzej. Boję się, ilekroć Twój brat wykazuje się lekkomyślnością, ale to nie są moje decyzje.*

*Jednak zdradzę ci, jak trudnego musiałem dokonać wyboru. Kupiłem ziemię, choć jej nie widziałem, a została mi jedynie polecona. Właściciel tanio sprzedawał, bo był w kropce, a ja zaryzykowałem. Nie mam pojęcia, co teraz z nią zrobić. Mój bankier – tak, mam takowego, więc nie umrę bez grosza przy duszy – powiedział, bym trochę ją potrzymał, a potem sprzedał, gdy już przejdę na emeryturę. Twój brat twierdzi, że powinienem wybudować na niej dom i w nim zamieszkać.*

*Przeraza mnie to. Myśl o osiedleniu się gdzieś, skąd nie wyniosłbym się po kilku latach. Bycie nomadą przynosi mi spokój. Kiedy się przeprowadzam, zaczynam od nowa. Czysta karta czeka, bym ją zapisał. Ej, ostrzegałem Cię, niezbyt dobrze radzę sobie z ludźmi. Osiedlając w jednym miejscu, musiałbym popracować nad sobą, aby nie zrazić osób wokół siebie, z którymi bym utknął. Albo zostanę pustelnikiem w górach, zapuszczę długą brodę, co w sumie może nie byłoby takie złe.*

*Myślę, że dam Ci znać, gdy już podejmę jakąś decyzję.*

*Twój pensjonat musi być świetny i wierzę, że dobrze wybrałaś, inwestując w niego. Jak mówiłaś, nie ma zabawy bez ryzyka.*

*Czego dodajesz do ciastek? Są naprawdę uzależniające. Mogę kłać, biegnąc dodatkowe kilometry, by je spalić, ale z pewnością są tego warte.*

*Jeszcze raz dziękuję.*

Chaos

---

**-N**a pewno tędy? – zapytałam Maisie, gdy wjechałyśmy na żwirową drogę. – Jesteśmy blisko Samotni.

Telluride. Beckett wciąż był w Telluride. Nie wyjechał. Nie uciekł, jak głupio założyłam.

– Tak powiedziała pani z nawigacji, gdy kliknęłam na pinezkę, którą ci przysłał – odpowiedziała Maisie, machając telefonem z otwartą aplikacją z Google Maps. – Naprawdę spotkamy się z panem Beckettem? – dociekała z wielką nadzieją w głosie.

– Tak, za chwilę. – Staralam się mówić nonszalancko, ale polegåm. Mo¿e to przez zmęczenie po dwóch tygodniach spędzonych w szpitalu po radioterapii. Mo¿e to przez śmierć kolejnego dziecka, z którym Maisie zaprzyjaźniła się w Denver. Mo¿e przez Becketta.

A mo¿e moje serce po prostu było złamane.

– Tęsknię za nim – wyznała cicho mała.

– Ja też, skarbie – odparłam bez namysłu.

– Nie, wcale nie. Gdybyś za nim tęskniła, to dzwoniłabyś do niego. Pozwalałabyś nam się z nim spotykać – rzuciła wyzywająco, gdy jechałyśmy obrośniętą drzewami drogą.

– Maisie, to nie jest takie proste. Czasami między dwójgim ludzi się po prostu nie układa i chyba zrozumiesz to dopiero, gdy będziesz starsza.

– Okej.

Rety, nie mogłam się doczekać, aż ta mała mądrala stanie się nastolatką. Uśmiechnęłam się, gdy zdałam sobie sprawę, że miała teraz na to szansę.

*Dzięki Beckettowi.*

Splecione z miłością kłamstwa okazały się zabójcze, jednak nie wymazały wszystkiego, co dla nas zrobił. Nie skreśliły tego, jak się czułam, gdy mnie całował, jak się ekscytowałam w jego towarzystwie. Nie umniejszyły jego miłości do dzieci ani tego, jak maluchy go kochały.

Jednak miłość nie wykreśliła kłamstw ani obaw, że mo¿e powiedzieć mi ich więcej.

Zatem tkwiliśmy w impasie.

Nie chodziło o to, że nie potrafiłam zrozumieć motywów jego działania, bo było wręcz przeciwnie. Po prostu nie umiałam mu zaufać.

– Bo¿e – szepnęłam, gdy podjechałyśmy pod jego dom.

Spojrzałam na jezioro, by mieć pewność, po czym wróciłam wzrokiem do budynku. Zapytałabym Maisie, czy jest pewna tego adresu, ale z ganku zbiegł Colt, a Demolka deptała mu po piętach, co odpowiedziało mi na moje niezadane pytanie.

Beckett kupił dziesięć hektarów ziemi, którą dwa lata temu sprzedałam firmie inwestycyjnej.

Dom był piękny. Zbudowany jak chata z bali, co pasowało do Samotni. Miał dwie kondygnacje, dwuspadowy dach, kamienne fundamenty. Klasyczny, rustykalny, a jednocześnie nowoczesny. Definicja Becketta.

Colt otworzył drzwi od strony siostry.

– Jesteś! Tęskniłem!

– Ja też! – powiedziała i się uściskali.

– Cześć, skarbie – przywitałam się, gdy się rozdzielili.

– Cześć, mamó! – Postał mi uśmiech ponad oparciem siedzenia. – Zrobiliśmy obiad. Chodź!

– Och, Maisie nie czuje się za dobrze. – Na myśl o spędzeniu z Beckettem czasu natychmiast dopadła mnie panika.

– Tak przypuszczaliśmy, więc zrobiliśmy kurczaka z ryżem i krakersami, jeśli ich potrzebujesz, Maisie. Chodźcie, musicie zobaczyć dom! – nalegał, a jego siostra wysiadła, wykazując większą energię niż przez ostatnie dwa tygodnie. Dzieci pobiegły.

– Najwyraźniej postanowione – wymamrotałam pod nosem.

Ogarnęła mnie chęć, by sprawdzić fryzurę i makijaż, ale się powstrzymałam. Nie musiałam imponować Beckettowi. Zabawne, niegdyś myślałam tak samo ze względu na jego miłość do mnie. Teraz nie powinnam przejmować się tym, co o mnie pomyśli.

Zerknęłam jednak w lusterko, pospiesznie poprawiłam włosy, bo... jednak mi zależało. *Cholera.*

– Nie bądź tchórzem – pouczyłam samą siebie, wysiadając z tahoe. To ja go zostawiłam, nie on mnie. Dlaczego więc tak bardzo to bolało? Dlaczego serce chciało wyskoczyć z mojej piersi? Dlaczego pragnęłam go zobaczyć niemal tak samo mocno, jak nigdy go już nie oglądać?

*Ech...*

Miałam dwadzieścia sześć lat i po raz pierwszy naprawdę złamane serce. Kiedy odszedł ode mnie Jeff, rozprasały mnie bliźnięta i mój własny upór. Ale z Beckettem? Nic nie odciągało mojej uwagi. Mężczyzna nawiedzał moje myśli, sny oraz pocztę głosową. Nie kasowałam wiadomości od niego, nadal nie wyrzuciłam listów. Był więc wszędzie.

Zwolniłam, wchodząc do domu. W środku budynek też był piękny, wszystko dzięki ciemnym, drewnianym podłogom i wysokim sufitom. Dokładnie taki zaprojektowałabym dla siebie. Ale nie był mój, jak również jego właściciel.

*Chwileczkę. A gdzie meble?* Na ścianach nie wisały zdjęcia, nie było śladu, by ktoś się wprowadził. Czy mimo wszystko Beckett wyjeżdżał?

– Cześć – powiedział, wychodząc zza rogu.

Kurde, wyglądał naprawdę dobrze. Miał na sobie dżinsy i koszulkę z długim rękawem z logo drużyny piłkarskiej Colta na piersi, a jego włosy wydawały się nieco dłuższe i idealnie zmierzwione. Miał też czelność wyhodować nieco seksownego zarostu na twarzy.

– Hej. – Ze wszystkich słów, które musieliśmy sobie powiedzieć, padło tylko to.

– Dzieci zwiedzają. – Spojrzał na sufit, skąd dobiegł odgłos pospiesznych kroków. – Słuchaj, Colt chciał ci przygotować obiad. Mówiłem, że to pewnie nie jest dobry pomysł, ale

się uparł, więc pomyślałem, że będziesz mogła zabrać jedzenie, jeśli nie zechcesz zostać.

– Mieszkasz na terenie, który sprzedawałam dwa lata temu?

– Tak – przyznał z łatwością.

– To tu się wyniosłeś?

– Po tym, gdy ze mną zerwałaś – doprecyzował.

Pokiwałam powoli głową.

– Kiedy się wymeldowałeś i Colt powiedział, że twoje rzeczy zniknęły, zapytałam Hailey, czy zostawiłeś na siebie jakiś namiar.

– Nie.

– Jasne. Właśnie wtedy założyłam, że wrócisz do wojska. – Jak pozostali dwaj mężczyźni, których kochałam.

– Nie zostawiłem żadnych informacji, bo sądziłem, że w razie konieczności zadzwonisz na posterunek. Nie przyszło mi do głowy, że po tym, co ci obiecałem i tak pomyślisz, że zostawię cię i dzieci. – Westchnął i otarł twarz. – No ale skłamałem na temat tego, kim jestem, więc...

Miał rację. Oboje o tym wiedzieliśmy.

– Nie podoba mi się to, jak wszystko zakończyliśmy. Jak ja to zrobiłam – przyznałam.

– Mnie również – odpowiedział łagodnie.

– Nie dzwoniłeś.

– Próbowałem przez pierwszy tydzień, ale nie odebrałaś, więc stwierdziłem, że mówiłaś poważnie, gdy rzuciłaś, że nie chcesz mnie więcej widzieć.

– Przepraszam. Nie powinnam się tak zachować. Czasami... przesadzam, gdy chodzi o kłamstwa i...

– I budowanie muru wokół dzieci – dokończył za mnie myśl, powtarzając moje słowa z listów. – Rozumiem i zasłużyłem sobie na to. Przecież ostrzegałaś mnie w swojej pierwszej wiadomości, prawda?

Boże, gość tak dobrze mnie znał, a ja nie znosiłam tego, że nic o nim nie wiedziałam.

– Nie masz mebli.

Uniósł brwi na tę nagłą zmianę tematu.

– Mam tylko w sypialni i w kuchni. Nie żebym cokolwiek sugerował. Po prostu potrzebowałem łóżka. Do spania. Tylko do spania. – Wyprostował się i włożył kciuki do kieszeni spodni. – I do kuchni, oczywiście. Żeby gdzieś przygotować jedzenie. Bo to kuchnia.

Sposób w jaki oboje niezręcznie zabraliśmy się do tej rozmowy – byłby nawet zabawny, gdyby na widok Becketta serce nie wyrwało mi się z piersi.

– Dlaczego? Dlaczego nie masz mebli?

– Szczerze?

– Tak. Chyba wystarczy kłamstw między nami, nie sądzisz? – Skrzywiłam się. – To nie było potrzebne. Przepraszam.

– Śmiało, zasłużyłem na wszystko, co mi zaserwujesz.

– Meble? – przypomniałam, aby zmienić temat.

– Kupiłem to, czego było mi trzeba. Zawsze planowałem, byś wybrała resztę, a później... cóż, miałem to gdzieś. Chociaż przed sezonem futbolowym powinienem urządzić salon. Trochę niezręcznie zażerać się przekąskami w łóżku.

– Dzieciaki zbiegły ze schodów na parter.

– Świetny, nie, mam? – zapytała Maisie, przebiegając obok nas, gdy Colt deptał jej po piętach. Rety, szybko odzyskała energię. Demolka zatrzymała się przy mnie na szybkie drapano za uszami, po czym pognąła za dziećmi.

– Zaczekaj, aż zobaczysz pokój rekreacyjny! – rzucił Colt i zniknęli w korytarzu.

– Czy ona się w ogóle z tobą przywitała? – zapytałam ze śmiechem.

– Tak, uściskała mnie, nim Colt zabrał ją na górę, by pokazać pokoje.

– Ile ich tam masz? – Nie żebym musiała to wiedzieć.

– Sześć. Pięć tam i mieszkanie nad garażem.

– Wow. Duży jest. – Pokręciłam głową. – Proszę, nie nabijaj się z tego, co właśnie powiedziałam.

– Nawet bym nie śmiał. – Jego wesołość zapierała dech w gardle i łamała mi serce. Jak zwykle czułam się przy nim swobodnie, ale teraz stało się to również potwornie trudne.

– Dobra, to nie jest moja sprawa, ale sam to zbudowałeś? Jesteś właścicielem ziemi, którą sprzedałam? – Widziałam jak budowano dom i karciałam się w duchu za sprzedaż tego terenu, ilekroć podglądałam ekipę. Na szczęście, kiedy siedziałam w domku, widok zasłaniała mi wyspa, więc w końcu zaczęłam wszystko ignorować.

– Budowałem go przez ostatnie siedem miesięcy. Dla ciebie. Zmusiłam płuca do nabrania powietrza, gdyż najwyraźniej same nie chciały tego zrobić.

– Dla mnie.

– Mówiłaś „żadnych kłamstw”. – Rzucił mi uśmiech przez ramię. – I to jest ta najważniejsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjąłem.

– Kupiłeś tę ziemię niemal dwa lata temu? Myślałam, że nabyła ją firma inwestycyjna.

– Bo tak było. Ryan zapytał, czy nie chcę zainwestować w ziemię. Zainteresowałem się, więc skoro byliśmy po drugiej stronie świata, dał mi namiar na bankiera. Gość stwierdził, że dobrze zdywersyfikować moje środki, więc to zrobiłem. Cóż, on to zrobił. Ja tylko podpisałem dokumenty, gdy tu przyjechałem. Nie wiedziałem, że to była twoja ziemia, dopóki nie przyjechałem do Samotni.

– I mi nie powiedziałaś. Nie widzisz wzoru?

– Nie. Istnieją tajemnice i niespodzianki.

– Posiadasz dziesięć hektarów mojej posiadłości!

– Właściwie jedynie półtora hektara. Śmiało, sprawdź w hrabstwie. Przepisałem pozostałą część z powrotem na ciebie. Och, ale pozostała mi służebność drogi dojazdowej. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

– Oddałeś mi ziemię?

– Poza tą, na której stoi dom. To znaczy tak, zbudowałem go dla ciebie, ale też dla siebie. Fajnie, jeśli chcesz dom, ale ja idę z nim w parze. A teraz coś zjedzmy. Mogę zapakować ci jedzenie, jeśli nie chcesz zostać. Nie naciskam.

Odwrócił się i zaczął iść, więc poszłam za nim. Dom prezentował się naprawdę spektakularnie. Beckett zaprowadził mnie do dużej, nowoczesnej kuchni, w której stały stół i krzesła. Otwierała się na przeszklone, przesuwane drzwi na patio.

Cholernie idealny.

– Nie możesz budować mi domu.

– Już to zrobiłem – odpowiedział. Obszedł wyspę do miejsca, w którym znajdowało się jedzenie.

– Nie jest niczym normalnym, by zbudować kobiecie dom i jej o tym nie powiedzieć. – Stałam w kuchni, oparłam się o ciemną, granitową wyspę. Znajdowała się w dobrym miejscu. Idealnym do... *Wyrzuć tę myśl z głowy.*

– Tak, cóż, miałem ten głupi, romantyczny pomysł, że ci go zbuduję i udowodnię, że nigdzie się nie wybieram. A potem, kiedy Maisie zostanie wyleczona i wszystko wróci do normy, zechcesz w nim zamieszkać. Ze mną. Wiem, że kochasz mieszkać w pensjonacie, więc nie zamierzałem naciskać, a naprawdę nie byliśmy gotowi na rozmowę o przeprowadzce. – Nałożył jedzenie na talerze. – I oboje wiemy, że nie umiem radzić sobie w związku. Biorąc pod uwagę moje dotychczasowe doświadczenia, mógłbym w tej kwestii równać się z czternastolatkiem. – Wzruszył ramionami.

– To naprawdę dla ciebie takie łatwe? – Och, wyszło okropnie.

Talerze zastukały na granicie, po czym Beckett obrócił się do mnie.

– Nie, wcale. Trudno przebywać z tobą w jednym pomieszczeniu i nie paść na kolana, by błagać o wybaczenie. Mogę jedynie trzymać ręce z dala od ciebie, choć chciałbym cię całować, dotykać i przypominać ci o tym, jak nam razem było dobrze i jak bardzo cię kocham. Dobija mnie, że nie mogę zabrać cię na górę i pokazać, że przygotowałem sypialnię wyłącznie dla ciebie, choćby tylko po to, żebym mógł przy tobie spać. Wszystko to jest jak nóż wbijający się coraz bardziej w mój brzuch, a najgorzej się czułem, gdy Colt zarzucił mi wczoraj, że go nie kocham. Powiedział, że liczył na to, że zostanę jego tatą, a zamiast tego zniknąłem i o nim zapomniałem. Potem stwierdził, że jestem tchórzem, bo nie próbuję naprawić naszej relacji. I wiesz co? Ma rację z tym tchórzostwem. Mogę skłamać i powiedzieć, że nie chcesz, bym o ciebie walczył, że nie jestem wart drugiej szansy, ale prawda jest taka, że boję się, iż niewłaściwie odetchnę i pogorszę sprawę. Nie utraciłem tylko ciebie, Ella, ale również dzieci. Nie ma w tym nic łatwego, ale robię, co mogę, by nie było źle. To co? Chcesz ten cholerny groszek? Bo w internecie napisano, że dobrze go jeść po radioterapii.

Zaklął.

– Groszek jest w porządku – wyszeptałam.

– Doskonały. Mam też ryż pełnoziarnisty. I chudego kurczaka, skoro jest lekkostrawny. – Nałożył groszek. – Dowiem się, co będzie dalej, czy mam czekać na listy z ubezpieczalni?

– W przyszłym tygodniu mamy badania krwi. Jeśli wyjdą dobrze, zaczniemy immunoterapię.

Na jego twarzy pojawiła się ulga, ale nie była przeznaczona dla mnie.

– To ostatnia przeszkoda na jej drodze do wyzdrowienia, prawda?

– Może. Miejmy nadzieję, chociaż nie chcę jej żywić.

– Nadzieja jest dobra. Pozwól sobie na nią, bo nie mamy pojęcia, co może się stać. Musisz przyjmować dobro, kiedy się pojawia, bo jeśli tylko nadejdzie zło, nie będziesz mieć innego wyjścia.

Do kuchni wpadły dzieci, córka zajęła jedno z krzesel.

– Maisie?

– Nic mi nie jest, mamo.

– Nie przemęczaj się – powiedziałam z przyzwyczajenia.

– Zostajecie czy nie? – zapytał szeptem Beckett, aby dzieci nie słyszały. Dawał mi wybór. Zawsze pytał o decyzję.

– Proszę pana, Colt dostał się do wiosennej ligi piłki nożnej – poinformowała go Maisie, machając nogami pod krzesłem. – Hailey zerwała z kolejnym chłopakiem, a ja ponownie odmówiłam spełnienia życzenia przez fundację.

– Że co? – zapytał Beckett, natychmiast na nią patrząc. – Dlaczego? Nie chcesz się przebrać za Batgirl, gdy będziesz w Denver? Albo za syrenkę i polecieć na Bahamy? Popracować nad filmem z Ronem Howardem?

Wzruszyła ramionami.

– Mam wszystko, czego chciałam, a tego, czego pragnę – nikt mi nie da, więc powinni spełnić życzenie kogoś, kto bardziej tego potrzebuje.

Kucnął.

– A czego pragniesz.

– To teraz nieważne. Zjemy?

„Nie utraciłem tylko ciebie, Ella, ale również dzieci”.

Słowa Becketta ponownie we mnie uderzyły, tym razem z podwójną siłą. Kochałam tego mężczyznę, wciąż tak było, jeśli miałabym być ze sobą szczerą. Ufałam mu na tyle, że pozwoliłam, aby adoptował moje dzieci. A potem, o ironio, zerwałam z nim kontakt, by oszczędzić swoje serce, a robiąc to, zniszczyłam serduszka bliźniąt – choć drżałam, aby on tego nie zrobił. Wszystko przez to, że bałam się przebywać w jego towarzystwie i oddychać pełną piersią. Beckett nigdy nie stanowił zagrożenia dla dzieci, a ja byłam głupia i prawdopodobnie niewielki dystans rozjaśnił mi w głowie i uwierzyłam w końcu, że w stosunku do maluchów zawsze był szczerzy. Do diabła, był ich ojcem nie tylko na papierze. Nie porzucił ich jak Jeff. Zbudował im dom i natychmiast pojechał po Colta, nawet jeśli nie byliśmy już razem.

A chociaż odsunęłam się od niego, ani razu nie rzucił mi umową adopcyjną w twarz. Zawsze dawał mi wybór.

A wybrałam źle.

Myliłam się.

– Zostaniemy.

Beckett się wyprostował i posłał mi zszokowane spojrzenie.

– Zostaniecie.

– Na obiad.

Jego twarz wykrzywiły emocje, nim zapanował nad sobą, pokiwał głową i posłał mi wymuszony uśmiech.

– Tak, zjedzmy. Colt, nalej dziewczynom coś do picia.

Syn ucieszył się, po czym przelał lemoniadę do ładnego, szklanego dzbanka.

Zjedliśmy i było jednocześnie normalnie i smętnie. Dzieci nie przestawały mówić, wprowadzając Becketta we wszystko, co wydarzyło się przez ostatni miesiąc. Mężczyzna słuchał, odpowiadał, wpatrywał się w nie i chłonał każde ich słowo.

Obserwowałam go w ciszy, zwieszając wzrok, gdy to zauważał, ale zaraz znów się na niego gapiłam. Był Beckettem, ale również Chaosem, z każdym kęsem posiłku słowa z jego



listów bombardowały moje serce, przypominając mi, że ten, który siedział naprzeciwko mnie, był tym samym, do którego czułam tak wielki pociąg. Tym samym, który był smutny, samotny i nie czuł się wart więzi z innymi ludźmi – rodziną.

Dokończyliśmy posiłek i wstałam.

– Colt, możesz posprzątać ze stołu? Chciałabym, by Beckett pokazał mi górę.

– Tak! – rzucił, entuzjastycznie kiwając głową, po czym szepnął do naszego gospodarza coś, co brzmiało jak „przeprosiny”.

Beckett z powagą pokiwał głową, po czym zmierzył małemu włosy i puścił oko do Maisie. Wskazał, bym za nim poszła i skierował się na schody.

Górny korytarz ciągnął się na dwie strony.

– Tam znajdują się pokoje dzieci i gościnne.

– Pokaż sypialnię.

Poszedł w drugą stronę i zaprowadził mnie do pomieszczenia z wysokim sufitem i wielkimi oknami. Przy jednej ze ścian znajdowało się duże łóżko z biało-srebrną pościelą, którą sama bym wybrała.

– Tam jest łazienka z dwiema garderobami i pralko-suszarką. Druga jest na dole przy przedpokoju, bo... cóż, dzieci się brudzą. Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Możesz obejrzeć, jeśli chcesz. – Usiadł przy końcu łóżka.

– Nie muszę. Wiem, że wszystko jest idealne.

– Cóż, jeśli nie przysłaś tu, by obejrzeć wannę, to o co chodzi?

– Nie wrócimy do siebie – rzuciłam.

– Nie hamuj się.

– Przepraszam, ale chciałam, by było to jasne, nim powiem coś więcej. – Zaczęłam chodzić tam i z powrotem przed łóżkiem. Rety, dywan był naprawdę mięciutki.

– Cóż, po takim wstępie nie mogę się doczekać. – Pochylił się, opierając ręce na ramie na końcu łóżka. – Ale najpierw powinienem cię przeprosić. Ponownie. Może nawet głośniej, by Colt mnie usłyszał. Doradził mi, że dziewczyny lubią, gdy się je przeprasza. Zatem naprawdę bardzo cię przepraszam za to, że cię okłamałem. Za to, że pozwoliłem ci myśleć, że nie żyję. Że po śmierci Ryana nie przeczytałem twoich listów. Gdybym to zrobił, nigdy nie trzymałbym się z dala, skoro prosiłaś, żebym przyjechał.

– Czytałeś je? – Po tym wszystkim w końcu je otworzył.

– Tak. I przepraszam. Powinienem odpisać. Powinienem przyjechać. Nie powinienem niczego przed tobą ukrywać. Bardzo mi przykro z powodu bólu, który wywołałem i nie istnieją słowa, którymi potrafiłbym wyrazić smutek co do tego, że przyczyniłem się do śmierci Ryana.

Zatrzymałam się.

– Beckett, nie obwiniam cię o nią.

Spojrzał mi w oczy.

– Dlaczego?

– A dlaczego miałabym to robić? – Usiadłam obok niego na materacu. – To nie była twoja wina. Gdyby istniała jakakolwiek szansa na to, abyś go uratował, na pewno byś to zrobił. Gdyby w jakiś sposób można było zapobiec temu, co się z nim stało, na pewno byś do tego nie dopuścił – wyrecytowałam z pamięci.

– Ryan.

– Tak, Ryan. Nikt nie powinien przechodzić przez to, przez co ty tam przeszedłeś. Nie zabiłeś specjalnie tamtego dziecka. To był wypadek. Znam cię, Beckett. Nie skrzywdziłbyś dziecka. Wypadki są straszne, okropne rzeczy dzieją się bez powodu i niczyjej winy. To na pewno nie była twoja wina. A to, co spotkało Ryana? Za to również nie powinienes się obwiniać. Nie jesteś za to odpowiedzialny bardziej niż afrykański motyl za huragan.

– To nie to samo.

– Ależ tak. Winę za śmierć mojego brata można zrzucić na wszystkich na tysiąc sposobów. Rodziców, którzy swoją śmiercią zmienili jego życie. Babcie, która nie walczyła z nim dostatecznie mocno, gdy chciał zaciągnąć się do wojska. Terrorystów, którzy sprawili, że musiał stąd wyjechać i coś z nimi zrobić. Mnie, bo modliłam się, aby wrócił do domu, nie określwszy w jakim stanie. Jednak nic z tego się nie liczy. Zgłosił się na ochotnika na akcję i podejrzewam, że zrobiłby to nawet, gdybyś tam był, bo właśnie tak postępował. Był taki sam jak nasz ojciec, a ja potrzebowałam lat, by to dostrzec. Jeśli chcesz kogoś winić, myśl o tych ludziach, którzy pociągnęli za spust, bo tylko ich warto obwiniać.

Zwiesił głowę. Obróciłam się, ujęłam jego zarośnięte policzki w dłonie i uniosłam jego twarz, aby spojrzał mi w oczy.

– Czasami dzieją się złe rzeczy i nikt za to nie odpowiada. Nie znajdziesz w tym logiki, bez względu na to, jak solidne będziesz miał argumenty. Jeśli wszystko miałoby sens, to Maisie nie zachorowałaby na raka, rodzice nadal by żyli, Ryan byłby tu ze mną, a ty nie miałbyś okropnego dzieciństwa. Jesteśmy niedoskonałymi ludźmi, stworzonymi w ten sposób przez świat i nie zawsze mamy wpływ na to, co nas kształtuje. Nie winię cię za śmierć Ryana. Jediną osobą, która to robi – jesteś ty sam. A jeśli nadal będziesz trzymał się tego bólu, wpłynie on na całe twoje życie. Masz wybór.

– Kocham cię. Wiesz o tym, prawda? Bez względu na to, co się stało, czy jak bardzo schrzaniłem, kocham cię.

Opuściłam ręce, z trudem przełknęłam ślinę i pokiwałam głową.

– Wiem. I chciałabym, aby w naszym przypadku miłość i zaufanie szły w parze, ale gdzieś się rozdzieliły i nie wiem, czy znajdą do siebie drogę powrotną. Muszę być w stanie wierzyć w to, co mi mówisz, a coś się zepsuło. Może gdyby Maisie nie była chora, a ja miałabym nieco więcej siły... Ale po prostu nie mogę. Przynajmniej nie teraz. Zdaję sobie sprawę z tego, że kochasz dzieci, a one ciebie. I źle postąpiłam, że je od ciebie odciąłam. Cierpiałam i tworzyłam w głowie kiepskie wymówki. Ale prawda jest taka, że zawsze mogę oddać je pod twoją opiekę. To znaczy, jesteś ich ojcem. – Szturchnęłam go w bok.

– Na papierze.

– W rzeczywistości też. – Coś przyszło mi do głowy. – Właśnie dlatego nie naciskałeś na mnie, aby powiedzieć im o adopcji, prawda? Wiedziałeś, że prawda w końcu wyjdzie na jaw.

– Tak.

– I nie chciałeś ich ranić.

– Nie.

Wstałam i znów zaczęłam chodzić.

– Chcesz być obecny w ich życiu?

– Boże, tak. Wezmę wszystko, co zechcesz mi dać.

Powiedział to samo, co, gdy byliśmy razem po raz pierwszy. Żył tą prawdą, odkąd pojawił się w Telluride, zawsze dawał mi wybór. Nigdy na mnie nie naciskał, nigdy nie wymagał czegoś, na co nie chciałam pozwolić.

Nieważne jak bardzo mnie skrzywdził, Beckett był nadal tym samym człowiekiem, w którym się zakochałam. Tym samym, którego kochały i potrzebowały moje dzieci. Jedyne co się zmieniło to moje postrzeganie naszego związku.

– Okej, więc musimy się zachowywać, jakbyśmy byli rozwiedzeni.

– Nigdy nie byliśmy małżeństwem.

– Nieistotny szczegół. Chodzi mi o sytuację, w której ludzie, którzy pokusili się o jednorazowy numer, muszą się później dzielić opieką nad dziećmi. Kochamy się... kochaliśmy się. Coś wymyślimy. Jeśli naprawdę chcesz tu zostać...

– Wybudowałam dom, Ella. Czego jeszcze chcesz?

– Nadal jesteś żołnierzem? – Oczywiście, że znałam odpowiedź. Nie mógł się zwolnić, gdyż Maisie wciąż musiała mieć ubezpieczenie. Ale zdawałam sobie również sprawę z tego, że kiedy mała wyzdrowieje, Beckett nie będzie w stanie wysiedzieć w jednym miejscu, skoro nie będziemy razem, a jedyne, co go tu trzyma, to dzieci. Dusza nomady zapragnie wyruszyć w świat.

– To niesprawiedliwe.

– Tak, wiem. – Westchnęłam. – Dobra, jeśli zostajesz... na razie, to dzieci mogą cię odwiedzać, ile tylko zapragniesz. Jeżeli nadal chcesz wozić Colta na piłkę, to coś wymyślimy. Jeśli chcesz spędzać weekendy z Maisie, rozplanujemy to tak, by każdemu pasowało. Możesz się z nimi spotykać, a one z tobą. Jesteśmy dorośli, za to maluchy nie, więc to my musimy zachowywać się dojrzałe. Musisz walczyć o swoje prawa, a ja muszę ci je dać. I nie chcę ukrywać przed nimi adopcji, więc może kiedy Maisie wyzdrowieje, a ty nadal tu będziesz, powiemy im, że jesteś ich tatą. Mam na myśli tak, jak wcześniej planowaliśmy...

Zostałam zatrzymana i znalazłam się w ciepłych, silnych ramionach tuż przy twardej, znajomej piersi.

– Dziękuję – szepnął mi we włosy.

Pachniał tak dobrze, czułam się jak w domu. Może gdybyśmy stali w tej pozycji wystarczająco długo, wszystko inne przestałoby się liczyć. Moglibyśmy zatrzymać się w tej chwili i żyć, otoczeni wzajemną miłością.

Ale nie mogliśmy, bo przez rok przeciągnął mnie przez piekło i bez względu na to jak bardzo go kochałam, nie byłam pewna, czy ponownie zdołam mu zaufać, czy zdołam uwierzyć w jego słowa dotyczące naszego związku.

– Nie ma za co. I przepraszam, że je od ciebie odsunęłam. Zawsze żartowałeś, że nie masz żadnego doświadczenia w związkach, ale prawda jest taka, że ja też nie. Źle się zachowałam, ale od teraz zamierzam to naprawić.

– Będę tu – przyrzekł. – Będę wspierał i je, i ciebie. Wiem, że mi nie wierzysz, w porządku. Dowiodę, że będzie inaczej. Powoli zapracuję na twoje zaufanie. Przysięgam, nie pożałujesz tego, że pozwoliłaś mi je adoptować.

– Nigdy tego nie żałowałam – wyznałam, obejmując go. Zaraz jednak wyszłam z jego bezpiecznych ramion, bo mogłam zrobić coś głupiego, jak uwierzyć w to, co mi właśnie obiecał. – Chcesz powiedzieć bliźniętom?

– Tak. – Rozpromienił się jak dzieciak w bożonarodzeniowy poranek.

Zastaliśmy dzieci sprząające kuchnię, na nasz widok natychmiast przerwały rozmowę.

– Naprawił pan? – zapytał Colt.

– Nie wszystko, koleżko – odpowiedział łagodnie Beckett.

– A przeprosił pan?

– Tak, ale przeprosiny nie naprawią tego, czego nie da się naprawić.

Syn spojrział na mnie gniewnie.

– Nie. – Beckett zbliżył się do niego i kucnął. Zawsze podobało mi się, że starał się być na ich poziomie. – Nie możesz być zły na osobę, która została zraniona ani oceniać jej zachowania, bo tylko ona jest w stanie powiedzieć, jak bardzo cierpi, rozumiesz? To nie jest wina waszej mamy, a moja. – Spojrział na Maisie, która miała łzy w oczach. – Moja.

Wyprostował się i podszedł do mnie.

– Nie jesteśmy razem – wtrąciłam. Z dezorientacji dzieci nie mogło wynikać nic dobrego.

– Ale wiem, że kochacie pana Becketta i on was kocha. Zatem od tej pory, dopóki wszystkim będzie pasowało, możecie tu przychodzić, gdy pan Beckett wam na to pozwoli. Piłka nożna, leczenie, telefony, odwiedziny, jakoś to rozpracujemy.

Maisie opadła szczęką.

– Poważnie?

– Tak – obiecałam.

Odkąd rozstałam się z Beckettem, Colt w ciszy wrzał z gniewu, jednak Maisie nie bała się wyrażać swojego zdania i czasami nawet była w tym złośliwa.

– Więc nie jesteście razem, ale możemy go zatrzymać? Jest nasz?

*Bardziej niż się wam wydaje.*

– Tak.

Dzieci poderwały się z krzesel, by uściskać Becketta, potem mnie, potem znów jego, a później siebie nawzajem. Następnie Maisie ponownie przytuliła Becketta i szepnęła mu coś do ucha. Uśmiechnęła się do niej, wzruszony, po czym powiedział:

– Ja też.

Zaprowadziliśmy dzieci do auta, gdzie zapięły się pasami. Kiedy zamknęły drzwi, obróciłam się do Becketta, który stał z rękami w kieszeniach. Miał sporo samokontroli, jednak wychwyciłam ten nerwowy tik.

– Dziękuję. Za obiad, za opiekę nad Coltem. Za ziemię i za dom, nawet jeśli nie jest mój. Intencje miałeś cudowne.

– Dziękuję ci za dzieci – odparł.

– Co ci powiedziała?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Beckett... – ostrzegłam.

– Powiedziała, że jej życzeniem, jedynym czego chce, jestem ja.

– Chce mieć tatę – domyśliłam się. – Żebyś ty był jej tatą.

– To dzieci – przypomniał, wzruszając ramionami, ale wiedziałam, że znaczy to dla niego dużo więcej.

– To nasze dzieci.

– Słuchaj, dotarło do mnie to, co mówiłaś na górze. Wiem, że nie możemy być razem, ale choć zabrzmiało to dość banalnie, chciałabym, byśmy byli przyjaciółmi. Nawet jeśli dla dobra dzieci.

Stojąc przed domem, który dla mnie zbudował, żałowałam, że poznałam prawdę. Chciałabym, by nie skłamał, żebyśmy mogli cofnąć się w czasie. Chciałabym, by nie był jednym ze skomplikowanych facetów, w których się zakochałam. Jednak był, kim był i zrobił to, co zrobił.

A mimo wszystko i tak nadal go kochałam.

– Tak. To się chyba uda zrobić.

– Odzyskam twoje zaufanie bez względu na to, jak długo to zajmie – powtórzył.

Nawet jeśli nie byłam gotowa – nie wiedziałam, czy kiedykolwiek będę – chciałam wierzyć, że mógł to zrobić i to pragnienie rozpało niewielką iskrę nadziei w moim sercu.

Nie była jednak na tyle duża, by mnie ogrzać, nie jak nasza miłość.

Ale to zawsze coś.

– Muszę nauczyć się dawać drugie szanse. Małymi krokami naprzód. Dobranoc, Beckett. Pokiwał głową. Widziałam, że stał na ganku, dopóki nie zniknęliśmy za zakrętem.

**PÓŁ ROKU PÓŹNIEJ**

## ROZDZIAŁ 25

BECKETT

List #23

*Chaosie,*

*od pogrzebu Ryana minęły dwa dni. Nie przyjechałeś, nie odpowiedziałeś na mój list. Kiedy pytałam chłopaków z Twojego oddziału, czy nic Ci nie jest – po wyglądzie oceniłam, że musieli z Tobą służyć – stwierdzili, że nie mają pojęcia, o kim mówię.*

*Zatem tak, zdecydowanie byli z Twojego oddziału.*

*Jeśli nie odpisujesz i nie przyjechałeś na pogrzeb Ryana, pozostaje tylko jedna możliwość, ale nie potrafię o to zapytać, bo nie wiem, czy poradzę sobie z odpowiedzią.*

*Stałeś się kimś, kogo nigdy się nie spodziewałam. Wspierałeś z daleka, nigdy nie oceniając. Nie zdawałam sobie nawet sprawy z tego, jak bardzo na Tobie polegam, dopóki Cię nie zabrakło. Jestem teraz przerażona.*

*Powiedziałeś mi kiedyś, że boisz się jedynie, gdy masz coś do stracenia. Wydaje mi się, że właśnie znaleźliśmy się w takiej sytuacji.*

*Tak bardzo cierpię. Odczuwam ból w każdej sekundzie, gdy nie śpię. W szpitalnej skali nieustannie ma dziesiątkę. Nie, to nieprawda. Musi mieć dziewięć punktów, prawda? Nie może osiągnąć maksimum, ponieważ mam dzieci. Jednak to wszystko tak cholernie boli.*

*Ryan. Patrzyłam, jak opuszczają trumnę do ziemi na naszej małej wyspie, ale nadal nie potrafię ułożyć poszczególnych elementów realnego obrazu. Wszystko wydaje się zamglone, jak jakiś koszmar, z którego nie mogę się obudzić. Jednak nocami śnię o tym, że Ryan jest w domu, a Ty zjawiasz się na moim progu – choć jesteś niewyraźny i rano nie pamiętam Twojej twarzy. Sny stały się upragnioną rzeczywistością, a kiedy się budzę, czeka na mnie koszmar.*

*Zatem błagam Cię, Chaosie, żyj. Proszę, nie mów, że byłeś z Ryanem, że spotkał Cię taki sam los. Błagam, powiedz, że nie miałeś pogrzebu, o którym mnie nie poinformowano. Że nie odebrano mi jedynej szansy na to, bym kiedykolwiek mogła stanąć kilka metrów od Ciebie.*

*Proszę, przyjedź za kilka tygodni i powiedz, że nic Ci nie jest, że zbyt cierpiełeś, by mi odpisać. Powiedz, że załamałeś się z powodu śmierci Ryana. Ale błagam, przyjedź.  
Nie bądź martwy.*

*Ella*

---

**J**esteś pewien? – zapytał przez telefon Donahue.  
– Tak. Dokumenty zależą od ciebie, prawda? – Zdjąłem Demolce kamizelkę i powiesiłem w szafce, która znajdowała się tuż obok mojej.

– Tak. – Westchnął. – Nie minęło dużo czasu.

– Jest wrzesień – powiedziałem ze śmiechem. – To oznacza, że od mojego odejścia z oddziału minęło osiemnaście miesięcy. – *Dwa lata, od pierwszego listu Elli.* – Nie możesz mnie wiecznie trzymać na ławce, trenerze.

– Mam jeszcze ponad trzy lata.

– Nie. Już czas. – Wyjąłem z szafki kluczyki i spojrzałem na przyczepione do drzwiczek zdjęcia: z wycieczki w góry z Ellą i dziećmi w zeszłym miesiącu, z wakacyjnego kempingu, z wygranej Colta w półfinałach ligi, oraz fotografię Maisie, która kilka miesięcy po immunoterapii zdołała pływać w jeziorze, a także Elli i Demolki, która trzymała łeb na jej kolanach. Wciąż byliśmy przyjaciółmi, jednak miałem rodzinę i byłem w domu. Kilka miesięcy temu zatrudniono mnie na pełen etat, co oznaczało, że nowe ubezpieczenie w pełni pokrywało to Maisie, więc wszystkie elementy układanki w końcu wskoczyły na swoje miejsce. – Tęsknię za wami. Nie będę kłamał, byliście moją pierwszą rodziną, ale nigdy nie wyjadę z Telluride i obaj o tym wiemy. Do diabła, Ella zerwała ze mną siedem miesięcy temu, a nadal tu jestem. Znalazłem dom. A poza tym Demolce się przytyło. – Psina pisnęła i przechyliła głowę w moją stronę. – To nic, lubię twoje krągłości – zapewniłem, głaszcząc ją, dobrze wiedząc, że nie miała pojęcia, co powiedziałem. – I to tylko dwa i pół kilo.

– Dobra. Zaakceptuję to, jeśli jesteś pewien, ale gdyby coś się zmieniło, masz do mnie zadzwonić. Rozumiesz?

– Tak jest. Ale nic się nie zmieni.

Westchnął.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Gentry.

– Zabawne, mówiłeś inaczej, gdy tam byłem.

– Nie mogę pozwolić, byś się ze mnie nabijał. Na razie.

– Na razie. – Usłyszałem, że się rozłączył.

Wsadziłem telefon do kieszeni i zamknąłem drzwiczki. Na szafce suczki napisano „Demolka”, na mojej „Chaos”, ponieważ pomimo wszystko to nadal byłem ja. Przestałem walczyć i się z tym pogodziłem.

– Ej, Tess mówiła, żebyś cię przywiózł na obiad – zaproponował Mark, którego spotkałem na parkingu.



– Z chęcią, ale Ella zadzwoniła wcześniej i powiedziała, że dzieci chcą zjeść ze mną, więc jadę do niej. Podziękuj Tess ode mnie.

– Nie ma sprawy. A jak tam sprawy między wami? – zapytał jak co tydzień. Stał się naszym wiernym kibicem.

– Powoli, ale do przodu.

– Walcz. – Pomachał i obaj wsiedliśmy do samochodów.

Demolka usadowiła się na swoim miejscu, więc odpaliłem silnik. Jechaliśmy z opuszczonymi szybami. Mieliśmy babie lato, temperatura nadal przekraczała dwadzieścia stopni, co oznaczało, że sezon turystyczny jeszcze się nie kończył, ale skoro od Święta Pracy minęły już dwa tygodnie, w Telluride zrobiło się nieco ciszej.

Nacisnąłem guzik przy kierownicy i kabinę wypełnił głos Elli.

– Hej, jedziesz?

– Tak. Mam skoczyć po pizzę?

– Byłoby cudnie.

– Niebawem przyjadę.

– Dobra. Szerokiej drogi. – Rozłączyła się, a ja się uśmiechnąłem. Nie byliśmy razem, ale się dogadywaliśmy. Jasne, napięcie seksualne mnie nie opuszczało i ją kochałem, co się nigdy nie zmieni, ale codziennie udawadniałem jej swoją wartość i mimowolnie liczyłem na to, że pewnego dnia będzie to wystarczało, aby naprawić naszą relację. Jednak okłamywałem ją przez jedenaście miesięcy, a moja pokuta trwała dopiero od siedmiu.

Byłem gotowy czekać wiecznie.

Tymczasem wydawało się, że jestem żonaty, choć się nie ożeniłem.

Niekiedy zdawało mi się, że drugą szansę mam na wyciągnięcie ręki, ale bywało też tak, że odsuwaliśmy się z Ellą od siebie na miliony kilometrów. Jednak żadne z nas nie spotykało się z kimś innym i trzymałem się ułamka nadziei, że gdy przyłapywałem ją na tym, że mi się przyglądała, miało zrodzić się między nami coś dobrego.

Zamierzałem dać jej tyle czasu, ile będzie potrzebowała.

Zaparkowałem przed pizzerią, wysiadłem z Demolką, by poczekać na zamówienie. W zapuszczaniu korzeni najzabawniejsze było to, że mieszkańcy znali mnie i suczkę.

– Dzień dobry, panie Gentry – powiedział młody Tanner, wręczając mi trzy pudełka. – Cześć, Demolka.

– Dobrze zagraliście w piątek – skomentowałem, płacąc.

– Dzięki! Przyjdzie pan za tydzień?

– Oczywiście – odparłem i ruszyłem z pizzą do drzwi.

Pomachałem znajomej parze, wsiadłem i położyłem pudełka między fotelikami bliźniąt, Demolka wskoczyła na miejsce pasażera. Dzieci wkrótce będą miały po osiem lat, co oznaczało, że odzyskam sporo miejsca w pick-upie. W uchwycie w drzwiach Colta zobaczyłem niedojedzoną paczkę oreo i przewróciłem oczami.

Zginę kiedyś przez tego chłopaka.

Kilka piosenek później wjechałem na podjazd Samotni, po czym zapukałem do drzwi Elli. Demolka wyskoczyła z auta, by przywitać się z dziećmi.

– Pan Beckett! – zawołała Maisie i zbiegła ze schodów.

Blond włosy odrosły jej na tyle, że na jej głowie pojawiły się sięgające do uszu loki. Piętnaście wspaniałych centymetrów, gdy nie była poddawana chemii. Wciąż wstrzymywaliśmy oddech, obserwując wyniki jej badań, ale doskonale przeszła immunoterapię, a teraz jej ciało musiało walczyć samodzielnie.

– Cześć, Maisie – powiedziałem i objąłem ją wolną ręką. – Jak w szkole?

– Dobrze! Zdałam wstępny test ortograficzny.

– Mądrała z ciebie, co? – Pocałowałem ją w czubek głowy, gdy przemierzaliśmy ganek. – A ty, Colt?

– A ja nie – odpowiedział, zbliżając się, żeby mnie uściskać.

– To tylko wstępny test, kolego. Poczujemy się razem, okej?

Przytaknął i otworzył mi drzwi.

– Przyniosłem żarcie! – ryknąłem.

– Ach, wrócił myśliwy – powiedziała z uśmiechem Ella, wychodząc z gabinetu. – Udany dzień?

– Teraz już tak. – Omiotłem wzrokiem jej letnią sukienkę, opaloną cerę, zakręcone włosy, długie nogi. Cholera, tęskniłem za jej ciałem. Za tym, jak dyszała mi do ucha, jak wyginała plecy, kiedy w niej byłem – ztracaliśmy się w sobie. Ale nie doszliśmy jeszcze do tego etapu, więc poleciłem fiutowi, by się uspokoił i zaniósł pizzę do kuchni. – Piękna sukienka. Coś się dzieje?

Ostatnio nieco bardziej się stroiła. Jeździła z Maisie na badania co tydzień, a później co dwa tygodnie, więc miała więcej czasu dla siebie i było to widać. Jej skóra jaśniała tak samo jak oczy, a nogi przestały przypominać yeti.

– Cóż, David Robins zaprosił mnie na wieczór. – Przesunęła dłonią po mojej ręce, zatrzepotała rzęsami. Cholera, czy ona ze mną flirtowała?

Teraz byłem w równym stopniu podniecony, rozbawiony i zazdrosny.

Nie umknął mi jej uśmieszek, gdy pudełka zsunęły się z blatu, ale złapałem je, zanim wylądowały na podłodze. O tak, moja dziewczyna się ze mną droczyła.

Odkąd zerwaliśmy, Robins zapraszał ją co miesiąc. Niebawem miałem do niego pojechać i wytłumaczyć mu sytuację pięściami. Głupi lalusz.

– Tak? – starałem się zabrzmieć nonszalancko, gdy już odłożyłem pudełka.

– Wiem, że – kiedy jadłeś dziś lunch z dziećmi – Jennifer Bennington cię zaprosiła. Ma na ciebie oko od... zarania dziejów? – zmieniła temat. Powiodła palcami po moich plecach i spojrzała na mnie z uśmiechem. Nigdy tyle mnie nie dotykała. Nie wiedziałem, co w nią wstąpiło, ale mi się to podobało.

– Nie drażnij lwa. Wiesz, że jej dziś odmówiłem, tak jak wcześniej i później też będę to robił.

Przygryzła dolną wargę i posłała mi spojrzenie, którego nie widziałem od siedmiu miesięcy, a przez które w dziesięć sekund znajdzie się na blacie, jeśli nie będzie się pilnować.

– Ella?

– Co? – Kołysała biodrami po drugiej stronie wyspy.

– Czy ty właśnie zakręciłaś tyłkiem? – Coś kombinowała.

– Może. Jestem w dobrym nastroju.

– Najwyraźniej. – Wyjąłem talerze z szafki. – Domyślam się, że nie zjesz z nami – droczyłem się, obserwując, jak daleko się posunie.

– Dlaczego jej odmówiłeś? – zapytała, stając obok mnie. Rozpuściła włosy, przez co palce świerzbiły mnie, by przeczesać jej kosmyki, żeby poczuć je na skórze.

– Wiesz dlaczego. – Tak, wszystko było dobrze, ale dobijała mnie. Powoli. Rozmyślnie. Patrzyła na mnie i była tak piękna, że zapierała dech. Sprawdziłem, czy dzieci nadal są na zewnątrz, nim posłałem jej własne, wymowne spojrzenie. – Bo nadal cię kocham.

Mówiłem jej o tym przynajmniej raz w tygodniu, aby wiedziała, że nie przychodziłem jedynie ze względu na maluchy. Ostrzegałem ją, że donikąd się nie wybieram, że nasza przyjaźń jest świetna, ale zamierzam podbić jej serce. Próbowiałem szczerego podejścia.

Rozchyliła usta i gdyby nie minęło osiem miesięcy, pocałowałbym ją. Zrobiłbym coś o wiele więcej, gdyby dzieci już spały. Jednak nie znajdowaliśmy się w przeszłości, a w chwili obecnej.

– Też odmówiłam Davidowi. – Uśmiechnęła się i obróciła.

– A dlaczego? – Szlag, też się uśmiechałem. Doprowadzała mnie do szału, ale tak, nadal kochałem ją całym sobą. Jak miałem jej nie kochać?

– Oczywiście przez ciebie. Umówiliśmy się na obiad, pamiętasz? – powiedziała, udając się do drzwi frontowych.

To nie było miłosne wyznanie. Nie dostałem go od niej od dnia, w którym uzgodniliśmy wspólną opiekę nad dziećmi, ale nie zamierzałem tracić cierpliwości.

– Obiad! – zawołała, otworzywszy drzwi, po czym dało się słyszeć kroki stóp i łap.

– Nakarmię Demolkę! – zawołał Colt, biorąc jej karmę i miskę.

Maisie zabrała talerze z pizzą do stołu. Kiedy wszyscy zajęli miejsca, Ella postawiła przede mną szklankę z herbatą, przez co pomyślałem, że w naszej relacji nie zmieniło się nic poza aspektem fizycznym.

To do niej nadal dzwoniłem, gdy coś mi się udawało.

Ona wciąż opierała się na mnie, gdy coś szło nie tak.

Wspierała mnie, gdy w zeszłym miesiącu dowiedziałem się, że zginął kolejny członek mojego oddziału.

I ciągle siedzieliśmy przy tych samych miejscach przy stole.

Podaliśmy talerz Elli.

– Czy mogę zmówić modlitwę? – zapytała Maisie, gdy wszyscy już zasiedliśmy do stołu.

– Śmiało. – Wzięliśmy się za ręce. Trzymałem Ellę i Maisie, a Colt siedział naprzeciwko mnie. Zwiesiliśmy głowy.

– Drogi Ojcze, dziękujemy za dziś i za wszystko, co nam dałeś. Za dom i rodzinę. Za Colta, mamę, pana Becketta i Demolkę. I za doktor Hughes, a zwłaszcza za to, że już nie mam raka.

Natychmiast poderwałem głowę i spojrzałem na Maisie, która uśmiechała się szeroko, a z przodu brakowało jej zęba. Pokiwała głową, więc mało nie straciłem nad sobą panowania. Popatrzyłem na Ellę, która całą twarz miała mokrą od łez.

– Żadnych śladów choroby. Zadzwonili dziś z wynikami. – Śmiała się głośno, okazując czystą, nieskrępowaną radość.

– Niemożliwe! – Colt wyrzucił ręce w górę w klasycznym geście zwycięstwa. Przynajmniej nie byłem ostatnim, który się dziś dowiedział.

Wstałem od stołu tak szybko, że wywróciłem krzesło. Wziąłem Maisie na ręce i uściskałem. Wtuliła się w moją szyję, a ja drżałem, mocno ją obejmując.

Będzie zdrowa. Udało jej się pokonać chorobę. Miała żyć.

– Proszę pana? – zapytała.

– Tak, Maisie?

– Nie mogę oddychać – pisnęła.

Śmiejąc się, postawiłem ją na podłodze.

– Wreszcie potwierdzili, że przeżyjesz, więc będę cię dobijał moimi niesamowitymi uściskami.

– Moja kolej! – Colt porwał siostrę w objęcia i bliźnięta zaczęły skakać.

– Hej – powiedziała za moimi plecami Ella.

Obróciłem się, a ona wyciągnęła rękę i otarła mi łzy, z ronienia, których nawet nie zdawałem sobie sprawy. Przekroczyłem granicę, objąłem ją i przytuliłem.

Ku mojej uldze odpowiedziała uściskiem, oparła głowę w swoim zwyczajowym miejscu tuż pod moim obojczykiem. Trzymała mnie mocno, rozkładając ręce na moich plecach, więc położyłem podbródek na czubku jej głowy.

– Wyzdrowiała – szepnąłem.

Ella przytaknęła.

Staliśmy w nieziennej pozycji przez dłuższą chwilę, gdy dzieci biegały po domu, wrzeszcząc wniebogłosy.

– Miła niespodzianka? – zapytała Ella, odsuwając się nieco, by na mnie spojrzeć.

– Najlepsza z możliwych. – Objąłem jej twarz, kciukami przesunąłem po idealnie miękkiej skórze.

– Jedzenie! – zawołały bliźnięta, przerywając ten magiczny moment.

Odsunęliśmy się od siebie i zajęliśmy się pochłanianiem najlepszej letniej pizzy, jaką w życiu jadłem.

\* \* \*

– Ja to zrobię – powiedziałem Elli kilka godzin później, odganiając ją od zlewu.

– Z Coltem w porządku? – zapytała, zawijając resztki pizzy.

– Był zadowolony, dopiero gdy po raz dziesiąty przeczytałem mu *Gdzie mieszkają dzikie stwory* – odpowiedziałem. – A Maisie?

– Od razu zasnęła. Chyba emocje dały jej w kość. – Oparła się o blat i patrzyła, jak wkładam naczynia do zmywarki.

– Zrozumiałe. – Zamknąłem drzwiczki. – Nie wierzę, że to już koniec.

– Tak. To takie surrealistyczne. – Patrzyła przed siebie. – To znaczy, poinformowali o statystyce nawrotów i szanse są naprawdę spore, więc znów możemy walczyć z rakiem, ale jeśli przeżyje wolna od niego przez pięć lat, wtedy procenty...

– Ella – przerwałem. Stałem przed nią i objąłem jej twarz. – Ciesz się dobrą chwilą. Pozwól sobie na szczęście. To najlepsza wiadomość, bo ci się udało. Wygrałaś.

– Ty też – powiedziała łagodniej i wtuliła się w moją dłoń.

– Dobra, my wygraliśmy, zatem się tym cieszymy.

Stała na palcach i mnie pocałowała.

Szok trwał milisekundę, nim odpowiedziałem na pocałunek. Poruszałem wargami, rozkoszując się pieśczętą, bo nie miałem pojęcia, czy kiedykolwiek jeszcze jej zaznam. Kiedy rozchyliła usta, skorzystałem z okazji i pogłębiłem buziaka.

Oparłem ją plecami o szafki i wsuwałem język do jej ust, na co zacisnęła palce na mojej koszulce i jęknęła mi słodko do ucha, gdy pocałunek stał się namiętny. Pieściłem jej wargi w nieskończoność, całowałem, aż się do mnie docisnęła.

Oderwałem od niej usta i się odsunąłem.

– Ella. – Dyszałem, serce mi waliło jak młotem i byłem pewny, że jeśli nie poprawię członka, zaraz udusi się w bokserkach.

– Beckett.

– Co ty robisz?

– Rozkoszuję się szczęściem. Ty też nim jesteś. – Podeszła.

– Co to...

Zamknęła mi usta miękkim pocałunkiem.

– Bądź moim szczęściem i pozwól, bym ja była twoim. Jutro coś wymyślimy.

Gdybym był silniejszy czy na mniejszym emocjonalnym haju po wieściach o Maisie, odszedłbym. Odmówiłbym i zmusił ją do ustalenia statusu naszego związku. Postąpiłbym ostrożniej względem mojego serca.

*Trzy sprawy.*

Po pierwsze, kochałem ją.

Po drugie, była wszystkim, czego pragnąłem, więc jeśli tylko to mogła mi dać, to nie zamierzałem tego odrzucić. Co to, to nie.

Po trzecie, zamierzałem wykorzystać dzisiejszą noc, aby przypomnieć jej dokładnie, dlaczego do siebie należeliśmy, więc jutro przyjdzie nam co najwyżej ustalić miejsce, w którym będziemy mieszkać.

Chwyliłem ją za pośladki, uniosłem i pocałowałem głęboko.

– Spleć kostki – poleciłem przy jej ustach.

Spełniła prośbę i objęła mnie nogami w pasie.

Całowałem ją, niosąc schodami, korytarzem, jakby była moją największą nagrodą. Nie przestałem jej całować, gdy zamykałem drzwi na klucz ani kiedy położyłem ją na środku materaca.

Odsunęła się ode mnie, walcząc z paskiem moich dżinsów, przy czym zdjąłem buty i skarpetki. Przesuwałem dłońmi po jej udach, po czym ustami pieściłem każde czułe miejsce na jej ciele, o jakim pamiętałem.

– Brakowało mi tego – powiedziałem przy jej skórze.

– Mnie też – wyznała, wsuwając palce w moje włosy, gdy skubnąłem zębami jej majtki. – Beckett. – Poruszyła biodrami.

Pospiesznie zsunąłem jej koronkowe stringi, po czym zdjąłem sukienkę przez głowę, zaraz później biustonosz, a wszystko zajęło mi mniej niż minutę. Leżała naga przede mną z rozchyłonymi nogami, otwartymi ramionami i uśmiechem na twarzy.

Tak, to właśnie moje szczęście.

Rozebrałem się, po czym ułożyłem na jej nagim ciele.

– Jesteś pewna? – zapytałem.

– Tak. – Przyciągnęła mnie do siebie i pocałowała. Nasze usta spotkały się z namiętą gwałtownością. Ella nie była delikatna, co pewnie wynikało z miesiący zaprzeczania potrzebom ciała i bólu serca.

Całowałem jej skórę, gdy wita się pode mną. Kiedy znalazłem się między jej udami i chwyciłem ją za biodra, drapała mnie po głowie.

– Proszę, Beckett.

Jeśli jeszcze raz wypowie w ten sposób moje imię, ochoczo zostanę jej sługą do końca wieczności. Zwłaszcza jeśli zdołamy spędzić ją w łóżku.

Zacząłem ją całować, na co uniosła miednicę. Mocniej ścisnąłem jej biodra i pożerałem ją, aż zaczęła ponownie wykrzykiwać moje imię, rzucając głową na poduszce. Tęskniłem za jej smakiem, sposobem, w jaki zaciskała usta, gdy szczytowała, jak ciągnęła mnie za włosy, gdy całkowicie traciła zmysły. Lizalem ją, nie dając jej odpocząć czy uciec przed tym, co nadchodziło.

Kiedy zaczęła drżeć, pieściłem jeszcze mocniej, aż miała orgazm w moich ustach, zatykając własne pięścią. Była najseksowniejszą, najbardziej zmysłową kobietą, jaką w życiu widziałem.

Kiedy rozluźniła nogi, ułożyłem się na niej, poświęcając chwilę, by podziwiać zaszklone, niebieskie oczy i nabrzmiałe od pocałunków usta oraz rumieńce na policzkach.

– Jesteś piękna.

Uśmiechnęła się łagodnie i było to bardziej intymne, niż to, co jej przed chwilą zrobiłem.

– Prawie zapomniałam, jak to jest – wyznała. – Albo powtarzałam sobie, że pamiętanie o tym jest złe.

– To wybuchowe.

– Przypomnij mi raz jeszcze. – Ugięła kolana, a ja syknąłem, gdy przeszedł przeze mnie prąd, bo poczułem, jaka jest wilgotna.

– Tabletki?

– Nie przestałam brać, a nie byłam z nikim innym.

– Byłaś dla mnie tylko ty już od pierwszego listu. Zawsze ty. – Wszedłem w nią. *Dom.* – Kocham cię, Ella.

Ponownie mnie do siebie przyciągnęła, nasze usta zaniechały rozmowy. Chociaż do pierwszego orgazmu doprowadziłem ją szybko, z kolejnym się nie spieszyłem, przeciągając cały akt i nasz czas razem. Wykorzystałem całą swoją siłę i wytrzymałość, by pokazać jej, co do niej czuję za pomocą odurzających pocałunków i powolnych, głębokich ruchów ciała.

Wychodziła mi biodrami na spotkanie, więc poruszaliśmy się w idealnej harmonii, aż wspięliśmy się na szczyt. Zaciśnęła się wokół mnie i osiągnęła spełnienie z moim imieniem na ustach i moim sercem w swoich dłoniach. Niemal natychmiast podążyłem za nią, po czym opadłem na nią i obróciłem się na bok, by jej nie zmiażdżyć.

– Dobrze się czujesz? – zapytałem, odsuwając włosy z jej twarzy. Sam czułem się fantastycznie. Idealnie. Zadowolony. Kompletny. Byłem w domu.

Uśmiechnęła się sennie.

– Jestem szczęśliwa. Naprawdę szczęśliwa.

– Ja również.

Położyła się na mnie z uśmiechem, a jej włosy utworzyły zasłonę wokół nas.

– Założę się, że sprawię, iż będziesz szczęśliwszy.

A potem zaczęliśmy wszystko od nowa.

## ROZDZIAŁ 26

ELLA

List #20

*Ello,*

*Colt chce mieć domek na drzewie, co? Założę się, że moglibyśmy go zbudować z Twoim bratem.*

*Nie przejmuj się tym, że Twoje myśli automatycznie przeskakują na Maisie. Martwiłbym się, gdyby było inaczej. To, przez co przechodzisz, przyćmiewa wszystko inne. Do diabła, dużo o Was myślę, a nigdy Was nie widziałem.*

*Pozwól, że teraz ja Cię nieco rozproszę. Kilka miesięcy temu obiecałem, że opowiem, skąd się wzięła moja ksywka. Chaos. Cały ten bałagan, w którym wszystko rozpada się bez ładu i składu, prawda? To niemal cały ja. Nie, to dokładnie ja. Jako młody chłopak pakowałem się w kłopoty tak często, jak tylko się dało, a czasami problemy same mnie znajdowały. Nazywano mnie Chaosem, bo gdziekolwiek się nie pojawiłem, wszystko niszczyłem. Zazwyczaj domy, ale i ludzi. Zniszczyłem zbyt wiele osób. Ktoś się do mnie przywiązuje, ale nie potrafię się przed nim otworzyć i pogrążam się w samozniszczeniu, aż ten ktoś poddaje się i odchodzi. Jestem już na tyle dorosły, by dostrzec wzór, ale nie na tyle, aby mnie to martwiło i bym zechciał to zmienić.*

*Zaraz po selekcji poszliśmy z Twoim bratem do baru, a on zaczął zarywać do jakiejś laski. Nie widziałem jej twarzy, jedynie ciało w sukience, która nie pozostawiała zbyt wiele wyobraźni. Twierdził, że to prostytutka – nie pytaj, dlaczego, bo nie mam pojęcia – a potem okazało się, że to żona jednego z naszych przełożonych.*

*Tak, rozpętało się piekło. Gość przestał nad sobą panować, bar został wyrócony do góry nogami, gdy wkroczyłem do akcji, połamano nosy, porzbijano butelki, aż uświadomiłem sobie, że znam tę dziewczynę. Spojrzała na mnie i rzuciła: „Jak zwykle Chaos na dwóch nogach. Pojawiasz się i wszystko szlag trafia”. Słyszał to zarówno Twój brat, jak i nasz przełożony, więc tak już zostało.*

*Zatem oto definicja mnie. Wchodzę i wszystko trafia szlag. Na pewno chcesz, bym Cię odwiedził? Żartuję, wiesz, że przyjadę.*



*Mam nadzieję, że pakujesz prezenty dla dzieci, dekorujesz choinkę i tak dalej. Podobają mi się lampki na baterie od Colta i małe, różowe drzewko od Maisie.*

*Na razie  
Chaos*

---

**P**rzeciągnęłam się, czując rozkoszny ból w miejscach, w których nie czułam go od...

Ciepła, silna ręka objęła mnie w talii i przyciągnęła z powrotem do solidnego, męskiego ciała.

*Beckett.*

Czekałam, aż pojawi się panika. Wrażenie, że popełniliśmy błąd i nie ma już odwrotu, że pozostaje zmierzyć się z konsekwencjami, ale nic takiego nie przyszło, bo to nie był błąd. Czułam jedynie słodką satysfakcję i zakwasy w dobrze wykorzystanych w nocy mięśniach.

Ile razy się w sobie zatraciliśmy? Trzy?

Powiedziałam, że rozwikłamy tę sprawę dziś i mówiłam poważnie. To był tata moich dzieci, gość, który zbudował nie jeden, a dwa domki na drzewie, który pomagał mi bez względu na to, ile razy w niego wątpiałam.

Kochałam go bez względu na kłamstwa, półprawdy i wszystko, co ujrzało światło dzienne. To się nigdy nie miało zmienić. I na szczęście dawno temu mu wybaczyłam. Kiedy już otrząsnęłam się z bólu, ponownie przeczytałam jego listy. Dostrzegłam w nich nienawiść do samego siebie, którą starał się zamaskować; poczucie, że nie jest wart miłości, że nie potrafi dogadać się z ludźmi.

Kiedy w końcu otworzył się na Ryana, a potem go utracił, wpadł w rozpacz, a mnie pociągnął za sobą.

A jeśli chodzi o zaufanie? Mozolnie odbudowywał je przez kolejne pół roku, przy czym ani razu się nie zawahał, pozostał wytrwały w swoim postanowieniu. Tego rodzaju nieustępliwości nie można było zignorować, a teraz, gdy Maisie wyzdrowiała, nadszedł czas na decyzję, co zrobić z moją relacją z Beckettem.

Po raz pierwszy od lat byłam w stanie poświęcić czas samej sobie, więc zapragnęłam spędzić go z nim.

– Mamo! Chodź, bo się spóźnimy! – zawołała w korytarzu Maisie.

Obróciłam głowę i spojrzałam na zegar.

– O kurde! Beckett, jesteście spóźnieni! – Wyskoczyłam z łóżka, pobiegłam po szlafrok, który nigdy nieużywany wisiał na drzwiach mojej łazienki.

– Co? – Podniósł się, kołdra opadła mu do pasa.

Dobry Boże, był cudowny. Naprawdę apetycznie piękny. *I właśnie dlatego się spóźnisz.*

– Musimy jechać. Jest siódma trzydzieści, a dzieci muszą być pod szkołą o ósmej, bo jadą na wycieczkę! – Wypadłam na korytarz, na którym zastałam bliźnięta już w wysokich butach

i czapkach. – Dzień dobry.

– Posłały mi uśmiechy mówiące, że dokładnie wiedziały, kto znajdował się w moim łóżku.

*Porażka rodzicielska.*

– To kto nas odwiezie do szkoły? – zapytała Maisie, kołysząc się w butach.

– No właśnie. Ty czy pan Beckett? – dodał Colt, kołysząc się w identyczny sposób.

– Dobra, później pogadamy. Musimy się zbierać. Natychmiast.

– Już się zebraлиśmy! – krzyknęła radośnie Maisie.

– Śniadanie?

– Płatki – oznajmił Colt. – Wiedzieliśmy, że się wściekniesz, gdy odpalimy kuchenkę.

– Chcieliśmy, żebyś się wyspała. – Maisie uniosła rękę i zaczęła odliczać na palcach. – Śniadanie zjedzone, zęby umyte, Demolka nakarmiona. W nocy spała ze mną, ale się rozpychała, więc musiała iść do Colta.

Oto co dostaję za to, że Beckett spał w moim łóżku. Dzieci automatycznie założyły, że do siebie wróciliśmy. A może i tak było? Nie mieliśmy czasu, by o tym teraz myśleć. Moja błoga chwila minęła, maluchy wróciły na pierwszy plan. Będziemy musieli później zastanowić się nad naszą relacją. Przy stole. Ubrani. W tony ciuchów. Może nawet w kurtki.

– Mamy buty górskie, czapki, spodnie, polary, nasmarowaliśmy się kremem z filtrem. Potrzeba nam tylko lunchu. – Przestała wyliczać.

– Lunchu. Z tym zdołam się uporać... w jakieś dziesięć minut. – Wróciłam do sypialni, w której zastałam ubranego już Becketta, który wyglądał cholernie seksownie, będąc takim zaspanym. Seks był jak cukier – odstaw go, a po chwili przestanie ci go brakować, jednak gdy znów spróbujesz, będziesz usilnie łaknąć następnej działki. Rety, pragnęłam teraz kolejnego razu. Bardzo.

– Dzieci w porządku? – zapytał, wiążąc buty.

– Mają już swoje przemyślenia, ale prócz tego nic im nie jest. Potrzebuję jednak nieco pomocy. – Opuściłam szlafrok i włożyłam bieliznę. – Skup się, Beckett.

– Och, możesz mi wierzyć, skupiam się. – Gapił się na mój tyłek.

Zapięłam biustonosz.

– Mamy dziesięć minut i musimy jech...

– Lunche?

– No właśnie.

– Już się robi – powiedział, idąc do drzwi. Przechodząc, złapał mnie za ramiona, bym się nie przewróciła, gdy jak wariatka skakałam na jednej nodze, wkładając džinsy. – Dzień dobry – powiedział i pocałował mnie w głowę.

– Dzień dobry – odparłam, ale już wyszedł. Rety, bardzo mi się to podobało. Wróciliśmy do słodkiego rytmu, który wypracowaliśmy, gdy byliśmy razem. Śmiechy, które doszły z korytarza, oznaczały szczęśliwe dzieci i gorączkowy poranek z tatą.

Włożyłam zieloną bluzkę z długimi rękawami i dekoltem w łódkę, po czym zbiegłam po schodach ze skarpetkami i butami w ręce. Zatrzymałam się na progu kuchni i przez minutę, której nie mieliśmy, obserwowałam rozgrywającą się przede mną scenę.

Beckett pracował przy blacie, robiąc kanapki z wędliną i serem, Maisie napełniała butelki wodą, a Colt wyjmował z lodówki jogurty.

– Czekałem na to chyba od wieków – przyznał syn, wrzucając jabłka do papierowych torebek. – Cały dzień bez szkoły, tylko wędrówka po lesie i szukanie liści.

– Ale przecież to w ramach szkoły – spierała się Maisie.

– Wiesz, o co mi chodzi. – Pociągnął za jej czapkę.

– Rety, szkoda, że nie zarabiam na życie chodzeniem po górach – droczył się Beckett, przecinając kanapki.

– Ale zarabia pan! – rzuciła ze śmiechem Maisie.

– No właśnie! – odparł ze sztucznie zszokowaną miną.

Rozpościerał się przede mną obraz perfekcji i wiedziałam, że mogłam mieć to do końca życia... kiedy tylko porozmawiamy. Może wieczorem?

– A co z przekąskami? – zapytałam, w drodze do spiżarni głaszcząc Demolkę. – M&M-sy mogą być?

– Tak! – wykrzyknęły dzieci, gdy wrzuciłam im po paczuszce do papierowych torebek.

– Dobra, mamy wszystko? – zapytał Beckett.

– Chyba jesteśmy gotowi – odparłam. – Dzieci, weźcie plecaki i wsiadajcie do mojego auta.

Bliźnięta uściskały Becketta i pobiegły do drzwi.

Patrzyliśmy na siebie przez kuchenną wyspę, nim odchrząknął.

– Wydaje mi się, że należy ustalić pewne rzeczy.

Obeszłam wyspę, stanęłam na palcach i pocałowałam go lekko w usta.

– Też tak uważam. Co powiesz na wieczór?

W zielonych oczach zabłyszczała nadzieja i na twarzy pojawił się uśmiech.

– Zatem wieczór.

Wyszliśmy, trzymając się za ręce, Beckett pomachał dzieciom, gdy odjeżdżaliśmy.

*Bliźnięta mogą się spóźnić dwie minuty. Okej, może trzy.*

Zaparkowałam, gdy drugoklasiści wsiadali do autobusów.

– Dobra, znajdziemy panią Riverę – powiedziałam szkrabom, gdy przeciskaliśmy się przez tłum.

– Tam jest! – Maisie wskazała palcem do przodu.

– Przepraszam za spóźnienie – rzuciłam.

Nauczycielka uśmiechnęła się, przy czym w kącikach jej brązowych oczu utworzyły się kurze łapki.

– To nic, jesteście w samą porę. Colt, Maisie, wsiadajcie do autobusu ze swoją klasą.

– Pa, mammo! – powiedziała Maisie i cmoknęła mnie w policzek.

– Idziesz, Colt? – zapytała Emma z okna nad naszymi głowami.

– Tak! – krzyknął. Wciąż mu się podobała, a była naprawdę uroczą dziewczynką. Syn objął mnie w pasie, więc pocałowałam go w czubek głowy.

– Bawcie się dobrze i jeśli znajdziecie, przynieście mi czerwony liść. Złoty jest pełno, ale czerwone są tu rzadkością.

– Zrobi się! – Pomachał i pobiegł. Wziął Maisie za rękę i wsiedli do autobusu.

Wróciłam do Samotni i wzięłam się do pracy.

Mieliśmy w tym miesiącu dwa wesela, a wszystkie domki zostały zarezerwowane. Trzy, które budowaliśmy latem, zostały już niemal ukończone, wystarczyło pomalować podłogi.

Godziny mijały przy pracy w systemie rezerwacji i odpowiadaniu na potrzeby gości, aż uświadomiłam sobie, że nadeszła pora lunchu.

– Ej, to Beckett wyjechał dziś od ciebie? – zagadnęła Hailey, stając na progu mojego gabinetu.

– Może – odpowiedziałam, nie unosząc głowy.

– Najwyższy czas.

– To nie jest twoja sprawa – rzuciłam. Odłożyłam długopis i w końcu na nią spojrzałam. Nie powiedziałam Beckettowi, co czułam, a zasługiwał na to, by dowiedzieć się jako pierwszy.

– A powinna być. Ten facet cię kocha i tak, wiem, że nawalił, ale jest tak bliski ideału... Wiesz o tym, prawda? Bo już jakiś czas randkuję i gdybym znalazła kogoś takiego jak Beckett, kto wielbiłby mnie i dzieci, nie puściłabym go.

– Rozumiem.

– Dobra, jest wspaniały. Kiedy biegał, widziałam jego brzuch, więc jeśli zepsuje ci się pralka, będziesz miała alternatywę.

– Ma w domu dwie pralko-suszarki. Nic mi nie będzie – zażartowałam.

– I wybudował ci dom! O co ci chodzi? Seks jest kiepski? – Oparła się o futrynę.

– Nie sądzę, by Beckett wiedział, co to zły seks. – Czego znów dowiódł w nocy. Wielokrotnie. Nawet jeśli zachowywaliśmy się szaleńczo, nasza chemia wystarczyła, by doprowadzić mnie na szczyt. Facet samym swoim istnieniem sprawiał, że wariowałam z pożądania.

– Poważnie. Nie puszczaj go.

– Ella – zawołała Ada od drzwi.

– No nie, ty też? – Przewróciłam oczami, gdy weszła do mojego gabinetu, a Larry tuż za nią. – Słuchajcie, tak, Beckett spędził u mnie noc. I tak, on... Beckett...

– Ella! – wrzasnęła Ada.

– Wow. Co?

Larry zdjął czapkę i przeczesał palcami gęste, siwe włosy.

– Słuchałem w stodole skanera policyjnego.

– No i? – W końcu dotarło do mnie, jakie zszokowane mieli miny. – Co się dzieje?

– Wezwali ekipę poszukiwawczo-ratowniczą. Nie tylko z hrabstwa, ale również tą z Telluride. – Wymienili spojrzenia, a mnie ścisnął się żołądek.

– Chodzi o Becketta? Coś mu się stało? – Nie mogło. Kochałam go. Nie postanowiłam jeszcze, co z nim zrobić, ale wiedziałam, że nie mogłam bez niego żyć.

Larry pokiwał głową.

– Beckett został wezwany. Ella, zgłoszenie dotyczy szlaku Wasatch.

Serce podeszło mi do gardła.

– Dzieci.

## ROZDZIAŁ 27

BECKETT

**Ś** migło obracało się nade mną w znajomym rytmie, gdy ziemia się oddalała. Demolka siedziała tuż obok mnie, kuląc uszy. W śmigłowcu zachowywała się jak należy, chociaż nadal nie była fanką latania. Włożyłem hełmofon i włączyłem radio.

– Dobra, jesteśmy. Co się stało? – Ćwiczyliśmy poza budynkiem, gdy nas wezwano. Usłyszałem tylko, że chodzi o szlak Wasatch, a ponieważ nie byłem zaznajomiony ze wszystkimi górskimi ścieżkami w hrabstwie, nie pamiętałem, gdzie dokładnie mieścił się ten wspomniany.

Wziąłem sprzęt, zapiąłem Demolkę w uprzęż zjazdową i pobiegłem na lądowisko, bo powiedziano, że wysłano po nas śmigłowiec.

– Stracili dzieciaka z oczu – powiedział w słuchawkach Jenkins, nasz lekarz rezydent.

– Zgubił się? – Przeszedł mnie dreszcz. Gdzie były dziś bliźnięta? Ella podpisała pozwolenie, a ja nie zapytałem.

– Tak. Wiemy tylko tyle. Jakies dziesięć minut temu nadeszło zgłoszenie o zaginionym dziecku.

Przytaknąłem i spojrzałem przez otwarte drzwi, gdy mijaliśmy wodospad Bridal Veil i kierowaliśmy się na przełęcz. Mimowolnie głaskałem Demolkę, gdy lecieliśmy w górę.

– Chyba uda mi się tam wylądować – powiedział pilot, więc spojrzałem na wskazywane miejsce.

Niewielką polaną niedaleko szerokiego i uczęszczanego szlaku.

– Kiedy wylądujemy, od razu róbcie swoje – rozkazał siedzący obok Jenkinsa szef Nelson.

– Hrabstwo jest w to wmieszane, ale wszyscy liczą na ciebie, bo wiedzą, że ich pies nie znajdzie nawet gówna.

– Dobra.

Dziecko. Adrenalina zaczęła wrzeć w moich żyłach, jak przed każdą misją bojową, w której brałem udział. Odczucie to samo, ale było we mnie więcej przerażenia.

– Ile minęło czasu od zgłoszenia zaginięcia tego dziecka?

– Nie wiedzą. Świadek był w szoku. Szlak się zapadł i dziecko osunęło się na dość zdrzewione urwisko.

*Cholera.*

– Spadło w przepaść? – Rozglądałem się po terenie, ale lądowaliśmy, więc nie miałem pełnego obrazu terenu.

– Na to wygląda. Nie zdziwiłbym się, gdyby akcja zmieniła się w wydobywanie zwłok.

Zagryzłem zęby. Nie na mojej zmianie. Nie zamierzałem utracić dzieciaka na szlaku górskim w Kolorado.

– Zaczekamy tu. Daj znać, gdy będziesz czegoś potrzebował – powiedział pilot, gdy zdejmowaliśmy hełmofony.

Spojrzał przez ramię, więc pokazałem uniesione kciuki, chwyciłem smycz Demolki i dałem komendę do rozpoczęcia pracy. Trzymała się przy mnie, gdy wyskoczyliśmy z maszyny i ruszyliśmy do chłopaków z hrabstwa.

– Miejsce zdarzenia znajduje się jakieś pół kilometra stąd w górę szlaku – powiedział stojący w środku kręgu dowódca grupy. – Nadal są tam nauczyciele i grupka uczniów, więc bądźcie ostrożni.

*Nauczyciele. Uczniowie.*

Nie czekałem na zakończenie odprawy, puściłem się biegiem w górę szlaku, Demolka pędziła tuż obok mnie. Przemierzaliśmy kamienistą ścieżkę, którą po jednej stronie otaczała skała, a po drugiej ciągnęło się strome zbocze, które robiło się coraz bardziej pionowe, aż przeszło w urwisko. Przepaść.

Cholera, nie było mowy, by dziecko przeżyło upadek z czegoś takiego.

Przyspieszyłem, minąłem biegiem kilku chłopaków z biura szeryfa i przemierzyłem zakręt.

Zatrzymałem się tak gwałtownie, że poślizgnąłem się na kamieniach.

Pani Rivera kręciła głową, rozmawiając z policjantem. Trzęsła się, łzy płynęły jej po twarzy.

– Pani Rivera? – zawołałem i podszedłem.

– Pan Gentry, o Boże. – Zakryła usta.

– Gdzie są moje dzieci? – Starąłem się panować nad głosem, ale i tak na nią ryknąłem.

Spojrzała przez ramię na grupkę uczniów, która siedziała z torebkami lunchowymi w nienaturalnej ciszy. Omiotłem wzrokiem z pięćdziesiąt maluchów, aż...

– Pan Beckett! – zawołała płacząco Maisie i wychynęła spomiędzy dzieci. Podbiegła do mnie, więc ją złapałem i mocno przytuliłem. Płakała w moją szyję, cała drżała od szloch.

Jedno miałem. Odetchnąłem głęboko i skupiłem się na biciu serca małej, gdy głaskałem ją po plecach. Nic jej się nie stało. Była cała i zdrowa.

– Już dobrze, Maisie. Mam cię – koilem, patrząc ponad jej ramieniem na grupę.

Gdzie, do diabła, był Colt?

Znów przeczesalem wzrokiem dzieci i zmroziło mi krew w żyłach.

– Maisie? – Klęcząc, odsunąłem ją od siebie. – Gdzie jest Colt?

– Nie wiem. Nie mówili nam, dopóki nie zjawilo się więcej dorosłych. – Łzy płynęły po jej policzkach. – Tam jest inna klasa. – Wskazała na kolejną grupkę dzieci jakieś piętnaście metrów dalej.

– Dobrze. – Przez dwie sekundy chciałem zostawić ją z kolegami. Ale pieprzyć to. Jeśli nie mogłem znaleźć jednego dziecka, nie spuszcze z oka drugiego. – Chodź ze mną.

Wziąłem ją na ręce i ruszyłem szlakiem. Kiedy odsunęliśmy się od maluchów, spuściłem Demolkę ze smyczy. Panikujący rodzice mogli pocałować mnie w dupę.

– Szukaj Colta.

Suczka powąchała Maisie, bez wątpienia wyczuwając na niej woń brata, po czym przyłożyła nos do ziemi i podeszła do drugiej grupy dzieci. Mundurowi przepytawali około dziesięcioro maluchów, które płakały z wyjątkiem jednej dziewczynki.

Emma stała z boku plecami do mnie i patrzyła na szlak.

– Pan Gentry? – Kolejna roztrzęsiona nauczycielka odsunęła się od uczniów i podeszła do mnie. – Boże. Zatrzymaliśmy się na lunch, a kiedy ponownie ruszyliśmy... to... – Rozpląkała się. – Dzieci się rozdzieliły.

– Gdzie? – zapytałem policjanta.

– Szlak skręca, ale ani śladu dziecka. Inne mówią, że widziały je po drugiej stronie zapadliska.

Postawiłem Maisie na ziemi, włożyłem jej dłoń do ręki pani Rivery, która za mną poszła.

– Proszę ją trzymać. Maisie daj mi chwilę, dobrze?

Obdarzyłem ją wymuszonym uśmiechem i pogłaskałem po policzku. *Zachowaj spokój. Nie pokazuj paniki* – powtarzałem sobie w duchu, czekając, aż przytaknie. Nie mogła tego widzieć ani doświadczyć. Choć bardzo chciałem ją chronić, musiała znaleźć się w bezpiecznej odległości.

Ignorując nauczycielkę, puściłem się pędem za Demolką, która zgodnie z moimi przypuszczeniami podbiegła wprost do Emmy.

Dziewczynka wpatrywała się w zapadlisko, stojąc ze trzy metry od jego krawędzi. Policjant uklęknął przed nią i coś do niej mówił, ale nie odpowiadała. Patrzyła pustym wzrokiem, zaciskając usta. W dłoniach trzymała czapkę z logo grupy poszukiwawczo-ratowniczej, do której zmierzała Demolka.

*Nie, nie, nie...*

Staralem się stłumić panikę, tak jak robiłem to niezliczoną ilość razy w boju, ale to była zupełnie inna sytuacja. To najgorszy koszmar.

– Nie chce nic powiedzieć – poskarżył się funkcjonariusz o napiętej twarzy.

– Proszę się odsunąć, ja spróbuję.

Przytaknął i wycofał się na tyle, by mógł słyszeć moje słowa, ale by nie straszyć małej swoją obecnością.

– Emmo – powiedziałem łagodnie, kucając przed nią. Obróciłem ją twarzą do siebie. – Emmo, dokąd poszedł Colt? Skąd masz jego czapkę?

Powoli oderwała wzrok od osuwiska.

– Znam pana.

– Tak. Jestem od Colta i Maisie – przyznałem, pilnując spokojnego głosu, wiedząc, że jeśli popadnie w jeszcze większy szok, nic z niej nie wyciągnę. – Możesz mi powiedzieć, co się stało?

Pokiwała głową, co zajęło jej trzy razy dłużej, niż powinno.

– Jedliśmy tam lunch. – Wskazała na klasę. – A kiedy skończyliśmy, pani ustawiła nas w pary i poszliśmy jak wcześniej. Nie byliśmy przy krawędzi, przysięgam! – Głos jej się załamał.

Stojący nieopodal policjant zaczął notować.

– Wiem. W porządku. – Zdjąłem czapkę i ścisnąłem ją w dłoniach. – Co było dalej?

– Zaraz jednak zawróciliśmy, bo niektórzy wolno jedli. A potem ziemia zniknęła. Wszystko działało się tak szybko.

– Okej, a co potem?

Podeszli do nas policjanci, ale machnąłem ręką, by się odsunęli. Mała spojrzała na nich, po czym na czapkę Colta i umilkła.

Zerknąłem przez ramię, dostrzegłem Marka.

– Koc.

Wziął jeden od stojącego nieopodal funkcjonariusza i mi go wręczył.

– Odsuń ich. Dziecko jest w szoku, a oni pogarszają sprawę – poprosiłem. Przytaknął, po czym zwrócił się do niej, a ja otuliłem dziewczynkę grubym materiałem. – Jesteśmy tylko ty i ja, Emmo. Możesz mi powiedzieć, co było dalej?

Uniosła głowę i spojrzała im w oczy.

– Ziemia się osunęła i zaczęłam spadać. Colt chwycił mnie za rękę i pociągnął? Chyba? Albo mnie popchnął... Byłam za nim, a potem przed nim. Był głośny huk. Jak kostki lodu w szklance.

Osuwisko. Poleciały kamienie.

– Chciałam go złapać, ale zniknął. Stałam na krawędzi, a jego nie było, tylko to. – Uniosła jego czapkę.

Moje serce zgubiło rytm. Zatrzymało się, a wszystko wokół zamarło. Potem nagle przyspieszyło, a świat zawirował.

*Colt. O Boże, Colt.*

– Niektórzy mówili, że widzieli go po drugiej stronie dziury w szlaku. Czy to prawda? Zostaliście rozdzieleni? – *Proszę, powiedz, że tak, proszę.*

Pokręciła powoli głową.

– Emmo, czy on spadł? – zapytałem piskliwym głosem, bo gardło mi się ścisnęło.

Przytaknęła.

Przez sekundę wydawało mi się, że stracę nad sobą panowanie, ale odetchnąłem głęboko i jakoś udało mi się zachować kontrolę.

– Dziękuję – powiedziałem. Podniosłem się i pobiegłem, gwizdząc na Demolkę. Natychmiast zjawiała się u mojego boku. Szlak za zakrętem się zwężał, więc się zatrzymałem i złapałem psinę za kamizelkę, gdy zaczęła schodzić w dół.

– Ostrożnie, to osuwisko – rzucił za mną chłopak z hrabstwa, stając na krawędzi. – Nie widzę dzieciaka, co jest dobre. Pewnie jest po drugiej stronie szlaku, jak mówiła nauczycielka. Poczekamy, aż ekipa podejdzie tamtędy.

Dwa metry przed nami zapadła się ścieżka, ale za osuwiskiem szlak wydawał się nienaruszony. Serce podeszło mi do gardła.

– Zostań – poleciłem Demolce.

Dla zachowania równowagi trzymając się skały, zerknąłem za krawędź. Dostrzegłem przepaść na jakieś pięć metrów, a pod nią pokryte drzewami zbocze.

– Widzisz? Nie ma po nim śladu. Nauczycielka mówiła, że miał na sobie niebieską bluzę.

– Jasnoniebieską – odparłem, przeszukując wzrokiem teren. – Z logo grupy poszukiwawczo-ratowniczej na plecach i nazwiskiem Gentry na przodzie.

Błagał o nią jeszcze, zanim po wakacjach wrócił do szkoły i była to jedyna rzecz, którą miał z moim nazwiskiem.

– Dobrze, ale nie widzieliśmy go. Na co wskazuje pies?



Spojrzałem na Demolkę, która siedziała nieruchomo. Nie alarmowała. Nie denerwowała się, by przeskoczyć na drugą stronę szlaku. Wiedziała to, co ja. – Wskazuje, że jest na dole.

Po raz ostatni rzuciłem okiem na teren, starając się go zapamiętać.

– Cholera. Zatem trzeba będzie wydobyć ciało, bo nie ma mowy, by dzieciak to przeżył.

Odwróciłem się i przedramieniem przycisnąłem faceta za szyję do skały.

– Nie wiesz tego.

Zakrztusił się.

Ktoś mnie złapał i odsunął. Mark. Puścił i ścisnął moje ramię.

– O co ci, do cholery, chodzi? – Policjant potarł szyję.

– To jego syn – odpowiedział za mnie Mark.

Facet natychmiast spowaźniał.

– Szlag. Przepraszam. To znaczy, wciąż istnieje możliwość, że...

Byłem jedyną szansą Colta.

Gwizdnąłem na Demolkę i pobiegłem szlakiem, uważnie patrząc pod nogi.

Wyjąłem krótkofalówkę, nacisnąłem guzik.

– Nelson, tu Gentry. Śmigłowiec czeka?

Zaszumiało w radiu, gdy zbliżyłem się do pierwszej grupy dzieci. Maisie siedziała, trzymała Emmę za rękę, siedząc przed klasą.

– Tak – odparł Nelson.

– Nie odlatujcie. Musimy szybko zejść z Demolką z urwiska.

– Przyjąłem.

Mark mnie dogonił, gdy kucnąłem przed Maisie, która przestała płakać, objęła się rękami i patrzyła pustym wzrokiem.

Objąłem ją, otoczyłem rękami tak, jak było to możliwe.

– Zejdziemy na dół, dobrze? Mark zabierze cię na posterunek, a stamtąd zadzwonicie do mamy.

– Chcesz, żebym opuścił miejsce zdarzenia, Beckett? – zapytał cicho Mark. – Nie przyda ci się moja pomoc?

– Musisz sprowadzić moją córkę z tej góry – poleciłem i się wyprostowałem. Maisie złapała mnie mocno za szyję, gdy ją podniosłem. – Trzymaj się, skarbie.

Pobiegłem z nią, wiedząc, że liczyła się każda sekunda, ale nie było mowy, abym zostawił ją na szlaku. Przypomniałem sobie słowa Elli, która miała wyrzuty sumienia, ilekroć musiała zostawić jedno z dzieci, aby pomóc drugiemu.

Skręciliśmy, po czym na polanie zobaczyliśmy śmigłowiec oraz grupę rodziców powstrzymywanych przed dalszą wędrówką przez policjantów.

– Złe wieści szybko się rozchodzą – wydyszał za mną Mark.

– Beckett! – zawołała stojąca na czele grupy Ada.

– Ada tu jest – powiedziałem Maisie. – Mark, zmiana planów, wsiadaj do śmigłowca.

Ada podbiegła, Larry deptał jej po piętach. Skinąłem głową policjantowi, więc ich przepuścił.

Rozwrzeszczeli się spragnieni wieści rodzice, ale szum helikoptera za nimi zagłuszył słowa.

– Czy nikomu nic się nie stało? – zapytała Ada. – Boże, gdzie jest Colt? Dlaczego nie sprowadziłeś też Colta? – piszczała spanikowana, na co Larry położył rękę na jej ramieniu.

– Musicie ją zabrać – poleciłem Adzie, ale Maisie ścisnęła mnie za szyję. – Kochanie, musisz mnie puścić.

Odsunęła się, ale objęła moją twarz.

– Jest ranny. Czuję to. – Dotknęła brzucha.

– Zaraz go znajdę, ale musisz iść z Adą, dobrze?

– Dobrze. – Uściskała go, więc przytuliłem ją, po czym przekazałem Adzie.

– Gdzie jest Ella? – zapytałem.

– To Colt, prawda?

Nie mogłem tego powiedzieć. Gdybym to zrobił, rozpadłyby się mury, które do tej pory trzymały mnie w kupie, a na to nie mogłem pozwolić.

– Gdzie jest Ella? – powtórzyłem.

– Na posterunku z innymi rodzicami. – Wskazała za zebranych. – Starają się uzyskać informacje od hrabstwa. Mamy ją tu przywieźć? Ktoś musi jej powiedzieć. – Skrzywiła się.

Zobaczyłem błyskające koguty. Dobrze, przyjechała karetka.

– Nie, zostań tam z nią. Nie... jest dobrze. Będzie was potrzebowała.

Colt nie miał czasu, bym czekał tu na Ellę. Spojrzałem na Larry'ego, który wpatrywał się we mnie z powagą.

– Mam jej powiedzieć? – zapytał.

– Powiedz, że znajdę naszego syna. – Zanim straciłbym nad sobą panowanie, pobiegliśmy z Demolką do śmigłowca. Wsadziłem suczkę na pokład i sam wskoczyłem. Włożyłem hełmofon, zapiąłem pas.

– Leć na południe – rozkazałem pilotowi. – Osunęła się część szlaku. Musimy się znaleźć najbliżej rumowiska, jak tylko się da.

– Przyjąłem. – Wystartował, a mnie żołądek podszedł do gardła.

Pochyliłem się i zapiąłem uprząż Demolce, by ją zabezpieczyć.

– Problem. Nie ma, jak lądować – poinformował po chwili pilot.

– Dasz radę zjechać? – zapytałem Marka.

– Teoretycznie – odpowiedział.

– Zawiśnij, byśmy mogli się opuścić – poleciłem pilotowi, po czym rzuciłem do Marka: – Zjedź za mną.

Przytaknął.

– Jenkins, musisz być gotowy.

– Jestem – zapewnił z ławki. – Nosze i liny również.

– Mamy nowe informacje?

Pokiwał głową.

– O której to się stało?

Spojrzał na podkładkę z przypiętą kartką, po czym popatrzył na zegarek.

– Raport przyszedł trzy kwadransy temu, zgłoszenie dostali dziesięć minut wcześniej.

Colt spadł niemal godzinę temu. Włączyłem stoper w zegarku.

– Włącz radio, ściągnij tu jak najwięcej ludzi.

Śmigłowiec zawisł nad miejscem, w którym nie było drzew. Znaleźliśmy się w niewielkiej odległości od świeżego osuwiska.

– Gotowe – powiedział w słuchawkach pilot.

Zdjąłem helmofon, gdy Jenkins mocował mi linę. Zapiąłem Demolkę w przyrząd zjazdowy i ustawiłem ją sobie między kolanami i przesunąłem się wraz z nią do drzwi. Jenkins podał mi linę, więc zapiąłem rolkę z hamulcem, abym mógł kontrolować tempo zjazdu.

– Wiem, że tego nie lubisz – powiedziałem suczce, upewniając się, że ciasno zapiąłem jej uprząż, nim napiąłem jej linkę. – Ale na dole jest nasz Colt.

Chwyciłem rolkę, dałem jej kolanem sygnał i wyskoczyliśmy. Nie ruszała się, gdy opuszczałem się z nią między nogami.

Robiliśmy to już setki razy, ale nigdy nie spieszyłem się tak, jak teraz. Pośpiech generował błędy. Więc uspokoiłem oddech i opuszczałem nas powoli, centymetr po centymetrze, aż znaleźliśmy się na zboczu.

Odpiąłem przyrządy zjazdowe i spakowałem do plecaka. Mark znalazł się na dole tuż za mną.

Podąłem Demolce smaczek z plecaka.

– Dobra robota. Wiem, że to okropne.

– Jak ty to robisz z psem? – zapytał Mark, gdy się rozpiął z uprząży.

– Mamy w tym sporo doświadczenia. – Pochyliłem się do psiny. – Szukaj Colta.

Zaczęła węszyć i wszyscy ruszyliśmy w stronę rumowiska.

– Ile jej to zajmie? – zagadnął Mark.

– Nie wiem. Nie szedł tędy, więc nie ma, jak iść po tropie. Będziemy musieli zbliżyć się na tyle, by wywęszyła go w powietrzu lub złapała zapach na czymkolwiek, czego dotknął.

Wspinaliśmy się przez wysoką trawę i między drzewami. Skoncentrowałem się na oddechu i stawianiu kroków w stabilnych miejscach, gdy idąca przed nami Demolka cały czas węszyła. Im mniej myślałem o tym, co znajdziemy, tym lepiej.

– Colt! – zawołałem, modląc się, aby nas usłyszał... żeby był zdolny, aby nas usłyszeć.

– Colt! – dołączył Mark. – Mam ściągnąć tu Jenkinsa?

– Nie. Musi zostać w śmigłowcu. Kiedy dotrą pozostali, musi czuwać, bo jeśli ktoś inny znajdzie Colta...

– Rozumiem.

– Jestem również medykiem pola walki, co oznacza, że mogę wykonać tu wszystko, prócz operacji. Potrafią to ludzie z naszego... z mojej poprzedniej pracy. – Aby służyć w siłach specjalnych, trzeba było przejść szkolenie medyczne. – Colt! – zawołałem ponownie.

Wołałem i wołałem.

Piknięcie zegarka podpowiedziało, że od wypadku minęło już półtorej godziny, a my nadal nie znaleźliśmy malca. Spojrzałem w górę. Znajdowaliśmy się już poza linią drzew, gdzie zaczynało się rumowisko, wszystko wokół wyglądało podobnie. Nie wiedziałem, które głązy spadły teraz, a które wcześniej.

Widziałem, że śmigłowiec poleciał po dodatkowych ludzi, Mark zajął się podawaniem współrzędnych przez radio, upewniając się, że wybiorą inny obszar poszukiwań. Ja szedłem za Demolką, więc musieli się z tym pogodzić.

Suczka węszyła jak szalona na południe, więc skręciliśmy przy linii lasu.

– Colt! – Dostrzegłem niebieską plamę, gdy Demolka puściła się szaleńczym pędem. Przeskakiwałem za nią przez głązy i gałęzie. Demolka usiadła przy dziecku.

– Colt – zawołałem, ale malec nie odpowiedział. Wystawała tylko górna część ciała, dolną przysypały liście.

– Dobra psina – powiedziałem do Demolki. Z przyzwyczajenia wyjąłem z kieszeni smaczek i jej podałem, nim uklęknąłem obok chłopca.

– Colt, no dalej, koleżko. – Był blady, z rozcięcia na twarzy sączyła się krew. Przyłożyłem palce do jego szyi i czekałem.

*Proszę, Boże. Zrobię wszystko, co zechcesz. Błagam.*

Miał słaby, nierówny puls i zimną skórę.

– Ma gdzieś krwotok – rzuciłem do Marka, który uklęknął po drugiej stronie dziecka. – Oczyszczyć go z mniejszych gałęzi, ale cięższe zostaw, bo sam się nimi zajmę.

Mark przytaknął i wypełnił polecenie.

– Drużyna dziewiąta, tu Gutierrez i Gentry. Znaleźliśmy chłopca. Nikły puls. Natychmiast przyślijcie medyków.

Radio trzeszczało, gdy rozpinałem polar Colta.

– Cholera, Gentry.

Spojrzałem na dolną część ciała malca i żółć podeszła mi do gardła. Uniosłem oczy do nieba, po czym znów opuściłem wzrok. Prawe udo dziecka znajdowało się pod dużym, ostrym kamieniem wielkości połowy silnika samochodowego.

– Rozetnij spodnie wokół. Muszę zobaczyć skórę. – To nie było nic dobrego.

– Gutierrez, tu dziewiąta. Tankujemy i wracamy do was.

*Cholera.*

– Colt, jesteś tu, mały? – zapytałem, głaszcząc go po twarzy. – Obudź się.

Zatrzepotał powiekami.

– Pan Beckett?

Głos malca w tej chwili był najśłodszym, co w życiu słyszałem. Żył i mógł mówić. *Dzięki Ci, Boże.*

– Hej! – Unieruchomiłem mu głowę, gdy uniosł powieki. Prawa źrenica była nieco większa niż lewa. Wstrząs mózgu. – Nie ruszaj się, dobrze? Jestem tu z tobą.

– Gdzie? – wychrypiał, starając się zerknąć na boki.

– Spadłeś z wysoka, więc nie możesz się ruszać, dobrze? Mogłeś uszkodzić szyję. Jest tu ze mną Mark, lekarze są w drodze. Nie ruszaj, proszę, głową.

– Dobrze. – Skrzywił się. – Boli.

– Na pewno. Możesz powiedzieć, gdzie najbardziej?

Poruszał oczami.

– Wszędzie.

– Rozumiem. – Spojrzałem na głaz, którym został przyciśnięty. – Colt, możesz poruszać palcami u stóp? Samymi palcami?

– Tak – odparł.

Spojrzałem na Marka, który zaciskając usta, pokręcił głową.

*Bez paniki.*

– Dobra robota, mały. Możesz to zrobić raz jeszcze? – Miałem nadzieję, że brzmię spokojniej, niż się czułem, bo zaraz miałem wyjść z siebie.

– Widzi pan? Z palcami okej. Nie bołą – powiedział Colt i lekko się uśmiechnął.

Mark znów pokręcił głową, a moja dusza zwinęła się w ciasną kulkę.

– Nogi cię nie bołą? – zapytałem.

– Nie, ale wszystko inne tak. – Opadły mu powieki.

– Colt. Colt! – Złapałem go za twarz. – Musisz ze mną zostać. Ruszaj palcami u rąk.

Pomachał wszystkimi dziesięcioma. *Co za ulga.*

– Jestem zmęczony. Emmie nic nie jest?

– Nie, ale martwi się o ciebie. Świetnie się spisałeś, Colt. Uratowałeś ją. – Ponownie sprawdziłem puls. Cholera, coraz nikszy.

– Chronimy słabszych – powiedział z niewielkim uśmiechem. – Zimno mi. Jest tu zimno?

– Spójrz pod kamień. Widzisz krew? – poleciłem Markowi. Zdjąłem polar, okryłem pierś dziecka. – Lepiej?

Mark uklęknął i się pochylił.

– Nie widzę. Powinniśmy zdjąć z niego ten głaz.

– Najpierw musimy założyć opaskę uciskową. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że noga została zmiażdżona. Od wypadku minęły niemal dwie godziny, nie możemy tak po prostu zdjąć kamienia. Opaski są w plecaku Demolki.

– Cholera, Beckett – rzucił Mark. – Krew.

Natychmiast wyjąłem opaskę i uklęknąłem obok Marka. Spod kamienia wypływała ciemnoczerwona plama.

– Gdzie to śmigło? Powiedz, by opuścili kosz.

– Ekipa dziewiąta, tu Gutierrez i Gentry. Co tam z koszem?

– Gutierrez, tu dziewiąta. Szacowany czas dotarcia: pięć minut.

– Kurwa – mruknąłem. Nie było w tej chwili innego słowa, by opisać tę sytuację.

Wsadziłem opaskę pod udo Colta, po czym zaciągnąłem ją mocno i zapiąłem tuż nad przyniatającym go głazem.

– Nie ruszaj go – ostrzegłem Marka.

Przeszedłem na drugą stronę chłopca i uklęknąłem. Miał sine wargi, bladą, spoconą, zimną skórę. Serce biło coraz słabiej.

– Hej, kolego, zatamowałem krwawienie. Wytrzymaj jeszcze chwilę, śmigłowiec już leci.

Uśmiechnął się nikszy.

– Będę leciał śmigłowcem? Spoko.

– Tak. No i jesteś bohaterem. Wszyscy będą mieli cię za spoko ziomka, ale ja uważam, że jesteś najlepszy – przyrzekłem. – Jeszcze gdzieś cię boli?

– Nie, już nic.

Zamartem. *Szok. Wykrwawia się.* Zatamowałem krwawienie w nodze, ale zapewne po upadku musiał mieć krwotok wewnętrzny.

„Jest ranny. Czuję to”.

Bliźnięta. Ta sama sytuacja, gdy Colt obudził się, bo Maisie miała infekcję cewnika.

– Dobra, mów do mnie, koleżko. – Zdjąłem z niego polar, uniosłem jego koszulkę. Miał siną lewą stronę klatki piersiowej i napuchnięty brzuch.

Usiadłem na piętach i złapałem się za głowę.

*Ryan. Musisz mi pomóc. Błagam.*

– Gdzie jesteśmy? – zapytał cicho Colt.

Wstałem, złapałem Marka za rękę.

– Ma krwotok wewnętrzny. Wydaje mi się, że to pęknięta śledziona, więc mamy minuty. Biegnij do najbliższego, wolnego od drzew miejsca i odpal racę dymną.

Na jego twarzy malowała się rozpacz, gdy patrzył na chłopca, ale odwrócił się i pobiegł.

Uklęknąłem obok Colta, po czym położyłem się obok niego i go objąłem.

– Bardzo cię kocham.

Obrócił głowę, ale na niego nie nakrzyczałem. Nie było sensu.

– Też pana kocham. – Otworzył oczy, więc oparłem czoło na jego czole.

– Myślałem, żeby dodać tyrolkę do domku na drzewie. Co ty na to? – Głaskałem go po głowie.

– Tak. Chyba powinna schodzić do jeziora. Byłoby spoko, mama nie martwiłaby się, że spadnę.

Tego upadku się nie spodziewaliśmy.

Demolka piszcziała, wtulając się w Colta z drugiej strony. Wiedziała.

– Masz rację. – Sprawdziłem puls. Był tak cholernie słaby.

– Chyba umieram – szepnął.

– Zostałeś poważnie ranny – powiedziałem, krztusząc się na ostatnim słowie. Nie chciałem go okłamywać, ale nie zamierzałem sprawiać, by ostatnie chwile spędził w strachu. W tym momencie nie mogłem już nic zrobić. Miałem go utracić.

*Ella. Boże, musiała tu być.*

– W porządku. Niech się pan nie smuci i powie mamie i Maisie, żeby też nie płakały. – Odetchnął drżąc. – Zobaczę się z wujkiem Ryanem.

Nie mogłem oddychać. Moja pierś unosiła się tak pospiesznie jak jego, serce dostosowało się do słabego rytmu chłopca.

– Wytrzymaj, koleżko. Nie zrobiłeś jeszcze wielu rzeczy. Czeka cię ich tak dużo.

Spojrzał na mnie z miłością.

– Miałem pana. Jako tatę.

Poczułem, że po moich policzkach spłynęły łzy i skapnęły na ziemię.

– Och, Colt. Mieliśmy ci powiedzieć. Czekaliśmy, aż Maisie wyzdrowieje, ale w zeszłym roku was adoptowałem. Już od jakiegoś czasu masz tatę i to takiego, który cię kocha bardziej niż cokolwiek na świecie.

Oddychał coraz wolniej i z coraz większym wysiłkiem, ale nadal zdołał się uśmiechnąć.

– Jest pan moim tatą?

– Jestem twoim tatą.

– A więc to takie uczucie. – Uniósł rękę, położył zimne palce na moim policzku. – Fajnie mieć tatę.

– Fajnie być twoim tatą, Colt. Jesteś najlepszym synem, jakiego mógłbym mieć. Jestem z ciebie dumny – wydusiłem.

Zamknął oczy i ponownie drżąc odetchnął.

W tle słyszałem śmigłowiec.

– Jestem Gentrym – powiedział Colt, usilnie starając się unieść powieki.  
– Jesteś. Gentrym i MacKenziem. Na zawsze.  
– Na zawsze?  
– Na zawsze będę twoim tatą. Bez względu na wszystko. Nic tego nie zmieni. – Nawet śmierć. Moja miłość sięgała znacznie dalej.  
– Colton Ryan MacKenzie-Gentry. Mam wszystko, czego chciałem. – Zamknął oczy i jego pierś uniosła się zaledwie odrobinę. Resuscytacja nie pomoże – nie, gdy stracił tak wiele krwi.  
– Ja też – powiedziałem i pocałowałem go w głowę.  
– Powiedz mamie i Maisie, że je kocham, tato – szepnął, sapiąc pomiędzy słowami.  
– Powiem. Bardzo cię kocham. Masz mamę i tatę, i siostrę, którzy zrobią dla ciebie wszystko.  
– Kocham cię, tato – szepnął.  
– Też cię kocham, Colt.  
Jego pierś uniosła się raz jeszcze, po czym dłoń osunęła się z mojej twarzy i mały stracił przytomność.  
– Colt? – Szukałem pulsu, ale nie znalazłem. – Colt! Nie! – Wsunąłem pod niego rękę i usiadłem. Przytuliłem go mocno do siebie i trzymałem jego głowę przy swojej piersi.  
Krzyknąłem. Wydierałem się, aż zacząłem szlochać. Demolka usiadła i zaczęła przeraźliwie wyc.  
*Zaopiekuj się nim, Ryan.*  
– Beckett – powiedział cicho Mark. Kiedy uniosłem głowę, dostrzegłem, że klęczy obok mnie, a w oczach ma pełno niewyłanych łez.  
Zamglony wzrok zaraz mi się wyostrzył.  
– Nie żyje. – Mocniej objąłem małe ciało.  
– Wiem. Zrobiłeś wszystko, co mogłeś.  
– Rano przygotowałem mu kanapki – powiedziałem, głaszcząc go po miękkich włosach. – Chciał z dodatkowym serem, więc mu dołożyłem. Przekroiłem na pół.  
To było zaledwie kilka godzin temu.  
Godzin.  
A teraz nie żył.  
– Co chcesz zrobić? – zapytał Mark.  
Uświadomiłem sobie, że wokół nas stało kilka osób. Jenkins uklęknął, sprawdził funkcje życiowe, ale zaraz zacisnął usta w wąską linię i wstał.  
Czego chciałem? Co chciałem zrobić? Chciałem krzyczeć, rozerwać ten las na strzępy. Chciałem gołymi pięściami zburzyć tę górę. Chciałem spojrzeć na syna i usłyszeć jego śmiech, zobaczyć, jak wybiega na taras domku na drzewie. Chciałem, aby dorósł, chciałem poznać mężczyznę, jakim miał się stać. Ale już mi się wymknął.  
To, czego chciałem, nie miało znaczenia, jeśli nic nie mogłem zrobić.  
– Muszę zabrać go do matki.

## ROZDZIAŁ 28

ELLA

**Ś**migłowiec wylądował na małej polanie jakieś trzydzieści metrów ode mnie, a mnie ścisnęło się serce. Lądowali, bo znaleźli Colta albo...

– Oddychaj – poleciała mi Ada. Larry zabrał Maisie do domu. Nie chciałam, by tu była i oglądała z bliska tą tragedię.

Za nami stanęła grupa z hrabstwa. Wszyscy obserwowali i czekali.

– Gdyby go znaleźli, poleciliby do Montrose – powiedziałam, starając się stłumić strach.

– Beckett go znajdzie. Wiem, że go znajdzie.

Widziałam mapę, wiedziałam, gdzie trwały poszukiwania.

Otworzyły się drzwi helikoptera, wysiadł Mark, potem Beckett. Miał na sobie koszulkę z długim rękawem, ale nie polar.

Spojrzał na mnie, ale z tak znacznej odległości nie widziałam wyrazu jego twarzy. Jednak nie musiałam, bo jego sylwetka powiedziała mi wszystko, co należało wiedzieć.

– Nie – szepnęłam. *Nie, nie, nie...*

To się nie działo. To niemożliwe.

Beckett obrócił się do kolejnego członka ekipy poszukiwawczo-ratowniczej, po czym wyjęto nosze.

Zobaczyłam polar Becketta.

Zakrywał twarz Colta.

Kolana się pode mną ugięły i pociemniało mi przed oczami.

\* \* \*

Mrugałam, więc świat wokół mnie zaczął wracać. Miałam nad sobą jasne światło, czułam woń szpitalnych środków odkażających. Obróciłam głowę, zobaczyłam, że obok mojego łóżka siedzi Beckett z napuchniętymi, zaczerwienionymi oczami.

Demolka spała pod jego krzesłem.

– Hej – powiedział, wyciągając do mnie rękę.

– Co się stało?

– Zemdlałaś. Jesteśmy w szpitalu w Telluride, nic ci nie jest.

Wrócił do mnie obraz śmigłowca. Polar.

– Colt?



– Tak mi przykro, Ella. Odszedł. – Skrzywił się.

– Nie, nie, nie – wołałam. – Colt. – Łzy zaczęły płynąć strumieniem. Nie potrafiłam powstrzymać szlochu i krzyku. Pomyślałam, że chociaż na chwilę ucichnie, gdy nabiorę powietrza, ale nic takiego się nie stało.

*Moje dziecko. Mój piękny, silny synek. Mój Colt.*

Poczułam ciepło, gdy Beckett położył się ze mną w łóżku, więc wtuliłam twarz w jego pierś i płakałam. Ból nie było dostatecznie silnym słowem, by opisać to, co czułam. Nie było skali. Żadnych leków. To agonia nie do zniesienia, przekraczająca wszelką skalę.

Mój synek zginął samotnie u podnóża góry, przy której dorastał.

– Byłem z nim – powiedział łagodnie Beckett, jakby czytał mi w myślach. – Nie był sam. Cały czas z nim byłem. Mówiłem, że jest kochany, a on prosił, żeby ci przekazać, żebyś nie płakała. Że ma wszystko, czego chciał. – Głos mu się załamał.

Spojrzałam na niego, dysząc pospiesznie.

– Rozmawiałaś z nim?

– Tak. Poinformowałem go o adopcji, mówiłem, że ma mamę i tatę, którzy wszystko dla niego zrobią.

Nie był sam. To już coś, prawda? Urodził się i trafił w ręce matki, a zmarł w ramionach ojca.

– Dobrze. Cieszę się, że wiedział. Powinniśmy byli powiedzieć mu wcześniej. – Zmarnowałam tyle czasu na strach. Przez wszystkie te dni mógł mieć Becketta i wiedzieć, kim dla niego jest.

– Cierpiał? – Musiał bardzo cierpieć, a mnie przy nim nie było.

– Początkowo, ale ból szybko zniknął. Nie cierpiał, gdy odchodził. Ella, przysięgam, zrobiłem wszystko, co w mojej mocy.

– Wiem. – Miałam co do tego pewność, nawet nie wiedząc, co się dokładnie tam wydarzyło. Beckett oddałby za Colta życie. – Bał się?

– Nie. Był silny i pewny siebie. Pytał o Emmę. Uratował ją, Ella. Właśnie dlatego ona żyje. Odepchnął ją od krawędzi. Był dzielny, mówił, że bardzo kocha ciebie i Maisie. To jego ostatnie słowa. Prosił, żeby przekazać, że bardzo kocha mamę i siostrę. A potem nazwał mnie tatą i umarł. Tak po prostu.

Znów zaczęłam niekontrolowanie szlochać.

To nie były smutek czy złamane serce.

To całkowite zmiżdżenie duszy.

\* \* \*

– Coltona nie dało się uratować – oznajmił doktor Franklin, który w towarzystwie innych lekarzy siedział po drugiej stronie stołu.

Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam barwy wschodzącego słońca.

Nie chciałam, by wstawał nowy dzień. Chciałam pozostać w tym, w którym pocałowałam synka na pożegnanie i przytuliłam go, zanim wszedł do autobusu. Nie chciałam wiedzieć, jak wygląda słońce, które nie będzie na niego świecić.

– Colton miał poważne obrażenia wewnętrzne, wliczając w to pęknięty kręgosłup, śledzionę, aortę oraz zmiążdżoną tętnicę udową. To tylko rzeczy, które widzieliśmy na USG. Proszę mi uwierzyć, że nic nie mógł pan zrobić, panie Gentry, a pana szybka reakcja i założenie opaski uciskowej na nogę dało panu cenne minuty.

– Dlatego go nie bolało – powiedział Beckett, który trzymał mnie za rękę.

– Stracił czucie. Nie cierpiał.

Łzy płynęły mi po policzkach, ale nawet nie trudziłam się, by je ocierać. Po co, skoro zaraz pojawią się następne?

– A gdybym szybciej dotarł na miejsce? – zapytał Beckett napiętym głosem.

Doktor Franklin pokręcił głową.

– Nawet gdyby spadł z dachu naszego szpitala, nic nie mogliśmy zrobić. Nie pomogliśmy mu nawet w Montrose. Przy tak poważnych obrażeniach, cudem był czas, który pan z nim miał. Zatem moje kondolencje z powodu państwa straty.

*Naszej straty.*

Colt nie był stracony. Dokładnie wiedziałam, gdzie się znajdował.

Jednak jego miejsce nie było w kostnicy, a w domu, w bezpiecznym łóżku.

– Musimy jechać do domu – powiedziałam do Becketta. – Musimy poinformować Maisie. – Znow się rozplakałam. Jak miałam przekazać córeczce, że nie ma już połowy jej serca? Jak miała dalej żyć, będąc zaledwie połową osoby?

– Dobra, jedźmy.

Doktor Franklin powiedział coś cicho do Becketta, na co ten przytaknął, a potem jakimś cudem udało mi się postawić krok i skierowaliśmy się do głównych drzwi szpitala.

Zatrzymałam się przed nimi. Bliźnięta się tu urodziły. Wstałam z wózka i zaniiosłam je w nosidlach, ignorując protesty pielęgniarek. Szłam, bo musiałam się przekonać, że dam radę.

– Ella?

– Nie mogę go tu zostawić. – Serce mi się krajało i walczyłam o kolejny oddech. Ciało nie chciało żyć w świecie bez Colta.

Beckett mnie objął.

– Pilnują go. Jest bezpieczny. Jutro się nim zajmiemy. Na razie jedźmy do domu.

– Chyba się nie ruszę – szepnęłam. Nie mogłam postawić następnego kroku, zostawić Colta.

– Mam ci pomóc? – zapytał.

Przytaknęłam, więc Beckett wziął mnie na rękę. Objęłam go za szyję i położyłam głowę na jego ramieniu, gdy wyniósł mnie na poranną aurę.

Prowadził mój samochód. Przynajmniej tak mi się wydawało. Czas stracił znaczenie. Dryfowałam na oceanie, czekając aż wciągnie mnie kolejna fala.

Zamrugalam i byliśmy w domu, Ada coś gderwała. Beckett posadził mnie na kanapie, przykrył mi nogi kocem. Ada coś powiedziała, więc pokiwałam głową, nie wiedząc, o co chodzi. W moich dłoniach pojawił się kubek kawy.

Wbrew mojej rozpaczycy wstało słońce. Nie zważając na to, że wczoraj rozpadł się mój świat, zamierzało świecić dalej.

– Mamo? – Do pokoju weszła Maisie, ściskając niebieskiego misia. Miała na sobie fioletową piżamę, zmierzwiłone od snu włosy i ślady poduszki na twarzy.

Była tak podobna do Colta. Czy kiedykolwiek patrząc na nią, nie będę go widziała?

– Hej – wychrypiałam.

Podszedł do nas Beckett.

– Nie żyje – oznajmiła, stwierdzając fakt z miną poważniejszą niż kiedykolwiek podczas leczenia raka.

Otworzyłam oczy, spojrzałam na Becketta, ale ten pokręcił tylko głową.

– Wiedziałam już wczoraj. Przestał cierpieć. Wiedziałam, że umarł. – Skrzywiła się, a Beckett ją przytulił. – Pożegnał się ze mną, kiedy spałam. Powiedział, że nic mu nie jest i żebyście sprawdzili jego kieszeń.

Beckett posadził małą obok mnie na kanapie, więc ją objęłam.

– Tak mi przykro, Maisie. – Pocałowałam ją w czoło, a gdy się we mnie wtuliła, wydawała się znacznie mniejsza.

– To nie w porządku. To nie on miał umrzeć, a ja. Dlaczego umarł? To niesprawiedliwe. Mieliliśmy umowę, że zawsze będziemy razem. – Rozplakała się, przez co i ja znów zaczęłam szlochać. Małe ciało drżało przy moim, a lzy moczyły mi bluzkę.

Starałam się znaleźć właściwe słowa, by ukoić cierpienie córki, choć nie wiedziałam, jak zakończyć własne.

– To niesprawiedliwe – odparłam, głaszcząc ją po plecach, gdy wtulała się z niebieskim miśkiem między nami. – I ty też nie miałaś umrzeć. Żadne z was. Tak się po prostu stało.

Dlaczego nie było na to jakiegoś lepszego wyjaśnienia? Dlaczego zdarzył się wypadek, którego nie można było przewidzieć? Gdzie w tym sprawiedliwość?

Beckett usiadł po drugiej stronie i otoczyliśmy małą tak wielką czułością, jaką tylko mogliśmy jej zapewnić. Potrzebowała jej całej. Może ja straciłam synka, ale ona połowę siebie.

Zasnęła jakąś godzinę później, obróciwszy się do Becketta. Tulił ją przy piersi, głaszcząc po włosach, a ja mimowolnie zastanawiałam się, czy w ten sam sposób trzymał Colta, gdy ten umierał. Odsunęłam od siebie tę myśl, zamknęłam za drzwiami, które otworzę, gdy będę gotowa na odpowiedzi.

Weszła Ada z workiem ze szpitala w Telluride.

– Chcesz to? Mała mówiła, żeby sprawdzić kieszenie.

Wyjęłam z worka polar Colta. Nie było krwi, łez, niczego, co opowiedziałoby o tragedii, którą przeszedł. Pierwsza kieszeń była pusta. *Kolejna też będzie* – podpowiadała logika. To, że byli bliźniętami, nie oznaczało...

Natrafiłam palcami na coś cienkiego i szeleszczącego. Wyjęłam to i dech uwiązał mi w gardle.

To czerwony liść.

\* \* \*

W dzień pogrzebu Colta świeciło piękne słońce. Promienie przebijały się przez korony drzew na małej wyspie, znacząc ziemię plamkami światła. Wzmógł się wiatr, niosąc kaskadę złotych liści osik.

Stałam między Beckettem a Maisie, gdy opuszczano małą trumnę. Córka nie włożyła czerni, mówiła, że to głupi kolor i Coltowi by się nie podobało. Ubrała się na żółto, bo to barwa słońca i miała ze sobą różowego misia brata.

Wczoraj swojego niebieskiego włożyła mu do trumny, mówiąc, że tylko w ten sposób mogą być razem. Jednak obserwowałam, jak znika światło z jej oczu, więc wiedziałam, że nie grzebaliśmy tylko Colta, ale również część Maisie.

Mała Emma, którą uratował mój syn, stała z rodzicami, a po jej policzkach płynęły łzy. Byłam niezmiernie dumna z tego, co zrobił dla niej Colt, nie potrafiłam życzyć małej niczego złego, bo to nie była jej wina. Mimo to nie rozumiałam, dlaczego Bóg wymienił życie jednego dziecka za inne.

Czy Colt zginął za Emmę?

A może modliłam się ostatnimi laty zbyt usilnie i przypadkowo wymieniłam Colta za Maisie, bo tak często błagałam Boga, by zachował ją przy życiu?

Żałobnicy utworzyli kolejkę, aby złożyć kondolencje. Dlaczego miałabym słuchać tego, jak bardzo będą za nim tęsknić? Ledwie byłam w stanie unieść własny ból, starając się odebrać nieco smutku Maisie i wspierać Becketta. Po co mi jeszcze żal tych ludzi?

– Nie mogę – powiedziałam Beckettowi.

– Dobra, sam się tym zajmę – odparł i zaprowadził mnie na małą ławkę, którą kazałam tu postawić po śmierci Ryana. Maisie zajęła miejsce obok mnie, a Beckett i Ada zajęli się żałobnikami, po czym Larry prowadził ich do łódek, które wynajęliśmy, by odwozły ich na brzeg.

– Teraz jestem jak ty, mamo.

– Jak to, skarbie?

Wpatrywała się w pluszaka.

– Obie mamy tu braci.

Znów dopadł mnie smutek, wciągając pod powierzchnię i nie mogłam oddychać, nie wiedziałam, jak się spod niego wynurzyć. Jak ktokolwiek mógł przeżyć śmierć dziecka? Dlaczego ból nie zatrzymał mojego serca, tylko nieustannie groził, że wyśle mnie za synem?

Maisie wzięła mnie za rękę, a powietrze wdarło się do moich płuc.

– Tak. – W końcu znalazłam w sobie siłę, by jej odpowiedzieć.

– Beckett też do nas pasuje. – Spojrzała na mężczyznę, który ścisnął dłonie ostatnich osób. – Są tu obaj jego przyjaciele.

Przełknęłam ślinę już chyba po raz tysięczny, starając się pozbyć stałego ucisku w gardle, gdy go obserwowałam. Stał silny, spokojny, a ja nie mogłam uwierzyć, że mu się udawało, bo jego smutek był porównywalny do mojego. Beckett po prostu był tak wytrzymały.

Wkrótce zostaliśmy we troje, patrząc na dom, który zbudował dla nas Beckett.

– Gotowa? – zapytał. – Możemy tu zostać tak długo, jak zechcesz.

Nie zniosłam widoku zasypywania mojego synka, aby ziemią zasłonić jego twarzyczkę przed słońcem. To wydawało się zbyt ostateczne. Złe.

– Tak, chodźmy.

Przeszliśmy obok grabarzy, zatrzymałam się przy nagrobku Ryana, położyłam dłoń na gładkim granicie.

– Jest teraz z tobą. Wiem, że nigdy nie chciałeś być rodzicem, ale teraz przez chwilę musisz nim być. Dopóki się nie zjawimy. Graj z nim w piłkę. Naucz go wszystkiego, co będzie chciał wiedzieć. Tul go, kochaj i pozwól błyszczeć. Na chwilę jest twój.

Znów zaczęłam płakać, a Beckett wziął mnie za rękę. Obróciłam się i zobaczyłam, że Maisie klęczy przed grobem brata i się trzęsie. Ruszyłam do niej, ale Beckett mnie zatrzymał.

– Daj jej chwilę.

Słyszałam, że do niego mówiła. Nie rozumiałam słów, ale wiedziałam, że to rozmowa tylko między nimi, tak jak wtedy, gdy żył. Beckett milcząco mnie wspierał, aż Maisie wstała.

Jak pożegnać się z osobą, z którą dzieliło się duszę? Która była z tobą przy każdym uderzeniu serca?

Wyprostowała się silna, po czym obróciła ze smutnym uśmiechem. Otarła łzy i po prostu przestała płakać.

– Nic mu nie jest. Mnie również.

I w jakiś sposób wiedziałam, że naprawdę tak było. Odnalazła spokój z pewnością, którą mogło mieć tylko dziecko.

Wydawało się, że znaleźliśmy się w domu w okamgnieniu. Ada w głównym budynku zorganizowała stypę, więc mój był cichy, pusty i dokładnie taki, jakiego potrzebowałam.

Posłałam Becketta z Maisie do gości, a sama siedziałam, starając się po prostu być. Demolka leżała przy mnie, trzymając łeb na moich kolanach, gdy zmuszałam się, by oddychać, skupiając się na prostym mechanizmie życia.

Rozległo się pukanie do drzwi, wszedł kapitan Donahue.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak się pani czuje, nie będę udawał, że mam pojęcie. – Stał przede mną, po czym kucnął, aby znaleźć się na linii mojego wzroku. Beckett zawsze robił tak samo. – Wiem, że to może nie być właściwa pora, ale wyruszamy i nie wiem, kiedy tu ponownie zawitamy, więc to dla pani.

Wręczył mi białą kopertę ze znajomym pismem Becketta. Zaadresowaną do mnie.

– Co to? – zapytałam, otwierając.

– Proszę jeszcze tego nie czytać. Jeszcze nie czas. Niektórzy z oddziału proszą, bym przechował ich listy pożegnalne. Miałem list Maca dla Gentry' ego, zatrzymałem też list Gentry' ego do pani.

– Do mnie?

Przytaknął.

– Chciałem go pani dać, w razie, gdyby czuła się pani zagubiona lub zapomniała, jak on bardzo panią kocha. Jak mówiłem, proszę nie czytać teraz. Ale pewnego dnia proszę to zrobić.

Wyszedł, a ja nie pamiętałam, czy się pożegnałam ani kiedy wrócili pozostali. Mogłam skoncentrować się jedynie na równym biciu mojego serca, w kółko liczyć do dziesięciu, starając się żyć ponad bólem. Siedziałam, wypita wodę, którą mi podano, posłałam Maisie sztuczny uśmiech, gdy stwierdziła, że pora kłaść się do łóżka.

Wzięłam się w garść na tyle, by okryć ją kołdrą. Założyłam jej włosy za ucho i położyłam dłoń na jej piersi, gdy zasypiała, bo dzień odcisnął piętno na jej małym ciele. Bijące serce

córki dodało mi siły. Nadal tu była, bo usilnie walczyła, by przeżyć.

Ale Bóg nie dał mi tego samego doświadczyć z Coltem.

W korytarzu zastałam Becketta, gdy opierał się o drzwi pokoju malca.

– To jak jakiś chory żart – powiedziałam, czym go wystraszyłam. – Jakby to nie była prawda.

Obrócił się ku mnie.

– Ciągle myślę, że tam jest. Jakbym mógł polecić Demolce, by go szukała, a on wyskoczyłby ze swojej kryjówki.

Pokiwałam głową, bo zawiodły mnie słowa.

– Przejdźmy się – zaproponował.

Nie oponowałam, więc wyszliśmy na zewnątrz, a chłodne powietrze owiało moje mokre policzki. Za wodą leżał mój syn, tuż obok mojego brata, a ja wciąż nie mogłam w to uwierzyć. Mgłę, która zasnuła mój umysł zaraz po upadku przewiała bryza znad jeziora i po raz pierwszy od wielu dni zrobiła miejsca emocjom.

To nie było sprawiedliwe. Wcale. Colt zasługiwał na coś lepszego.

– Tak bardzo walczyłam o Maisie – przyznałam, chwytając się drewnianej poręczy ganku. – Powtarzałam, że mnie potrzebuje, że Coltowi nic nie będzie, a Maisie umiera. Jak bardzo to głupie? – Głos mi się załamał.

Beckett pochylił się nad barierką i słuchał, jakby wiedział, że nie liczyłam na żadną odpowiedź.

– Całe to leczenie, wyjazdy, pobyty w szpitalach, gdy staraliśmy się uchronić ją przed potworem żyjącym w jej wnętrzu. Cały ten strach, po czym radość z remisji. Wszystkie te emocje... a potem to. Spadł zaledwie kilka kilometrów od naszego domu i umarł, zanim zdążyłam się z nim pożegnać.

Nakrył moją dłoń na balustradzie swoją.

– Dlaczego nie miałam szans, by walczyć i o niego? Powinnam je dostać. Gdzie byli lekarze? Jego terapie? Gdzie jego segregator i harmonogram? Gdzie, do diabła, byłam ja? Czy wymieniłam jego za nią? Czy to właśnie się stało?

– Nie.

– Ale takie mam wrażenie. Jakby każdy koszmar związany z jej śmiercią ziścił się w przypadku Colta, ale to gorsze, niż zdołałabym sobie wyobrazić. Przez dwa lata walczyłam o życie Maisie, pilnując, by każda chwila była wyjątkowa, bo mogła być jej ostatnią. Byłam tak zajęta wpatrywaniem się w Maisie, która toczyła walkę, że straciłam z oczu Colta, a teraz już go nie ma. Naprawdę go straciłam...

– Wiedział, że go kochałaś – powiedział łagodnie Beckett.

– Tak? Wciąż odtwarzam w myślach tamten poranek. Tak się spieszyliśmy i pamiętam, że go przytuliłam, ale nie sądzę, że powiedziałam, że go kocham. Pobiegł, a ja nawet o tym nie pomyślałam. Sądziłam, że później się spotkamy. Dlaczego go nie zatrzymałam? Dlaczego nie zaspaliśmy? Dlaczego zdążyliśmy na ten autobus? Dlaczego nie tuliłam go nieco dłużej? To się stało tak szybko, Beckett. Wszystko. Całe jego życie minęło tak szybko, a ja zapomniałam powiedzieć, że go kocham.

– Wiedział.

Pokręciłam głową.

– Nie. Nie byłam na jego przedstawieniach, meczach, projektach, przeoczyłam miesiące jego życia, bo wybrałam Maisie, a on o tym wiedział. Zawsze wybierałam Maisie, bo nie miałam pojęcia, że go utracę. Jaka matka tak postępuje? Nieustannie wybiera jedno dziecko ponad drugie?

– Gdybyś tego nie zrobiła, miałabyś teraz groby dwójki dzieci. Ella, to nie jest twoja wina. Nie wymieniałś Colta na Maisie. Nie dokonałaś transakcji, nie utraciłaś go, bo z całych sił walczyłaś o nią. To był akt... Sam nie wiem. To był wypadek.

– Powód nie istnieje! Żadnego nie ma. Nie miałam bitwy do stoczenia, nie zdołałam wygrać z tym, co się stało. Nie mogłam o niego walczyć. Zrobiłabym to, Beckett. Walczyłabym.

Otarł mi łzy, choć nie wiedziałam, że płaczę.

– Wiem o tym. Nigdy nie znałem kogoś, kto by walczył tak, jak ty. I zdaję sobie sprawę, że mi nie uwierzysz, ale walczyłaś. Zrobiłaś wszystko, co mogłaś, a kiedy to nie wystarczyło, położyłem się obok niego i tuliłem go za nas oboje. Nie był sam. Nie porzuciłaś go. Nigdy go nie porzuciłaś. Ani podczas choroby Maisie, ani kiedy poszli na wycieczkę.

Przytłoczył mnie ból. Nie wyobrażałam sobie, by kiedykolwiek zelżał, nie wiedziałam, jak będę dalej żyć.

– Nie wiem, jak nabrać tchu. Jak jutro wstać z łóżka.

Objął mnie od tyłu, położył podbródek na mojej głowie.

– Razem coś wymyślimy. A jeśli nie zdołasz oddychać, ja będę robił to za ciebie. Każdego dnia. Każdej minuty, jeśli będę musiał.

– Skąd masz pewność, że dasz radę?

– Bo pewna mądra kobieta powiedziała mi kiedyś, że czasem dzieją się złe rzeczy i bez względu na solidne argumenty, nie można w tym znaleźć logiki. I że możemy cierpieć lub pozwolić, by ból nas ukształtował. Zatem jestem pewien, że będziemy brać dech za tchem, aż cierpienie nieco zelżeje.

– Nigdy nie odejdziesz.

– Nie. Będę codziennie za nim tęsknił. Może utraciliśmy nieco słońca, ale Maisie nadal tu jest i może nie świeci tak jasno bez Colta, jednak dzięki niej nie otoczy nas mrok.

Miał rację. Wiedziałam o tym w głębi duszy, ale moje serce nadal nie było w stanie wyjść dalej niż kolejne pięć minut naprzód.

– Był tu kapitan Donahue. Chciał się pożegnać. Chyba twój oddział wyrusza na misję – powiedziałam ostrożnie. Jeśli Beckett chciał wyjechać, nadeszła odpowiednia pora. Telluride było w tej chwili okropnym miejscem.

– Życzę im powodzenia.

– Nie chcesz jechać? – Serce mi się krajało, gdy czekałam na odpowiedź.

Obrócił mnie w swoich ramionach, abym mogła widzieć jego twarz.

– Nie. Nie chcę jechać. A to i tak nieważne. W zeszłym tygodniu podpisałem zwolnienie. Już nie jestem żołnierzem.

– Nie jesteś?

– Nie. Poza tym pracuję na pełen etat w jednostce poszukiwawczo-ratowniczej, która ma bardzo dobre ubezpieczenie. – Uśmiechnął się półgębkiem.

– Zwolniłeś się z wojska. Nie wyjeżdżasz.

– Nawet jeśli mnie wyrzucisz, będę spał na twojej wycieraczce. Nigdy cię nie zostawię. – Prawda wybrzmiała wyraźnie w jego słowach i zadomowiła się w oczach.

Zapomniałam powiedzieć Coltowi, że go kocham. Nigdy więcej nie miałam popełnić tego samego błędu.

– Kocham cię – wyznałam. – Przepraszam, że nie mówiłam tego przez tak długi czas, ale naprawdę cię kocham. Nigdy nie przestałam.

– Kocham cię. – Pocałował mnie w czoło. – Poradzimy sobie.

W tym momencie nie czułam, by była to prawda, ale umysł podpowiadał, że Beckett miał rację, ponieważ w chwili, w której przekazał, że postanowił zostać, moje serce przeszła radość, którą jednak szybko zdusił przytłaczający smutek.

Jednak pojawił się błysk. Wciąż byłam zdolna czuć coś innego niż żal.

Zatem ukryłam w sobie to szczęście. Wyjmę je, gdy nie będzie tak ciemno, gdy znajdzie się dla niego miejsce w mojej duszy.

A na razie mogłam jedynie oddychać.

I to musiało wystarczyć.



**TRZY MIESIĄCE PÓŹNIEJ**

## ROZDZIAŁ 29

ELLA

*Ello,*

*jeśli dostałaś ten list, oznacza to, że nie przyjadę do Ciebie w styczniu, jak planowałem. Bardzo Cię przepraszam. Niegdyś mówiłem, że będąc tu, nie boję się, bo nie mam nic do stracenia. Jednak w chwili, w której przeczytałem Twój pierwszy list, wszystko się zmieniło.*

*Ja się zmieniłem.*

*W razie gdybym nigdy Ci tego nie mówił, proszę, pozwól, że zrobię to teraz. Twoje słowa mnie uratowały. Swoją dobrocią i siłą wyciągnęłaś mnie z mroku. Dokonałaś niemożliwego i dotarłaś do mojej duszy.*

*Jesteś fenomenalną matką. Nigdy w to nie wątp. Dajesz radę. Bliźnięta mają ogromne szczęście, że je wspierasz. Bez względu na to, co stanie się z Maisie czy z Coltem, jesteś najcudowniejszym, co mogło spotkać te dzieci.*

*Zrobisz coś dla mnie? Skontaktuj się z moim bankierem. Na dole znajdziesz jego numer. Zmieniłem beneficjentów mojego ubezpieczenia na życie na Colta i Maisie. Wykorzystaj te pieniądze, by opłacić im studia albo daj im je na start, by mogły odnaleźć w życiu pasję. Nie jestem w stanie wymyślić dla nich lepszego zastosowania.*

*Chcesz usłyszeć coś szalonego? Zakochałem się w Tobie. To prawda. Gdzieś między pierwszym a dwudziestym listem uświadomiłem sobie, że Cię kocham. Ja, facet, który nie dogaduje się z innymi ludźmi, zakochał się w kobiecie, której nigdy nie widział na oczy.*

*Zatem jeśli zginąłem, chcę, byś o tym pamiętała. Ello, jesteś tak niesamowita, że zakochałem się w Tobie jedynie dzięki słowom.*

*Nie zatrzymuj ich dla siebie. Bez względu na los znajdź kogoś, kto będzie chciał ich słuchać tak bardzo jak ja. A potem się w nim zakochaj.*

*I wyświadcz mi przysługę – kochaj za nas oboje.*

*Z wyrazami miłości  
Beckett Gentry  
pseudonim Chaos*

---

**-G** dzie to zanieść? – zapytał Beckett, trzymając pudło podpisane „kuchnia”.

– Pewnie do kuchni – droczyłam się.

– Ha, ha – parsknął udawanym śmiechem i zaniósł karton, po czym postawił go na innych.

– Ile tego jeszcze masz? – zapytałam z salonu.

– Tylko kilka w samochodzie. Dlaczego pytasz? – Złapał mnie za biodra i przyciągnął do siebie. – Masz dla mnie plany?

– Może – powiedziałam i powoli się uśmiechnęłam. Jakiś miesiąc temu przestałam udawać niewielką wesołość. Szerokie uśmiechy malowały się na mojej twarzy dla dobra Maisie, ale te skromne? Te były prawdziwe. Moje.

– Podoba mi się. – Opuścił głowę i mnie pocałował. – Czy te plany uwzględniają prysznic? Bo wbudowałem tam małą ławkę...

Uderzył w nas zimny podmuch, gdy otworzono drzwi. Obróciliśmy się, gdy do domu wpadły Maisie i Emma w ośnieżonych czapkach. Przeszły przez przedpokój, chichotając.

– Tyrolka jest zarąbista! – powiedziała Emma, otrzepując buty.

– Prawda? Poczekaj do lata, a będziemy jeździć tą drugą, która prowadzi do jeziora! – dodała Maisie.

To ta, którą Beckett zbudował kilka tygodni po śmierci Colta. Zrobił wiele takich rzeczy, aby na swój własny sposób zatrzymać z nami syna. Maisie miała rację, obaj przyjaciele Becketta znajdowali się teraz na wyspie i tak jak Ryan zabrał ze sobą jego część, tak samo zrobił i Colt.

Beckett pocałował mnie pospiesznie i poszedł do garażu po kolejne pudło.

– A może napijecie się gorącej czekolady, dziewczynki? – zaproponowałam.

– Tak, prosimy! – pisnęły jednocześnie obie.

Wyjęłam kakao, ale zatrzymałam się przy oknie, aby podziwiać śnieg padający na zamrożone jezioro. W sercu pojawiła się znajoma, ostrzegawcza nuta, więc odwróciłam wzrok od wyspy i skupiłam się na kubkach dziewczynek.

Codziennie brakowało mi Colta. Tęskniłam za nim każdej minuty.

Jednak minione miesiące wyciszyły mnie na tyle, żeby smutek nie pochłaniał mnie już w każdej sekundzie. Wiedziałam, że będzie coraz lepiej. Żal nigdy całkowicie nie odejdzie, ale przynajmniej już mnie tak całkowicie nie przytłaczał. Fale nadal nadchodziły. Czasami były nawet przewidywalne, a innymi razy uderzały z siłą tsunami, jak pierwszego, a nie sto piętego dnia.

Dziewczynki przybiegły, wskoczyły na wysokie stołki, które znajdowały się pod granitowym blatem. Śmiały się i rozmawiały o bożonarodzeniowym przedstawieniu. Nalałam gorącej czekolady, wrzuciłam do kubków po kilka pianek, nim przesunęłam napoje po blacie.

– Dziękuję, pani MacKenzie – powiedziała Emma i upiła łyk.

Nie poprawiałam jej, po prostu się uśmiechnęłam.

– Proszę.

– Dzięki, mamol! – rzuciła Maisie, popijając.

Wrócił Beckett z kolejnym pudłem i postawił je na pozostałych przy stole. Podszedł i pochylił się do mnie.

– Co to za język? – zapytał, wpatrując się w dzieci.

– Dziewczyńska mowa – poinformowałam go. – Omawiają listę gości na urodziny Emmy, które będą w przyszłym miesiącu.

Maisie już je miała. W wieku ośmiu lat jest starsza od Colta. Urosła, rozwinęła się, a on już na zawsze pozostanie siedmiolatkiem. Dzień ich urodzin był trudny, jednak mała zaprosiła swoją nową przyjaciółkę.

Okazało się, że choć Maisie i Emma utraciły Colta, zyskały siebie nawzajem. Syn nawet po śmierci ofiarował siostrze piękny dar.

– Kakao, co? – zapytał Beckett, kradnąc łyżka.

– Tato! – pisnęła, ale zaczęła chichotać.

Boże, uwielbiałam ten dźwięk, tak jak ona uwielbiała wypowiadać to wesóło. Powiedzieliśmy jej po pogrzebie, bo zasługiwała na to, by wiedzieć, iż Beckett kocha ją tak bardzo, że postanowił zostać jej tatą. Uratował jej życie, jednak to akurat zatrzymaliśmy dla siebie.

Beckett pocałował mnie w policzek i zaczął otwierać kartony, śmiejąc się, gdy między patelniami znalazł zabawkę Colta. Kochałam w nim to, że potrafił z uśmiechem mówić o małym, nawet jeśli też cierpiał. Na kilka sposobów utrzymywał go przy życiu w naszej pamięci. Robił to przez tyrolki, zdjęcia, które powiesił w tym domu, oprawił nawet czerwony liść. Nigdy nie bał się o nim mówić, kilkakrotnie po powrocie z pracy zastałam ich z Maisie na kanapie, gdy przeglądali nagrania z udziałem jej brata.

Ja jednak nadal musiałam uporać się z pewnymi rzeczami. Może pewnego dnia uda mi się nie rozpłakać na dźwięk głosu Colta. Na razie przypominał mi o tym, co straciłam i jak puste było bez niego życie.

Beckett sprawiał, że żyliśmy dalej w tempie, które nie było wygodne, aczkolwiek znośne. Nie pozwalał mi się zbyt długo smucić, ale nigdy nie ignorował mojego bólu. Przesuwał granice, a potem się wycofywał i gdyby nie on, być może w ogóle przestałabym cokolwiek robić.

Maisie podtrzymywała bicie mojego serca.

Beckett utrzymywał mnie przy życiu.

Pilnowałam, by oboje codziennie wiedzieli, że ich kocham.

Potrzebowałam trzech miesięcy, ale w końcu przeczytałam list Becketta i to dzięki niemu przeprowadziłam się do domu, który zbudował dla naszej czwórki – w którym teraz będzie mieszkać tylko trójka.

„Kochaj za nas oboje”. Tak napisał w liście. Przemówiło to do mojego serca, jak nic innego, bo właśnie tego pragnęłyby Colt. Chciałby przenieść się do tego domu i żyć z mężczyzną, którego wszyscy kochaliśmy.

Który pragnął moich słów i posiadał moje serce.

Podpisał się prawdziwym nazwiskiem. Ostatnie słowa Chaosu połączyły dwóch mężczyzn, których kochałam, w końcu zobaczyłam ich obu w Becketcie, wgapiającym się w tej chwili w praskę do czosnku, jakby była narzędziem tortur.

– Włóż do tej szuflady – powiedziałam, otwierając tę przy moim biodrze.

– Zalotka? – zapytał, wskazując kolejny przedmiot.

– To do koktajli. Świetnie sprawdza się do truskawek. – Wzruszyłam ramionami.

– Kłamiesz! – Parsknął śmiechem i wrócił do rozpakowywania rzeczy.

Spojrzałam przez okno na wyspę i odetchnęłam głęboko, gdy znów dopadł mnie ból. Zaraz potem wzięłam kolejny karton i zaczęłam rozpakowywać rzecz po rzeczy, łącząc moje życie z Beckettem. Postanowiłam żyć normalnie dla Maisie i Becketta, ponieważ tego właśnie pragnąłby Colt. Mimo wszystko również był tutaj, w każdym zakamarku domu, który zbudował mężczyzna dla niego... dla nas.

Wciąż słyszałam echo jego kroków na schodach, jego śmiech w korytarzu. Nadal bywały momenty, gdy mogłabym przysiąc, że czułam zapach jego skąpanych słońcem włosów, gdy podbiegał, by się przytulić, po czym uciekał, nim zdołałam w pełni go objąć. Pokój, który Beckett dla niego przygotował pozostawał nietknięty poza kilkoma pudełkami, które przenieśliśmy z mojego domu. Nie byłam gotowa, by się tym zająć, ale to w porządku.

Znajdowało się tam tak wiele wspomnień, których nie umiałam jeszcze spakować. Wystarczyło, że spojrzałam na hełm, który Colt nosił podczas pierwszego Halloween w szpitalu i wiedziałam, że nie zdołam przejrzeć nawet jednego kartonu z jego rzeczami.

Maisie natomiast wzięła hełm do rąk i się uśmiechnęła, po czym zaczęła wspominać, jak zamieniła się wtedy z bratem i to ona go włożyła.

A on jej aureolę.

Jakby wiedzieli, że w końcu zamienią się rolami.

Jakby to wszystko od samego początku było zaplanowane, a ja przegapiłam oznaki.

– Myślisz, że jezioro zamarzło na tyle, że można po nim chodzić? – zapytałam Becketta.

Posłał mi spojrzenie, przekazując, że doskonale zdaje sobie sprawę z tego, o czym myślę i ponownie popatrzył na zaśnieżone jezioro.

– Byłem tam wczoraj, a dziś temperatura jest niższa. Nic nie powinno się stać. Mam iść z tobą?

Pokręciłam głową.

– Nie, chciałabym zrobić to sama. Chyba jestem gotowa.

Przytaknął, dając mi przestrzeń, której w tej chwili potrzebowałam.

Metodycznie zasznurowałam buty, zapięłam kurtkę, wzięłam rękawiczki i wyszłam. Aura była rześka, prószył śnieg, który błyszczał niczym brokat, gdy przechodziłam przez jezioro.

Dotarłam na środek wyspy, gdzie czekali Colt i Ryan.

Nigdy wcześniej nie byłam tu sama, bo nie czułam się gotowa, jakbym nie miała wystarczająco dużo siły. Może i tak było, jednak zmęczyło mnie czekanie, by to poczuć. Może wcześniej tak często wykazywałam się siłą, że stało się to dla mnie standardem.

Zabrakło mi słów, gdy uklęknęłam przed płytą nagrobną Colta, nie dbając o to, że śnieg moczył mi dżinsy. Miałam tak wiele do powiedzenia, ale żadna z tych rzeczy nie chciała wyjść z moich ust. Przestałam więc próbować, opuściłam głowę i pozwoliłam, aby lzy przenosiły słowa z mojego serca wprost do synka.

W końcu z mojego gardła dobył się dźwięk.

– Walczyłabym o ciebie. Zburzyłabym cały świat, Colt. Kochamy cię w każdej sekundzie każdego dnia i to się nigdy nie zmieni. Widzę cię w twojej siostrze, połyskuje w niej twoja dusza. Zachowała cię tak samo, jak my wszyscy. Czasami tęsknię za tobą tak bardzo, że nie daję rady, ale potem widzę ją i jakoś udaje mi się przetrwać. Ty mnie tego nauczyłeś, wiesz? Kiedy twoja siostra była chora i czułam, że już dłużej nie wytrzymam, że nie dam rady,

patrzyłam na ciebie i wiedziałam, że muszę sobie poradzić, ponieważ bez względu na to, co stanie się z Maisie, ty będziesz przy mnie. Nauczyłeś mnie, jak wziąć się w garść i postawić pierwszy krok. Nigdy jednak nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo potrzebowałam tej lekcji. Ale robię to. Dla ciebie, Maisie i waszego taty. Powinniśmy powiedzieć ci o nim wcześniej... tak naprawdę powinniśmy zrobić inaczej tak wiele rzeczy.

Uniosłam twarz do nieba i pozwoliłam, by płatki zatrzymały się na mojej skórze. Łzy mieszały się z roztopionym śniegiem, aż moje oczy wyschły.

Powietrze paliło w płucach, gdy odetchnęłam głęboko, mroząc ciężki smutek, który nosiłam niczym odznakę przetrwania.

Potrzebując przerwy, podeszłam do grobu Ryana.

– Nigdy ci nie podziękowałam – powiedziałam, odgarniając śnieg z płyty. – Za Becketta. Nie wiem, skąd wiedziałeś, ale dobrze zrobiłeś. Pamiętam, jak mówiłeś mi, że listy są dla niego, a jemu powiedziałaś, że dla mnie, ale doskonale zdawałeś sobie sprawę z tego, jak bardzo potrzebowaliśmy się nawzajem. Dając mi go, ocaliłeś mnie, Ryan. Uratowałeś Maisie. Kiedy rozpakowywałam rzeczy w sypialni, znalazłam pierścionek. Jeszcze się nie oświadczył, ale mam nadzieję, że poczeka z tym dłuższą chwilę, jednak wiem, że będę z nim już na zawsze, a mam go tylko dzięki tobie. Zatem dziękuję za Becketta i za list, który go do mnie sprowadził. A teraz daj buziaka mojemu synkowi, co? – Pocałowałam palce i przycisnęłam je do jego imienia. – Tylko ci go pożyczam, więc uważaj na niego.

Wróciłam do grobu Colta.

– Kocham cię i tęsknię za tobą – wyznałam. – Nie mogłabym ci powiedzieć nic bardziej prawdziwego. Żałuję, że nie było mnie wtedy przy tobie, ale cieszę się, że był z tobą tata, a teraz jest wujek Ryan. Byłeś moim najcenniejszym darem, Colt. I chociaż nienawidzę każdego dnia bez ciebie, jestem wdzięczna za czas, gdy cię miałam. Dziękuję, że byłeś mój. – Ponownie pocałowałam palce i powiodłam nimi po wszystkich dwudziestu jeden literach.

## Colton MacKenzie-Gentry

Wracałam spokojna. Zrobiłam to. Odnalazłam w sobie siłę, aby stawiać krok za krokiem i tam dotrzeć. I zamierzałam robić to w każdy inny sposób, ponieważ byłam silna.

Zawdzięczałam tak wiele mężczyźnie, który stał na skraju jeziora i czekał, aby zabrać mnie do domu.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Beckett, obejmując mnie.

– Tak. A przynajmniej wiem, że wszystko będzie dobrze.

Dotknął mojego policzka dłonią w rękawiczce.

– Tak, będzie.

– Myślałeś kiedyś o losie?

Zmarszczył brwi.

– To znaczy o tym, w jaki sposób zginął Colt?

– Tak. Nie. Tak jakby. Byłam zła na Boga za to, że odebrał mi Ryana, a potem Colta zaraz po tym, gdy Maisie wyzdrowiała.

– Ja też.

– Ale potem popatrzyłam na jezioro i naszła mnie myśl, że takie było jego przeznaczenie. Może właśnie taki był los ich obu. Gdyby Ryan nie umarł, może byś tu przyjechał, ale na pewno byś nie został. Wtedy nie leżało to w twojej naturze.

Beckett milczał, skinął jedynie głową i czekał na to, co powiem dalej.

– Ale zginął. I przyjechałeś. I ocaliłeś Maisie dzięki ubezpieczeniu, a potem serce Colta, będąc z nim, gdy ja nie mogłam mu towarzyszyć. Sprawileś, że spełniły się jego marzenia i nauczyłeś go niesamowitych rzeczy. Dzięki tobie nie był samotny. Dzięki tobie nie wątpił w to, że był kochany. Dotarło do mnie, że los zabrałby mi go bez względu na to, czy byś do mnie przyjechał. Bez względu na to, czy Ryan by przeżył, czy Maisie umarła. Ale bez ciebie byłby samotny. Nikt by go nie znalazł, nie zapewnił spokoju, jak ty to zrobiłeś. Bez ciebie pochowałabym obojwoje dzieci.

Zacisnął usta w wąską linię, jakby walczył, by się nie rozplakać.

– Nie mogłem go uratować. Oddałbym za niego życie, żeby mógł być tu z tobą. Ratowałem dzieci od... – Z trudem przełknął ślinę i odwrócił wzrok.

– Z każdym wezwaniem starasz się odpokutować za grzech, którego nie popełniłeś świadomie. Widywałam twoją twarz, ilekroć odnajdywałeś dziecko.

– Ale nie udało mi się uratować twojego. Nie ocaliłem własnego syna. Jak możesz mi to wybaczyć?

– Bo nie mam czego ci wybaczać.

Dziewczynki się śmiały, biegnąc po śniegu w kierunku domku na drzewie.

– Myślisz?

Spojrzałam na szeroki uśmiech Emmy, która pomagała Maisie wspinać się po drabinie.

– Wiem to. – Poczulałam ciepło w piersi. – Może nie mogłeś uratować chłopca, którego przeznaczeniem było odejść, ale ucząc Colta, ocaliłeś ją. – Wskazałam na Emmę.

Beckett zagryzł na chwilę zęby.

– Sądzisz, że to los?

– Tak – odpowiedziałam. – I może to nieprawda w przypadku wszystkich innych, ale dla mnie tak. To mi wystarczy.

Cmoknął mnie w czoło.

– Kocham cię. Zawsze będę cię kochał.

Stanęłam na palcach i pocałowałam go delikatnie w usta.

– Kocham cię. Teraz i na zawsze. Cały czas.

Tak, tkwiły we mnie ogromne pokłady smutku, ale również nieskończonej miłości. Znów miałam pokochać życie. Może nie dziś, lecz pewnego dnia, ponieważ moja egzystencja jeszcze nie dobiegła końca.

Życie było krótkie, czego nauczył mnie Colt.

Życie warte było walki, czego nauczyła mnie Maisie.

Litery mogły zmienić życie, czego nauczył mnie Ryan.

Właściwa miłość mogła ocalić człowieka, czego Beckett uczył mnie każdego dnia. A nasza dawała radę.

Tak jak i ja.

# EPILOG

## MAISIE

**P**ołożyłam jedną paczkę M&M-sów na trawie i otworzyłam drugą.  
– Wiesz co? – zapytałam brata. – Nie zapytasz? Dobra, jak chcesz. Jakbyś wcześniej stał się nastolatkiem. Minęło pięć lat. Rozumiesz, co to oznacza? – Wrzuciłam drażetkę do ust. – To oznacza, że nadal nie mam wznowy raka. Że ryzyko jej jest bliskie zeru. Że wygraliśmy. Ale również, że minie dłuższa chwila, zanim się spotkamy. Pamiętasz naszą umowę? Noc, gdy byłam tak bardzo chora? Powiedziałeś, że jeśli umrę, też wyzioniesz ducha, żebyśmy nigdy nie byli samotni. – Powiodłam palcami po literach jego imienia. – Nie dotrzymałam słowa, ale nawet nie wiedziałam, że nie wywiążuję się z umowy. Myślałam, że rak wróci i dopełnię obietnicy. Mam nadzieję, że się nie gniewasz, bo życie jest spoko. To znaczy Rory jest stuknięta. Nasza siostrzyczka skoczyła wczoraj z poręczy na korytarz. Myślałam, że mama padnie trupem. Jednak malutki Brandon jest taki grzeczny, słodki i kochany, że nawet Demolka nie ma nic przeciwko, kiedy ciągnie ją za uszy. Mamy z Emmą plany na weekend. Nic wielkiego, po prostu... plany. Rodzice dają radę. Cały czas całują się w kuchni, gdy im się wydaje, że nikt nie patrzy. To obrzydliwe, a jednak się cieszę. – Dotarłam do ostatniej litery jego nazwiska i westchnęłam. – Pięć lat i cały czas za tobą tęsknię. Cóż, nie cały czas, ale przeważnie chciałabym, żebyś był tu ze mną... Ale tak, tęsknię. Jak wszyscy. Jednak będę musiała złamać obietnicę, ale wiem, jak ci to wynagrodzić. Postanowiłam być dwa razy bardziej niesamowita i żyć za nas oboje, okej? – Wstałam, wzięłam dużą paczkę smakołyków, aby mama nie świrowała, gdy tu później przyjdzie. – Tylko wyświadczyć mi przysługę. Zostań ze mną, bo jeśli mam nadrobić to niesamowite życie dla ciebie, będę potrzebowała trochę pomocy. Tak bardzo za tobą tęsknię Colt.

Pocałowałam palce, przyłożyłam je do jego imienia w ten sam sposób, w który zawsze robiła to mama. Wsiadłam do łódki i wiosłowałam, aż przepłynęłam jezioro.

Od dziś miałam przed sobą przyszłość.

Rak miał nie wrócić.

Miałam żyć tak jak i Colt, bo zawsze będzie częścią mojej duszy. Niektórych więzi nie dało się zerwać.

– Maisie! – zawołał tata z ganku, gdy przywiązałam łódkę do pomostu, który zbudowaliśmy kilka lat temu. – Chcesz ze mną jechać?

– Tak! – krzyknęłam.

Nie pytałam, dokąd. Jeśli tata gdzieś jechał, to ja też, bo tego chciałby Colt, a ja musiałam teraz dotrzymać słowa i mieć dwa razy bardziej niesamowite życie.



# PODZIĘKOWANIA

**N**a wstępie dziękuję Bogu za błogosławieństwo ponad wszelką miarę i zdrowie moich sześciorga dzieci.

Dziękuję mojemu mężowi Jasonowi za spokojne weekendy w hotelach w ciągu tych trzech szalonych tygodni, kiedy pisałam tę książkę. Za miłość, nawet gdy o trzeciej w nocy oczy bolały mnie od komputera i bycie stuprocentowym ojcem w chwilach, w których próbowałam pogodzić karierę pisarską z rolą matki. Dziękuję dzieciom, które codziennie pokazują mi, jak wiele muszę się jeszcze nauczyć o życiu i które jako potomstwo żołnierza znoszą więcej, niż powinny. Dziękuję siostrze Kate za to, że w końcu możemy wychowywać razem nasze maluchy. Dziękuję rodzicom, którzy nawet okiem nie mrugnęli, gdy przefarbowałam włosy na różowo, czy kiedy zrobiłam sobie nowy tatuaż. Którzy nawet w obliczu raka stali razem z inspirującą siłą, jednością i bezgraniczną miłością.

Dziękuję mojej redaktorce Karen Grove za godziny telefonicznych poprawek akcji, za wskazówki, za humor, profesjonalizm i przyjaźń. Za czternaście k\*rew, którymi musiałam rzucić. Za to, że dzięki tobie jesteśmy razem już piąty rok i bardzo żałuję, że nie umiem wyrazić wdzięczności za to, że pomagasz mi spełniać moje najdziksze marzenie.

Dziękuję moim zaprzyjaźnionym żoneczkom tworzącym ze mną świętą trójkę: Ginie Maxwell i Cindi Madsen za to, że utrzymują mnie przy klawiaturze, kiedy w siebie wątpię. Dziękuję Molly Lee za nieustające: przyjaźń i zrozumienie. Dziękuję Shelby za znoszenie mojego umysłu jednorozca. Dziękuję Lindzie Russell za wybaczenie mi mojej rozproszonej uwagi, przynoszenie spinek i trzymanie mnie w kupie, gdy się rozpadam. Dziękuję Jen Wolfel za rady, przyjaźń i czytanie maszynopisów. Dziękuję KP za rozmowy na plaży w Meksyku, dziękuję Emilie oraz zespołowi Inkslinger za wszystko, co dla mnie robicie. Dziękuję mojej fenomenalnej agentce Louise Fury za wsparcie, ratowanie mojej kariery i bardzo zdolne ręce. Dziękuję Liz Pelletier za zachętę do napisania tej książki i za to, że zawsze odbiera ode mnie telefon lub otwiera drzwi i urządza spontaniczne piżama party.

Dziękuję odważnym kobietom, których doświadczenia zainspirowały mnie do napisania tej książki. Dziękuję Nicole i Darlene za podzielenie się swoimi historiami, za pomoc, abym mogła lepiej zrozumieć świat dziecięcych nowotworów. Dziękuję Mindy Ruiz za podzielenie się ze mną swoją walką i przeczytanie maszynopisu tej książki. Dziękuję Annie Swink za to, że miała siłę podzielić się ze mną walką Beydna i kontynuować jego dziedzictwo. Wielkie podziękowania dla Ashton Hughes nie tylko za dekadę przyjaźni, ale również za podzielenie się ze mną szczegółami leczenia neuroblastomy Davida, na czym też oparłam wydarzenia, których doświadczyła Maisie. Jesteś niesamowitą mamą. Dziękuję niezliczonym matkom, które opisały na blogach walkę swoich dzieci z nerwiakiem zarodkowym. Przez wiele wieczorów czytałam wasze teksty i trzymałam kciuki za wasze pociechy, ciesząc się, gdy uznano je za zdrowe, płacząc, gdy ulegały chorobie. Nie znacie mnie, ale ogromnie się przez Was wzruszyłam. Wasze dzieci mnie zmieniły.

Na koniec, ponieważ jesteś moim początkiem i końcem, ponownie dziękuję Jasonowi. Dziewiętnaście lat razem i wciąż mam motyle w brzuchu, gdy słyszę, że wracasz do domu. Nie mogę się doczekać, aż wrócisz z misji. Piąta i ostatnia, kochanie. Lataj bezpiecznie i wracaj szybko do domu.

## O AUTORCE

**R**EBECA YARROS to beznadziejna romantyczka, a także miłośniczka kawy i czekolady. Napisała wielokrotnie nagradzaną serię *Flight & Glory* oraz *The Renegades*. Tworzy bohaterów, którzy są wojskowymi, a od siedemnastu lat jest szczęśliwą żoną pilota śmigłowca apache.

Kiedy nie oddaje się pisaniu, wiąże łyżwy hokejowe swoim czterem synom, gra na gitarze albo ogląda filmy rodzinne z dwiema córkami. Mieszka w Kolorado z mężem, hałaśliwą gromadką dzieci oraz całą menażerią zwierząt. Adoptowała najmłodszą córkę i od tego czasu poświęca się charytatywnie w fundacji One October.

Jeśli chcecie dowiedzieć się czegoś o jej nowych książkach, zapiszcie się na listę mailingową lub wejdźcie na jej stronę: [www.rebeccayarros.com](http://www.rebeccayarros.com).

# SPIS TREŚCI

[Okladka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[CZTERY MIESIĄCE PÓŹNIEJ...](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[PÓŁ ROKU PÓŹNIEJ](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)

[PÓŁ ROKU PÓŹNIEJ](#)

[ROZDZIAŁ 25](#)

[ROZDZIAŁ 26](#)

[ROZDZIAŁ 27](#)

[ROZDZIAŁ 28](#)

[TRZY MIESIĄCE PÓŹNIEJ](#)

[ROZDZIAŁ 29](#)

EPILOG  
PODZIĘKOWANIA  
O AUTORCE

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *The Last Letter*

Copyright © 2019 by Rebecca Yarros  
All rights reserved

Translation copyright © 2023 by Grupa Wydawnicza FILIA  
This edition is published by arrangement with Alliance Rights Agency  
c/o Entangled Publishing, LLC

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: LJ Anderson and Bree Archer

Grafika: Elizabeth Turner Stokes

Zdjęcia:

© Elizabeth Turner Stokes

© primeimages/GettyImages

© hydromet/Depositphotos

Redakcja, korekta, skład i łamanie: Editio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8357-049-5

# FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilialia.pl

kontakt@wydawnictwofilialia.pl

SERIA: HYPE